



Judith Claire Mitchell

SUBTELNY UROK
samobójstwa

Prószyński i S-ka



Judith Claire Mitchell

SUBTELNY UROK
samobójstwa

Przełożyła
Ewa Kleszcz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

A REUNION OF GHOSTS

Copyright © 2015 by Judith Claire Mitchell

All rights reserved

Projekt okładki

Magdalena Zawadzka

Zdjęcie na okładce

© Oleg Gekman/Shutterstock.com; Alik Mulikov/Shutterstock.com; Mihai
Simonia/Shutterstock.com; autsawin uttisin/Shutterstock.com;
R-studio/Shutterstock.com

Redaktor prowadzący

Monika Kalinowska

Redakcja

Renata Bubrowiecka

Korekta

Maria Talar

ISBN 978-83-8097-546-0

Warszawa 2016

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

www.proszynski.pl

Dla moich rodziców

Leo i Claire Mitchellów

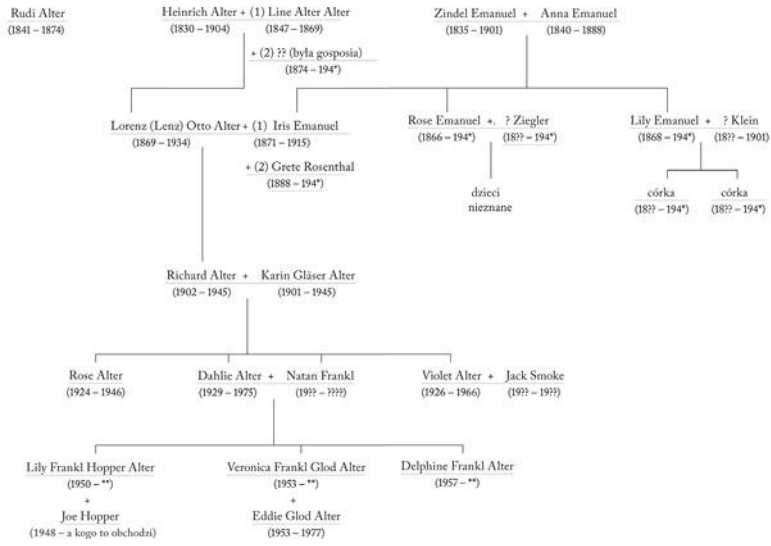
Czas istnieje po to,

żeby wszystko nie działało się jednocześnie.

ALBERT EINSTEIN

DRZEWO GENEALICZNE RODZINY ALTERÓW

Stan na pierwszy dzień lata 1999 roku



Część I

Duchy

ROZDZIAŁ 1

Zpewnej odległości tatuaż wijący się wokół łydki Delph wygląda jak łańcuszek żmijka, ale stańcie bliżej, a przekonacie się, że w rzeczywistości jest to pięćdziesiąt dziewięć małych liter i znaków składających się na zdanie klątwe:

kary za niegodziwość ojców są zsyłane na potomstwo do 3. i 4. pokolenia

To my jesteśmy tym czwartym pokoleniem: Lady, Vee oraz Delph Alter, trzy siostry dzielące mieszkanie przy Riverside Drive, to samo, w którym zostały wychowane; trzy kobiety w statecznym wieku, który to wiek tego pierwszego letniego dnia 1999 roku wynosi odpowiednio czterdzieści dziewięć, czterdzieści sześć i czterdzieści dwa lata.

Do zebrania minjanuł zabrakłoby nam siedmiu Żydów. Jesteśmy trójką z zapalem wierzącą we wszelkiego rodzaju tajemnicze, niezrozumiałe dla nas siły, triumwiratem feministek, ale opisujemy siebie w kontekście związków: jesteśmy żeńskim zgromadzeniem pozbawionym partnerów, dzieci, a nawet zwierząt domowych, składającym się z jednej rozwódki (Lady), jednej pogrążonej w wiecznej żałobie wdowy (Vee) oraz jednej starej panny – tu mowa o Delph.

Kiedy byłyśmy młode, z naszymi wielkimi piersiami i zadkami, z naszymi okularami w czarnych oprawkach, nisko zsuniętymi na szerokich wydatnych nosach, z naszymi ciemnymi analezami przypominałyśmy stadko gąsek intelektualistek w perukach klaunów i ludzie z trudem nas odróżniali. Dziś nie nastęcza to tylu problemów.

Lady jest z nas najstarsza i teraz, kiedy do pięćdziesiątki brakuje jej zaledwie roku, zaczęła wyglądać na swój wiek: zwiotczała skóra w okolicach szczęki, pomarszczona i sinawa pod oczami. To właśnie ona nosi się cała na czarno, ale nie na szykowną nowojorską modłę, lecz jak ktoś, kto doszedł do wniosku, że podejmowanie jakichkolwiek wysiłków w kwestii ubioru jest zbyt wyczerpujące. Każdego dnia to samo: bluza dresowa, džinsy, tenisówki, wszystko czarne. „Pracuję w księgarni – mawia – a potem wracam do domu i zostaję w domu. Niby dla kogo mam się stroić?”. Lady nie nosi stanika, przestała w latach sześćdziesiątych, i piersi zwisają jej aż do brzucha, przez co wydaje się jeszcze bardziej korpulentna niż w rzeczywistości. „A kogo to obchodzi? – powtarza. –

Przecież i tak nie próbuję nikogo poznać”. Włosy, które splata w długi warkocz i upina skórzaną klamrą ze szpilką, są przyprószone siwizną.

Vee jest najwyższa (choć wszystkie jesteśmy niskie) i najchudsza (choć żadna z nas nie jest szczupła). Twarz ma wolną od zmarszczek, jakby w życiu nie spotkały jej żadne troski, co, jak mówi (i ma po temu powody), jest śmiechu warte. Nie lubi czerni, preferuje kobalty, purpury i szmaragdy, królewskie barwy dodające jej witalności, mimo że umiera. „Czy nie tym jest właśnie moda? – powtarza. – Niewerbalnym sposobem kłamania na temat smutnej, nagiej prawdy?”. Vee również nie nosi stanika, ale w jej przypadku powodem jest to, że już nie ma piersi. Nie ma również włosów. Alopecja wywołana chemioterapią – tak to nazywają. Żadnych włosów, żadnych brwi, żadnych rzęs. Jej pachy, jej nogi są gładkie jak u dziewczynki. Podobnie jak reszta ciała. Gładka jak u dziewczynki.

Delph wciąż pozostaje dzieckiem. Nawet teraz, dwa lata po przekroczeniu czterdziestki, wygląda znacznie młodziej niż pozostałe. Jest najniższa, ma ledwie metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, i pulchniejsza. I wciąż nosi dziewczęce ubrania: białe chłopskie bluzki z haftem i tasiemkami do ściągania, długie kwieciste spódnice, czasami ciągnące się po ziemi, z rąbkami wystrzępionymi od chodników. Co do jej włosów, to zawsze były najdłuższe, najdziksze, najbardziej skręcone; te loczki strzelające w powietrze, spływające kaskadą po plecach, wijące się kosmykami wokół wielkich kolczyków w kształcie kół, wpadające do ust i wążące do oczu. Delph powtarza, że nic nie można z nimi zrobić; po prostu takie chcą być. „Można z nimi zrobić mnóstwo rzeczy – ripostuje nieraz Vee. – Daj mi tylko nożyce do żywopłotu, a ci pokażę”.

A zatem przyodziana w czerń siwowłosa, zwiotczała i obwisła Lady, bladolica, łysa, pozbawiona piersi Vee i mała Delph – trzy łatwe do odróżnienia kobiety. Ale ludzie wciąż nas mylą. Wiekowy dozorca, który zna nas od dziecka, nasi sąsiedzi, starzy i nowi... Nie mamy im tego za złe. Nawet naszej matce czasami coś się mieszało i zwracała się do nas niewłaściwymi imionami. Niekiedy same to robimy. „Jestem Delph” – powie Delph do Lady, która właśnie nazwała ją Vee po raz trzeci w trakcie wieczoru. Zazwyczaj jednak machamy na to ręką. A bywa i tak, że jedna z nas, śpiąca lub zawiana, dojrzy własne odbicie w lustrze i pomyli siebie z którąś z pozostałych. Co więcej, czasami gmatwamy sprawy jeszcze bardziej, wymieniając się ubraniami.

Jak wiele kobiet z rodu Alterów zostałyśmy nazwane od kwiatów, ale Lady właśnie tak wymawiała w dzieciństwie imię Lily i to do niej przylgnęło. Vee to jedyny fragment słowa Veronica, jaki komukolwiek chciało się wypowiedzieć, a Delph to skrót od Delphine – nasza matka myślała, że to nazwa jaskrawoniebieskiej byliny, choć w rzeczywistości słowo to znaczy „jak delfin”.

Nie mamy nic przeciwko naszym przezwiskom. Można nawet powiedzieć, że je pielęgnowaliśmy. Nazwy kwiatów, które wybrała nasza matka, nigdy nas nie cieszyły: lilia pogrzebowa, przetacznik fioletowy² słynący z tego, że dobrze znosi zaniedbanie, no i imię Delphine, które nie do końca jest tym, czym powinno. „Ni bogowie flory, ni fauny nie mają nade mną zwierzchnictwa – lubi mawiać Delph. – Nic dziwnego, że prześlizgnęłam się między szczelinami”.

Prawdę mówiąc, to wszystkie wpadłyśmy między szczeliny istnienia i tam już pozostałyśmy. Nasz ojciec odszedł, kiedy Lady miała siedem lat, Vee – cztery, a Delph była jeszcze w powijakach. Nasza matka... cóż, to kolejna smutna historia. Ale kiedy ma się siostry, życie pomiędzy szczelinami nie jest takie złe. Może być ciepłe i przytulne, jeśli akurat tego chcesz, może być wypełnione prywatnymi żartami, skrótami myślowymi i wygłupami, jeśli tego potrzebujesz, albo może być ciche i spokojne, co teraz doceniamy najczęściej, zwłaszcza że – jakby wszystkiego było mało – stałyśmy się jeszcze większymi introwertyczkami, może nawet odrobinę cierpiącymi na agorafobię.

Wszystko to sprawia, że jesteśmy wprost stworzone do projektu, który chcemy rozpocząć dziś wieczór, a mianowicie do spisania wspomnień, tej historii rodzinnej, tej pseudoautobiografii czy czymkolwiek to jest. Jej tematem będą ostatnie cztery pokolenia Alterów z naszym włącznie. Planujemy odnotować wszelkie troski i potknięcia, jak również wszelkie osiągnięcia i przyczynki. Z przykrością musimy stwierdzić, że tych pierwszych było wiele, tych ostatnich zaś znacznie mniej. Jest to szczególnie prawdziwe w przypadku naszego pokolenia. Stanowimy całą czwartą generację. Jesteśmy ostatnimi z rodu Alterów. Jesteśmy wszystkim, co po nim pozostało. Nie ma już nikogo więcej i nie przyniosłyśmy rodowemu nazwisku żadnej chwały.

Ale nie przyniosłyśmy mu też żadnej hańby, a to już więcej, niż mogą o sobie powiedzieć niektórzy nasi przodkowie. Na przykład pierwsze pokolenie, w którym główną rolę odegrał nasz osławiony pradziadek Lorenz Otto Alter, bohater pierwszej wojny światowej i zbrodniarz wojenny, geniusz i potwór. To on był niegodziwcem, który obarczył nas wszystkich ciężarem swoich grzechów. Przynajmniej jednak coś osiągnął: dobre rzeczy, złe rzeczy, takie rzeczy jak zyskanie Nagrody Nobla – czego nie można powiedzieć o nas trzech. My niczego nie osiągnęłyśmy, wniosłyśmy nawet mniej i lękamy się o biednego durnia, na którego barki pewnego dnia spadnie obowiązek wygłoszenia mów pogrzebowych ku naszej czci. Cóż powie ten nieszczęsny orator? Delph Alter, najmłodsza siostra, nigdy nie zaniechała uporządkowania szafki na dokumenty, która tego wymagała. Vee Alter, nieoświecona małpa pośrodku, przez całe dorosłe życie była praktykantką adwokacką w kancelarii prawniczej, gdzie sporządzała wstępne wersje testamentów i postępowań spadkowych – śmiertelnie nudna robota. I Lady Alter, najstarsza, stała za ladą, wbijając na kasę fiskalną należności za książki

w miękkich oprawach i czasopiśmie, całymi dniami mówiąc niewiele więcej niż „dziękuję” i „Czy potrzebuje pan/pani reklamówki? oraz „Romanse stoją w trzeciej alejce po lewej”. Najwyraźniej wszystkie trzy umarły z potwornej nudy. *Jitgadal wejtkadasz. Re--quie-scat in pace.* I to – i to – i to by było na tyle.

Rozmyślałyśmy ostatnio o mowach pogrzebowych, bo nie jest to wyłącznie nasz pamiętnik, to również list pożegnalny. To prawda, w końcu wyznaczyłyśmy datę: północ 31 grudnia 1999 roku. W sylwestra.

Zawsze wiedziałyśmy, że prędzej czy później zginiemy śmiercią samobójczą. „Prędzej” niedawno zapukało do naszych drzwi. „Sześć miesięcy do roku” – tak powiedział lekarz Vee. Omówiłyśmy to przy kolacji, przespałyśmy się z tematem, a następnego ranka zawarłyśmy pakt: jedna za wszystkie i wszystkie za jedną. Jeśli któraś z nas ma odejść, odejdziemy razem. Wyłączyć z basenu! Wszyscy!

Mamy taki żart. Cóż, właściwie nie żart. Zagadkę:

P: W jaki sposób trzy siostry piszą jeden list samobójczy?

O: Tak samo, jak jeź uprawia miłość: ostrożnie.

Poza tym czule, powoli i wytrwale, nawet kiedy boli.

Mamy również tabelę. Jakiś tydzień po śmierci naszej matki narysowała ją Delph, która miała wtedy osiemnaście lat. Ozdobiła ją i przykleiła po wewnętrznej stronie drzwi do sypialni, gdzie niektóre dziewczęta wieszają plakaty swoich idoli. Wisi tam do dziś z pradziadkiem, inicjatorem klątwy, na samej górze i naszą matką, nieszczęsną Dahlie, dźwigającą jego ciężar oraz ciężar wszystkich pozostałych, którzy odeszli przed nią, na samym dole.

Kto

Kiedy

Wiek

Jak

Gdzie

pradziadek Lenz

1934

65

Samobójstwo: morfina

hotel w Bazylei

prababcia Iris

1915

43

Samobójstwo: strzał z pistoletu

jej ogród

dziadek Richard

1945

43

Samobójstwo: autodefensacja

sypialnia na końcu korytarza

ciocia Rose

1946

21

Samobójstwo: cyjanek

męska toaleta w Chicago

ciocia Violet

1966

40

Samobójstwo: uduszenie

jej uroczy dom na Long Island

nasza matka Dahlie

1975

46

Samobójstwo:

utonięcie

rzeka Hudson

Lubimy tę tabelę. Lubimy schludność rzędów i kolumn. Lubimy powtórzenia i subtelne wariacje. Jesteśmy zafascynowane narracją, jaką w sobie kryją. Podobno potomstwo samobójców niezmiennie postrzega życie jako chaotyczne, ale kiedy patrzymy na tę tabelę, widzimy przeciwieństwo chaosu. Widzimy porządek i rutynę. Widzimy kojącą przewidywalność i dodającą otuchy nieuchronność. Bez tych rzędów i kolumn zostałaby tylko zwariowana gra Clue3: prababcia Iris w ogrodzie z pistoletem, ciocia Violet w sypialni z plastikowym workiem, mama w rzece z kamieniami w skarpetkach. Tymczasem te rzędy i kolumny tworzą nasze drzewo genealogiczne. Każda rodzina jakieś ma. To jest nasze.

1 Dziesięcioosobowe żydowskie kworum modlitewne. W rzeczywistości

w jego skład mogą wchodzić tylko mężczyźni. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 Z łac. *Veronica L.*

3 Klasyczna planszowa gra detektywistyczna, poza Stanami Zjednoczonymi nosząca nazwę Cluedo.

ROZDZIAŁ 2

Chociaż wszystkie trzy już wcześniej zastanawialiśmy się nad popełnieniem samobójstwa, tylko Lady podjęła na poważnie próbę odebrania sobie życia. Właściwie to podjęła kilka takich prób, a do pierwszej doszło prawie dwadzieścia trzy lata temu, w długi weekend z okazji 4 lipca 1976 roku.

To były czasy pełne napięcia. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy Nowy Jork zaliczył stagflację, kolejki po paliwo i wydarzenia podsumowane nagłówkiem „Ford do miasta: »Padnij trupem!«”⁴, podczas gdy my przeżyliśmy pierwszy atak choroby nowotworowej Vee, skok naszej matki do rzeki Hudson i łabędzi śpiew trwającego pięć lat małżeństwa Lady z bezczelnym Joem Hopperem, nieprzemyślanego przedsięwzięcia, które nie tylko przysporzyło jej cierpienia, lecz także zmusiło do przedstawiania się jako lady Hopper, co, jak utrzymywała, brzmiało niczym nazwa animowanej żaby przyodzianej w perły i diadem. Posługiwanie się prawdziwym imieniem też nie pomagało. Lily Hopper brzmiało nawet gorzej: ta sama żaba, mniej biżuterii.

Próbowałyśmy patrzeć na sprawy optymistycznie. Po pierwsze: nigdy więcej Joego Hoppera. Po drugie: nigdy więcej Richarda Nixona. Po trzecie: Vee została uzdrowiona. (Tak powiedział jej lekarz. Takiego właśnie słowa użył: „uzdrowiona”). A teraz zbliżała się dwusetna rocznica podpisania Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych, długi weekend, w którego trakcie rozsierdzeni nowojorczyccy robili sobie przerwę od nawoływania do wszczęcia procedury impeachmentu wobec Forda, aby wiwatować na widok świszczących komet i ognistych chryzantem eksplodujących nad World Trade Center.

Och, tamto lato... Dziewiętnastoletnia Delph miała stypendium w Barnard, żeńskim college’u znajdującym się zaledwie kilka przecznic od centrum, do którego uczęszczałyśmy wszystkie trzy, chociaż ostatecznie tylko Vee i Delph zdobyły dyplom. Vee i jej mąż, nienaganny Eddie Glod, mieszkali w sypialni Vee. Oboje mieli po dwadzieścia trzy lata. Eddie pracował w kilku miejscach na część etatu, próbując jednocześnie ustalić, co chce zrobić z resztą swojego życia, bo były to zajęcia bez perspektyw. Vee zaczęła pracę jako praktykantka adwokacka. W sklepie charytatywnym kupiła dwa używane kostiumy i jedną wysłużoną parę niezgrabnych zdezelowanych pantofli. Tylko rajstopy miała nowe, kilka par zapakowanych – z niepojętego dla nas powodu – w duże plastikowe jajka.

Lubiła swoją pracę. Każdy przygotowywany przez nią testament był jak alegoria, w której Everyman, zwany testatorem, oddawał swój dom i meble, swoje samochody i gotówkę, aż nie zostawało mu już nic poza dziećmi. Wtedy brał głęboki wdech i je również oddawał, przekazując pod opiekę komuś, kto nigdy nie

będzie ich kochał tak jak on, po czym pozbawiony wszystkiego, co kiedykolwiek było bliskie jego sercu, składał podpis, w końcu przyznając, że umrze. Vee uważała cały ten proces za niezwykle romantyczny i poetycki, a przy okazji miała zapewnioną opiekę medyczną i dentystyczną oraz lukratywny plan emerytalny.

Jeśli chodzi o Lady, w 1976 roku miała dwadzieścia sześć lat i mieszkała sama na Amsterdam Avenue w obskurnym mieszkanku na piątym piętrze w budynku bez windy, które kiedyś dzieliła z Joem. W tamten weekend, kiedy postanowiła się zabić, kończył się jej dziesięciodniowy urlop, który ani nie był jej pomysłem, ani życzeniem. To dentysta, dla którego pracowała, nagle postanowił, że weźmie sobie trochę wolnego, i zamknął gabinet. „Słówko dnia to »spontaniczność«” – rzucił tekst, który ewidentnie wcześniej przećwiczył. Higienistka była podekscytowana tą perspektywą, ale nie Lady. To ona musiała zadzwonić do wszystkich pacjentów i poprzekładać wizyty. „Coś mu wypadło” – powtarzała. „To nagły wypadek” – dodawała, jeśli pacjent się irytował. „Ale nie tragiczny” – zapewniała, jeśli z kolei się zaniepokoił. To jednak nie pacjenci stanowili prawdziwy problem. Najgorsze było to, że nie wiedziała, co zrobić z urlopem. Dziesięć dni. Nowy Jork na przełomie czerwca i lipca. Ostatecznie nie dysponowała domkiem letniskowym w Hamptons.

„Przypomnij mi raz jeszcze, dlaczego to robimy?” – poprosiła dentystę po tym, jak higienistka wyszła już do domu. Lady pracowała dla niego od czterech lat, od momentu, kiedy rzuciła szkołę, aby wyjść za mąż za Joego. To był fatalny pomysł. Małżeństwo, nie praca. Pracę lubiła. Kierowniczką biura/ recepcjonistką to nie było zajęcie, którego władze college’u Barnard życzyłyby sobie dla swoich „dziewcząt”, jak, o dziwo, ten samozwańczy bastion drugiej fali feminizmu nazywał studentki, ale zawodowe ambicje Lady były równie wielkie jak jej aspiracje dotyczące wyboru życiowego partnera, czyli nieduże. Poślubiła Joego, bo powierzył jej swój najgłębszy, najmroczniejszy sekret. Sekret, który przysporzył mu tyle wstydu, że kiedy go ujawniał, przygryzł dolną wargę, aż kilka dyskretnych kropelek krwi pociekło na jego bródkę *à la* Frank Zappa. Wyznawanie tajemnicy tak bardzo go pochłonęło, że nie uświadamiał sobie ranki – poza tym był nawalony, wyjątkowo nawalony – której widok wzruszył Lady do głębi. Pod warstwami sarkazmu i arogancji krył się taki bezbronny chłopak i ze wszystkich kobiet, które znał, właśnie ją wybrał na powiernicę swojego sekretu. Jak mogła mu się oprzeć? Nie przeszkadzało jej nawet to, że był bezrobotny. Czuł wyższe powołanie: pisał pracę magisterską, po czym zamierzał zrobić doktorat z literatury, a następnie objąć profesurę na jednym z uniwersytetów Ivy League. Specjalizował się w poetkach epoki wiktoriańskiej. Jak Lady mogłaby tego nie wspierać? On był feministą! Chciał, aby artystki zajęły należne im miejsce w historii literatury! Pobrali się w Central Parku, a ona chętnie rzuciła szkołę i podjęła pierwszą pracę, która pozwalała jej opłacać czynsz za ich wspólne mieszkanie.

Joe Hopper, włochaty i tyczkowaty, żywił upodobanie do zamszowych kamizelek z frędzlami noszonych na gołą skórę. Nie podobała mu się natomiast praca Lady, przez którą czuł się osobiście poniżony. „Stomatologia, to takie burżuazyjne – powiedział – tak typowe dla klasy średniej”. Już nawet posada zapewniająca płacę minimalną byłaby lepsza. Sklep przy Sto Dwunastej Ulicy, w którym sprzedawano tanie letnie sukienki na ramiączkach i papierowe parasolki, właśnie szukał pracowników, w Ta-Kome zawsze potrzebowali kogoś do robienia kanapek, a jeśli chodziło jej tylko o pieniądze, to co z kelnerowaniem w jakimś klubie tanecznym w centrum Manhattanu, gdzie prawnicy i bankierzy dawali okazałe napiwki? Ona powiedziała, że woli pracę recepcjonistki – podobało się jej to, że nie musiała stać przez cały dzień — i przypomniała mu o pakiecie świadczeń socjalnych i darmowych plombach. „Mamy opiekę dentystyczną lepszą nawet niż Vee”, argumentowała. Dlaczego on po prostu nie skłamał swoim przyjaciołom na temat jej pracy, skoro był nią tak zażenowany? Jej to nie będzie przeszkadzało, jeśli wymyśli jakąś historyjkę. „Powiedz im, że obsługuję piec w Ray’s Pizza – zaproponowała. – Albo kursuję taksówką po Bronksie”. Zapewniła go, że na to przystanie. Że będzie kłamała. „W przeciwieństwie do ciebie nie czuję się swobodnie, kiedy mam kłamać” – odparł sucho.

Nie obraziła się na niego. Jak mogłaby, skoro miał rację? A nie znał nawet połowy prawdy. Nie miał pojęcia, jak duża część jej życia była kłamstwem – chociaż nie kłamała, kiedy powiedziała, że lubi pracę recepcjonistki. Naprawdę ją lubiła. Czowała zadowolenie, a wręcz spełnienie, mogąc pomagać dentyście w budowaniu jego praktyki. Była kobietą stojącą w cieniu tronu, chociaż w jej przypadku chodziło o fotel dentystyczny, jak lubiła żartować. Prawdą było również to, że lubiła samego dentystę. Kiedy się u niego zatrudniła, był świeżo upieczonym absolwentem szkoły stomatologicznej. Opowiadał jej o swoich troskach i nadziejach związanych z prowadzeniem praktyki, drobiazgowo i z nieco obrzydliwymi szczegółami opowiadał o swojej miłości do tego oślizgłego zajęcia, dawał jej hojne premie świąteczne, na które w tych pierwszych latach, jak wiedziała, nie mógł sobie pozwolić, kwoty tak wysokie, że musiała przysięgać, że nigdy nie powie o nich higienistce, starszej kobiecie z brzuchem obwisłym po czterech ciążach i siwymi włosami związanymi w ciasny koczek przesyty chińskimi pałeczkami, które dostawcy z Nos Gusta La Comidas China dodawali do lunchowych zamówień.

Lady uwielbiała fakt, że ją i dentystę łączy podobna etyka pracy. Jego przejawiała się w tym, że nigdy nie brał sobie więcej wolnego niż długi weekend. Jej opierała się na tym, żeby nigdy nie brać nawet tyle. Jaki to miałoby sens? Zostałaby w domu, gdzie Joe Hopper pracował przy stoliku kawowym nad swoją pracą magisterską. Tytuł jego rozprawy brzmiał: „Wargi, co rumienią się niczym posiniaczone owoce granatu⁵ – poetki wiktoriańskie i safickie spojrzenie”. „On

specjalizuje się w waginach – Vee w końcu wyjaśniła Lady, która błędnie interpretowała wzmiankę o wargach. – W waginach i lesbijskim seksie i nie zachowuje przy tym zbyt poprawności politycznej. Jeśli ciebie jeszcze nie ma w domu, kiedy do was zaglądam, upiera się, żeby czytać mi urywki. Staje wtedy naprawdę, naprawdę blisko – skrzywiła się. – To dość pornograficzne”.

Lady powiedziała Vee, żeby przestała sobie pochlebiać, ale po powrocie do domu ponownie przeczytała rozprawę i musiała przyznać siostrze rację. Próbowwała szukać pozytywów: Joe uwielbiał to, co robił. Zawsze był pochłonięty swoimi badaniami, kiedy wracała do domu. Witał ją gestem, machnięciem dłoni, które oznaczało: „Bądź cicho, zdejmij buty, ogranicz swoje powitanie, kroki, oddech i tempo podstawowej przemiany materii do minimum”. Albo czekał na nią, żeby zaciągnąć ją do łóżka, gdy tylko przekroczy próg, podniecony przez jakiś wiersz, który właśnie analizował.

– To był pomysł mojej żony – powiedział dentysta o urlopie, na moment odwracając wzrok. Przynajmniej miał tyle przyzwoitości. – Uparła się. Użyła argumentu: „Nie samą pracą człowiek żyje”. – Wzruszył ramionami, jakby nie miał bladego pojęcia, co to oznacza. Potem wyszczerzył zęby w uśmiechu (to było coś, w czym był dobry). – Wiesz, co powinnaś zrobić? – zasugerował. – Powinnaś wybrać się do jednego z tych kurortów Club Medu6. Do Guadalupe! Spontaniczność! Mogłabyś biegać tam nago. I tak nikogo nie ma teraz w mieście.

– Dlaczegoż by nie pobiegać nago tutaj? – podsunęła Lady.

Dentysta miał szeroką chłopcęcą twarz. Wyglądał jak Rootie Kazootie, jak Howdy Doody, jak Opie Taylor, wszystkie te gojskie ikony naszej młodości: rudowłose, o rumianych i usianych piegami policzkach. Ale teraz zrobił poważną minę, jakby pomyślał, że Lady coś sugeruje, że oferuje mu wyjście alternatywne. I chyba rzeczywiście tak było. W takich właśnie sytuacjach odzywały się jej skłonności do kłamstwa. Bo Lady i dentysta pieprzyli się na szorstkim dywanie w jego gabinecie po wyjściu higienistki do domu generalnie od momentu, kiedy Lady została zatrudniona. Och, może przez jakieś pierwsze sześć miesięcy pozostawała lojalna wobec Joego i delikatnie odrzucała zaloty dentysty, chociaż jej pochlebiały, ale kiedy jej małżeństwo zaczęło się sypać, ona zaczęła sypać z szefem.

Jego niedawny ślub niczego nie zmienił. Kobieta, którą wziął za żonę, miała imię – brzmiało ono Patty – ale nigdy nie wypowiadał go w obecności Lady. W zamian używał ogólnego terminu: „Żona przychodzi na zdjęcie kamienia”, „Jeśli żona zadzwoni, powiedz jej, że jestem w trakcie leczenia kanałowego i nie można mi przeszkadzać”, „Taa, żona kupiła mi tę marynarkę. Nie jest w moim guście, ale cóż można na to poradzić?”.

Lady nigdy nikomu nie powiedziała ani nawet nie zrobiła aluzji do swojego związku z dentystą, ani higienistce nad dzielonym omletem *foo yung*, ani Vee czy

Delph podczas ich częstych wizyt w domu. Nie wspomiała o nim nawet samemu dentyście. Oboje zgodzili się na utrzymywanie absolutnie niemego romansu. I nawet to porozumienie zostało zawarte bez słów.

Raz, tylko jeden raz Lady podjęła próbę porozmawiania z nim o tym, co właściwie robili. To było wkrótce po tym, jak ogłosił swoje zaręczyny, chociaż „ogłosił” to nie do końca odpowiednie słowo. Raczej wspomniał o nich pod koniec pracowitego dnia. Lady nawet nie wiedziała, że z kimś się spotykał. Poczula się wytracona z równowagi i zaskoczona. Nie dowierzała mu, jak te kobiety, o których czasami się słyszy, że zgłaszają się do lekarza z bólem brzucha, a dowiadują się, iż są w ciąży, a co więcej, w końcowym stadium porodu. Mimo wszystko ograniczyła się do uprzejmości, jak zrobiłby każdy w obliczu tak wspaniałej nowiny – tych samych uprzejmości, które zdążyła wygłosić higienistka. Ale kilka dni później, gdy akurat byli sami w jego gabinecie, Lady wygładzała spódniczkę, a dentysta odwieszał swój biały fartuch, pomyślała, że byłoby miło zapewnić go, dać mu znać, że ona nie zamierza się rozklejać ani robić mu scen, chociaż tego ranka, gdy szlochała pod prysznicem, uznała, że bez tego się nie obejdzie. Jej zapewnienie, pomyślała teraz, będzie swoistym prezentem zaręczynowym. Co innego mogła zrobić? Od dawna wiedziała, że nie może sobie rościć żadnych praw. Od początku miała świadomość, na co się pisze. Chciała mu to powiedzieć.

– Wiesz... – zaczęła, z powrotem naciągając sweterek przez głowę – Z naszym związkiem jest tak, że...

Właśnie zapinał suwak spodni.

– Nie łączy nas żaden związek – uciął.

Lady popełniła błąd, brnąc w to dalej:

– Ależ oczywiście że łączy – zapewniła. – I sęk w tym, że...

– Nie łączy nas żaden związek.

Teraz zaczęła poważnie rozważać zrobienie mu sceny. Ale jako że nigdy wcześniej żadnej nie robiła, nie była pewna, jak się do tego zabrać.

– Zgadzam się, że nie łączy nas związek – powiedziała. – Ale coś nas łączy.

Nałożył marynarkę, której rzekomo nienawidził, tę z płowego zamszu, kosztowną, bezspornie wspaniałą, i postawił kołnierzyk.

– Chodzi mi o to – ciągnęła Lady – że może i nie łączy nas romantyczny związek, mający jakąkolwiek przyszłość, pojmuję to, ale łączą nas relacje. Jestem twoją recepcjonistką. Twoją współpracowniczką. Każde dwie osoby, które się znają, coś łączy. Właśnie takie jest znaczenie słowa „związek”. Weźmy na przykład chłopaka z targu koreańskiego, u którego kupuję groszek cukrowy. Nie znam jego imienia, ale niewątpliwie coś nas łączy.

– Może ciebie i Groszka Cukrowego łączy jakiś związek – skwitował – ale ciebie i mnie nie.

Lady zdążyła już zapomnieć, co chciała powiedzieć. Już sama nie wiedziała,

o co chodzi w łączącym ich związku. Zamiast tego więc rzuciła:

– Wiesz co? Zobaczymy się jutro. – I poszła do domu.

Była rozdrażniona, ale tylko dlatego że nie chciał przyznać jej racji. Bo nawet wtedy, nawet w samym środku tego, cokolwiek ich łączyło, cokolwiek robili, kimkolwiek dla siebie byli, ona wiedziała, że go nie kocha. Nie bardzo. Z pewnością na niego nie liczyła, nigdy. I nigdy sama nie inicjowała zbliżeń, chociaż czasami robiła aluzje.

I tak jak nie powiedziała nikomu, że pieprzy się z dentystą – a nie przyznała się do tego nawet po rozwodzie – tak samo nie wspomniała nikomu o swoim obowiązkowym urlopie. Jeden upalny dzień po drugim spędzała w domu z zaciągniętymi zasłonami, w daremnej próbie zachowania chłodu. Nawet teraz pamięta oleisty pot między i pod piersiami, pamięta, jak podciągała T-shirt, obnażając piersi, a materiał wchłaniał pot na jej czole, chłodził kark i przykrywał włosy niczym welon zakonnicy w stroju topless. Pamięta również mały telewizor z anteną w kształcie króliczych uszu, stojący w jej sypialni – cały majątek, jaki pozostał jej po rozwodzie – który oglądała niemal non stop podczas tych ciągnących się bez końca dni. Pewnego popołudnia włączyła odbiornik na program Billa Boggsa i zobaczyła imponująco pijanego Tennessee Williamsa rozwalonego w fotelu, podczas gdy Rich Little naśladował Johnny’ego Carsona i Johna Wayne’a. Tuż po Boggsie na ekranie pojawił się Walter Matthau u Dinah Shore, a chwilę później Matthau zagościł w *The Mike Douglas Show*. Lady nie miała nic przeciwko Walterowi Matthau – kto go nie lubił? – ale jego powracająca obecność, jego powtarzające się dowcipy, ten sam klip ze *Strasznych misiów* sprawiły, że miała wrażenie, jakby pomieszało się jej w głowie. Potem zapadła noc z kojącymi powtórkami sitcomów, takich jak *Rhoda*, *Phyllis* czy *Maude*, a później obejrzała występ *Wesołej Dziwki* u Toma Snydera. Lady zaczynała rozumieć, jak to może się stać życiem człowieka, jak to sprawia, że człowiek czuje, jakby miał towarzyszy, z którymi gawędzi i robi różne rzeczy danego dnia. *Rhoda*, *Phyllis*, *Maude*, *Xaviera*, *Tennessee*... Przyjaciółki.

Każdego dnia mówiła sobie, że w końcu zrobi coś produktywnego, że już nie będzie oglądać telewizji, ale codziennie zostawała w łóżku, przysypiając aż do późnego popołudnia, a potem łamała się, nie wytrzymywała i włączała odbiornik. Poza tym piła, możliwe, że czasami coś jadła, brała jakiś prysznic, myła zęby ekstratwardą szczoteczką Oral-B i próbką pasty Crest, którą dostawała za darmo z gabinetu. Ale najczęściej nie robiła żadnej z tych rzeczy. Były tylko telewizja i koktajle, i jej T-shirt naciągnięty na głowę jak siatka na włosy.

Nie było dnia, żeby nie nakazywała sobie zadzwonić do Vee albo do Delph, albo nawet do Eddiego – może właśnie przede wszystkim do Eddiego, najbardziej

pełnego współczucia z nich wszystkich – i powiedzieć, że być może o tym nie wspomniała, ale ma urlop i najwyraźniej nie jest w stanie wstać z łóżka, i poprosić, żeby przyszli i postawili ją na nogi, i zmusili ją, żeby się ubrała. Może przyniesienie jakiegoś jedzenia też byłoby dobrym pomysłem. Pizza, kanapka z indykiem, cała babka piaskowa... Ale nie zadzwoniła. Nie mogła, ponieważ był to tydzień, w którym jej lęk przed rozmowami telefonicznymi ujawnił się równie nagle i niespodziewanie jak papierowy bukiet wyciągnięty z rękawa magika. Nagle bach i cierpisz na telefobię.

Tej nieoczekiwanej przypadłości towarzyszyły mdłości, nerwy oraz rewolucje żołądkowe; i nasilała się gwałtownie. Na początku urlopu Lady po prostu ignorowała dzwoniący telefon, masywny szarobrazowy standardowy model Ma Bell, którym – jeśli właściwie go użyć – można by kogoś zabić. Pod koniec w panice przemykała przez przedpokój i chowała się w łazience, gdzie trzymała zapasową butelkę wódki, która pomagała się jej uspokoić, dopóki brzęczenie nie ustało. Piła prosto z butelki, jeden haust, potem dwa. To był jej koktajl martini – tyle że bez oliwek – albo Gibson – ale bez cebulek koktajlowych. Również bez kubelka z lodem i kieliszka. Lady była samozwańczą hipiską. Nie dbała zbyt wiele o elegancję ani o rytuały i całe szczęście, biorąc pod uwagę, że trzymała kryształowo przejrzystą butelkę Popov na zroszonym kroplami wody szczycie rezerwuaru razem z zieloną buteleczką antybakteryjnego preparatu do skóry trądzikowej pHisoHex, niebieskim słoiczkiem kremu oczyszczającego Noxzema i brązowym opakowaniem leku przeciwłękowego Miltown, tym ostatnim przepisany przez dentystę. Dopiero w ostatnią sobotę urlopu – trzeciego lipca – Lady wyszła ze swojego mieszkania. Nie opuściła go wcześniej ani w poszukiwaniu towarzystwa, ani po to, aby poćwiczyć, ani po to, aby zażyć świeżego powietrza czy zrobić zakupy, ani po groszek cukrowy, ani po cokolwiek. Ale nagle coś wypłynęło czy raczej coś wypadło. Naścienna osłona przełącznika światła w sypialni straciła górną śrubkę kilka tygodni wcześniej. Teraz zwisała do góry nogami na dolnej śrubce, obnażając puszkę elektryczną i niepomalowaną ścianę na jej brzegach.

Joe Hopper zabrał wszystkie narzędzia, kiedy się wyprowadzał – to była jego część majątku – więc próbowała wetknąć przełącznik z powrotem na miejsce i umocować go za pomocą taśmy klejącej. Kiedy to nie podziałało, starała się go ignorować. Ale to też się jej nie udało i wkrótce osłona zaczęła jej przypominać człowieka, który zwisa z występu skalnego, trzymając się go opuszkami palców jednej ręki. Doprowadzało ją to do szaleństwa. Musiała pojechać do sklepu żelaznego i kupić śrubokręt.

Gabinet dentystyczny mieścił się – być może wciąż się mieści –

w obskurnym centrum dzielnicy River-dale, tuż przy stacji kolejki naziemnej. W dni powszechne Lady dojeżdżała nią do pracy i z powrotem. Codziennie, stukając obcasami, schodziła po metalowych schodach, a przy podeście przekraczała kałużę. Była gotowa przysiąc, że ta kałuża nigdy nie wysycha. Mogło być gorąco i sucho, burmistrz (mały Abe Beame) mógł zakazać mieszkańcom wszystkich pięciu gmin podlewania roślin doniczkowych i spuszczenia wody w toaletach – ale to nie miało znaczenia. Kałuża ciągle tam była, może nieco mniejsza, czasami przypominająca zaledwie błotnisty kontur, lecz istniała, a martwe liście pokrywały jej powierzchnię. W 1976 roku dokładnie po drugiej stronie ulicy działała spelunka zwana Terminal Bar. Kiedy się nad tym zastanowić, była to dość złowieszczą nazwa, a Lady – ze swoimi skłonnościami zarówno do samobójstwa, jak i do kalamburów – doszła do tego samego wniosku i stosownie do okoliczności nadała kałuży nazwę Styks.

Po jednej stronie baru znajdował się czteropiętrowy biurowiec. Gabinet dentysty mieścił się na drugim piętrze. Po drugiej stronie baru był sklep żelazny prowadzony przez dwóch starzejących się braci, dwóch drażliwych mężczyzn, niskich i jajowatych, o gniewnych czarnych oczach, kartoflowatych, pokrytych żyłkami nosach i bródkach przypominających owłosienie łonowe. I choć na Upper West Side działało nieskończenie wiele sklepów żelaznych, to właśnie ten – leżący pół godziny drogi od jej mieszkania, jeśli nie było żadnych opóźnień, ale oczywiście jakieś opóźnienia zawsze były – Lady postanowiła odwiedzić.

Miała powód do przemierzenia takiego dystansu, mimo że właściwie nie musiała: otóż nie czuła się swobodnie w sklepach żelaznych, a w tym przynajmniej wcześniej bywała. Nie za często, ale czasami dentysta posyłał ją po płyn czyszczący, trójgniazdowy rozgałęziacz albo przedłużacz. Wiedziała, że w znajomym otoczeniu będzie się czuła mniej wytrącona z równowagi.

Tego letniego poranka nikt w sklepie nie zwracał na nią uwagi, nikt nie zapytał, czy może jej w czymś pomóc, ani nie zdradzał żadnych oznak, że widział ją tu wcześniej lub – jeśli już chodzi o ścisłość – że dostrzegł ją w tej chwili. Nie przejęła się tym. W sklepach, jak w większości miejsc i sytuacji, wołała być pozostawiona samej sobie. Tym bardziej teraz, gdy była całkowicie pochłonięta kryzysem przełącznikowym.

Zanim wyszła z domu, do końca zdemontowała osłonę, palcami odkręcając dolną śrubkę, która również była bliska wypadnięcia, i włożyła osłonę i śrubkę do foliowego woreczka, a woreczek do torebki, co okazało się mądrym posunięciem. W alejce wypełnionej z pewnością ponad setką pojemników zawierających ponad milion śrubek była teraz w stanie znaleźć tę, której potrzebowała.

Podniesiona na duchu przeszła do następnej alejki z licznymi pojemnikami na śrubokręty, ale tutaj już nie wiedziała, co począć. Nie była pewna, który wybrać, nie miała pojęcia, jakie cechy charakterystyczne śrubokręta są determinujące.

Postanowiła więc kierować się kolorem. Rozważyła taki z gumową niebieską rączką, ale odrzuciła go, wybrała inny, wiśniowy, lecz też go odłożyła. Przemierzała alejkę tam i z powrotem, aż w końcu złapała model z rączką z przezroczystego plastiku w kolorze wścieklej zieleni, w odcieniu, z którym chciała kiedyś poeksperymentować, pożyczwszy hinduską tunikę od Delph. „Wyglądasz w tym jak trup”, skwitował Joe Hopper, więc zwróciła ją nienoszoną.

„A zatem pierdol się, Joe Hopper”. Chwyciła wściekle zielony śrubokręt i pomaszzerowała do kasy. Wyobraziła sobie, że on obserwuje to wszystko, sfrustrowany niemożnością skrytykowania ani jednej rzeczy, jaką zrobiła, fantazjowała, że podchodzi do niej Walter Matthau, prosząc, aby wskazała mu jakąś dobrą lokalną restaurację. Gawędzą przez chwilę, rozśmieszając się nawzajem, szybko się zaprzyjaźniają, a potem idą do sąsiedniego baru na wódkę z tonikiem, kurczaka w parmezanie i spaghetti, a po kilku autoironicznych dowcipach na temat powiększającego się obwodu w pasie dzielą się kawałkiem ciasta. Co Walter Matthau miałby robić w sklepie żelaznym w Riverdale, postanowiła wymyślić innym razem.

Po opuszczeniu sklepu włożyła reklamówkę ze śrubokrętem do torebki, pomyślała o swoim przypominającym loch mieszkaniu i postanowiła się przejść. Po drugiej stronie ulicy znajdował się park Van Cortlandt, kuszący letnią bujną zielenią. Stała na rogu, czekając na zielone światło. Ale gdy tak czekała, myśl o przejściu przez ulicę nagle stała się przytłaczająca. To była taka rozległa ulica, ten odcinek Broadwayu, i myśl o przecięciu jej, o puszczeniu się biegiem od jednej cementowej wysepki do drugiej, podczas gdy samochody i taksówki będą śmigły obok, zniechęciła ją, przygnębiła i napełniła strachem, który, co natychmiast zarejestrowała, nie będzie dobrze służył mieszkance Nowego Jorku. Ale cóż mogła począć? Ten nowy strach ogarnął ją całkowicie, zmieniła więc zdanie: postanowiła przyznać się do porażki i po prostu pojechać do domu. Zamiast jednak to zrobić, obróciła się i weszła do budynku, w którym pracowała. Wspięła się na drugie piętro. Próbowwała zajrzeć przez matową szybę, osadzoną w drzwiach gabinetu i ozdobioną nazwiskiem dentysty wymalowanym po łuku przypominającym tęczę. Nic nie zobaczyła, tylko druciki zanurzone we wzmocnionym szkle. Pogrzebała w torebce w poszukiwaniu kluczy. Otworzyła drzwi. Po wejściu do środka wyłączyła alarm, a włączyła światła.

Część recepcyjna wyglądała tak, jak ją zostawiła. Czasopisma i broszury leżały nienaruszone, szary pokrowiec na jej maszynie do pisania Selectric nietknięty. Ale coś było nie tak i zrozumiała, co takiego, kiedy wetknęła palec w ziemię tyczkowatego filodendrona stojącego na parapecie. Ktoś tutaj był i podlał roślinę. Ktoś ją wyręczył.

Drzwi do prywatnego pokoju dentysty były zamknięte. Przeszła przez pomieszczenie i położyła dłoń na okrągłej gałce. Nie obróciła jej, po prostu

trzymała. Przyłożyła ucho do pustego w środku skrzydła. Chociaż nie słyszała niczego poza głośnym tykaniem zegara na biurku, poczuła niepokój. Przyłapała się na tym, że wyobraża sobie dentystę po drugiej stronie tych drzwi rozciągniętego na dywanie, na którym odbywali swoje schadzki, oraz stojącą nad nim żonę, tylko odrobinę zawstydzoną tym, co zrobiła, trzymającą w dłoni zakrwawioną tępą sondę. To było przeczucie, uświadomiła sobie, nie faktycznego morderstwa, lecz tego, że coś poszło straszliwie nie tak. A może to było życzenie...

Wstrzymała oddech, obracając gałkę, ale nie uczyniła następnego kroku i nie otworzyła drzwi. Irytowało ją to, że tak się waha. Jej reakcja była doprawdy niewytłumaczalna, głupia, jeśli miała być szczerą. Przecież wchodziła do tego pokoju i wychodziła z niego tyle razy. Fakt, drzwi prawie nigdy nie były zamknięte tak jak dzisiaj, mimo wszystko... Strach przed podniesieniem słuchawki dzwoniącego telefonu był już wystarczająco dokuczliwy, potem pojawił się lęk przed przechodzeniem przez ulicę, a teraz to. Czy jej strach się generalizował? Czy teraz straci również zdolność do otwierania drzwi?

„Ale nie – pomyślała. – Jej wahanie nie było objawem neurozy, a w każdym razie nie tylko neurozy”. Coś ją powstrzymywało, bo nie powinna tu być tego dnia. Czowała się jak intruz, jak wandal. Musiała udzielić sobie surowej reprimendy. Wchodzenie do tego pomieszczenia było dozwolone. Należało do jej obowiązków. Robiła to ciągle. Dentysta wychodził na lunch, a Lady wchodziła, aby uporządkować papiery, znaleźć jakąś fakturę albo posiedzieć w jego wygodnym fotelu, rozwiązując krzyżówkę. Nie musiała pytać o pozwolenie. „*Mi biuro es su biuro*” – powiedział. I czemu nie? Miał szczęście, że zatrudniał kogoś takiego jak ona, osobę przedsiębiorczą, sumienną i oddaną.

Lady postanowiła uporządkować papiery właśnie teraz, aby dać przykład swojej pracowitości. Uprzątnie trochę tego bałaganu, który został na jego biurku, kiedy zamykali pod koniec czerwca. Dobrze będzie się z tym uporać, dobrze będzie nadrobić zaległości, zanim gabinet otworzy się ponownie we wtorek. Nie potrafiła jednak pozbyć się lęku, nawet gdy otwierała drzwi. Teraz wyobraziła sobie, że na dywanie nie znajdzie ciała – martwej natury z przebitym gardłem – lecz dwa ciała i to bardzo żywe; nagie i lśniące od potu. Podniecony mąż i niegrzeczna żonka. Gdyby to był serial albo film, czyż nie to właśnie by się wydarzyło? Muzyka narasta, recepcjonistka wydaje stłumiony okrzyk, a potem zbiega schodami na ulicę, przyciskając dłoń do serca. Łzy wzbierają w jej oczach, gdy krzyczy jego imię... Albo nie. Przecież recepcjonistka byłaby czarnym charakterem, prawda? Suką odpowiedzialną za rozbijanie rodziny. Brunetką. Kamera nie wpadłaby na to, aby za nią podążyć. Zainteresowałaby się żoną dentysty. To ona byłaby główną bohaterką. Właściwie to tak brzmiałby tytuł filmu. *Żona dentysty*.

Drzwi były teraz lekko uchylone, ale Lady wciąż jeszcze nie zajrzała do środka. Za to znowu zaczęła nasłuchiwać, wysilała słuch. Docierało jednak do niej

tylko tykanie upływających sekund. Poczekała jeszcze jedną, aby poinformować samą siebie, że jest idiotką. Potem popchnęła drzwi, otwierając je na oścież, i włączyła światło.

Żadnej narastającej muzyki, ale nie mogła się powstrzymać. I tak wydała okrzyk zdumienia. Nie tylko dlatego że figowiec benjamina stojący w pokoju również został podlany. Ale dlatego że ściany pomieszczenia, przez ostatnie pięć lat noszące ten sam odcień poszarzałej bieli co gipsowy odlew szczęki w szafce z protezami, zostały pomalowane na kobiecy fioletowy róż. Dlatego że za biurkiem powieszono reprodukcję obrazu Georgii O’Keeffe w bogato zdobionej ramce. Kwiat na plakacie miał oczywiście ewokować rozwartą waginę, różową i z wyeksponowaną łechtaczką – to łączyło O’Keeffe z Joem Hopperem – ale Lady podejrzewała, że dentysta interpretował go jako różowe dziąsła i zapraszający języczek szeroko otwartych ust z jego marzeń.

Biurko też zostało uprzątnięte. Zniknęły stopy formularzy ubezpieczeniowych, stopy niewłączonych jeszcze do akt informacji o pacjentach, nawet kupka różowych blankietów z wiadomościami, jakie zapisywała, kiedy go nie było, tych małych notatek od niej do niego. „Panu Bonfiglio wypadła tymczasowa plomba” i dwa wykrzykniki ze znakiem wstawienia pod spodem:

!!
^

Nazwała to smutnym króliczkiem. (Serio. To ona wymyśliła całą tę zabawę emotikonami). W repertuarze miała też wesołego króliczka i zdeorientowanego króliczka, a potem dołączył do nich ten, którego on wymyślił. Ten, którego narysował na odwrocie jednego z różowych świstków i kładł na jej krześle w te popołudnia, kiedy miał nadzieję, że zostanie do późna. Króliczek „Playboya”, dwa wykrzykniki plus wężykowaty zachęcający uśmiech.

Gapiła się na nieskazitelnie czyste biurko, odbierając nieobecność bałaganu jako naganę. Poza hałaśliwym mosiężnym zegarem każdy przedmiot na blacie był nowy: skórzana podkładka, zestaw niewyszukanych, ale lśniących piór marki Cross, luksusowa wersja kołyski Newtona z podstawką z jasnego drewna i stalowymi kulkami. A to jeszcze nie koniec. Na ścianie nad komodą zawisły oprawione w ramki dyplomy dokumentujące konwencjonalną edukację dentysty, stopień licencjata zdobyty na Uniwersytecie Nowojorskim i ukończenie stomatologii na Uniwersytecie Nowojorskim. Na pobliskiej półce stały zdjęcia – niegdyś oparte o książki, z zawijającymi się brzegami, a teraz oprawione i uszeregowane w kolejności od najmniejszego do największego, jak tancerki zespołu The Rockettes. Najmniejsze z nich przedstawiało dentystę z jego golden retrieverem imieniem Beef, uroczym starzejącym się psem, którego Lady o różnych porach zabierała do weterynarza albo zwierzęcego fryzjera. Następne prezentowało nieco większy portret samego Beefa, profesjonalny, na którym Beef

miał otwarty pysk i wywieszony różowy język, dzięki czemu wyglądał, jakby się uśmiechał, chociaż pewnie w rzeczywistości tylko dyszał od gorąca emitowanego przez lampy fotografa. Kolejna, jeszcze większa fotka: dentysta i jego żona pod chupą. Beef był obecny również na tym zdjęciu, siedział obok jednego z mężczyzn dźwigających słupki baldachimu, odziany podobnie jak oni w kamizelkę w tureckie wzory i muchę. Potem dwa nowe zdjęcia, oba pozbawione Beefa. Fotka dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów: tylko dentysta i jego żona mrużący oczy w słońcu podczas miesiąca miodowego. Fotka dwadzieścia trzy na trzydzieści centymetrów: dentysta i żona na pokładzie jego żaglówki, o której istnieniu Lady nawet nie wiedziała. Ale zobaczyła, że nazwał ją „Wróżka Zębuszka”.

A na samej komodzie mały kawałek białego kartonu złożonego w namiocik, wyglądający jak wizytówki na stole podczas uroczystego obiadu. Było na nim napisane „Niespodzianka!!!”. Lady rozłożyła karteczkę. „Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy!!!” –przeczytała. „Z wyrazami miłości!!! Patty”. A obok wykrzykników – nie celowo zabawnych jak jej uszy króliczka i szeroko otwarte królicze oczy, lecz zastosowanych konwencjonalnie i raczej historycznych – były narysowane serduszka i całusy. Lady odłożyła karteczkę na komodę, zdjęła z półki profesjonalne zdjęcie Beefa, to z językiem, i trzymając ramkę w obu dłoniach, spojrzała w brązowe oczy psa, po czym wrzuciła fotografię razem z ramką do swojej torebki.

Wychodząc, upewniła się, że zamknęła drzwi od pokoju dentysty, wstukała kod alarmowy, zamknęła zamki przy drzwiach wejściowych – że zrobiła wszystko dokładnie i poprawnie, aby żaden ślad nie zdradził, że tu była. Kiedy już znalazła się na zewnątrz, przemknęła obok baru, baletowym skokiem pokonała kałużę Styks, wbiegła po metalowych schodach na górę i złapała lokalny pociąg, który tańczył na peronie, czekając, aby zabrać ją do domu.

Wściekle zielony śrubokręt nawet w przybliżeniu nie pasował do nacięć na łebku śrubki. Lady popatrzyła na jego koniuszek i uświadomiła sobie, że rzecz, którą nabyła, w ogóle nie jest śrubokrętem. Och, jasne, wygląda jak śrubokręt, ale jest czymś innym, przyrodnim bratem śrubokręta, śrubokrętem bękartem z końcówką w kształcie krucyfiks. Była tak rozczarowana sobą, tak nieudolna, tak bezużyteczna, że nie mogła się powstrzymać. Ona, która nigdy nie płakała, zaczęła szlochać. Musiała wygłosić kolejne małe kazanie pod swoim adresem, powiedzieć sobie, że to nic wielkiego, że po prostu wróci do sklepu i wymieni śrubokrętopodobne narzędzie na prawdziwy śrubokręt, że to nie jest takie trudne... Ewentualnie mogłaby też wsadzić oszusta do szuflady, a potem wyjść i kupić właściwy kilka przecznic od swojego mieszkania. Nie żeby łączny koszt prawie śrubokręta i autentycznego śrubokręta miał ją zrujnować. Ale gdyby tak zrobiła,

musiałaby żyć z podobnym do śrubokręta narzędziem, na którego widok robiłoby się jej głupio. Równie dobrze mogłaby zaprosić Joego Hoppera z powrotem do swojego życia.

Otarła oczy ściereczką do naczyń i wzięła się w garść. Prawdę mówiąc i tak musiała wrócić do Riverdale. Nie tylko po to, żeby oddać ten cholerny śrubokręt. Musiała też odłożyć na miejsce zdjęcie Beefa. Jakże głupio postąpiła, ulegając impulsowi, żeby je podwędzić. Jak zaskakujący był ten impuls sam w sobie. Czy naprawdę myślała, że dentysta nie zauważy braku fotografii przy przeprowadzaniu inspekcji swojego nowego ulepszanego biura? Oczywiście że zauważy. Profesjonalny portret, zaplanowany, opłacony. Zapytałby żonę, czy pozbyła się zdjęcia na rzecz nowych zbiorów, a ona by zaprzeczyła. Wtedy nastąpiłaby jedna z dwóch rzeczy. Zarzuciłby żonie kłamstwo, powiedziałby jej, że zawsze wiedział, że nie kocha Beefa, i że ta ukradkowa eliminacja portretu psa to pierwszy krok do usunięcia zwierzaka z jego życia. Dodałby, że fioletochoróży to nie jest kolor dla mężczyzny. Wywiązałaby się kłótnia, potem nastąpiłby rozwód, a on przyznałby Lady, że był głupcem. Albo domyśliłby się od razu, że to Lady zabrała zdjęcie w ramach jakiejś manifestacji przywiązania do niego, nigdy przez nią niewyrażonego, ale najwyraźniej wymykającego się spod kontroli pożądania wobec jego osoby, jej uporczywego – nawet jeśli błędnego – przekonania, że łączy ich jakiś związek. A może pomyślałby, że to jakaś groźba – „Przyznaj, że coś nas łączy albo nigdy więcej nie zobaczysz swojego psa” – podczas gdy w rzeczywistości kierowała nią jedynie nieodparta ochota, aby wyrazić sprzeciw wobec napuszonego i przewidywalnego gustu jego żony w kwestii wystroju wnętrza, aby zbeczczyć sztywny porządek fotografii. On jednak nigdy by tego nie zrozumiał, nigdy nie dostrzegłby zapału, artyzmu, przebiegłości i dowcipu w tym, co zrobiła. I dlatego kiedy po południu znowu pojawiła się w sklepie żelaznym, aby zwrócić zakupiony wcześniej wściekle zielony kawałek bezużytecznego gówna, zdjęcie wciąż leżało w jej torebce, również czekając na zwrot.

Powinna się orientować, że sklep zostanie zamknięty wcześniej w sobotę długiego weekendu z okazji czwartego lipca, ale nie orientowała się i właśnie dlatego o drugiej po południu stanęła jak wryta na ulicy, patrząc na wpół opuszczoną metalową roletę sklepową pomazaną graffiti: symbolami gangów, swastykami oraz inicjałami zakochanych ujętymi w serca. Jeden z braci, właścicieli tego miejsca, właśnie wyszedł na zewnątrz, pochylając się, aby nie uderzyć głową o krawędź rolety. Miał na sobie ciemnoniebieskie robocze spodnie i cuchnącą koszulę z krótkimi rękawami. Na głowę nasadził filcowy Hamburg, w co aż trudno było uwierzyć w to parne popołudnie. Kapelusz zdawał się posiadać ignorujące grawitację właściwości, pozostając na czubku głowy właściciela nawet wtedy, gdy

ten opuszczał sklep zgięty wpół, jakby tańczył karaibskie limbo do góry nogami. Oczywiście mężczyzna pocił się obficie – każdy duży por na jego fioletowym mięsistym nosie był okolony szarymi kropelkami. Wyprostował się, spojrzął przelotnie na Lady, po czym odwrócił się do niej plecami.

Właśnie tym była dla niej odwaga: nie wycofała się natychmiast. Zamiast tego wyciągnęła śrubokręt z torebki i wyjaśniła, na czym polega jej problem. Opowiedziała mu całą smutną historię.

– Zapomnij, paniusiu – powiedział, kiedy skończyła, wciąż stojąc tyłem do niej. – Nie przyjmę tego z powrotem.

Rozejrzała się na boki, jakby szukając wsparcia u jakiegoś neutralnego obserwatora, który mógłby wkroczyć do akcji, aby jej pomóc, ale to była sobota długiego lipcowego weekendu. To był Nowy Jork. Ulica była pusta.

Spróbowała wyjaśnić raz jeszcze: właściwa śrubka, zła końcówka... Odwrócił się gwałtownie. Wydawał się tak rozwścieczony, że przez chwilę sądziła, że ją uderzy. Pomyślała, że jego gniew może mieć coś wspólnego z ciężkim akcentem. Może wcale nie znał dobrze angielskiego, może źle ją zrozumiał, uważał, że powiedziała coś niegrzecznego albo lekceważącego. Ale okazało się, że to ona go nie rozumiała.

– To śrubokręt krzyżakowy, *milady* – powiedział zniesmaczony.

W ciągu dwudziestu sześciu lat spędzonych na tej ziemi Lady nabrała niezwyklej biegłości w odróżnianiu nazwy własnej „Lady” od rzeczownika pospolitego, ale fakt, że ten mężczyzna wymawiał jej imię, nawet bezwiednie, był niepokojący.

– Ale on nie zadziałał – poskarżyła się – a kupiłam go zaledwie dziś rano. – Słyszała swój głos, wysoki i drżący ze zdenerwowania. – I mam paragon. Proszę spojrzeć. Tutaj jest napisane, że przyjmujecie zwroty do siedmiu dni.

– Nie przyjmujemy zwrotów od ludzi, którzy nie potrafią odróżnić swojej dupy od łokcia – warknął, po czym wrócił do mocowania się z roletą.

Wypadła z prowadnic, na tym polegał problem. Potrząsał nią, szarpał, popychał. Lady zauważyła, że jej obecność go rozprasza, utrudnia mu zadanie. Zrobiła krok do tyłu. Wymamrotał coś, ale nie próbowała zrozumieć słów. Wciąż analizowała w myślach to, co powiedział wcześniej, werbalne uzupełnienie obowiązujących w sklepie zasad przyjmowania zwrotów. Zastanawiała się, czy to możliwe, że się przesłyszała. Ostatecznie mówił z tak silnym akcentem, że musiała się wpatrywać w jego usta, aby rozróżnić słowa. Patrzyła, mimo że jego wargi napawały ją obrzydzeniem, otoczone tą bródką, tymi krótkimi szorstkimi włoskami. Perwersyjny umysł nagle zmusił ją do wyobrażenia sobie, jak go całuje, jak czuje jego język i zarost w swoich ustach.

Przypomniało jej się wtedy coś, o czym próbowała nigdy nie myśleć. Coś, co wydarzyło się jakiś rok wcześniej, pewnego ciepłego wiosennego wieczoru kilka

dni po tym, jak Vee i Eddie świętowali pierwszą rocznicę ślubu. To coś było tylko i wyłącznie winą Joego Hoppera. Tamtego wieczoru marudził i dąsał się tak długo, aż wreszcie poddała się i zgodziła uprawiać seks z grupką ich przyjaciół: trzema facetami, włącznie z Joem, i jeszcze jedną kobietą. Jeden z facetów dopiero co nabył nowe łóżko wodne. Właśnie skończył je napełniać, powiedział Joemu przez telefon, i nie wyobrażał sobie lepszego sposobu, żeby je ochrzcić, jak poprzez orgietkę. Nie żeby którekolwiek z nich wcześniej uczestniczyło w orgietce albo znało kogoś, kto uczestniczył. I nie żeby Lady była w jakikolwiek sposób zainteresowana orgietkami. Nie mogła nawet znieść słowa „orgietka”, rymującego się głupio ze „skarpetka” czy „galaretka”. Ale zarówno „Time”, jak i „Newsweek”, „Life” oraz „Look” donosiły, że młodzi ludzie, tacy jak Lady, Joe i ich przyjaciele, nieustannie uprawiali seks grupowy. Poza tym film *Bob i Carol i Ted i Alice*, jak również utwory Johna Updike’a sprawiały, że Joe i niektórzy inni mężczyźni zaczęli czuć, że coś ich omija.

Kiedy szli piechotą do mieszkania właściciela łóżka wodnego, Lady milczała. Zdała sobie sprawę, że problem jest znacznie większy niż jej brak zainteresowania orgietkami. Była im autentycznie przeciwna. A nawet gdyby interesowały ją w teorii, niepokoiły ją konkrety. Ogólnie nie podobał jej się planowany stosunek liczby mężczyzn do liczby kobiet, trzy do dwóch, a zwłaszcza fakt, że w całą sprawę mieli być zaangażowani – poza nią i Joem – jeszcze dwaj inni mężczyźni i dodatkowa kobieta. Ale przecież zawsze próbowała udowodniać, że łamie stereotyp typowej burżujskiej recepcjonistki stomatologicznej, że w przeciwieństwie do wszystkich tych kobiet, z którymi ostatecznie pożenili się bitnicy z Upper West Side – Lady czasami widywała je z wózkami w supermarkecie Gristedes – ona nie mogłaby swoim tradycjonalizmem zniszczyć całego ruchu literackiego czy nawet jednego wieczornego wyjścia. „Więc okej, w porządku”, postanowiła, kiedy tak wlokła się u boku męża. „Weźmie w tym udział. Kiedy orgietka jest nieunikniona – powiedziała sobie – człowiek powinien po prostu się położyć i nią cieszyć... i nią cieszyć... i nią cieszyć”. Mimo wszystko wciąż przychodziło jej do głowy sformułowanie *ad nauseam*.

Ostatecznie jednak wyszło na to, że zamartwiała się niepotrzebnie. Po butelce Jacka Daniel’sa i kilku skrętach jedynym z trzech chłopaków, który był w stanie utrzymać erekcję, okazał się przypominający satyra Joe Hopper i w rezultacie Lady skończyła na uprawianiu seksu wyłącznie z własnym mężem. Później, podczas gdy Joe pieprzył tę drugą kobietę, właściciel łóżka wodnego poprosił Lady, żeby pomogła mu ustami, a kiedy zgłosiła sprzeciw, zapytał: „Cóż, a może ręką?”. Aby nie wyjść na totalną malkontentkę, Lady powiedziała: „Okej, w porządku”. „Najwyraźniej mnie nie pociągasz” – uznał w zamyśleniu po jakimś czasie, gdy ona robiła swoje bez żadnych widocznych rezultatów. „Wprawdzie zawsze myślałem, że mnie pociągasz, ale – tutaj spojrział w dół na ostatecznego

arbitra – nie można się kłócić z Twardzielem”. „Czy też z nieobecnością Twardziela” – podsunął trzeci koleś, który poddał się niemal od razu i przeniósł razem z własnym smutnym Mięczakiem do zapleśniałego głębokiego fotela, gdzie, wciąż nagi, zagłębił się w lekturze pożółkłego wydania „Columbia Spectator” z 1968 roku. Zamieszki, zmuszenie Graysona Kirka⁹ do rezygnacji – stare dobre czasy. „Może spróbujesz udawać, że nie masz na to ochoty” – zasugerował właściciel łóżka wodnego, a Lady powiedziała: „Szczерze mówiąc, Barry, to nie mam”. Uznała to za całkiem błyskotliwą ripostę i mówiła serio, chociaż Barry i jego Twardziel mogliby zinterpretować jej słowa jako symulację braku zainteresowania, o którą prosili. Jak się jednak okazało, obaj przejeździ jej intencje i poczuli się urażeni. Twardziel przybrał kolor nieba przed burzą i zamknął się w sobie. Już wcześniej był mały i wycofany, a teraz wyglądał jak wywrócony na lewą stronę.

Lady wstała z łóżka i włożyła majteczki. Zajął się wybieraniem i włączaniem płyt gramofonowych – zawsze dobra gospodyni, nawet jeśli to nie było jej przyjęcie – podczas gdy Joe Hopper i ta druga kobieta zabierali się do rzeczy po raz kolejny, jęcząc i stękając znacznie bardziej, niż to było konieczne, a nieogrzone i nie do końca napełnione łóżko wodne bulgotało i chlupotało.

W drodze powrotnej do domu Joe Hopper zrzucił na nią winę za niepowodzenia kolegów. „Nigdy nie zachowujesz się tak, jakbyś miała na to ochotę – pożałił się. – Emanujesz niechęcią. Jesteś tak ewidentnie niezainteresowana, że doprowadziłaś pokój pełen mężczyzn u szczytu możliwości seksualnych do impotencji”. Kopnął kubek na śmieci. Uznała to za wstrząsające: poślubiła mężczyznę, który kopał kubły na śmieci. „Cóż, po pierwsze pokój nie był pełen mężczyzn. Byli tam tylko Barry i Norman. A po drugie Barry poprosił mnie, abym emanowała niechęcią”. Te słowa nie udobruchały Joego Hoppera ani nie odwróciły jego uwagi. „Czasami – powiedział – mam wrażenie, że podstępem skłoniłaś mnie do małżeństwa, udając, że lubisz seks”. „Nie – poprawiła go. – Podstępem skłoniłam cię do małżeństwa, udając, że lubię ciebie”. „Chcę rozwodu” – oświadczył.

To wspomnienie, jak to ze wspomnieniami bywa, przyszło i odeszło w mgnieniu oka. Właściciel sklepu żelaznego wciąż siłował się z bramą, a Lady stała, ściskając śrubokręt krzyżakowy w dłoni. I nagle uderzyło ją, że chociaż mężczyzna był wobec niej chamski, ona zachowała się równie obraźliwie wobec niego. W jego oczach była ignorantką, idiotką, która zaszła w życiu tak daleko, nie mając bladego pojęcia na temat śrubek i śrubokrętów, profesjonalizmu i dyletantyzmu, dupy i łokci. Zrobiła krok do przodu, starając się znaleźć w polu jego widzenia. Widziała teraz jego profil. Nie obrócił głowy nawet o dziewięćdziesiąt stopni, aby na nią spojrzeć. Dalej szarpał roletę gniewnie i bezskutecznie. W końcu sięgnął do góry, próbując wepchnąć ją z powrotem

i zacząć od początku. Kiedy to zrobił, rękawki jego koszuli podwinęły się i – tak naprawdę to nie było zaskoczenie, wzięwszy pod uwagę jego wiek i akcent – zobaczyła cyfry.

Nie mogłaby nigdy zaprzeczyć, że je widziała. Nie mogłaby nigdy stwierdzić, że nie miała pojęcia, co oznaczają. Nasz ojciec Natan Frankl przybył do Stanów Zjednoczonych z obozu dla przesiedleńców po drugiej wojnie światowej. Chociaż Lady pamiętała go jak przez mgłę, niektóre wspomnienia pozostały żywe.

Ale jej ramię już było w ruchu. A może nie jej to nie obchodziło. Może obecność tych cyfr nie robiła na niej żadnego cholernego wrażenia. Razem z dobrymi i niewinnymi ludźmi do tych obozów z pewnością trafiło mnóstwo dupków: mężczyzn, którzy pewnego dnia porzucą swoje córki, zaczną obrażać mających dobre chęci klientów albo niefrasobliwie będą czynić drugiemu, co im byłoby niemiłe. Miała pewną teorię. Wierzyła, że około dziewięćdziesięciu pięciu procent populacji zamieszkującej tę smutną planetę zalicza się do kategorii dupków niezależnie od rasy, religii czy poglądów. A zatem kiedy spotykasz dowolnego przedstawiciela jakiegokolwiek segmentu populacji, masz dziewięćdziesiąt pięć procent szans na to, że to będzie dupek. Oznacza to, że jeśli nie znasz wystarczająco wielu przedstawicieli pozostałych pięciu procent, ekstrapolujesz swoje negatywne wrażenia na wszystkich. To właśnie dlatego Lady wierzyła w integrację, mieszane małżeństwa, zniesienie segregacji rasowej w autobusach... We wszystko, co mogłoby zwiększyć szanse ludzi na spotkanie i łączenie się w grupy z przedstawicielami niedupkowatych pięciu procent ludzkości. W tym jednak momencie nie analizowała swojej teorii. Była zbyt zajęta odczuwaniem, że została zaatakowana i zlekceważona, zelżona i zignorowana. Odczuwała i odczuwała, i odczuwała i dlatego jej pozostawione bez nadzoru ramię zrobiło to, co zrobić chciało, a mianowicie rzuciło wściekle zielonym śrubokrętem w głowę właściciela sklepu żelaznego.

Lady nigdy nie miała za dużo krzepy w górnej połowie ciała, nigdy nie uprawiała żadnych sportów – w szóstej klasie, kiedy została zmuszona do uczestnictwa w Prezydenckim Teście Sprawności Fizycznej, znalazła się w najniższym percentylu, jeśli chodzi o rzucanie – nie spodziewała się zatem, że śrubokręt doleci daleko. Wyobrażała sobie, że spadnie i uderzy o chodnik, zanim dotrze do głowy, w którą celowała jej ręka. Tymczasem śrubokręt wykonał eleganckie salto i jakby wspomagany przez niedostrzegalny powiew wiatru poraził mężczyznę w bok jego pokrytego kraterami nosa swoją krzyżakową końcówką. Właściciel sklepu wrzasnął – bardziej z zaskoczenia niż z bólu, Lady była tego pewna – i zakrył nos obiema dłońmi. Wreszcie na nią popatrzył. Wreszcie ją zauważył. Ale teraz ona ignorowała jego. Przykucnęła i prześlizgnęła się pod na wpół zsuniętą roletą. Wiedziała dokładnie, gdzie ma pójść i co zrobić. Nie biegła, po prostu pomaszerowała z determinacją do właściwej alejki

i do właściwego pojemnika i wzięła tę jedną rzecz, która jej się należała. Potem skierowała się z powrotem do wyjścia, do słonecznego blasku rozlewającego się pod roletą i odtańczyła limbo do góry nogami, wydostając się na zewnątrz, gdzie zdumiony właściciel wciąż stał z krzyżakiem u stóp i z dłońmi na nosie, a krew sączyła się pomiędzy jego palcami.

Lady uniosła śrubokręt, który wzięła z półki, ten z gumowym niebieskim uchwytem, i pokazała mu. Kosztował dwa dolary mniej niż wściekle zielony; koleś zarobił na tej wymianie. Ale to go nie obchodziło. „Oj, mein sznojc”, biadolił. Opuścił ręce i pokazał jej ranę. To nie było nic wielkiego. Dużo krwi, prawda, ale tylko z jednego rozcięcia na boku lewego nozdrza. Nic głębokiego, nic niebezpiecznego, chociaż nos rzeczywiście wydawał się delikatny przez cały ten nadmiar fioletowego mięsa. Sprawiał wrażenie, jakby mógł zboleć przy najlżejszym dotknięciu. Oczywiście wzdrygnęła się na ten widok. Jedyne, co mogła zrobić, aby uniknąć dalszego patrzenia, to po prostu odejść. Mężczyzna wrzeszczał, grożąc jej, że wezwie policjanta. Było w tym coś śmiesznego – nie powiedział „gliniarza”, nie „policję”, lecz „policjanta”, jak małe dziecko głęboko wierzące w funkcjonariuszy państwowych.

– No dalej – zachęciła go. – Zobaczymy, czyją stronę weźmie. – Po czym zdenerwowana odwróciła się i rzuciła do biegu.

Naprawdę to zrobiła – pobiegła jak szalona przekonana o swojej racji, napełniona poczuciem wyższości niczym podły, rozpuszczony bachor. Ona, która nigdy taka nie była, nigdy.

Przeskoczyła Styks, wbiegła po schodach i wpadła do pociągu. Nawet teraz ma ochotę powiedzieć, że dopiero wtedy zaczęła do niej docierać potworność tego, co uczyniła, ale to byłoby kłamstwo. Wiedziała, co robi, kiedy to robiła. „Przestań” – myślała, unosząc rękę. „Odejdź” – myślała, gdy rzucała zielonym narzędziem. „Co ty, do kurwy nędzy, wyprawiasz?” – zagadnęła samą siebie, wślizgując się do sklepu. Ale nie przestała. Nie odeszła. W konfrontacji rozsądku z emocjami zwyciężyły emocje. Cóż za porażka. Nikt by się tego nie spodziewał. Kiedy jednak wywołana wściekłością euforia zelżała, Lady zdała sobie sprawę z koszmarnego bólu przenikającego całe jej ciało, ostrego i ogólnoustrojowego, jakby połknęła miliony śrubek, które teraz ocierały się o jej organy i przetaczały przez układ krwionośny. Znała powód tego bólu. Całe to zajście było testem, a ona go oblała i cierpiała z powodu porażki. Bo niezależnie od tego, co zrobił ten mężczyzna, niezależnie od tego, jak źle się zachował, niezależnie od tego, jakim był dupkiem, powinna okazać mu dobroć. Widziała cyfry. Znała jego losy. Nasza rodzina wpłynęła na te losy, na to piekło za życia. A ona co zrobiła? Rzuciła śrubokrętem.

Po dziś dzień, kiedy tylko Lady myśli o właścicielu sklepu żelaznego – a myśli o nim częściej, niżbyście sądzili – odczuwa ten sam wstyd, to samo bolesne drapanie gwintowanego metalu w ciele. Musi przerwać to, co akurat robi, zamyka

oczy, skupia się na oddechu... Robi wdech, robi wydech... Próbuje wyobrazić sobie tego mężczyznę, gdziekolwiek jest – chociaż podejrzewa, że już nie żyje, skoro sklepu dawno już nie ma, a on był w zaawansowanym wieku nawet w 1976 – a kiedy już przywoła jego obraz, robi co w jej mocy, aby skąpać go w miłości czy też w uczuciu jak najbliższym miłości, jakie może z siebie wykrzesać taka grzesznica jak Lady. Ale tamtego dnia, gdy pociąg wiozący ją do domu wjechał do tunelu podziemnego, nie czuła miłości dla nikogo. Czuła tylko ból. Umierała ze wstydu, a nie używała tego określenia pochopnie. Naprawdę miała ochotę umrzeć tam i wtedy.

4 Chodzi o nagłówek *Ford to City: Drop Dead!*, który ukazał się na pierwszej stronie „The Daily News” dzień po tym, jak prezydent Gerald R. Ford oficjalnie odmówił miastu pomocy federalnej, która miałaby ocalić Nowy Jork przed bankructwem. Z publikacją wiąże się wiele kontrowersji, jako że prezydent podobno nie użył dokładnie takiego sformułowania, ale skandal wywołany artykułem zahamował jego karierę polityczną i uniemożliwił reelekcję.

5 Nawiązanie do jednego z wersów wiersza Emmeline Charlotte E. Stuart Wortley pod tytułem *On the portrait of lady Ashley*.

6 Club Méditerranée, powszechnie znany jako Club Med, to korporacja posiadająca ośrodki wypoczynkowe w wielu częściach świata.

7 Przydomek Xaviery Hollander, byłej call girl, właścicielki słynnego domu publicznego, a potem autorki wielu książek i artykułów.

8 Angielskie słowo *terminal* znaczy między innymi „nieuleczalny”.

9 Grayson L. Kirk – w latach 1953–1968 rektor Uniwersytetu Columbia.

ROZDZIAŁ 3

1868

Wojna secesyjna skończyła się trzy lata temu, Abraham Lincoln jest martwy od trzech lat, Jesse i Frank Jamesowie właśnie dołączyli do gangu Cole'a Youngera, a w mieście Breslau w Królestwie Prus para kuzynów w pierwszej linii zakochuje się w sobie i ucieka, by potajemnie się pobrać. Kiedy wracają do domu i oświadczają, co zrobili, ojciec pana młodego, a wuj panny młodej stwierdza, że związek jest sprzeczny z naturą. Ojciec panny młodej, a wuj pana młodego nalewa sobie kielicha. Matki-ciotki padają sobie w objęcia i szlochają. „Myślicie, że niby jakie dziecko zrodzi się z takiego małżeństwa?” – domagają się odpowiedzi ojcowie i matki, wujowie i ciotki. Uważamy za smutne to, że pannie młodej nie było dane powiedzieć: „Och, nie wiem, może takie, które zdobędzie Nagrodę Nobla”. A nie było jej dane tego powiedzieć, bo umarła dziewięć miesięcy później, wydając na świat przyszłego laureata. Od samego początku jego głowa była nadzwyczaj duża.

1871

Wojna francusko-pruska dobiegła końca. Zjednoczenie Cesarstwa Niemieckiego się dokonało. Zrodziła się Druga Rzesza, chociaż oczywiście prawdziwa władza pozostaje w Prusach. Były pruski król Wilhelm I Hohenzollern zostaje cesarzem. Były pruski premier Otto von Bismarck zostaje kanclerzem.

Kiedy sprawy cesarstwa sprowadzają Bismarcka do Breslau, wdowiec Heinrich Lorenz Alter opuszcza swoją fabrykę barwników, aby stanąć w tłumie czekającym na mistrza krwi i żelaza, wyłaniającego się z powozu z piersią dumnie wypiętą, wyprostowanego, głowę trzymającego tak wysoko, jakby został sportretowany przez artystę rozmiłowanego w zasadzie złotego środka. Kiedy Bismarck przechodzi, tłum faluje niczym nieskrępowana pierś niewiasty w romansidle. Bycie częścią tego namiętnego falowania, tego żarliwego wzbierania to jedna z największych atrakcji towarzyszących oglądaniu Bismarcka – ten element niebezpieczeństwa, możliwość, że człowiek zostanie porwany przez lubieżny motłoch, powalony na ziemię i dosłownie zginie z miłości do króla i ojczyzny.

Heinrich po raz pierwszy zabiera z sobą osieroconego przez matkę syna. Sadza sobie chłopca na barana, a ten siedzi tam wprawnie i obojętnie. To trzeźwy dwulatek, którego pozostawiono opiece budzących respekt nianiek, porywczych i trzymających pod ręką wiosła do bicia oraz różgi. Jest dobrze wyszkolony

w sztuce siedzenia nieruchomo. Nawet kiedy Bismarck przybywa i cały plac ogarnia ryk, a ludzie zaczynają ich poszturchiwać, chłopiec ani piśnie. Heinrich musi wykręcić szyję i spojrzeć w górę na swojego syna, aby upewnić się, że nie jest wystraszony. Kiedy to robi, widzi łzy, ale są to łzy radości, Heinrich jest tego pewien. „Dwulatek – pisze do swojego najmłodszego brata Rudiego, jedyne go członka rodziny, z którym wciąż utrzymuje kontakt – i taka głębia uczuć do ojczyzny”. „Dobrze go wychowujesz – odpisuje Rudi posłusznie – i to w tak trudnych okolicznościach”. Heinrich upaja się pochwałą Rudiego. „To prawda – myśli. Dobrze wychował chłopca”. Na komodzie w sypialni dziecka stoi oprawione w owalną ramkę małe zdjęcie jego zmarłej matki Line Alter Alter. Zadaniem małego jest całowanie zdjęcia każdego wieczoru, zanim wczołga się pod koce. Ale pokój dziecinny jest zdominowany przez portret Bismarcka, który wisi na ścianie naprzeciwko łóżka. To ten sam portret, który obecnie ozdabia ścianę nad muszlą klozetową w naszym mieszkaniu przy Riverside Drive. Pokolenia wieszają go w foyer jako chlubę pośród innych starych fotografii i obrazów. My jak najszybciej przeniosłyśmy go do ubikacji.

Tragedia nieodwzajemnionej miłości do blond bestii – tak Einstein któregoś dnia nazwie tę miłość, którą Żydzi pokroju Heinricha Altera (a potem i Lenza Altera) żywili wobec Niemiec, chociaż Heinrich Alter nazywa to patriotyzmem. *Heimat*. Bycie Żydem to jego kultura, ale bycie Niemcem to jego wiara. Jest zdeterminowany, by jego syn również przyjął tę wiarę. Nawet imię chłopca ma odegrać w tym rolę. Heinrich Lorenz Alter wybrał to imię sam, bez wpływów kobiecej wrażliwości, chociaż wierzy, że Line by je zaaprobowwała. Chłopca wołają „Lenz”, ale jego pełne imię brzmi: Lorenz Otto Alter. Lorenz, by przypominało mu o Heinrichu. Otto, by przypominało mu o Bismarcku. Nazwisko Alter implikuje wiek i mądrość, a któż, argumentuje Heinrich, jest starszy i mądrzejszy niż sam Bóg?

Żadnej matki, ale trzech ojców. Właśnie to Heinrich powtarza dziecku długo, zanim słowa zaczną mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Pochylając się nad kołyską, obejmuje dłonią ciemną malutkiej główki i zamiast kołysanek nuci półgłosem manifesty. Trzech ojców – powtarza Heinrich. – Ja, Bismarck i Bóg. Zadanie Lenza ma polegać na tym, by nie zawieść żadnego z nich.

Po drugiej stronie miasta Zindel Emanuel również naucza swoje dzieci o Bismarcku. Kiedy pod domem przechodzi wojskowa parada, zabiera swoje dwie najstarsze córki, pięciolatkę i trzylatkę, na balkon na drugim piętrze.

– Pamiętacie wszystkie te przemowy o krwi i żelazie? – pyta Rose i Lily stojące na palcach i wyglądające przez balustradę. – Cóż... te strzelby w dłoniach żołnierzy... To właśnie miał na myśli Bismarck, kiedy mówił o żelazie. A widzicie

rękaw przypięty do barku tamtego żołnierza... albo przepaskę na oku tamtego? To była krew. Zauważcie jednak, że chociaż żelazo wciąż jest trzymane wysoko, krew została zmyta.

Podnosi córeczki, po jednej, żeby mogły lepiej przyjrzeć się broni i upiększonej zakrzepłej krwi.

– Oni uwielbiają mówić o krwi – wyjaśnia Zindel Emanuel. – To rozbudza namiętność owieczek. Ale nigdy nie pozwolą owieczkom jej zobaczyć. Owce uwielbiają rozmawiać o krwi, ale mdleją na jej widok.

– Meee – woła Lily do żołnierzy poniżej.

Ci bezpośrednio pod balkonem podnoszą wzrok, śmieją się, machają do niej. Żona Emanuela dołącza do nich z najmłodszym dzieckiem na rękach.

– Lily – upomina córkę. – Nie wydawaj prostackich odgłosów pod adresem piechoty. – Obdarza męża spojrzeniem jednocześnie pełnym dezaprobaty i tkliwym. – Może powinniśmy spróbować jeszcze raz dać ci syna. Trenujesz te dziewczynki, żeby zachowywały się jak chłopcy. Żeby krzyczały na ludzi na ulicach. Żeby myślały tylko o polityce.

Emanuel bierze niemowlę od żony. Iris Emanuel cała jest zawinięta w lniane płótno i koronkę. Wystaje tylko mała uśmiechająca się główka jak u lalki.

– To miał być mój chłopiec – mówi.

Iris uśmiecha się do niego, do chmur, do żołnierzy, do wszystkiego, na czym spocznie jej wzrok. Kiedy dorośnie – myśli jej ojciec – będzie wyglądała jak bogini Izyda: ciemne włosy, jasna karnacja, niebieskie oczy. To go nie cieszy. Nie ma zamiaru wychowywać sobie małej bogini domowego ogniska, tkactwa i księżycy. Niepokoją go te niebieskie oczy, tak niezwykle blade. „W niektórych kulturach to oznacza przekleństwo”, mówią najmniej taktowni z jego znajomych. „Ściemnieją”, odpowiada na to defensywnie jego żona, chociaż czas pokaże, że nie miała racji. Ale nie to martwi Zindla Emanuela. Nie przejmuje się klątwami, nie jest przesądny. Nie wierzy w mitologię. Nie wierzy w mity Egiptu, chociaż zna je wszystkie, ani w mity własnego ludu żydowskiego, ani nawet w mity Prusaków. Lubi podkreślać, że chociaż kanclerz Otto von Bismarck nosi mundur piechoty, był zaledwie rezerwistą. Nigdy nie odsłużył ani jednego dnia na polu walki, i nie dzierżył w dłoniach żelaza, nie uronił kropli krwi – a w każdym razie kropli własnej krwi.

Nie. W bladoniebieskich oczach niemowlęcia nie podoba się Zindlowi Emanuelowi to, jaką uwagę ściągają od samego początku. Nie chce, żeby ta dziewczyna była podziwiana za swój wygląd. Wiąże z Iris wielkie nadzieje. Jest rozczarowany płcią dziecka, to fakt, ale już zdecydował, że córka nie zawiedzie go w żaden inny sposób. Jest w niej coś wyjątkowego – jest taka czujna, pełna życia, przebiera rączkami i nóżkami nawet przez sen, jakby się wspinała albo coś budowała. To przekonuje go, że będzie taką osobą, jaką sobie zaplanował.

– Żadnych więcej dzieci – zapewnia żonę. – Zamierzam pracować na

materiale, jaki mi dałaś.

Podnosi małą dziewczynkę, żeby ona też mogła zobaczyć paradę. Daje jej całusa w policzek, żonę całuje w czoło i z niemowlęciem w ramionach opuszcza balkon, wracając do ciepłego wnętrza. Dwie starsze dziewczynki podążają za nim: jego akolitki, jego kaczątka. Jego żona, teraz już sama, spogląda w dół na paradę zwycięskich żołnierzy. Dzielią się na dwie kategorie: kuśtykających i okaleczonych oraz tych całych i zdrowych, ale zawstydzonych. Co za ulga – myśli – że nie mają synów.

1874

Fabryka barwników Heinricha Lorenza Altera odnosi największe sukcesy spośród wszystkich tego typu zakładów w Europie Zachodniej. Ciemnoniebieski odcień mundurów pruskiej piechoty? Leśna zieleń noszona przez jegrów? Błękit pruski bluzy mundurowej ze stójką samego Bismarcka? Wszystkie barwniki pochodzą z fabryki Altera. Heinrich nadał wojskowym mundurom bogactwo odcieni, a wojsko odwzajemniło przysługę, czyniąc go bogatym.

Kiedy Heinrich opowiada o swoich doskonałych barwnikach, przemawia z czułością, z autentyczną miłością. Napomknijcie o produkowanej przez niego wiosennej zieleni, tym precyzyjnie oddanym odcieniu pierwszych kruchych liści sałaty, a Heinrich nagle stanie się równie wylewny co Keats w zetknięciu ze starym wazonem¹⁰. Zapytajcie o jego szkarłat, a powie wam, że jest bardziej intensywny niż upierzony brzuszek kardynała. Wspomnijcie o indygo firmy Alter, a opisz je w sposób, w jaki inny mężczyzna mógłby sportretować kochankę, chwając jej niezrównane piękno ludziom uśmiechającym się uprzejmie, kiwającym głowami i zerkającym na pobliski zegar.

Ponieważ Heinrich chce, aby jego syn i jedyny spadkobierca podjął pracę w fabryce, gdy tylko ukończy podstawową edukację, przysposabianie Lenza zaczyna się wcześniej. „Nigdy nie jest się za młodym, aby zacząć rozwijać dobre oko do kolorów – pisze Rudiemu. – Szczególnie w przypadku chłopca, który zdaje się nie przejawiać naturalnych uzdolnień do niczego”.

To dopiero było odkrycie: liczba rzeczy, w których Lenz, teraz pięcioletni, jest kiepski. Niezdarnie obchodzi się z piłkami i kijami, pisanie idzie mu wolno, wciąż potrzebuje pomocy przy wiązaniu sznurowadeł, a chociaż rwie się do spędzania czasu z innymi dziećmi, najwyraźniej je zniechęca. Niegdyś milczący mały chłopiec teraz stał się papłą. Staje za blisko, opowiada nużące historie o wojnie, którą jest zafascynowany. Osacza małe dziewczynki na przyjęciach urodzinowych i rozprawia o kampaniach Napoleona.

– Będę generałem – mówi ojcu.

Żydowski generał. Heinrich się krzywi. Klepie chłopca po ramieniu i mówi:

– Będziesz generałem fabryki Altera. Będziesz ubierał generałów. Dzięki

tobie poczują dumę potrzebną do wygrywania wojen dla Niemiec.

Lenz może i jest społecznie nieprzystosowany, nudny i ma tylko pięć lat, ale wie, kiedy ktoś traktuje go protekcyjnie. Wie również, jakie ma odczucia odnośnie fabryki. Wszyscy jego biografowie są co do tego zgodni: już od najmłodszych lat odrzucał myśl o jej przejęciu. Ale ta konkretna walka między ojcem i synem rozgorzeje dopiero za ponad dekadę. Na razie Heinrich nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że traci czas, i szkoli Lenza na ulicach Breslau. Każdego wieczoru przed kolacją nalega, aby chłopiec towarzyszył mu w przechadzce, i każdego wieczoru Lenz, wiedząc, co się święci, dąsa się i narzeka, ale ostatecznie ulega woli ojca.

Mamy fotografię przedstawiającą go w tamtym wieku. To najsmutniejszy mały chłopiec, jakiego kiedykolwiek widziałyśmy. Jego olbrzymia łepetyna mieści ogromne ciemne oczy, a usta są zaciśnięte, jakby właśnie miał się rozpłakać, kiedy ktoś – prawdopodobnie Heinrich, ale być może był to fotograf – nakazał mu stanąć w bezruchu. A zatem stoi tak żałośnie i sztywno obok bogato zdobionego drewnianego krzesła, które dziś zajmuje miejsce w naszym foyer, obładowane czasami do granic wytrzymałości torebkami, kurtkami, zimowymi szalikami i w czasach, kiedy Vee jeszcze nosiła perukę, tą bujną protezą wiszącą na jednym z pionowych słupków, ale na zdjęciu spoczywa na nim tylko ozdobiony wstążką słomkowy kapelusz chłopca. Sam chłopiec jest ubrany w dziecięcą wersję munduru piechoty. Mosiężne guziki są za duże, kołnierz oklapnięty, nogawki spodni podwinięte nad butami do kostki. Włosy ma przecięte przedziałkiem biegnącym surowo z prawej strony. Trzyma strzelbę, jakby to była laska do podpierania się – kolba na ziemi, wylot lufy skierowany na sufit.

A oto kolejna fotografia młodego Lenza Altera, tym razem z jego wujkiem Rudim. Wedle opasłej biografii stojącej na półce w naszym salonie (*Lenz Alter: Deutsch, Jude, Heilige, Sünder*), Rudi Alter był homoseksualnym malarycznym karłem – to dosłowny cytat – o delikatnych rysach i ogromnych pokładach uroku osobistego. Musimy przyznać, że opis jest poparty zdjęciem, na którym Rudi, niewiele wyższy od Lenza, wygląda przystojnie niczym idol popołudniówek z oczami okolonymi ciemną kreską i ozdobnym wywoskowanym zarostem, modnym w tamtych czasach: podkreślonymi bokobrodami i wąsami nie do końca skrywającymi słodki uśmiech. Ma również idealnie regularne cienkie brwi.

To zdjęcie musiało zostać zrobione podczas jednej z jego krótkich wizyt w domu, bo praca trzymała go głównie w Azji. W 1874 roku był przedstawicielem handlowym Niemiec na Japonię, co oznaczało, że albo był tak kompetentny i czarujący, że udało mu się przewyciężyć potencjalną niechęć rządu do posiadania „homoseksualnego malarycznego karła” za reprezentanta, lub też niemiecki rząd pod koniec XIX wieku był znacznie mniej drętwy, niż nasz jest dzisiaj. Podejrzewamy, że prawdą było to pierwsze, że to wdzięk Rudiego pokonał

uprzedzenia, ale na naszą opinię może wpływać to, że wszystkie się w nim durzymy. Uwielbiamy fakt, że na zdjęciu on i jego mały bratanek są ubrani w identyczne kimona. Uwielbiamy fakt, że kimono Rudiego dodatkowo ozdabia kilka długich sznurów pereł.

Rudi jest osobą odpowiedzialną za kolor indygo w fabryce barwników. To on negocjuje umowy na wyłączność pomiędzy Heinrichem a najlepszymi rolnikami uprawiającymi *ai* 11 w Japonii, to on organizuje transporty liści oraz setek skrzynek sake z prowincji Hokkaido do Breslau w wilgotnych ładowniach statków. Oto sekret indygo Alterów: importowane liście *ai* oraz importowane sake z dodatkiem odrobiny importowanych otrębów pszennych. Heinrich dorzuca też trochę krajowego ługu, bo nie chce całkowicie rezygnować z zachodnich technik. Mikstura jest potem dopóty mieszana przez kilka dni przez pracowników fabryki, tych imigrantów i dniówkarzy z Polski, dzierżących drewniane grabie, również importowane z Japonii, dopóki kąpiel barwiąca nie nabierze koloru świeżego siniaka, a jej opary nie zabarwią twardek oczu robotników szkarłatem.

To, że na całym kontynencie nie ma indygo lepszego niż barwnik Alterów, staje się dominującym tematem rozmów towarzyszących przechadzkom ojca i syna. „Patrz – mówi Heinrich głośno, niegrzecznie pokazując palcem. – Widzisz uniform tego pracownika? To indygo jest bliskie naszemu, ale nie tak skomplikowane”. Albo: „Popatrz na oko pawiego pióra w kapeluszu tej kobiety. Jego indygo jest bliskie naszemu, ale nie tak bogate”. Albo: „Popatrz na jagody na tej gałęzi lub na fiołki na tym polu czy na łuk w tej tęczy. Bliskie, ale nie tak czyste, nie tak doskonałe, nie tak ostre”. Każdego wieczoru nie tylko ubrania sąsiadów, lecz także sama matka natura zostają osądzone i uznane za niewystarczająco dobre.

Lenz też jest uznawany za niewystarczająco dobrego. Błądzi myślami, bardziej interesuje go sam proces farbowania niż powstające w jego efekcie kolory. Lubi sobie wyobrażać moment, w którym korzenie, płatki i pancerze owadów magicznie zamieniają się w błękit albo w *chartreuse*, albo w cynober, który wujek Rudi miesza potem z pszczelim woskiem i nakłada na policzki tuż ponad bokobrodami oraz muska nim wargi tuż poniżej wąsów. Właśnie to – cały ten proces, nie kosmetyki – do pewnego stopnia fascynuje małego chłopca. Ale wykłady ojca to wykłady artysty, a nie producenta. Heinrich rozwodzi się na temat estetyki, na temat ogólnej niezdolności motłochu do odróżniania kolorów z domieszką odcieni brunatnych od kolorów czystych, na temat niedoceniań naturalnych barw z ich wariacjami i własnym charakterem w porównaniu z monotonią nowych, chemicznie wytwarzanych barwników. Nawet w wieku ośmiu lat Lenz wie, że jest częścią tego motłochu. Jest gorszy. Jest niewyrobiony.

A potem – wciąż jest rok 1874 – przychodzi to popołudnie na początku maja, kiedy Rudi Alter, nadal przebywający w Japonii, postanawia przespacerować się po

parku, który, podobnie jak park po drugiej stronie ulicy naprzeciwko naszego mieszkania, ciągnie się wzdłuż rzeki portowego miasta. Wyobrażamy sobie japoński park wypełniony bambusowymi fontannami, drzewami wiśni i miniaturowymi czerwonymi klonami, tymi ostatnimi podobnej wysokości co Rudi. W naszej wyobraźni Rudi ma na sobie ludowy strój, ale własnego kraju. Garnitur i słomkowy kapelusz. Wspina się na wzgórze, kiedy nagle czuje szturchnięcie w plecy. Odwraca się z uśmiechem, spodziewając się, że zobaczy jednego ze współpracowników żartobliwie dźgającego go czubkiem parasolki, ale zamiast tego okazuje się, że głupkowato szczyrzy zęby do młodego japońskiego nacjonalisty wymachującego zabytkowym samurajskim mieczem.

Z raportu z autopsji:

Rana 1.: skóra na czubku głowy przebita na wylot

Rana 7.: arteria szyjna całkowicie przecięta

Rana 11.: staw łokciowy całkowicie przecięty

Wyliczanka się ciągnie. Ogółem dwadzieścia dwie rany. Dwadzieścia dwa przebite lub całkowicie przecięte kawałki Rudiego Altera.

Nacjonalista mówi, że bogowie przyszli do niego we śnie i posłali go do parku, aby zabił obco--krajowca, pierwszego jakiego napotka. Trafiło na Rudiego. Nacjonalista zobaczył go od tyłu, zarejestrował europejski strój, być może również niewielki wzrost, a bogowie powiedzieli: „Tak, kontynuuj”. Powiedzieli: „Na co czekasz?”. Młody zabójca skomponował wiersz o całym wydarzeniu, który recytuje z pamięci na posterunku policji, a potem ponownie podczas procesu. Zostaje uznany za niepoczytalnego, ale i tak ścinają mu głowę.

U stóp ścieżki, na której zginął Rudi – młody mężczyzna w wieku lat trzydziestu trzech – miasto portowe wznosi granitowy pomnik w kształcie gigantycznego kamienia nagrobego. Na jego podstawie zostają wygrawerowane po niemiecku słowa „Nasz Brat”. Słowo „Nasz” z błędem.

W dniu, w którym Rudi Alter umiera w Japonii, temperatura w Breslau gwałtownie spada. Ludzie zagadują obcych na ulicach, aby to skomentować: „To taka pogoda, co wywołuje influencę” – informują się nawzajem. „Dziś rano musiałem zdjąć płaszcz, tak mi było gorąco, a teraz jestem zapięty pod szyję i mimo wszystko przemarzłem do szpiku kości” – mówią. Kiedy Heinrich i Lenz wychodzą z domu na obowiązkową wieczorną przechadzkę, niebo nad Breslau lśni szarością niczym tafla lodu na jeziorze, a ulice są ocienione chłodnym fioletem.

Ponieważ jest wyjątkowo zimno, Lenz nie jest tak zachwycony jak powinien, kiedy kilka płatków śniegu opada i zatrzymuje się na wyciągniętej dłoni jego ojca.

– Przyjrzyj się dobrze – mówi Heinrich. – Każdy jest inny.

Ale zanim Lenz zdąży popatrzeć, topnieją. Heinrich ociera mokrą rękę o spodnie. Wyciąga szyję w poszukiwaniu kolejnych dryfujących płatków. Nie ma żadnych. Ostatecznie jest maj. Widzi jednak na horyzoncie atramentową smugę, która sprawia, że jego serce zamiera. Wskazuje na smugę z taką energią, że nadweręża sobie staw barkowy.

– Patrz! – woła. – Patrz, Lenz! Widzisz to? Tam! To... to jest nasze!

Kolor smugi rozciągniętej pomiędzy ziemią a niebem jest bogaty i złożony, czysty i ostry. To dokładnie ten odcień, jaki zaobserwował Newton w dniu, w którym zrozumiał, że spektrum składa się nie z sześciu kolorów, jak wszyscy wierzyli, lecz z siedmiu. Ten kolor, fioletowo-niebieski, był zbyt długo niedostrzegany.

Za chwilę Lenz również zobaczy wstęgę w kolorze indygo, ale w pierwszej chwili opacznie rozumie słowa Heinricha. Myśli, że ojciec wskazuje na całe niebo. „To jest nasze” – oświadcza Heinrich i Lenz wierzy, że jego ojciec ma na myśli całe sklepienie, bezkresny firmament, każdy cal kwadratowy niebios. Przez tę krótką dezorientującą, ale ogromnie satysfakcjonującą i prawdopodobnie zmieniającą życie chwilę Lenz Alter wierzy, że jego ojciec ogłosił siebie panem niebios. A oto jest Lenz, jego syn i jedyny spadkobierca.

Śmierć w połogu, wypatroszenie pośród wiśni, literówki na kamieniu nagrobnym – takie historie opowiadała nam matka, bajki do poduszki, jak je nazywałyśmy, chociaż mówiłyśmy o jej porze snu, a nie o naszej. My trzy zazwyczaj chodziłyśmy spać znacznie później niż ona. Ale chociaż kładła się niedługo po kolacji, sypiała zrywami, jak i nam się to teraz często zdarza. Budziła się w nocy i wołała nas, a my opuszczałyśmy nasze łóżka albo, co bardziej prawdopodobne, odchodziłyśmy od telewizora i późnego filmu oglądanego w salonie i szłyśmy do niej całą gromadą. Ona siedziała już z zapalonym papierosem. Zajmowałyśmy miejsca w nogach jej łóżka, Lady pośrodku, dwie młodsze po jej bokach – Vee wyglądała jak mniejsza wersja Lady, Delph jak mniejsza wersja Vee. „Matrioszki”, nazywała nas matka, a my czułyśmy, że uważa to raczej za odpychające niż urocze.

Ale nawet nas wytrącał trochę z równowagi nasz widok, kiedy patrzyłyśmy na siebie nawzajem. A więc tak wyglądałam, kiedy straciłam przedni ząb. A więc tak będę wyglądała, kiedy wejdę w wiek dojrzewania... Ale to podobieństwo było również jedyną niezawodną i pocieszającą rzeczą w naszym życiu. Czułyśmy, że zawsze będziemy miały siebie nawzajem. Szczerze mówiąc, towarzyszyło nam

nigdy niewypowiedziane przekonanie, że rzeczywiście jesteście sobą nawzajem tylko na innych etapach życia. Kiedy matka wzywała nas na bajki do poduszki, a my sadowiliśmy się u jej okrytych kocem stóp, każda z nas z ciężącymi powiekami, Vee i Delph opie-rające głowy o ramiona Lady, musiałyśmy wyglądać tak, jak się czułyśmy: jak jedno stworzenie, dziwne i o wielu członkach, rozpaczliwie potrzebujące porządnego nocnego wypoczynku.

Ze wszystkich historii, które opowiadała nam matka, kiedy byliśmy małe, ta o Lenzu, płatkach śniegu i niebie podobała nam się najbardziej. Same byłyśmy dziećmi; identyfikowałyśmy się z chłopcem nierozumiejącym przekazu pochodzącego od osoby dorosłej. Pojmowałyśmy, dlaczego jego błędne mniemanie było urocze i głupiutkie, ale też uważałyśmy, że było cudowne, że cudowny był sposób, w jaki Lenz postrzegał świat: nie zredukowany do jednego ze składowych kolorów, lecz bezkresny, wszechogarniający i mistyczny, a jednocześnie obracający się wokół jego małej istotki.

Z biegiem czasu matka zaczęła dodawać do tej opowieści nowe detale. Kiedy Heinrich i Lenz szli do domu ulicami miasta, towarzyszyło im upiorne światło opalizujące srebrem jak macica perłowa. Gdy Heinrich spoglądał na horyzont, to dlatego, że jego uwagę przyciągał grzmot albo spadająca gwiazda, albo huczący odgłos. W tych nowych wersjach Heinrich łapiący śnieżynki na dłoń nagle pojmował, że to nie były płatki śniegu. („Śnieg w maju – drwiła nasza matka. – Naprawdę w to uwierzyłyście?”). Wiedział natychmiast, że to esencja Rudiego Altera, fragmenty jego duszy torujące sobie drogę do brata tamtego dnia: dnia jego śmierci. W chwili, gdy zobaczył na horyzoncie tę smugę w kolorze indygo Heinrich Alter nie mógł wiedzieć, że jego brat nie żyje. Ale, jak twierdziła nasza matka, Heinrich Alter to wiedział.

W końcu nawet puenta przestała być puentą, konkluzja Lenza nie była już zabawnym nieporozumieniem, lecz autentycznym objawieniem. W tych nowych wersjach, kiedy Heinrich wskazywał do góry i ogłaszał „To jest nasze!”, naprawdę miał na myśli całe niebo, naprawdę chodziło mu o wszystko, jak okiem sięgnąć. I chodziło mu również o to wszystko, czego ludzkie oko nie mogło dostrzec.

Wkrótce podczas opowiadania nam tej historii matka nie patrzyła już na nas, jej domniemaną widownię, lecz spoglądała w górę z zakłopotaniem i zdumieniem, zupełnie jak jej pradziadek i jej mały dziadek tyle lat wcześniej. Być może kierowała się ku twarzom, które my też zauważałyśmy w zawijasach tynku na suficie, kiedy rozluźniałyśmy wzrok. A może mówiła do kogoś, kogo tylko ona mogła dostrzec. Może to był duch jednego z jej zmarłych krewnych: jej matki Karin, jej ojca Richarda, jej stryjecznego pradziadka Rudiego. A może to był Lenz, poznany przez nią przelotnie, kiedy była bardzo małą dziewczynką, jej dziadek Lenz, który opowiedział jej niektóre z tych bajek do poduszki, zanim przyszedł Hitler i rodzina uciekła. A może myślała, że mówi do *Der Altera*, to jest do Boga,

o którym zawsze mówiła, że nie istnieje. „Co to oznacza? – pytała matka sufitu albo ducha, albo Boga. – Jeśli mój pradziadek miał na własność niebo, a mój dziadek je po nim odziedziczył, co to oznacza dla mnie? Czy teraz niebo nie powinno być moje? Czy nie takie jest prawo?”.

Początkowo próbowaliśmy sobie wmawiać, że matka błaznuje, że próbuje nas rozśmieszyć. Ale tak nie było. Czasami wyglądało na to, że sufit jej odpowiadał. Dla nas to było jak przysłuchiwanie się rozmowie telefonicznej po jednej stronie linii. „Tak” – mówiła, a potem milkła na dłuższą chwilę. „Cóż, tak...”. I znowu cisza. Aż w końcu: „Rozumiem twoje argumenty, ale myślę, że niektóre z przesłanek, jakimi się kierujesz, są błędne”. Czasami przypominała sobie, że siedzimy koło niej, i marszczyła brwi, jakbyśmy jej przeszkodziły, albo na głos wyrażała dezaprobatę, chociaż zachowywałyśmy się absolutnie cicho. „Nie martwcie się – powtarzała zmęczonym głosem. – Kiedy umrę, to wszystko przejdzie na was. Nikt nie odmówi wam waszej spuścizny”.

Nigdy nie mówiła tego ze swadą, z przekonaniem albo z radością. Mówiła o tym, jakby przypominała sobie o jeszcze jednym męczącym obowiązku na życiowej liście rzeczy do zrobienia. Zarządzała działem biżuterii i kosmetyków w Woolworth's i chociaż nigdy nie byłyśmy dobrze sytuowane, zawsze miałyśmy pieniądze na czynsz i jedzenie oraz pokaźny zapas szminek i plastikowych klipsów. Matka opiekowała się nami najlepiej, jak umiała. Jeśli mówiła, że załatwi nam naszą spuściznę, wierzyłyśmy jej. Oczywiście nie znałyśmy tego słowa, a że brzmiało obrzydliwie, nie chciałyśmy ani odrobiny. Krzywiłyśmy się. Ją irytował nasz brak wdzięczności. „Nie róbcie takich zboliałych min – mawiała. – To jest dobra wiadomość. To jedyna dobra wiadomość, jaką może usłyszeć ktoś na tyle pechowy, żeby być częścią tej rodziny”. A czasami nie mówiła nic, tylko uśmiechała się ze znużeniem. To było gorsze niż jej rozmowy z sufitem. Bałyśmy się jej uśmiechów. Były wehikułami czasu, które ją zabierały, przenosiły w daleką przeszłość albo odległą przyszłość, a my zostawałyśmy tylko z jej ciałem, z ręką z papierosem zwisającą z łóżka, z gorącym popiołem opadającym na włókna dywanu niczym płatki śniegu w Breslau, niczym płatki kwiatów wiśni w japońskim parku. Którejś nocy wróciła z jednej z takich wypraw i powiedziała: „Skoro Bóg jest Panem Niebios i ja jestem panią niebios, a może być tylko jeden pan niebios, do jakiej konkluzji to was zmusza?”. Dopiero po chwili zdałyśmy sobie sprawę, że mówi do nas. „Że ty jesteś Bogiem?” – podsunęła Vee. Nasza matka pokiwała głową, jakby rozważała tę odpowiedź – jej pytanie było szczere, nie retoryczne – ale Vee po chwili namysłu spojrzała na nią spode łba i powiedziała: „Myślałam, że jesteście ateistkami”. „Myślałam, że jesteście ludźmi” – uściśliła Delph. „Jesteśmy ateistkami – wtrąciła Lady. – A to oznacza, że jeśli (a) Bóg nie istnieje, a (b) mama jest Bogiem, to (c) mama nie istnieje. To się nazywa właściwość przechodnia”.

Matka popatrzyła na nas, jakbyśmy były bardzo mądre, a mądrość była tym

straszliwym brzemieniem, którego chciałyby móc nam oszczędzić. Jej oczy wypełniły się łzami. Zaciągnęła się papierosem, wydmuchnęła dym w górę, w kierunku twarzy na suficie. Próbowła zachowywać ostrożność, kiedy paliła w naszej obecności. „Mają rację – powiedziała do sufitu, a łzy spływały jej po twarzy. – Jestem Bogiem i jestem jakimś starym worem kości, i jestem niczym, wszystkimi trzema jednocześnie”.

Bóg, kości i nicość. Lady nazywa to Alterowską wersją Trójcy Świętej. Delph mówi, że to najlepsza definicja śmiertelnika, jaką kiedykolwiek słyszała. Zawsze jesteśmy wszystkimi trzema jednocześnie. Vee uważa, że od Boga do kości i do nicości to również całkiem niezła charakterystyka życia. To smutne, myśli. To przeciwieństwo tego, jak chciałyby, żeby życie funkcjonowało. Od nicości do kości i do Boga – za tym tęskni i tego pragnie: fantazji, bajki, możliwości wiary. Ale Vee nie może pójść tą drogą. Żadna z nas nie może.

10 Chodzi tutaj zapewne o utwór poety zatytułowany *Oda do urny greckiej*.

11 *Ai* to po japońsku po prostu „indygo”. Prawdopodobnie chodzi o liście indygowca barwierskiego, uprawianego między innymi w Japonii.

ROZDZIAŁ 4

Kiedy Lady wróciła do domu z Riverdale, rzuciła niebieski śrubokręt na kuchenny blat – bo nie wyrzekła się go mimo tego, jak źle się czuła z tym wszystkim, zachowała go, ścisnęła w dłoniach przez drogę pociągiem, jakby to była różdżka albo berło; trzyma go nawet do dziś w szufladzie w swojej sypialni – i nie zwracając sobie głowy osłoną przełącznika, ruszyła prosto do łazienki na kielicha. Na wiele kielichów. Siedziała na wyłożonej kafelkami posadzce z T-shirtem naciągniętym na głowę i myślała o tym, jaka jest nieszczęśliwa, jaka niekochana, jak odstręczająca, jak dziwna i, teraz, jak porywcza. I piła z butelki – jeden haust, potem dwa i tym razem nazwała to piciem z butelki. Od czasu do czasu dzwonił telefon, a ona brała kolejny łyk albo odkręcała kran, żeby zagłuszyć ten dźwięk, wlepiała wzrok w farbę oblażącą z sufitu, a kiedy dzwonicie ustawało, piła znowu.

Bawiła się myślą o napisaniu listu pożegnalnego. To, że żaden z członków naszej rodziny nie zostawił takiego przed popełnieniem samobójstwa, zawsze wydawało się jej zaniedbaniem obowiązku albo, jeśli to za mocne określenie, co najmniej zmarnowaną okazją. Zawsze też wyobrażała sobie, że kiedy przyjdzie pora, ona zostawi wyjaśnienie. Zaledwie kilka lat wcześniej pewien aktor zabił się (tabletki), pozostawiając uprzejmą notkę, której treść podziwiała: „Drogi świecie – napisał – odchodzę, bo jestem znudzony”. Od tamtej chwili Lady zawsze wyobrażała sobie, że sporządzi równie krótkie i szczerze oświadczenie, zdanie nie do obalenia, rezolutne i wystarczająco zwięzłe, aby zmieściło się na kartce okolicznościowej firmy Hallmark. Ale teraz zdała sobie sprawę, że gdyby miała być szczerą, jej notka musiałaby brzmieć: „Drogi świecie, odchodzę, bo sklep żelazny braci Shine przy skrzyżowaniu Broad-wayu i Dwieście Czterdziestej Drugiej Ulicy odmówił mi przyjęcia zwrotu towaru”. I tak w momencie, gdy traciła przytomność, przy okazji uderzając głową o bok wanny, czym wyrządziła sobie o wiele bardziej widoczną szkodę niż tamtemu smutnemu przedsiębiorcy w Riverdale, już zdążyła porzucić ideę napisania listu samobójczego.

Obudziła się kilka godzin później z bólem głowy i zaschniętym gardłem. Przeżuła garść aspiryn i spłukała ich posmak kilkoma szklankami mętnej kranówki. Umyła twarz. Zgodnie z tradycją Żydów w godzinach przed przybyciem Kozaków spędziła resztę dnia na sprzątaniu mieszkania i pakowaniu swoich rzeczy. Wypełniła tekturowe pudło lekturami z jej skróconej kariery studenckiej – *Reader, I married him*¹² wciśnięte obok *I can't go on; I'll go on*¹³ – i wystawiła je na zewnątrz przy schodach. Miała nadzieję, że któraś z rodzin mieszkających w budynku – sami imigranci – weźmie książki dla swoich dzieci i może pomyśli

o niej dobrze.

Dzień chylił się ku końcowi, a ona przerwała na chwilę, aby podziwiać zachód słońca, ten plód niewinnej natury i niszczycielskiego przemysłu w odcieniu fioletu, magenty i pomarańcza. Zachód był tak piękny, jak czasami bywają trucizny: wilcze jagody lśniące czernią jak lakierowana skóra, jabłuszko złej macochy czerwone jak krew i nieodparcie kuszące. Te niebezpieczne i zachwycające kolory były nienaturalnie naturalnym zjawiskiem, a ona patrzyła na nie dłużej, niż zamierzała. Musiała potrząsnąć głową i odwrócić się od okna, aby móc kontynuować swoje obowiązki: przenoszenie, schyłanie się, umieszczanie dóbr materialnych w pudłach. Od tygodni nie była tak aktywna. Mięśnie wzdłuż kręgosłupa, zdumione tym, czego się nagle od nich wymaga, rwały i narzekały.

Wyciągnęła na korytarz drugie pudło, to wypełnione pudełkami irlandzkiej owsianki, torebkami brązowego ryżu i jakimś tuzinem powgniatanych minipuszek z zupą. „DARMOWE. DO DOBREGO DOMU”, napisała na boku. Jej wgnieciona puszka zupy Campbella dla jednej osoby o smaku rosół z gwiazdkami. Jej wgnieciona puszka zupy Campbella dla jednej osoby o smaku groch z szynką.

– Już wolałabym wylać cały gar zepsutej zupy – powiedziała Vee zaledwie kilka tygodni wcześniej, trzymając w dłoni jedną z tych małych puszek i razem z Delph bawiąc się kosztem Lady – niż kupić coś, co informuje cały świat, czy choćby nawet kasjerkę, o mojej rozpaczliwie samotnej egzystencji.

Lady nie miała nic przeciwko takim docinkom, a wspomnienie tamtego wieczoru wciąż wywoływało uśmiech na jej twarzy. Eddie Glod pracował akurat na noc, zmywając korytarze w Union Theological, więc siedziałyśmy tylko we trzy na futonie Lady, balansując na kolanach drewnianymi talerzami. Ona i Joe Hopper kupili te talerze w Azuma, zakładając, że ponieważ drewna nie da się stłuc, komplet wystarczy im na wieczność. I z pewnością żaden z talerzy nie stłukł się ani nie obłupał, mimo to jedzenie z drewnianej powierzchni przypominało przesuwanie paznokciami po tablicy, a posiłkom towarzyszył nieco zjełczały zapach z powodu oleju roślinnego, którego Lady używała do konserwowania kolorów. Poza tym trzeba było uważać na drzazgi.

Lady nie robiła zupy tamtego wieczoru. Vee natrafiła na puszki, przeglądając szafki w poszukiwaniu wódki. („W łazience” – była zmuszona przyznać Lady). Ugotowała tylko spaghetti, polewając je sosem z niebieskiego pleśniowego sera marki Kraft. To był nasz ulubiony posiłek, który Lady przygotowywała dla nas w dzieciństwie.

– Nie obchodzi mnie, co pomyśli o mnie kasjerka z supermarketu – powiedziała Lady do Vee, chociaż nie była to prawda. Przejmowała się tym, co myślą o niej wszyscy na świecie, włącznie z cierpiącymi na impotencję chłopakami z college’u i drażliwymi właścicielami sklepów żelaznych. – Ale – dodała – wiesz, co mi przypominają te puszki zupy? Mężczyzn. Wszystkich mężczyzn, których

spotykam, wszystkich mężczyzn, których znam. Nie Eddiego. Wszystkie Kochamy Eddiego. Mówię o Joem i jego kumplach, i o mężczyznach, którzy przychodzą do gabinetu, flirtując i pusząc się, jakbym nie wiedziała o ich kamieniu nazębnym, nieświeżym oddechu i zgorzelinowych zębach mądrości. Nawet facet, dla którego pracuję. Coś jest nie tak z nimi wszystkimi, przysięgam. Cała pleć powgniatanych puszek z zupą, wszystkie uszkodzone i przecenione. I zastanawiasz się, czy wgniecenie jest spowodowane po prostu tym, że puszka spadła na podłogę i możesz ją kupić po okazyjnej cenie, czy jednak zostało wywołane przez coś takiego jak jad kiełbasiany i cię zabije. W moim odczuciu: Po co podejmować ryzyko? Co najlepszego może się wydarzyć? Miska taniej zupy? Lepiej w ogóle się bez niej obejść. Tak właśnie myślę.

– Masz dwadzieścia sześć lat – skwitowała Vee. – Jeszcze za wcześnie, żeby rezygnować z zupy.

Delph zaprotestowała:

– A kto tak twierdzi? Ja mam tylko dziewiętnaście, a zupa absolutnie mnie nie interesuje.

– Tak, skarbie – powiedziała Vee – i bez obrazy, ale to nie jest normalne. Nie mówię, że masz pobiec i wychłptać pierwszą lepszą miskę, jaka się napatoczy. Powinnaś poczekać na taki rodzaj, jaki lubisz. Ale powinnaś przynajmniej chcieć zupy. Właściwie to powinnaś jej łaknąć. Powinnaś marzyć o siorbaniu jej z misek, picciu z kubków i nabieraniu z garnka chochlą prosto do ust.

– Wystarczy mi sałatka – ucięła Delph.

Dokończenie pakowania zabrało Lady resztę sobotniego wieczoru i całą niedzielę czwartego lipca. Posiadała tak niewiele; była zaskoczona, że zajęło jej to aż tyle czasu. Ale złożyły się na to te wszystkie wyprawy do monopolowego w ramach zebrania o kartonowe pudła. Przyczynił się do tego jej nagły wewnętrzny przymus, aby schludnie składać ubrania, które normalnie po prostu wpychała do szuflad; każdy czarny T-shirt, każdy czarny sweter, każda para czarnych dżinsów złożone jak przez sprzedawczynię w luksusowym butik. Wpłynęła na to jej decyzja, aby po napełnieniu wszystkich pudeł ustawić je równo, geometrycznie, w sięgające pasa przepierzenie, które jakimś cudem wydawało się jednocześnie solidne i nietrwałe.

Kiedy skończyła, zdjęła swój czarny T-shirt i dżinsy i przebrała się w czarną letnią sukienkę, która leżała przygotowana na sofie. Włożyła japonki, poszła do kuchni i wyjęła swój testament z szuflady na rupiecie, gdzie trzymała ulotki reklamowe z jedzeniem na wynos, reklamowe magnesy z banków i szerokie gumki recepturki po bukietach brokułów. Testament w jej wieku... To była dodatkowa korzyść płynąca z posiadania praktykantki adwokackiej za siostrę. Miała zapewnione całe planowanie spadkowe, jakie mogłaby sobie wymarzyć. Najwyraźniej nie było ważne, że nie posiadała żadnego majątku, o którym warto

byłoby wspomnieć.

– No dobrze, ale co, jeśli zostaniesz potrącona przez autobus? – argumentowała Vee, kiedy Lady i Joe właśnie rozpoczęli separację – a wykonawca twojego testamentu pozwie miasto o miliony dolarów i wygra? Nie chcesz mieć nic do powiedzenia w kwestii tego, do kogo powędrują te miliony? Albo do kogo nie powędrują?

– Ale ty nie masz testamentu – wytknęła jej Lady.

– Bo jeśli człowiek umiera, nie pozostawiający testamentu, jako osoba bezdzielna, zgodnie z prawem cały majątek przechodzi na małżonka – wyjaśniła Vee. – A ja nie mam nic przeciwko temu. Za to ty powinnaś.

Prawda była taka, że Lady było wszystko jedno. Pozwolić Joemu, aby odziedziczył jej telewizor z anteną w kształcie króliczych uszu? Do licha, niech nawet weźmie sobie tę fortunę zdobytą przez egzekutora testamentu po jej wyimaginowanej kolizji z autobusem. Ale Vee nie chciała tego słuchać.

– Po moim trupie – oświadczyła.

I następnego wieczoru przyszła z dziesięciostronicowym oficjalnym dokumentem, chociaż miały w nim znaczenie tylko dwa zdania. Pierwsze z tych zdań brzmiało: „Niniejszym zapisuję wszystko, co po mnie zostanie, w równych częściach dla moich żyjących siostr”. Drugie zaś mówiło: „Jest moim życzeniem, aby ten testament nie został unieważniony przez zbliżający się rozwód z Josephem Hopperem”. Cała reszta przypominała archaiczny bełkot.

Lady nie oglądała dokumentu, od kiedy go podpisała. Ale teraz, przed złożeniem go na trzy części i wsunięciem do torebki, zwłaszcza że wkrótce miał wejść w życie, nabrać mocy prawnej, jak powiedziałyby Vee, zatrzymała się, aby przebiec go wzrokiem. Żałowała, że nie może całkowicie usunąć adnotacji na temat Joego. Rozwód nie był już zbliżającym się wydarzeniem. Został sfinalizowany, przeszedł do historii. Dlaczego wciąż musiał pozostawać częścią jej historii? Żałowała też, że nie może wykreślić formułki „wszystko, co po mnie zostanie” i zastąpić jej frazą, która brzmiałaby jak coś, co rzeczywiście mogłoby paść z jej ust. Na przykład: „Oddaję wszystkie moje graty Vee i Delph, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego miałyby chcieć cokolwiek z tego gówna”.

– Wszystko, co po mnie zostanie – przeczytała na głos tamtego wieczoru, kiedy Vee przedstawiła jej dokument dumna z siebie tak, jak dumne bywa dziecko, kiedy obdarowuje wykonaną ręcznie kartką z okazji Dnia Matki taką matkę, która podnieca się tego typu rzeczami. – Czy to nie brzmi jak coś, co zostaje po tobie, kiedy kopniesz w kalendarz? Prochy? Resztki szkieletu?

Vee była poirytowana.

– To po prostu prawnicze sformułowanie. – Spodziewała się wdzięczności i podziwu, a nie kiepskiej recenzji.

– Dlaczego to po prostu nie może być napisane normalnie? – dopytywała się

Lady.

– Jezu, Lady – warknęła Vee. – Żaden z naszych klientów, którzy rzeczywiście płacą majątek za takie dokumenty, nawet tego nie czyta. Dlaczego ty musisz? Po prostu podpisz się, jakiego tam nazwiska teraz używasz.

Jej nazwisko, tak jak teraz, brzmiało wtedy Lily Alter. Już nie Frankl po naszym ojcu. Już nie Hopper po jej mężu. Nowe nazwisko było dla niej tak świeżym nabytkiem, że wciąż sprawiało wrażenie pseudonimu. Kiedy się nim podpisywała, czuła, jakby popełniała oszustwo.

– W porządku, teraz możesz umrzeć – podsumowała Vee, kiedy Lady odłożyła długopis.

Świadkowie, koreańska matka i jej dorosłe córki, które mieszkały obok, gniewnie zmarszczyły brwi. Rozumiały po angielsku więcej, niż mówiły. Nie podobało im się poczucie humoru Vee. Uśmiechając się pocieszająco do Lady, zaczęły wyśpiewywać koreańskie słowo, które brzmiało *muenster*. Jak ten ser.

– *Man-se* – powtórzyła matka, dobitnie akcentując sylaby. – To znaczy „obyś żyła jeszcze dziesięć tysięcy więcej rok”.

Ostatnią rzeczą, jaką zrobiła Lady, zanim opuściła mieszkanie tamtej niedzieli, było zebranie pamiętników, które z przerwami prowadziła od lat. Wszystkie te małe notesy na spirali wypełnione jej monotonną codziennością wrzuciła do czarnej torby na śmieci. Wiedziała, że najnowszy z nich zawierał streszczenie rozmowy o zupie, i rozważyła przerwanie tego, co robiła, żeby go wygrzebać i sprawdzić, czy dobrze ją zapamiętała, ale zmusiła się do stawienia oporu przyplływowi nostalgii, słabości i wszystkich innych uczuć, które mogłyby kolidować z jej planami na później. Przerzuciła worek na śmieci przez ramię i wyszła.

Było odrobinę po północy. Mozolnie ruszyła na zachód, brnąc przez gęsty żar nocy. Czarny plastikowy worek przyklejał się jej do pleców. Stojąc na brzegu rzeki Hudson, pokrytym popękany betonem i odsłoniętym zbrojeniem, jak najdalej cisnęła worek. Niezbyt daleko, ale wystarczająco. Patrzyła, jak powoli tonie. Poczwała ulgę, pozbywając się ciężaru tych dzienników. Dosłownego ciężaru. Jeśli chodzi o zawartość, notesy nie miały większej wagi; nigdy nie napisała niczego, co można by uznać za odkrywcze. Rzadko pisała cokolwiek, co byłoby prawdą. Nie kłamała *per se*. Po prostu popełniała literackie grzechy przemilczenia. Sypianie z żonatym dentystą? Kto sypia z żonatym dentystą? Topiła te notesy nie po to, aby ludzie nie dowiedzieli się o zniechęcających faktach z jej życia, lecz po to, żeby nie śmiali się ze wszystkiego, co pominęła.

Zadumała się również – jak mogłaby tego nie zrobić? – nad skokiem naszej matki do tej samej rzeki rok wcześniej.

Zadzwoiła do niej Vee. W tamtych czasach Lady odbierała telefony.

– Mamy nie ma w domu – powiedziała. – Nie wychodziła od tygodni, a teraz nagle jej nie ma.

– Ciesz się wolnością – doradziła jej Lady.

– Pomyślałyśmy, że może jest u ciebie.

– U mnie? Czy ona kiedykolwiek pokonała te cztery przecznice, żeby mnie odwiedzić?

Później tego samego dnia Vee zadzwoniła do niej raz jeszcze.

Lady nie zamierzała odebrać sobie życia w ten sam sposób co nasza matka. Preferowana metoda przysłała jej do głowy niemal natychmiast. Postanowiła powiesić się w pralni w piwnicy budynku przy Riverside Drive. Oczywiście mogłaby to zrobić we własnym budynku, gdzie nie było szans, żeby to jej siostry ją znalazły, ale była odrobinę samolubna: nie chciała umrzeć pośród szczurów i karaluchów. Piwnica w naszym budynku była znacznie czystsza. Ale chociaż długo zastanawiała się, który budynek wybrać, nigdy nie wahała się co do techniki. Była naprawdę dobra w wiązaniu węzłów – w poprzednich latach wykonała ze sznurka wiele misternych makatek i wieszaków na rośliny: makramowe szaleństwo.

Oddalając się od rzeki, zobaczyła grupkę osób. Zawodowi pirotechnicy już zakończyli swoją robotę. Słyszała teraz tylko sporadyczne eksplozje petard w kształcie czerwonych bombek w pobliskim hiszpańskim Harlemie. Jutro, ostatniego dnia długiego weekendu, ostatniego dnia tego jej nieszczęsnego urlopu w gazetach pojawią się artykuły na temat przypadkowych okaleczeń lekkomyślnych chłopców przez innych lekkomyślnych chłopców, na temat celowych okaleczeń kotów. Cieszyła się, że nie będzie musiała już tego czytać.

Kiedy dotarła do naszego budynku, był już poniedziałek nad ranem. Weszła do środka, korzystając z klucza, który miała od zawsze, i wsiadła do czekającej windy. Odruchowo – pamięć mięśniowa – nacisnęła guzik na nasze piętro. Dopiero kiedy drzwi się rozsunęły i usłyszała muzykę sączącą się spod drzwi naszego mieszkania – Buffy Sainte-Marie, całe to vibrato i głośność zdecydowanie za bardzo podkreślona jak na tę godzinę – zdała sobie sprawę, że wjechała na górę, zamiast pojechać na dół. Przez krótką chwilę stała w windzie, poirytowana i niepewna. Ale kiedy drzwi zaczęły się zamykać, zamiast im na to pozwolić, zamiast nacisnąć B, jak powinna na samym początku, wyciągnęła dłoń i drzwi ponownie się rozsunęły.

Wyszła na korytarz i stanęła na naszej wycieraczce, małej pleciance, która leżała pod drzwiami od trzech pokoleń: włókna wystrzępione, kolory starte. Nie była pewna, co zrobić. W końcu podjęła decyzję: sięgnęła do torebki, znowu

wyciągnęła klucze i weszła do środka. Zostawiając drzwi uchylone, stanęła w holu. Po prostu tak stała, jakby nie miała pojęcia, jak doszło do tego, że się tu znalazła.

Vee i Delph z kolei zareagowały, jakby się jej spodziewały. Obie nie spały pomimo późnej pory i rezydowały w kuchni – Vee w rubinowym T-shircie od Gapa i w obciętych dżinsach, Delph w staromodnej perkalowej kwiecistej sukience.

– Hej – przywitała się Vee. – Jesteś.

Delph opierała się o lodówkę, jedząc kanapkę z pumpernika z masłem orzechowym.

– Chcesz trochę? – zapytała, podchodząc do Lady z wyciągniętą ręką. – Jem, chociaż nawet nie jestem głodna.

– Nie, dzięki. I nie usmaruj mi włosów masłem orzechowym.

Że właśnie te słowa wyszły z jej ust, zaskoczyło Lady w równym stopniu co pozostałe rzeczy, które wyprawiała w tamten weekend. Troszczyła się o swoje włosy, o swoje straszne szorstkie włosy? Chociaż, prawdę mówiąc, Lady włożyła trochę wysiłku w zapanowanie nad swoją fryzurą tamtego wieczoru. Miała nadzieję, że będzie wyglądała w miarę przyzwoicie, kiedy ją znajdą. Złamany kark, niebieski język wywalony jak u psa rasy basenji, wybałuszone oczy, być może (przykro jej było o tym mówić) obrzydliwy bałagan na podłodze pod nią, ale przynajmniej będzie miała na sobie ładną sukienkę, a jej włosy sprawią wrażenie zadbanych, okiełznane przez jedną ze skórzanych spinek ze szpilką, podczas gdy turkusowe kolczyki będą łagodnie falować tam i z powrotem.

– To bardzo brązowa kanapka – powiedziała do Delph, chcąc załagodzić swój wyskok.

Delph się uśmiechnęła.

– Jest też naprawdę sucha.

Wzięła kolejnego gryza, domykając drzwi wejściowe tyłkiem. Lady rzuciła torebkę na krzesło w przedpokoju. Weszła do salonu.

– Czy to leci mój album? – zapytała.

– To ty go tu zostawiłaś – zaczęła się bronić Vee. – Znasz to stare porzekadło, że jeśli coś posiadasz, jesteś w lepszej sytuacji niż ten, kto rości sobie do tego prawo? Cóż, okazuje się, że jest prawdziwe.

– Nie chcę jej z powrotem – powiedziała Lady. – Nie o to mi chodziło. Cieszę się, że wam się podoba. Mi gównu es su gównu... – Rozejrzała się. – Gdzie Eddie?

– Wykończony. Śpi.

– Zrobię ci twoją ulubioną kanapkę – zdecydowała Delph. – Z galaretką. Chyba schudłaś. Wyglądasz strasznie.

– Szczególnie z włosami ściągniętymi w ten sposób – dodała Vee. – Tak ciasno. Wygląda jak Olive Oyl.

– Cóż, nie jest aż taka chuda – zawyrokowała Delph.

Zjadłyśmy w salonie. Delph zaniósła tam obie kanapki, dwie szklanki i butelkę Southern Comfort, zabierając wszystko za jednym razem, chociaż oznaczało to, że musiała nieść swoją kanapkę w zębach, a butelkę wcisnąć pod pachę.

– Od kiedy Southern Comfort? – zapytała Lady.

Vee wzruszyła ramionami.

– Słuchamy Buffy i pijemy jak Janis.

A kiedy już się rozsiadłyśmy, te jedzące – na kanapie, Vee – na podłodze, wróciła do tematu:

– Delph ma rację, Lady. Naprawdę wyglądasz gównianie.

– Łapię. Nie wzięłam porównania do Olive Oyl za komplement.

– Popatrz na swoje oczy. Wyglądasz, jakbyś płakała.

– Widziałas, żebym kiedykolwiek płakała?

– Cóż, nie gotujesz, więc wiem, że nie obierałaś cebuli.

– Gotuję – zaprotestowała Lady.

– Spaghetti to nie jest gotowanie.

– Cały czas gotuję rzeczy wymagające obierania cebuli!

– Więc rzeczywiście obierałaś cebulę?

– Nie.

Płyta dobiegła końca. Słuchałyśmy dźwięku igły unoszącej się i powracającej do pierwszego utworu na tej samej stronie.

– Malują korytarz na moim piętze – wyjaśniła Lady, kiedy znowu rozległa się muzyka, piosenka o seksownej kobiecie, za którą gonił każdy mężczyzna w miasteczku. Nasza trójka zwykła ją śpiewać w pokoju Lady, kołysząc biodrami i używając opakowań dezodorantów w kulce jako mikrofonów. „Co to znaczy »hoochy koochy«?” – dopytywała się Delph. „Co to znaczy »niewyżyty seksualnie«?”.

– Naprawdę? – zdziwiła się Vee. – Właściciel slumsów postanowił pomalować korytarze?

– Opary mnie dobijają. Oczy wciąż mi łzawią.

– Więc zostań tu na noc – zaproponowała Vee.

– Może tak zrobię.

– Zostań na dwie noce. Zostań na zawsze. Wróć do domu. Nikt nie rozumie, dlaczego nie chcesz tego zrobić.

Lady spojrzała w głąb korytarza, w kierunku wiecznie zamkniętych drzwi do głównej sypialni. Długo nazywałyśmy ją pokojem zmarłych i umierających. Nasza babcia Karin wyzionęła w niej ducha po wielu latach cierpienia na nienazwaną chorobę, która – jak przypuszczamy – była rakiem, ale wtedy nikt nie wymawiał tego słowa na głos. Dwa tygodnie później zmarł tam również nasz dziadek Richard

– chociaż, technicznie rzecz biorąc, nie tyle zmarł tam, ile stamtąd: otworzył okno, podciągnął się na parapet, balansował przez chwilę, po czym wychylił się do przodu. Nasza matka siedziała akurat w swojej sypialni po drugiej stronie korytarza, odrabiając pracę domową z matematyki, kiedy usłyszała wrzaski sąsiadów przerażonych widokiem jego ciała mijającego kolejne piętra. Podobnie jak jej ojciec nasza matka nie zginęła dosłownie w tym pomieszczeniu, ale kiedy topiła się w rzece po drugiej stronie ulicy, pokój zmarłych i umierających był jej sypialnią.

– Nie wiem – przyznała Lady. – Czasami rzeczywiście myślę o tym, żeby wprowadzić się z powrotem. Ale ten dom jest trochę nawiedzony.

Delph pokiwała głową.

– Mnie to mówisz?

Chociaż Lady kompletnie sfuszerowała swoją próbę samobójczą, plan ponownie nabrał rumieńców mniej więcej o czwartej nad ranem, kiedy to, wciąż ubrana w sukienkę, wstała ze swojego starego łóżka, włożyła japonki, przygładziła włosy i ruszyła do drzwi wyjściowych. Zatrzymała się, zanim je otworzyła, i zajrzała do salonu, gdzie na stoliku kawowym leżała jej na wpół zjedzona kanapka z masłem orzechowym i galaretką, a pusta butelka po Southern Comfort leżała przewrócona na dywanie. Słyszała, jak Vee, Eddie i Delph posapują i pochrapują przez sen. Wyjrzała przez okno na park i rzekę Hudson, a potem popatrzyła nieco dalej na most Jerzego Waszyngtona – naszyjnik świateł płonący z okazji święta po dwóch latach oszczędzającej energię ciemności. Ale kiedy już znalazła się na dole w pralni, nie mitrężyła czasu. Ruszyła prosto do porządnych regałów, gdzie lokatorzy przechowywali kartonowe pudła z detergentami, opatrzone na bokach numerami mieszkań, i gdzie dozorca trzymał stare drewniane skrzynki po napojach wypełnione młotkami, gwoździami, przewodami elektrycznymi i szmatami, tego typu rzeczami. Było tu również kilka śrubokrętów krzyżakowych. Lady już je rozpoznawała.

Interesujące ją pudło zawierało kilka starych sznurów do bielizny. Wybrała biały woskowany, który wydawał się czystszy i mocniejszy niż reszta, było też mniej prawdopodobne, że poobciera jej palce albo szyję jak te konopne. Jej uwagę zwróciła poza tym obsesyjna schludność, z jaką był przechowywany: zwinięty skrupulatnie w ładną płaską spiralę przypominał sizalową podkładkę pod talerz.

W głowie usłyszała piosenkę: *A pretty coil is like a melody*. Zaczęła mieć wątpliwości co do tekstu. Czy *melody* to odpowiednie słowo? A może to było *memory*? *A pretty girl is like a memory*? Dopadło ją nagłe wspomnienie dotyczące Joego Hoppera, wspomnienie z ich szczęśliwszych lat, które obejmowały okres od jej pierwszego roku w college’u aż do uległej decyzji, aby go poślubić, podjętej

w semestrze wiosennym na trzecim roku studiów. Przypomniała sobie, jak ozdobił buchtował linę cumowniczą małych żaglówek, które czasami wypożyczali, żeby popłynąć na City Island. Buchtowanie liny oznaczało zwiniecie jej końca w ciasny płaski krąg, aby schludnie się prezentowała. To on nauczył ją tego określenia. Nie mógł uwierzyć, że tak niewiele wiedziała o żeglowaniu.

– Nowojorczyki myślą, że są tacy wyrafinowani – mawiał – ale prawda jest taka, że wszyscy jesteście na swój sposób burakami.

Myślała, że nie przeszkadza mu fakt, iż jest niewyrafinowaną nowojorkanką. Wiedziała, że lubił ją pouczać.

– Prawdopodobnie zastanawiasz się, dlaczego zadaję sobie tyle trudu – powiedział za pierwszym razem, kiedy zwinął cumę tak, żeby leżała na słonecznym pomoście niczym włochaty wąż trącający nosem własny ogon.

Szczerze mówiąc, nie zastanawiała się nad tym. Spoglądała na wyblakły horyzont, próbując odróżnić migrujące pasy bieli chmur od przytłumionego kręgu bieli będącego słońcem i szerokiego płótna bieli, które było niebem. Ale słuchała, kiedy tłumaczył. Wiedziała, że na tym polega jej zadanie. Nie przeszkadzało jej to. Lubiała się uczyć nowych rzeczy.

– To żeglarska tradycja – wyjaśnił. – Oznaka uprzejmości wobec następnego marynarza.

Powiedział to tak, jakby sam pochodził raczej z długiej linii marynarzy niż z długiej linii agentów ubezpieczeniowych. Powiedział to tak, jakby wyprawianie na morze mającej długość ośmiu stóp jolki raz czy dwa w trakcie każdego lata robiło z niego Johna Paula Jonesa albo Popeye'a. Kiedy miał piętnaście lat, rodzice siłą przenieśli go z lokalnej publicznej szkoły do męskiego prywatnego liceum w Nowej Anglii, takiego z obowiązkowymi niedzielnymi mszami, granatowymi marynarkami, krawatami w ukośne pasy oraz imponującymi statystykami dotyczącymi odsetka absolwentów kontynuujących edukację na uniwersytetach Ivy League. To tam nauczył się żeglować. Ale, jak później wyznał Lady, wylądował też w łóżku ze swoim współlokatorem, co wystraszyło go tak bardzo, że po roku wrócił do ko-edukacyjnego liceum w swojej rodzinnej miejscowości w stanie Connecticut, w przyjemnej dzielnicy na peryferiach chylącego się ku upadkowi fabrycznego miasta.

To był ten żenujący sekret, który wyjawiał jej tamtej nocy, sekret, który tak trudno było mu wyznać, że ugryzł się w wargę, próbując wydusić z siebie słowa. Seks z jego współlokatorem. Palili właśnie trawę na dachu Lehman Hall w małym kampusie college'u Barnard, kiedy jej to powiedział. Zaciągnął się jointem, wypuścił powietrze, przybrał pozę, a potem z tym wyskoczył. Nigdy nie powiedział o tym nikomu innemu, wyznał jej. Łzy zalśniły mu w oczach nie tylko dlatego, że się wstydził, ale też dlatego, że poczuł ulgę. I kiedy snuł te wynurzenia, przednimi zębami przygryzł wargę, a krew pociekła na jego bródkę, znacząc kilka

pasemek głębokim lepkiem mahoniem. Winiła te skąpe łzy – łzy soli fizjologicznej, łzy hemoglobiny – za to, że przyjęła jego oświadczyzny tamtej nocy. Objął ją ramieniem. Błagał ją, aby dochowała tajemnicy.

– Obiecuj mi, że nie powiesz nikomu – poprosił.

– Oczywiście, że nie powiem. Komu miałabym powiedzieć?

Spojrzał na nią z ukosa. Oboje wiedzieli doskonale, komu mogłaby powiedzieć.

– Moje siostry by się tym nie przejęły. Chyba wielu chłopców eksperymentuje w ten sposób?

– Ja nie eksperymentowałem – wymamrotał. – Robiłem, co musiałem. – Wyglądał ponuro i stanowczo, jakby przypominał sobie marsz na pole bitwy. – To nie był gejowski seks – powiedział. – To był seks więzienny.

Lady zabrała biały sznur do długiego stołu, gdzie lokatorzy składali ciepłe jeszcze ubrania świeżo wyjęte z suszarek. Siedząc na metalowym krześle, na którym planowała stanąć za kilka minut, zaczęła zwijać linę tym razem nie na płask, ale w trójwymiarze. Zwój przypominał kobrę unoszącą się z koszyka zaklinacza. I nie był to zaledwie ładny zwój, lecz taki, który miał przeznaczenie, funkcję, cel. Kiedy skończyła, popatrzyła na swoje dzieło z zadowoleniem. Jednocześnie nie potrafiła stłumić myśli: brak stryczka to dobra wiadomość¹⁴.

Nasz ojciec, wcześniej wspomniany Natan Frankl, urodził się w Monachium w rodzinie uczonych. Podobnie jak pozostali jej członkowie był wyjątkowo dobrze wykształconym mężczyzną, płynnie władającym licznymi językami. Kochał języki w sposób, w jaki inni mali chłopcy kochali psy albo jo-jo. Lubił się bawić słowami, lubił je zmuszać do sztuczek. „Angielski – powiedział Lady – to najlepszy język do zabawy”. Drugi był francuski. Włoski też się nadawał, szczególnie przy poezji, jako że wszystkie słowa się rymowały. Najgorszy był jego ojczysty niemiecki. Ojciec powiedział Lady, że właściwie nie mógł już dłużej znieść jego dźwięku. Bładł nawet na dźwięk słowa *Gesundheit*.

Chcemy przez to powiedzieć, że wiemy, iż nikt nie lubi kalamburów i gier słownych. Współczujemy wszystkim. Ale nie potrafimy się powstrzymać. To wina Natana Frankla.

Nasz ojciec był również chemikiem. To właśnie dzięki temu poznał Alterów. Ale podczas gdy rodzina naszej matki wcześniej opuściła Niemcy, rodzina naszego ojca pozostała tam tak długo, że już nie miała jak się stamtąd wydostać. Był naukowcem niezdolnym do interpretowania otaczających go danych – których dużo wtedy krążyło wokół niego – i skończył w jednym z obozów. Nawet nie wiemy w którym. Oto jak niewiele o tym wszystkim mówiono. Wiemy za to, że po oswobodzeniu został przeniesiony do obozu dla przesiedleńców, a kiedy później

zdołał dotrzeć do Ameryki – nie było to łatwe, Ameryka nie chciała przyjmować żadnych uchodźców – postanowił odszukać swojego starego przyjaciela Richarda Altera, czyli naszego dziadka. Nasz dziadek jednak już zdążył się zabić – wychodząc przez okno w pokoju zmarłych i umierających – więc Frankl zastał w domu tylko naszą matkę.

Taka właśnie była romantyczna historia ich po-znania.

W Nowym Jorku nasz ojciec mógł znaleźć pracę jedynie pośród innych Żydów na Siódmej Alei. Zaopatrywał firmy z branży odzieżowej w rozmaite zapięcia do ubrań: guziki i zatrzaski, haftki, szamerunki i brosze do kiltów. Zazwyczaj przynosił Lady do zabawy końcówki serii i wycofywane próbki. Zamieniała je w małe rodziny. Repusowane kotwicami mosiężne guziki do dwurzędowych kurtek marynarskich pełniły funkcję ojców. Pokryte jedwabiem guziki udawały matki. Malutkie białe guziczki, które można znaleźć na kołnierzykach, to były dzieci, niepotrzebne i w dużej mierze dekoracyjne, ale urocze.

Zanim trafił do obozu, Natan Frankl był przestrzegającym zasad wiary Żydem, później stał się cynicznym ateistą. W sobotnie poranki zabierał Lady i Vee do zoo w Central Parku. Vee w ogóle tego nie kojarzy – wciąż jeszcze jeździła w wózku – ale Lady pamięta, chociaż słabo. Lady jest jedynym kanałem łączącym Vee i Delph z głową rodziny. Tylko ona pamięta, jak wyglądał: w niczym nas nie przypominał ze swoją jasną karnacją i niebieskimi oczami. To Lady jest strażniczką jego kalamburów. Parodiowała jego parodiowanie niedźwiedzia polarnego w Central Parku; nasz ojciec i miś przechylający swoje wielkie głowy raz w tę, raz w tamtą. „Zupełnie jakby kołysał się do tajemniczej niedźwiedziej muzyki – powiedział nasz ojciec. – Tańczy, bo takie ma widzi-misię”. Opowiadała nam, jak się z tego zaśmiewali. Widzi-misię. Uważali, że to przezabawne.

W jednej z szuflad w komodzie – tej samej, w której trzyma śrubokręt z gumową niebieską rączką – Lady ma jego starą wizytówkę, miękką i wytartą. Napis na dole pod bezużytecznymi informacjami kontaktowymi głosi:

Szukasz dobrego zapięcia?

Dostaniesz guzik z pętelką!

Trzeba zatem wybaczyć Lady, kiedy mówi, że guzik ją to obchodzi, gdzie się podział nasz ojciec. Nie należy zbyt surowo oceniać Vee, kiedy wyjaśnia, że powodem, dla którego Natan Frankl nas opuścił, mogło być jego palindromowe

imię („Przekraczanie progu w tę czy w tamtą stronę dla niego to było to samo”) albo jego niemieckie nazwisko („Prawdopodobnie zostawił nas, żeby poszukać brakującego »e«”), albo jego odejście w ogóle nie miało nic wspólnego z imieniem czy nazwiskiem, lecz było związane z nawykami wyrobionymi w ciągu miesięcy spędzonych w obozie dla przesiedleńców przed przybyciem do Nowego Jorku („Wygląda na to, że przemieszczanie stało się jego hobby”). Nie można winić Delph za to, że kiedy każda z nas – Vee przy okazji małżeństwa, Lady po separacji, a Delph, gdy tylko osiągnęła pełnoletność – odrzuciła jego nazwisko na rzecz nazwiska matronimicznego, ona wielokrotnie charakteryzowała tę zmianę jako nic takiego, zaledwie niewielką alter-ację. Nie można przewracać oczami, kiedy nadużywamy części „alter”. Ta zabawa to wszystko, co człowiek, który nas zostawił, nam zostawił. Nie zapewnił nam niczego alter-natywnego, żadnego adresu biura buch-alter-yjnego. Najwyraźniej w żadnej z nas nie dostrzegł *alter ego* swego taty.

Dobra, dobra, przestaniemy. I tak już wyczerpał nam się repertuar. Nie mamy nic więcej do powiedzenia o naszym ojcu, nie mamy pojęcia, dokąd się udał. „Wyjazd służbowy”, oznajmiła nasza matka Lady – pozostałe były za młode, żeby pytać – ale po jakimś czasie, ponieważ nawet dzieci wiedzą, że wyjazdy służbowe kiedyś się kończą, a biznesmeni wracają do domu, i to często z prezentami, matka musiała wyznać nam niezadowolającą prawdę, a przynajmniej to, co utrzymywała, że było prawdą: nie miała bladego pojęcia, gdzie się podział. Pewnego dnia nie wrócił do domu z pracy, następnego dnia zdarzyło się to samo i tak dalej, i tak dalej, aż przestała na niego czekać. Zgłosiła sprawę gliniarzom – porządna obywatelka, zrobiła przynajmniej tyle, a przynajmniej tak twierdziła – a oni powęszyli trochę i donieśli, że najwyraźniej nie spotkało go nic niefortunnego, że gdziekolwiek był, tam on, dorosły mężczyzna, chciał być i że to już dłużej nie jest ich (ani, jak podejrzewałyśmy, nasz) interes. Mimo to w kolejnych latach Lady dalej naciskała, a wkrótce Vee i Delph do niej dołączyły. Wtedy matka zaczęła nam podsuwać możliwości: może popłynął z powrotem do Niemiec, może wciąż mieszkał w Nowym Jorku, ale z inną żoną i bardziej schludnymi córkami, których nie trzeba gonić do ślania łóżek. A może umarł? Nigdy nic nie wiadomo, gliniarze mogli się pomylić. Albo mógł żyć gdzieś i – znowu, kto wie? – może któregoś dnia postanowi wrócić do domu. Może z powrotem przekroczy ten próg, kiedy będziemy się tego najmniej spodziewały. „Co byście wolały?” – pytała na koniec, jakby jego los mógł zostać zdeterminowany przez głosowanie powszechne.

Nie będziemy zaprzeczać, że dorastałyśmy spragnione ojca, ale z biegiem lat otrząsnęłyśmy się z tego. Nikt nie odwiedzał psychoterapeutów częściej niż nasza trójka. Psychoterapia, ta nieskuteczna, choć sprawiająca przyjemność tradycja... Ja! Przez całych pięćdziesiąt minut rozmawiamy o mnie! W rzeczywistości jednak nie potrzebowałyśmy terapii z powodu ojca. W pewnym momencie, kiedy wciąż

byłyśmy małe, każda z nas przeszła przez dziecięcą wersję pięciu etapów żałoby: od zaprzeczenia poprzez gniew, targowanie się i depresję aż po zwariowane teorie spiskowe. Któregoś wieczoru, opuszczając biuro, spadł ze schodów i teraz cierpi na amnezję! Ponieważ mówił po niemiecku, został szpiegiem CIA i teraz heroicznie czai się za berlińskim murem! Cierpiąc na jakąś straszliwą i wysoce zaraźliwą chorobę, nie miał wyboru, jak tylko usunąć się w cień. Teraz wynajmuje pokój w budynku po drugiej stronie bocznej uliczki, na którą wychodzą okna sypialni zarówno naszej matki, jak i Lady. Każdej nocy obserwuje nas przez noktowizor i czuwa nad nami, kiedy śpimy: nasza matka w swoim łóżku, a my trzy ściśnięte jak śledzie w beczce w łóżku Lady.

Ale ze wszystkich teorii spiskowych naszą ulubioną, a przynajmniej tą, do której wciąż powracałyśmy, była ta, że w rzeczywistości zabiła go matka. Vee z szelmowskim uśmiechem zaproponowała tę możliwość któregoś wieczoru i wszystkim nam się spodobała. Lubiłyśmy spekulować, w jaki sposób matka, ta drobna kobieta, to samotne, osierocone dziecko, mogłaby tego dokonać i co zrobiła z ciałem. Podejrzliwie i z nowo odkrytym szacunkiem zaczęłyśmy mierzyć wzrokiem piec do spalania znajdujący się w przedpokoju.

Żeby było jasne, nasza matka nie zamordowała ojca. Nawet kiedy bawiłyśmy się tą myślą, wiedziałyśmy, że robimy właśnie to: bawimy się. Było coś katartycznego w wyobrażaniu sobie ojca martwego, a matki jako potężnej morderczynie. To dawało nam znacznie większą satysfakcję niż teoria, że ojciec patrzy na nas, kiedy śpimy, która, prawdę mówiąc, zaczęła nas przyprawiać o gęsią skórę, a Delph czasami miała przez nią koszmary. Za to myśl o kobiecie takiej jak nasza matka – kolejnej niskiej i biuściastej brzydkiej gąsce – pewną późną nocą zaciągającej mężczyznę do pieca do spalania, wydawała nam się raczej inspirująca. Terapeutyczna, można by rzec.

I jeszcze jedno, a potem już więcej nie wspomnimy o Natanie Franklu: tak naprawdę to nie ma znaczenia, czy wrócił do Niemiec, czy znalazł sobie drugą lepszą rodzinę, czy został posiekany na kawałki i nakarmiono nim piec. W tej chwili ważne jest tylko to, że był o wiele starszy od naszej matki, bliższy wiekiem jej ojcu niż jej samej, i jeśli nie zginął wtedy, to z pewnością teraz już nie żył. Zatem niezależnie od tego, która wersja ojcowych dziejów wam albo nam najbardziej się podoba, zakończenie będzie to samo. Możemy nie znać szczegółów, ale obiecujemy, że jego osoba nie pojawi się więcej w żadnym momencie naszej opowieści. Nalegamy, abyście o nim zapomnieli. Zapewniamy was, tak jak i nas zapewniano, że wyjdzie to wam na dobre.

Wróćmy więc do piwnicy, do tego, że brak stryczka to dobra wiadomość, do Lady stojącej na metalowym krześle, Lady uśmiechającej się nieśmiało i cierpko,

jakby była na scenie i chciała zasygnalizować swój stan umysłu widowni... Wyobraziła sobie, że ta widownia składa się z obojga naszych rodziców. Widziała, jak odwzajemniają jej uśmiech, ale ciepło, zachęcająco. Często myślała o tym – śniła o tym – jak chętnie i niepostrzeżenie każde z nich ją porzuciło. Teraz uświadomiła sobie, jak chętnie i niepostrzeżenie ona porzuca Vee i Delph. Chociaż różnica była taka, że Vee i Delph jej nie potrzebowały. Vee miała Eddiego. Delph miała ich oboje.

Być może każde z naszych rodziców myślało sobie to samo: „Dziewczynki mnie nie potrzebują. Mają siebie nawzajem”. Albo być może – nowa koncepcja przyszła Lady do głowy – wcale nie mieli zamiaru nas zostawiać. Być może chcieli, abyśmy podążyły ich śladem. Tak jak Lady robiła to teraz. Być może ostatecznie wcale nie została porzucona; po prostu zgubiła się na jakiś czas.

DNA niczym trop z okruszków chleba. Samobójstwo jako zbawienie. Zalał ją smutek na myśl o własnej osobie i właśnie to uzalenie się nad sobą, ta najpyszniejsza z emocji sprawiła, że popłynęły jej łzy. Aby odpędzić emocje, postanowiła pomyśleć o czymś innym i raz jeszcze przyjrzała się swoim motywom. Była sama. Była samotna. To był jej codzienny dylemat: nie chciała dzielić z nikim życia i nie mogła znieść przeżywania życia w samotności. Poza tym była uwikłana w „związek” z dentystą, który zdawał się jej nie lubić, a jej zachowania mogły przysporzyć bólu żonie dentysty – Patty, imię tej kobiety brzmiało „Patty” – gdyby się o nich dowiedziała. Ukarać samą siebie za krzywdzenie Patty – to był wystarczający powód, aby zrobić to, co zamierzała. Nie wspominając już o tym, że rozorała śrubokrętem nos człowiekowi, który ocalał z Holocaustu.

No i miała jeszcze wiele innych powodów. Była z gruntu niezdolna do troszczenia się o siebie, a nawet, najwyraźniej, do odbierania telefonów, przechodzenia przez ruchliwe skrzyżowania czy kupowania prostych narzędzi. W mieszkaniu miała karaluchy i osłonę przełącznika w równie samobójczym nastroju jak ona sama. Poza tym zdecydowanie istniała możliwość, że była alkoholiczką, co oznaczałoby, że powinna zrezygnować z picia, a niby dlaczego miałyby chcieć żyć w taki sposób?

Ale chociaż lista motywów wydawała się niewyczerpana, jednocześnie każdy z nich był nicnieznaczący. Znowu wróciła do punktu wyjścia. Musiało nią kierować coś innego, coś niewypowiedzianego... Zaledwie wrażenie, zaledwie chęć, ale bardzo silna. Coś, z czym ani Joe, ani dentysta, ani żona dentysty, ani właściciel sklepu żelaznego nie mieli nic wspólnego.

Żałowała, że tak jest. Wolałaby, żeby powodował ją żal albo poczucie winy. Wolałaby, żeby to był akt szczerzej pokuty. Ale to nie było to. Chodziło o coś innego. Wszystkie się z tym zmagaliśmy: jak wyjaśnić pragnienie popełnienia czynu, który większość ludzi uważa w najlepszym razie za patologiczny, a w najgorszym – za samolubny, ale zawsze za niezrozumiały. Czasami opisujemy

to jako voucher, który każda z nas dostała przy urodzeniu, jako kartę zwalniającą z więzienia, jeśli któraś zacznie odbierać swoje życie jako więzienie. Albo opisujemy to jako poziome światło – tak mówimy o świetle, które czasami zastępuje blask słońca, o świetle, które widzimy przez krótką chwilę praktycznie każdego dnia, o świetle, które nie jest złote, lecz srebrne, jak macica perłowa we wnętrzu muszli, i nie płynie z niebios, lecz sączy się zza linii horyzontu, przykrywając dzień opalizującym kocem i zapraszając nas, aby się podeń wślizgnąć. Nigdy nie wiadomo, kiedy zobaczymy poziome światło; po-jawia się codziennie o innej porze. W większość dni zdarza się nam je przegapić – zazwyczaj przychodzi i odchodzi w mgnieniu oka – a niekiedy dostrzegamy je i zostaje z nami na dłużej, lecz jesteśmy w stanie je zignorować albo przynajmniej po jakimś czasie odwrócić od niego wzrok. Ale potem przychodzą takie dni, kiedy to jest niemożliwe. „O rany, poziome światło było dziś naprawdę silne” – westchnie jedna z nas, a pozostałe dwie powiedzą: „Ale wytrzymałaś”. A ta pierwsza przyzna: „Tak, cóż, dziś wytrzymałam. Kto wie, co będzie jutro?” – a wtedy wszystkie stwierdzimy: „Czy ktokolwiek wie, co będzie jutro?” – i odświeżymy sobie drinki.

Lady zrzuciła japonki i stanęła na krześle. Owinęła koniec sznurka wokół rury pod sufitem w sposób, w jaki przed podróżą owija się etykietkę identyfikacyjną wokół uchwytu torby. Pętlę nałożyła sobie na szyję. Nogi się jej trzęsły, ale szło jej całkiem dobrze. To prawda, wciąż płakała, lecz nie szlochała; wiedziała, że wciąż płacze, tylko dzięki łzom na twarzy, jedwabistym, ale swędzącym. Brak stryczka to dobry stryczek – to będzie jej ostatni kalambur i jej ostatnie przyjemne doznanie: ciepło łez jak grochy ześlizgujących się po jej policzkach i skapujących z podbródka.

Stopy miała nagie i spocone. Wiedziała, że pewnie już przykleiły się do metalowego siedzenia krzesła i że pokonanie ssania będzie wymagało pewnego wysiłku, kiedy zrobi krok do przodu. Będzie musiała wziąć to pod uwagę przy swoich kalkulacjach.

Tak musiał się czuć olimpijski skoczek, obserwujący swoje ciało, trampolinę, basen. W idealnej pozycji szukający już tylko idealnego stanu umysłu, skupienia zen, odwagi, by głosić swoje przekonania. A potem zdolności, by powiedzieć: raz, dwa, trzy, teraz. Wydawało jej się, że stoi tam godzinami, czasami docierając do raz, czasami do dwa, ale nigdy do trzy, nigdy do teraz. Nabawiła się tylko zawrotów głowy tak silnych, że zaczęła się niepokoić, czy przypadkiem nie umrze od czegoś innego, czegoś związanego z sercem – od zawału albo tętniaka. Nie chciała odejść w taki sposób. Chciała mieć swoje miejsce w tabeli.

To właśnie ta myśl – zaciekle duma, rodzinna lojalność – doprowadziła ją do trzy, do teraz, do oderwania stóp od krzesła, najpierw tylko prawej, potem lewej. A kiedy już pod palcami u nóg nie czuła niczego poza powietrzem, piętą odkopnęła

krzesło.

I przypomniała sobie o Beefie.

Miała zwrócić oprawione zdjęcie psa do gabinetu dentysty. Zupełnie o tym zapomniała. Wciąż leżało w jej torebce, a jej torebka na górze, w naszym foyer.

W fascynującym spowolnieniu czasu, które nastąpiło po tym, jak krzesło wymysknęło się spod niej, i tuż zanim jej druga pięta przestała czuć pod sobą cokolwiek, Lady zdała sobie sprawę, że musi przerwać to, co robiła. Najpierw musi zająć się tym zdjęciem, odstawić je z powrotem na półkę. Nie miała ochoty na pośmiertne upokorzenie. Dentysta idący dalej przez życie, przywołujący wykradzione zdjęcie jako niewątpliwy dowód na to, że zginęła z pożądania do niego... Nie o to jej chodziło.

Wyciągnęła ręce, próbując się czegoś złapać, by powstrzymać opadanie ciała, ale nie było niczego takiego ani żadnej solidnej powierzchni, na której mogłaby stanąć. Nie mogła już nic zrobić, nie było drogi wyjścia, żadnego sposobu, aby się ocalić. Miała umrzeć.

I w tej najkrótszej, a jednocześnie najdłuższej chwili życia, zanim zaczęła kopać i młócić powietrze rękami, pojęła, że się myliła, że to jednak nie był jeszcze jej czas. Ale to objawienie nie zrobiło żadnej różnicy. Opadła całkowicie, a sznur był naprężony i nieprzejednany.

W swoich wyliczeniach nie wzięła jednak pod uwagę lat zaniedbania, jakich dopuścił się zarząd budynku. Nie zdawała sobie sprawy, że rurę, do której przywiązała sznur, tak naprawdę trudno było nazwać rurą, że była to zaledwie rdza w kształcie rury, i pękła na pół, gdy tylko poczuła jej pełen ciężar. Lady spadła nie w objęcia śmierci, lecz na betonową podłogę, na której wylądowała niezgrabnie. Usłyszała trzaśnięcie kości w lewej łydce, krzyknęła z szoku i fizycznego bólu. Jednocześnie z przelamanych końców tak zwanej rury popłynął na nią potok zimnej wody, nieprzerwany brutalny wodospad.

Żeby dotrzeć do windy, musiała się powlec po podłodze, która szybko zamieniała się w płytkie, lecz odrętwiwiająco lodowate jezioro zamieszkane nie przez ryby, ale przez kępy wielobarwnych kłaczek z suszarki i przemoczonych bezpieczeństwa skarpetek. Z kolei w windzie musiała się podciągnąć, chwycić barierki i wykorzystać całą siłę, jaką dysponowało jej słabowite ramię, żeby stanąć na zdrowej stopie i nacisnąć guzik na nasze piętro. Kiedy Delph na wpół śpiąca zareagowała w końcu na walenie do drzwi, znalazła Lady leżącą na brzuchu na starej wycieracze, przemoczoną, drżącą, skręcającą się z bólu, z dużymi płatkami rdzy na mokrych włosach i szyją owiniętą stryczkiem, którego biały ogon ciągnął się za nią po podłodze niczym wilgotna smycz. Delph sama zaczęła się trząść. Była wytrącona z równowagi jak zawsze, chociaż trochę mniej niż godzinę później, po piątej nad ranem, kiedy musiała wziąć taksówkę do Riverdale i spoglądając na skrawek papieru, na którym Lady nagryzmoliła adres i kod alarmowy, włamała się

do gabinetu dentystycznego, aby zwrócić zdjęcie psa. Drżała niekontrolowanie podczas likwidacji śladów przestępstwa swojej siostry. Była przekonana, że dentysta tuż po powrocie z pierwszego w życiu urlopu zechce zacząć pracę wcześniej i nagle pojawi się w drzwiach. Ale nie zrobił tego, a jej się upiekło. Wróciła do czekającej taksówki i kazała kierowcy jechać do Szpitala Świętego Łukasza.

– Zrobiłam to – poinformowała Lady leżącą na łóżku w korytarzu, czekającą, aż zwolni się miejsce w pokoju.

Vee i Eddie siedzieli na podłodze przy kółkach łóżka i oboje drzemali, Vee opierając głowę na ramieniu Eddiego.

Zamroczone środkami przeciwbólowymi, z czerwoną pręgą na szyi oraz nogą w gipsie Lady spojrziała na Delph. Mimo wszystko zdołała przemówić:

– Któregoś dnia to wyda nam się zabawne – wychrypiała.

12 Cytat z powieści Charlotte Brontë *Dziwne losy Jane Eyre*.

13 Cytat z utworu Samuela Becketta *Nienazywalne*.

14 To nawiązanie do znanego powiedzenia *No news is good news*, czyli „Brak wiadomości to dobra wiadomość”, w najwcześniejszej wersji przypisywanego królowi Anglii Jakubowi I. Mówi się, że królewski błazen tak irytował Jakuba swoimi kalamburami, że władca postanowił go powiesić. Jeden z dostojników przekonał go, by tego nie robił, a ułaskawiony błazen natychmiast skomentował całe zajście słowami: „Brak stryczka to dobry stryczek” (*No noose is good noose*). W efekcie został powieszony. Autorka łączy te dwa powiedzenia.

ROZDZIAŁ 5

1878

To na lekcjach tańca u *Frau* Geist chłopiec, który stanie się naszym pradziadkiem, po raz pierwszy kładzie dłoń na talii dziewczyny, która zostanie naszą prababcią. Naturalnie zostali dobrani w tę parę: dziewięcioletni Lenz Alter jest najniższym chłopcem na zajęciach, siedmioletnia Iris Emanuel jest najniższą dziewczynką. Mimo wszystko, kiedy rozmawiają, on musi zadzierać głowę. A konwersacja jest obowiązkowa. Konwersowanie w trakcie tańca, najlepiej po francusku, jest równie ważne jak znajomość kroków – to część poprawnej procedury. Poza tym to chłopiec musi rozpocząć rozmowę. Lenz trzyma więc na podorędziu odpowiedni tekst.

– *Bonjour* – mówi. – Nienawidzę tego głupiego tańca.

Dziewczęta zachęca się, by zadawały chłopcom pytania.

– *Quelle danse* preferujesz? – pyta Iris.

– Nienawidzę ich wszystkich.

– Nawet polki?

– No może nie polki.

– Wszyscy chłopcy lubią polkę. I mazurka.

– *En français!* – woła *Frau* Geist.

– To wszystko jest takie nudne – skarży się Lenz. Obraca partnerką raz, a potem znowu. – *Ennuie* – mówi.

– Ja udaję, że jesteśmy Ziemią – mówi Iris. – Ja jestem zachodnią półkulą, a ty wschodnią. Obracamy się wokół własnej osi, wirując po pokoju.

Lenz spogląda na centrum okręgu.

– To czyni z *Frau* Geist Słońce – mówi.

To bardzo zabawne, jeśli kiedykolwiek widzieliście *Frau* Geist, więc chichoczą jeszcze przez kilka obrotów.

Zanim taniec się skończy, Lenz zdąży już wysunąć dwie prośby: jedną, że następnym razem, kiedy zostaną sparowani, on będzie mógł zostać półkulą zachodnią, i drugą, żeby Iris za niego wyszła. Wszyscy inni chłopcy to robią – oświadczają się – chociaż nie jest do końca pewien, co się dzieje, jak już człowiek się zaręczy. Ale Iris najwyraźniej w ogóle nie zna tej zabawy.

– Jestem za młoda – mówi, marszcząc brwi w konsternacji.

On przewraca oczami, chociaż sam też jest zakłopotany. Improwizuje, dodając:

– Nie teraz, później.

– Kiedy?

Przeprowadza kilka obliczeń.

– W tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym – mówi. Będzie miał wtedy siedemnaście lat, ukończy gimnazjum.

– Ale co z uniwersytetem?

– Nie idę. Przejmuję interes ojca.

– Miałam na myśli *moi* – prostuje ona. – Co, jeśli ja będę chciała pójść?

Lenz niezbyt delikatnie informuje ją, że dziewczynki nie mogą uczęszczać na uniwersytet. Ona potrząsa głową. Wie o tym, mówi, ale jej ojciec twierdzi, że do czasu, gdy będzie miała szesnaście lat, zasady się zmieniają. „A jeśli nie – powiada jej ojciec – to cóż, na Boga. Oni dwoje je zmieniają”.

– W porządku – zgadza się Lenz. – Nie pobierzemy się, dopóki nie skończysz studiów.

– *Ça va* – kwituje ona.

Muzyka milknie. Wrócili do punktu na parkiecie, z którego rozpoczęli taniec. On się kłania. Ona dyga. *Frau Geist* klaszcze. Lenz pochyla się w stronę pary stojącej najbliżej, drugiego w kolejności najniższego chłopca i dziewczynki.

– Iris i ja jesteśmy zaręczeni – zwierza się.

– Brawo – gratuluje mu chłopiec.

Kiedy Iris wraca do domu, ogłasza swoje zaręczyny przy kolacji.

– I to by było na tyle – decyduje jej ojciec. – Koniec z lekcjami tańca.

1879–1881

Z eseju *Słowo o naszych Żydach* Heinricha von Treitschkego, profesora, historyka, deputowanego do Reichstagu i skrajnego konserwatysty:

Rok po roku z niewyczerpanej polskiej kolebki wlewa się przez naszą wschodnią granicę chmara pędzącej, handlującej portkami młodzieży, której dzieci i dzieci jej dzieci będą pewnego dnia rządzić niemieckimi giełdami i gazetami (...). To, czego musimy żądać od naszych izraelskich współobywateli, jest proste: powinni stać się Niemcami. Powinni czuć się, skromnie i stosownie, Niemcami.

Z broszurki *Drugie słowo o naszych Żydach* autorstwa Theodora Mommsena, profesora, filologa klasycznego, laureata Nagrody Nobla i ultraliberała:

Pozostawanie poza granicami świata chrześcijańskiego przy jednoczesnej przynależności do narodu niemieckiego jest możliwe, lecz trudne i ryzykowne (...). Ten, komu sumienie nie pozwala wyrzec się judaizmu i zaakceptować chrześcijaństwa, postąpi stosownie, ale powinien być gotów na poniesienie konsekwencji (...). Przyjęcie do dużego narodu ma swoją cenę. Obowiązkiem Żydów jest wyrzeczenie się swoich szczególnych cech (...). Muszą podjąć decyzję i zburzyć wszelkie bariery pomiędzy sobą a niemieckimi rodakami.

Z umysłu Lenza Altera, lat dwanaście: „Na czym polega problem? Wszyscy opowiadają się albo za von Treitschke, albo za Mommsenem, tymczasem Len-zowi wydaje się, że obaj mężczyźni są zgodni. Fakt, von Treitschke nienawidzi Żydów, podczas gdy Mommsen tylko ich podejrzewa. Ale obaj opowiadają się za tym samym rozwiązaniem: nienawiść i/lub podejrzliwość znikną, jeśli Żydzi staną się prawdziwie i całkowicie Niemcami. Nad czym zatem tu debatować? Na czym polega niezgoda? Gdzie jest konflikt? Biorąc pod uwagę, że obaj ci mężczyźni, szanowani i uczeni niemieccy patrioci, zgadzają się co do tego, co muszą zrobić Żydzi, aby stać się prawdziwymi Niemcami – to jest, po prostu wyrzec się judaizmu – cóż, Lenz nie rozumie, dlaczego to jeszcze nie zostało przeprowadzone. *En masse*, jako uroczystość, festiwal. Czy przed ludźmi kiedykolwiek postawiono mniej uciążliwe zadanie? Przecież ani on, ani jego ojciec, ani wujowie czy inni Żydzi, których zna, nie wykorzystują swojego judaizmu do niczego”.

Heinrich i Lenz siedzą w jadalni przy stole z polerowanego orzechowca, z zasłonami zaciągniętymi, przestrzegając zwyczajowej ciszy podczas posiłku. Nowa gosposia wchodzi, kołyszając biodrami. Najwyżej siedemnastoletnia, trzyma wazę z zupą nisko przy biodrze, jakby była dójką wracającą z obory. Heinrich obserwuje nadmiernie długi i nieco ryzykowny łuk jej chochli, podczas gdy przelewa gorący rosół z wazy do miski. Zastanawia się, czy powinien ją upomnieć, kiedy Lenz niespodziewanie przemawia:

– Mam pytanie z dziedziny filozofii i wychowania – mówi.

– Czyżby? – pyta Heinrich.

– Ojej – dziwi się gospodyni.

– Zastanawiałem się nad tym... Skoro dwaj z moich trzech ojców – zważywszy na ogólny konsensus – nie są w stanie szczęśliwie koegzystować, którego z nich powinienem zadowolić: kanclerza Bismarcka czy Boga?

– Myślałam, że Bismarck jest Bogiem – wtrąca gosposia.

Heinrich, który lubi, kiedy jego gospodynie zachowują się cicho i nabożnie, szczególnie *vis-à-vis* Bismarcka, postanawia, że wieczorem ją zwolni. Okaże się jednak, że po kolacji tak go rozproszy ponowna lektura Mommsena, iż kompletnie o tym zapomni. I tak od słowa do słowa w ciągu roku ożeni się z gosposią, a Lenz będzie miał macochę ledwie pięć lat starszą od niego. Będzie to wymagało z jego strony znacznej korekty fantazji, którym oddawał się, od kiedy pojawiła się w domu.

– To nie jest kwestia albo-albo – mówi Heinrich. – W tym domu trzymamy się naszej flagi. Jesteś pruskim żydem, który robi to, co ja mu każę. Tak więc twoi ojcowie koegzystują.

Dopiero następnego wieczoru Heinrich nagle odkłada nóż i widelec i mówi, jakby od poruszenia tematu nie upłynęło tyle czasu:

– Powiem tylko tyle i powiem to tylko raz: zmień wyznanie, a stracisz tego ojca.

Znowu podnosi sztucce i atakuje swoją kolację – to jedyna przemoc, na jaką pozwala mu religia. Mężczyzna, który nie praktykuje swojej wiary, trzyma się jej mimo wszystko. Dla Lenza to nie ma sensu; nigdy nie będzie miało. Na razie jednak się wycofuje.

– Nie powiedziałem, że zamierzam zmienić wyznanie – mamrocze. Chciałby dodać coś jeszcze, ale teraz nie może: że jeśli zmieni wiarę, to tak, może stracić Heinricha. I oczywiście o tym Jehowie, o którym słyszał tak dużo, ale nigdy tak naprawdę nie został mu przedstawiony, też będzie musiał zapomnieć. Ale Lenz nie zostałby całkowicie osierocony. Wciąż miałby najlepszego z całej trójki.

Czasami wyobrażamy to sobie wyryte w korze drzewa: Otto von B. + Lenz A. = WNM.

1890

Z artykułu *Stosowna suknia do tańczenia walca* autorstwa Alana Dodswortha, mistrza tańca:

Wiele dam zakłada już na wieczorne tańce suknię sięgającą podbicia, podczas gdy pozostałe wciąż upierają się przy długich, ciągnących się trenach. Tym, które przywdziewają tren do tańca w kręgu, zaleca się, aby przytrzymały go w górze (...), jako że wleczenie go po posadzce sali balowej zagraża trwałości szaty, nie wspominając już o życiu innych tancerzy.

Śmierć z winy sukni balowej... Iris Emanuel nie zamierza tak skończyć. Poza tym wystarczy na nią spojrzeć i od razu wiadomo, że to taka dziewczyna, która nosi suknie sięgające podbicia. Skrócony rąbek, odsłonięty nosek bucika. Dzięki temu wygląda na odrobinę wyższą i odrobinę szczuplejszą. Nie żeby obchodziły ją takie sprawy. Obchodzi ją głównie to, że krótsza spódnica pozwala jej zerkać na stopy, kiedy próbuje opanować nowy krok u *Frau Geist*. Cieszy ją również możliwość bulwersowania za pomocą nowej mody tego typu kobiet, które konsekwentnie trzymają się powłóczystych szat – na przykład *Frau Geist*.

– Czarująco! Delikatnie! – *Frau Geist*, teraz już starszawa i jeszcze grubsza niż wcześniej, wciąż nosi krzykliwe żółte stroje. Wali laską w podłogę. – Z gracją, z gracją! Pora na posuwisty krok!

– I pora na pana młodego – szepcze partnerka Iris w tańcu, jej siostra Lily.

Iris spogląda w stronę drzwi. Stoi tam Lenz Alter w mundurze rezerwisty barwy błękitu pruskiego, z piersią dumnie wypiętą, głową trzymaną wysoko. Iris puszcza talię Lily, żeby mu pomachać. Nie widziała go, od kiedy wyjechał na uniwersytet trzy lata wcześniej. Po ukończeniu gimnazjum rozpoczął pracę w fabryce barwników, dokładnie tak, jak jej zapowiedział, kiedy byli dziećmi, ale wprowadził tam jakąś sprytną innowację, która z kolei spowodowała jakąś totalną

katastrofę skutującą utratą całodziennej produkcji syntetycznego fioletu krystalicznego. Ojciec zwolnił go więc i posłał do Berlina, dokąd Lenz chciał się udać od samego początku. Tam studiował chemię, ale tylko przez jeden semestr. Następnie przeniósł się do Heidelbergu, gdzie wytrwał zaledwie przez lato. Teraz w końcu zaczął odnosić niejaki sukcesy na politechnice w Charlottenburgu.

Jeszcze zanim opuścił Breslau, Iris spotykała go bardzo rzadko. Flirtowali na przyjęciach czy koncertach, w salonach wspólnych znajomych albo w holach teatrów, opierając się o ściany zmiękczone przez jedwabny adamaszek. Dyskutowali o polityce i nauce. On lubił rozmawiać o Goethem, ona wyrosła z Goethego znacznie wcześniej, ale z radością słuchała Lenza i od czasu do czasu zadawała jakieś pytanie. Prędzej czy później jednak on się kłaniał (przesadnie, niepoważnie), całował jej dłoń i powracał do tej dziewczyny, z którą akurat przyszedł, innej za każdym razem, ale zawsze ładniejszej niż Iris i kipiącej z zazdrości gdzieś w kącie.

Teraz jest tutaj sam i tylko Lily kipi z zazdrości. Siostra zdecydowanie przytrzymuje Iris, okręca nią z nadmiernym zapałem. Konieczność zachowania równowagi powstrzymuje Iris przed oderwaniem się od niej i natychmiastowym ruszeniem na spotkanie Lenzowi. Kiedy muzyka milknie, Lily bierze Iris pod ramię i eskortuje ją do niego, próbując kontrolować krok siostry. Ale nie może zrobić wiele więcej.

– *Unteroffizier* Alter – mówi oficjalnie, skłaniając głowę, dając przykład Iris, ale ta wykrzykuje:

– Lenz! – i to by było tyle, jeśli chodzi o dobre wychowanie i powściągliwość.

On posyła jej promienny uśmiech. Całuje jej policzki. Jest wyższy, niż go zapamiętała, chociaż wciąż pozostaje niskim mężczyzną. Mimo to teraz to ona musi unosić podbródek, żeby spojrzeć mu w oczy, głęboko brązowe, ze złotymi akcentami, wystarczająco ładne, aby mogła udać, że nie widzi jego mniej szczęśliwych cech: rzędzących już jasnobrązowych włosów – chociaż to, co z nich zostało, jest tak kędzierzawe, że sterczy jak krzew – nosa tak wydatnego, tak żydowskiego, że jego binokle wydają się o rozmiar za małe, gotowe w każdej chwili puścić go i wystrzelić w powietrze. Iris nie przeszkadza przeciętna aparycja Lenza. Jest oczarowana jego entuzjazmem, jego radością na jej widok.

– To ostatnie miejsce, w którym spodziewałbym się ciebie spotkać – mówi on. – Myślałem, że zakazano ci tańca wiele lat temu. Zupełnie jak katolikom w Wielki Piątek.

– To nie taniec przeszkadzał naszemu ojcu – wtrąca Lily. – Po prostu nie podobało mu się, że w wieku sześciu lat wróciła do domu, opowiadając o małżeństwie.

– Miałam wtedy siedem lat – protestuje Iris, po czym zwraca się do Lenza: –

T y nie spodziewałaś się zobaczyć tutaj m n i e? Wyobraź sobie, jak ja się czuję! Myślałam, że jesteś w Charlottenburgu.

„Tak”, mówi, odwracając się od Lily, a skupiając się na Iris. „Tak, jego studia”. Charlottenburg okazał się całkiem stymulujący, zarówno intelektualnie, jak i towarzysko. Ale oczywiście jego wcześniejsza praca w Heidelbergu z Bunsenem była zdecydowanie bardziej pasjonująca. To fascynujące, móc pracować ze starszym w własnej osobie. A teraz zrobił sobie roczną przerwę w nauce, by dopełnić służby wojskowej. Właściwie to w tej samej jednostce rezerwowej, do której kiedyś należał Bismarck. To było wspaniałe doświadczenie: rezerwa. Podróże, opera, teatr... Niezwykły kraj, Niemcy. Nie ma takiego drugiego.

– *Quelle chance* – mruczy Lily – że wszyscy się tu urodziliśmy.

Przyjechał teraz do Breslau na kilka tygodni, ciągnie. Pomyślał, że zajrzy do Geist, podłapie najmodniejsze kroki i zawiezie je do Berlina.

– Serio? – dziwi się Iris. – Naprawdę myślisz, że tutaj powstają wszystkie nowe tańce?

On się uśmiecha. Ona się czerwieni.

– Och. Droczyś się ze mną.

– Cóż, w każdym razie – mówi on – oto znowu jesteśmy tutaj razem.

– *Quelle coincidence* – warczy Lily, odwraca się na pięcie i odchodzi.

Zajmuje miejsce przy ścianie, krzyżuje ręce na piersi i odruchowo robi coś nie do pomyślenia: zakłada nogę na nogę.

– Nie przejmuj się nią – mówi Iris. – Miała nadzieję, że nauczy się nowego walca, ale wie, że wolę zatańczyć z tobą.

– Jesteś pewna? – pyta on. – Ja nie znam nawet starego.

To okazuje się nieprawdą. Lenz Alter, lat dwadzieścia jeden, kładzie dłoń na talii dziewiętnastoletniej Iris Emanuel i przez resztę wieczoru obracają się i wirują wokół wiekowego wzdętego słońca, jakim jest *Frau Geist*, od czasu do czasu zerkając na zimną odległą planetę, jaką jest Lily. Jej rozdrażnienie potęguje ich przyjemność, bo czują, jakby robili coś nieprzyzwoitego.

Starszy i mądrzejszy, Lenz nauczył się cierpliwości. Tym razem czeka tydzień, zanim się oświadczy. Łzy i udręka! Ona go kocha, Iris zwierza się Lily. On jest taki czarujący, taki zabawny. Tak wiele ich łączy. Dwoje krótkowzrocznych, świeckich i oczywiście odznaczających się wysoką kulturą umysłową Żydów z Breslau z pasją do nauki i łączną sumą czterech lewych nóg. Ale to nie jest odpowiedni moment.

– *Bien sûr* – mówi Lily. – Znasz go dopiero od siedmiu dni.

– Znam go całe moje życie.

– Widywałaś go na ulicach całe swoje życie, od czasu do czasu rozmawiałaś z nim przez jakieś dziesięć minut, po czym on wracał do dziewczyny, którą wolał od ciebie. Wcale go nie znasz. A teraz wrócił, popisując się znajomością

z Bunsenem. Skoro był z nim tak zaprzyjaźniony, to dlaczego opuścił Heidelberg? Bo nie jest taki mądry, jak każe ci wierzyć. Poza tym czy zauważyłaś, że już łysieje? Przyjmij moją radę: dziewczyna taka jak ty powinna poślubić błyskotliwego mężczyznę o gęstych włosach.

Iris rzeczywiście odrzuca oświadczyńy, ale nie ze względu na którąś z tych wad wymienionych przez Lily.

– Wciąż masz jeszcze rok do ukończenia doktoratu – argumentuje, kiedy spacerują nad rzeką. – Nie powinieneś się żenić, dopóki nie będziesz miał go w kieszeni. A ja z pewnością nie poślubię nikogo, dopóki nie zdobędę swojego. Nie mogłabym spojrzeć sobie w oczy.

– Ponieważ kobietom w ogóle nie wolno uczęszczać na uniwersytet – mówi on – oznacza to, że w ten oto uprzejmy sposób dajesz mi do zrozumienia, że nie poślubisz mnie, dopóki piekło nie zamarznie?

Jakby dla zilustrowania jego słów sama Odra skrywa się pod grubą warstwą pobrużdżonego lodu. Iris kręci głową. Uważa się za optymistkę i reformatorkę.

– Piekło, jakim jest obecny system uniwersytecki, zamarznie i popęka lada dzień. Zobaczysz.

On jest nastawiony sceptycznie. Ona marszczy brwi.

– Czy przestałeś być liberałem w tej kwestii?

– Nigdy tak naprawdę nim nie byłem – przyznaje on – ale wciąż jestem Niemcem i jako taki znam swoją wartość na tyle, aby nie obawiać się wykształconych kobiet. – Bez chwili wahania zatrzymuje się i recytuje: – „Panny miejcie na uwadze/Męski Niemiec dzierży władzę”.

Ona pyta, czy właśnie to wymyślił, a on przyznaje, że w rzeczy samej, właśnie w tamtej chwili, bez zastanowienia, to takie jego małe hobby: improwizowanie bohaterskich kupletów. Iris śmieje się i musi przygryzać wewnętrzną stronę policzka póty, póki nie przechodzi jej ochota, żeby rzucić się na niego, przywrzeć do niego, nalegać, aby zabrał ją gdzieś i dostarczył natychmiastowego, niemoralnego, namiętnego zaspokojenia. Wstyd jej to przyznać, ale prawda jest taka, że nawet w kwestii seksu i ilości czasu, jaki poświęcała na myślenie o nim, pragnienie go, bardziej przypominała chłopaka niż dziewczynę.

Szczęśliwe lata dziewięćdziesiąte

Rok później Lenz Alter kończy swoją dysertację. Pisze o tym do przyjaciela: „To był godny politowania wysiłek, ale że już wszyscy mieli mnie dość, zasiedliśmy wokół dużego stołu, popijając szampana i udając, że odwaliłem kawał wspaniałej roboty”. Otrzymuje doktorat z dziedziny chemii. Jest maj 1891 roku. Ma dwadzieścia dwa lata. Tymczasem Iris, dąsając się, uczęszcza do lokalnego seminarium nauczycielskiego i dwa lata później ze wstrętem akceptuje swój

dypłom. Jest maj 1894 roku; ma dwadzieścia trzy lata. Znajomi zatrzymują ją na ulicach. „Słyszałaś najnowsze wieści o swoim doktorze Alterze?” – pytają. Mówi, że nie słyszała i nie chce słyszeć. Ale i tak ją informują: Jest w Berlinie, nie potrafi sobie znaleźć posady na uniwersytecie: wstyd. Wrócił do Breslau i jest bezrobotny, bo jego ojciec znowu wyrzucił go z fabryki: niekompetentny. Znowu jest w Berlinie, gdzie nie przyjęto go do szkoły oficerskiej: Żyd. Jest w sanatorium w górach: wrak człowieka. „Powinnaś go odwiedzić”, mówią. Nawet Lily tak uważa. Nawet Lily się nad nim lituje.

Iris chodzi samotnie na długie zimowe spacerunki. Podkrada alkohol ojca. Sięga po stary tom Goethego. Jakoś znowu zaczął do niej przemawiać i to do tego stopnia, że kiedy łączy obie czynności – picie i czytanie Goethego – zaczyna szlochać. Uległa regresowi: znowu przeżywa rozpacz za każdym razem, gdy młody Werter się zabija. Myśli o zostaniu pisarką, o osobistym popełnieniu kilku literackich morderstw. Ale nie pisze niczego, nawet listu do Lenza. Boi się, że mógłby potraktować jakiegokolwiek wieści od niej jako zachętę do ponownych oświadczeń. Nie chce ryzykować, że znowu złamie czyjeś serce. Jego. Własne. „Jestem stoiczką”, myśli i wyrabia sobie nawyk zaciskania zębów, który prowadzi do chronicznych migren.

W końcu Lily przynosi do domu kolejne wieści. Lenz nawrócił się na chrześcijaństwo i – *quelle coincidence!* – ani się obejrzał, a został zatrudniony przez uniwersytet w Karlsruhe. Ach... i poznał tam kogoś. Jest zaręczony.

– *Quel soulagement!*16! – mówi Iris.

Przesypia bity tydzień, po czym czyta *Cierpienia młodego Wertera* po raz piąty czy szósty: eksperyment, który tym razem nie kończy się łzami.

– *Quel soulagement* – powtarza do ścian swojej sypialni. – Wreszcie mam za sobą romantyzm – informuje tę, pod którą stoi toaletka. – Od tej chwili liczy się tylko życie umysłowe.

Życie umysłowe, zaciśnięte zęby, migreny i ponure samozaspokajanie. Jest nowoczesną kobietą. Kilka tygodni później – to dopiero zbieg okoliczności – uniwersytet w Breslau zaczyna przyjmować kobiety. Czy jest jakiś haczyk? Oczywiście że jest. Kobiety mogą uczęszczać na zajęcia wyłącznie jako niemetrykularne wolne słuchaczki. Ale to lepsze niż nic i Iris natychmiast podchodzi do rygorystycznego egzaminu wstępnego przygotowanego wyłącznie dla kobiet. Zdaje go i rok po roku chodzi na zajęcia. Mija 1896, '97, '98. Ma dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat...

Jest rok 1898, a ona ma dwadzieścia siedem lat i wciąż jest dziewicą. Ma dyplom z nauczania, ale nauczanie jej nie interesuje. Pracuje jako guwernantka, ale nie lubi swoich młodych podopiecznych. Uczęszcza na zajęcia na uniwersytecie, lecz musi siedzieć z tyłu sali. „Proszę, czy mogłaby pani odzywać się nieco rzadziej?” – mawiają profesorowie. „Proszę, czy mogłaby pani ustąpić

prawdziwym studentom”. W pokoiku na poddaszu, który pracodawcy ledwie dla niej urządzili, żyje po spartańsku – jak przystało na stoiczkę – pisze do Lily, i popija w łóżku. Uczy się rozwadniać ich szkocką, przemycać ich gin do porannej kawy. Stara się nigdy nie wymawiać na głos jego imienia, choć czasami jej się wymysknie:

– Jakież nowe wieści od naszego przyjaciela Altera? – pyta wspólnego znajomego pewnego wiosennego dnia. – Jest już żonaty? Ma dzieci?

– Kto, Lenz? – dziwi się przyjaciel. – Nie słyszałaś? Zerwał zaręczyny już jakiś czas temu.

Szykując się do uwiedzenia mężczyzny, niektóre kobiety kupują nową sukienkę albo zmieniają fryzurę. Iris Emanuel przechodzi na chrześcijaństwo. I tak miała w końcu się za to zabrać. Teraz ma powód, aby napisać do Lenza.

Ten odpisuje, chwając Żydów, którzy deklarują stuprocentową lojalność wobec Niemiec, po czym opowiada jej o swojej nowej narzeczonej. „Szalony romans” – pisze. – „To w moim stylu, jak wiesz. Widzę coś, czego pragnę, i myślę sobie: »Dlaczego miałbym zwlekać?«. Polubisz ją, jestem tego pewien”. Zanim Iris zdąży rzucić się w odmęty Odry – albo obciąć włosy, przywdziać garnitur, zmienić imię na Heinz i raz jeszcze aplikować na uczelnię jako mężczyzna – dowiaduje się, że w piekle można już jeździć na łyżwach: uniwersytet w Breslau postanowił zmienić zasady i pozwolić kobietom na podchodzenie do nowego, jeszcze bardziej brutalnego egzaminu wstępnego przeznaczonego tylko dla kandydatów płci żeńskiej. Przyjęte studentki będą mogły dążyć do zdobycia stopnia naukowego. Iris jest pierwszą kobietą, która przystępuje do egzaminu, pierwszą, która go zdaje, pierwszą, która zaczyna robić doktorat z chemii. W gazecie pojawia się artykuł o tym osiągnięciu, a wraz z nim fotografia: Iris wlepia wzrok w swoje stopy, jakby była u *Frau Geist*, podczas gdy Zindel Emanuel spogląda prosto w obiektyw i szczyrzy zęby w uśmiechu. Zindel wycina artykuł, oprawia zdjęcie, umieszcza je, szare i ziarniste, na półce nad kominkiem pomiędzy ślubnymi portretami Rose i Lily.

– Ojciec i syn – tytułuje fotografię Lily.

Matka nie żyje już od dziesięciu lat, więc Iris, tak jak Lenz, jest w połowie sierotą. I podobnie jak Lenz ma więcej niż jednego biologicznego ojca do zadowolenia. W jej przypadku nie chodzi o Bismarcka ani tym bardziej Boga. Jej drugim ojcem jest – jakże stosownie – jej *Doktorvater*, promotor pracy doktorskiej, zajmujący się teorią wiązań walencyjnych Richard Lehrer. Lehrer w niczym nie przypomina Bismarcka. Jeśli Bismarck był żelaznym kanclerzem, to Lehrer jest jedwabnym profesorem. Słodki i łagodny, poddajesz się jego woli nie dlatego, że jest władczy, lecz dlatego że pozwala ci myśleć, iż okazujesz własną. Richard

Lehrer jest też przystojnym mężczyzną, wysokim i szczupłym, Żydem o tak aryjskim wyglądzie, że nie zwracał sobie głowy zmianą wyznania. Jasne włosy nosi krótko przycięte, a wąs gęsty, wywoskowany i podwinięty na końcach. Ma różową bliznę od pojedynku ciągnącą się od lewego płatka ucha do miejsca, gdzie kończą się wąsy, a rozdzielają usta. Jest zaledwie półtora roku starszy od Iris, ale wyprzedza ją o wiele lat pod każdym względem: kariery, reputacji, opublikowanych książek, stażu małżeńskiego, dzieci.

Przy ich pierwszym spotkaniu ujmuje obie jej dłonie w swoje i mówi:

– Obiecuj mi, że nigdy nie wyjdiesz za mąż.

Iris jest zbita z tropu. Aż do tej chwili zakładała, że kiedyś to zrobi. Najpierw doktorat, potem prestiżowa pozycja w Berlinie albo Charlottenburgu czy choćby tutaj, u Lehrera, i w końcu małżonek, rodzina, kompletne życie, zupełnie takie jak jego. Chociaż tylko jedno dziecko. Ostatecznie będzie pracowała poza domem. Ale teraz, z dłońmi ukrytymi w jego dłoniach, Iris rumieni się ze wstydu na myśl o własnej ograniczonej wizji, na myśl o konwencjonalnych przekonaniach, którym ulegała, chociaż wcześniej nigdy nie zdawała sobie z tego sprawy. Zresztą sam ten akt – ujęcie jej dłoni, spojrzenie jej w oczy, gorąca prośba o zobowiązanie na całe życie – przypomina propozycję małżeństwa.

– Nie wyjdę – przysięga ona. – Czekałam całe życie, żeby tu trafić. Chcę być naukowcem bardziej niż kimkolwiek innym.

Jest szczerą, ale on jej nie wierzy.

– Albo – dodaje, jakby nie słyszał jej słów – jeśli pewnego dnia poczujesz absolutną konieczność zawarcia małżeństwa, obiecuj mi, że nie pogorszysz sytuacji, wychodząc za naukowca mniej utalentowanego od ciebie.

– To akurat łatwo obiecać – mówi ona. – Nigdy nie zainteresowałabym się takim mężczyzną.

Lehrer się uśmiecha. Jej dłonie pozostają zamknięte w jego dłoniach.

– Mamy wspólnego znajomego – oświadcza. – Przez pewien czas w Berlinie chodziłem do grupy z Lenzem Alterem.

Ona czuje, że znowu się czerwieni.

– Lenz Alter – powtarza. – To dopiero byłaby katastrofa.

Dopiero wtedy on puszcza jej dłonie.

Zaprasza ją do swojego domu na kolację. Iris zaprzyjaźnia się z jego żoną. Nie jest zazdrosna o Marthe. Nie planuje uwieść Richarda Lehrera. Wszystko, czego chce, to być jego ulubioną studentką, jego niezastąpioną asystentką laboratoryjną, jego uwielbianą współpracowniczką, współautorką jego artykułów, od czasu do czasu towarzyszką od kieliszka i osobą, z którą będzie rozmawiał do późna w noc o teorii walencyjności i jej fascynacji: solach rozpuszczalnych. To prawda, jakaś jej część nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby los pokierował sprawami tak, że skończyłaby jako jego druga żona – i jest doskonale świadoma

tę, o którą jej część dokładnie chodzi – ale życzenie sobie tego byłoby przecież nieetyczne. Po pierwsze, obiecała mu, że nie wyjdzie za mąż. Po drugie, to byłoby równoznaczne z życzeniem śmierci Marthe, bo zanim Iris jest w stanie wyobrazić sobie jego wargi na swoich wargach, jego ręce pod jej ślubną nocną koszulą, najpierw musi w fantazjach uśmiercić Marthe. Inaczej to nie działa; nie potrafi rozkoszować się fantazją, jeśli musi sobie wyobrażać, że on zdradza żonę, rozwodzi się czy nawet jest kawalerem, który nigdy nie poślubił innej kobiety.

Nie, jeśli Iris chce fantazjować o Richardzie Lehrerze – a najwyraźniej ma na to ochotę każdej nocy – najpierw musi sobie wyobrazić tragiczną, lecz efektywną chorobę, która kończy życie Marthe gwałtownie, ale bez nadmiernego cierpienia. Dopiero wtedy po wstrząsającym – no i bezbolesnym – zgonie tej kobiety Iris może zacząć sobie wyobrażać najpierw oświadczyzny Lehrera („Tamtego dnia, kiedy poprosiłem cię, żebyś nigdy nie wychodziła za mąż, zrobiłem to tylko dlatego, że od chwili, kiedy cię ujrzałem, wiedziałem, że chcę cię tylko dla siebie”), następnie rok obyczajnego czekania, a w końcu ich uroczy ślub i wreszcie, wreszcie... seks.

Podsumowując, Iris musi leżeć w łóżku, planując skomplikowany pogrzeb, i wyobrażać sobie Richarda noszącego żałobę przez pełen rok, żeby nikt, nawet żadna z postaci zamieszkujących jej prywatne fantazje, nie winił jej za zbyt szybkie poślubienie męża Marthe. Czasami dotarcie do momentu, w którym w końcu się żenią i wyruszają w podróż poślubną, zajmuje jej tyle czasu, że zapada w sen, zanim wsiądzie do wymagowanego pociągu do Włoch czy Hiszpanii. Następnego ranka budzi się pełna obrzydzenia do siebie. Jaką to niby wolnomyślicielką jest kobieta, która zachowuje dziewictwo nie tylko w prawdziwym życiu, lecz także w seksualnych fantazjach?

Grudzień 1900

W ostatnim miesiącu roku, który – technicznie rzecz biorąc – jest ostatnim rokiem dziewiętnastego stulecia, ale generalnie bywa uważany za pierwszy rok XX wieku, Iris Emanuel otrzymuje doktorat z chemii. Jest pierwszą kobietą, której udaje się to na uniwersytecie w Breslau. Kończy studia z wyróżnieniem. W lokalnej gazecie pojawia się o niej kolejny artykuł. Na towarzyszącej fotografii ona i Richard Lehrer wymieniają uścisk dłoni.

– Ojciec i córka – tytułuje fotografię Lily.

Iris nie potrafi powstrzymać sprzeciwu.

– Lehrer i ja mamy teraz ten sam stopień naukowy, pracujemy w tej samej dziedzinie i nad tymi samymi zagadnieniami, jesteśmy też zbliżeni wiekiem. Nie traktuję go jak ojca. On nie traktuje mnie jak córki.

– Oczywiście że nie traktujesz – komentuje Lily. – Oczywiście że on tak.

Jej siostra Rose ma mniej do powiedzenia.

– *Fräulein Doktor?* – kręci głową. – Daj mi znać, kiedy będę mogła zwracać

się do ciebie *per Frau*.

1901

Następnego lata Iris wsiada do pociągu, który zabiera ją na konferencję elektrochemiczną we Freibergu. Jest zainteresowana wykładami, ale jeszcze bardziej jednym z wykładowców. Próbowwała już tradycyjnych sposobów, żeby zapewnić sobie posadę na uniwersytecie, nadeszła pora, aby uciec się do seksu.

– Jakże się cieszę, że to słyszę – komentuje Lily na stacji w Breslau.
– Nie sądziłam, że można cię tak łatwo zaskoczyć.
– Nie jestem zaskoczona – zapewnia Lily. – Ale lepiej żeby tatuś i Rose się o tym nie dowiedzieli.

Iris się uśmiecha. Kilka dni wcześniej skończyła trzydzieści jeden lat.

– Jeśli się dowiedzą, po prostu powiedz im, żeby traktowali to jak nowoczesną rozmowę o pracę.

W pociągu Iris pisze kilka listów do Richarda Lehrera: „Nie ukrywam, dlaczego zaakceptowałam zaproszenie Altera. Nie planuję złamać obietnicy danej tobie. Chodzi o to, że po prostu jestem już zmęczona wykładami na temat chemicznych właściwości środków czyszczących prowadzonymi w klubach dla pań. Oto mam doktorat, a wciąż popijam herbatkę i skubię ciasteczka w dusznych salonach”. Co chciałaby dodać, ale nie może: „I właśnie dlatego zamierzam się sprostytuować w zamian za stanowisko wykładowcy na uniwersytecie w Karlsruhe.

Herbata, ciasteczka, koła gospodyń domowych i uporczywe dziewictwo – chce skończyć z tym wszystkim. Zapłata w warkocz i elegancko upina miękkie, delikatne włosy, zazwyczaj związane na czubku głowy w niedbały kok. Kupuje nową sukienkę. Dzięki umiejętnościom nabytym podczas częstego podkradania butelek alkoholu z szafek innych ludzi przywłaszcza sobie flakonik perfum „White Heliotrope” należących do Lily. Nie żeby siostra nie podarowała jej ich chętnie, gdyby tylko Iris poprosiła. Chodzi jednak o to, że Iris była zbyt zażenowana, aby poprosić. Waha się między prowokacją a wstydem.

Wysyła kolejne listy do Lehrera na stacjach wzdłuż trasy. Stojąc na tych peronach, spogląda na pasażerów jadących w drugą stronę, tam, skąd ona przybyła. Ale kiedy rozlega się gwizd, wraca do swojego przedziału. Nakłada na skórę jeszcze odrobinę perfum.

Zauważa Lenza, gdy tylko wkracza do hotelowego lobby, zmęczona i w nieładzie, ale pachnąca we wszystkich miejscach o wyczuwalnym tętnie. On siedzi na granatowej aksamitnej sofie z pikowanym oparciem, nogi ma skrzyżowane. Udaje, że jest pochłonięty lekturą gazety, udaje, że nie obserwował jej przybycia. Dopiero kiedy ona stuka palcami w tył dziennika, opuszcza go i podnosi wzrok, udając zaskoczenie. Dopiero wtedy wstaje i bierze ją w objęcia, całując oba zarumienione policzki, recytuje bohaterski kuplet, który ona ma wziąć

za spontanicznie skomponowany.

Później, kiedy leżą razem w jego łóżku, a Iris zastanawia się, jak zagaić rozmowę o możliwościach zawodowych, Lenz oświadcza się jej po raz trzeci. Nie spodziewała się tego. Serio, nie spodziewała się. Nic na to nie wskazywało. Wydawał się zaskoczony i nieco podenerwowany, kiedy powiedziała, że chce zobaczyć jego pokój, plotąc jakieś nedorzecznosci o tym, że mówcom konferencyjnym zawsze przypada lepszy widok z okna. Teraz, gdy jej głowa spoczywa na jego nagiej piersi, a on prosi ją o rękę, ona słyszy swój śmiech.

– Nie ma potrzeby kupować krowy w takim wieku – mówi. – Przyniosłam darmowe mleko.

– Iris... – oburza się on w jej imieniu.

– Spokojnie. Nie jestem jedną z tych dziewcząt, które zwykłeś zabierać na przyjęcia – zapewnia.

– Rozumiem. Nie jesteś taką dziewczyną. Rozumiem to.

– Już nawet nie jestem dziewczyną.

Czego Iris mu nie mówi, to tego, że nie mogłaby go poślubić. Złożyła obietnicę innemu: żadnego męża, żadnego gorszego od niej naukowca.

– Ja po prostu chyba nie wierzę w małżeństwo – tłumaczy. – Chociaż nie jestem przeciwna... – szuka odpowiedniego słowa – aliansom – przychodzi jej do głowy.

Jest zaskoczona widząc, jak go zraniła i upokorzyła. Zaczerwienił się, policzki zabarwiły mu się szkarłatem, w jego oczach zaczynają wzbierać łzy. Łzy i udręka! Musi odwrócić się do niej plecami, zebrać w sobie. Ale kiedy znowu na nią spogląda, uśmiecha się, nie szeroko, nie radośnie, ale słodko, jakby całe popołudnie nie było niczym więcej jak tylko jednym z ich tańców wokół Słońca.

– Dlaczego – pyta – gdzie spojrzę, widzę ciebie?

Peszy ją ten przeciętny chemik z jego licznymi narzeczonymi i załamaniem nerwowymi.

– Ale to ty zaprosiłeś mnie tutaj – mówi.

On kręci głową, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi – bo nie rozumiała – i zmienia temat:

– Może ubierzemy się i zejdziemy na kolację?

Iris twierdzi, że jest wykończona.

– Pociągi – wzdycha.

– Wiem.

– To sadza. Taka drażniąca. Moje oczy...

– Wyziewy mogą przyprawiać o zawroty głowy przez wiele godzin.

Zgadniają się, że odpoczną tego wieczoru oddzielnie. Spotkają się znowu jutro na kawę i ciasto przed pierwszym porannym wykładem.

– Dobranoc, *Fräulein Doktor* – mówi on.

I tak Iris zjeżdża kilka pięter do własnego pokoju, znacznie mniejszego, znacznie ciemniejszego. Zamyka drzwi i za pomocą myjki ściera z twarzy ślady podróży, perfumy z nadgarstków, Lenza z ud. Co się właśnie wydarzyło? – zastanawia się. I jaki będzie jej następny krok? Gobelinowa torba podróżna, którą pożyczyła od Lily, stoi na krześle, pozostawiona tam przez jakiegoś boya hotelowego. Iris rozpakowuje swoje rzeczy. Siada na materacu. Wypija uncję gratisowej *eau de vie* czekającej w kryształowej karafce na stoliku nocnym. Znosi karafkę i ładny mały kieliszek z rżniętego szkła do zlewu przy komodzie zwieńczonej szarym marmurowym blatem, opłukuje jedno i drugie, po czym stawia z powrotem na stoliku. Zamawia przez telefon *salade de truite fumée* i butelkę rieslinga. Kiedy chłopak w uniformie bardziej jarmarcznym niż mundur Bismarcka w dni parady dostarcza jej tacę, wskazuje na karafkę.

– Była pusta, kiedy tu przyjechałam – mówi. – Ostatnim razem, gdy się tu zatrzymałam, zawierała odrobinę doskonałej *eau de vie*.

Obawia się, że boy poinformuje ją, iż wie znakomicie, że nigdy wcześniej nie była gościem tego hotelu, ale on oczywiście tego nie robi. Za to korzy się za potknięcie obsługi, wychodzi z karafką, a kiedy wraca, jest wypełniona do połowy.

– Z wyrazami szacunku i głębokimi przeprosinami – mówi.

– Och, to naprawdę aż nazbyt hojne – kryguje się ona. – Będę musiała podzielić się ze współpracownikami. Jestem tutaj tylko na dwie noce. Po prostu chciałam mały łyeczek przed kolacją.

Daje mu za duży napiwek. To nie oszczędność powstrzymała ją od tego, aby po prostu zamówić butelkę.

Następnego dnia Iris budzi się w południe. Butelka wina jest pusta, *eau de vie* niemal zniknęła. Skronie i potylica pulsują jej bólem. Język ma opuchnięty. Lenz wsunął jej pod drzwi karteczkę. Zauważa, że nie pojawiła się nie tylko na kawie, lecz także na porannych wykładach. Ma nadzieję, że czuje się dobrze. Pyta, czy chciałaby się spotkać na popołudniowym uroczystym lunchu. Iris kąpie się i ubiera, w efekcie przegapiając również to spotkanie. Przy biurku w swoim pokoju, zwieńczonym takim samym szarym marmurowym blatem co komoda, pisze własny liścik. „Drogi Richardzie” – zaczyna, a kończy słowami – „Podchodzę zatem do małżeństwa, jak podeszłabym do każdego naukowego eksperymentu. Planuję przestudiować tę instytucję od podszewki, przeanalizować ją obiektywnie, racjonalnie i bez żadnych przyjętych z góry założeń. Planuję być jednocześnie przedmiotem badania, jak i beznamiętnym obserwatorem, zarówno szcurem laboratoryjnym, jak i naukowcem. Planuję czynić obszernie notatki, a następnie opublikować wyniki swoich badań”.

W liście, który obecnie leży w pudełku pod łóżkiem naszej matki w pokoju zmarłych i umierających razem z innymi listami Iris do Lehrera, nie ma wzmianki o miłości. Wierzymy, że był czas, kiedy Iris naprawdę kochała Lenza, ale kiedy się

zaręczyli, już nic do niego nie czuła. Mimo wszystko jej matka często doradzała córkom, aby przywiązywały większą wagę do intelektu mężczyzny niż do uczuć. „Miłość i namiętność z czasem słabną – mówiła, zanim sama zmarła młodo – ale dobry mężczyzna, który lubi się dzielić swymi myślami, zawsze będzie dla was podporą”. Iris dostrzega mądrość w słowach matki. Widzi, że współpraca z Lenzem mogłaby dać szczęście kobiecie takiej jak ona. Staje się jego niezastąpioną asystentką laboratoryjną, jego uwielbianą współpracowniczką, współautorką jego artykułów, od czasu do czasu towarzyszką od kieliszka i osobą, z którą będzie rozmawiał do późna w noc o swojej fascynacji wiązaniem azotu cząsteczkowego i jej rozważaniach na temat soli rozpuszczalnych.

I tak oto – wygląda to na szczęśliwe zakończenie obiecującego początku – Iris i Lenz odnajdują się na wieczornym bankiecie. Ona mówi „tak”, a on pyta: „Mówisz serio?”. Ona zapewnia, że tak, a on dzwoni łyżeczką o krawędź kieliszka z winem i czterdziestu chemików płci męskiej milknie. Potem następują wiwaty, toasty, więcej kieliszków wina, niż ktokolwiek mógłby zliczyć, i teraz już czterdziestu pijanych chemików zna jej imię.

– *Frau Doktor* – w końcu nazwie ją siostra Rose.

Po zakończeniu konferencji, po tym, jak całuje Lenza na pożegnanie, macha za jego oddalającym się powozem, wraca do siebie, pakuje torbę Lily i kończą jej się powody, żeby dłużej przesiadywać w hotelowym pokoju, przygląda się pustej karafce. Wyjmuje perfumy Lily z jej torby podróżnej i przelewa ich złotą zawartość do kryształowego naczynia.

– Proszę – mówi na głos. – Jedna uncja.

Wpycha pusty flakonik do torby. Chwilę później udaje się na stację kolejową. Rok później rodzi się jedyne dziecko z małżeństwa Alter-Emanuel – Richard Otto Alter, nazwany tak po prawdziwych miłościach obojga rodziców.

15 Z franc.: nuda.

16 Z franc.: Co za ulga!

ROZDZIAŁ 6

„Któregoś dnia to wyda nam się zabawne” – powiedziała Lady ze swojego szpitalnego łóżka, ale chociaż od potopu w pralni („Dzięki Bogu, że nikogo nie było na dole o takiej porze. Komuś mogłaby się stać krzywda” – komentowali sąsiedzi) minęły już dwadzieścia cztery lata, przeważnie wciąż nas nie śmieszy. Dwie kolejne próby samobójcze Lady również nie były zabawne. Druga – nadgarstki podcięte żyłką wkrótce po śmierci Eddiego Gloda – wyrządziła niewiele szkód Lady, za to narobiła zdumiewającego bałaganu w łazience. Vee i Delph czyściły pomieszczenie przez kilka dni, ale jeszcze wiele miesięcy później wciąż znajdowały plamki za toaletą, pomiędzy srebrnymi zwojami żeliwnego kaloryfera, na ramie portretu Ottona von Bismarcka. Zupełnie jakby krew uzupełniała się każdej nocy, kiedy spałyśmy. To było jak sprzątanie łazienki Lady Makbet.

Do ostatniej próby doszło w gównianym odcinku czasu znanym jako lata osiemdziesiąte. Obejmowała po jednej butelce valium oraz wódki. Tym razem Lady próbowała być bardziej taktowna, wybierając metodę, która oszczędziłaby Vee i Delph jakiegokolwiek sprzątania, i to się jej udało.

Odniosła sukces również pod innym względem, a mianowicie umarła. Być może nie definitywnie, co – zgadzamy się – generalnie jest decydującym czynnikiem w procesie umierania, ale na wstrząsające trzydzieści sekund. Kiedy lekarze ogłosili tę nowinę, Vee i Delph zadrżały. Właściwie to pod Delph ugięły się nogi i skończyła na kolanach na szpitalnym korytarzu. Aż do tamtej chwili nie zdawała sobie sprawy, do jak melodramatycznych zachowań zdolne jest jej ciało.

Ale to po tej pierwszej próbie, po źle zorganizowanym powieszeniu się Delph postanowiła, że chce zrobić dla Lady coś wyjątkowego. Natychmiast wpadła na pomysł z tatuażem, chociaż był rok 1976 i wytatuowane kobiety można było znaleźć wyłącznie pośród pracownic cyrku, członkiń gangów motocyklowych lub byłych więźniarek obozów koncentracyjnych, które i tak nigdy nie chodziły z odsłoniętymi ramionami. Mimo wszystko Delph uważała, że pomysł jest natchniony. Tatuaż miał być sygnałem wsparcia, wyrazem solidarności, nieścieralną i płynącą prosto z serca proklamacją, że Delph również pochodzi z rodu Alterów, że Delph również codziennie widzi poziome światło, że na nią też przyjdzie pora. Właściwie nie dostrzegała innego wyjścia. Bo co niby miała zrobić? Wysłać siostrze kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia? Przynieść jej bukiet z balonów?

Po raz pierwszy usłyszałyśmy słowa klątwy w 1963 roku, w weekend zabójstwa Kennedy’ego. Razem z matką – razem z całym krajem – spędziłyśmy te

listopadowe dni na oglądaniu telewizji. Nie było pracy, nie było szkoły. Nasza matka ustawiła deskę do prasowania w salonie dokładnie naprzeciwko odbiornika w obudowie z jasnego drewna. Miała na sobie pikowany szlafrok koloru łososia z puszki. Między wargami trzymała lucky strike'a, a puszkę napoju Tab, w połowie uzupełnioną wódką, postawiła na szerszym końcu deski. Jej włosy przykrywała różowa siatka, poza grzywką, która była nawinięta na czarny druciany wałek umocowany spinkami. Odślonięte łydki miała chude i pokryte żylakami. Nie był to zaskakujący czy niechlujny widok. Tak wyglądały zmęczone matki, przynajmniej za dnia, w 1963 roku.

To właśnie w weekend zamachu lata pięćdziesiąte ostatecznie zmieniły się w lata sześćdziesiąte. Oglądałyśmy coś, czego nigdy wcześniej nie widziałyśmy. Nie mamy na myśli samego zabójstwa, chociaż to też miało znaczenie. Chodzi nam o fakt, że relacja z wydarzeń związanych z zamachem trwała przez całą dobę i nie przerywały jej reklamy. Chodzi nam o sposób, w jaki dziennikarze podtykali gargantuiczne mikrofony pod twarz każdego napotkanego człowieka, zarówno znanych osobistości, jak i zwykłych przechodniów. Eisenhower wygłosił jakąś pompatyczną i wyuczoną przemowę na temat modlitwy i tego się spodziewałyśmy, do tego byłyśmy przyzwyczajone. Ale bezpośrednio po nim na żywo z Rockefeller Center – zaledwie cztery mile od miejsca, gdzie siedziałyśmy, składając bieliznę pościelową – nastolatka w rozpiętym płaszczyku, dziewczyna z warkoczykami, której czarna twarz była rozjaśniona łzami, powiedziała: „Nie wiem, dokąd pójść. Nie wiem, co robić”. I to nas zaskoczyło. Te dwa zdania. W pierwszej chwili wydawały się puste, a potem rozdzierające i głębokie, aż w końcu nabrałyśmy przekonania, że to Bóg, w którego nie wierzyłyśmy, włożył te słowa w jej usta, że to mogły być słowa, które wypowiedziałby Bóg, gdyby ktoś podetknął mu mikrofon pod nos. A może ta dziewczynka była Bogiem.

Wydawało nam się niemożliwe, by ktokolwiek jeszcze ośmielił się odezwać po niej. Przyszło nam do głowy, że być może już nigdy nikt nie otworzy ust. I właśnie wtedy przemówiła nasza matka. Uniosła żelazko, gorąca woda pociekła, skwiercząc, po jego stopce i na poszewkę poduszki.

– Pan zsyła kary za niegodziwość ojców na synów i wnuków aż do trzeciego i czwartego pokolenia.

Skąd miałyśmy wiedzieć, że to cytat z Biblii? Sądziłyśmy, że wymyśliła to na poczekaniu. Sądziłyśmy, że chciała zabrzmieć poetycko. Tak poetycko, że właściwie nie rozumiwałyśmy, o czym mówiła. Czyich ojców? Naszego ojca? Jakich synów? Kto miał synów? Musiała wprowadzić nas w temat Josepha P. Kennedy'ego.

– Tylko poczekajcie – powiedziała – z czasem wszystkie dzieci runą przez niego jak kostki domina. Już troje z nich odeszło. A zobaczycie, to dopadnie również wnuki. To będzie trzecie pokolenie. A potem klątwa przejdzie na kolejne.

Przypomnialiśmy sobie o tym kilka dni później, kiedy malutki John-John salutował przed trumną ojca. Byliśmy pełne niedowierzania.

– Dlaczego? – pytałyśmy. – Co mają z tym wszystkim wspólnego wnuki?

Nasza matka wzruszyła ramionami.

– Co ja tam wiem?

Nic. Najwyraźniej nie wiedziała nic. Na przykład nie brała pod uwagę możliwości oddziaływania klątwy na nas. Oczywiście w tamtym czasie my też nie byliśmy tego świadome. To Delph pierwsza zdała sobie sprawę – tyle lat później, siedząc przy szpitalnym łóżku Lady – że pod jednym nie do pozazdroszczenia względem jedziemy na tym samym wózku co rodzina Kennedych.

Delph dostała namiary na salon tatuażu od swojego najlepszego przyjaciela, homoseksualnego kuriera rowerowego imieniem Joshua Gottlieb. Każdego dnia Joshua zaglądał do małego biura, gdzie Delph pracowała tamtego lata. Biuro składało się z jednego pomieszczenia wypełnionego szarym metalem. Wielkie szare metalowe biurko jej szefa stało pod oknami z widokiem na Broadway i Gray's Papaya. W jednym z tych okien zamontowane było szare metalowe urządzenie klimatyzacyjne, niepodłączone i opatrzone odręcznie napisaną karteczką z ostrzeżeniem: „Zepsute! Nie dotykaj, bo umrzesz!”. Małe szare metalowe biurko Delph stało pod przeciwległą ścianą. W ścianie tej widniały dziury wielkości pięści, a linoleum wyglądało, jakby zostało zaatakowane pazurem młotka. Firma nosiła nazwę Elite Information Exchange.

EIE sprzedawało subskrypcje na dziesiątki dziennych newsletterów, z których każdy był poświęcony jednej wyjątkowej okazji inwestycyjnej – złotu, nieruchomościom, ropie, kontaktom terminowym na ceny wołowiny, kakao i wieprzowiny. Wieczorami szef Delph dyktował treść każdego newslettera na małe kasety, a następnego dnia ona przepisywała nagrania na maszynie, po czym szła do punktu usług kserograficznych, żeby je skopiować, posegregować i pozszywać, potem wracała do biura, żeby je ręcznie zaadresować, i w końcu udawała się na pocztę, aby wysłać je do spragnionych i łatwowiernych, dosłownie biednych głupców, którzy wierzyli, że każdy newsletter został oparty na badaniach rynku i napisany przez jakiegoś ekonomistę czy inwestycyjnego guru, eksperta w swojej dziedzinie. Nazwiska ekspertów, wyłącznie mężczyzn, były długie i typowe dla członków amerykańskiej białej elity pochodzenia anglosaskiego. Jedno z nich brzmiało Hamilton M. Carlisle i Vee zaczęła się dopytywać: „Dlaczego nie Chatsworth Osborne Jr.? Dlaczego nie J. L. Gotrocks? Dlaczego nie Carlisle M. Hamilton?”. Tymczasem subskrybenci nosili nazwiska wywołujące u Delph skojarzenia, z których nie była dumna. Może nie Jed Clampett¹⁷, mówiła, ale blisko. Ich adresy wskazywały na takie miejsca, jak Missisipi, Wirginia Zachodnia,

Oklahoma i Dakota Północna, gdzie, jak wiedziała, mieszkało wielu inteligentnych i wykształconych ludzi – William Faulkner! Booker T. Washington! – jednak mimo wszystko podejrzewała, że akurat ci inteligentni i wykształceni ludzie nie rezydowali pod adresami, pod które ona wysyłała te listy.

W skrócie: godziny, które spędzała w biurze Elite Information Exchange w tamte wakacje, były naznaczone poczuciem winy, samotne i nudne. Były również nielegalne: niedługo po tym, jak wróciła do college'u, jej szef został aresztowany za przestępstwo pocztowe i posłany na kilka miesięcy do Danbury. Ale Joshua Gottlieb również był częścią tamtych wakacji. To była ich jedyna zaleta.

Wszystkie jesteście nieśmiałe, ale Delph najbardziej. Wystarczy na nią spojrzeć, aby to wiedzieć. Chodzi przygarbiona, garbi się, kiedy siedzi, trzyma głowę spuszczoną, pozwalając, żeby włosy opadały jej na twarz. Te włosy. Kiedy byliśmy małe i siedziałyśmy we trzy w jednej wannie, Lady myła je, masowała zieloną kapką szamponu Prell, aż gęsta biała piana pokryła i wyprostowała każde pasmo, po czym układała fan-tazyjne fryzury – „Tak byś wyglądała z gładko zaczesanym końskim ogonem”, „Tak byś wyglądała we francuskim koku” – próbując przekonać Delph, że to wyglądałoby lepiej, a nawet byłoby dla niej lepsze, gdyby zmieniła sposób, w jaki się prezentowała, gdyby spróbowała bardziej przypominać innych ludzi. Ale Delph nie chciała wyglądać jak inni. Wciąż opowiadała historie o magicznych właściwościach swoich włosów, o tym, jak w szkole siadała w ławce, pochylając głowę jakby w modlitwie, a włosy opadały jej do przodu, skrywały jej twarz i sprawiały, że stawała się niewidzialna. Nauczyciele, którzy inaczej mogliby poprosić ją, żeby wstała i wyrecytowała dowód geometryczny albo odmieniła czasownik w obcym języku, nagle zapominali jej imienia i dręczyli kogoś innego. Dzieciaki, które normalnie jej dokuczały, przestawały wyczuwać jej obecność. Delph wciąż lubi swoją pelerynę niewidkę. Lubi zachowywać dystans wobec innych. Ludzie są jej trzecim w kolejności z ulubionych gatunków, mawia. Pierwsze są koty. Potem psy. Albo nie, zaraz... czwartym ulubionym gatunkiem. Konie z Central Parku to numer trzy. Te ogromne smutne oczy, te rozdzierające serce idiotyczne kapelusiki.

Tłumy ludzi, mówi, to jej nie przeszkadza. Można by pomyśleć, że powinny, ale nie. Nie ma nic przeciwko zgiełkowi i zamętowi Nowego Jorku. To spotkań z poszczególnymi jednostkami tworzącymi te tłumy nie lubi. Nie ma przy tym na myśli Lady, nie ma na myśli Vee, nigdy nie miała na myśli Eddiego. Chodzi jej o outsiderów. Dosłownie: ludzi spoza naszego mieszkania z całym tym ich plotkowaniem i dowcipnymi uwagami czynionymi kosztem innych. Niedoskonałe istoty trawiące życie na osądzaniu innych niedoskonałych istot. Oszuści i kłamcy. Zrządy i snoby. Delph twierdzi, że posiada zdolność czytania dymków z myślami unoszących się nad głowami napotykanych osób. A te osoby nigdy, przenigdy nie

mają nic miłego do powiedzenia o kimkolwiek.

– Tyle podłości – mówi. Ale każda reguła ma wyjątki i od czasu do czasu Delph musi spotkać kogoś, przy kim czuje się swobodnie. Takich osób – zawsze są to mężczyźni – było tak niewiele, że może je policzyć na palcach jednej ręki. Należał do nich jej nauczyciel angielskiego z ósmej klasy, którego miłość do Anglii aż po epokę elżbietańską wzruszyła ją z powodów, jakich nigdy nie potrafiła wyjaśnić. Przez niemal rok kupował dwie kanapki BLT w nauczycielskiej stołówce i zjadali je wspólnie w jego klasie, gdzie Delph ukrywała się przed podłością i myślowymi dymkami przez pełne czterdzieści pięć minut, podczas gdy on opowiadał jej historie o brytyjskich królach i królowych, a ona recytowała ustępy z Szekspira, których nauczyła się na pamięć, bo chciała mu dawać jakieś prezenty, ale nie wiedziała, co mężczyzna w jego wieku chciałby dostać. Szekspir okazał się strzałem w dziesiątkę. Nauczyciel uśmiechał się promiennie. Mówił: „Któż więcej powie i gdzie bardziej żywa/ Chwalba nad zdanie: Tyś jest ty!”¹⁸. W jakiej żałobie pograżyła się Delph, kiedy przyszły czerwiec i promocja do liceum! To było dla niej jak śmierć.

Później, gdy szaleństwo naszej matki sięgało zenitu, Delph odkryła, że jest zdolna rozmawiać z terapeutą z pobliskiej kliniki publicznej. Był to młody mężczyzna o wystających kościach policzkowych i wybałuszonych oczach, który miał nawyk siedzenia całkiem dosłownie na krawędzi krzesła, tak że sprawiał wrażenie, jakby całym ciałem pochylał się w jej stronę, pragnąc usłyszeć, co ma do powiedzenia. Zachowywał się jednak niepewnie, wręcz z nieśmiałością. Dopiero zaczął przyjmować pacjentów, zwierzył się jej, a ona udała zaskoczoną, chociaż była pewna, że sama to odkryła, biorąc pod uwagę jego tendencję do rozwlekłych opowieści o sobie samym oraz nawyk przeplatania długich okresów milczenia wybuchami interpretacji zawsze błędnych, a czasami wręcz niestosownych.

– Do licha – przerwał jej, kiedy doszła do opisu czwartego rodzinnego samobójstwa podczas ich pierwszej sesji. – To naprawdę historia twojego życia czy fabuła *The Guiding Light*¹⁹?

– Naprawdę? – zapytała Vee. – Serio tak powiedział? Terapeuta?

Początkowo Delph również była w szoku, ale im dłużej o tym myślała, tym wyraźniej pojmowała, że jego reakcja była zrozumiała. Kto mógłby zaprzeczyć, że historia naszej rodziny odrobinę przypominała operę mydlaną?

– Myślę, że był po prostu spięty – powiedziała w jego obronie.

W przeciwieństwie do Vee Delph nie miała mu za złe tego, że nie był najwspanialszym terapeutą na świecie. Pracował w klinice publicznej, gdzie stawki były determinowane przez ruchomą skalę. Ona płaciła pięć dolarów za sesję. Jeśli był przeciętny, to, cóż... dostajesz to, za co płacisz, prawda? Wierzyła, że terapeuta robi co w jego mocy, i była zadowolona, a nawet dumna, gdy z czasem zaczęło mu iść coraz lepiej. Przerywał rzadziej, generował mniej cynicznych myślowych

dymków i ostatecznie zmienił jej życie, kiedy powiedział, że nie obchodzi go, co mówi jego przełożony czy ktokolwiek inny, bo on nie zamierza zakwalifikować Delph do spektrum zaburzeń autystycznych. Umieści ją w spektrum introwertyzmu, być może na samej granicy tego spektrum, zaledwie kawałeczek od ekstremalnego krańca spektrum autyzmu, ale w spektrum intro-wertyzmu.

– Czy ty kiedykolwiek sądziłaś, że cierpisz na autyzm? – zapytała Vee, kiedy Delph przekazała jej dobrą wiadomość.

– Nie, dopóki mi nie powiedział, że nie cierpię. Ale wtedy zaczęłam się zastanawiać... Wiesz, że on nie jest za dobry w tym, co robi. Więc co, jeśli się myli i rzeczywiście jestem autystyczna? Skrajnie autystyczna? Superskrajnie autystyczna? To by oznaczało, że radzę sobie świetnie już choćby tylko dlatego, że codziennie wstaję rano i wychodzę na zewnątrz. Gdybym cierpiała na autyzm, ta świadomość uczyniłaby cuda dla mojej samooceny.

Tak jak to było w przypadku nauczyciela angielskiego, bardzo kochała swojego niekompetentnego terapeutę. A że już wiedziała, co to jest przeniesienie (wypożyczyła z biblioteki Barnard każdą książkę na temat leczenia klinicznego, aby dowiedzieć się, jak nie robić i nie mówić niczego, co mogłoby z niej uczynić mniej idealną pacjentkę), po prostu pozwoliła sobie cieszyć się uwielbieniem, jakie wobec niego żywiła. Nie żeby kiedykolwiek omawiała to uwielbienie z nim. Dlaczego miałyby to robić? Nauczyła się również, czym jest przeciwprzeniesienie, i celowo nie zauważała, jak on mówi o swoim uwielbieniu dla niej.

– Do tej pory musiałaś już rozwinąć erotyczne zainteresowanie moją osobą – poinformował ją któregoś razu (dużo rozmawiali o jej braku zainteresowania seksem) – bo to normalne, to tylko część procesu.

„A ty moją”, pomyślała ona, chowając się za włosami i nie odzywając ani słowem. On też nic nie powiedział, tylko czekał. Siedzieli tak w milczeniu przez resztę sesji. „Co za robota – zastanawiała się, wracając spacerem do domu. – Siedzisz sobie, gapisz się i kiwasz głową, podczas gdy ludzie siadają naprzeciwko ciebie jak dzień długi, zakochują się w tobie i chcą się z tobą pieprzyć”. Potem – długo zanim była gotowa – terapia dobiegła końca. Delph wciąż pogrąża się w bóleści, gdy przypomina sobie dzień, w którym terapeuta powiedział jej, że wraca do domu, do Brattle-boro w stanie Vermont, i tam otwiera małą praktykę. Miał już dość miasta. Poza tym nie lubił pra-cować w klinice. Niektórzy z jego pacjentów byli nieco niepokojący.

– Zaczęłam nosić nóż – wyznał.

– Od jak dawna wiesz, że wyjeżdżasz? – zapytała.

– Miałem to w planach już od jakiegoś czasu – powiedział wymijająco.

– Co to znaczy „od jakiegoś czasu”?

Zacisnął usta.

– Przecież wiesz, że nie jesteśmy tutaj, aby rozmawiać o mnie.

„Od kiedy?” – pomyślała, ale powiedziała tylko:

– Po prostu zastanawiam się nad moim poczuciem odrzucenia.

– Chyba wspomniałem już wcześniej, że to, co dzieje się tutaj, jest odbiciem tego, co dzieje się tam. Jeśli moje odejście przywoła dawne lęki czy traumy, to będzie bardzo użyteczne, kiedy zaczniesz pracować z kimś innym.

– Mój terapeuta przenosi się do Vermont – oznajmiła Delph Eddiemu i Vee tamtego wieczoru. – Czy to nie brzmi jak tekst z filmu Woody’ego Allena?

Potem poszła do swojej sypialni i szlochała przez resztę wieczoru. Szlochała też wieczorami przez cały następny tydzień, następny miesiąc, jeszcze długo po tym, jak wyjechał. Szlochała w swoim pokoju, w pokoju Vee i Eddiego, w ciemnych salach kinowych, wszędzie, tylko nie w gabinecie terapeuty, gdzie zaciskała zęby, żeby wytrzymać. A kiedy przyszła pora, uściśnęła mu dłoń i życzyła szczęścia. I chociaż nie pierwszy raz rozważała samobójstwo, jej myśli suicydalne, jak terapeuta lubił je nazywać, jeszcze nigdy nie były tak szczegółowe, tak wyczerpujące. Opowiedziałaby mu o nich z detalami, gdyby wciąż przyjmował kilka przecznic dalej.

Nawet teraz, w obecnej pracy, gdzie prowadzi dokumentację firmy organizującej testy dla kandydatów na agentów ubezpieczeniowych – testy, których wyniki determinują ciąg liter widniejących po nazwisku agenta – okazało się, że jest w stanie rozmawiać z jednym z partnerów, starszym mężczyzną, hałaśliwym i komicznym, który przychodzi do pracy w kowbojskich butach, kapeluszu i pasku z ogromną klamrą wysadzaną kryształami górskimi. Kiedyś, gdy byli sami w windzie, zebrała się na odwagę, żeby wyszeptać: „Wiem, że jesteś z West Side, ale to już chyba przesada”²⁰. Głowę miała wtedy spuszczoną, twarz w dużej mierze zakrytą, ale знаła swoją widownię. I chociaż załapał dopiero po chwili, zarechotał i uściśkał ją, dosłownie unosząc nad podłogę. Myślała o tym jeszcze długo potem.

Czasami partner schodzi do piwnicy, gdzie archiwum zajmuje obszar całego piętra, siada w fotelu obok jej biurka i mówi, że postęp technologiczny wkrótce sprawi, że usługi firmy staną się zbędne, a już z pewnością jej stanowisko, całkowicie i na zawsze przestarzałe. Mówi: „Ja jestem starym człowiekiem. Ja po prostu przejdę na emeryturę albo umrę. Ale co z moimi ludźmi? Co z tobą? Jesteś za młoda, żeby zrezygnować, i za stara, żeby nauczyć się czegoś nowego. Jak będzie wyglądać twoja przyszłość?”.

Oto mężczyźni w życiu Delph.

No i był jeszcze Joshua Gottlieb. Pierwszego dnia pracy w Elite Information Exchange, kiedy Delph usiadła samotnie na lśniącym, pokrytym sztuczną skórą fotelu sekretarki poznaczonym nacięciami, próbując zrozumieć słowa płynące

przez słuchawki dyktafonu, Joshua wparował do środka ubrany w kurierskie łachy, przerywając jej bezceremonialnie. Nic lśniącego, żadnej lycry. Miał na sobie czerwone buty za kostkę, obcięte džinsy postrzępione na krawędziach nogawek i T-shirt Rolling Stones do albumu *Sticky Fingers* w kolorze dojrzałej purpury i z prawdziwym suwakiem wszytym w materiał.

– Hej, Elite Information Exchange! – zawołał. – Przesyłka dla szefa.

Nie czekał, aż zareaguje. Najwyraźniej nie zauważył, że nie powiedziała ani słowa. Położył paczkę na dużym metalowym biurku, wskazał kciukiem na kartkę przyklejoną do urządzenia klimatyzacyjnego i przewrócił oczami. Wetknął zwisającą wtyczkę do gniazdka i stanął przed strumieniem zimnego powietrza dmuchającym na jego przepocony T-shirt. Kiedy już wystarczająco się ochłodził, przemierzył pomieszczenie i przycupnął na jej małym metalowym biurku. Ona spuściła głowę, pozwoliła włosom opaść na twarz. Udawała, że skupia się na prognozach dotyczących cen wołowiny na sierpień.

– A więc cześć! – krzyknął, jakby mówił do niej z New Jersey. – Mam pewną elitarną informację, którą chciałbym się wymienić: Millard Fillmore był trzynastym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Co mi za to dasz? Może jakąś elitarną informację o... sam nie wiem... dwuliterowych słowach do scrabble? – I nawijał dalej, podczas gdy ona próbowała wymyślić, jak się go pozbyć: – I nie sądzę, żebyś mogła dostać Fillmore'a w zamian za jakieś beznadziejne dwuliterowe słowo takie jak „do” czy „na” lub „to”. Potrzebuję jakichś odjechanych dwuliterowych wyrazów, jeśli mam ci dać Fillmore'a...

Jej początkową reakcją była panika pomieszana z odrobiną żalu, że nie zamknęła drzwi od środka. Kurier nie wyglądał na normalnego, a przecież jej definicja normalności była bardzo szeroka, biorąc pod uwagę, w jakim trybie ona sama poruszała się po tym świecie. To pierwsze wrażenie częściowo wynikało z faktu, że nie patrzyło się na niego z przyjemnością. Był zdumiewająco nieatrakcyjnym młodym mężczyzną z czołem pokrytym fioletowymi krostami i z krzywymi zębami, które w świetle fluorescencyjnych lamp wydawały się bladozielone. Był wychudzony, miał płaski nos i ufarbowane na biało włosy sterczące z głowy niczym promienie słońca na dziecięcym rysunku. Ale oto siedział na jej biurku i szczyrzył do niej zęby w uśmiechu, jakby miała szczęście, że może spędzić z nim trochę czasu.

Sęk w tym, że Delph rzeczywiście poczuła się szczęściarą. Do tego stopnia, że odgarnęła włosy z twarzy. Miała nadzieję, że kurier nie potrafił czytać jej myślowych dymków, chociaż ich zawartość nie była całkowicie negatywna. Chłopak był równie gadatliwy jak ona małomówna. To oznaczało, że nie będzie musiała się martwić o podtrzymywanie konwersacji. Poza tym dawał jej mnóstwo czasu na wymyślanie zgrabnych replik na jego głupoty. To też się jej podobało. Podobało jej się nawet to, że był taki hałaśliwy. Zamiast czuć wicherę

zdmuchując ją z krzesła na ziemię, miała wrażenie, że zalewa ją ciepłe światło reflektora punktowego.

Obróciła fotel i popatrzyła prosto na niego. Może zadziałał ten jego bladozielony uśmiech, a może po prostu chociaż raz chciała się zachować profesjonalnie i pomocnie, przyjaźnie i sympatycznie w ten pierwszy dzień pracy, pierwszej pracy w jej życiu. A może to dlatego, że był ewidentnie dziwniejszy niż ona. Cokolwiek było przyczyną, Delph poczuła, jakby bogowie, którzy opuścili ją jak wszyscy inni – ojciec zniknął nie wiadomo gdzie, matka w mętnej rzece, terapeuta uciekł do mniej niepokojącej klienteli w Brattleboro, nawet nauczyciel angielskiego zajął się następną dziwaczką z ósmej klasy – z jakiegoś powodu właśnie tego dnia zauważyli ją, jak żyje między szczelinami, i postanowili coś z tym zrobić. Nie żeby bogowie ją uratowali. Nie żeby sięgnęli i wyciągnęli ją na blask słońca. Ale posłali Joshuę Gottlieba na eksplorację między szczelinami, aby dotrzymywał jej towarzystwa.

– Wybacz – powiedziała – ale twoja informacja dotycząca prezydenta Fillmore’a nie jest wystarczająco elitarna do tego rodzaju wymiany.

– Cholera! – ryknął radośnie. – Okej, co mi za to dasz? Wezmę, co masz.

– Ewentualnie mogłabym ci dać „i” przed „e”, chyba że po „c”²¹.

„Cięta odpowiedź”, pomyślała. Spróbujcie tego, ludzie na ekstremalnym krańcu spektrum autyzmu.

Uśmiechnął się wariacko.

– Umowa stoi – pisnął i nachylił się, aby ją uściskać.

Zdołała się uchylić, odjeżdżając do tyłu fotelem na kółkach, kiedy on rzucił się do przodu. Jeszcze nie straciła nad sobą całej kontroli. Ale straciła odrobinę i to było przyjemne.

Jego homoseksualizm był jedną z wielu rzeczy, które sprawiały, że wydawał się jej idealny. W soboty wieczorem chodził na randki z innymi nieatrakcyjnymi chłopakami takimi jak on sam i żadna z tych randek nigdy nie przerodziła się w długoterminowy związek. To, że był brzydki, oznajmiał Joshua głośno i z werwą, nie oznaczało, że chciał się umawiać z kimś brzydkim albo wiązać z kimś brzydkim lub budzić się u boku kogoś brzydkiego w łóżku do końca życia.

– Nie bądź podły – mówiła wtedy.

A on odpowiadał: – Ja jestem podły? Nie widzę, żeby ktokolwiek się we mnie zakochiwał.

– Może powinieneś poszerzyć swoje horyzonty – sugerowała, ale nawet jeśli odgadł, co miała na myśli, nic nie powiedział.

W czwartki, czasami w piątki, a niekiedy i w środy wieczorem udawał się na łowy, które nigdy nie zamieniały się w cokolwiek. To były również te wieczory, kiedy towarzyszyła mu Delph. Po drodze zachodził po nią do Elite Information Exchange.

– Przepraszam! – ryczał. – Ale zastanawiałem się, jakie elitarne informacje mógłbym otrzymać za wiadomość, że Ethel Merman dostała nagrodę Tony za występ w musicalu *Call Me Madam*?

Dawała mu coś w zamian: „cebulki roślin powinno się sadzić na jesieni” albo „Grenlandia wcale nie jest zielona” – a potem zamykała biuro i szli do centrum albo na Dziewiątą Aleję. Lubili to miejsce: tłumy dobrych, złych i (ich kategoria) brzydkich, choć uroczych chłopców, którzy nie oczekiwali od niej żadnej rozmowy, za to uczyli ją tańczyć hustle i malować oczy. To drugie wymagało od niej odsłonięcia twarzy, którą – chociaż nigdy nie potrafiła pojąć dlaczego – z uporem nazywali piękną.

– Nie jestem piękna – szeptała do ucha Joshui. – Mam męską twarz.

A on, przekrzykując muzykę i chaos, mówił:

– Nie ma w tym nic złego, mała.

Delph miała tylko dziewiętnaście lat i często bywała tam jedyną kobietą, nie licząc drag queens, czego w tamtych czasach nie robiła (coś, czego dziś żałuje). Była też jedyną osobą, która nie przyjmowała substancji uzależniających, nie licząc alkoholu (czego nie robiła wtedy i nie robi do dziś). Mimo wszystko to był najlepszy okres w jej życiu, jedyny czas, kiedy czuła przynależność do jakiejś grupy. Wracała do domu o trzeciej nad ranem albo i później. Potykała się, zataczała i wpadała na meble. Eddie obejmował ją ramieniem, prowadził do kuchni, zmuszał, aby wypić dwie kwarty wody, zanim Vee położy ją do łóżka. Delph stawiała opór. Nie chciała spać. Chciała rozmawiać o tym, jak swobodnie czuła się w tych klubach, z tymi chłopakami: białymi chłopakami z miasta i z Long Island, i z Jersey, czarnymi chłopakami z Harlemu i Nigerii, brązowymi chłopakami z kubańskim i brooklińskim akcentem, gniewnymi azjatyckimi chłopakami, którzy nosili skóry, i łagodnymi azjatyckimi chłopcami, którzy nosili kimona i perły zupełnie jak nasz praprawujek Rudi, ze wszystkimi chłopakami, ale szczególnie z Joshuą. Chciała opowiadać, jak szczęśliwa czuła się z Joshuą u jej boku i didżejem grającym *Love to Love You Baby*, i z pięcioma czy sześcioma drinkami Harvey Wallbangers chlupoczącymi w żołądku. Chciała opowiedzieć Vee, jak Joshua żartobliwie popychał ją biodrem w stronę jednego z przyjaciół, który z kolei odbijał ją biodrem z powrotem do Joshui, jakby byli łapkami flipperów, a ona błyszczącą kulą, większą wersją takiej z prawdziwego automatu do gry stojącego w rogu i mniejszą wersją tej wirującej pod sufitem. Chciała wymieniać wszystkie przezwiska, jakie wymyślił dla niej Joshua. Nazywał ją Filadelfią i Wyroczną z Delf, i Elfem, i Ellie Informacją, i Małą, i Malutką, a potem wszyscy ją tak nazywali.

– Jestem skrzywiona – mówiła Vee i Eddiemu, kiedy próbowali ją przekonać, by się położyła i poszła spać.

Uśmiechali się w ramach wsparcia, czekając, mając nadzieję, aż spadnie jej

drugi but.

– To by wiele wyjaśniało – szeptała często Vee do Eddiego, ale wtedy Delph śmiała się, siadała z powrotem i mówiła:

– Och, Boże, nie, nie, nie. Nie skrzywiona w sensie zboczenia czy skurwienia. Chodzi mi o zwykłe skrzywienie. Skrzywienie pod tytułem: nie pasujesz do normalnego świata, ale okazuje się, że pasujesz do innego, i to jest o wiele zabawniejsze.

– Tylko że w tym innym świecie pod koniec wieczoru mężczyźni dobierają się w pary, a ty wracasz do domu pijana i samotna – komentowała Vee, chociaż wtedy już nic, co mówiła, nie mogło speszyć Delph.

– Ale ja jestem szczęśliwa – upierała się. – Popatrz na mnie. To jest szczęście!

A Vee mówiła: – Krótkoterminowe szczęście.

A Delph wołała: – Sprzedane!

Joshua Gottlieb miał tatuaż i to nie tanio wyglądający tatuaż przypominający spłowiełą bliznę koloru zgniłych bananowych skórek, jak większość ludzi w tamtych czasach, lecz piękny, w jaskrawych, nasyconych barwach. To właśnie ten tatuaż podsunął Delph myśl o zrobieniu sobie własnego. Pokazał go jej w pewien gorący wieczór pod dyskoteką, która kiedyś była kościołem, kiedy czekali w kolejce. Odwrócił się do niej tyłem i opuścił szorty – być może nie wyłącznie dla niej – i zobaczyła umięśnionego trytona rozciągniętego od jednego grzebienia kości biodrowej do drugiego.

– Jest fantastyczny – powiedział Joshua i wykręcił głowę w jedną stronę, a kręgosłup w drugą, próbując zerknąć na dół swoich pleców, podziwiając małe ciało wylegujące się na jego własnym ciele. – Nie mam racji?

Teraz, gdy Lady leżała w szpitalu z szyją grubo posmarowaną gęstą lepką substancją, Delph zadzwoniła do niego z automatu telefonicznego w lobby.

– Wymienię informację o sensie życia za nazwisko tego faceta, który zrobił ci trytona – powiedziała, gdy tylko odebrał.

– Sens życia, hę?

– Hej! – zniecierpliwiła się. – Kiedy mówię, że mam elitarną informację do wymiany, to się nie wygłupiam.

Nie zapytał, dlaczego chce sobie zrobić tatuaż, w każdym razie nie wtedy. Był zbyt podekscytowany.

– Pójdę z tobą! – zawołał. – Spodoba ci się tamtejszy gatunek mężczyzn.

Spodobał się jej. Skrzyżujcie pirata z jego papugą, a otrzymacie właśnie takich mężczyzn, wielkich i krzepkich, w bandanach, z długimi brodami zaplecionymi w warkocze i w jaskrawych skórkach o tropikalnych barwach –

turkusowych, szmaragdowych, pomarańczowych. Byli komicznie dworscy, tacy mężczyźni, którzy zawsze mówią „pieprzyć to” czy „pieprzyć tamto”, a potem przepraszają za wyrażenie. Pili ciepłego bourbona ze starych słoików – nie słynnych słoików firmy Ball, lecz ze zwykłych słoików po maśle orzechowym, galaretkie albo marynaty, co można było stwierdzić po ich kształcie i ledwie wyczuwalnym zapachu poprzedniej zawartości. Jeden z nich, wysoki i brzuchaty, noszący koszulę kręglarską z napisem „Gurley” na kieszonce, co podobnie jak jego tatuaże „Born to be Wild” i „Mama” w sercu okazały się nie być przejawem ironii – rzeczywiście nazywał się Gurley i należał do ligi kręglarskiej, czego dowodem było kilka trofeów za barem – nalał jej bourbona na solidne cztery palce, kiedy czekała na swoją kolej. Bourbon ze słabiutką wonią dżemu morelowego... Naprawdę wspaniały. Wypiła go jednym haustem, jakby to był shot. Ponieważ jej nie znał, Gurley był pod wrażeniem. Zagwizdał, pochwalił ją i dolał jej jeszcze trochę. Ale im dłużej czekała, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że nie czuje się wśród tych tatuażystów tak swobodnie jak z chłopcami w klubach, chociaż Joshua cały czas trwał u jej boku. Stawała się nerwowa, załęczniona, zaczął ją pobołować brzuch. Czekala na siedzisku przy oknie. Witryna była pokryta mydłem zamiast zasłon, a w rogach tkwiły martwe muchy o zielonych głowach. Przeglądała numer komiksowego magazynu „Zap”, stary i kruchy od długiego leżenia na słońcu. Przeczytała panel o krowie przywiązanej do krzesła przewróconego na podłogę. Zwierzę miało rozwarte nogi, żeby mężczyźni mogli je lizać. „Musieliście wszyscy nienawidzić swoich matek!” – krzyczała krowa, próbując się wyswobodzić.

Delph nie rozumiała, dlaczego tak gwałtownie reaguje na tego typu rzeczy, dlaczego tak bardzo identyfikowała się z krową. Wiedziała, dlaczego reaguje negatywnie w sensie politycznym. Czytała Kate Millet, czytała Susan Brownmiller. Ale dlaczego odbierała to jako osobisty atak? Żaden mężczyzna nigdy jej nie ciemniżył, nie zmusił jej do niczego. Żaden mężczyzna nigdy nie skrzywdził jej w taki sposób ani, gdyby się nad tym zastanowić, w żaden inny, chyba że liczyło się popychanie i publiczne wyśmiewanie przez nastoletnich kolegów z klasy. („Miałem sen” – zawołał pewien chłopak, zupełnie jej obcy, ale na tyle popularny, żeby w stołówce zapadła cisza jak makiem zasiał, kiedy przemówił. „We śnie zobaczyłem napis »Pytia Delph Frankl«. A potem przyjrzałem się lepiej i było tam napisane »Pyta Delph Frankl«”). Ale to był tylko komiks, komiks o krowie. Chociaż krowy... Te brązowe oczy, to słodkie muczenie... Prawdopodobnie były jej piątym w kolejności ulubionym gatunkiem.

– Musieliście wszyscy nienawidzić swoich matek – przeczytał Gurley na głos, wisząc nad jej ramieniem. Zastanowił się przez chwilę, a potem zaśmiał jak staruszek z łoży prześmiewców w Muppetach.

Joshua też zerknął na magazyn. Zobaczył, co czytała – nie konkretny komiks, po prostu okładkę z postacią Mr. Naturala22 – pokiwał palcem i ryknął:

Keep on truckin'. Ona też pokiwała głową, ale poczuła, że zmienia się w Delph. Pochyliła głowę, pozwoliła, żeby włosy opadły jej na twarz. Pomyślała o tym popularnym chłopcu na stołówce. Pomyślała o Lady w szpitalu. Pomyślała o klątwie. Przypomniała sobie pierwszy raz, kiedy ją usłyszała, i to sprawiło, że pomyślała o tej nastolatce w Rockefeller Center tyle lat temu. Dokąd poszła tamtego dnia, kiedy już reporter ruszył dalej? Co zrobiła?

Delph straciła zdolność do prowadzenia rozmowy. Nie była pewna, co z tym zrobić.

– Wpadam między szczeliny – wyszeptała do Jo-shui.

– Nie martw się, Malutka, ja się tym zajmę – pocieszył ją.

Objął ją ramieniem, a ona przysunęła się do niego. („Jesteśmy dla siebie stworzeni – powtarzała Delph siostrze w te sobotnie noce – bo żadne z nas nie chce poślubić tego drugiego ani uprawiać seksu”). Na co Vee mówiła: „Skarbie, on chce uprawiać seks. Tylko nie z tobą”. A wtedy Delph mówiła: „Vee, wiem, co to znaczy homoseksualny”. A Vee mówiła: „Delph, nie jestem pewna, czy wiesz”). Kiedy jej tatuażysta był już wolny – poczuła ulgę, że to ktoś inny niż Gurley – Joshua poszedł z nią na zaplecze, wyrecytował zmodyfikowaną wersję klątwy i przesunął palcem po tej części jej łydki, gdzie chciała mieć umieszczony napis. Tatuażysta pokiwał głową, wyrecytował klątwę z powrotem. Wydawał się jedynym, który miał jakichkolwiek klientów. Inni po prostu spędzali tam czas, pijąc i kibicując.

– A więc co to za historia? – zapytał Gurley. – Kim jest niegodziwy ojciec? I o jakich dokładnie niegodziwościach tutaj mówimy?

– Ojciec to jej pradziadek – wyjaśnił Joshua. – Straszny niegodziwiec. Jego grzechy zalały rodzinę jak syrop klonowy.

– Brzmi pysznie – skwitował tatuażysta bezna-miętnie.

– Taa, cóż, wcale takie nie jest. Nasza biedna Delph należy do czwartego pokolenia, prawda, i spadają na nią gromy. Jest przesiąknięta jego grzechami – uśmiechnął się do Gurleya. Flirtował. – Wielki lepki bałagan.

Mężczyźni popatrzyli na nią, czekając na potwierdzenie. Ona popatrzyła na Joshuę.

– Na przykład – kontynuował – ten pradziadek, o którym wspomniałem? Był znanym krzykaczem. Grubą rybą. Takim kolesiem, co to lubi być w centrum uwagi. A teraz ona ma problem z odzywaniem się przy ludziach, których nie zna. Rozumiecie, jak to działa?

– Nie – powiedział Gurley.

– Więc to był ten jego wielki grzech? – zapytał tatuażysta. – Bycie jełopem?

– Cóż, to oraz fakt, że był osławionym i zatwardziałym mordercą.

– Czadowo – tatuażysta w końcu okazał zainteresowanie. – A więc kogo zabił?

Joshua zmarszczył brwi.

– Cóż, nikogo tak naprawdę. – Zastanowił się przez chwilę, a potem dodał:
– Albo właściwie wszystkich. To było podczas pierwszej wojny światowej.

Wtedy zgromadzeni, nawet Gurley, zrozumieli, że to nie były skandaliczne i drastyczne morderstwa, lecz statystyczne i usankcjonowane śmierci, i przestali pytać o szczegóły. Skupili się na samej kłątwie, na jej znaczeniu, pochodzeniu, jej konsekwencjach.

– Znałem takie rodziny – odezwał się jeden z bardziej milczących mężczyzn. Na jego bicepsie dzika kaczka wzbijała się do lotu. – Pokolenie za pokoleniem – mówił z narastającą pasją, a jego głos wznosił się jak ta kaczka. – Nikt nie mógł, kurwa, od tego odsapnąć. Nikomu nie mogło się, kurwa, poszczęścić.

– Pieprzeni Kennedy – podsunął tatuażysta w ramach przykładu.

– Kurwa dokładnie – skwitował Joshua.

Delph pokiwała głową. Był rok 1976. Bobby dawno już nie żył. Poza tym: Chappaquiddick23.

Do odsłonięcia tatuażu doszło w następną sobotę rano. Było jeszcze za wcześnie na jego pierwsze publiczne wystąpienie, bo Delph wciąż miała zaróżowioną skórę, miejscami pokrytą lepkiem nalotem, ale nie lubiła chować tajemnic przed Lady i Vee; to za bardzo przypominało kłamstwo. Lady wprawdzie nie miała nic przeciwko kłamstwom, a Vee było wszystko jedno, ale Delph ich nie znosiła. Kłamanie było jedną z wielu rzeczy na tym świecie, które sprawiały, że czuła się źle, i właśnie dlatego tamtego ranka usunęła samoprzylepną folię spożywcza, którą polecono jej nosić owiniętą wokół łydki, i osuszyła skórę koszulką noszoną poprzedniego dnia.

Ubrana w przyduży T-shirt, w którym spała, cicho poszła do kuchni i zrobiła sobie sok V8 z wódką, jej zwyczajowe śniadanie. Zaniósła kubek do stołu w kąciku jadalnym. Błat był zasłany ulotkami, pismami na standardowych blankietach, okólnikami, rachunkami, torebeczkami marihuany i przesianymi nasionkami w żłobkach podwójnego albumu *Blonde on Blonde* Eddiego. Leżały tam również podręczniki, notatniki i egzemplarze „New York Timesa” z całego tygodnia, każdy zgięty na trzy części przez Vee, żeby łatwiej czytało się je w metrze. Był też stos nieprzeczytanych numerów „Ms.” i „Rolling Stone”, i „Barnard Alumnae Magazine” – tego ostatniego trzy kopie, po jednej dla obu absolwentek i jedna dla Lady-wyrzutka. Poza tym sterta „Mamm: The Magazine for Breast Cancer Patients and Survivors”, który, chociaż Vee już dwukrotnie pisała z prośbą o anulowanie subskrypcji (od diagnozy, jaką usłyszała w wieku dwudziestu dwóch lat, minął cały rok), dalej pojawiał się w naszej skrzynce na listy, jakby dział kolportażu wiedział coś, czego Vee nie wiedziała. Oczywiście nie wiedział, chociaż dwa lata później,

kiedy Vee zdiagnozowano po raz drugi, z pewnością wyglądało na to, że i owszem.

Delph sączyła swój zaprawiony alkoholem sok. Wzięła do ręki jeden z egzemplarzy magazynu dla absolwentów. Otworzyła go na ostatnich stronach i czytała notki na temat osób z rocznika Vee i tego, który byłby rocznikiem Lady, gdyby ukończyła studia. Wszyscy, którzy przysyłali wiadomości, świetnie sobie radzili: dobra praca albo studia doktoranckie i, oczywiście, ten rodzaj powodzenia, który przejawiał się w ujęciu nazwiska, z którego znali cię koledzy z klasy, w nawias. Marsha (Margolis) French. Donna (Harpootian) David-son. Delph pomyślała, że mogłaby napisać w imieniu Lady: „Lily (Frankl) (Hopper) Alter, radzi sobie bardzo dobrze. Pielęgniarka psychiatryczna potwierdziła to zaledwie zeszłego wieczoru”.

Delph była pogrążona w myślach, kiedy Eddie wyszedł z pokoju dzielonego z Vee. Nie zdawała sobie sprawy, że był w domu, więc pisnęła cicho.

– Przestraszyłeś mnie – powiedziała, mimo że Eddie był jednym z tych mężczyzn, przy których czuła się całkowicie swobodnie. Czasami wślizgiwała się między niego a Vee, żeby we trójkę mogli rozwiązywać w łóżku krzyżówkę z „Sunday Times”. Ciepło i przytulnie. To właśnie lubiła, to było jej wyobrażenie na temat chodzenia do łóżka z mężczyzną.

Eddie miał na sobie tylko dzinsy i wyglądał na otumanionego snem. Był kościstym smukłym chłopakiem, ale nie jakoś wyjątkowo przystojnym. Jego małe oczy niemal znikwały, kiedy się śmiał. Grzbiet nosa miał tak płaski, że Vee kiedyś postawiła na nim małą srebrną solniczkę, podczas gdy drzemał na sofie. „Czyż go nie uwielbiacie?” – zapytała ze łzami w oczach. Miał też ogromne uszy, a jego policzki i pierś były ziemiste i pozbawione włosów, chociaż cienka linia ciemnego owłosienia wylaniała się znad paska spodni i ciągnęła aż do pępka. Delph starała się nigdy nie patrzeć na tę linię; Delph zawsze na nią patrzyła. Jeśli chodzi o włosy na jego głowie, zazwyczaj były zaplecione w warkocz, który sięgał mu do połowy pleców. Ale teraz, ponieważ dopiero się obudził, wisiały pokarbowane, lecz rozpuszczone, a uszy sterczały przez nie z obu stron.

Delph schowała wytatuowaną nogę pod siebie, podczas gdy Eddie zajął miejsce po drugiej stronie stołu, zawiązał działkę marihuany w bibułkę, polizał krawędź i zakleił, po czym zapalił jointa.

– Vee już jest w szpitalu – powiedział. – Prosiła, żebyś przyszła ją zastąpić, żeby mogła pójść do pracy chociaż na pół dnia.

Gdyby Vee jej to powiedziała, Delph zrobiłaby minę i burknęła, że miała zacząć się szykować za sekundę, a tymczasem czy mogłaby dokończyć śniadanie bez poczucia winy. Ale to był Eddie, więc Delph odgarnęła włosy, żeby pokazać mu, że się uśmiecha, pokiwała głową i odłożyła gazetkę. Głód ojca w akcji. Wyglądało to w dużej mierze jak chęć nadskakiwania mężczyźnie, ale kryło się za tym coś zupełnie innego.

– Vee jest w szpitalu – powtórzył Eddie. – O rany, miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał znowu tego powiedzieć. Modliłem się o to. Nigdy więcej, proszę i dziękuję bardzo, Vee w szpitalu z jakiegokolwiek powodu. Cóż, no chyba że przy rodzeniu dziecka. Ale z żadnego gównianego powodu. Zapomniałem jednak powiedzieć, że nie chcę również, żeby Lady wylądowała w szpitalu.

– Musisz uważać, kiedy czegoś sobie życzysz – ostrzegła go Delph. – Tak łatwo to spieprzyć. Chciałbyś stracić kilka kilo i ani się obejrzyś, a amputują ci nogę, bo zapomniałeś uściślić, że chcesz, aby te kilogramy pochodziły wyłącznie z komórek magazynujących tłuszcz w twoim tyłku. – Pokręcił głową.

– Pieprzony patriarchat. Gadanie o nadwadze? Nawet teraz? Nawet w takiej sytuacji?

Ale nie był zły na Delph. Był zły w jej imieniu. Lubimy myśleć o sobie jako o feministkach, lecz Eddie bił na głowę nas wszystkie. I to nie w pornograficznym stylu Joego Hoppera. W autentycznie zbulwersowanym stylu Eddiego Gloda.

Poszedł wziąć prysznic, a Delph dopiła drinka. Podczas gdy on wycierał się do sucha, ubierał i czesał, ona wróciła do kuchni i posypała odrobiną proszku do pieczenia tatuaż, który znowu zaczął ociekać mieszaniną osocza i tuszu. Eddie zatrzymał się w kuchni w drodze do wyjścia. Znowu ją zaskoczył i wystraszył. Stała na jednej nodze, kryjąc tę wytatuowaną za sobą. Przypuszczała, że wygląda, jakby chciało się jej siusiu.

– Okej, skarbie – powiedział. – Wychodzę do Mr. Moon's. – Podeszedł do niej i poklepał po napuszonych włosach. Nie potrafił się powstrzymać, zawsze tak mówił. Twierdził, że czasami widział na nich odcisk swojej dłoni, zanim z powrotem wystrzeliły w górę. – Nie zapomnij o Vee.

W soboty dostarczał słone bułeczki z piekarni Mr. Moon's restauracjom w Chinatown. Jeśli chodziło o przepływ gotówki, on, Vee i Delph ledwie sobie radzili. Vee zarabiała najwięcej jako praktykantka adwokacka, ale wciąż nie za wiele. Rozmaite prace Eddiego, praca Delph w Elite Information Exchange – wszystkie te zajęcia zapewniały minimalne wynagrodzenie, co oznaczało, że cała trójka żyła na białym ryżu i sosie sojowym, na spaghetti z sosem z niebieskiego sera pleśniowego Kraft, na maśle orzechowym i galaretkę winogronowej – galaretkę z małych plastikowych opakowań, które Delph wybierała garściami ze stołówki w Barnard. A w weekendy żyli na kradzionych słonych bułeczkach.

W łazience Delph przestąpiła nad dżinsami, slipa-mi i mokrymi ręcznikami, które Eddie rzucił na podłogę, i wzięła prysznic, korzystając z odrobiny gorącej wody, jaka pozostała. Wycierając się, teraz już pewna, że jest sama, rzuciła się w wir piosenek o martwych nastolatkach – *Teen Angel*, *Last Kiss* i ta o duchu, który pokazuje się na potańcówce. To był jej kolejny sekret, jedyny, z którego powodu nie czuła wyrzutów sumienia: miała dobry głos. Śniła na jawie, że ktoś, jeden z artystów, prosi ją do mikrofonu w jakimś klubie z muzyką na żywo: „Ty,

dziewczyna, która śpiewa do każdej piosenki. Tak, ty. Widzisz tu jakieś inne dziewczyny? Jesteśmy tylko ja i ty, siostrze. Chodź tutaj, zobaczmy, na co cię stać”. Ludzie uśmiechają się znacząco, trącają się łokciami, spodziewają się, że zrobi z siebie idiotkę. A tymczasem...

W sypialni wybrała strój, który pasował zarówno do tatuażu, jak i do gorącego letniego dnia. Włożyła krótką dżinsową spódniczkę i japonki oraz – nie planując niczego symbolicznego czy metaforycznego, ale tak czy inaczej osiągając ten efekt (są takie dni, a nawet całe epoki, kiedy trudno tego uniknąć) – lawendowy T-shirt z czaszką i różą z drugiego albumu koncertowego zespołu Grateful Dead. Spojrzała na siebie w lustrze.

– Tak trzymać – mruknęła i pokiwała sobie palcem.

Dotarła do Szpitala Świętego Łukasza i wjechała na górę ogromną windą z nierdzewnej stali, zaprojektowaną w taki sposób, by mieściła łóżka na kółkach z pacjentami wiezionymi na operację. Vee leżała na takim łóżku nieco ponad rok wcześniej przy okazji jej pierwszej diagnozy. „Lumpektomia – wciąż powtarzał Eddie. – Co to za nazwa dla poważnego zabiegu medycznego? Brzmi jak polowanie na lumpów”. Nie żartował, był autentycznie przerażony i urażony. Za to Vee uznała to za przezabawne i roześmiała się na całe gardło. Była już pod wpływem środków uspokajających i bełkotała radośnie. Na jej gęstej szopie siedział czepek kąpielowy naciągnięty do granic możliwości, a spod prześcieradła, które przykrywało większą część jej tułowia, wystawał koniec igły lokalizacyjnej, wbitej wcześniej przez pielęgniarkę w jej pierś. „Czy nie wyglądam teraz jak ustrzelony lump?” – zapytała Vee, unosząc głowę i próbując spojrzeć na swoją klatkę piersiową, przez co wyglądała, jakby miała podwójny podbródek. Ale to ani trochę nie przypominało strzały. To wyglądało jak ogromna podskórna igła wetknięta w cycek siostry Delph. Tamtego dnia winda wiozła Lady, Delph, Eddiego, Vee i salową. Vee zakochała się w słowie „salowa”. Szczebiotała o tym, że to rzeczownik, który brzmi jak przymiotnik. „To zupełnie jakby nazwać gosposię »zlewowa« albo fryzjerkę »włosowa«” – stwierdziła. Kiedy już ją odwieźli, Eddie zaczął płakać. „A co, jeśli to były jej ostatnie słowa?” – lamentował.

Ale to była trauma sprzed roku, zeszlóroczny wątek fabularny opery mydlanej. Tym razem to Lady, nie Vee, leżała w szpitalu, a Delph miała przepastną windę tylko dla siebie. Huśtała się na piętach, podekscytowana i zaniepokojona, bo nie jechała na trzecie piętro, piętro dla szaleńców, którzy wymknęli się spod kontroli i pozostawali na obserwacji – chociaż ze względu na braki w personelu lekarze używali tego terminu dość swobodnie – na piętro, gdzie Lady spędziła ostatni tydzień z nadgarstkami przywiązanymi do poręczy łóżka za pomocą

miękkich flanelowych kajdan, które były nie tyle prawdziwymi więzami, ile apelem pielęgniarek o to, aby nie komplikowała im życia, robiąc coś pochopnego, przy czym „pochopny” było terminem, którego wszyscy, nawet psychiatrzy, używali, by opisać to, co uczyniła Lady. Zamiast tego Delph zmierzała na piąte piętro, gdzie trzymano rekonwalescentów. Najpierw wjechała na trzecie, ale pielęgniarzka dyżurna rozpoznała ją i krzyknęła, że Lady została przeniesiona, więc Delph ponownie wsiadła do windy. „To dziwne – pomyślała – że im zdrowszy człowiek, tym wyżej go przenoszą”. Wydawałoby się, że powinno być odwrotnie, że najbardziej chorzy powinni leżeć najdalej od zgiełku lobby i obrotowych drzwi prowadzących na hałaśliwą ulicę, ale być może w szpitalu obowiązywały te same zasady co w Bloomingdale’s, gdzie lepsze ubrania – designerskie linie z minibusów – znajdowały się na górze, na czwartym i piątym piętrze, podczas gdy wyuzdane ciuchy dla nastolatków eksponowano na drugim. Nie żeby było ją stać na chociaż jedną cholerną rzecz z Bloomingdale’s, ale czasami po pracy przechodziła przez dział kosmetyków i wracała do domu z pachnącym nadgarstkiem.

Jeszcze zanim dotarła do szpitala i dowiedziała się, że Lady została awansowana, Delph była w dobrym humorze. Częściowo dzięki dwóm koktajlom, którymi uraczyła się w mieszkaniu, i trzeciemu, którego wyżłopała w barze West End po drodze. Ten lipiec był wyjątkowo upalny. Powietrze tak gęste, że niemal można było je ssać. Podczas gdy Delph wędrowała na wschód, nie nawiązując kontaktu wzrokowego z nikim i nucąc *Teen Angel* pod nosem jak wariatka, uznała, że musi odgarnąć włosy z twarzy i szyi. Trzymała je w górze, żeby osuszyć pot na czole i karku i żeby same nie przesiąkły wilgocią. Jej włosy, tak włókniste i gęste, sterczące prosto do góry; była pewna, że wygląda jak troll. Ale przyjemnie schłodzony i z kręconymi włosami. Troll rodem z Hell’s Angels z tą krótką spódniczką, tatuażem i pijanym, tanecznie chwiejnym krokiem.

Kiedy dotarła na Broadway, dała nura do baru na krótką klimatyzowaną chwilę. Pozwoliła, żeby włosy jej opadły, i prawie wszystkie to zrobiły. West End był jedyną knajpą, w której czuła się swobodnie bez towarzystwa, i to w czasach, kiedy samotne kobiety uczęszczały tylko do nowych eleganckich lokali dla singli. W przeciwieństwie do tamtych miejsc West End nie miał jasno oświetlonej części dla gości płci żeńskiej – głównie żon starych bitników, ale również studentek Barnard, umawiających się ze swoimi profesorami – za to znajdował się tak blisko naszego mieszkania, że Delph żywiła do niego podobne uczucia jak do czekoladziarni Mondel’s kilka drzwi dalej. To był jej lokalny sklep ze słodyczami. Poza tym nigdy ani razu nikt nie próbował tu do niej zagadać. Nawet barmani tylko chrząkali, przyjmując zamówienie.

Zajęła miejsce przy barze i jak zawsze rozejrzała się w poszukiwaniu Allena Ginsberga. Jak zawsze wyglądało na to, że go nie ma, chociaż nie można było tego

stwierdzić na pewno. W West Endzie wiecznie panował mrok. Każdy mógł siedzieć rozparty w jednym z boksów. Odwróciła się do barmana i zamówiła Krwawą Mary. Mniej witamin niż jej mikstura z V8, ale lepszy smak i prawdziwe warzywo, jeśli można tak nazwać zwiotczałą łodygę selera tak starą, że aż pobielała. Szybko wypiła drinka, a kiedy skończyła, siedziała przez chwilę i pogryzała selera, rozmyślając o tatuażu i tatuażystach.

Dwa wieczory wcześniej ten drugi tatuażysta, ten imieniem Gurley, spisał jej numer telefonu z rachunku i zadzwonił do ich mieszkania.

– Delph? – zdziwiła się Vee, kiedy odebrała telefon. – Nie jestem pewna. Pozwoli pan, że sprawdzę.

Delph pokręciła głową.

– Przykro mi, nie – powiedziała Vee. – Musiała wyjść.

Zadzwonił jeszcze dwukrotnie, raz tego samego wieczoru i raz następnego dnia. Za każdym razem, gdy rozlegał się dźwięk telefonu, Vee i Delph były pewne, że to dzwonią ze szpitala z informacją, że Lady się pogorszyło, ale to znowu był ten Gurley, ten kręglarz, ten utrapieniec. Vee w końcu miała dość zarówno jego, jak i Delph. Kiedy zadzwonił trzeci raz, odrobinę zmieniła głos i udawała siostrę: Co może dla niego zrobić? A wtedy Gurley zaprosił ją na randkę. To całkowicie zaskoczyło Vee. Delph skłamała, mówiąc, że poznała tego Gurleya w klubie, i Vee zakładała, że dzwonił, bo chciał zdobyć numer do Joshui. To miało dla niej sens. Szeroko więc otworzyła oczy i wezwała siostrę tak gorączkowym gestem, że Delph posłuchała i podeszła do telefonu. Stały tam, Vee i Delph, stykając się skroniami i obie słuchały, jak Gurley sugeruje, żeby spotkali się w weekend, może rozegrali kilka partyjek kręgli, może wypalili trochę marihuany, może odwiedzili parę klubów.

Delph pozwoliła, aby szczeka jej opadła, demonstrując jej kompletne zaskoczenie i zdecydowane zniesmaczenie. Ona również była zdumiona, że Gurley nie jest gejem. Założyła, że wszyscy mężczyźni w salonie tatuażu byli. Na szczęście wtedy nie wiedziała, że co najmniej jeden z nich był hetero albo bi, albo jaki tam był ten Gurley. Poczłaby się jeszcze bardziej wytracona z równowagi, gdyby miała świadomość, że mierzy wzrokiem jej nogę w inny sposób niż pozostali.

Vee rzuciła Delph spojrzenie: tak czy nie? Delph kategorycznie pokręciła głową.

– Przykro mi – powiedziała Vee swoim głosem Delph, który podejrzenie zaczął nabierać zabarwienia *à la* Scarlett O'Hara. – W następną sobotę jestem zajęta.

– A co z niedzielą?

– Przykro mi. Słuchaj, prawda jest taka, że w ogóle nie umawiam się na randki. – Vee uśmiechnęła się do Delph uspokajająco.

– Bzdura – obruszył się Gurley. – Hej, a jeśli stanę pod twoim oknem i będę ci śpiewał serenady, dopóki nie zmienisz zdania?

W tamtej chwili Vee wpadła na pewien pomysł:

– Posłuchaj – powiedziała. – Nie chodzę na randki, bo jestem mężatką.

Myślała, że to go powstrzyma, nie tylko teraz, ale i w przyszłości, tymczasem jeszcze pogorszyła sprawę.

– Jesteś mężatką? – powtórzył Gurley, jakby to była najbardziej niedorzeczna rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszał, a Vee powiedziała:

– Nie bądź taki zdumiony.

A Gurley powiedział:

– Chyba nie jesteś żoną tego człowieczka, z którym wtedy przyszłaś? Nie jesteś. Wiem, że nie jesteś w jego typie.

– Masz na myśli Joshuę? – zapytała Vee. Zmarszczyła brwi, patrząc na Delph. Południowy akcent stał się odrobinę zbyt wyraźny. – Nie, zdecydowanie nie jestem żoną Joshui.

– W porządku – stwierdził Gurley. – W takim razie jak się nazywa ten twój stary, skoro jesteś taką, kurwa, mężatką?

Delph bezgłośnie powiedziała, a Vee posłusznie powtórzyła:

– Allen Ginsberg.

Musiały zakryć usta, żeby stłumić śmiech, ale wtedy Gurley zapytał:

– To gdzie pracuje ten Ginsberg? Bo pójdę tam, poczekam na niego i przerobię go na hamburgera. Potem będziesz wolna.

Vee wpadła we wściekłość.

– Mówisz o moim mężu – upomniała go. – Nie chcę nikogo innego – podniosła głos. – Kocham tylko jego. – Kiedy Vee zadeklarowała swoją miłość do Allena Ginsberga, Delph ku swemu zaskoczeniu zaczęła szlochać. Zrobiła bezradny, gorączkowy, falujący gest i pobiegła do sypialni Vee i Eddiego, pustej, bo Eddie pracował akurat na popołudniowej zmianie przy rozdawaniu ulotek turystom na Times Square, próbując nakłonić ich, aby weszli do pobliskiego sklepu z odzieżą męską i nabyli dwa garnitury w cenie jednego. Tymczasem Gurley przeproszał:

– Hej, uspokój się. To był tylko żart, do kurwy nędzy... Przepraszam za wyrażenie.

– Niczego ci nie wybaczam – warknęła Vee, rozłączyła się i poszła za Delph.

Głowa Delph tkwiła pod poduszką Eddiego, więc Vee usiadła na skraju materaca i poklepywała ją przez perkal i piankę.

– Wiem, że nie lubisz kłamać – powiedziała – ale on był tak natarczywy, że musiałyśmy coś zrobić.

– To nie o to chodzi – jęknęła Delph stłumionym głosem, pociągając nosem.

Nie płakała dlatego, że skłamały Gurleyowi. Nie płakała też dlatego, że być

może to był pierwszy raz, kiedy ktoś zaprosił ją na randkę, jakkolwiek okreśną drogą. Płakała, bo nigdy wcześniej nie wymyśliła kłamstwa, które wydawałoby się tak bardzo prawdziwe. „Nie chcę nikogo innego. Kocham tylko jego” – powiedziała Vee, odgrywając rolę Delph, a Delph, słysząc te słowa, zrozumiała, jak boleśnie były prawdziwe. Ona nie chciała nikogo innego. Kochała tylko jego. A on... on jej nie kochał i nigdy nie pokocha. Był gejem, a ona wiedziała, co to oznacza. I nie rozmawiały o Allenie Ginsbergu.

Pierwszą osobą, którą Delph zobaczyła w nowym pokoju Lady na piątym piętrze szpitala, była Vee siedząca w szaro-zielonym winylowym fotelu i patrząca w górę na telewizor w jakiś sposób podwieszony pod sufitem. Gdy weszła dalej, zobaczyła Lady podpartą na poduszkach w swoim łóżku i również spoglądającą na sufit, chociaż nie na telewizor.

– Najwyższa, kurwa, pora – przywitała ją Vee. – Przepraszam za wyrażenie.

Miała na sobie jeden z uniformów praktykantki adwokackiej – tani kostium w kolorze królewskiej purpury kupiony na wyprzedaży w Dress Barn, rajstopy pomimo morderczej temperatury oraz solidne czółenka, przypominające męskie kurdybanowe brogisy. Używana skórzana aktówka, prezent od jedynej prawniczki w firmie, która ostatnio nabyła bardziej elegancką wersję, leżała na podłodze. Delph zauważyła, że tego ranka Vee poświęciła również trochę czasu na ułożenie włosów. Nie tylko pozwoliła im wyschnąć, ale też potraktowała je suszarką i okrąglą szczotką. Nic jednak to nie dało. Pasma okalające twarz Vee już zaczynały się kręcić.

Delph minęła ją i pomaszerowała prosto do łóżka Lady. Zsunęła kłapek i zarzuciła nogę na barierkę łóżka, jakby to był drążek baletnicy.

– Patrz. To dla ciebie – oznajmiła. – Czytaj i płacz.

Nie było żadnego płaczu, tylko Vee katapultująca się z fotela, Vee krzycząca: „Co, do cholery, jest z tobą nie tak?!” i „Zwariowałaś?!”, i „Kto robi takie rzeczy?!”. Bez końca, jak samozwańcza matka. I sama odpowiadała na swoje pytania: „Chcesz wiedzieć, kto robi takie rzeczy?! Powiem ci, kto robi takie rzeczy. Marynarze, pijacy i dziwki, oto kto”.

– Kogo nazywasz marynarzem? – zapytała Delph radośnie z wciąż uniesioną nogą.

Lady nie mogła znaleźć okularów.

– Co to jest? – dopytywała się. – Co tam jest napisane?

– Nic – ucięła Vee. Ale po chwili namysłu wypaliła: – Tu jest napisane, że niezależnie od tego, co zrobimy, nasze życie będzie gówniane. To bardzo pokrzepiające. Idealna rzecz do pokazania komuś, kto właśnie postąpił pochopnie.

To słowo już stało się naszym żartem.

– To jest miły gest – zaprotestowała Delph. Opuściła nogę i zaczęła się rozklejać. – To jest pokrzepiające. Kłątwa przenosi się tylko do czwartego pokolenia, którym tak, okej, jesteśmy my, ale od zawsze wiedziałyśmy, że nad naszymi głowami wisi ciemna chmura. Czym był ostatni rok z rakiem i z rozwodem, i z mamą, jeśli nie dowodem na to? Ale dobra wiadomość jest taka, że to wszystko zatrzyma się na nas. Piąte pokolenie będzie wolne. Nasze dzieci zostaną oszczędzone.

W tamtych czasach jeszcze wszystkie myślałyśmy, że kiedyś będziemy miały dzieci.

– O czym wy mówicie? – chciała wiedzieć Lady.

– O tym cholernym tatuażu – wyjaśniła Vee. – Kary za niegodziwość ojców bla, bla, bla do trzeciego i czwartego pokolenia. – Przeczesała dłonią włosy. To był błąd. Nigdy nie należy zadzierać z kręconymi włosami, które zostały wyprostowane za pomocą tortur. Pasma poskręcały się pod dotykiem jej palców. „Ze spaghetti do rigatoni”, mawiała czasami, śmiejąc się, ale nie teraz. Nie była w nastroju do szydzenia z samej siebie. – Świetnie – skwitowała. – No to już wszystkie mamy absurdalne okaleczenia.

Ręka Lady powędrowała do gardła, na którym widniała pręga lśniącej surowej skóry.

Vee oczywiście przebijała zarówno Delph, jak i Lady pod względem liczby posiadanych blizn nawet wtedy, przed podwójną mastektomią. Chociaż jeśli, jak zwykł mawiać Albert Einstein, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są złudzeniem, a czas jest po prostu serią przypadkowych momentów odgrywanych w przypadkowej kolejności i jeśli niektóre z tych momentów sprawiają wrażenie, jakby wydarzyły się po innych, ale tylko dlatego że te „późniejsze” momenty zawierają „wcześniejsze”, to, cóż... jeśli zaakceptujemy, że to prawda (choć biorąc pod uwagę nasze ograniczone zdolności intelektualne, nie jesteśmy w stanie zrozumieć niczego z tej teorii), to może Vee już przeszła przez podwójną mastektomię i chemioterapię, i tak dalej, i tak dalej, i to dlatego tak się zdenerwowała, kiedy Lady i Delph dobrowolnie oszpeciły swoje pierwotnie nieoszpecone ciała.

Ale w czasie, w którym wierzyłyśmy, że żyjemy, Vee wciąż miała obie piersi. Miała też bliznę po biopsji i po lumpektomii, a z boku klatki piersiowej bladą, lecz dużą okrągłą bliznę w miejscu, gdzie oderwała luźny strup wielkości i koloru jagodowej tartalutki, który uformował się na jej oparzelinie od naświetlania. Te oszpecenia, jak o nich myślała, nie były nawet w przybliżeniu tak widoczne czy dramatyczne, jak blizna Lady i, teraz, Delph, ale były liczniejsze i znacznie smutniejsze, ponieważ nigdy o nie nie prosiła. Właściwie, gdy o tym pomyślała, Vee miała nawet własny tatuaż. Podobnie jak blizny był on konsekwencją pierwszego ataku raka. Składał się z czterech niebieskich kropek

wyznaczających rogi inaczej niewidzialnego kwadratu na jej lewej piersi. Każdego dnia tygodnia przez osiem tygodni po lumpektomii musiała stawiać się w klinice, gdzie samo serce kwadratu było bombardowane trującym promieniowaniem. Jej własne serce również, ostatecznie biło dokładnie tam, pod skórą, i było bezużyteczne, jeśli chodzi o blokowanie śmiertelnych promieni, mających rzekomo ratować jej życie.

W szóstym tygodniu naświetlań skórę miała już dotkliwie poparzoną nie tylko na piersi, ale i pod pachą, tak że musiała unikać wszelkiego kontaktu z ubraniami, żyletkami, dezodorantami, a nawet własną skórą. Chodziła z ramieniem wyciągniętym w bok albo czasami do góry, jakby wszechświat zadawał pytanie, a ona z racji mądrości, którą niedawno nabyła, chciała udzielić odpowiedzi. Ale tolerowała pieczenie, krew odpływającą z ramienia i wynikające z tego mrowienie, bo wszystko miało się skończyć zaledwie za kilka tygodni. Poza tym cóż innego mogłaby zrobić? Musiała się poddać leczeniu. Eddie Głód zażądał, aby żyła.

Vee ostrożnie poruszyła z nim temat alternatywnego rozwiązania:

– Wiesz – powiedziała, leżąc w jego ramionach po seksie – mówią, że moja ciotka Rose, kiedy była mniej więcej w moim wieku, uznała, że już wystarczy, i...

– Ale Eddie, który znał już wtedy wszystkie nasze historie, przerwał jej:

– Veezie, nawet o tym nie mów – co, szczerze mówiąc, przyjęła z ulgą.

Tak naprawdę tylko wypróbowywała ten pomysł, sprawdzała, czy będzie pasował. Ale nie pasował, nie wtedy. Zniosła operację i naświetlania i nigdy tego nie żałowała, nigdy nie uroniła ani jednej łzy, właściwie to żartowała i śmiała się więcej, niż sądziła, że będzie możliwe w takich okolicznościach. Jedyne raz, kiedy wzdrgała się przed tym, co mieli jej zrobić, zdarzył się wtedy, gdy dowiedziała się o konieczności wykonania tatuażu.

– Tylko cztery małe niebieskie kropeczki – powiedział radiolog – żebyśmy wiedzieli, gdzie celować. Nie będą nawet zauważalne dla kogoś, kto nie będzie ich szukał.

– Dlaczego nie coś tymczasowego? – zapytała. – Może mógłby pan użyć jakiegoś wodoodpornego markera?

Uśmiechnął się, sięgnął po igłę, ujął jej pierś i pociągnął, aby napiąć skórę. Wciąż była obolała po lumpektomii. Starła się nie krzywić.

– Jestem Żydówką – argumentowała, gdy on robił swoje. Jego nazwisko i oblicze wskazywały na to, że on również. – Żydzi nie powinni robić sobie tatuaży.

– Tatuażom robionym nie dla kaprysu Bóg daje odpuszczenie – pocieszył ją. Już zdążył skończyć.

Nasunęła z powrotem rękaw szpitalnej koszuli. Nie zawracała sobie głowy dokładnym jej zawiązywaniem. W szpitalu człowiek traci całe poczucie przyzwoitości.

– A pan skąd to wie? – zapytała. – Pracuje pan na część etatu jako rabin?

– Nawet lepiej – odpowiedział. – Pracuję na cały etat jako lekarz.

Stary dowcip, ale jary. Poza tym jej opory wobec kropek nie miały związku z pochodzeniem. To była kwestia nieczystości. Zaczęła idealnie, bez skazy: dziesięć palców u rąk, dziesięć u stóp, gęste włosy – i od tamtej chwili staczała się po równi pochyłej. Blizna po ospie nad brwią. Rok bez przednich zębów, a potem kolejne lata pełne srebrnych plomb. Era preparatów na trądzik. Chociaż błahe i zwyczajne wszystko to były przejawy pogarszającego się stanu, gnicia. Już wtedy ją to dręczyło. Była tego świadoma jeszcze przed niszczycielskimi operacjami. Umierała każdego dnia. Ubytki, rak, niebieskie kropki – jedno i to samo. Ale ona nie szukała swoich blizn, czego nie można było powiedzieć o naszyjniku Lady czy tatuażu Delph.

Lady w końcu zlokalizowała swoje okulary za pudełkiem niemarkowych chusteczek stojącym na jej stoliku nocnym. Przyjrzała się badawczo nodze Delph, odczytując wiadomość.

– Och, Delph – jęknęła. – Powiedz mi, że to nie jest na zawsze.

– Cóż, jest na zawsze – przyznała Delph.

– A to nie jest przypadkiem jakiś żart?

– To żart w tym sensie, że śmiejemy się same z siebie. Ale to nie jest taki psikus jak sztuczna psia kupa na dywanie.

Lady przeczesła dłonią własne zbuntowane włosy. Już nie wyglądała jak Olive Oyl. W którymś momencie zgubiła swoją klamrę ze szpilką. To wydawało się jej symboliczne, ale w zniechęcający sposób: przebywając w tym miejscu, w którym leczono ludzi, czuła, że kręci się jej w głowie, że nie ma kontroli nad własnym losem. Nie mogła się doczekać, kiedy wróci do domu, i nie miała na myśli mieszkania przy Amsterdam, lecz nasze mieszkanie przy Riverside, swoją starą sypialnię. Była zmęczona. W szpitalu nie można było się wyspać. Już na trzecim piętrze panował hałas, ale teraz przebywała pośród tych, którzy nie byli tak naprawdę chorzy, to jest w sąsiedztwie oddziału położniczego, skąd dobiegały wrzaski i przekleństwa pacjentek nawet gorsze niż te padające z ust obłąkanych. Mimo to nie była zdenerwowana tatużem Delph tak jak Vee. Fakt, Delph zrobiła głupią rzecz i Lady przepowiadała jej całe lata chodzenia w dżinsach i kryjących rajstopach, tak jak sobie przepowiadała wieczne noszenie golfów. Ale czy tak naprawdę to była jej sprawa, co Delph robiła z własną skórą? Ostatecznie wytatuowana noga nie należała do Lady. Lady miała wystarczająco dużo problemów z własną nogą, która w tej chwili leżała na wierzchu marnego zmechaczonego szpitalnego koca opancerzona nieskazitelnie białym gipsem.

– Delph – powiedziała Lady bardziej z czułością niż z niezadowoleniem. – Jesteś moją małą siostrzyczką i kocham cię nad życie, ale, Boże, potrafisz być taką idiotką...

Vee schyliła się po aktówkę i ruszyła w kierunku drzwi. Delph zajęła jej miejsce. Uśmiechnęła się do Lady z taką samą czułością. Wskazała na jej gardło. Wskazała na jej gips.

– Jasne – podsumowała. – Jasne. To ja jestem idiotką.

17 Główny bohater serialu *The Beverly Hillbillies*. Prosty farmer, który odkrywa na swojej działce złoża ropy naftowej, zostaje bogaczem i przeprowadza się z rodziną do Beverly Hills.

18 Fragment sonetu LXXXIV Williama Szekspira w przekładzie Jana Kasprowicza.

19 Jedna z pierwszych oper mydlanych i najdłużej nadawany serial na świecie, mający 18 262 odcinki. Był emitowany najpierw w radiu, a potem w telewizji w sumie przez 72 lata.

20 Prawdopodobnie jest to aluzja do mężczyzny w stroju kowbojskim znanego jako West Side cowboy, który w XIX wieku jeździł konno po biegnącym przez miasto odcinku trasy kolejowej i dął w róg, obwieszczając przechodniom przejazd maszyny.

21 Powszechnie znana mnemotechniczna formułka dotycząca zasad angielskiej pisowni.

22 Mr. Natural to komiksowa postać stworzona przez kontrowersyjnego rysownika Roberta Crumba. *Keep on truckin'* to jedno ze słynnych powiedzonek Mr. Naturala, oznaczające „Tak trzymać”.

23 Chodzi o skandal związany z wypadkiem samochodowym, do którego doprowadził Ted Kennedy na wyspie Chappaquiddick w 1969 roku. W katastrofie zginęła Mary Jo Kopechne, jego współpracowniczka i była sekretarka jego braci Johna F. Kennedy’ego i Roberta F. Kennedy’ego, a on opuścił miejsce wypadku bez wzywania policji.

ROZDZIAŁ 7

1905

Na scenie w Paryżu Mata Hari, zakłopotana swoimi małymi piersiami, zdejmuje całe ubranie poza biustonoszem wysadzonym klejnotami. Na pustyni w Ameryce zostaje założone miasto Las Vegas. W biurze szwajcarskiego urzędu patentowego młody fizyk, przyjaciel Lenza Altera, wymyśla $E = mc^2$. Tymczasem Lenz Alter dokonuje własnego naukowego przełomu. Chciałybyśmy opisać to ze szczegółami, ale nie jesteśmy chemiczkami. Nie potrafimy tak naprawdę wyjaśnić, czego Lenz Alter dokonał w swoim laboratorium tamtego pomyslnego roku. Wiemy tylko, że opracował sposób na otrzymywanie płynnego amoniaku poprzez przepuszczanie azotu i wodoru przez jakieś stalowe ustrojstwo. Potem zrobił z tym amoniakiem dodatkowe hokus-pokus i w efekcie wyprodukował – ta dam! – wielką kupę gówna. Nie naturalnego gówna, oczywiście. *Faux* gówna. Designerskiego gówna. Naukowcy nazywają opracowaną przez niego syntezę procesem manny. Chleb z niebios. Jedzenie nie wiadomo skąd.

Jesteśmy gotowe przyznać, że produkcja syntetycznego nawozu azotowego nie jest ani trochę tak ekscytująca ani w przybliżeniu tak seksowna jak teoria względności. Nie jest również tak fascynująca jak naukowe odkrycia naszych czasów: odkodowanie ludzkiego genomu. Teoria strun, skonstruowanie minitelefonu. Podobnie jak określenie „epoka nawozu” – tak historycy nauki nazywają ten okres cudownego ocalenia od powszechnego głodu – nie brzmi równie dobrze jak „epoka rozumu” czy „wiek technologii”. Ale dla ludzi żyjących w 1905 roku, którzy stanęli przed widmem śmierci głodowej z powodu mew, biednych stworzeń, które nie potrafiły już dłużej dostarczać odpowiednich ilości cennych odchodów w wystarczającym tempie, wynalazek Lenza Altera, umożliwiający użyźnienie zubożonych gruntów ornych, był cholernie ekscytujący. My jednak stanowimy wytwór naszej epoki, nie jego, i czasami trudno nam traktować nagrodzoną Noblem pracę pradziadka z należytych respektami. Opowiadamy taki żart. Cóż, nie żart, bardziej skecz. Wyobraźcie sobie scenę starego wodewilowego teatru przedstawiającą laboratorium szalonego naukowca. Na deskach stoi dwóch uczonych, obaj w białych kitlach, obaj mówią z silnym niemieckim akcentem – jeden jest przy tym łysy jak kolano, a drugi ma głowę porośniętą dzikimi szorstkimi włosami. Ten łysy jest naszym pradziadkiem. Ten drugi jego przyjacielem.

Alter: Albert, Albert, *mach schnell!* Właśnie rozwiązałem największy problem ludzkości!

Einstein: Gówno prawda!

Alter: Skąd wiedziałeś?!

Również w 1905 roku: Iris Emanuel Alter przygotowuje kolację. Jest dumna z osiągnięć męża. Z pewnością jest dumna z tego, że jej imię pojawia się w dedykacji w jego pierwszej książce. Chociaż strona z dedykacją to nie do końca to miejsce, w którym chciała je widzieć. Nie jest ani asystentką laboratoryjną Lenza, ani jego współpracowniczką. Nie jest współautorką jego artykułów ani towarzyszką od kieliszka, ani osobą, z którą rozmawia o azocie, wodorze, płynnym amoniaku i nawozie, a już tym bardziej o jej niesłabnącym zainteresowaniu solami rozpuszczalnymi. Kiedy Lenz chce podyskutować o swojej pracy, wybiera Einsteina, Plancka, Boscha albo Willstättera. Rozmawia z Lehrerem, kiedy Lehrer i Marthe odwiedzają Karlsruhe. Rozmawia ze swoimi studentami, i to do późna w noc. Rozmawia ze swoim trzyletnim synem przy śniadaniu, podczas gdy chłopiec wali łyżką w stół. Raz nawet słyszała, jak rozmawiał o nawozie z ich psem. „Ile razy mam ci powtarzać, że już nie potrzebujemy twojej pomocy w tej kwestii” – strofował Prinza, płochliwego czarnego labradora, który przechylił łeb na jedną stronę i uderzał w trawnik mięsistym ogonem.

Iris jest dla Lenza tylko tym, kim chciał, żeby była: jego żoną. A bycie jego żoną okazało się niezwykle czasochłonne; nie zostawiało jej ani chwili na samodzielne badania, które z powodu braku dostępu do laboratorium i zespołu i tak byłyby niemożliwe. Prowadzenie domu jest bardziej wymagające, niż sobie wyobrażała, chociaż przyznaje, że to po części jej wina. Ze względów politycznych nie uznaje hierarchii, a to oznacza, że nie deleguje obowiązków. Sama sprząta, robi zakupy, gotuje, szyje, pierze, przygotowuje wymyślne kolacje, o które Lenz prosi rano, po czym nie wraca na nie wieczorem. Jest odpowiedzialna za każdy aspekt podejmowania gości. Jej mąż lubi przyjęcia, szczególnie te wydawane na jego cześć. Jest znany z tego, że konwersuje, posługując się wyłącznie tymi swoimi improwizowanymi bohaterskimi kupletami – nienaganny pentametr jambiczny od przybycia gości aż do ich wyjścia, od zupy naleśnikowej po tort z czarnych orzechów. Goście wydają ochy i achy, chichoczą i rechoczą, a czasami nawet klaszczą, ale jest całkiem pewna, że podobnie jak ona zaczęli uważać to nieustające popisywanie się za bardziej irytujące niż błyskotliwe.

Nie trzeba dodawać, że sama troszczy się również o ich syna, biednego chorowitego Richarda o słabym sercu, skłonności do przeziębień i gorączek oraz niezdolności do przybrania na wadze. Nie ma gospodyń, opiekunek, gderających guwernantek, żadnych wioseł do bicia ani różg. Nie ma też wyjazdów do

sanatorium w Alpach pomimo sugestii lekarza. Jest tylko ona, która wszystko, do ostatniej rzeczy, robi sama.

Pewnego ranka sama zatrzymuje nawet rabusia, który ją napadł. Ściga go, raz za razem młóćąc po głowie płóciennym workiem zawierającym twarde sery i dużą rzepę. „Myślę, że by go zabiła, gdybyśmy jej nie odciągnęli” – mówi lokalnej prasie pełen podziwu sklepikarz. Artykułowi towarzyszy fotografia Iris wyglądającej na zmieszaną i trzymającej w dłoni kawałek ementalera. To jej trzecie i ostatnie wystąpienie w gazetach.

– O rany! – zwraca się Iris tamtego wieczoru do Richarda.

Chłopczyk siedzi w wysokim krzeselku z poduszką za plecami, przywiązany szarfą na wypadek, gdyby wymyślił sposób na to, jak się zsunąć na podłogę. Łomocze drewnianą łyżką w swoją małą tacę. Iris starła już ementaler, redukując broń do puszystych okrawków, którymi wkrótce posypie pokrojoną w plastry i podsmażoną rzepę, a następnie zapiecze ją i spożyje na kolację.

– Wiesz, że normalnie nie skrzywdziłabym nawet muchy. Jestem pacyfistką w każdym calu. Tylko że to była... cóż, chodziło o moją torebkę.

Do drugiego Richarda, Richarda Lehrera, pisze: „Ogarnął mnie gniew i stałam się potworem nie do poznania, zdolnym do morderstwa za pomocą sera. Ostatnimi czasy zastanawiam się, czy odjęło mi rozum. Ale to właśnie wspaniała rzecz przy monografii, którą zamierzam napisać, czyż nie? To wszystko są dane. To wszystko są dane. Wszystko może się przydać”. Powyższa wzmianka to ostatni raz, kiedy ktokolwiek słyszał o tej monografii. Iris wycina zdjęcie z gazety i wysyła je do swojej siostry Lily. „Jaki błyskotliwy podpis znajdziesz dla tego?” – pyta. Lily odpisuje: „Nie samym serem człowiek żyje”.

1911

Z przemowy cesarza Wilhelma II Hohenzollerna, wygłoszonej na ceremonii otwarcia Instytutu Chemii Fizycznej w Dahlem:

Dyrektor naszego instytutu Lorenz Otto Alter doskonale nadaje się na to stanowisko. Jego naukowe osiągnięcia już nadały impet niemieckiemu przemysłowi chemicznemu, w którym jesteśmy światowymi liderami. Jego aktualne badania również mają decydujące znaczenie dla podtrzymania pozycji Niemiec na świecie, chociaż powiedziano mi, że w tej chwili nie mogę zdradzić nic więcej na ich temat. Wygląda na to, że jedyni ludzie jeszcze bardziej rozmiłowani w tajemnicach niż mężowie stanu to chemicy.

Iris nienawidzi wszystkiego w Dahlem. „Naprawdę? – pisze Lily. – Nienawidzisz? To dziecinne określenie, nie uważasz?”. „Świetnie – odpisuje Iris. – W takim razie jestem dzieckiem”. Bo naprawdę nienawidzi tego miejsca tak bardzo, że ma ochotę tupać, wstrzymywać oddech, drzeć włosy z głowy i walić pięściami. Nienawidzi jego burżuazyjnej schludności, wymuskanych trawników,

pedantycznie poprzycinanych żywopłotów. Nienawidzi długich dojazdów, kiedy ma ochotę udać się do Berlina – a kiedyż nie ma na to ochoty ze względu na jego teatry, koncerty, muzea i wszystkie inne rzeczy, których brakuje na peryferiach? Nienawidzi godzin, które musi spędzać z żonami innych członków kadry. Nienawidzi monstrualnego zwierzęcia z sąsiedniej rezydencji, wilka, którego właściciele upierają się, że nie jest wilkiem, lecz nową rasą psa. „Jak możesz nie lubić psa zwanego owczarkiem niemieckim?” – pyta ją Lenz, a ona gryzie się w język, co robi często ostatnimi czasy. Skarży się tylko: „On rzuca się na Prinza przy każdej okazji i nigdy nie przestaje szczekać”. Pozwala Lenzowi domyślić się, o co jej chodzi, ale nie mówi tego wprost.

Wydanie tego wyroku na Dahlem nie zajęło jej dużo czasu. Zaczęła nienawidzić tego miejsca już w pierwszym tygodniu po przybyciu. Nienawidziła ceremonii inauguracyjnej, parady przechodzącej w deszczu główną ulicą. Miała awersję do wszelkich parad, ale ta była szczególnie odpychająca: najpierw pyszniący się kajzer, następnie słynny chrześcijański teolog, a potem naukowcy, to znaczy Żydzi, zajmujący miejsca z tyłu. Niemcy, Bóg i ojciec jej syna maszerujący ulicą. A ona, *Frau Doktor*, odsunięta na bok. Porządek dziobania w obrębie grupy skodyfikowany raz na zawsze. Mieszkają w okazałej białej rezydencji, którą odnowił dla nich instytut, naturalnie największej pośród członków kadry – trzypiętrowy przywilej, chyba że ktoś akurat nie uznawał hierarchii, bo w takim przypadku był nie tylko zażenowany jego rozmiarami, ale też miał odpowiednio więcej prac domowych do wykonania. I odpowiednio więcej przyjmował gości.

Ostatnio Iris zdała sobie jednak sprawę, że prace domowe nie przeszkadzają jej tak bardzo, jak można by sądzić, słuchając jej narzekań. Zauważyła, że zaczęła wyszukiwać sobie dodatkowe projekty i obowiązki. Zaczęła sama szyc wszystkie swoje ubrania, chociaż to akurat nie był jej wybór. Nosi teraz już tylko *Reform-kleider*, obszerne, suto marszczone suknie z szorstkiego materiału, zaprojektowane tak, aby ukryć ciało kobiety, aby była oceniana nie na podstawie swojej figury, lecz jakości umysłu i charakteru. Takich sukien nie można już znaleźć w sklepach. Poza tym zajęła się ogrodnictwem.

Ogród (i buda Prinza tak blisko terytorium wroga) znajduje się bezpośrednio za domem, a tuż za murem ogrodu mieści się laboratorium chemii fizycznej, gdzie pracują Lenz, jego asystenci i jego studenci. Zaleta w postaci laboratorium męża położonego tak blisko, że można do niego zaglądać z kuchennego okna, jest często wymieniana przez żony naukowców z sąsiednich domów. Oznacza bowiem bardzo krótki spacer, kiedy przychodzi pora, by zanieść mu lunch albo papiery, które redagowało się i przepisywało dla niego na maszynie, czy cokolwiek innego, czego zapomniał. A on wraca do domu raczej pobudzony do działania po całodziennej pracy niż zmęczony po długiej jeździe pociągiem czy tramwajem. Nawet jeśli pracuje do późna i nie pojawia się na kolacji, zazwyczaj jest w domu wystarczająco

wcześnie, żeby zobaczyć dzieci, zanim pójdą spać.

Iris wylicza wady tylko samej sobie: każdego dnia widzisz miejsce, w którym chciałabyś być, ale nie możesz. Poza tym, jeśli on nie wraca do domu na wieczór, z łatwością możesz stwierdzić po zaciemnionych oknach laboratorium, że to nie dlatego, iż pracuje do późna. „Wyszedłem ze sponsorami” – usprawiedliwia się Lenz, kiedy dociera do domu o północy czy nawet później. Albo: „Byłem w klubie z Einsteinem” lub z Planckiem, lub z Moritzem, lub z Meyerem. Theo Meyerem, dawnym przyjacielem Iris z uniwersytetu, którego nie byłoby tutaj, gdyby nie ona. „Ale nawet gdybym rzeczywiście spotykał się z innymi kobietami – ciągnie Lenz – to czyja to byłaby wina?”. Iris patrzy na niego oczami niemal całkowicie wypranymi z koloru i niemal całkowicie wyzbytymi podejrzeń. „Czy ja coś mówiłam?” – pyta.

Nie mówi ani słowa, bo jego argument nie jest pozbawiony podstaw. Po urodzeniu Richarda opuściła ich małżeńskie łóżce i nigdy do niego nie wróciła. Lekarze zachęcali ją, żeby przeniosła się z łóżkiem do pokoju dziecinnego. Nie wahała się. Czy któraś matka by się zawahała? Teraz ci sami lekarze zapewniają ją, że Richard jest już wystarczająco zdrowy i silny, aby mogła zrezygnować z tak ostrożnej opieki. Ona się nie zgadza. Fakt, Richard jest teraz zdrowszy, chociaż wciąż chudy jak kij od miotły i podatny na bóle gardła oraz lekki katar, ale czy byłby tak zdrowy, gdyby nie trwała wiecznie u jego boku, monitorując jego oddech, nasłuchując bicia serca, interweniując, zanim najłżejsze chrypienie czy rżenie zdoła się przerodzić w coś poważnego, coś śmiertelnego? I czyż to nie czyni z uganiającego się za spódniczkami Lenza – bo oczywiście to właśnie robi w te wieczory, kiedy twierdzi, że wychodzi ze sponsorami albo z Albertem, albo z Maxem, albo z Emilem, albo z Theo – czyż to nie czyni z niego, z jego niewiernością i kłamstwami, i próbami zrzucania winy na nią, kogoś zdumiewająco samolubnego, skoro powodem, dla którego ona już nie dzieli z nim łóżka, jest to, że pilnuje, aby ich dziecko nie umarło we śnie?

Ale kryje się za tym coś więcej, i ona o tym wie. Konfunduje ją fakt, że ona, taka lubieżna dziewczyna, straciła wszelkie zainteresowanie stosunkami małżeńskimi. Właściwie jest bardziej niż niezainteresowana nimi. Nawet kiedy Lenz dotknie jej mimochodem, zaledwie położy dłoń na jej ramieniu, Iris wpada w taką wściekłość, jakby napastował ją ktoś obcy. Stara się ukryć przed nim swój gniew, oddychać głęboko, myśleć o czymś kojącym – o swoich różach, kolibrach przy pysznościami szkarłatnych, o torcie w piekarniku, o czymkolwiek. Tylko tyle może zrobić, żeby go nie uderzyć. Tak wygląda rzeczywistość. Ogarnia ją niewytłumaczalna furia, kiedy mąż daje jej do zrozumienia, że chciałby, aby zapewniła mu fizyczne pocieszenie w ramach małżeństwa. A zatem jeśli Lenz

bierze sobie kochanki, Iris podejrzewa, że ma takie prawo. Ona jeży się i odpira ataki, ale w głębi serca wie, że to jej wina. Podejmuje zatem decyzję i przestrzega postanowienia: dopóki Lenz będzie wracał do domu, zanim Richard obudzi się rano, dopóty Iris nie powie na ten temat ani słowa. I trzyma się tej decyzji. Nie mówi nic.

I powtarza sobie raz za razem, że w Dahlem nie jest aż tak źle. Dahlem ma swoje zalety. Dahlem jest czyste. Dahlem jest bezpieczne. W szkołach obowiązują nowoczesne programy nauczania i pedagogiczna metodologia. Miejsce jest pełne Żydów takich jak oni, więc nie ma tu żadnej wrogości, żadnych szyderczych uśmieszków, żadnego wrażenia, że nie są gdzieś mile widziani. A jednocześnie wszyscy Żydzi tutaj przeszli na chrześcijaństwo, więc nie ma żadnych sztetli, żadnych bród, futrzanych czap i pejsów, nic z poczucia wyższości, które cienką warstwą okrywa nienawiść do samego siebie, ani nic z nadmiernej skromności, która tak głośno świadczy o wyniosłości.

I dołączył do nich Theo Meyer, jej stary przyjaciel z uniwersytetu, co sprawia jej przyjemność. Zarówno on, jak i wszyscy studenci jej męża zwracają się do niej per *Frau Doktor*; to też sprawia jej przyjemność, ta słodko-gorzka uprzejmość. Lubi chłopców z laboratorium. Macha do nich z ogrodu, karmi ich, kiedy razem z Lenzem wpadają do domu wieczorem, kipiąc pomysłami i ekscytacją. To mili młodzi mężczyźni, którzy włączają Richarda w swoje rozmowy i łagodniejsze harce, jakby był im równy. Czasami ona oferuje im własne przemyślenia, spostrzeżenia tu czy tam, a oni słuchają, dziękują jej.

Od czasu do czasu Iris odkurza swój stary wykład o chemicznych właściwościach środków czyszczących i wygłasza go przed członkiniami lokalnych klubów dla pań. Już nie musi jeździć na te wykłady; to kolejna zaleta bycia żoną dyrektora. Prelekcje odbywają się teraz w jej domu, w oficjalnym salonie na pierwszym piętrze rezydencji. Nie musi sobie zawracać głowy wynajmowaniem samochodu czy targaniem z sobą notatek, butelek z amoniakiem i wybielaczem oraz proszku do szorowania, których używa w celach poglądowych. Może pójść na górę, gdy tylko odzyska dom dla siebie, i wpełznąć do łóżka Richarda z mokrą szmatką na oczach, stawiając kieliszek wina na jego malutkim stoliku nocnym. Ale też teraz musi zadać sobie podwójny trud: poza zaktualizowaniem wykładu przygotowuje pomieszczenie i piecze słodkie bułeczki. „Jeśli chcesz znać prawdę – zwierza się Richardowi w mroku ich dzielonego pokoju – myślę, że zrezygnuję z wygłaszania tych wykładów. I tak wszyscy myślą, że to twój ojciec pisze moje przemówienia. – Śmieje się. – Za to nikt nigdy nie zakłada, że to on piecze słodkie bułeczki”. Richard, jej największy fan, uważa to za przezabawne. Jego ojciec piekący słodkie bułeczki. „A to dobre”, mówi.

Wiosna 1914

Iris Emanuel Alter może i nienawidzi Dahlem, za to Dahlem całkiem lubi Iris Emanuel Alter. Właściwie to Iris jest bardzo lubiana wszędzie, gdzie zamieszka, wszędzie, dokąd pójdzie. Ludzie, którzy ją znają, niezmiennie opisują ją jako miłą. To prawda, że czasami również porównują ją do gryzoni, ale zawsze do tych najmniej odrażających. „Trochę myszka”, powie ktoś, albo „nieśmiała jak królik”. Ale zawsze wracają do słowa „miła”. Taka miła. Tak niezawodnie miła.

Mileva Einstein na przykład. Kiedy Iris umrze za rok od tej chwili, Mileva powie: „Była nerwowa jak wiewiórka. To zrozumiałe, że serce ją zawiodło. Chociaż kto pośród nas jest na tyle dobry w miłości, by nie umrzeć jako nieudacznik w sprawach serca?”. Westchnie na myśl o własnej sentencji. „Ale naprawdę – doda – to wielka tragedia. Była najmiłszą osobą, jaką znałam”.

Ale to dopiero następnej wiosny. Tej wiosny Mileva i jej chłopcy mieszkają z Alterami, podczas gdy Albert próbuje uporządkować swoje życie miłosne, a Lenz odgrywa rolę pośrednika. Albert chce porzucić Milewę dla swojej kuzynki Elsy. Lenz nie chce na to pozwolić.

– Cóż mogę ci powiedzieć? – mówi do Alberta. – Mam nowoczesne poglądy na wiele spraw, ale nie na rozwód. Miewaj schadzki, ale nie możesz naprawdę wprowadzić się od dzieci.

Zdaniem Lenza sprawy idą coraz lepiej.

– Czy Albert zgodził się przestać z nią widywać? – pyta go Mileva, kiedy ten wraca z kolacji i negocjacji.

– Cóż, nie – przyznaje Lenz – ale mówi mi, że tęskni za chłopcami. To wielce obiecujący znak.

Mileva jest płaczliwa i łatwo się rozrzewnia, ale pozostaje niezwykle wdzięczna zarówno Lenzowi, jak i Iris. Wyraża tę wdzięczność bez ustanku. „Tak miło z waszej strony, że nas przyjęliście” – powtarza wiele razy dziennie. Nazywa białą rezydencję swoim pięknym azylem.

Iris zaczyna sobie zdawać sprawę, że przyjmowanie nadmiaru podziękowań jest tylko kolejnym obowiązkiem. Każdego dnia musi przerwać to, co właśnie robi, albo odłożyć to, co chciałaby robić, aby zapewnić Milewę, że jest mile widzianym dodatkiem w jej codziennym życiu.

– Proszę, nie ma o czym mówić – powtarza, ale Mileva wraca do tego wciąż i wciąż.

Kolejnym powodem, dla którego Iris obawia się wyrazów wdzięczności Milevy jest fakt, że zbyt często następują po nich próby okazania łaskawości.

– Chcę, żebyś wiedziała – mówi Mileva, zniżając głos – że jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebować podobnej przysługi, nasze drzwi zawsze będą dla ciebie otwarte.

„Nasze drzwi”. Jakby przyszłość była przesądzona, jakby Mileva nie miała ani krztyny wątpliwości, że ona i Albert wkrótce do siebie wrócą, a wtedy będzie

mogła poświęcić się szpachlowaniu pęknięć w małżeństwie Alterów.

Najgorsze w zaproszeniu Milevy jest to, że Iris z łatwością może sobie wyobrazić sytuację, w której będzie musiała z niego skorzystać. Widzi samą siebie przekraczającą próg domu Milevy po tym, jak Lenz w końcu – nieuchronnie – pozna kobietę, dla której pokona swój niesmak wobec rozwodów. Iris widzi, jak niesie walizki, swoją i Richarda. Widzi, jak posyła Richarda na górę, aby pobawił się z chłopcami Einsteina, widzi siebie stojącą w salonie Einsteinów, zagubioną albo, nawet gorzej, płaczącą. „Nasz dom jest twoim domem – mówią. – Zostań tak długo, jak będziesz potrzebowała”. To samo ona powiedziała Milevie.

Iris była u Einsteinów wiele razy. Podobnie jak Albert jego dom zawsze jest w nieładzie: kanapa w salonie wiecznie zajęta przez zabawki i papiery, talerz czy dwa potrzebujące zmycia, kilka częściowo wyspanych landrynek. W jej ponurej fantazji to Albert robi dla niej miejsce na tej kanapie, żeby mogła usiąść, to Albert klepie ją po dłoni i mamrocze słowa pocieszenia, podczas gdy Mileva spieszy do kuchni, aby zaparzyć herbatę. Nawet w tym zmyślnym scenariuszu Iris jest zbyt zażenowana, żeby poprosić o whisky.

Musi to odegrać w wyobraźni tylko jeden raz. Prędzej zabije Lenza, niż wprowadzi się do Einsteinów. Albo zabije siebie. Albo być może dopuści się jednego z tych morderstw połączonych z samobójstwem, o których ciągle się czyta. Ale nie, w rzeczywistości tak nie myśli. Nie skrzywdzi Lenza. Nie robi tego nawet wtedy, gdy próbuje ją całować, a jej ciało drży nie z podniecenia, lecz z chęci, aby rzucić się na niego z pazurami. Nawet wtedy wymyśla tylko jakąś wiarygodną wymówkę – ten tort w piekarniku, kąpiel, którą musi przygotować dla Richarda – i oddala się w pośpiechu. Nie jest agresywna. Całkowicie odrzuca przemoc. Kiedy śni na jawie o zabiciu Lenza, tylko sobie folguje, ulega melodramatyzmowi. Nigdy nie pozwoli Lenzowi, aby doprowadził ją do takiego trywialnego zachowania. Jest zbyt dumna, zbyt dobrze wykształcona, aby odgrywać rolę mściwej żony. Nie chce przejść do historii jako Frau Doktor Piekło Nie Zna Straszliwszej Furii.

Trzyma głowę wysoko. Zachowuje się, jakby wszystko było w porządku. Urządza te jego przyjęcia, macha i wiwatuje z widowni na paradach. Nie jest pierwszą kobietą na tym świecie poślubioną znanemu mężczyźnie, który nie dochowuje wierności. W życiu bywają gorsze rzeczy.

Próbowała wyjaśnić to wszystko Milevie. Skoro Albert nie chce zaakceptować nawet konwencjonalnych praw dotyczących czasu i przestrzeni, dlaczego Mileva miałaby oczekiwać, że zaakceptuje konwencjonalne prawa rządzące życiem rodzinnym? Tymi słowami zamierza wywołać na twarzy Milevy smutny uśmiech – taki uśmiech to specjalność Iris – ale Mileva, w głębi duszy wciąż serbska wieśniaczka, uważa filozofię Iris za szokującą.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma czegoś takiego jak mężczyzna, który jest jednocześnie geniuszem i przyzwoitą istotą ludzką?

Czy to właśnie chciała powiedzieć? Tak, Iris dochodzi do wniosku, że to właśnie chciała powiedzieć.

– No a przychodzi ci jakiś do głowy? – pyta.

– A ten twój Lehrer?

Gdyby Iris nie była taką miłą osobą, wstałaby i opuściła pomieszczenie. Kim jest Mileva, żeby wspominać o Lehrze? Ale uprzejma jak zawsze nie robi nic, tylko odpowiada na pytanie:

– To prawda, że Lehrer był oddany Marthe – mówi spokojnie – i że Marthe była równie oddana jemu. I tak, niewątpliwie był znakomity w swojej dziedzinie. I Bóg jeden wie, jak dobry dla swoich studentów. Ale nawet ja nie nazwałabym go geniuszem. Nie takim jak Albert i Lenz.

– Problem polega na tym – przyznaje Mileva – że nie wiedziałam, iż Albert jest geniuszem, kiedy za niego wychodziłam. Uważałam, że jest błyskotliwy, ale że będę w stanie dotrzymać mu kroku. Dopiero kiedy wkroczył w krainę geniuszu, wszystko się rozpadło.

Oprócz posiadania niewiernych geniuszów za mężów Iris i Milewę łączy jeszcze jedna rzecz: Mileva też jest naukowcem. To właśnie dzięki temu poznała Alberta w szkole w Zurychu. Była jedyną kobietą w grupie, chociaż niestety – i w przeciwieństwie do Iris – nigdy nie zdołała zdać swoich egzaminów. Ale co za różnica, że Iris powiesiła swój dyplom na ścianie w gabinecie, a Mileva nie? Żadna z nich nie pracuje przecież w zawodzie. Obie zajmują się domem, wychowują dzieci i zabawiają gości.

Iris ostatnio przyłapała się na tym, że układa w głowie listy. Jedną z nich nazwała „Co mnie łączy z Milewą”. Figurują na niej synowie, nauka i mężowie. Kolejna lista nosi nazwę „Czym według ludzi mogłabym przewyższać Milewę”. Ten wykaz obejmuje jej niemieckie pochodzenie, większy dom, wybitne zdolności w jego prowadzeniu, jej relatywny spokój w kwestii romansów Lenza i oprawiony w ramkę tytuł naukowy, nawet jeśli bezużyteczny. Poza tym Iris z jej drobnymi potulnymi rysami jest ładniejsza. Chociaż akurat ta ostatnia rzecz nie jest zbyt dużym osiągnięciem. Jeśli pierwszym słowem, jakim ludzie opisują Iris, jest „miła”, to wobec Milewy użyją przede wszystkim „brzydka”. „Wyjątkowo brzydka” – powiedział Albert do Lenza.

Iris, spowita w swoją *Reformkleid*, ma wyrzuty sumienia, że uwzględnia wygląd na tej liście. Czuje się winna, że w ogóle tworzy te listy. Ale codziennie dodaje do nich nowe pozycje.

Pierwszego wieczoru spędzonego w swoim pięknym azylu, kiedy natrafiła na dyplom Iris wiszący na ścianie w jej gabinecie, Mileva wykrzyknęła:

– Ach! Oto i on w pełnej chwale!

– Tak – skwitowała Iris. – Oto i on. Kawalek papieru pod kawałkiem szkła.

Mileva ruszyła w jej stronę, jakby chciała ją złapać za ramiona i potrząsnąć.

Iris zrobiła krok do tyłu.

– Powinnaś być z niego dumna! – zawołała Mileva, nie wycofując się. – Walczyłaś o niego i zapracowa--łaś nań. – A kiedy Iris nic nie powiedziała, dodała: – Ja nigdy nie zdobyłam swojego, bo nie miałam nikogo, kto by chciał, żebym odniosła sukces. Ty miałaś swoją niezwykłą przyjaźń z Lehrerem, niech spoczywa w pokoju.

To był pierwszy raz, kiedy Mileva wtrąciła jego nazwisko do rozmowy. Iris patrzyła na profil swojego gościa: krótki nos, nozdrza wiecznie rozszerzone, wysokie słowiańskie kości policzkowe, małe gniewne oczka, cienkie maźnięcie ust.

– Tak – przyznała. – Lehrera i mnie łączyła wspaniała zawodowa przyjaźń. Czas przeszedł. – To jej zły nawyk. Mówi rzeczy, które wzbudzają w rozmówcach poczucie winy, a potem, kiedy są skruszeni, czuje się gorzej od nich.

– Tak mi przykro – powiedziała Mileva, chociaż wcale nie brzmiało to tak, jakby było jej przykro, a w każdym razie nie wystarczająco przykro. – To było takie tragiczne. Był taki młody. Nigdy nie myślałam o czterdziestce jako o młodym wieku, ale teraz, gdy sama mam trzydzieści osiem lat... cóż. I umrzeć w taki sposób, w pożarze... – Zadrżała, zbliżając barki do uszu jak skrzydła sępa. – Nie życzyłabym czegoś takiego nawet... Nie. Nie wymówię jej imienia.

To z kolei był zły nawyk Milevy: nigdy nie milkła w porę.

– I umrzeć tak głupio – ciągnęła. – To było najgorsze z tego wszystkiego. Takie marnotrawstwo. Zadajesz sobie pytanie: „Jak człowiek tak mądry mógł się zachować tak głupio?”

A więc Iris jeszcze pod jednym względem przewyższa Milewę. Nie jest taką prowincjuszka, nie myśli takimi stereotypami. Nie przedkłada długiego życia nad wszystko inne. Lepiej żyć krótko, ale śmiało. Lepiej uganiać się za przyjemnościami, przeżywać przygody, walczyć o spełnienie marzeń. Cóż tak czarującego widzą ludzie w dożywaniu późnego wieku?

W trakcie pobytu Milevy w ich domu Iris czasami próbowała wypełnić trzecią listę: „W czym Mileva przewyższa mnie”. To był szlachetny, lecz zasadniczo próżny trud. Jest relatywna młodość Milevy – Iris lada chwila skończy czterdzieści trzy lata – ale to tylko kwestia przypadku. Jest fakt, że Mileva ma dwóch synów, a Iris tylko jednego. Ale Richard jest wart dwa razy tyle, ile Hans Einstein, jeśli chodzi o temperament, inteligencję, charakter... Oczywiście Richard jest o dwa lata starszy; sprawiedliwość wymaga, aby wziąć to pod rozwagę przy porównywaniu tych dwóch. Co do Eduarda, nie można tak naprawdę osądzać go na tym etapie. Nie ma jeszcze czterech lat i wciąż jest za mały, żeby ktokolwiek mógł odgadnąć, co z niego wyrośnie. Chociaż jest bardzo niewydarzonym dzieckiem, płaczącym, mającym problemy ze snem, grymaszącym przy jedzeniu, wiecznie zakatarzonym i przejawiającym słabość do na wpół wyspanych lepkich landrynek.

Jest jeszcze jedna rzecz, która mogłaby trafić na listę zalet Milevy,

a mianowicie fakt, że Albert okazał się tym błyskotliwszym i słynniejszym z mężów. Niezły ladaco, urzędnik z Zurychu, zraniony ptak, którego Lenz wziął pod swoje skrzydła. Wciąż trudno było uwierzyć, że to on wzbił się wyżej. Ale, jak Iris wciąż próbuje wyjaśnić Milevie, mężowie tacy jak Albert i Lenz bywają w takim samym stopniu przekleństwem jak błogosławieństwem. A to oznacza, że pod niektórymi względami Iris również na tym wyszła lepiej: im większy geniusz, tym gorsze małżeństwo. I tak ostatecznie Iris uznaje ten argument za nieistotny. Nie umieszcza go na żadnej liście.

A to oznacza, że lista na korzyść Milevy nie zawiera żadnej pozycji. Tymczasem wykaz zalet Iris robi się tak długi, że kiedy próbuje przejść go w głowie, zawsze zapomina o którymś z punktów. Na przykład minął pełny tydzień, zanim przypomniała sobie o dziecku, które Albert spłodził z Milewą dwa lata przed ślubem. Mileva pojechała do Serbii, do swoich nieprzychylnie nastawionych rodziców i tam je urodziła, ale kiedy wróciła do Zurychu, była sama. Adopcja? Sierociniec? Płytki grób? Nigdy się o tym nie mówi, chociaż Iris raz zapytała Lenza, co się stało z dzieckiem. „Jak to jest z wieloma sprawami – odparł Lenz – tylko Bóg i Albert to wiedzą”.

Dziecko o nieznanym losie. To z pewnością trafiło na listę rzeczy, w których Iris była lepsza od Milevy. Mimo wszystkich swoich wad i grzechów nigdy nie zapodziała niemowlęcia.

Jest czerwiec. Konkretnie to dzień urodzin Iris. Nie wspomina o tym nikomu. Właśnie przetrwała dwa przyjęcia: jedno z okazji dziesiątych urodzin Hansa, drugie z okazji dwunastych urodzin Richarda – i nie chce, żeby pochlebstwami nakłoniono ją do pieczenia kolejnego tortu i sprzątanania po trzech bałaganiarskich chłopcach.

Jest to również, jak mówią, cisza przed burzą. Za mniej niż tydzień arcyksiążę zostanie zamordowany, co ostatecznie doprowadzi do wybuchu pierwszej wojny światowej. Ale na razie Lenz bawi w Berlinie, przesiadując na kanapie glazurowanej porzuconymi cukierkami Eduarda, popijając whisky z filiżanki – wszystkie szklanki stoją w zlewku – i rozmawiając o nauce z Albertem, podczas gdy Iris i Mileva przebywają godzinę drogi od Berlina w salonie, na piętrze rezydencji dyrektora, sącząc brandy, którą głównie w celach dekoracyjnych przelewają do kryształowych kieliszeków pozyskanych wraz z domem. Brandy nie jest tym, co Iris zazwyczaj pija. Nie ma na nią teraz ochoty. Chciałaby się usprawiedliwić i zająć czymś innym. Chciałaby popracować w ogrodzie, póki słońce wisi nisko, ale jeśli pójdzie do ogrodu, Mileva podąży tam za nią i będzie nad nią sterczeć, paplając, szlochając, oferując swoją wdzięczność i porady. Perspektywa pracy w cieniu o kształcie Milevy jakoś jej nie cieszy.

– Nie musisz jej zabawiać przez cały dzień – mówi Lenz. – Po prostu żyj swoim życiem.

Iris tłumaczy, że nie wie, jak mogłaby zajmować się swoimi sprawami i udawać, że Milevy nie ma obok, skoro jest.

– Co ty o tym wiesz? – pyta. – To nie za tobą chodzi krok w krok.

– Nie proś mnie o opinię, jeśli zamierzasz po prostu zignorować moją radę – traci cierpliwość Lenz, a Iris syczy:

– To ty ją tu zaprosiłeś. To ty uznałeś, że jesteś jedynym, który może wynegocjować Wielkie Einsteinowskie Pojednanie roku 1914.

I to rozpoczyna coś, co w normalnych okolicznościach, gdyby Milevy nie było w domu, przerodziłoby się w jedną z ich głośnych awantur. Ale ponieważ Mileva przebywa względnie blisko, a ściany nawet w tak doskonałych domach jak ten mają dość przepuszczalną naturę, muszą szeptać i mamrotać. Tym samym, zauważa Iris, dowodzą jej racji.

– Odrobinę więcej? – pyta teraz Iris i nie czekając na odpowiedź, sprawnie napełnia kieliszki Milevy i własny.

Już południe i znowu nie zrobiła nic pożytecznego. Czeką na nią nie tylko ogród. Są zakupy, jest pranie, jest jej korespondencja, jest dzisiejsza kolacja – liczne dania, których zażądał Lenz, ale których jak zwykle nie skosztuje. Iris pociesza się, że przynajmniej nie musi zawracać sobie głowy pieczeniem ciasta.

– Opowiem ci historię o Lehrerze... – zaczyna.

Wie, że kiedy sama o nim wspomina, tylko zachęca Milewę, by robiła to przy innych okazjach, co potem drażni ją niezmiernie. Ale są takie chwile, kiedy czuje potrzebę, żeby o nim mówić, znajduje ulgę w wymawianiu na głos jego nazwiska.

– Kolejna opowieść o *Doktorvaterze* – wzdycha Mileva. – Masz ich tak wiele.

– Tę uznasz za pouczającą, jak sądzę.

– Chodziło mi tylko o to, że miałaś szczęście.

– Miałam – przyznaje Iris. – A potem nie miałam. – Upija łyżeczek ze swojego kieliszka. Zanim zacznie, zwilża język, żeby słowa płynęły łatwiej. – Kiedy w końcu zdałam sobie sprawę, że moje relacje z Lenzem nie ułożą się tak, jak miałam nadzieję – mówi – to znaczy gdy zrozumiałam, że kiedy Lenz poprosił mnie o rękę, rzeczywiście chciał, żebym była tylko jego żoną – w tym miejscu Iris uśmiecha się smutno, a Mileva śmieje się otwarcie – napisałam do Lehrera.

Pomija fakt, że nie było w tym nic niezwykłego. Że po tym, jak opuściła uniwersytet, pisała do Lehrera codziennie, a często nawet dwa razy dziennie, i że wciąż pisze do niego, każdego dnia, nawet teraz, dwa lata po jego śmierci. Pisze późnym wieczorem, a potem, kiedy atrament wyschnie, składa arkusze papeterii w kolorze écru i dociska je ciężkim kryształowym kałamarzem.

– Mój list brzmiał jakoś tak – kontynuuje Iris. – „Drogi *Herr Professor*,

wygląda na to, że poślubiłam Henryka VIII. Wszystko, czego Alter ode mnie oczekuje, to żebym rodziła mu dzieci, organizowała przyjęcia na jego cześć i odwracała wzrok, kiedy spotyka się z tą czy z tamą kobietą”.

– Dlaczego nikt cię nie ostrzegł? – przerywa jej Mileva. Jej małe oczka lśnią jak dwa ziarnka czarnej fasoli po namoczeniu. – Dlaczego nikt nam nie mówi, że wszystkie skończymy poślubione Henrykowi VIII? – Spogląda na Iris tymi wilgotnymi oczami. Gniew jeszcze bardziej rozszerza jej rozdęte nozdrza. – Chociaż... co ja mówię. Mnie nikt nie ostrzegł, to prawda, ale przecież Lehrer próbował ostrzec ciebie. Prosił cię, żebyś nie wychodziła za męża. Zgadza się? Przy-puszczam, że byłby usprawiedliwiony, gdyby odpowiedział ci, że możesz winić tylko siebie.

Iris myślała tak samo, mimo wszystko poczuła niechęć do Milevy za to, że jej to wytknęła. W porządku, prawda była taka, że nie miała prawie nic przeciwko innym kobietom Lenza. Pod pewnymi względami były one dla niej nawet wybawieniem. Ale nieoczekiwane wykluczenie z laboratorium to było zaskoczenie, potwarz. Była zła na Lenza, oczywiście, że była. Ale stłumiła tę wściekłość w sobie. Powinna była dotrzymać obietnicy danej Lehrerowi, powinna odmówić, kiedy Lenz zaproponował jej małżeństwo na konferencji elektrochemicznej. I przecież powiedziała „nie”, prawda? Ale potem zmieniła zdanie. Dlaczego? Wciąż tego nie wiedziała. Miała nadzieję, że dzięki temu zdobędzie posadę na uniwersytecie, tak sobie mówiła. Teraz uważa młodszą wersję siebie za podejrzaną i płytką. Jakie naprawdę motywy nią kierowały? Samotność? Brak seksu? Opilstwo? Pewnego dnia, kiedy będzie chciała znać odpowiedź, zapyta Lily. Lily wie wszystko. Tak twierdzi Lily.

Mileva jest również hojna, jeśli chodzi o dzielenie się swoimi opiniami.

– Powinnaś zasięgnąć porady doktora Freuda – mówi.

Nie jest pierwszą osobą, która jej to sugeruje.

– Kiedy wychodziłam za Alberta, byłam zaślepiona miłością do niego – zauważa – ale ty, jak sądzę, byłaś zaślepiona przez coś innego.

– Przez co? Przez co byłam zaślepiona? – pyta Iris szczerze.

Autentycznie chce wiedzieć. Wszyscy inni unikają tematu jej zaprzepaszczonej kariery, ale Mileva uważa, że ona i Iris są do siebie podobne, że gdyby tylko podzieliły się danymi, mogłyby razem ustalić, co poszło nie tak, a tym samym to naprawić.

– Właśnie o to chodzi – mówi Mileva. – Żadna z nas nie ma bladego pojęcia. To dlatego sugeruję terapię opartą na rozmowie. Ktoś powinien się dowiedzieć, co się dzieje w mózgach kobiet takich jak my.

Kiedy Lehrer odpisał na ten list, ten, w którym Iris nawiązała do Henryka VIII, pocieszał ją na tyle, na ile było można w sytuacji bez wyjścia. „Moja droga Anno Boleyn – zaczął. – Jedyne sposob, w jaki kobieta może uniknąć budzenia się

obok Henryka, to wzorować się na jego córce Elizabeth i nie dzielić łoża z nikim. Popatrz na Meitner – dodał, przeskakując wieki, zmieniając kraje. – Całkiem sama w życiu, ale dzięki temu zdolna do wykonywania swojej pracy”.

Mileva osusza ostatnią kropelkę swojej brandy.

– Więć co ci odpisał Lehrer? – pyta. – Rzucił ci w twarz Meitner?

Iris uśmiecha się słabo.

– Cóż, tak bym tego nie ujęła. Ale owszem, wspomniał o niej.

– Zawsze się nią posługują. Lubię ją, naprawdę, ale już wystarczy.

– Królowa dziewica – mruczy Iris.

– To na pewno nie. Sypiała z Hahnem przez cały ten czas, wiesz?

– Któż tego nie wie? To znaczy poza żoną Hahna.

– A więc góruje nad nami w obu kwestiach: żadnego męża i zakazany seks, który, jeśli dobrze pamiętam, jest najlepszy.

„Skąd miałabym to wiedzieć”, myśli sobie Iris, ale mówi:

– I kariera. A więc w trzech kwestiach.

Zapomniawszy, że kieliszek jest pusty, albo być może mając nadzieję, że ostatnia kropla zmaterializuje się w nim w jakiś magiczny sposób, Mileva unosi go do ust, przechyla niemal do góry nogami. Nic. Niesforna jak kot wyciąga język i oblizuje wewnętrzną stronę szkła.

– Mój Boże – musi powiedzieć Iris. – Po prostu wypijmy jeszcze po jednym.

Na zewnątrz słychać gromki śmiech młodych chłopców. W środku delikatne brzęczenie kryształów.

– Dlaczego nigdy nie wspominają o Marie? – pyta Mileva. – Chociaż raz chciałabym, żeby któryś z nich wspomniał o Marie.

– Richard wspominał, prawdę mówiąc.

Iris czuje lepkość brandy na ustach, jej gęstość na języku. Alkohol smakuje jak lekarstwo, smakuje jak grymas, ale polubiła ten smak, musi to przyznać.

– Napisał, że to z jego strony niesprawiedliwe, że wymienia Meitner, a pomija Curie. Ale potem dodał: „Jednakże, jeśli Lenz nie postrzega kobiet pokroju Curie za ideał, to cóż ci przyjdzie z faktu ich istnienia?”.

– Znasz to na pamięć. – W czarnych oczach Milevy lśni współczucie, więc Iris nie ma innego wyjścia, jak tylko szeroko się uśmiechnąć.

– Kiedy ktoś pisze dla ciebie elegię – mówi – słowa zapadają ci w pamięć.

– Za nas. – Mileva raz jeszcze podsuwa jej brzeg kieliszka. – Za kobiety stojące w cieniu mężczyzn.

– Głęboko w cieniu – zauważa Iris.

Zmusza się do kolejnego uśmiechu. Zerka przez okno na zarośnięte chwastami rabaty za domem. Wie, co teraz nastąpi.

– Jestem równie odpowiedzialna za szczególną teorię względności co Albert – zaczyna Mileva z kieliszkiem wciąż wysoko uniesionym. – Jesteśmy niemiecką

parą Curie, Albert i ja. Tylko że nikomu nie wolno o tym wiedzieć.

– Tylko Albertowi i Bogu – przytakuje Iris, chociaż wie, że Mileva asystowała Einsteinowi w jego pracy tylko poprzez przygotowywanie kolacji i prowadzenie domu. I nawet tego nie robiła dobrze.

– Ty i Lenz też jesteście jak małżeństwo Curie – mówi Mileva z zapałem. Odstawia kieliszek na stół, szkło się chybocze. – Jesteś w równym stopniu odpowiedzialna za proces manny jak on.

To też nie jest prawdą. Ale przynajmniej jest bliższe prawdy. Iris rozumie każdy aspekt badań Lenza. Kiedy pracował nad procesem, czyniła sugestie, wyrażała opinie. Nie tylko zredagowała i przepisała na maszynie jego manuskrypt, ale też napisała od nowa całe jego fragmenty. Widziała, dokąd zmierzają jego badania, i pokierowała nim we właściwą stronę. Była użyteczna. Ostatecznie miała ten kawałek papieru pod kawałkiem szkła. Ale nie wspomina o tym Milevie. Mówi tylko:

– Zatem to kolejna rzecz, która nas łączy.

– Nie rozumiem, jak możesz podchodzić do tego z taką obojętnością. Nasi mężowie odebrali nam kariery. Stanęli w naszym blasku.

– Może powinniśmy zacząć sypiać z Ottonem Hahnem – żartuje Iris. – Najwyraźniej ta droga prowadzi do sukcesu.

Mileva się śmieje.

– Rypanko z Ottonem. Czy już nie wystarczająco dużo wycierpiałymy?

Brandy przez cały dzień. To jedyna rzecz, która trzyma ją przy zdrowych zmysłach, jedyna rzecz, która powstrzymuje ją przed krzyżeniem cały ranek i całe popołudnie, a potem, nocą, wyciem do księżyca razem z psem-wilkami sąsiadów. Migrena niemal zawsze eksploduje tuż za brwią. Jej oczy pulsują bólem. Zerka przez okno, gdzie Richard dokazuje z chłopcami Einsteina. Zaciska dłonie w pięści. Jej delikatny syn.

Czasami Richard Alter budzi się w środku nocy i widzi, że matka, podparta na łokciu, obserwuje go z polówki ustawionej obok jego łóżka. Nie jest tym zaskoczony ani nie traktuje tego jako naruszenia swojej prywatności. Iris sypia obok przez całe jego życie.

Słyszał tę opowieść wiele razy, o tym, jaki był chorowity jako dziecko i jak bardzo musiała go pilnować. Teraz upiera się, że wciąż musi być blisko, i kimże on jest, aby wątpić w jej słowa? Nigdy nie przeszło mu przez myśl, żeby zakwestionować ten układ. A ponieważ ona się martwi, on też się martwi. Nie tak bardzo jak ona; to byłoby niemożliwe. „Weź sweter na wypadek, gdyby zrobiło się zimno”, mówi mu w ciepłe wiosenne dni. „Weź tabletkę solną na wypadek, gdyby zrobiło się gorąco”. Od czasu do czasu Richard zbiera się na odwagę i buntuje.

Wymyka się z domu bez swetra z takim poczuciem winy i ekscytacją, jakie – podejrzewa – odczuwałby, gdyby przemycał piersiówkę whisky w kieszeni. Ale poczucie winy utrzymuje się długo po tym, jak ekscytacja przeminie. Bierze jej obawy serio. Do końca swego życia pozostanie w pełni świadomy każdej zmiany w temperaturze powietrza na zewnątrz, zachowa nieprzemijającą podejrzliwość wobec idealnych warunków atmosferycznych i poważną nieufność wobec niepogody i chłodu. W 1914 roku, zawieszony między dzieciństwem a okresem dojrzewania, przejmuje się swoim zdrowiem, jakby był staruszką. Lęka się o swoje słabe i niepewne serce. Martwi go ograniczona pojemność płuc. „Ataki serca przychodzą szybko i niespodziewanie”, przypomina mu Iris. Wprawdzie Richard ma dopiero dwanaście lat, a wygląda na znacznie młodszego, ale nie może dać się oszukać chronologii czy fizjologii. Jeśli człowiek nie uważa, na każdym etapie życia może mu się przydarzyć coś strasznego. A ponieważ powściągliwość w dużym stopniu odpowiada za dożycie późnego wieku, Richard odrzuca okazjonalne zaproszenia ojca, który zachęca go do angażowania się w forsowną aktywność na świeżym powietrzu, taką jak jeżdżenie na rowerze, piesze wycieczki czy przechadzki dla zdrowia. Fakt, lekarze mówią, że już z nim lepiej. Właściwie twierdzą, że jest absolutnie zdrowy. Ale jak mawia Iris: komu lepiej zaufać? Lekarzowi mającemu pod opieką setki pacjentów czy matce, która zajmuje się tylko jednym synem?

– Wiesz o tym, prawda – mówi ojciec przy śniadaniu (rzadko widują się kiedykolwiek indziej) – że jedyną osobą, która nie doszła do siebie po twoim chorowitym dzieciństwie jest twoja matka?

Richardowi nawet nie przychodzi do głowy, że zachowanie Iris może być nie tylko niepotrzebne, ale wręcz żenujące, dopóki nie wprowadzają się Einsteinowie.

– Masz tyle lat, a matka wciąż z tobą śpi? – szydzi z niego Hans. – A może jeszcze wciąż cię kąpie? Może zmienia ci pieluchy?

Sęk w tym, że owszem, wciąż go kąpie.

Richard natychmiast kładzie temu kres, chociaż nie przychodzi mu to łatwo. Matka pogrąża się w żalu, więc Richard musi się zgodzić na kompromis: Iris wciąż będzie przygotowywać mu kąpiel, żeby przypadkiem, myśląc o niebieskich migdałach, nie wszedł do wanny z wrzącą wodą. Ale cała reszta: Iris siedząca obok niego, ich chaotyczne rozmowy pośród gorącej pary, czasami wspólne śpiewanie, jego mały siurek unoszący się na powierzchni wody, potem Iris przytrzymująca duży ręcznik, Iris wycierająca mu włosy... W porządku, mówi ona pośpiesznie, od teraz będzie to robił sam.

Ale w kwestii wspólnej sypialni Iris nie ustąpi. To, jak mówi, sprawa życia i śmierci. A ponieważ on nigdy tak naprawdę nie protestował przeciw jej obecności na polówce obok swojego łóżka i ponieważ nie wie, komu wierzyć, kiedy idzie o jego zdrowie, nie spiera się z nią. Nie ma ochoty umrzeć we śnie tylko po to,

żeby Hans Einstein uznał go za mężczyznę. Właściwie, jak się nad tym zastanowić, to wina Hansa, że Richard próbuje wyrzucić matkę za drzwi, do jej pokoju. A przecież teraz, kiedy Hans i jego brat z matką mieszkają u Alterów, Richard może tak naprawdę porozmawiać z Iris tylko, kiedy budzi się w środku nocy i odkrywa, że ona też nie śpi i wpatruje się w niego.

– Zły sen? – pyta ona. – Przewracałeś się z boku na bok.

– Nie – mówi on.

– Zatem co cię dręczy?

On się waha, a potem – do diabła z Einsteinem – zaczyna nocną zabawę, którą wymyślili z matką wiele lat wcześniej.

– Jeśli chcesz znać prawdę – mówi – wczoraj Hans i Eduard rzucali kamieniami w kaczki na stawie. Musiałem podbiec i ich powstrzymać.

Zabawa nie ma nazwy, ale ma zasady. W trakcie wyznaje się prawdy, które można ujawnić tylko w ciemnościach.

Iris mówi:

– Jeśli chcesz znać prawdę, Hans i Eduard są bardzo gniewnymi małymi chłopcami. Ich tata ma romans z własną kuzynką. Nawet nie próbuje tego ukryć. Cały świat o tym wie.

– Jeśli chcesz znać prawdę, nawet ja wiem.

– Jeśli chcesz znać prawdę, wielu mężczyzn zachowuje się tak jak ojciec Hansa i Eduarda.

– Jeśli chcesz znać prawdę, kiedy Hans powiedział mi o wujku Albercie, ja powiedziałem mu o tacie. Żeby nie czuł się taki samotny.

– Wiesz o tacie? Kto, na litość boską, ci powiedział?

– Nie powiedziałaś: „Jeśli chcesz znać prawdę”.

– Jeśli chcesz znać prawdę, chciałabym wiedzieć, kto ci powiedział.

– Jeśli chcesz znać prawdę, ty i tata nie celujecie w sztuce szeptania.

– Och, Boże w niebiesiech. Ależ ty masz strasznych rodziców... Jeśli chcesz znać prawdę. Powinniśmy cię chronić przed takimi awanturami.

– Jeśli chcesz znać prawdę, myślę, że to dobrze, że wiem. Myślę, że to kształtuje mój charakter. Kiedy dorosnę, nigdy nie będę traktował tak źle mojej żony.

– Mamy siebie nawzajem – mówi jego matka. – To najważniejsza rzecz. Najważniejsza prawda.

– Jeśli chcesz znać prawdę, żal mi Hansa i Eduarda. Ich ojciec jest zupełnie jak tata, ale ich matka w niczym nie przypomina ciebie. To znaczy, że nie mają nikogo.

Ta ostatnia prawda jest parafrazą czegoś, co ona sama powtarzała mu wielokrotnie: że żadna matka nie dba o swoje dziecko tak, jak Iris dba o Richarda, że inne dzieci są o wiele bardziej samotne na tym świecie niż on. Nie ma nic

niezwykłego w tym, że prawdy Richarda bywają przetworzonymi wersjami jej prawd. Pomijając chwile, kiedy zapomina spakować sweter albo wrzuca swoje tabletki solne do stawu, Richard nie ma na sumieniu żadnych złych uczynków, żadnych młodzieńczych występków do wyznania. Poza tym, ponieważ ogranicza swój udział w sportach, a to z kolei ogranicza jego życie towarzyskie, ma niewiele okazji, żeby gromadzić interesujące sekrety. Przywłaszcza więc sobie jej tajemnice i jej myśli. Robi to albo ucieka się do kłamstwa. Dzięki temu podtrzymuje grę. Bo przecież nie ma znaczenia, że Eduard Einstein jest kompletnie zaskoczony, kiedy Iris bierze go na stronę i łagodnie poucza na temat dobroci dla zwierząt. Eduard nie wie, dlaczego ona mówi mu to wszystko, ale kategorycznie się z nią zgadza. Kamienowanie kaczątek to straszliwy uczynek.

4 sierpnia 1914

Pierwszego dnia Wielkiej Wojny rodzina Alterów spożywa wspólne śniadanie. Lenz spogląda krytycznie na syna, wciąż tak chłopięcego, z blond włoskami, meszkiem na brodzie, sterczącymi łokciami i kolanami. Richard na matczyne rysy. Oboje są bladzi, o wąskich nosach, a ich oczy mają ten wyprany z koloru złowieszczy błękit. Przynajmniej jeden z przodków Iris musiał pozostawać w intymnych stosunkach z jakąś gojką po drugiej stronie pobliskiej granicy z Polską.

– Czy wiedziałeś, że oczy ślepych ludzi czasami przybierają taki właśnie odcień? – drażni się z synem. Macha dłonią przed jego twarzą. – Widzisz mnie? Ile palców?

– Przestań – obrusza się Richard, opędzając się od niego. – Widzę cię. Wierz mi, widzę cię.

Docinki męża nie wydają się Iris zabawne. Ani nieszkodliwe.

– Nie przeklinaj jego oczu – ostrzega.

Nie jest przesądna, chyba że akurat jest. Istnieją granice tego, co nauka może osiągnąć i wyjaśnić. Jako naukowiec wie to lepiej niż ktokolwiek. Czasami żałuje, że nie zwracała uwagi na remedia ciotek na rzucane bezmyślnie klątwy. To wtedy sypie się sól przez ramię? To wtedy pluje się na podłogę? A może to wtedy pluje się na męża? Może to wymaga rozwodu? Może człowiek powinien przygotować się na swój los. Może powinien otworzyć drzwi i zaprosić ten los do środka?

Milevy już nie ma. Kilka tygodni przed początkiem wojny obie pary, Lenz i Iris oraz Albert i Mileva, zasiadły oficjalnie przy stole w jadalni, podczas gdy Mileva w milczeniu czytała dokument, który Albert przygotował jej do podpisania: warunki, na których pozwoli na kontynuowanie małżeństwa. Kiedy skończyła czytać, poprosiła o pióro.

– Poświadczyć? – zapytała Alterów.

Lenz się wzdrygnął.

– Jestem pewien, że to nie jest konieczne – powiedział. – Nie wątpię, że jeśli ty dotrzymasz swojej części postanowień, Albert zrobi podobnie.

– Ja podpiszę – oznajmiła Iris.

Wyjechali jeszcze tego samego dnia, czworo Einsteinów, chłopcy przygaszeni i, pomyślała Iris, zaniepokojeni. Oto mądrość dzieci. Małżeństwo zakończyło się dzień przed ogłoszeniem przez Niemcy przystąpienia do wojny z Rosją. W przypadku Einsteinów obie strony nie dotrzymały postanowień układu.

„*Quelle surprise*” – powiedziała Iris do Lenza, a ten spojrzał na nią gniewnie. Ponieważ nie był w stanie ocalić małżeństwa Einsteinów, co odbierał jako osobistą porażkę, pracował teraz nad warunkami ich rozwodu. Kiedy Albert otrzyma Nobla – a oczywiście go otrzyma, nikt w to nie wątpi – pieniądze z nagrody pójdą do Milevy. Nawet Elsa, kuzynka, kochanka, którą wciąż jeszcze dzielą lata od zostania drugą żoną Alberta, się na to zgodziła. „Jestem taka wdzięczna Lenzowi – pisze Mileva do Iris z pensjonatu w Zurychu. – Kiedy przyjdą pieniądze za Nobla, chłopcy i ja w końcu zaczniemy żyć wygodnie”. „Ona żyje w krainie fantazji – pisze Iris do zmarłego Richarda Lehrera. – Tak, w teorii jest to zadowalający układ. To znaczy, jeśli rzeczoną teorią jest teoria Alberta dotycząca czasu, według której Mileva już żyje wygodnie w tym, co my postrzegamy jako przyszłość. Ale biorąc pod uwagę płynność czasu, w rzeczywistości odbywa się to teraz i niestety Mileva jest zubożała w momencie, który my postrzegamy jako teraźniejszość”.

I jak byłaby zubożała Iris, gdyby porzuciła Lenza. Gdyby Lenz zostawił ją.

Warunki Einsteina (wersja skrócona)

A. Dopilnujesz, aby:

1. moje odzienie pozostawało w ładzie i porządku,
2. moja sypialnia i gabinet były zawsze wysprzątane.

B. Zrzekniesz się:

1. żądań, abym siedział z tobą w domu,
2. żądań, abym wychodził z tobą lub towarzyszył ci w podróżach.

C. Zastosujesz się do następujących punktów:

1. nie będziesz ode mnie oczekiwać pożycia intymnego,
2. nie będziesz się do mnie odzywać, jeśli tego zażadam.

Okropność, prawda? Ten dokument sprawia, że szeroko otwieramy oczy, a szczęki nam opadają. Ale jak w horrorze jest w nim coś, co uważamy za intrygujące, niemal wyborne. Może dlatego że dzięki niemu czujemy, iż chociaż pod jednym względem – elementarnej życzliwości – przewyższamy Alberta

Einsteina. Ale również – nie potrafimy nic na to poradzić – podoba nam się ta surowa forma konspektu. Zachwyca nas idealna interpunkcja. Mile zaskakują przyjemne powtórzenia. Lubimy odczytywać pierwsze słowo każdego żądania na głos, jakby to był rodzaj wiersza – jeden z tych minimalistycznych japońskich haiku czy tanka – ale nie o naturze czy miłości, lecz o naturze miłości, naturze małżeństwa i związków międzyludzkich:

moje moja
żądań żądań
nie będziesz nie będziesz

Sprzeczką sprzeczką sprzeczką. Moje wszystko moje. Winię ciebie ciebie ciebie. Oczywiście nie jest to japońskie w swoim przekazie. Za to jako uporządkowane, sformalizowane i upokarzające jest w dużym stopniu tym, co my trzy, wytwory dwudziestego wieku i potomkinie uchodźców, zaczęliśmy uważać za niemieckie.

Grudzień 1914

Lenz Alter spędza coraz więcej czasu w laboratorium. W oknach świeci się do świtu. Cokolwiek tam robi, wciąż zachowuje wszystko w sekrecie. Nikt nie może nic o tym wiedzieć.

– Jestem przeciwieństwem ślepcy – mówi Richard, kiedy ojciec dokucza mu z powodu koloru oczu i słabego wzroku. – Widzę wszystko. Widzę przez ściany. Widzę w ciemnościach. Widzę pod wodą. Widzę przeszłość i przyszłość. Widzę duchy i chochliki tańczące w naszych pokojach gościnnych, a kiedy spojrzę w niebo nocą, widzę Marsjan. Oczywiście to oznacza, że widzę również, co porabiasz w laboratorium. Ten twój sekretny projekt? Ten, o którym myślisz, że nie wiem? Widzę to wszystko.

W przeciwieństwie do syna, który tylko odpłaca ojcu pięknym za nadobne, który tylko udaje spryciarza i się przechwala, Iris jest chemiką i rzeczywiście wie, nad czym pracuje Lenz, jakiego rodzaju mikstury tam warzy.

– Widzę, co kryje się w twoim umyśle – ciągnie Richard. – Widzę formuły w twojej głowie. Notuję je w moich sekretnych notesach. Analizuję je po nocach. Sugerowałbym ci kilka poprawek.

– Ty też wcale nie jesteś taki zabawny – beszta syna Iris.

Richard spędza większą część zimowych ferii w swoim pokoju. Z okna widzi Prinza drzemiącego w słabym blasku słońca w ogrodzie. Widzi też wnętrze laboratorium. Szczególnie kiedy jest przeziębiony – teraz na przykład, późnym

popołudniem, oczy mu łzawią, z nosa cieknie, a serce w jego opinii bije odrobinę szybciej niż normalnie, o czym postanawia nie mówić matce, a przynajmniej nie od razu – klęczy na łóżku godzinami, obserwując studentów biegających po laboratorium, czasami dogadzających sobie wzajemnym klepaniem się po plecach i ściskaniem dłoni.

Odczuwa taką różnicę między jedenastym a dwunastym rokiem życia... A może to efekt całego tego czasu spędzonego z Hansem. Powściągliwość Iris, kiedy zadaje jej zasadne pytania, a ona unika odpowiedzi, zaczyna sprawiać, że Richard czuje się bardziej bezbronny, bardziej wrażliwy. Nie do końca wściekły – nie byłby w stanie się na nią zezłościć – ale sfrustrowany. Chce wiedzieć, co kombinuje ojciec. Ma prawo wiedzieć, mówi obojgu. Irytuje się, kiedy Lenz milczy, ale wpada w osłupienie, gdy Iris również zamyka usta, nawet pod osłoną ciemności. Zdrada, myśli. Ona opowiada się po złej stronie. A kogo innego ma Richard poza nią?

W dniu eksplozji Richard najpierw wini Francuzów. Otwiera okno, wychyla się i rozgląda za dwupłatowcami nad głową. Ale na czystym niebie wisi tylko śmiesznie małe zimowe słońce. Lecz widzi chmurę. Czarną w kolorze, kłębiastą w kształcie. Obłok przemyka szybko, lecz ciągnie się po ziemi. Wyłania się zza zburzonej ściany laboratorium.

Bomba. Do jakiego innego wniosku mógłby dojść Richard? Tajemnica rozwiązana: jego ojciec buduje nowy rodzaj bomby dla wojska. Ktoś popełnił błąd i wybuchła. O cóż innego mogłoby chodzić? Huk był tak niebywały, że nie tylko go usłyszał, lecz także i poczuł w kościach oraz w zębach. Błona bębenkowa wciąż mu wibruje. Czuje, jakby został rozbity na kawałki przez wiertarkę udarową.

Dalej obserwuje urzeczony, jak chmura żegluję przez ogród, sypiąc popiołem na kwiaty i trawnik. Prinz szczeka i próbuje ją ugryźć, łańcuch napina się i go poddusza. Młodzi mężczyźni w białych kitlach lub w garniturach wybiegają z laboratorium, jakby ją gonili, jakby próbowali ją otoczyć i zwabić z powrotem do środka. Twarze mają uwalane sadzą. Kaszlą, płaczą, wołają o pomoc. Richard krzyczy do jednego z nich, a student zatrzymuje się na chwilę i podnosi wzrok. „Herr Professor jest cały i zdrowy – informuje go student. – Ale jednemu z asystentów urwało rękę, a Theo Meyer nie żyje”. Później Richard dowie się, że w czasie wybuchu jego matka przebywała w pomieszczeniu na drugim końcu laboratorium, gdzie trzymano zwierzęta. Nie będzie tym zaskoczony. To stało się jej nowym hobby. Zawsze bardzo lubiła zwierzęta. Kaczki, ptaki, ich tchórzliwego Prinza... Jeśli Richard chce znać prawdę, nieraz powtarza synowi w ciemnościach Iris, nie może znieść myśli o rodzajach śmierci, jakie spotykają zwierzęta w tym laboratorium. Gorsze jest tylko życie, jakie muszą znosić przedtem. Pracownicy skarżą się na nią, Richard o tym wie. Jego rodzice drą o to koty przy kolacji, podczas gdy Richard siedzi na końcu stołu, podtrzymując podbródek wnętrzem

jednej dłoni i dziobiąc mięso widelcem. Nie lubi kielbasy tak bardzo jak jego ojciec – matka powiedziała mu wszystko o jej produkcji – ale odczuwa jakąś satysfakcję, kiedy ząbki najpierw przebijają stawiającą opór osłonkę, a potem samo mięso. Chłopiec sprawia, że jego kolacja tryska żółtym sokiem, podczas gdy nad jego głową toczy się kłótnia o koty i białe myszki.

„Patrzcie, jak *Frau Doktor Alter* nawiązuje kontakty ze zwierzętami, jakby były chowane w domu, wytrąca nas z równowagi” – oznajmił personel *Herr Professorowi Alterowi*. To stawia członków personelu w nieprzyjemnej sytuacji, kiedy zmusza się ich, by obserwowali, jak jeden ze skazanych kotów siada jej na kolanach, sięga w górę, dotyka jej policzka łapą, dotyka swoim różowym noskiem jej nosa. To źle wpływa na morale. To tworzy nieprofesjonalne środowisko. Jakby żona rolnika nadawała pieszczotliwe przezwiska owieczkom, które wkrótce zostaną poprowadzone na rzeź. Lenz nie może znieść małoszkowych narzekań swoich pracowników. „Dzieci rolników ciągle nadają imiona owieczkom i cielakom – mówi im – ale wszyscy są w stanie potem usiąść do kolacji”. Nakazuje jednak również *Frau Doktor*, aby zaprzestała odwiedzania klatek.

Kiedy Iris słyszy wybuch na drugim końcu korytarza, wypuszcza z rąk rudego kota, któremu właśnie wyjaśniała różne sprawy, i biegnie w kierunku eksplozji. W zdemolowanym laboratorium znajduje swojego męża nad ciałem Theo Meyera. Lenz stoi sztywno, bezradnie, ma szeroko otwarte oczy.

– Byłem w tym pomieszczeniu niecałe sześćdziesiąt sekund temu – mamrocze. – Moritz wywołał mnie na korytarz. Gdyby tego nie zrobił, byłbym tutaj, kiedy to się stało.

Ona klęka u boku Theo, luzuje mu krawat, słucha jego szarpanego oddechu. Jego oczy są zamknięte, gałki nawet nie drgają pod powiekami. Iris przyciska dłoń do jego serca. Nie czuje nic poza żarem krwi ogrzewającym jej palce. To nie budzi w niej odrazy ani nie wywołuje zawrotów głowy. Już wcześniej miała do czynienia z krwią: jest kucharką, jest kobietą, jest matką. Na chwilę podnosi wzrok. Jej mąż wciąż się rozgląda. Powtarza:

– Byłem w tym pomieszczeniu niecałe sześćdziesiąt sekund temu. Moritz wywołał mnie na korytarz.

Gdy Iris z powrotem spuszcza wzrok, Theo jest już martwy. Czuje łzy na policzkach. Głaszcze go po włosach, zapominając, że ma zakrwawione ręce. Pasma jego włosów stają się czerwone i wilgotne. Czy też właściwie bardziej czerwone i wilgotne; nie żeby były w idealnym stanie, kiedy przybiegła. Ociera rękę o spódnicę. Ktoś mówi zupełnie rzeczowo:

– Najpierw koty, teraz to. Ona gustuje w makabrze.

Iris rozgląda się, żeby zobaczyć, kto to powiedział. To ten młody mężczyzna, który stracił dłoń. Siedzi w fotelu w kącie. Na nadgarstku ma opaskę uciskową zrobioną z czyjejs koszuli. Nie z koszuli Lenza. Lenz jest wciąż ubrany i czysty,

a jego krawat wciąż zawiązany.

– On jest w szoku – mówi Iris o mężczyźnie z opaską. – Zadbajcie o to, żeby było mu ciepło.

Naprawdę nie czuje się urażona, że nazwał ją miłośniczką makabry. Powiedział to bez osądzania czy złości. Po prostu poczynił obserwację, jak to robią naukowcy. Iris wierzy, że chodziło mu po prostu o to, że śmierć jej nie odrzuca, że nie unika przywiązania do zwierząt oczekujących na wyrok, że nie tchórzy ani nie mdleje w konfrontacji z zakrwawionym ciałem przyjaciela. Czy on wie, że ona wierzy, iż wszystkie żyjące istoty trwają nadal nawet po tak zwanej śmierci? Pisała o tym do zmarłego Richarda Lehrera zaledwie kilka dni temu. „Jesteśmy energią, a energia nie znika tak po prostu”. A ponieważ nigdy nie powiedziała tego sama, musimy powiedzieć to za nią. Oto stała pośród tych mężczyzn, tych naukowców, który codziennie dusili koty, testując produkowane wyziewy, ulepszając je i doskonaląc, wiwatując i klepiąc się po plecach, kiedy im się powiodło, i mimo to twierdzili, że to ona gustuje w makabrze.

Richard spędza Boże Narodzenie i sylwestra, kichając i dąsając się. Rodzice nie chcą mu powiedzieć, co wywołało eksplozję. Potem przychodzi rok 1915 i wciąż nikt nie chce go oświecić. Właściwie to nikt już nie mówi o eksplozji. Trwa wojna; przedłużanie żałoby byłoby niestosowne. Kiedy ginie bliska osoba, należy uronić łzy na pogrzebie, a potem zacisnąć zęby, zebrać się w sobie i żyć dalej. Tylko w ciemnościach Richard może zapytać matkę:

– Tęsknisz za *Herr Meyerem*?

– Jeśli chcesz znać prawdę, to bardzo – odpowiada ona. Jej głos jest bełkotliwy od brandy, rozleniwiony od alkoholu jak mętna rzeka. – Był moim kolegą z grupy na uniwersytecie. Pracował z Richardem Lehrerem. Pomogłam mu zdobyć stanowisko tutaj. Był jednym z niewielu moich przyjaciół.

Zadał to samo pytanie, kiedy zginął Richard Lehrer. Wtedy tym samym mętym głosem powiedziała:

– Tęsknię za nim przy każdym oddechu. Ale, posłuchaj, bo to ważne, żyję dalej. Zdarzają się gorsze rzeczy, a ludzie żyją dalej. Oddychanie może boleć, ale to nie jest wymówka, aby przestać oddychać. Robisz wdychy i wydechy, żeby nie wiem co. Twoje serce wciąż bije. Może stwardnieć, ale to nieważne. Stwardniałe serca są w stanie dalej bić. Rozumiesz to?

Powiedział, że tak. Myślał, że tak. Ale jak się okazało, nie rozumiał. Myślał, że mówiła o swoim oddechu, o swoim sercu. Dopiero później zdał sobie sprawę, że chodziło o niego.

– Poza tym – dodała – czuję, że *Herr Professor Lehrer* tak naprawdę nie odszedł.

– Masz na myśli, że jest w niebie?

– Nie – zaprzeczyła sucho i zaraz powtórzyła łagodniej: – Nie. Nie to mam na myśli. Któregoś dnia, kiedy nie będziesz taki zmęczony, wyjaśnię ci teorie twojego wuja Alberta.

W takich chwilach Richard czuł się dotknięty. Wcale nie był aż tak zmęczony i miał jakieś pojęcie o teorii względności. Wolałby, żeby nie owijała w bawełnę i po prostu rozmawiała z nim otwarcie. Teraz czuł się tak samo. Pragnął klarownego przekazu. „Ocalić myszy! Uwolnić koty!” – takie wiadomości potrafi pojąć. Chociaż cały miesiąc po eksplozji zaczyna zdawać sobie sprawę, że już się z nią nie zgadza. To kolejna zmiana, jaka niedawno zaszła w jego stosunku do niej: już nie podziwia jej słów, jej przekonań. Uwolnić koty? I co by z tego przyszło? Miasteczko pełne zdziczałych zwierzaków i zarzuty o czułości zamiast sekretnej broni pozwalającej na wygranie wojny.

Próbuje podstępem wydobyć od niej szczegóły, markując pewność siebie:

– Wszyscy wiedzą, że tata pracuje nad czymś, co szybko położy kres wojnie.

– Czyżby? – pyta ona.

– Wszyscy mówią, że to nowy rodzaj bomby.

– „Wszyscy” ma dużo do powiedzenia. Może „wszyscy” powinien zająć się własnymi sprawami.

– Cóż, „wszyscy” po prostu zgaduje. Ale jestem niemal pewien, że ma rację.

– Doprawdy?

– Jestem tego ciekaw z naukowego punktu widzenia.

Ona się śmieje.

– Jestem jego synem. Czy nie powinienem znać szczegółów?

– Te szczegóły cię nie uszczęśliwią.

– Nie jestem dzieckiem. Potrafię dotrzymać sekretu.

– Och, Richardzie – ona na to. – Czego ty ode mnie chcesz?

– Jeśli chcesz znać prawdę, chcę znać prawdę – odpowiada on.

Na chwilę zapada milczenie. Ona wzdycha.

– Richard – mówi w końcu. – Gdybym wiedziała, tobym ci powiedziała.

Nie mają ustalonego sposobu na wyrażenie protestu, na ukaranie gracza, który kłamie w żywe oczy. Poza tym ona nie protestowała, kiedy rok wcześniej zachowywał się jak dziecko i zmyślał historyjki na temat biednego małego Eduarda Einsteina i kaczek, więc odwdzięcza się jej tym samym. Również nie kwestionuje jej słów.

Kwiecień 1915

Jest coś, co powinniście wiedzieć o procesie manny: małe ulepszenie tu, małe ulepszenie tam i zamiast jedzenia dla głodujących ma się pierwszą prawdziwie efektywną broń chemiczną.

Pewnego razu, opowiadała nam matka, żył sobie wielki niemiecki patriota, który wynalazł broń tak potężną i, owszem, tak straszliwą, że był pewien, iż doprowadzi ona Wielką Wojnę do szybkiego i sprawiedliwego końca.

Trochę tu wybielania, ale czyż nie jest to cechą wszystkich historii rodzinnych? „Pewnego razu”, zaczęła nasza matka podparta na poduszkach, podczas gdy my trzy siedziałyśmy po turecku w nogach jej łóżka. „Pewnego razu” czyniło to, cokolwiek mówiła potem – prawdę, kłamstwo, życzenie – czymś godnym zapamiętania, powtarzania i przekazywania. Słuchałyśmy namiętnie, a ona snuła opowieść, od czasu do czasu przerywając, żeby wziąć łyk napoju Tab czy zaciągnąć się papierosem. Powiedziała nam, że początkowo niemiecka armia odrzuciła nową broń wielkiego patrioty. Generałowie woleli trzymać się starych sposobów walki. Bardziej obchodził ich kodeks postępowania niż zwycięstwo. Byli dżentelmenami. A zatem wielki patriota udał się bezpośrednio do kajzera. Oto jak wielki i ważny był tenże patriota: kajzer przyjął go na prywatnej audiencji.

– Proszę mi powiedzieć – rzekł patriota, kierując się wspaniałą i przekonującą logiką – czy śmierć wywołana chlorem różni się od śmierci wywołanej latającymi kawałkami metalu?

– Kiedy ujmuje to pan w ten sposób, dochodzę do wniosku, że bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nie użyli pana broni – bez wątpienia nie powiedział kajzer, chociaż nasza matka twierdziła, że owszem. – Z pewnością kiedy Francuzi zobaczą, co ten *giftgas* potrafi zrobić, poddadzą się natychmiast. Po takim doświadczeniu nikt nie będzie chciał więcej się z nim zetknąć. Możliwe, że dzięki panu zakończymy wojny raz na zawsze.

Nawet wtedy miałyśmy swoje podejrzenia. Po szkole, kiedy matka była jeszcze w pracy, zdjęłyśmy jedną z biografii z półki w salonie i przejrzałyśmy indeks.

Wilhelm II, dyskusja o chlorze z

Lady znalazła i przeczytała ten fragment na głos. To było jak odkrycie baśni, którą znało się tylko z animacji Disneya, w nieocenzurowanej wersji braci Grimm. Myśleliście, że podła przyrodnia siostra tylko trochę się namęczyła, próbując wcisnąć wielką tłustą stopę w delikatny pantofelek? O nie, wcale nie. W rzeczywistości obcięła sobie palce u nóg, żeby dać radę.

Matka powiedziała nam, że wojsko użyło gazu, aby wygrać drugą bitwę pod Ypres. Nigdy nie przyznała, że Lenz osobiście stał na belgijskim wzgórzu u boku niechętnych generałów – dżentelmenów – i o 17:00 sprawdzał wiatr. Próbujemy to sobie wyobrazić: nasz pradziadek wyciągający pośliniony palec w niebo. Nasz

pradziadek własnoręcznie uwalniający żółtoszare opary. Inna sprawa, o której nasza matka nigdy nie wspomniała: że uniósł lornetkę i obserwował, jak francuscy i algierscy żołnierze padają na kolana w obliczu nadciągającej ściany gazu. Że patrzył, jak ci żołnierze połykają garści błota i rozdzierają koszule, wpychając sobie materiał do gardeł w próżnym wysiłku stłumienia niezbadanego, aż do tej pory niewyobrażalnego pieczenia wywołanego przez coś, co kiedyś porównywano do manny z nieba. Powiedziała nam za to, że w ciągu kilku minut od wypuszczenia gazu wymiana ognia ustała. Ale dopiero książki poinformowały nas, że kiedy strzały umilkły, ucichły też niemieckie oddziały. Zamiast wiwatować z okazji zwycięstwa, żołnierze pozostali na pozycjach, spoglądali sobie w oczy i w milczeniu nasłuchiwali wycia wrogów i jeszcze innego koszmarnego jęku, którego nie potrafili zidentyfikować dopóty, dopóki jakiś syn rolnika nie powiedział bezgłośnie: „Mleczne krowy”. Kilka dekad później szeregowy, który był świadkiem tych wydarzeń, wspominał, że nie wie czemu, ale właśnie to słyszy w swoich koszmarach: nie rozdzierające wrzaski umierających ludzi, lecz udręczony ryk zdychających krów.

Dwudziestego drugiego kwietnia 1915 roku o godzinie 17:20 francuscy żołnierze wymiotują żółtą plwociną. Ich pęcherzyki płucne pękają, a twarze nabierają żółtozielonego odcienia. Umierają na polu bitwy, leżąc na plecach. A jeśli nie umierają, jeśli znaleźli się w niewielkiej grupie tych, którzy zdołali dotrzeć do namiotu medycznego, zwijają się z bólu na ziemi pod osłoną płótna. Barwa ich skóry zmienia się z żółtozielonej w fioletowoczerwoną, z wyjątkiem uszu i paznokci, które stają się niebieskie, a flegma, którą odkasłują, jest zielona, podobnie jak krew, którą plują. Leżą na ziemi jeszcze dzień lub dwa, majacząc i z trudem łapiąc powietrze. W końcu umierają.

Oczywiście nasza matka nie pominęła tego, co według niej było najlepszą częścią całej historii: 24 kwietnia Lenz otrzymuje tytuł kapitana od samego kajzera. To niezwykle zaszczyt dla cywila, a tym bardziej dla Żyda. Chociaż nasz pradziadek spierał się o to drugie.

– Wiecie, że nie jestem żydem – przekonywał oficerów, którzy byli z nim w Ypres. – Zostałem luteraninem lata temu.

– Ach – zażartował książę. – Sprytny, przebiegły, otwarcie obłudny... ale nie, wcale nie żydowski.

Lenz bez wątpienia się z tego śmiał. Może wymyślił jakiś błyskotliwy kuplet: „Można go ochrzcić, wyedukować/ Żyda się nie da schrystianizować”. W porządku, to nie jego, to nasze. Ale słynał z tego, że był dobrym kolegą. A w tamtych dniach był w szampańskim nastroju i nie bez powodu. Cygara, kobiety, zaproszenia do pewnych klubów, do których wcześniej nie miał wstępu, a wszystko to dzięki procesowi manny. Nasza matka wyciągnęła z tej historii jedną lekcję: wszystkie wywodzimy się od geniusza. My wyciągnęłyśmy inną: czy zsyłał

z nieba życie, czy śmierć, Lorenzowi Ottonowi Alterowi było wszystko jedno.

Maj 1915

Dziesięć dni po tym, jak gaz zostaje użyty w Ypres, Iris wskutek nalegań Lenza wydaje kolację z okazji jego awansu. Lenz wkrótce ma wyjechać na front rosyjski, kapitan Alter melduje się na stanowisku, kapitan Alter będzie osobiście uczył generałów na wschodzie, jak mierzyć prądy powietrzne, jak ustalać dokładnie, kiedy powinni wypuścić gaz w kierunku Kozaków, Tatarów i Słowian. Chce, żeby kolacja odbyła się, zanim wyjedzie, chce, żeby przyjaciele zobaczyli go z nowymi insygniami: frędzlami, galonami i gwiazdkami.

Iris ustala datę kolacji na wieczór poprzedzający jego podróż do Rosji. Rankiem w dniu przyjęcia budzi się chora. („A w każdym razie tak twierdzi” – relacjonuje nasza matka). Chce je odwołać. Przy śniadaniu Lenz uderza pięścią w stół. Ona podskakuje. Richard nie spuszcza wzroku z drżącego talerza. Nie, nie odwołać, poprawia się Iris. Przełożyć. Kiedy Lenz wróci z Rosji, będzie wystarczająco dużo czasu na świętowanie faktu, że wyszkolił kolejną grupę generałów w duszeniu młodych chłopców. Lenz drze sobie włosy z głowy (w przenośni). Rzuca gazetą (dosłownie). Nie życzy sobie wysłuchiwać jej poglądów politycznych. Używa słowa „zdrada”. Używa słowa „okrucieństwo”. Już wystarczy, że w czasie wojny mężczyźni muszą robić dla swojej ojczyzny takie straszliwe rzeczy, ale żeby jeszcze ona sugerowała, że jemu to sprawia przyjemność, że on lubuje się w tym, co się dzieje na polu bitwy...

Richard wstaje od stołu, nawet nie pytając o pozwolenie. Iris unosi ręce w geście rezygnacji. W trakcie dnia przygotowuje posiłek, nakrywa do stołu. Prasuje i wyklada mundur męża. Wybiera wina. Kiedy wszystko jest już gotowe, zostaje im pół godziny do przybycia gości, w którym to czasie na nowo podejmują kłótnię. Pierwsza para, która dociera na próg ich willi, staje się jej świadkiem. Później powiedzą, że czekali tam, pod tymi wielkimi drzwiami, i wymieniali zaniepokojone spojrzenia. A on, młody chemik z laboratorium Lenza, pochylił się i szepnął do żony: „Jeszcze nas nie widzieli. Uciekamy?”. Ale kiedy para wreszcie zbiera się na odwagę i dzwoni do drzwi, Iris otwiera, sprawiając wrażenie zrelaksowanej i serdecznej. Ładnie się prezentuje pomimo wełnianej sukni, która wygląda, jakby połknęła wszystko poza jej głową. Wiele lat później on powie Richardowi Alterowi, że jego ojciec był lwem, a jego matka myszką, i że na tym polegał problem w ich małżeństwie. A żona stwierdzi: „Tak, to prawda, ale była bardzo miłą myszką. Wszyscy ją lubili”.

Pomimo mało obiecującego prologu przyjęcie okazuje się sukcesem. Pozostali goście nie mają pojęcia, że gospodarz i gospodyni sobą gardzą. Gospodarz, powiedzą potem, był towarzyski i czarujący jak zawsze, gospodyni równie miła i troskliwa. Wzniosła pierwszy toast, mówiła o geniuszu męża.

Dopiero później dowiedzą się, że tego samego dnia napisała list do naczelnego dowództwa sił zbrojnych, który charakteryzował pracę jej męża takimi słowami, jak „perwersja” i „barbarzyństwo”, ale tego wieczoru Iris niczym nie zdradza, że nie uważa trującego gazu za wspaniały dodatek do światowego szwedzkiego stołu zbrojeń.

Grete Rosenthal, sekretarka w jednym z klubów dla mężczyzn, do którego Lenz niedawno dołączył, i kobieta, która zdaniem Iris i kilku biografów była już wtedy kochanką Lenza, przychodzi z osobą towarzyszącą – hałaśliwym mężczyzną, którego nikt nie zna ani nie chce znać.

– Usłyszała o tym i zapytała, czy mogłaby przyjść – tłumaczy się Lenz, kiedy na krótką chwilę zostaje z Iris sam na sam. – Co miałem zrobić?

– Czy ja coś mówiłam? – odpowiada ona.

On mówi: – To nieustępliwa, męcząca kobieta.

I naprawdę tak myśli. Będzie w to wierzył jeszcze kilka lat później, kiedy ją poślubi. Będzie też przytaczał ten argument bez końca, kiedy kilka lat później pošle Richarda, już dorosłego, do Grete, aby przekazał jej wiadomość, że się z nią rozwodzi.

Iris uśmiecha się do niego.

– Biedaku – mówi. – Ile ty musisz wycierpieć.

Po posiłku i toastach, po deserze i brandy, i śpiewaniu patriotycznych pieśni, po finalnym zaimprovizowanym kupiecie dowcipnego gospodarza oraz bardziej prozaicznych pożegnaniach gości, z których ostatni wychodzą teraz już ponura Grete i jej gadatliwy towarzysz, Lenz zażywa swój zwyczajowy barbituran, popijając go świeżą szklaneczką brandy.

– Dziękuję ci za uroczy wieczór – zwraca się do żony.

Iris też pije brandy.

– Jakie mieli miny? – pyta.

– Cóż – mówi on – ty mi powiedz. Byli pełni podziwu, nie? Dumni. Ostatecznie mój sukces to ich sukces.

Nie, wyjaśnia Iris. Nie o gości jej chodziło. Miała na myśli żołnierzy na polu w Ypres. Te dzieci. Kiedy obserwował ich przez lornetkę w zeszłym tygodniu. Po tym jak nawdychali się gazu. Jak wyglądali?

On pyta: – Jesteś pijana?

Ona odpowiada: – Pomimo najszczerzych chęci nie.

On powtarza to, co powiedział kajzerowi: – Co za różnica, czy giną od gazu, czy od kul?

Ona mówi: – Gdybyś zastanowił się nad tym, jak wyglądały ich twarze, może poznałbyś odpowiedź. (Właściwie sformułowanie „Ona mówi” nie opisuje trafnie sytuacji. Może lepiej „Ona krzyczy”. Albo „Ona grzmi”).

On oznajmia: – Kocham mój kraj i kładę się spać. (Może raczej „On ryczy”).

Albo „On się drze”).

Ona rusza za nim po schodach.

– Gdzie jest twój służbowy rewolwer? – pyta.

A może akurat w tym momencie wrzeszczy. Albo wręcz przeciwnie: szepcze. Dobrze byłoby to wiedzieć, bo to ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek powie do Lenza Altera. „Czego niby się spodziewała? – mawiała nasza matka na tym etapie opowieści, ziewając sennie. – To były inne czasy. Kobieta z doktoratem... Co ona sobie myślała? Że świat urządzi paradę na jej cześć?”.

Rewolwer jest tam, gdzie zawsze, w górnej szufladzie jego sekretery w sypialni. Lenz Alter sam go wyjmuje, zanoszą do jej gabinetu i kładzie na biurku, bezpośrednio na ledwie rozpoczętym liście do zmarłego Richarda Lehrera. „Mój najdroższy Richardzie” – napisała, a potem jakieś wstępne poetyckie spostrzeżenia na temat wiosennej pogody. Lenz wie, że ona wciąż pisze do Lehrera. Znalazł i przeczytał wiele tych kwiecistych pism. „Kolejny dzień tęsknoty za Tobą. Kolejny dzień w świecie, gdzie nikt mnie nie zna. A zatem jaką radę masz dla mnie teraz, umiłowany Przyjacielu?”.

– Proszę, powiedz mi, że nie wysyłasz tych listów do Lehrera – zwrócił się do niej kiedyś w jego odczuciu życzliwie, ale ona oblała się rumieńcem i wycodziła głosem pełnym napięcia:

– Szpiegujesz mnie? Myszkujeś po moim gabinecie i czytasz moje prywatne myśli?

Jego przeprosiny były szczerze. Wiedział, że te listy przynosiły jej ulgę, stanowiły swego rodzaju dziennik. Za stara na „Drogi pamiętniku” w zamian pisała „Drogi Richardzie”. Ale chociaż nie przyjęła przeprosin Lenza – wołała wierzyć, że był podły i sarkastyczny – kilka dni później ni z tego, ni z owego powiedziała: „Palę je”. Dopiero po chwili zrozumiał, o czym mówiła. Biedny Lehrer, pomyślał. Palony na stosie pogrzebowym raz za razem. I biedna Iris. Była o tyle szczęśliwsza, kiedy od czasu do czasu mogła odwiedzać Richarda i Marthe Lehrerów. Kilka razy odważyła się nawet przelecieć ukochanym balonem na ogrzane powietrze Lehrera, chociaż była taka bojaźliwa. Wracała potem do domu, praktycznie szczebiocząc. Och, te drzewa jak małe warzywa czekające na zebranie. Och, te ptaki tak blisko, że czuło się powietrze poruszane uderzeniami ich skrzydeł. Och, ten żar ognia i ten chłód wiatru. Kiedyś nawet – ona, ta najbardziej strachliwa z matek – pozwoliła Lehrerowi zabrać na pokład jej Richarda. Lenz położył temu kres, gdy tylko rozentuzjasmowany syn mu o tym opowiedział. Iris nie zrezygnowała: „I mówisz, że to ja się nad nim trzęsę!”. Ale potem przyszedł ten dzień, kiedy balon zapłonął, runął w dół i się rozbił.

Lenz nic nie powiedział, ale ona oskarżała go o to, że miał ochotę. Nigdy nie

widział, żeby tak szlochała. Nawet gdy zmarł jej ojciec. Nawet gdy mąż Lily zmarł kilka godzin przed tym, jak pastor uświęcił małżeństwo Lenza z Iris. Trzy siostry, Lily, Iris i najstarsza, rzadko widywana Rose, trzymały się w objęciach, szlochając, zanim Lily wyszła, a Iris zebrała się w sobie i stanęła u boku Lenza. Nigdy nie widział szlochu takiego jak ten po śmierci Richarda. Chociaż czy on nie szlochał tak samo na pogrzebie Theo Meyera?

Jest wycieńczony, znużony i wdzięczny, że tabletki zaczyna działać. Wskazuje na pistolet leżący na liście.

– Obiecuję, że jest naładowany. Za kilka minut będę spał jak zabity. Jeśli wejdiesz, nawet cię nie usłyszę, a tym bardziej nie będę w stanie się bronić. To dla ciebie wspaniała okazja.

Ona nic nie mówi. Skończyła z perorowaniem i pomstowaniem. Stoi sztywno z rękami przy bokach, obserwuje pistolet kątem oka, czeka, aż on wyjdzie.

Richard, który leży w łóżku, ale nie śpi, Richard, który oczywiście o wszystkim wie, nasłuchuje arytmicznego chrapania ojca. Dopóki je słyszy, dopóty wszystko jest w porządku. Zamierza nie spać do rana, wartownik pilnujący uszami zamiast oczami. Ale jest słaby i wykończony, i ma dwanaście lat, i jest późno, i w końcu powieki mu opadają. Tylko Iris nie śpi całą noc, obrzydliwe chrapanie męża podsyca jej gniew. Pracuje nad swoim listem. Pije swoją brandy. Powiedzenie tego, co chce powiedzieć, zajmuje jej tyle godzin, że kiedy kończy, zbliża się świt. Gasi niepotrzebną lampę. Powietrze w pokoju jest szare jak pomyje. Składa kartki, dociska je kryształowym kałamarzem, wkłada do koperty. Zakleja ją i pisze na niej „RICHARD”. Kiedy opuszcza swój gabinet, trzyma kopertę w jednej dłoni, a pistolet w drugiej. Kopertę kładzie na stoliku w holu. To pozwala jej ująć rewolwer w obie ręce. W wełnianej koszuli nocnej, boso, z pistoletem skierowanym prosto przed siebie, jakby był latarnią, a Iris szukała źródła niepokojących hałasów, podchodzi cicho do sypialni męża i staje przed jej drzwiami, celując.

Zatrzymajmy się tutaj na chwilę. Zatrzymajmy się, aby pogłębić suspens, zbudować napięcie. Ale zaraz. Co my mówimy. Wszystko poszło nie tak. Nie ma suspensu. Przecież już widzieliście tabelkę. Iris w ogrodzie z bronią. W porządku. W takim razie zatrzymajmy się w tym momencie, bo tak robiła nasza matka, kiedy opowiadała nam tę historię. Albo nie, to nie ma nic wspólnego z naszą matką. Zatrzymajmy się, aby rozważyć to, co – jak wiemy – za chwilę się wydarzy. Zatrzymajmy się, bo to ważne. Pierwsza osoba ma właśnie paść ofiarą klątwy.

Einstein mówi, że nie ma przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Ale coś jest, czyż nie? Jakaś siła, która nie pozwala nam wrócić tam i powstrzymać jej. Nie wiemy, jak na podobieństwo talii kart tasować poszczególne momenty ludzkiej

egzystencji. Nie możemy pozmieniać ich kolejności, nie możemy wejść do ogrodu i krzyknąć: „Nie!”. Możemy tylko siedzieć tutaj, w roku 1999, i relacjonować, co się wydarzyło w pewnym momencie 1915 roku. Iris odchodząca od drzwi sypialni i zmierzająca do ogrodu, pierwsze nieśmiało wiosenne kwiaty pnące się po treliazu wzdłuż ogrodzenia, Richard wybiegający na zewnątrz, kiedy budzi go strzał, Iris bezwładna i krwawiąca w ramionach syna: odwrócona pieta. Wreszcie Lenz otrząsający się z narkotycznego snu, wychodzący na zewnątrz. Lenz zdezorientowany, potem pełen obrzydzenia.

Ojciec i syn wnoszący Iris do środka.

Niedługo potem: próba zatuszowania faktów, w której wyniku Mileva Einstein będzie przekonana, że Iris zmarła z powodu niewydolności serca.

Ale wcześniej, przed tuszowaniem, które rozpocznie się, gdy tylko wstanie słońce, a czarna limuzyna z malutkimi niemieckimi flagami przyssanymi do maski przyjedzie, żeby zabrać kapitana Altera na front wschodni, Richard przeczesuje dom w poszukiwaniu koperty z imieniem „RICHARD”. Widział ją na małym stoliku przed swoją sypialnią, kiedy wybiegał do ogrodu. Długi list napisany tylko do niego. A teraz zniknął.

– Nie widziałem żadnego listu – twierdzi jego ojciec tamtego ranka i powtarza do końca swego życia. – A nawet gdyby w tym domu była koperta zaadresowana po prostu do Richarda, niekoniecznie byłaby przeznaczona dla ciebie. Mogłaby być dla Richarda Lehrera.

Właśnie to Richard Alter uznaje za niewybaczalne. Nie fakt, że jego ojciec wyjeżdża na front. Trwa przecież wojna. Lenz Alter jest kapitanem w wojsku. Jaki ma wybór? I nie fakt, że zostawia Richarda samego z ciałem matki, instruując go tylko, żeby zadzwonił do ciotki Lily. Chodzi o kłamstwo. Tego nigdy mu nie wybaczy. I nawet nie samego kłamstwa, lecz jego absurdalności. Przecież Richard Lehrer nie żyje od 1912 roku.

Karawan przyjeżdża zaledwie kilka chwil po tym, jak limuzyna znika spod domu. Richard wyobraża sobie dwa czarne samochody mijające się na drodze: mężczyźni w karawanie, posępni, o kamiennych twarzach, kapitan w limuzynie nawet nie podnosi wzroku, pogrążony w lekturze listu przeznaczonego dla swojego syna. Jest 2 maja 1915 roku. Lenz Alter ma czterdzieści sześć lat. Iris Alter miała czterdzieści cztery. Za miesiąc Richard Otto Alter ukończy trzynaście. Będzie już mężczyzną.

ROZDZIAŁ 8

Listopad 1933

Odbywa się premiera *Kaczej zupy*. Dachau otwiera swoje podwoje. Najcięższy rok wielkiego kryzysu i ostatni rok prohibicji wkrótce dobiegną końca. A w kwietniu ogłoszono trzecią część nowej niemieckiej Ustawy o odnowie służby cywilnej i prawie do wykonywania zawodów zaufania publicznego:

1. Urzędnicy służby cywilnej pochodzenia niearyjskiego zostaną przeniesieni w stan spoczynku.

2. Ustęp 1. nie dotyczy urzędników służby cywilnej, którzy w trakcie wojny światowej walczyli na froncie za Rzeszę Niemiecką.

Ustęp 2. chroni Lenza Altera przed postanowieniem ustępu 1. Mimo to, po przeczytaniu ustępu 1. Lenz nie chce mieć nic wspólnego z ustępem 2. Wreszcie przejrzał na oczy.

Drogi ministrze Rust – pisze – zgodnie z postanowieniami Ustawy o odnowie służby cywilnej z dnia 7 kwietnia 1933 roku (...) mam prawo pozostać na stanowisku pomimo żydowskiego pochodzenia. Nie zamierzam jednak skorzystać z tej dyspensy.

Znaleźli się tacy, którzy walczyli o niego oraz o przyszłość instytutu, który – pozbawiony Żydów – miał się zamienić w pustą skorupę rozbrzmiewającą echem kroków w niemal wyludnionych salach i korytarzach. Oto wyjątek z eseju Maxa Plancka *Moja audycja u Adolfa Hitlera*:

Po dojściu Hitlera do władzy miałem obowiązek złożyć Führerowi wyrazy uszanowania. Wierzyłem, że powinienem wykorzystać tę okazję, aby szepnąć słówko w sprawie mojego żydowskiego współpracownika (...), bez którego wynalazku w postaci procesu produkcji amoniaku z azotu obecnego w powietrzu ostatnia wojna byłaby z góry skazana na przegraną (...). Poczyniłem uwagę, że istnieją różne typy Żydów, zarówno ci wartościowi, jak i bezwartościowi dla ludzkości (...). [Hitler] odpowiedział: „Nie ma pan racji. Żyd to Żyd, wszyscy

trzymają się razem jak rzepy” (...). Przemawiał ogólnikami, następnie podsumował, stwierdzając: „Ludzie twierdzą, że zdarza mi się cierpieć z powodu neurastenii. To oszczerstwo. Mam nerwy ze stali”. Po czym klepnął się mocno w kolano, zwiększając tempo przemowy, i tak się rozemocjonował, że nie pozostało mi nic innego, jak tylko zachować milczenie.

Nic innego, jak tylko zachować milczenie... Do następnego lata wszyscy Alterowie opuścili Niemcy. Lenz przeniósł się do Cambridge, Richard z rodziną – nasza matka miała wtedy cztery lata – osiadł w Paryżu. Robi się coraz zimniej, gdy Lenz pisze do Richarda. Serce mu dokucza. Nitrogliceryna pomaga, ale nie tak jak wcześniej. Czy Richard mógłby zdobyć dla niego morfinę? Lenz rozumie, jeśli Richard będzie temu niechętny. Ale być może, jeśli Richard przypomni sobie, jak zmarła jego biedna matka, zgodzi się, że to słuszne, aby jego ojciec zmarł w taki sam sposób – z własnej ręki.

Richard spogląda przez okno paryskiego mieszkania. Okno ma dziwny kształt. Jest prostokątne, ale krawędzie ma nieregularne, jak mały kraj. W Paryżu wiecznie pada. Kiedy Richard później wspomni to miasto, będzie myślał o pociemniałym od deszczu bruku i osobliwym srebrzystym świetle, które tak często wypełzało ku niemu zza murów kościoła Saint-Merri. Odwraca się plecami do ulicy. Ponownie czyta list ojca. Istnieje różnica, myśli sobie, między odebraniem sobie życia w kwiecie wieku za pomocą strzału z rewolweru i zdecydowanie się na tak rozpaczliwy i boleśnie powolny koniec wskutek zdrady męża wobec żony i całej ludzkości a wymknięciem się ze świata bezboleśnie, chwilę przed tym, jak ponury żniwiarz i tak się pojawi. Ale Lenz, tak błyskotliwy pod wieloma względami, zdaje się nie dostrzegać tej różnicy. Najwyraźniej oba modele opuszczania tego świata wydają mu się tożsame.

Rozmyślna ślepotą ojca nie wprawia Richarda w gniew. W dzisiejszych czasach wywołuje go już i tak zbyt wiele rzeczy. Niekiedy Richard identyfikuje się z gołębiami drepczącymi po mokrym chodniku poniżej, krążącymi bez końca, wruszającymi ramionami i potrząsającymi łebkami. Nie chce karać Lenza. Nie potrzebuje, aby ojciec rekompensował mu to, co uczynił Iris. Jeśli Richard zdobędzie morfinę, zrobi to dlatego, że zechce pomóc. Widzi, jak osłabiająca i bolesna jest choroba serca, na którą cierpi jego ojciec. Aż strach na niego patrzeć, aż strach nawet myśleć o tym, jak podróżuje z miasta do miasta, pisze artykuły po angielsku, których nikt nie publikuje, wygłasza wykłady po francusku, na które nikt nie uczęszcza. No i są jeszcze brytyjscy chemicy, którzy ostentacyjnie nie podają mu dłoni na powitanie w miejscach publicznych.

Richard kocha ojca. Kocha swoją matkę. To jedna z nieoczekiwanych słodko-gorzkich przyjemności rodzicielstwa: obserwować własne niedoskonałości, doświadczać szkód, jakich wyrządza się swoim umiłowanym dzieciom, po czym znajdować w sercu przebaczenie i zakochiwać się na nowo we własnych

niedoskonałych rodzicielach.

Z TESTAMENTU LENZA ALTERA

Polecam mojemu synowi Richardowi Ottonowi Alterowi, aby moje zwłoki poddał kremacji. Polecam, aby prochy moje pochował w Berlinie przy prochach Iris Emanuel Alter, mojej pierwszej żony. Jeśli jednak sytuacja polityczna sprawi, że mój syn nie będzie sobie życzył odbyć podróży do Niemiec, polecam mu pochować prochy moje i mojej pierwszej żony na cmentarzu wybranym przez niego. Grób powinien zostać opatrzony inskrypcją zawierającą nasze imiona i nazwiska oraz daty narodzin i śmierci. Ewentualnie również słowa: „Służył swojej ojczyźnie w wojnie i w pokoju dopóty, dopóki było mu to dane”.

Marzec 1934

Kiedy tramwaj zatrzymuje się pod jego hotelem, zniedołężniały chemik wsiada doń i jedzie aż do ostatniego przystanku na granicy miasta. To tam mieszkają ortodoksyjni Żydzi z Bazylei. Sam chemik mieszkał tu dawno temu, tuż po wojnie, gdy ukrywał się przed aliantami, którzy zamierzali go aresztować za popełnienie morderstwa na bezprecedensową skalę – jakby sami ostatecznie nie uciekli się do użycia gazu. Chemik musiał zostawić drugą żonę i nastoletniego syna w Berlinie. Musiał wynająć pokój ze wspólną łazienką na końcu korytarza, musiał wkładać taki sam strój jak pozostali: czarny płaszcz do ziemi i kapelusz z szerokim rondem. Zapisał brodę i pejsy. Czuł się zaniedbany, brudny. Ale najgorsze było to, że póki nosił ten dziwaczny kostium, póty nie mógł się stołować w niekoszernych restauracjach, a to oznaczało, że nie mógł się cieszyć najlepszym jedzeniem w mieście.

Nobla dostał, kiedy się tu ukrywał. Do Sztokholmu również nie mógł się udać. Musiał czekać jeszcze sześć miesięcy, zanim Anglicy i Francuzi – Amerykanów nigdy nie obchodził – zajęli się innymi problemami. Ogolił się, przebrał i wrócił do Niemiec, gdzie najadł się wieprzowiny i zorganizował kolejny wyjazd, tym razem w celu odebrania nagrody. W Szwecji wygłosił przemowę na temat nawozu; nikt nie wspomniał o innych zastosowaniach procesu manny. Po powrocie do Dahlem rozpoczął badania, które miały się przyczynić do rozwoju projektu złoto z morza. Próbował wydestylować złoty pył z wody morskiej, aby spłacić długi wojenne Niemiec. Wciąż był zakochany w swojej ojczyźnie, wciąż gotów zrobić z siebie pośmiewisko dla swojej *Heimat*. To była porażka: złoto z morza – jak wszystkie projekty związane z alchemią – i Lenz stał się obiektem drwin, ale przynajmniej wraz z synem, który miał wtedy osiemnaście lat, mogli spędzić cały rok nad morzem. Zdrowi i krzepcy mężczyźni robiący to, co zazwyczaj robią zdrowi i krzepcy mężczyźni.

Teraz Lenz wspina się po stromym stoku wzgórza, na którego szczycie znajduje się stary żydowski cmentarz w Bazylei. Ostatnio dużo myślał o tych kilku

akrach ziemi. Kiedy mieszkał w pobliżu tyle lat temu, obserwował pogrzeby z okna swojego pokoju. Podobały mu się rytuały, żałobnicy podchodzący do otwartego grobu jeden po drugim, sypiący ziemię na trumnę, ale za pomocą spodu łopaty. Nie mógł wtedy zapytać „dlaczego?” – udawał, że jest pobożny, powinien wiedzieć takie rzeczy – a kiedy wrócił do Niemiec, zupełnie o tym zapomniał. Teraz zna już powód: posługiwanie się spodem łopaty symbolizuje trudność, z jaką człowiek pozwala zmarłemu odejść, nawet jeśli mu w tym asystuje. Tego dnia nie odbywają się żadne pochówki. Chociaż brama na cmentarz jest otwarta, nikogo tam nie ma, nawet dozorca. Chemik siada na kamiennej ławce w blasku słońca i czeka, aż ustąpią spazmy szarpiące jego szwankujące serce. Kiedy znowu może swobodnie oddychać, wstaje i wchodzi pomiędzy groby. Zaczyna od najstarszych, płaskich, pokrytych mchem kamieni ubłoconych po porannym deszczu. Kończy na najnowszych, marmurowych nagrobkach stojących na sztorc i udekorowanych szeregami kamyczków. Nie zna nikogo z pochowanych tu ludzi, ale zna ludzi o takich samych nazwiskach. Są tu Alterowie, są Emanuelowie, są Lehrerowie i Rosenthalowie, i Meyerowie. Kiedy dociera do ostatniego rzędu grobów, widzi splacheć trawy czekający na jeszcze kilka dusz, a dalej płot z kutego żelaza. Ból w klatce piersiowej powraca i chemik spogląda na swój zimowy cień, mamrocząc pod nosem Szemę, jedyną hebrajską modlitwę, jaką zna na pamięć. Jego nowi przyjaciele na wygnaniu to zarówno chemicy, jak i syjoniści. Chaim Weizmann. Tego typu ludzie. Wyjaśnili mu obyczaje, nauczyli go sztuczek. „Odmawiaj Szemę w momencie śmierci – mówią – a pójdziesz prosto do nieba, bez żadnych pytań”. „A wy zastanawiacie się – odpowiada on – dlaczego inteligentni ludzie odwracają się plecami do religii”. Przyjaciele rozumieją jego punkt widzenia, ale odrzucają go. „A co ci szkodzi? – argumentują. – W najgorszym razie będziesz miał coś do roboty w tych ostatnich kilku sekundach. Dobrze jest być zajęтым”.

Stojąc przy żelaznym płocie, który wyznacza zarówno kraniec cmentarza, jak i Szwajcarii, chemik spogląda na niestrzeżoną francuską granicę, na płowe pałki i brązowe trawy sztywne od zimowego szronu. Zgina się wpół, przytrzymując ogrodzenia, żeby się nie przewrócić. Opiera czoło o zimne żelazo. Sięga do kieszeni płaszcza, wyciąga tabletkę nitrogliceryny, wkłada ją pod język i czeka, aż się rozpuści. Potępiony przez substancje wybuchowe – ocalony przez substancje wybuchowe. Mocniej chwyta się płotu, dłonie mu bieleją. Aż w końcu... Proszę. Ból nie zniknął, ale zmałał.

Kiedy wraca do hotelu – obcy ludzie pomogli mu wsiąść do tramwaju i wysiąść z niego i przeprowadzili go przez próg budynku – jego syn czeka w lobby.

– Przyjechałeś – mówi Lenz.

– Przyjechałem – odpowiada Richard.

W pokoju Lenz pozwala, aby syn pomógł mu się rozebrać. Już w łóżku

cieszy się ciepłem puchowej kołdry.

– Gdzie teraz pojedziesz? – pyta syna. – Co zrobisz?

– Haiti. – Syn wlepia wzrok w swoje buty. – W tej chwili nie ma żadnej innej opcji. A zatem tak, Haiti, a potem będziemy czekać i modlić się, żeby wujowi Albertowi udało się przekonać Amerykanów, by ustąpili.

– Palestyna nie wchodzi w grę?

Jego syn kręci głową.

– Mógłbyś wykorzystać moje bilety – mówi chemik. Chciałby, żeby syn podniósł głowę. Chciałby zobaczyć te błękitne oczy.

– Sam wykorzystasz swoje bilety – protestuje syn. – Użyjesz ich, kiedy poczujesz się lepiej.

– Chciałbym tam spędzić kres swoich dni. Jestem człowiekiem potrzebującym kraju, który mógłby kochać – to ostatnie zrozumiałe słowa ojca.

Właśnie wtedy przybywa lekarz wezwany przez syna, ale nie może nic zrobić. Chemik mamrocze jakieś słowa, których ani lekarz, ani syn nie rozumieją; rytmiczna śpiewna recytacja. Syn zwierza się lekarzowi. Lekarz go rozgrzesza.

– Gdyby to był mój ojciec, zrobiłbym to samo – mówi.

Akurat kiedy rozmawiają o fizycznym cierpieniu, chemik umiera. To tyle, jeśli chodzi o aliję. To tyle, jeśli chodzi o miłość Boga do marnotrawnego syna.

1938

Karin Gläser jest rodzinną apostatką. Kiedy imię Lenza Altera wypływa na przyjęciach z obiadem, które Karin urządza dla kręgu znajomych wysiedlonych Żydów w tym właśnie mieszkaniu – a jego nazwisko zawsze wypływa – mówi: „Żałuję, że nie zadusiliśmy go poduszką, kiedy spał”, prowokując pomruki, chichoty i okrzyki zdumienia. Niezależnie od tego, ile razy to powtarza, jej mąż zawsze bierze swojego ojca w obronę:

– Trwała wojna.

– Nie obchodzi mnie, co wtedy trwało. Nie zostawia się dwunastolatka samego z ciałem matki.

Goście zazwyczaj się nie wtrącają. Są zażenowani, kiedy Karin z wściekłością rzuca się na Richarda niczym ptak atakujący własne odbicie, ale delektują się pikantnymi szczegółami i dramatyzmem. Siedzą w kąciku jadalnym, przy tym samym stole, przy którym my trzy do dziś spożywamy posiłki, i czekają. Rozumieją, że przetrwanie kłótni jest ceną, jaką muszą zapłacić za usłyszenie opowieści o śmierci w ogrodzie.

– Miał decydujące znaczenie dla wysiłku wojennego – tłumaczy Richard wyjazd ojca do Rosji. – Może i byłem wtedy młody, ale rozumiałem to doskonale.

– Waha się, uśmiecha z żalem. – Ale moja matka byłaby wściekła – przyznaje. – Nigdy – zapewnia – nie zostawiłaby mnie samego w takich okolicznościach.

Szczerze mówiąc, to nie zostawiłaby mnie w żadnych okolicznościach, niezależnie jak błahych. Ja byłem wrakiem łodzi wiosłowej, a moja biedna matka gigantyczną pąklą uczepioną mojej burty.

Karin wstaje od stołu, wynajduje sobie jakąś robotę, zmywa naczynia, podczas gdy goście wciąż jedzą, zgarnia okruchy z obrusa, podczas gdy Richard argumentuje.

– Chyba tracę zmysły! – woła Karin, miotając się po kuchni. – Czy ty właśnie powiedziałeś, że twoja matka nigdy by cię nie zostawiła? Jak w takim razie nazwiesz to, co zrobiła?

– Cóż, no tak... Ale wiesz, co mam na myśli – broni się Richard.

– Zawsze to mówisz, ale ja nigdy nie wiem. – Chciałby zakończyć tę wymianę zdań, jednak ma świadomość, że ona na to nie pozwoli.

– Tylko tak mogła ode mnie odejść – zwraca się do swoich przyjaciół. – Myślę, że zrobiła to, bo zrozumiała, że muszę wejść w wiek dojrzewaną pozbawiony tak bliskiej obecności matki.

Uśmiech Karin jest ostry jak odłamek szkła.

– Ach! – mówi. – Zastrzeliła się pod oknem śpiącego dziecka, żeby mogło się lepiej rozwijać. Kula w pierś to twoim zdaniem przejaw matczynej troski. Rose jest mniej więcej w tym samym wieku, w którym ty byłeś, kiedy zginęła twoja matka. Czy to nie najwyższa pora, abym wyszła na dwór i wpakowała sobie kulkę między żebra? Rose... Rose, chodź tutaj. Chcę usłyszeć twoje zdanie na pewien temat. Wszyscy znacie naszą córkę Rose. Rose, mamy do ciebie pytanie. Czy czułabyś się bardziej kochana, gdybym się zastrzeliła, Rose?

– Och, na litość boską, matko – wzdycha Rose.

– Dobra, dobra – poddaje się Richard. – Ale doskonale wiesz, co miałem na myśli.

Maj 1945

...a oni wciąż kłócą się o to samo. I to nie tylko Karin z Richardem. Także naukowcy, historycy, Niemcy, Żydzi. Był dobry czy zły? Był patriotą czy potworem? Zbawicielem czy zabójcą? Biografowie, uczeni, studenci do dziś zadają te same pytania. Tylko zerknijcie na tytuły rozmaitych artykułów i esejów: „Eksperymenty Lenza Altera z życiem i śmiercią”, „Lenz Alter: ojciec wojny chemicznej”, „Lenz Alter: nikczemny geniusz?”, „Lenz Alter: naukowiec przeklęty”, „Odszyfrowując dwoistość umysłu Lenza Altera”, „Lenz Alter: lemiesz i miecze”. A oto jedna z nowszych publikacji: „Jak rozwiązać problem, jakim jest Lenz Alter”.

Ten ostatni tytuł jest niezły. I przyjemna muzyczna aluzja. *Dźwięki muzyki*... Naziści. Łapiecie? Trudno się powstrzymać, żeby nie dołączyć do chóru. Ale co się rymuje z „syntezą azotu”? Co się rymuje z „chlorem”? Co się rymuje z „ecstasy”?

Bo to ostatnie również on zsyntetyzował. (Wiemy. Nie musicie dziękować). Albo co się rymuje ze słowem „cyklon”? Bo, owszem, poza nawozem, poza gazem bojowym, poza MDMA nasz dziadek dał światu również ten pestycyd. Cyklon.

Co powinniśmy zrobić z tą ciekawostką? Tego nie potrafimy rozstrzygnąć. Czy powinniśmy przerwać nasz projekt i zacząć medytować nad grzechami przodków? Czy powinniśmy porzucić nasz projekt – tę naszą pisaninę, własną monografię – całkowicie, bo, serio, jak mogłybyśmy usprawiedliwić nasze istnienie? Czy powinniśmy otworzyć okna i wykrzyzczyć przeprosiny na całe Upper West Side? Jesteśmy wściekle jak diabli i nie wytrzymamy tego dłużej²⁴. A może powinniśmy po prostu wzruszyć ramionami i stwierdzić: „Nie zwalajcie winy na nas. Ledwie zaliczyliśmy chemię w jedenastej klasie”? Nie wiemy. Po prostu nie wiemy, co zrobić z tym faktem z życia naszej rodziny, z tym aspektem naszego jestestwa.

Mamy świadomość, że być może przesadnie dramatyzujemy albo próbujemy wykorzystywać jego grzechy, by uzasadnić coś, co i tak chcemy zrobić, to jest umrzeć. Mamy świadomość, że szukamy argumentu, aby zrobić coś, czego nie mamy powodu robić. Dla nas umieranie jest po prostu potrzebą równie podstawową i palącą jak dla wszystkich innych potrzeba pozostania przy życiu. Poza tym prawda jest taka, że on opracował tylko pierwszą wersję cyklonu i w przeciwieństwie do chloru, którego wykorzystanie narzucił generałom, nie miał pojęcia, do czego będzie używany. Wedle jego wiedzy był to zaledwie pestycyd, dobrodziejstwo dla niemieckich rolników, które wynalazł na życzenie rządu. Zanim nawet zdążył dokończyć swoją pracę, ten sam rząd poprosił go, aby wyniósł się z kraju w cholerę. Prawdopodobnie po tym wszystkim Lenz nie myślał za wiele o swym odkryciu. To jego aryjscy współpracownicy stworzyli kolejną wersję, cyklon B.

Ale ci poczciwcy nie byliby w stanie tego zrobić bez podwalin przygotowanych przez Lenza. Nie dodali żadnych fajerwerków, żadnych ulepszeń, żadnych niespodzianek. Wykorzystali dokładnie tę formułę, jaką opracował Lenz Alter przed swoim exodusem, zmieniając tylko jeden element: usunęli środek zapachowy mający ostrzegać ludzi, że znaleźli się w kontakcie z silną trucizną.

Cyklon B. Jeśli nie wiecie, do czego został użyty, idźcie to sobie doczytać. Albo odwiedźcie dowolne muzeum Holocaustu, gdzie prędzej czy później natkniecie się na ekspozycję starych puszek wypełnionych tą substancją, częściowo poprzewracanych, żeby turyści lepiej widzieli szaroniebieskie kryształki artystycznie wysypujące się ze środka.

Albo po tym, kiedy umrzemy, wejdźcie do naszego mieszkania i udajcie się do największej sypialni, pokoju zmarłych i umierających, w którym od lat nikt nie spał, przykleńcie i wyciągnijcie kartonowe pudła, jakie schowałyśmy pod długo leżącym odłogiem podwójnym łóżem, i otwórzcie to z imionami „richard & karin”

wypisanymi markerem na boku. Poszperajcie w fotografiach, listach i innych artefaktach Alterów. Zlokalizujcie i wyciągnijcie dzienniki naszej babki od strony matki, Karin Gläser Alter. Przejrzyjcie daty, aż znajdziecie dziennik z maja 1945 roku. Weźcie ten dziennik, zwracając uwagę na miękką szarą, skórzaną okładkę – nasza babka lubiła, gdy jej diariusze ładnie się prezentowały, przynajmniej z zewnątrz – i zasiądźcie w naszym salonie. Polecamy sofę; trzy pokolenia tyłków Alterów dołożyły starań, żeby przyjemnie się na niej siedziało. Chociaż jeszcze zanim usiądziecie, nie krępujcie się – jakże to było niegrzeczne z naszej strony – i prosimy, zróbcie sobie drinka, poczęstujcie się czymś, jeśli coś znajdziecie. Musimy jednak was ostrzec: jeśli w kuchni zobaczycie blender z osadem z mikstury na bazie soku owocowego, lepiej go nie ruszajcie.

Teraz, kiedy już usadowiliście się wygodnie, zajrzyjcie do ostatniego wpisu Karin. Nie przejmujcie się, jeśli nie znacie niemieckiego. Po prostu przyjrzyjcie się odręcznemu pismu, nie tylko staromodnym ozdobnikom i zakrętasom, ale też jego wyraźnemu drżeniu, poważnemu pochyleniu do przodu, jakby nasza babka nie była w stanie prosto utrzymać zeszytu albo pewnie dzierżyć pióra. Po prostu popatrzcie na kolumny, które próbowała utrzymać idealnie wyrównane, niczym więźniów wywołanych na plac apelowy.

Mein Vater Hermann Gläser.

Todesursache: Zyklon

Meine Mutter Ruth Baumgartner Gläser.

Todesursache: Zyklon

Meine Schwester Eva Gläser Hirsch.

Todesursache: Zyklon

Meine Schwester, Anne Gläser Bierman.

Todesursache: Zyklon

Mein Bruder Bernhard Gläser.

Todesursache: Zyklon

Meine Nichte Katherine Hirsch.

Todesursache: Zyklon

Meine Nichte Ada Hirsch.

Todesursache: Zyklon

Nie krępujcie się i zaczynjcie przeglądać zapiski pobieżnie, bo jak się przekonacie, ta litania ciągnie się przez wiele stron. Pewnie że tak. Wyobraźcie sobie, ile miejsca zajęłoby wam wypisanie nazwisk wszystkich, których kiedykolwiek kochaliście, lubiliście, tolerowaliście, którymi gardziliście albo po prostu zostaliście im przedstawieni na jakimś przyjęciu; wszystkich, z którymi kiedykolwiek pracowaliście albo chodziliście do szkoły, na których po prostu natykaliście się od czasu do czasu albo z którymi raz czy dwa ucieliście sobie pogawędkę w kawiarni. Na kartach dziennika Karin znajduje się znacznie więcej jej bratanic i siostrzenic. Znacznie więcej bratanków i siostrzeńców. Potomstwo bratanic i bratanków, siostrzenic i siostrzeńców. Dzieci tegoż potomstwa. Kuzynostwo Karin. Dzieci tego kuzynostwa i dzieci ich dzieci. Jej koleżdy i koleżanki z klasy. Koleżdy i koleżanki z klasy jej córki. Jej nauczyciele. Nauczyciele jej córki. Ciotki jej męża: Rose Emanuel Ziegler, której nigdy nie poznała, oraz długo pozostająca we wdowieństwie Lily Emanuel Klein, którą uwielbiała. Dzieci i wnuki ciotek jej męża. A także sąsiedzi, sklepikarze, rzeźnicy, piekarze. Pracownicy fabryki barwników. Właściciele sklepów żelaznych. Strona za stroną, nazwisko za nazwiskiem. Przyczyna śmierci: cyklon. Przyczyna śmierci: cyklon.

Może ktoś posiada pamiętnik jeszcze bardziej wiekowy i pożółkły i również zawierający kolumny nazwisk, a obok nich wypisane: „Przyczyna śmierci: chlor. Przyczyna śmierci: chlor”. Gdyby Iris żyła, być może taki pamiętnik należałby do niej. Ale Karin, przynajmniej w młodości, nigdy nie przyszło do głowy, żeby protestować przeciwko użyciu gazu bojowego. Wręcz przeciwnie. Była dumna, że należy do rodziny Lenza Altera, bohatera wojennego. Kiedy została córką Lenza, nawet jeśli tylko poprzez zamążpójście, wynalezienie i wdrożenie *giftgasu* wciąż było uważane za triumf, za coś, czym należało się chełpić.

Karin i Richard oraz ich trzy córki, z których jedną była nasza matka, nigdy nie uważali wynalezienia gazu bojowego za czyn naganny, ponieważ Lenz zrobił to dla Niemiec – swojego kraju! swojej miłości! swojego życia! – oraz dlatego że trwała wojna i dlatego że był fetowany i stał się sławny, i został awansowany na

kapitana. A co takiego mówił, kiedy ludzie – nawet sami generałowie – wzdrygali się z przerażeniem na myśl o okrucieństwach tej broni? „Śmierć to śmierć”, mówił. Nasz pradziadek, Gertruda Stein wojny chemicznej.

Ale teraz, w maju 1945 roku, kiedy druga wojna światowa dobiega końca, Karin rozumie, jak się myliła. Teraz uznaje wynalezienie i rozpowszechnienie chloru nie tylko za zbrodnię, lecz także za pierwszy przejaw wzorca, który zniszczył jej świat. Richard nie przestał płakać, od kiedy dowiedział się o cyklonie. Całe życie nadużywał alkoholu, więc teraz też jest totalnie zalany, ale w najgorszy z możliwych sposobów: zachowuje się melodramatycznie, cechuje go emocjonalna niemrawość. Karin ma wrażenie, że jej mąż każdego dnia wynajduje kolejny artykuł, który według niego powinna przeczytać, kolejne odkrycie, kolejne nawiązanie do tych okropieństw, ale też ironiczne uwagi: trucizna została wymyślona przez Żyda.

To tyle, jeśli chodzi o przemądrzałych autorów wstępniaków.

Karin stoi przy kuchennym zlewie, tym samym, który pewnego dnia będzie zawierał resztki naszego ostatniego koktajlu, ubrana w hawajską suknię mumu. Jej kościste nogi są w stanie utrzymać wychudzone ciało w pozycji pionowej dopóty, dopóki opiera się o blat. Zmywa naczynia po kolacji, bo jeśli ona tego nie zrobi, to kto? Dwie starsze córki wyjechały na studia, najmłodszej najwyraźniej obojętny jest fakt, że matka choruje, a Richard siedzi w kącie jadalnym i płacze. Jej choroba postępuje, już nic nie może jej uratować, ale Karin wciąż chce, żeby dom był czysty. Postępuje ostrożnie z pokrytymi pianą talerzami, śliskimi szklankami. To dziwna część umierania: upuszczanie różnych rzeczy. Nie tylko kieliszków, ale też kluczy i czasopism, i kolczyków, które wciąż próbuje zakładać, lecz wyslizgują się z jej dłoni i spadają na podłogę. Zupełnie jakby jej palce postanowiły, że będą pierwszą częścią jej ciała, która wyrzeknie się dóbr doczesnych.

– Twoja matka powinna była go zabić, kiedy miała okazję! – woła do Richarda, przekrzykując szum leżącej z kranu wody. – Ty powinieneś był go zabić.

Richard siedzi nad otwartym „Timesem”. Odrywa wzrok od artykułu, który czytał jej na głos. Spogląda na sąsiednią reklamę wyprzedaży eleganckich piżam w Lord & Taylor’s. Ogłoszenie jest tu nawet dziś, kiedy chodzące szkielety odziane w pasiaste pidżamy są wyprowadzane z obozów śmierci. I dzięki Bogu za to, myśli sobie Richard. Dzięki Bogu za zdolność człowieka do wyobrażania sobie obu rodzajów piżam jednocześnie.

Mówi: – On był naukowcem, Karin. Robił to, co robią naukowcy. Oppenheimer. Oni wszyscy.

– Czy ja mówię o Oppenheimerze? – pyta Karin. – Ja mówię o twoim ojcu. O dziadku twoich córek. Mówię o nas, o tobie i o mnie. Powinniśmy zostać zapędzeni do szeregu i rozstrzelani za to, że go nie powstrzymaliśmy.

Richard odkłada gazetę, ukrywa twarz w dłoniach.

– On nie wiedział, do czego tego użyją. Po prostu próbował pomóc w ratowaniu plonów. Pomyśl o tym przez chwilę. Użyliby tego na nim, gdyby mieli okazję.

– I na nas – dodaje Karin. – I na tej małej dziewczynce. Dahlie, chodź tutaj. Tatusiu, spójrz na Dahlie. Widzisz tę buzię? – Karin ściska policzki córki palcami, jakby próbowała zrobić w nich dołeczki. – Użyliby tego na niej.

A kiedy nasza matka wyzwala się z uścisku mokrych gumowych rękawiczek i pyta, o czym mówią, a Karin zachęca: „No, dalej, tatusiu, powiedz jej”, a Richard zaczyna szlochać, wtedy Dahlie, która ma szesnaście lat, wzdycha: „Ach. O tym”. Karin od zawsze wiedziała, że Richard jest słabym człowiekiem, ale tego już za wiele. Dzień po dniu biadolenie! Zawodzenie! Karin zwierza się Dahlie. Płakał, kiedy musieli opuścić Niemcy, mówi. Płakał, kiedy musieli opuścić Paryż. Płakał przez pięć lat na Haiti – czy Dahlie pamięta tych pięć dusznych, wilgotnych lat na Haiti, te oparzenia słoneczne, zainfekowane ukąszenia owadów, straszliwych tubylców tak obcych, tak ciemnych? – i płakał znowu, kiedy jego tak zwany wuj Albert w końcu zdobył dla nich wizy do Nowego Jorku. Tym razem to były łyzy szczęścia, mimo to znowu łyzy, wiecznie łyzy.

Co więcej, Richard zaszlochał również w dniu, w którym lekarz powiedział Karin, że bardzo mu przykro, ale już nic więcej nie może dla niej zrobić, nadeszła pora, aby zaczęła porządkować swoje sprawy. Tamtego dnia zaszlochał tylko ten jeden raz i szybko stłumił łyzy, ale mazałyby się bez końca, gdyby nie zgromiła go wzrokiem.

Ona nie jest hipokrytką, informuje córkę. Nie chce łez dla nikogo, nawet dla siebie samej.

– Żadnego pogrzebu – oznajmia. – Powtórz siostrze, że tak powiedziałam. Żadnego pogrzebu, żadnej mszy żałobnej, niczego. Po prostu załatwcie to i żyjcie dalej.

– To ja pójde teraz załatwić moją pracę domową – mówi Dahlie.

– Moja dziewczynka! – chwali ją Karin.

Kończąc zmywanie naczyń, Karin obdarza Richarda takim samym spojrzeniem, jakim zmiażdżyła go w gabinecie lekarskim. Obdarza go nim teraz często, ale to już na niego nie działa. Richard nie potrafi się kontrolować. Szlocha i tak, a to doprowadza ją do szału. Czy jej reakcja na jego łyzy jest nieuprzejma? Cóż, a nawet jeśli, to co z tego? To ona cierpi. To ona jest wściekła. Nadeszła wiosna – ciepłe dni i bazy, i kwiaty dzikiej marchwi nad rzeką, a w parku zaczynają kwitnąć forsycje – a ona jest młodą kobietą, dopiero po czterdziestce, i właśnie umiera. Na dodatek, jak się okazuje, umieranie jest znacznie bardziej uciążliwym procesem, niż to sobie wyobrażała. Jak słabi starzy ludzie dają sobie z tym radę? Mówi serio, zapewnia córkę. Nie potrafi sobie wyobrazić przechodzenia przez coś takiego, kiedy człowiek jest stary i kruchy. To i tak już

wysysa z niej całą energię. Jest wycieńczające, brutalne. A Richard wciąż oczekuje od niej pocieszenia. Każdego wieczoru: pocieszenia i zrozumienia, i kolacji.

Zmywanie naczyń dziś wieczorem ją wyczerpało. Wyciera ręce o sukienkę, z trudem przeciska ślubną obrączkę z powrotem przez opuchnięty knykieć. Rusza do swojej sypialni, przytrzymując się ścian długiego korytarza. Przedpokój dzieli mieszkanie tak samo, jak mur dzieli teraz Berlin: na wschodzie znajdują się bardziej obskurne funkcjonalne pomieszczenia (kącik jadalny otwierający się na kuchnię, potem łazienka, potem główna sypialnia), a na zachodzie bardziej przyjemne, jaśniejsze pokoje, pokoje z oknami i rozległymi widokami (salon, potem nasze małe sypialnie, wszystkie w jednym rzędzie). Wracając do łóżka, Karin podnosi głos, żeby zarówno Dahlie w swoim pokoju, jak i Richard w kąciku jadalnym ją usłyszeli.

– Och, umieć po prostu wpakować sobie kulkę w serce i skończyć z tym wszystkim! – woła. – Och, umieć porzucić własne dzieci, myśleć tylko o sobie, o swoich problemach! Zmęczona życiem? Po prostu zrezygnuj z niego. Kogo obchodzi dziecko, które porzucisz? Och, być autentyczną Alterową, spokrewnioną krwią. Jak łatwe jest życie Alterów. Bo i dlaczego nie miałyby być łatwe? Dla Alterów życie znaczy to samo co śmierć. Bez różnicy. Puste. Śmierć to śmierć. Śmierć to życie. Życie to śmierć. Co za rodzina!

Dociera do łóżka i z trudem się na nim kładzie. Richard śpi teraz na kanapie w salonie. „Nie u dziewczynek – zaprotestowała, kiedy wygoniony z własnej sypialni chciał się przenieść do pokoju Rose. – To ich osobista przestrzeń, nawet kiedy nie ma ich w domu”. Zatem pokoje dziewcząt pozostają puste, a on śpi na kanapie. Pozwolił Karin zachować pościel i poduszki z podwójnego łóża, żeby mogła się w nich rzucać i jęczeć, i pomstować – ostatnie przyjemności oraz ostatnia broń, jaka jej pozostała. Karin podciąga kołdrę pod brodę, a potem narzuca ją na twarz. Kiedy przeszywa ją ból, gryzie materiał, robi w nim dziury. Gdy ból ustępuje, puszcza kołdrę. Odsuwa ją, żeby widzieć to, co ją otacza.

Czego nie powiedziała Richardowi? Co powierzyła wyłącznie swojemu ostatniemu dziennikowi? Że po tej ostatniej wizycie u lekarza porzuciła ateizm, który towarzyszył jej przez całe życie. Gdybyście zapytali ją o to nawet kilka miesięcy wcześniej, zapewniałaby was, że pozostanie niewierząca aż do samego końca, że w przeciwieństwie do wszystkich tych słabeuszy śmierć nie doprowadzi jej do sięgnięcia po oczywistą przytulankę, jaką jest religia. Ale potem przyszła noc, kiedy leżąc tak na swoim łóżu śmierci, zobaczyła, jak ściana jej sypialni unosi się niczym scenografia w teatrze, a tam zamiast łazienki są ludzie, których nazwiska wypisała w dzienniku – Przyczyna śmierci: cyklon. Przyczyna śmierci: cyklon – wszyscy stłoczeni jak posiadacze biletów przed jakimś galowym przedstawieniem.

Kiedy ją zobaczyli, stanęli twarzami do niej, zaczęli machać i ją przyzywać.

Gdy zdali sobie sprawę, że nie wstanie i nie przyjdzie do nich, naradzili się między sobą i kilku wybranych udało się do niej. Delegaci przysunęli krzesła, których nie rozpoznawała jako własnych, do skraju jej łóżka i wciągnęli ją w pogawędkę. Wspominali o tym, jak chadzali z nią do kina w Berlinie, albo o wspólnych posiłkach. Śmiali się z trudnego egzaminu na zajęciach z historii, na które uczęszczali wspólnie w szkole podstawowej, przypominając sobie pytania, na które nie znali odpowiedzi, i nabijając się z nich. „Ani razu w całym moim życiu – powiedziała jej najlepsza przyjaciółka z tamtych czasów – nie przydała mi się do niczego znajomość daty wojny krymskiej”. Wracali dzień po dniu, często przynosząc z sobą jedzenie, którego nie próbowała od lat: miękkie białe precle, smażone leśne grzyby, słodkie brązowe piwo, jakiego Ameryka nie widziała. Karin nie miała apetytu od tygodni, ale przy nich jadła i piła z lubością. Przy nich była głodna jak wilk, a kiedy odchodzili, czuła się objedzona.

Była gotowa rozważyć możliwość, że przyzywające ją postacie stłoczone w miejscu, gdzie normalnie powinny się znajdować wanna i toaleta, stanowią wytwór jej degenerującego się umysłu. Ale ludzie przy jej łożu... byli w sposób oczywisty realni. Jeśli do nich przemawiała, odpowiadali składowo. Jeśli ich dotknęła, czuła ich skórę równie ciepłą jak jej własna. Oni też jej dotykali. Ujmowali jej dłoń, ściskali, podnosili do ust i całowali. Kiedy trzęsły się jej ręce i nie mogła utrzymać łyżki, karmili ją, jakby była ich umiłowanym dzieckiem. Wygładzali jej koce. Kazali jej się pochylać do przodu i oklepywali poduszki, żeby były wygodniejsze. Kiedy próbowała wstać, żeby zanieść brudne naczynia do kuchni, żeby przetransportować tam puste tłuste talerze i kufle po piwie, każdy z odrobiną napoju chlupoczącego na samym dnie, nie pozwalali jej na to. Brali je od niej i zanosili za przepierzenie, gdzie musieli mieć własną kuchnię. Sprzątali po niej. Zatem to nie strach przed śmiercią sprawił, że uwierzyła w Boga i w niebo, lecz fakt, że nie jest uparta jak osioł, że nie może zaprzeczyć temu, co widzi na własne oczy. Kiedy Karin umiera w swoim łóżku mniej niż miesiąc po Dniu Zwycięstwa w obecności mazgającego się męża i najmłodszej córki o suchych oczach, Bóg również jej towarzyszy, jedyny z tego tłumu, kolejna ofiara wojny wiwatująca, wrzeszcząca z radości i wylewająca piwo na jej koc.

Wrzesień 1945

Trzy miesiące po śmierci Karin nasz dziadek Richard prosi naszą matkę, żeby nie przeszkadzała mu w drzemce. Dahlie nie jest zaskoczona, że ojciec chce być sam. To nie pierwszy raz, kiedy prosi ją właśnie o to. Ma problemy ze spaniem w nocy, informuje ją. Nie żeby musiał jej to wyjaśniać. Odgłosy jego kroków, przemierzających długi przedpokój, zakłócają jej sen. Czasami – często – słyszy, jak ojciec płacze. Fakt, że stał się taką płaksą, sprawia, że Dahlie się krzywi. Ona sama odwała kawał bohaterskiej roboty, żyjąc dalej pomimo odejścia matki.

Śmierć jej matki nastąpiła w czerwcu, we wtorek. Jej siostry dotarły do domu w czwartek. Pogrzeb, co do którego matka błagała, żeby go nie wyprawiały, odbył się w piątek. W poniedziałek siostry były już z powrotem w Chicago, a ona w szkole. A teraz rozpoczął się nowy rok szkolny, jej ostatni.

„Jesteś taka dzielna” – wciąż powtarzają nauczyciele, a ona przypuszcza, że pewnie tak jest, chociaż może nie w takim stopniu, jak wszyscy sądzą. Nie chodzi o to, że nie przejęła się utratą matki. Raczej o to, że śmierć nadchodziła tak wolno, tak bardzo się ościagała, że Dahlie zdążyła ją zaakceptować długo przed tym, zanim naprawdę się stała. Matka była chora przez lata. Finisz wydawał się rozczarowujący i – Dahlie nie chce tego mówić, ale to prawda – spóźniony. Chodzi jej o to, że bardziej życzliwy wszechświat zabrałby Karin wcześniej, a bardziej życzliwe społeczeństwo pozwoliłoby matce zdecydować, kiedy nastąpiła pora, żeby odejść. Nie żeby Karin zdradzała jakiegokolwiek oznaki pragnienia wcześniejszego odejścia. „Jestem fatalistką – zwykła mawiać o sobie. – Moja filozofia brzmi: pozwól działać naturze”.

Dahlie, jak się okazało, również jest fatalistką. Zgadza się z matką, niech natura postępuje w swoim rytmie. Poza tym: nie walczy z urzędnikami ratusza miejskiego. Czasami jednak Dahlie zastanawia się, czy przypadkiem nie jest po prostu okropną istotą ludzką niezdolną do troszczenia się o innych. Zawsze istnieje taka możliwość. A może ten brak emocji jest naturalny. Młodzieńcze serce nie potrafi cierpieć za długo. Powiedziała to sobie na pogrzebie. Potem, ku swemu zaskoczeniu, poczuła dławienie w gardle – to przez słowa „serce” i „cierpieć”, ich odniesienie do niej samej. Jej ojciec jednak cierpi, bo w przeciwieństwie do Dahlie żywił fałszywe nadzieje przez całą tę mękę. To dlatego jest taki zdruzgotany, to dlatego porzucił pracę w liceum, gdzie od dawna uczył niemieckiego i – szczególnie w trakcie wojny, kiedy nikt nie chciał się uczyć tego języka – francuskiego. Teraz, gdy również dla niego nastaje pierwszy dzień szkoły, Richard dzwoni do dyrekcji, szlochając. „Nie potrafię” – wyznaje. Dyrektor oznajmia, że rozumie. Dochodzą do jakiegoś porozumienia. Zwolnienie lekarskie, zaślepek chorobowy. „Dzięki Bogu za związki zawodowe” – mówi Richard.

To Dahlie nie rozumie, dlaczego ojciec nie jest w stanie pracować. Chciałaby móc wypchnąć go za drzwi, z powrotem do świata. Martwi się o niego oczywiście, ale przede wszystkim ojciec doprowadza ją do szału. Nie tylko tym, że odmawia zajęcia się czymś, odmawia dalszego życia. Ale też nieustannymi nawiązaniami do optymizmu, który stał się załącznikiem jego obecnego żalosego pesymizmu. Jakimś cudem, mimo że nikt nigdy nie wyszedł z choroby, na którą cierpiała Karin, Richard wierzył, że jej się to uda. Zupełnie jakby myślał, że fakt, iż potrzebuje obecności żony, wystarczy, aby utrzymać ją przy życiu. Jakby myślał, że jakaś opiekuńcza siła zadba jeśli nie o nią, to o niego. Pomimo wszystkich tych okropieństw, które przytrafiły mu się w trakcie jego nieszczęsnego życia, wciąż

uważał, że jest wystarczająco wyjątkowy, by zapewnić sobie tego rodzaju troskę i ochronę. To zdumiewa Dahlie, serio. Bo jeśli chcecie znać prawdę, nikt nie opiekował się jej ojcem, od kiedy ten miał dwanaście lat. Dahlie słyszała wystarczająco dużo rodzinnych historii, aby to wiedzieć. Ale jakimś cudem do niego dociera to dopiero teraz i jest zdruzgotany. Wygląda jak z gumy, niezdolny do podtrzymania własnego ciężaru.

– Wiem, że powinnam być dla niego miłsza – szepcze Dahlie do Rose przez telefon podczas zamiejscowej i kosztownej rozmowy – ale nie mogę znieść tego, że muszę go pocieszać przez cały czas, jakbym to ja była rodzicem. Muszę go poklepywać po dłoni jak dzień długi. Ciarki mnie od tego przechodzą.

Przebywanie z nim to męka, więc Dahlie z zadowoleniem przyjmuje te jego drzemki. Tamtego dnia na przykład, podczas gdy on śpi, ona wyciąga się na łóżku w sypialni dziś należącej do Delph, nie musząc odgrywać rodzica, będąc po prostu podlotkiem z najślabszym śladem niemieckiego akcentu, odrabiając pracę domową z matematyki.

Kiedy nieudany eksperyment z gazem wyrwał dziurę w ścianie laboratorium pod Berlinem, młody Richard Alter obawiał się, że to atak Francuzów. Kiedy Dahlie słyszy krzyki na zewnątrz, pierwsze, co przychodzi jej do głowy, to Japończycy. „Japończycy musieli przystąpić do jeszcze jednego, ostatecznego ataku na Amerykę – myśli. – Tym razem na Wschodnie Wybrzeże”. Wyobraża sobie, że to krzyczą sąsiedzi na wpół wywieszeni z okien, wskazujący w górę gorączkowo i z szeroko otwartymi ustami jak indyki w deszczu, bezradnie obserwujący legendarnych kamikadze z wrzaskiem spadających z nieba. Wyobraża sobie, że za chwilę samoloty uderzą w Broadway i eksplodują w płomieniach, a wraki będą miażdżyć autobusy i taksówki, i przechodniów, i lunchownie. Biegnie do okna po swojej zachodniej stronie i nic nie widzi, ale to nie oznacza, że samoloty nie mogą nadciągać z drugiej strony. Krzyki dochodziły z południa, tak jej się wydaje.

W mieszkaniu są tylko dwa okna od południa: jedno w pokoju, który do niedawna należał do Rose, a drugie w pokoju jej ojca, dokładnie po drugiej stronie korytarza. To do pokoju Rose wbiega Dahlie. Dociska twarz do szyby. Rzeczywiście, na chodniku poniżej kłębi się tłum, kobiety w pastelowych kolorach, z głębokimi wózkami dziecięcymi, wszyscy gorączkują się i wskazują w górę. Ale niebo jest puste.

Wydarzyło się coś strasznego. Dahlie nie ma wyboru, jak tylko przyjąć to do wiadomości. Mimo wszystko kiedy wpada do pokoju ojca, jeszcze nie podejrzewa, co się stało, więc przeżywa szok, gdy znajduje łóżko puste, a okno otwarte, z zasłonami falującymi w powiewach wonnego wiatru.

24 Nawiązanie do kultowej sceny z filmu *Sieć* Sydneya Lumeta z 1976 roku.

ROZDZIAŁ 9

Veronica Frankl i Eddie Glod pobrali się 17 maja 1974 roku, dzień po ukończeniu trzeciego roku studiów odpowiednio w Barnard i na Columbii. Nie powiedzieli nikomu ani słowa, po prostu pojechali metrem do ratusza ze swoimi dokumentami i pomyślnymi wynikami testów Wassermana²⁵ wetkniętymi do burooliwkowego plecaka Vee ozdobionego naprasowanymi pacyfkami.

Po ceremonii, jeśli można to tak nazwać, udali się do innego pomieszczenia w tym samym budynku i złożyli wniosek o legalną zmianę nazwisk na Alter. Właśnie w tej kolejności musieli to zrobić, poinformowała ich despotyczna urzędniczka przed zawarciem małżeństwa. Najpierw Vee musiała wziąć ślub i zmienić nazwisko na Glod. Potem Eddie musiał podpisać formularz udzielający jej pozwolenia na zmianę nazwiska z Glod na Alter. On z kolei mógł zmienić nazwisko, na jakie chciał, kiedy tylko przyszlaby mu na to ochota.

– Naprawdę? – zapytał Eddie. – Tak mówi prawo?

Gniew urzędniczki, małej chudej kobiety, był niemal widoczny, jakby emanował z bohaterki paska komiksowego w postaci krótkich falistych linii.

– Tak mówię ja – oznajmiła – i to ja mogę przypadkowo zgubić dokumenty w drodze do sędziego.

– O rany – zdziwił się Eddie. – Dlaczego chciałaby pani podtrzymywać tak patriarchalny system? Przecież jest pani kobietą. Po czyjej stronie pani jest?

– Poczytaj Biblię – powiedziała. – „Bo mąż jest głową żony, jak i Chrystus – Głową Kościoła”²⁶.

Szminka jej zeszła, została tylko obwódka z kredki do ust. Vee widziała kubek z kawą na jej biurku z pocałunkiem na krawędzi czerwonym jak wóz strażacki.

– Jeśli chcesz żyć w matriarchacie, dołącz do plemienia Amazonek – poradziła urzędniczka Eddiemu.

Zatkało ich. Nie mogli się pogodzić z faktem, że dorosła osoba – wciąż myśleli o sobie jak o dzieciach – profesjonalistka, przedstawicielka rządu, na litość boską, powiedziała do nich coś takiego. Byli też zaskoczeni, że ta kobieta, którą od razu spisali na straty jako pozbawioną ogłady ignorantkę, znała słowo „matriarchat”.

– Chyba nie powinienem był nic mówić – westchnął Eddie, kiedy zdążali do miejskiego odpowiednika ołtarza.

– Może nie powinniśmy wszczynać rewolucji już dziś – zgodziła się Vee.

– Może powinienem przeprosić – zadumał się Eddie.

Ale nie przeprosił, czego żałował rok później, kiedy siedzieli we dwoje

w gabinecie onkologa po pierwszej diagnozie Vee.

– Pamiętasz tamtą urzędniczkę? – zapytał Eddie. – Tamtą *farbissenah* z ratusza? To, co powiedziała o Amazonkach? Myślisz, że mogła rzucić zły urok na twoją pierś?

Vee powiedziała, że nie. Powiedziała, że chociaż urzędniczka dzierżyła władzę nad dokumentami dostarczanymi sędziemu, prawdopodobnie nie miała takich wpływów w kwestii przydzielania raka. Mimo wszystko wielokrotnie musiała sobie przypominać, że nie wierzy w złe uroki i klątwy, tylko w pozbawione znaczenia zbiegi okoliczności i szczęśliwe trafy, te najbardziej tajemnicze ze wszystkich sił. Co nie znaczy, że słowa urzędniczki jej nie dopiekły. Ta kobieta zepsuła im dzień ślubu. Po tym, jak zostali mężem i żoną, i Glodami, musieli do niej wrócić, żeby dokończyć wypełnianie wniosków o zmianę nazwisk, a ona przywitała ich najbardziej antysemitycznym „*mazel tow*”, jakie w życiu słyszeli. Kiedy dotarli do następnego przystanku, małej sali sądowej kilka pomieszczeń dalej, byli już przygnębieni i nieufni. Poczuli ulgę, gdy opadające powieki sędziego nie okazały się oznaką wrogości, lecz nudy. Vee wyjaśniła, że nie chce już dłużej nosić nazwiska rodzica, który ją opuścił. Eddie wyjaśnił, że ma na nazwisko Glod. Oba powody wydały się sensowne sędziemu, który nagryzmolił własne nazwisko na jakimś świstku i posłał ich do kasjera, gdzie wybulili trochę kasy i było po wszystkim. W końcu byli Vee i Eddie Alterami, chociaż żadna z nas nigdy nie nazwała tak Eddiego. Żadna z nas, włącznie z Vee, nigdy nie pomyślała o nim w ten sposób. Dla nas na zawsze pozostał Eddie Glodem, a Lady i Delph często nie pomijały nazwiska, jakby nazywał się Billy Joe albo Bobby Lee.

Po załatwieniu formalności Vee i Eddie z całym wachlarzem dokumentów opuścili centrum miasta i udali się do hiszpańskiego domu towarowego, który kiedyś stał na Broadwayu blisko Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy, gdzie zakupili wielki tani materac. Dopiero wtedy wrócili do mieszkania, żeby przekazać nowiny naszej matce i Delph: małżeństwo, zmiana nazwiska oraz plan wystawienia niemal wszystkich mebli z sypialni Vee na ulicę – bo jak inaczej zmieszczą ten materac w jej małym pokoju? Meble należały kiedyś do naszej ciotki Violet, tej od uduszenia plastikowym pokrowcem z pralni chemicznej, ale Vee traktowała je jak własne. Nie darzyła sentymentem wymyślnego sekretarzyka i rozchwierutanej komody bez kilku gałek, a jeśli nasza matka darzyła, Vee nie pozwoliła jej się wypowiedzieć w tej kwestii.

– Przywiązanie, mamó – ucieła. – Materializm. Musisz odpuścić.

Nasza matka była w domu tamtego dnia. Przechodziła właśnie okres przygnębienia, zaczęła opuszczać dni pracy, dzwoniła, informując, że jest chora, i zostawała w domu, żeby pić i palić w łóżku: zmieniała się w ojca, którym kiedyś tak gardziła. Zaczęła też gubić różne rzeczy. Któregoś dnia Vee wyłowiła pomiędzy poduszek na sofie poplamiony colą ząb przedtrzonowy. Włożyła go do

torebeczki i pokazała Lady przy kawie w węgierskiej cukierni, która, nawiasem mówiąc, była jedynym powodem, dla którego ktokolwiek zaglądał na Amsterdam Avenue w latach siedemdziesiątych.

– Powinniśmy kogoś wezwać – uznała Vee.

– I co powiedzieć? – zapytała Lady.

Vee dobrze rozumiała, co Lady ma na myśli.

Nasza matka wyłoniła się ze swojej sypialni, kiedy Vee i Eddie wrócili do domu. Narzuciła na ramiona łośosiuwy szlafrok i ściągnęła czarny druciany wałek z grzywki, która teraz spoczywała na jej czole jak tuba. Zmiana nazwiska ją wzruszyła, małżeństwo ucieszyło, wyrzucenie mebli dotknęło. Ale przede wszystkim poczuła się głęboko zraniona kwestią ślubu.

– Ja rozumiem, że nie zaprosiłaś mnie – biadoliła. – Czy ty kiedykolwiek o mnie myślisz? Ale twoje siostry? Nie zaprosiłaś nawet swoich sióstr?

– Wielki mi cymes! – zawołała Vee.

– Nie używaj takiego języka – skarciła ją matka. – Nie jesteśmy polskimi chłopami. – Przypomniała sobie o Eddiem. – Bez obrazy – rzuciła pod jego adresem.

– Nie ma sprawy – zapewnił ją. – Zresztą nie jestem polskim chłopem. Pochodzę z Verony w New Jersey. – Uśmiechnęła się, jakby niektóre rzeczy na tym świecie były zbyt skomplikowane, żeby je wyjaśniać, po czym zwróciła się do Vee:

– A więc dlaczego nie wzięłaś sióstr na świadków? – zapytała z niemieckim akcentem, który powracał za każdym razem, gdy była bardzo zdenerwowana albo pijana, albo po prostu chciała nam przypomnieć, jak ciężkie było jej życie.

– To nic wielkiego – wyjaśniła Vee. – Po prostu mieliśmy ochotę to zrobić.

Świadkowała im para Italoamerykanów, którzy brali ślub tuż po nich. Vee martwiła się później o nich podczas całej tej afery z Synem Sama28, tak idealnie pasowali do profilu ofiar seryjnego mordercy.

Pragnienie Vee, aby pozostać wolną od rodziny, ograniczyło się do momentu ślubu. Nie było bowiem wątpliwości, że razem z Eddiem zamieszka w naszym mieszkaniu, w swojej sypialni. Nie było też dyskusji o dokładaniu się do czynszu czy płaceniu za wikt.

– Nie mają grosza przy duszy – tłumaczyła nasza matka Delph, jakby Delph w jakiś sposób protestowała.

Matka zaproponowała nawet, że zamieni się z nimi na pokoje.

– Na co mnie samej taka wielka sypialnia? – stwierdziła i znowu poczuła się urażona, kiedy Vee zaśmiała się jej w twarz.

– Chyba żartujesz. Naprawdę myślisz, że chciałabym począć dziecko w pokoju zmarłych i umierających?

– Wy wszystkie zostałyście poczęte w tamtym pokoju – oburzyła się matka.

– Tak. I spójrz na nas.

– O co ci chodzi? Wszystkie byłybyście idealne, gdyby tylko Delph wreszcie odgarnęła te włosy z twarzy.

– Wszystkie j e s t e ś c i e idealne – poprawił ją Eddie. Matka zerknęła na niego spod zwiniętej w tubę grzywki.

– Nawet ja? – zapytała.

– Dahlie – powiedział Eddie, jak zwykle źle wymawiając jej imię. Wołała niemiecką wymowę, ale Amerykanie zawsze nazywali ją Dahlia albo Dolly. Eddieму Głodowi jednak to wybaczała. Wybaczała mu też jego polskie korzenie, które, czego nie rozumiał, czyniły go gorszym, i wybaczała mu jego wycieczki do jidysz. Wybaczała mu, bo mówił rzeczy tego typu: – Dolly, jesteś doskonałością, z której wzięła się sama doskonałość – żartobliwie, ale nie do końca.

„Dziecko, którego nigdy nie miała”, mawialiśmy o uczuciach, jakie wobec niego żywiła. W trakcie tego roku z kawałkiem, kiedy mieszkali pod jednym dachem, flirtowała z nim. „Jesteś moim ulubionym zięciem” – mówiła, a on pytał: „Naprawdę? Serio lubisz mnie bardziej niż Joego Hoppera? To tak jakbyś stwierdziła, że lubisz Loeba bardziej od Leopolda²⁹”. A my się śmiałyśmy, nawet nasza matka. Ale nasze mieszkanie było miejscem, gdzie radość szybko zamierała. Wkrótce po tym, jak Vee i Eddie wynieśli meble z sypialni na chodnik, z hiszpańskiego domu towarowego przybyło dwóch nastolatków palących jednego papierosa za drugim, żeby zaciągnąć tani materac do pokoju Vee. Nasza matka znowu się zdenerwowała.

– Będziecie spać na podłodze jak włóczędzy? – zapytała.

– Rama łóżka i stelaż sprężynowy pod materac to obłąkańczy wymysł kapitalizmu – oznajmiła Vee – podobnie jak odchwaszczone trawniki oraz irygacja octem jabłkowym.

– Ale to zasłania dywan.

Dywan był beżowy i wytarty.

– Dolly – powiedział Eddie. – Przecież to dywan w stylu japońskim.

– Czy kiedykolwiek opowiadałam ci, jak Japończycy zabili mojego wujka?

– Pradziadka wujecznego – poprawiła ją Vee. – A więc będzie z tego dodatkowa korzyść.

Eddie się uśmiechnął, ale nikt poza nim.

– To żart – wyjaśniła Vee.

Ale były takie chwile, kiedy Eddie nie potrafił przekonać nawet naszej matki. To była jedna z nich. Matka pokręciła głową i wróciła do pokoju zmarłych i umierających. Trudno powiedzieć, czy miała zamiar trzasnąć drzwiami, czy też same huknęły od podmuchu wiosennego wiatru wpadającego przez otwarte okno w jej sypialni. W tamtym czasie zaprawiała się mię-towym sznapsem. Trzymała butelki w szafie, a brudne lepkie szklanki – na stoliku nocnym. Czasami wytaczała

się ze swojego pokoju, mamrocząc, ale oddech zawsze miała świeży.

– Chciałabym tylko, żeby zamykała to okno – powiedziała Delph. – Myślę, że powinniśmy je zabić gwoździami.

– Wyprowadzimy się stąd, gdy tylko będzie to możliwe – zapewniła Vee Eddiego.

Ale Eddie powiedział: – Dobrze mi tutaj, Veezie. Martwiłbym się o nią jeszcze bardziej, gdybyśmy się wyprowadzili. No i naprawdę kocham naszą malutką Delph.

Pod peleryną włosów zasłaniających większość twarzy Delph zaczerwieniła się i uśmiechnęła szeroko. To był szczęśliwy moment. Ale wtedy...

...Vee przestała pisać. Przez tyle miesięcy, podczas gdy pracowałyśmy nad projektem, okazywała największą niechęć – nie wobec pisania samego w sobie, lecz wobec pisania na jej temat.

– Nie możemy po prostu pominąć mojej osoby? – pytała.

– Musisz opowiedzieć swoją historię – upierała się Delph. – Tak to się robi.

Vee krzywi się.

– A kim ty niby jesteś? – pyta. – Emily Post listów samobójczych?

Nawet dziś wieczorem, kiedy zaczęłyśmy pisać o małżeństwie Vee z Eddie, Vee westchnęła z ogromnym znużeniem.

– W porządku – powiedziała. – Dobra. Po prostu przeróbmy to szybko.

Ale teraz przerwała.

– Co się stało? – pyta Lady. – Nie czujesz się dobrze?

Nie, mówi Vee. Nie chodzi o jej zdrowie. Chodzi o to, co napisałyśmy. Chodzi o ostatnią rzecz, jaką napisałyśmy, o frazę „Ale odkąd”.

– Ale wtedy – powtarza za nią Lady.

– Wiem. To absurdalne – mówi Vee o słowie „wtedy”. Ale nigdy wcześniej tak naprawdę o nim nie myślała, zwierza się. A teraz pomyślała. W t e d y. To słowo przykuło jej uwagę.

Lady i Delph przyglądają się Vee z siostrzaną mieszaniną współczucia i lekceważenia.

– Wcale nie znalazłaś się nagle pod wrażeniem słowa „wtedy” – mówi Lady.

– Po prostu chcesz uniknąć pisania o tym, o czym miałyśmy zamiar napisać.

– Nie – zapewnia Vee. – Naprawdę, mówię serio. Pomyślcie o tym.

– O czym?

– Pomyślcie o „wtedy”.

– Ja chcę myśleć o „wtedy” – zauważa Lady. – Chcę pisać o „wtedy”. To ty nie chcesz o tym myśleć.

– Ależ nie chodzi mi wcale o to, żebyście myślały o **tamtym** czasach. Mam

na myśli słowo „wtedy”.

– Wiem, o co ci chodzi – poddaje się Lady.

– Która zaczniesz? – pyta Delph.

– „Wtedy” – mówi Vee. – Jak się nad tym zastanowić – przekonuje – to pięcioliterowe słowo, ten zwyczajny zaimek przysłowny jest dość zdumiewający.

– Nie mogę uwierzyć, że nigdy wcześniej o tym nie myślałam – stwierdza.

– Koniec z ginem dla ciebie – decyduje Lady.

Vee jest pijana, to prawda, ale to tak jak my wszystkie. Po prostu ona jest akurat wyjątkowo ożywiona i egzaltowana. **Wtedy!** To niezwykle, czarujące słówko. Zobaczcie, jak ten zaimek przysłowny podróżuje w dwóch kierunkach jednocześnie! Zobaczcie, jak się obraca, obejmując zarówno przeszłość, jak i przyszłość!

Przeszłość: Nie zauważyłam cię **wtedy**.

W tym przykładzie „wtedy” oznacza „dawno temu” i „kilka sekund, zanim jednak cię zauważyłam”, oznacza tamten jesienny semestr na studiach, te zajęcia z angielskiego na Columbii, gdy profesor, po raz pierwszy zmuszony do wpuszczenia na zajęcia kobiet z Barnard, odmawia wzywania ich do odpowiedzi, umacniając tym samym swoją męską hegemonię czy też, jak to wtedy ujęłyśmy, swoją męską szowinistyczną świńskość. A ten chłopak po drugiej stronie sali, ten zabawnie wyglądający chłopak z długimi włosami i dużymi uszami unosi dłoń rzekomo po to, aby skomentować użycie peryfraz w *Beowulfie*, ale zamiast tego – zasadzka! – mówi: „Profesorze, właśnie udzielił mi pan głosu, gdy tylko uniosłem rękę. Ale nie udziela go pan tej kobiecie tam, która zgłasza się przez połowę zajęć. Dlaczego?”.

Przyszłość: A **wtedy** się w tobie zakochałam.

Tutaj „wtedy” oznacza następstwo, zdarzenie, które z definicji zaczęło się w przeszłości, obejmuje teraźniejszość i implikuje przyszłość, jak w zdaniu: „A wtedy profesor dał upust swojej wściekłości i wrzasnął jednym tchem: »Będę, cholera, udzielał głosu, komu, do diaska, jeśli i kiedy będę miał ochotę!«”, a **wtedy** chłopak zaczął zbierać swoje książki, mając zamiar wyjść, a dziewczyna, która unosiła dłoń, poczuła się zobligowana, by również zebrać swoje książki. Ścieżką dźwiękową do tego wszystkiego będzie „*Revolution has come! Time to pick up a gun!*” jak skandowane przez regularnych protestantów przed Schermerhornem. A **wtedy** dziewczyna ruszy za chłopakiem przez korytarz, gdzie powie – zażenowana, jękając się i kompromitując drugą falę feminizmu czy też, jak ją w tamtym czasie nazywałyśmy, ruch wyzwolenia kobiet – „Dzięki... chyba”. A **wtedy** chłopak oznajmi głosem, który odbije się echem w pustym korytarzu: „Niechże ten syn suki zaśnie snem żelaznym”, samemu posługując się małą peryfrazą, po czym udadzą się wspólnie do swoich dziekanatów, najpierw do jego, na Columbii, potem do jej, na Barnard, i rzucają zajęcia z angielskiego, i zapiszą się

na kurs dla początkujących z religii przedchrześcijańskiej, na którym dowiedzą się, że Egipcjanie oddawali cześć skarabeuszowi, bo składał jaja w swoim gównie.

– Z gówna! – wykrzyknie profesor. – Z gówna powstało życie! A **wtedy...**

Dwie frazy warte odnotowania: „a wtedy” oraz „ale wtedy”.

„A wtedy”, uznała Vee, ma wydźwięk pozytywny. Implikuje coś, co jest powodem do radości: a wtedy dziewczyna wróciła do akademika chłopaka, a wtedy straciła dziewictwo z chłopakiem na górnej części chyboczącego się piętrowego łóżka, podczas gdy pierwsza strona płyty *Surrealistic Pillow*³⁰ odtwarzała się w kółko, dopóki koleś z sąsiedniego pokoju nie wrzasnął: „Łapię, Głod, masz, kurwa, kogoś do kochania”. A wtedy chłopak i dziewczyna zaczerwienili się i spojrzeli sobie w oczy, i ich twarze wykrzywił ten sam gargulcowy grymas zażenowania i przerażenia, a wtedy zaczęli się śmiać tak mocno, że w końcu się popłakali, a ich twarze zrobiły się czerwone, a wtedy chłopak, kiedy już odzyskał głos, podparł się na łokciu i spojrział na czerwoną i pokrytą plamami twarz dziewczyny, a wtedy powiedział: „O rany, zawsze myślałem, że zakochiwanie się trwa dłużej”.

Natomiast „ale wtedy” daje zupełnie przeciwny efekt. Jest zdradzieckim zakrętem o sto osiemdziesiąt stopni. Przeraża cię, i powinno. Nie możesz go ominąć, nie możesz go unikać. Nie możesz się zatrzymać albo zawrócić, albo zjechać na inną trasę. Możesz tylko wstrzymać oddech, przygotować się, nadepnąć pedał gazu i popędzić przed siebie, mimo że podejrzewasz – nie, ty wiesz – że za rogiem nie czeka cię nic dobrego. Ale nie masz wyboru. Musisz mknąć przed siebie. Takie jest życie. Einstein powiedział, że czas nie porusza się jak strzała wystrzelona z łuku, ale jak to może być prawda? To życie, które postrzegamy jako mające znaczenie, biegnie właśnie w taki sposób: niepowstrzymanie do przodu, tylko w jednym kierunku, zabierając cię z sobą. Masz dwadzieścia dwa lata i chcesz żyć beztrudnie, ale wtedy twój mąż znajduje guzek w twojej prawej piersi. Przechodzisz leczenie i pokonujesz chorobę, ale wtedy twoja matka skacze do rzeki Hudson.

Na szczęście przy Eddiem Głodzie na każde „ale wtedy” przypadało jakieś „a wtedy”. A wtedy on robi ci miskę owsianki. A wtedy on trzyma cię w ramionach. A wtedy on jest gotów znieść twoją młodszą siostrę, twoje kiepskie żarty, twoją starszą siostrę, twoje straszne humory. A wtedy on mówi: „No i jak myślisz? Jesteśmy gotowi?”.

A wtedy ty mówisz, że tak, myślisz, że jesteście, tak. A kiedy próbujecie i próbujecie, ale nic się nie dzieje, nie poddajecie się ponurym myślom i srebrnemu poziomemu światłu, które wciąż cię atakuje, bo ostatecznie przecież oboje jesteście młodzi i teraz już oboje zdrowi, a zatem czyż nie macie czasu pod dostatkiem? I wydaje się, że tak jest, więc żyjecie dalej, jak gdyby nigdy więcej nie miało się wam przydarzyć nic złego, ale wtedy...

Ale wtedy...

Gdyby w sierpniu 1977 roku Eddie Glod nie poszedł zjeść kanapki, w Nowym Jorku w tamtym roku doszłoby tylko do tysiąc dziewięciuset osiemnastu morderstw. Ale poszedł, więc doszło do tysiąc dziewięciuset dziewiętnastu. Szaleniec wtargnął do starego dobrego Chock full o’Nuts przy Sto Czternastej Ulicy i położył trupem wszystkich jedzących lunch.

W przypiływie żydowskości nie demonstrowanej nigdy wcześniej ani później Vee postanowiła odbyć po nim sziwę, a przynajmniej coś na kształt sziwy. Powiedziała, że robi to dla jego rodziców, ale wszyscy widzieli, że ci wiekowi socjaliści byli tym raczej speszeni niż pocieszeni. „To byli mili ludzie”, powtarzała zawsze Vee i świadoma tego, jak ogromny ból odczuwają, próbowała im wybaczyć, że zagadują żałobników Eddiego i zrzucają winę za jego śmierć na nią. „Ona pochodzi z rodziny pijaków i samobójców”, mówili. Z rodziny, która od pokoleń roztacza wokół siebie straszliwe i przedwczesne śmierci. „Jeśli nie zabijają siebie – szeptali rodzice Eddiego do gości Vee, a kilku z nich uznało za konieczne, aby później szeptem powtórzyć to jej – to zabijają resztę z nas. Kiedyś musieli siedzieć w laboratorium i robić trucizny. Teraz sami są trucizną”.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłam – mówi teraz Vee o sziwie. – Może nie chciałam kontynuować tradycji Alterów. A może po prostu miałam ochotę polamentować i porozdzierać szaty w pseudopublicznym stylu.

Sziwa odbyła się w naszym mieszkaniu. Nie było rabina, nie było kadiszu. Nie było nawet półmiska z wędlinami. Był tylko niedorobiony rytuał zaczerpnięty z książki wypożyczonej z biblioteki, której tytułu natychmiast zapomnieliśmy, ale o której od tamtej pory mówiłyśmy „Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o byciu Żydem, ale baliście się zapytać”. Lustra zakryte ręcznikami kąpielowymi, Vee wałęsająca się bez kapci, w samych skarpetkach, podarta czarna wstążka przypięta do rękawa jej szarego T-shirtu z Barnard. Żałobnicy, którzy byli spokrewnieni z Eddiem, przybyli z pudełkami z cukierni zawierającymi czarno-białe ciasteczka w szachownicę i stłoczyli się w kąciku jadalnym razem z Glodami. Żałobnicy, którzy byli przyjaciółmi Eddiego i Vee, przynieśli zielone gąsiory taniego wina i marihuanę. Vee siedziała na postawionej do góry nogami drewnianej skrzynce po napojach, którą Lady przyniosła z piwnicy – później musiała wyciągnąć z tuzin malutkich zadr z siedzenia dżinsów – a jej przyjaciele kucali przed nią i recytowali listę wszystkich bolesnych doświadczeń, przez jakie musiała przejść aż do tamtego momentu, jakby obawiali się, że bez ich wsparcia zapomni o jednym czy dwóch. „Chryste, Vee – mówili. – Myśleliśmy, że to już wystarczające świństwo, że twój ojciec cię zostawił, kiedy byłaś dzieckiem, ale wtedy dostałaś raka, co jest tak absurdatne, że pomyśleliśmy, że już nic gorszego nie mogłoby ci się chyba

przydarzyć, ale wtedy twoja mama kończy ze sobą, więc myślimy sobie: »W porządku, nieszczęścia chodzą trójkami, jest bezpieczna, teraz będzie już z górki«, ale wtedy przytrafia się to gównu”.

Rak, matka i Eddie. Przyjaciele widzieli, jak Vee zмага się z trzema „ale wtedy” z rzędu. Byli tylko dzieciakami, tuż po dwudziestce. Nie mogli znieść tych wszystkich „ale wtedy”, a ona nie mogła znieść swoich przyjaciół, których życia były seriami mających się zacząć „a wtedy”: zawiadomienia o ślubach, zawiadomienia o narodzinach... Nie potrafiła cieszyć się ich szczęściem. Po kilku latach nie będzie już utrzymywać kontaktu z żadnym z nich. Ale podczas szczyty wszyscy się starali, a Vee na swój sposób była im za to wdzięczna, nawet kiedy sprawiali, że wzdragała się i gotowała ze złości.

Jezu, kurwa, Chryste – mówili jej przyjaciele – to jakaś pieprzona Szekspirowska tragedia.

Jezu, kurwa, Chryste – warknęła Vee po tym, jak już sobie poszli, a my trzy przekazywałyśmy sobie ceremonialnego skręta z marihuaną. Rekapitulacja jej dopustów bożych w wykonaniu przyjaciół, wiadra cikliwego współczucia – już samo to było wystarczająco złe. Czy musieli jeszcze do tego błędnie używać terminu „tragedia”?

– Ci ludzie byli razem z Eddiem w grupie na Columbii i nie mają pojęcia, czym jest pieprzona Szekspirowska tragedia? – piekliła się. – Gdyby to rzeczywiście była pieprzona Szekspirowska tragedia, czyniłoby to z Eddiego pieprzonego bohatera tragicznego. Czyli w jakiś sposób sprowadził na siebie tę zgubę. W jaki? Przez słabość do kanapek z Chock full o’Nuts z serkiem śmietankowym na pieprzonym chlebie daktylowo-orzechowym?

– Może to ciebie uważają za pieprzoną bohaterkę tragiczną – zasugerowała delikatnie Lady, ale Vee parsknęła:

– Och, błagam. Przecież ewidentnie widać, że jestem żywcem wyjęta z pieprzonej francuskiej farsy.

– Z teatru pieprzonego absurdu – wystąpiła z kontrpropozycją Delph i żadna z nas nie zaprotestowała.

Przez jakiś czas Vee uczestniczyła w spotkaniach społeczności działającej na rzecz ograniczenia prawa do posiadania broni, ale kiedy została zdiagnozowana po raz drugi, zrezygnowała. Wraz z lekarzem podjęła decyzję o mastektomii bilateralnej i ostrej chemioterapii. (Mówiła o operacji, jakby zamawiała podwójną kawę, ale jak zwykle nikt się z tego nie śmiał). Szukała wymówki, żeby odejść z organizacji, a teraz nikt już nie mógł zaoponować, słysząc: „Przepraszam, ale najwyraźniej zachorowałam na raka... Znowu”. Fakt, po operacji i chemioterapii trudno by jej było maszerować po ulicach z masami protestujących. Ale było jej głupio z tego powodu i czuła się jak egoistka, choć wiedziała, że jest usprawiedliwiona. Chemioterapia zniszczyła jej układ odpornościowy,

przebywanie w tłumie stało się więc dla niej niebezpieczne. Ale rozumiała też, że nie miała cierpliwości do aktywizmu, nawet gdy była zdrowa. Nie potrafiła tolerować niekończących się politycznych porażek, nie była w stanie wciąż na nowo się nakręcać. Nienawidziła daremności całego ruchu, członków organizacji pozbawionych poczucia humoru, oponentów plujących jadem. Ponieważ jej nazwisko pojawiło się w gazecie – wdowa aktywistka, rozwścieczona, pozostała przy życiu małżonka – wciąż napływały do niej listy szczegółowo opisujące, co ich otrzaskani z ortografią autorzy zamierzają jej zrobić swoimi pistoletami zamiast „hujami”. Niewiele mówiło wprost o zastrzeleniu jej, chociaż niektóre owszem. Ale w większości były to tylko amatorskie próby pornograficzne. „Serio? – mówiła o swojej ulubionej groźbie. – Jak można pisać to słowo przez h?”.

Próbowała przelać swoje doświadczenia na papier. To było jej pierwsze podejście do prowadzenia dzienników. Chciała wyjaśnić, co utrata tej konkretnej osoby oznaczała nie tylko dla niej, ale i dla świata, pustkę, jaką po sobie pozostawiła, zaprzepaszczoną dobroć. Ale nie potrafiła znaleźć słów. Wszystko, co pisała, brzmiało rzewnie. Wstydziała się tej porażki. Najwyraźniej inni owdowiali małżonkowie umieli znaleźć te słowa. Słyszała, jak używają ich na spotkaniach grupy wsparcia dla ocalałych z Chock full o’Nuts, na które uczęszczała jeszcze przez jakiś czas. Wstawali i wygłaszali improwizowane, nawet jeśli nie bohaterskie kuplety, to przynajmniej pełne rozdzierające serce zdania: „Był błyskotliwym, współczującym lekarzem”, „Pracowała z upośledzoną młodzieżą”, „Spodziewalibyście się, że prawie dwuletnie dziecko nie będzie pamiętać, ale ona po prostu staje w swoim kojcu i woła: »Gdzie poszła mamusia?! Gdzie poszła mamusia?!«”.

Vee widziała, jak znajdują odpowiednie słowa w wieczornych wiadomościach. Na Kanale Siódmym wdowiec po sekretarce, która akurat wyszła na lunch, trzymał ich dziecko w ramionach. To było owo wyżej wymienione prawie dwuletnie dziecko o zdumiewającej pamięci. Wdowiec pokazał dziewczynce oprawione w ramkę zdjęcie zmarłej matki. W tle puszczono piosenkę *What Becomes of the Broken-Hearted*. Mała chwyciła zdjęcie i ucałowała je. Następnie na ekranie pojawiły się zbliżenia na olejne obrazy. Muzyka przycichła, a wdowiec opowiadał:

– Była sekretarką, tak, za dnia, ale w rzeczywistości była artystką... właśnie zaczęły się nią interesować galerie... wracała do domu, a ja oddawałem jej dziecko i szedłem do pracy, podczas gdy ona próbowała znaleźć chwilę na malowanie... to wszystko było takie... idealne.

– To wcale nie brzmi idealnie – poinformowała Vee ekran telewizora. – Brzmi to tak, jakbyście praktycznie nigdy nie przebywali w tym samym pomieszczeniu jednocześnie. Kiedy wy w ogóle mieliście czas na seks?

Przed strzelaniną, zwierzył się wdowiec reporterce Kanalu Siódmego,

pracował wieczorami na Columbiu przy projekcie dotyczącym akwizycji języka przez zwierzęta. Oczywiście Vee już to słyszała. Wdowiec wspominał o tym na spotkaniach. Właściwie to gęba mu się na ten temat nie zamykała. Ale Vee nigdy nie widziała, żeby opowiadał o tym z taką ckliwością. Zarówno reporterka, jak i on mieli łzy w oczach.

– Uwielbiałem tę pracę – wyznał wdowiec, podczas gdy w tle dalej śpiewał Jimmy Ruffin – ale musiałem zrezygnować. Musiałem zająć się dzieckiem.

Pokazano materiał nakręcony na terenie rezydencji w Riverdale, gdzie mieszkał słynny Nim Chimpsky. Wdowiec i szympan Nim odchodzili w dal, obaj w dżinsach z podwiniętymi nogawkami, intensywnie porozumiewający się z sobą za pomocą języka migowego.

Z telewizji zadzwonili również do Vee. Stażystka wypytywała ją o Eddiego. Vee miała świadomość, że odpowiada niezbyt składnie. Podziękowali jej, powiedzieli, że bardzo im pomogła, ale dopiero teraz dotarło do Vee, że to nie był wywiad, lecz casting, i inny zdruzgotany małżonek – lepszy od niej w rozpaczaniu wdowiec – dostał tę rolę. Vee potrafiła zrozumieć, dlaczego tak się stało. Eddie i ona nie byli nawet w przybliżeniu tak atrakcyjni, jak on i sekretarka. Eddie nie był artystą. Ona i Eddie nie mieli dziecka, a już tym bardziej dziecka plus małpy w dżinsach. „Wspierał mnie, kiedy przechodziłam przez raka”. Żałowała, że nie przyszło jej to do głowy, gdy rozmawiała ze stażystką. Z pewnością skwapliwie by z tego skorzystali. Z pewnością choroba nowotworowa młodej wdowy zwyciężyłaby z migającą małpą człekokształtną młodego wdowca.

Obserwowanie, jak wdowiec posługuje się językiem migowym, jak komunikuje się z szympansem bez wydawania żadnych dźwięków, przypomniało Vee o bipaniu. Był to nawyk czy raczej tik, którego dostała Delph mniej więcej w ósmej klasie. Po kilku latach przestała to robić, tak po prostu. Ale zanim do tego doszło, każdego dnia wracała ze szkoły rozjuszona, wpadała do mieszkania, ciskała książki i torbę na krzesło przy drzwiach, po czym zaczynała energicznym krokiem przemierzać korytarz tam i z powrotem z dłońmi zaciśniętymi w pięści, cały czas skandując: „Bip! Bip! Bip! Bip!” – jakby była robotem po zbyt dużej dawce kofeiny. To bipanie stało się tak rutynowe, tak normalne, że Lady i Vee po prostu kontynuowały to, co akurat robiły, jakby Delph jeszcze nie wróciła do domu. Nigdy się z nią nie witały, ledwie na nią zerkały, dopóki nie skończyła. Jeśli nasza matka (albo zazwyczaj Lady) wytknęła głowę z kuchni, wołając: „Vee, co Delph chce na kolację?” – Vee odpowiadała: „Zapytam, jak skończy bipać”. Dla nas wszystkich brzmiało to zwyczajnie i rozsądnie.

Po obejrzeniu materiału poświęconego sekretarce, wdowcowi, dziecku i szympanowi Vee postanowiła spróbować bipania. Zamknęła drzwi od sypialni i położyła się na tej stronie łóżka, która wciąż pachniała Eddie. Naciągnęła kołdrę na głowę, zaciśnęła powieki i dłonie w pięści i wyszeptała: „Bip, bip, bip, bip” tak

cichutko, że nawet ona siebie nie słyszała. Początkowo czuła się jak idiotka, ale szybko uderzyło ją to, jak skuteczne, jak rozpraszające, jak niezwykle uspokajające są te bipnięcia. Niczym powtarzanie mantry. Właściwie to była mantra, czyż nie? Słowo powtarzane dopóty, dopóki serce nie zwolni, pięści się nie rozluźnią, a ty nie przestaniesz się zamartwiać tym, jak sprawić, żeby reszta świata zrozumiała rzeczy, z którymi nie ma nic wspólnego. W tym samym czasie Lady zgłębiała tajniki medytacji transcendentalnej. Zapłaciła ogromną dla niej sumę, żeby jakiś młody jakający się mężczyzna wyszeptywał jej mantrę do ucha. „Jesteś poszukiwaczką – powiedział Lady – więc daję ci mantrę poszukiwaczki”.

To słowa zaczynające się na „m” sprawiały mu kłopot. Wargi zaciskały się, zanim ten pierwszy dźwięk nie eksplodował, a po nim następowało przedłużenie. Mmmmma. Mmmmmmedytacja. Mantra, którą jej szeptał, przypominała Lady cichutką wersję samochodowego klaksonu z kreskówki: aa-aa-oo-ga, aa-aa-oo-ga, chociaż ze względu na wadę wymowy swojego inicjatora zaczęła się zastanawiać, czy nie chodziło mu po prostu o zwykłe aa-oo-ga. Oczywiście była zbyt uprzejma, żeby o to zapytać, i uznała, że tak naprawdę to nie ma znaczenia. Ale myśl, że mogłaby powtarzać nie tylko własną mantrę, lecz także czyjeś zaburzenia mowy, tak ją dręczyła, że w końcu zrezygnowała z uprawiania medytacji transcendentalnej w ogóle.

„Ale bip, bip, bip, bip to wspaniała mantra”, pomyślała Vee. Człowiek powtarzał ją, aż pozbywał się potrzeby rywalizacji z dziećmi pozbawionymi matek. Powtarzał ją, aż przypominał sobie, że życie jest krótkie i wszyscy umierają, i chociaż niektóre zgony bywają bardziej dramatyczne, fascynujące czy obrzydliwe niż inne – niektóre tak bardzo, że są przekuwane w zapadające w pamięć nagłówki: *Samobójca z West Side synem wynalazcy gazu stosowanego w obozach śmierci; Kobieta wyłowiona z Hudson zidentyfikowana przez córki; Jedenaście ofiar śmiertelnych masakry w Chock full o'Nuts* – to po śmierci każdego czeka ten sam stan nicości. Chyba że wierzycie w życie pozagrobowe, gdzie dobrzy są nagradzani, źli karani, a zakochane pary łączą się ponownie. Vee nigdy jednak nie miała przekonania do tej koncepcji.

Bip, bip, bip, bip, aż człowiek przypominał sobie jeszcze jedną ważną rzecz, o której wciąż zapominał: że śmierć od strzału w plecy, kiedy zupełnie się tego nie spodziewasz i jesteś kompletnie pochłonięty pałaszowaniem swojej kanapki na chlebie daktylowo-orzechowym oraz lekturą artykułu z „Post” na temat miażdżącego zwycięstwa Yankees nad Mariners (co oznacza, że jesteś bardzo, bardzo szczęśliwy), jest prawdopodobnie na tyle błyskawicznym i dobrym sposobem odejścia, na ile to możliwe. „Byłem w Korei – powiedział podobno jeden z gliniarzy obecnych na miejscu zdarzenia. – Widziałem martwych ludzi, mnóstwo martwych ludzi, zastrzelonych, wysadzonych w powietrze, okaleczonych, ale nigdy nie widziałem takiej rzezi”. Początkowo Vee żałowała, że usłyszała te

słowa, ale teraz starała się być wdzięczna gliniarzowi. Tak jak nagła śmierć rzeź stała się jej przyjacielem. Brutalna, bezlitosna, ale przede wszystkim rozbuchana. Nadmiar kul oznaczał brak wahania, brak cierpienia. Nie było nawet czasu, żeby się odwrócić i zobaczyć swoje przeznaczenie stojące w drzwiach obrotowych. Nie potrafiła jednak przelać tego wszystkiego na papier. Próbowwała, ale szybko się poddała. „Nie ma o czym mówić” – powiedziała do Lady i Delph. Znała go, kochała go, umarł. Kiedy rak powrócił w ostatnim roku lat siedemdziesiątych, naszej *decada horribilis* („Czy mogła go wywołać śmierć Eddiego?” – zapytała lekarza, a on powiedział, że to mało prawdopodobne, chociaż lekarze nie wiedzieli tytuł rzeczy na temat złożoności żalu. To był pierwszy, ale nie ostatni raz, kiedy usłyszała ten lekceważący termin), myślała, że to będzie koniec historii, koniec romansu. On umiera, ona umiera z powodu złamanego serca oraz innych, mniej romantycznych przyczyn. Ale podwójna mastektomia i chemioterapia poskutkowały, przynajmniej na dłuższy czas.

Na spotkaniu grupy ocalańców, na które poszła po wyemitowaniu tamtej historii w wiadomościach, wdowiec żartował z całej sprawy: „Dosłownie posmarowali miódem fotografię mojej żony, żeby miała przycisnęła do niej usta – powiedział. – A to nagranie przedstawiające mnie z Nimem? Wiecie, co on mówił? Ja mówiłem: »Żegnaj Nim« i »Kocham cię, Nim«, a on mówił: »Ja jeść jeść jeść«. Gdy tylko skończyli kręcić, musiałem zabrać go do kuchni. Gównem go obchodziłem. Po prostu chciał swój malinowy jogurt”. Skończyło się na tym, że Vee przez jakiś czas spotykała się z wdowcem. Nie wyszło. Pod kompetentną i towarzyską fasadą skrywał niemożliwą do zaspokojenia potrzebę uwagi i uczuć. Był smutny, skory do wzruszeń.

– Wiesz – powiedziała Vee do Lady, przewracając oczami – taki ludzki.

– A fe! – zgodziła się Lady. – Na co ci to potrzebne. Ale Vee najbardziej nie podobało się to, że wdowiec usmarował ją całą emocjonalnym ekwiwalentem miodu, aby przekonać samego siebie, że ją kocha, i skończyło się na tym, że dał się nabrać na własną sztuczkę. Jego córeczka nie była tak głupia. Chociaż elokwencją ledwie przewyższała Nima Chimpsky’ego, nie brakowało jej rozumu i z całej siły protestowała przeciw obecności Vee, wyjąc za każdym razem, gdy tylko została wepchnięta w jej ramiona. Ale wdowiec i tak poprosił Vee o rękę.

– Rozumiemy siebie nawzajem – powiedział – w sposób, w jaki nikt inny nigdy nas nie zrozumie.

– Czy ty mnie chociaż kochasz? – zapytała Vee, bo wcześniej ten temat nigdy nie wypłynął.

A on nagle się zirytował, zesztyniał i oznajmił oficjalnym tonem:

– Cóż, naturalnie żywię do ciebie wymagane w takiej sytuacji uczucia.

Mimo wszystko Vee rozważała przyjęcie tych oświadczeń. Ale ostatecznie powiedziała mu, że jest całkiem pewna, iż chce różnych rzeczy. On potrzebował

opiekunki do dziecka. Ona miała ochotę pielęgnować obsesję na punkcie Eddiego przez chorobliwie długi czas, to jest aż do końca swojego życia. Nie zareagował zbyt dobrze. Zalewał się łzami. Ona próbowała płakać, ale nie mogła się do tego zmusić. Była przekonana, że rozpaczał, bo po raz kolejny odebrano mu szansę, żeby pożegnać się we właściwy sposób. Grał na zwłokę, żeby Vee wydusiła z siebie idealne słowa rozstania, ostatnią linię tekstu w filmie o ich nieromantycznym romansie, ale ona nie potrafiła nic wymyślić. Przychodziły jej do głowy tylko słynne cytaty: „Myślę, że to początek pięknej przyjaźni” albo „Jutro też jest dzień”. Patrzyła na niego – był o tyle przystojniejszy od Eddiego – i nie mogła się powstrzymać od złośliwości. Tak bardzo chciała się wydostać z jego mieszkania. On złapał ją za nadgarstek, powiedział, że ją kocha, że naprawdę kocha, a wtedy wreszcie wymyśliła idealne ostatnie słowa: „Vee mleko ja jeść” – oświadczyła i łyzy obeschły mu błyskawicznie. Powiedział jej, żeby poszła się jebać, i na tym się skończyło.

Przez lata otrzymywałyśmy telefony od biografów, dziennikarzy i aroganckich doktorantów żądających informacji oraz wywiadów na temat naszych pradziadków. Bardzo długo te rozmowy skupiały się na Lenzu, ale ostatnio dzwoniący zaczęli pytać o Iris. Zwłaszcza studentki, Żydówki trajkoczące na temat swojego zainteresowania talmudyczną hermeneutyką oraz interpretacją midraszów i egzegetycznych komentarzy Rabbeinu Tama odnośnie odbierania sobie życia.

– W mojej rozprawie doktorskiej – Vee naśladuje ich nosowe głosy świadczące o zaciskaniu szczęki i okraszone akcentem z Brooklynu – analizuję, w jakim stopniu samobójstwo Iris było zgodne z haggadycznymi prawami dotyczącymi odbierania sobie życia i apostazji.

Studentki używają imienia naszej prababki, jakby były jej dobrymi znajomymi. Cierpliwie wyjaśniają Vee, że Iris była protofeministką, która zabiła się w proteście przeciwko pozbawionemu skrupułów propagowaniu trującego gazu przez męża. Z ogromnym uczuciem informują, że Lenz był egocentrycznym łajdakiem, który zadbał o to, żeby Iris nie zrobiła kariery, łajdakiem, który następnie wyjechał na rosyjski front, zostawiając swojego małego synka ze świeżym trupem matki.

Vee nigdy nie mówi za wiele w odpowiedzi. Nie zwraca im uwagi na fakt, że tamtego dnia w rezydencji w Dahlem więcej niż jeden rodzic porzucił swoje dziecko. Nie przypomina im, że zarówno Lise Meitner, jak i Maria Curie zdołały odnieść sukces zawodowy, że Mileva Einstein znalazła mniej pretensjonalny sposób na poradzenie sobie z trudnym mężem. Nie dzieli się swoją opinią, a mianowicie że Iris nie była żadną feministką, żadną bohaterką, tylko myszą okaleczoną przez tłumiony gniew i nieodwzajemnioną miłość do promotora swojej

pracy doktorskiej. A nade wszystko Vee nie pyta, co to, do cholery, jest hermeneutyka. Szczerze mówiąc, nie chcemy wiedzieć. Obawiamy się, że jeśli zrozumiemy to słowo, zaczniemy go używać i brzmieć jak te kobiety albo, co gorsza, myśleć jak one. Chcemy uniknąć analityczności, przeintelektualizowania i nosowości. Nie mamy czasu na czytanie o tym, które rodzaje samobójstw zdaniem tego tam Rabbeinu Tama są w porządku, a które uważa on za *faux pas*. Kiedy już postanawiasz się zabić, kiedy już zawierasz pakt i zakreślasz datę w kalendarzu, po prostu musisz to zrobić. Nie możesz najpierw przeprowadzić naukowej analizy. Nie możesz się konsultować z rabinami czy Bogiem, czy promotorem pracy doktorskiej. Samobójstwo nie jest domeną nauczycieli akademickich.

„Nie sądzę, abym mogła pani pomóc – mówi zazwyczaj Vee do kipiących energią kobiet. – Nie znałyśmy naszej prababki. Jak mogłybyśmy, tak naprawdę, jak ktokolwiek może spekulować na temat motywów, które nią kierowały?”. Po końcowych uprzejmościach odkłada słuchawkę i wydaje pierwotny jęk. Trawiona poczuciem winy, że ona nigdy nie odbiera tych telefonów, Lady robi jej drinka: z jałowcówki z wodą gazowaną, czerwonego jak owoce granatu, albo martini na jednej z nowych wódek, słodkie, soczyste i niebieskie. Albo pomarańczowe. Albo zielone. Martini koloru skażonych nowojorskich zachodów słońca. Ostatecznie jesteśmy potomkiniami nie tylko zbrodniarza winnego ludobójstwa, lecz także producenta barwników. My również mamy słabość do kolorów w płynie.

– Tylko poczekaj – mówi Delph. – Jeszcze trochę, a będą chciały pisać o nas.

– Szczerze wątpię – parska Lady.

– Nigdy nic nie wiadomo – upiera się Delph. – Ewidentnie co najmniej z tuzin żydowskich uczonych płci żeńskiej urodzonych na Brooklynie i studiujących na uniwersytetach w Nowym Jorku i New Jersey pisze rozprawy na temat Iris. Dlaczego nie miałyby napisać o nas?

„Co ona sobie myślała? Że świat powinien urządzić paradę na jej cześć?” – mawiała nasza matka o Iris. Cóż, może rzeczywiście tak było. Vee nie osiągnęła nawet ułamka tego, co Iris, ale czasami uważa, że nawet jej należy się parada. Choćby za sam fakt, że dalej żyje po tym, jak Eddie Glod umarł. Czyż to nie jest godne defilady? Oczywiście nie ma na myśli korowodu takiego jak te organizowane przez Macy's z okazji Święta Dziękczynienia. Raczej chodzi jej o przemarsz w stylu rzymskim: ona, zdobywczyni, machająca do pełnych uwielbienia tłumów, podczas gdy niewolnik pochyla się i szepcze do jej ucha: „Jesteś śmiertelniczką, jesteś śmiertelniczką. Umrzesz”.

Jest śmiertelniczką, jest śmiertelniczką.

– Serio? – zapytała, gdy usłyszała najnowsze rokowania. – Tylko sześć miesięcy?

– Do roku – powiedział jej lekarz. – I oszacowałem to tylko dlatego, że się

upierałaś. Któż tak naprawdę może to wiedzieć, Vee? Takie prognozowanie to bardziej sztuka niż nauka. To może potrwać miesiąc, ale może też potrwać pięć lat.

– Ale ile to potrwa tak naprawdę?

– Sześć miesięcy do roku.

Siedzieli obok siebie w jego gabinecie, stykając się kolanami. Rysował jej przekrój nowego problematycznego obszaru na odwrocie bloczka z receptami.

– Rak piersi bez piersi – zauważyła. – Musisz przyznać, że to imponujące.

– Ale nie niespotykane – powiedział z ogromną i, jak podejrzewała, stosowną powagą. – Czytałem o tym w czasopiśmie medycznych.

– Phi! A ja już myślałam, że jestem wyjątkowa.

Pokazał jej swoją ilustrację, ale ponieważ nie była wzrokowcem, bezradnie wzruszyła ramionami. Znali się od niemal dwudziestu pięciu lat, ona i ten lekarz, od czasu tej pierwszej lumpektomii, i wciąż mieli problemy z komunikacją. On mówił „dół pachowy”, ona mówiła „pacha”. On mówił „węzły chłonne śródpiersia”, ona mówiła: „Spróbujmy jeszcze raz, po angielsku”. Cóż, nie, nie mówiła tego. Przyznawała po prostu: „Nie wiem, gdzie to jest”.

– Tu... – docisnął dłoń do niebieskiej koszuli.

– Serce? – zapytała. – Mam raka serca?

Zrobił zbolaną minę, pokręcił głową.

– Klatki piersiowej – wyjaśnił. – Ściany klatki piersiowej. Boże, potrzebuję wakacji. Mam problemy ze znajdowaniem słów.

– Tylko monosylab – pocieszyła go. – Wciąż szafujesz łacińskimi terminami.

Mówiąc to, pomyślała: „No proszę, patrzcie na mnie, jak prowadzę konwersację, jakby to był dzień jak co dzień”. A potem pomyślała: „Cóż, to jest dzień jak co dzień. Nie ma nic niezwykłego w usłyszeniu informacji, że się umrze. Ja jestem śmiertelniczką, ty jesteś śmiertelnikiem, on, ona, ono są śmiertelnikami. To najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem”.

– Wciąż istnieją pewne opcje, które moglibyśmy rozważyć – powiedział lekarz. – Moglibyśmy spróbować wdrożyć u ciebie eksperymentalną procedurę, o której usłyszałem zaledwie kilka dni temu. – Zaczął wyjaśniać: – Jeśli, jak sugerują badania, twoje guzy są raczej heterogenicznym zestawem molekularnych podtypów niż... – Pokręciła głową.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z hermeneutyką. Moje ciało nie jest tekstem.

– W pewnym sensie jest.

– Trzy razy – powiedziała. – Dostałam tego trzy razy. Co tu jest do interpretowania? Poddaję się. Rak zwyciężył.

Protestował, ale nie tak gorąco, jakby się tego spodziewała. Słyszała frustrację i brak nadziei w jego głosie. Znowu pokręciła głową i tym razem on tylko skinął. Złożył dłonie jak do modlitwy: oto jest kościół, oto jest wieża. W jego oczach załśniły łzy, ale nie popłynęły. Doceniała obie te rzeczy – zarówno łzy, jak

i ich brak.

– W takim razie skupimy się na tym, abyś odczuwała jak najmniejszy dyskomfort – powiedział.

Uściskał ją na pożegnanie. Był to mocny uścisk, który sprawił, że przypomniała sobie, ile czasu upłynęło od ostatniego razu, gdy jakiś mężczyzna trzymał ją w ramionach. Wyzwoliła się z jego objęć, zażenowana głębią wdzięczności, jaką poczuła w reakcji na ten dotyk, i przeszła przez poczekalnię pełną ziemistych i rumianych, łysych i w perukach, zrezygnowanych i wkurzonych, starych i zdecydowanie za młodych, wszystkich pogrążonych w lekturze kilkuletnich egzemplarzy „People” i „Sports Illustrated”, wszystkich czytających o skandalach, które źle się skończyły, o już przegranych rozgrywkach, o martwej księżnej w tunelu.

O dziwo plan, żeby rzeczywiście odebrać sobie życie, nie zrodził się w jej głowie od razu. Początkowo, kiedy wychodziła z windy, a potem opuszczała lobby, na moment mrużąc oczy w czerwcowym słońcu, i zmierzała na przystanek autobusowy, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu MetroCard, wyobrażała sobie, że po prostu zachowa bierność. Poczekaj, aż jej ciało się podda. Widziała siebie jako jednego z tych świadków brutalnych napadów rabunkowych, którzy nigdy nie dzwonią pod numer alarmowy, tylko gapią się na całe zajście. Dopiero kiedy weszła w stan refleksji wywołany długą znajomą podróżą środkiem komunikacji miejskiej, zdała sobie sprawę, że prawdziwa siła leży w podjęciu akcji.

Akcja – to znaczy popełnienie samobójstwa – była decyzją w tak oczywisty sposób właściwą, że zdumiało ją jedynie to, iż nie pomyślała o tym wcześniej. Ona, ze wszystkich ludzi. Może wynikało to z faktu, że jeszcze nie miała objawów. Z pewnością nie odczuwała bólu. Rak był osobliwym przeciwnikiem, krążył w pobliżu, czekał na właściwy moment. Teraz zadecydowała, że gdy tylko pojawią się symptomy, już przy pierwszym ukłuciu bólu wybierze to, co ludzie lubili nazywać najprostszym wyjściem. Ale gdy jechała Madison Avenue – handel kwitnął tamtego dnia tak samo, jak będzie kwitnął po jej śmierci – zaczęła wynajdywać wady tego rozwiązania. Zorientowała się, że zamienia prognozę w problem matematyczny:

Jeśli x = sześć miesięcy do roku, a może dłużej,

to w który dzień wypadnie x ?

To było równanie niemożliwe do rozwiązania. Łatwo jednak ustalić x , jeśli równanie zostanie tylko odrobinę podrasowane:

Jeśli x = dokładnie sześć miesięcy od dziś,

to w który dzień wypadnie x ?

Autobus zatrzymał się gwałtownie. Pasażerowie w przejściu zachwiali się, a niektórzy – turyści, jak przypuszczała – krzyknęli. Vee ich zignorowała. Nie była częścią tej społeczności, społeczności stojącej w przejściu i próbującej zachować równowagę. Była zbyt zajęta przeglądaniem portfela w poszukiwaniu pięcioletniego kalendarzyka z banku. Była zbyt zajęta rozwiązywaniem równania.

To miało tak wiele sensu. Nawet ludzie lubiący cmokać z dezaprobatą musieliby się z nią zgodzić. Jeśli ustaliłaby x – określiłaby dokładnie dzień, w którym umrze – mogłaby rzucić pracę. Dlaczego miałyby potrzebować więcej dochodów? Mogłaby wreszcie zacząć wydawać oszczędności. Mogłaby żyć ze swojego planu emerytalnego 401(k), do diabła z karami za przedwczesne wycofanie funduszy. Ogranicz długość życia do sześciu miesięcy i nagle nawet praktykantka adwokacka robi się bogata.

Nie będzie też potrzebowała innych świadczeń socjalnych zapewnianych jej przez pracodawcę, nawet ubezpieczenia zdrowotnego. Osoba, która zna dokładną datę swojej śmierci – Vee już zdecydowała się na sylwestra, nieco ponad sześć miesięcy od dziś, to prawda, ale spodobała jej się myśl, żeby odejść wraz ze stuleciem, poza tym Lady i Delph byłoby o tyle łatwiej przy wypełnianiu jej ostatniego zeznania podatkowego, gdyby umarła w ostatnim dniu roku podatkowego – nie potrzebuje ubezpieczenia zdrowotnego. Taka osoba już nie będzie musiała chodzić do lekarza, nigdy.

Nie miała na myśli tylko swojego onkologa. Myślała również o swoim optyku, z tym jego: „Które są lepsze, te czy te?” – i o swojej ginekolog, która cichym, smutnym głosem każdego cholernego roku powtarzała: „A więc wciąż nie jesteśmy aktywne seksualnie?”. Ale przede wszystkim chodziło jej o dermatologów, o całą flotyllę skonsternowanych mężczyzn i kobiet, którzy przez ostatnie dziesięć lat wpatrywali się w jej czaszkę, próbując dociec, dlaczego po tym, jak pozostałości chemioterapii dawno opuściły jej organizm, włosy nigdy nie odrosły. Wszystkie te kremy i mазie, i pigułki, i sterydy, śmierdząca smoła i ultrafioletowe światło – wszystkie te wynalazki były absolutnie na nic. „To

sprawi, że wyrosną ci włosy nawet na piersi” – powiedział ostatni dermatolog, taki mały kosmaty żarcik, kiedy wypisywał receptę, ale również i ten specyfik nie zadziałał. Wszyscy ostatecznie dochodzili do wniosku, że przyczyną musi być jakiegoś rodzaju emocjonalna trauma. „Nieprzepracowana żałoba”, mówili, słysząc historię jej życia. Każdy odsyłał ją z nazwiskiem psycho-analityka nagryzmołonym na skrawku papieru i receptą na zapas valium do końca życia. Kazali jej obiecywać, że nie wykorzysta tych tabletek w niewłaściwy sposób, a ona dotrzymywała tych obietnic. Nigdy nie wykorzystała niewłaściwie ani jednej tabletki, bo nigdy żadnej nie połknęła. Tylko je gromadziła.

Jeśli chodzi o jej nieprzepracowaną żałobę, to przez ostatnich dziesięć lat skrywała ją pod apaszkami. Nosiła je w stylu Hulka Hogana, nisko na czole, zawiązane w supeł na karku, z powiewającymi końcami. Próbowwała dodać sobie kobiecości za pomocą kolczyków, dużych złotych kół lub długich piór sięgających jej do ramion. Ale tego dnia w autobusie, po przyjęciu rozwiązania x poczuła łaskoczącą ciepłą falę strachu pomieszanego z ulgą i gwałtownie ściągnęła z głowy apaszkę, czekoladowobrązową, mającą podkreślić jej pozbawione rzęs i brwi oczy, nagie jak rodzynki w czekoladzie.

Usunięcie apaszki, ujawnienie czubka głowy – to było zupełnie nieplanowane, ale całkowicie rozmyślne. Przerazona i podekscytowana próbowała dojrzeć swoje odbicie w szybie autobusu, lecz pokrywający szkło brud i kąć padania światła popsowały jej szyki. A może jako łysa kobieta w średnim wieku dosłownie zniknęła? Nie ulegało wątpliwości, że nikt w autobusie nie zwracał na nią uwagi.

Oczywiście wiedziała, jak wygląda bez apaszki. Widywała się w domu bez niej każdego dnia. Jak wyglądała? Okropnie. Nie należała do osób, którym było do twarzy z brakiem włosów. Łysina sprawiała, że przypominała kobietę, która właśnie uciekła z jakiegoś zakładu. Albo, ściślej rzecz biorąc, jak mężczyzna, który właśnie zrobił coś takiego.

Odwróciła się od okna. Zmiała apaszkę w zaciśniętej dłoni. Od nawrotu raka, tego, który rzekomo miał zostać wyleczony przez bilateralną mastektomię i chemioterapię, próbowała osiągnąć stan pogodnej akceptacji swojego wyglądu. Ciało jako narracja. Twarz jako biografia. Semiotyka krnąbrnej skóry na głowie Vee. Co one m ó w i ą, te blizny na jej klatce piersiowej, te głębokie bruzdy nosowo-wargowe? Jak brzmi ich opowieść? Kiedy Vee po raz pierwszy zauważyła te bruzdy, myślała, że to smugi brudu, i próbowała zetrzeć je myjką. Lady przyłapała ją na tym i się roześmiała. Nawet nieatrakcyjne kobiety, nawet kobiety nagle owdowiałe i podatne na raka są nieprzyjemnie zaskoczone, kiedy widzą – czy, konkretniej, kiedy pozwalają sobie w końcu zobaczyć – te pierwsze nieścieralne oznaki starzenia się.

– Gratulacje – powiedziała Lady. – I witamy w krainie niewidzialnej kobiety.

Jeśli jej ciało ma być księgą, to jest to horror. Rozdział 1: Rodzę się. Rozdział 3: Dostaję raka. Rozdział 6: Dostaję obwisłych policzków. Mimo wszystko to jest jej księga, jej historia. A zatem, żeby nie ingerować w rozwijającą się fabułę, latami odrzucała nawet najdrobniejsze paliatywne półśrodki: żadnego pudru, żeby zlikwidować świecenie, żadnych soczewek kontaktowych, żeby wyeliminować czerwone odgniecenia u nasady nosa, żadnych usztywnianych biustonoszy, żeby wypełnić bluzkę, oczywiście żadnych implantów. Szwendła się po mieście z tłustą twarzą, płaską klatką piersiową i dwiema parami oczu. Wprawdzie przez jakiś czas nosiła perukę, ale kiedy zaczęła się starzeć, peruka stała się zbyt jasna, zbyt pełna, za bardzo w stylu Farrah Fawcett w stosunku do jej twarzy, więc ją wyrzuciła.

– Nie wkładaj jej do śmieci – powiedziała Lady. – Ofiaruj ją jakiejś klinice dla chorych na raka.

Ale Vee oświadczyła: – Nie. Ta peruka musi umrzeć – i cisnęła ją do kosza.

– Umarła peruka – powiedziała wtedy Lady – niech żyje apaszka.

Teraz apaszka też była martwa, uduszona w pięści Vee, która siedziała w autobusie linii M4 jadącym po Cathedral Parkway. Była tak zagubiona w myślach, że nie pamiętała trasy, jaką pokonała. Na kilka minut, na kilka przystanków już opuściła ten świat i nawet tego nie zauważyła. Pomyślała, że prawdopodobnie tak czuje się człowiek, kiedy jest już martwy.

Jeśli chodzi o ostatnie sześć miesięcy jej życia, zdecydowała, że to będzie pół roku z jej marzeń. Bezrobotna, będzie siedzieć w domu i czytać. Będzie chodzić do kina. Będzie pić całymi dniami, od samego rana. Albo jeszcze lepiej, nigdy nie będzie musiała oglądać poranka. Będzie mogła spać codziennie do południa i zaczynać picie dopiero wtedy. Albo spać do trzeciej. Przez sześć miesięcy mogła być flejtuchem i leniem, rośliną doniczkową na gazie. Uda się po ostateczną nagrodę z klatką piersiową zmaltretowanego nastolatka, łysiną starszego mężczyzny i szpikiem kostnym wyssanym do cna przez własne zdradzieckie komórki, ale przynajmniej będzie czytana i wypoczęta.

Mniej więcej kiedy zaczęła układać sobie listę fajnych rzeczy do zrobienia w ciągu ostatnich miesięcy życia – Broadway! Będzie ją stać na zobaczenie każdej cholernej sztuki na Broadwayu! – zauważyła męż-czyznę siedzącego obok niej. Nie spojrzała powtórnie, ale zdała sobie sprawę, że widziała go już na tej trasie, że zajął puste miejsce obok niej przynajmniej raz wcześniej.

Uznała to za zaskakujące, ale mniej szokujące niż pozostałe wstrząsy tamtego dnia. Wiedziała, że mnóstwo ludzi uznałoby to za znaczące wydarzenie: wpaść na tę samą obcą osobę więcej niż raz w autobusie w mieście rozmiarów Nowego Jorku. Na przykład Delph. Delph byłaby gotowa przysiąc, że to znak. Być może zły znak: ten mężczyzna mógł być personifikacją raka Vee, albo dobry znak: ten mężczyzna został zesłany przez Erosa jako ostatnia szansa na miłość, zachęta

w stylu misia Yogiego: nic nie jest skończone, dopóki się nie skończy.

Vee nie wierzyła w tego rodzaju rzeczy. Nie wierzyła, że rozwścieczona urzędniczka z ratusza zesłała na nią raka, i nie podpisywała się pod klątwą, która opasała łydkę Delph i ponoć ciążyła nad głowami nas trzech. Dla Vee sens życia zawsze polegał na tym, że życie nie ma sensu, a morał tej historii był taki, że nie ma żadnego morału. Rzeczy, które wydawały się znaczące, wcale takie nie były. I chociaż nie wytatuowała sobie swojej filozofii życiowej na ciele, tak jak zrobiła to Delph, to z pewnością nakleiłaby ją na zderzak, gdyby umiała prowadzić i posiadała samochód: *Shit happens*. Właśnie w to wierzyła i do tego próbowała przekonać Delph.

– Życie nie jest operą mydlaną – mówiła. – Jest znacznie bardziej absurdalne. Rzeczy, które zdają się coś znaczyć, nic nie znaczą. Jefferson i Adams umarli tego samego dnia, a tym dniem był czwarty lipca. Żona i matka Teddy’ego Roosevelta obie umarły tego samego dnia, a tym dniem były walentynki. Nic nie ma żadnego znaczenia.

Niektórzy zbierają znaczki, monety, srebrne noże do ryb. Vee kolekcjonuje zbiegi okoliczności. Jej ulubione to podwójne i potrójne tragedie. Jest chodzącym odpowiednikiem muzeum osobliwości skumulowanego nieszczęścia. Słyszeliście o tym starym Japończyku, który podczas wojny, cały poparzony, został naprędce przeniesiony z Hiroszimy do szpitala – gdzież by indziej? – w Nagasaki? A o tej kobiecie w Delaware, która dowiedziała się, że jej mąż i syn obaj zginęli tego samego dnia, każdy w odległości setek mil od drugiego, każdy w innym dziwnym wypadku? Temu ostatniemu zbiegowi okoliczności towarzyszyła dosadna pointa: „Bóg nigdy nie doświadcza nas bardziej, niż bylibyśmy w stanie znieść” – szlochała kobieta bohatercko przed grupą pełnych podziwu reporterów. Kilka miesięcy później w mediach pojawiła się jedna z tych historii z cyklu „Co się stało z...?”. Okazało się, że kobieta zginęła w wypadku samochodowym. Bum! Werble!

A jeśli nie wierzycie, że tyle nieszczęść mogłoby spaść na jedną osobę w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin, jeśli podejrzewacie, że Vee zmyśla albo przejawia, to po prostu poczekajcie tutaj. Vee pójdzie do swojego pokoju i wróci z artykułem. Nagłówek z datą i miejscem powstania: Dover, Delaware. Vee wycina i zachowuje wszystkie teksty. Upycha je w pudełku po butach, które trzyma w swojej szafie. Jest kustoszką zbiegów okoliczności, królową koincydencji.

Zmierzamy do tego, że Vee nie sądziła, by fakt, iż ten konkretny mężczyzna koło siedemdziesiątki, może nawet starszy, znowu obok niej usiadł, miał jakiegokolwiek znaczenie. Ale przyłapała się na tym, że na niego zerka. Nie miała pojęcia dlaczego. Nieczęsto obserwowała ludzi. Z pewnością też nie miało to seksualnego podtekstu. Nie uważała go za atrakcyjnego w żadnym tego słowa znaczeniu. Miał pokaźne wory pod oczami, jego twarz była pobrużdżona

i upstrzona plamkami. Był szczupły, ale za bardzo; wycieńczona dusza. Rozdział 1: Rodzę się. Rozdział 6: Zamieniam się w tego faceta z tamtego obrazu Hoppera. (Muzea! Mogła chodzić do muzeów!). Ale nie mogła się powstrzymać od rzuca-nia spojrzeń w jego stronę. Zauważyła, że jego włosy, cienkie i srebrne, sterczą miejscami, jakby z niepo-kojem przeczesywał je palcami. Zauważyła, że wklęsłość jego zapadniętych policzków wydaje się zabarwiona niemal na niebiesko od szczeciny.

On zaś w ogóle nie patrzył na Vee. Jego spojrzenie było utkwione w dłoniach, dużych i pozbawionych obrączki, które złożył na kolanach, z rozczapierzonymi palcami. Zupełnie jakby się zastanawiał, czy to naprawdę są jego dłonie, jakby był zaniepokojony, że przypadkowo zabrał z sobą cudzą parę, kiedy opuszczał miejsce, z którego przybywał, tak jak ludzie czasami łapią złą walizkę w punkcie odbioru bagażu. Uważaj. Wiele dłoni wygląda podobnie.

„Morderca patrzyłby na swoje dłonie w ten sposób”, pomyślała Vee. Nie żeby wierzyła, że mężczyzna siedzący obok niej był przestępcą, nie w większym stopniu niż wszyscy jesteśmy – te małe morderstwa, które popełniamy codziennie przez zaniechanie albo uleganie wybuchowości charakteru; morderstwa przez zaniechanie, kiedy nie wysyłamy pieniędzy ofiarom powodzi, nie wstajemy wcześniej, żeby maszerować w imieniu spraw, które, jak twierdzimy, nas obchodzą, nie łapiemy osy, która wpadła do mieszkania, i nie wypuszczamy jej z powrotem na zewnątrz, tylko miażdżymy ją gazetą. I morderstwa, które popełniamy już przez samo to, że istniejemy, przez to, że zamieszkujemy i wyzyskujemy tę znękaną planetę. Ale nie wierzyła, by ten mężczyzna był mordercą jak, powiedzmy, nasz pradziadek, morderca, który przekazał nam nasz kod genetyczny i nasze twarze.

Vee próbowała wyrzucić te myśli z głowy. To był złowróżbny wstęp do jej ostatnich sześciu miesięcy życia. Zamiast tego spróbowała spojrzeć na sprawy optymistycznie. Teraz, kiedy знаła dokładny dzień swojej śmierci, mogła być śmiała i bezczelna. Mogła porozmawiać ze swoim sąsiadem. Mogła powiedzieć „Ładna pogoda” albo „Spory dzisiaj korek, prawda?”, albo „No, proszę, i znowu się spotykamy w starym dobrym M4”. A on mógłby powiedzieć: „Wiem, zawsze przychodzimy mniej więcej z tej samej strony i udajemy się mniej więcej w to samo miejsce, chociaż żadne z nas nie wie nic o rzeczywistym początku czy celu podróży tego drugiego”. A Vee mogłaby powiedzieć: „To wygląda, jakby miało znaczenie, ale to tylko zbieg okoliczności”. A on mógłby powiedzieć: „Fakt, masz stu procentową rację. Mimo wszystko to miły zbieg okoliczności, że tak powiem”.

Albo mogliby odbyć zupełnie inną konwersację. Vee mogłaby powiedzieć: „No, proszę, znowu się spotykamy”, a on by odrzekł: „Przepraszam, o czym pani mówi? Nigdy wcześniej pani nie widziałem”. Albo mógłby się do niej zwrócić po hiszpańsku czy ukraińsku. Albo mógłby w ogóle nic nie odpowiedzieć, tylko obdarzyć Vee tego rodzaju spojrzeniem, jakim ludzie w autobusach zazwyczaj

obdarzają skłonnych do zagajania konwersacji byłych pacjentów zakładu dla psychicznie chorych o nieokreślonej płci. Ale nawet gdyby rzeczywiście tak odrzekł albo okazałoby się, że mówią różnymi językami, albo obdarzyłyby ją tym spojrzeniem, to nie miałyby znaczenia. Vee nie pozwoliłaby, żeby dotknęło ją to tak, jak – powiedzmy – pozwoliłaby na to wczoraj. Nie traciłaby czasu na odtwarzanie całego zajścia w pamięci, na doświadczanie upokorzenia ciągle na nowo, bo głowę miałaby zaprzątniętą innymi myślami, na przykład faktem, że, kurwa, umrze w sylwestra. Nie odezwała się jednak ani słowem. Nawet kiedy autobus zaczął zwalniać przed jej przystankiem i przecisnęła się obok niego, żeby stanąć w przejściu, nie dała mu w żaden sposób do zrozumienia, że o nim myślała. Stała teraz koło jego siedzenia, trzymając się metalowego uchwytu bezpośrednio za jego ramieniem, kołysząc się nieco, wprawnie, aby zachować równowagę. Autobus się zatrzymał, a ona zaczęła torować sobie drogę do wyjścia. Pozwoliła, by apaszka, którą trzymała w pięści, wypadła jej z dłoni i wylądowała przy odzianych w skarpetki palcach u nóg wystających z sandałów jej sąsiada. Nie zauważył. Ostatecznie to nie była *belle époque*, kiedy to mężczyźni schylali się po chusteczki, które kobiety upuszczały u ich stóp. To było przejście miejskiego autobusu w 1999 roku. Nigdy nie spojrzy na ziemię i jej nie zobaczy. Bardziej prawdopodobne, że nadeptnie ją nieświadomie, kiedy będzie wysiadał. Potem, przez resztę dnia, inni pasażerowie będą deptać jej apaszkę, dopóki wczesnym rankiem pracownik personelu technicznego nie wymiecie jej i nie wyrzuci.

Czy los tego porzuconego kawałka jedwabiu zasmucił ją? Tak, owszem. I to do tego stopnia, że postanowiła zatrzymać się w węgierskiej cukierni i kupić cztery torty Sachera: trzy na deser dla nas po kolacji, jeden dla niej do zjedzenia w drodze do domu. Vee zauważyła, że studentka pijąca kawę przy jednym ze stolików była jeśli nie równie łysa jak ona, to przynajmniej w połowie tak łysa. Jedną stronę głowy miała wygoloną, z drugiej strony wyrastały długie włosy ufarbowane na indygo. Wyobraziła sobie tę dziewczynę stojącą w łazience akademika i nuczącą podczas wymachiwania elektryczną maszynką do golenia i mieszania farby do włosów marki Manic Panic. Wyobraziła sobie, że dziewczyna podniesie teraz wzrok, pozdrowi Vee i pomyli ją z osobą o pokrewnym usposobieniu. Łyse kobiety Manhattanu łączcie się! Ale – jak to w Nowym Jorku – ani studentka, ani nikt inny w cukierni, włącznie z mężczyzną za ladą, nie nawiązał z nią kontaktu wzrokowego.

Kiedy w końcu dotarła do domu, stanęła w holu, czekając, aż Lady, która krzątała się w kuchni przy robieniu kolacji, oraz Delph, która oglądała w salonie lokalne wiadomości, wyczują jej oczekiwanie i podniosą wzrok. Brak apaszki nic dla nich nie znaczył; zawsze zrywała ją, gdy tylko weszła. Po prostu założyły, że tym razem nie załapały się na wieczorne zrywanie. Vee dalej czekała, aż zyskała ich niepodzielną uwagę, aż Lady przykręciła ogień pod zagrożonym

rozgotowaniem spaghetti, aż Delph oderwała wzrok od prognozy pogody na jutro.

– A więc – powiedziała w końcu – zgadnijcie, co dało dziś o sobie znać.

A Lady i Delph, które pozwoliły sobie nie myśleć o raku przez dobrą dekadę, od razu wiedziały, jak brzmi odpowiedź.

Zebrałyśmy się przy stole w kąciku jadalnym. Wciąż pokrywały go te same pierdolety co zawsze albo mniej więcej te same pierdolety. Żadnych więcej numerów magazynu „Rolling Stones”; te zostały zastąpione przez niestabilną stertę będącą nieuniknionym efektem ubocznym subskrybowania „New Yorkera”. Żadnej więcej marychy, ale co najmniej z pół tuzina kieliszków po winie, których jeszcze nie zanosiliśmy do zlewu, z fioletowym osadem z taniego wina plamiącym dno ich czarek. Lady i Delph powiedziały rzeczy, jakie w takich sytuacjach się mówi. Zadały pytania, jakie zwykle się zadaje, chociaż po tym, jak Lady zapytała: „O jakim planie leczenia myślą?”, a Vee uśmiechnęła się i powiedziała: „O żadnym”, potrzeba dalszego przepytywania została ograniczona do minimum.

Pośród czynności, których nie wykonałyśmy tamtego wieczoru, znalazły się: płkanie, obejmowanie się, krążenie po mieszkaniu i panikowanie. Jesteśmy Alterównami, ale również Emanuelównami, również Gläserównami: stoiczkami, spartankami, fatalistkami – osobami, które łatwo się poddają, jeśli chcecie to tak nazwać. Zostawiamy wszystko naturze. Nie walczymy z ratuszem. Akceptujemy rzeczy, które do nas przychodzą. Nie znaczy to, że zawsze lubimy te rzeczy czy się z nimi godzimy, czy dajemy sobie z nimi radę bez drinka albo dwóch, albo pięciu. Nie znaczy to, że nie wołałybyśmy mieć ojca albo normalnej matki, albo – zaszalejmy – obojga. Nie znaczy to, że nie wołałybyśmy, aby Eddie Glod nie umarł w taniej sieciowej restauracji ani aby cień na ostatnim rentgenie Vee nie należał do kciuka radiologa. Chodzi po prostu o to, że zatrzymujemy nasze reakcje dla siebie. Tłumimy je. Ignorujemy albo karmimy, albo zagłuszamy. Myślicie pewnie, że to niedobrze, ale nie, to wspaniała sprawa. Prawdziwy talent. Dzięki naturze i wychowaniu jednocześnie zostałyśmy pobłogosławione darem represji.

W milczeniu siedziałyśmy przy stole. Vee spuściła wzrok, jak mogłoby to zrobić dziecko, które przyniosło do domu kiepską cenzurkę, przede wszystkim żałując, że przysparza innym zmartwień. W końcu Lady westchnęła, wstała i podeszła do naszego długiego na całą ścianę sosnowego kredensu, który Karin zabrała z Niemiec do Francji, potem na Haiti, aż w końcu tutaj, mebla kompletnie nie pasującego do taniego zestawu z kąciaka jadalnego, który kupiła, kiedy relatywnie zbiedniała w Ameryce. Oczywiście dla nas wszystkie elementy zestawu miały wartość sentymentalną, wychowałyśmy się z nimi. Na krzesłach z chromu i winylu siadywałyśmy przez pięć dekad. Całe nasze mieszkanie tak wygląda: miszmasz stylów i epok, włącznie z garstką dobytku, który wszedł w posiadanie

Alterów, kiedy wciąż byli dobrze sytuowanymi Niemcami oraz wątpliwymi chrześcijanami, i podróżował wraz z nimi po tym, jak ich napiętnowano, wygnano i zostali Karaibami.

Lady wróciła do stołu z nową butelką tego samego taniego wina. Zdjęła nakrętkę i napełniła trzy poplamione kieliszki. Każda z nas wzięła ten najbliższej sobie, uniosła go w ledwie dostrzegalnym toaście, a potem wyżłopała zawartość prostackimi haustami. Zmierzałyśmy do stanu upojenia alkoholowego.

Lady pierwsza odstawiła kieliszek.

– A więc, Veezie – powiedziała. – Co zamierzasz zrobić?

Vee uśmiechnęła się znowu.

– Akurat ty ze wszystkich ludzi powinnaś znać odpowiedź na to pytanie.

Lady ponownie napełniła nasze kieliszki po brzegi. Musiałyśmy się pochylić, żeby upić troszeczkę, zanim mogłyśmy je podnieść.

– Zachowujesz się bardzo racjonalnie... – zaczęła Lady.

– Czekam na „ale” – powiedziała Vee.

Okno w salonie było otwarte. Pozwoliłyśmy sobie słuchać odgłosów miasta, które normalnie filtrowałyśmy. Wszystkie dźwięki wydawały pojazdy – piszczące hamulce, strzelające gaźniki, alarmy samochodowe, syreny ambulansów oraz autobusy zatrzymujące się na przystanku, otwierające, a potem zamykające drzwi i odjeżdżające.

– Nie jestem pewna, czy jest jakieś „ale” – przyznała Lady.

– Przynajmniej nie będę musiała mieć do czynienia z karetkami – powiedziała Vee.

– Nie życzyłabym ci życia uzależnionego od karetek i oddziałów nagłych wypadków – przytaknęła Lady.

– Wszyscy musimy kiedyś odejść – westchnęła Vee.

– I to ma naprawdę więcej sensu, żebyśmy same ustaliły, kiedy nastąpi to kiedyś, niż po prostu zdawały się na łaskę losu. Albo czasu. Albo amerykańskiej służby zdrowia – zgodziła się Lady.

– To j e s t los Vee – zauważyła Delph.

Vee wciąż się uśmiechała.

– Fakt, że choruję na nieuleczalnego raka, ma więcej wspólnego z substancjami chemicznymi w środowisku, plastikiem w naszym jedzeniu i, szczerze mówiąc, tym kieliszkiem wina w mojej dłoni niż z jakąkolwiek klątwą – zaprotestowała.

Delph nic nie powiedziała, ale jej milczenie było wymowne.

– Posłuchajcie – oznajmiła Vee. – To moja śmierć i to ja decyduję, dlaczego do niej dojdzie.

Znowu umilkłyśmy. Siedziałyśmy tak bardzo długo. Później, kiedy we trzy leżałyśmy w poprzek materaca Vee, powiedziała:

– Postrzegam moją decyzję jako wynik zbieżności pomiędzy skłonnościami a okolicznościami.

A jeszcze później:

– Jestem z tym całkowicie pogodzona. Naprawdę. Czuję się nadzwyczaj dobrze.

W pokoju zapadł zmrok. Tylko światła miasta uniemożliwiały mu przerodzenie się w ciemność. Niebo miało kolor oceanicznej piany.

– Mogłabym spędzić tydzień nad oceanem – powiedziała Vee. – Nie w Rockaway. Na prawdziwej plaży. Takiej, gdzie woda jest rzeczywiście niebieska.

Znowu nasze milczenie. Znowu awantura klaksonów, hamulców, syren i hydrauliki.

– Mogłabym wziąć udział w odosobnieniu medytacyjnym z klauzulą milczenia – wpadła na pomysł Vee. – Mogłabym siedzieć po turecku w ciszy aż do końca.

Jakąś godzinę później, kiedy słońce wstawało, Delph powiedziała:

– Oto, co sobie myślę: północ, sylwester. To dobry pomysł. Uciekniemy przed całym tym rokiem dwutysięcznym. Tymczasem mamy około sześciu miesięcy, aby napisać książkę, którą zawsze chcieliśmy napisać. O trzech pokoleniach.

Tak to się zaczęło. Myślałyśmy, że napiszemy o Lenzu i Richardzie, i naszej matce. O tych śmierciach, nie o naszych.

– Musiałybyśmy pracować bez przerw i regularnie – podkreśliła Vee.

– Wiezorami – przytaknęła Delph.

– I w weekendy – dodała Lady.

– I w pełnym wymiarze godzin po tym, jak już rzucimy nasze prace – zaznaczyła Delph.

Lady pokiwała głową.

– A jeśli zmienisz zdanie, Vee, albo – kto wie? – pojawi się jakaś nowa wizja leczenia...

– Vee-zja leczenia – zażartowała Delph cichym głosem małej dziewczynki.

Vee uśmiechnęła się, ale pokręciła głową.

– Powiedziałam „jeśli” – zaznaczyła Lady. – Jeśli powstanie... to wtedy ponownie ocenimy sytuację.

– W porządku – podsumowała Vee. – Sylwester. Sześć miesięcy, cztery godziny i dwadzieścia sześć minut od teraz. W porządku. To mój deadline. Dosłownie.

– I mój – przypomniała Lady. – Nie słuchałaś mnie?

– Nie pozwolimy ci odejść samej – poparła ją Delph.

W ich deklaracjach słyhać było cień urazy. Zupełnie jakby Vee miała się

bez nich udać w wielką podróż po Europie. Delph prawie słyszała nadąsany i pełen dezaprobaty głos naszej matki: „Ale twoje siostry? Nie zaprosisz nawet swoich sióstr?”. Oto jak łatwo podjęły tę decyzję. Jasne, Vee próbowała im to wyperswadować. Wydawało jej się, że to będzie przejaw uprzejmości z jej strony, i tak rzeczywiście było.

– Jakie jest wasze uzasadnienie? – zapytała.

– Diagnoza mojej siostry – wypaliła Delph.

– Nie – zaprotestowała Vee. – To moje uzasadnienie, nie twoje.

– Nie próbuj nam dyktować, co decyduje o tym, że nasze życia nie są już warte przedłużania – skarciła ją Lady.

Vee przestała się spierać. Nie mogła powiedzieć, żeby ta myśl jej się nie podobała. Towarzyszki, konspiratorki, dłonie do ściskania... Uniosłyśmy nasze kieliszki. Szukałyśmy odpowiedniego toastu.

– Co będzie przeciwieństwem *l'chaim*? – zapytała Lady.

– *L'pfffft* – zasugerowała Vee.

Jeśli nie brzmiało to po hebrajsku, to z pewnością przypominało jidysz. Spodobało nam się. Stuknęłyśmy się kieliszkami.

– *L'pfffft!* – powiedziałyśmy, śmiejąc się i opluwając, co w naszym przypadku było możliwie najbliższe łzom.

A kiedy wyrzwałyśmy przez okno, wszystkie zobaczyłyśmy, jak światło zmienia się z pionowego w poziome, ze złotego w srebrne. Wszystkie zobaczyłyśmy, jak zmienia się, dokładnie w tej samej chwili.

25 Test serologiczny na obecność kiły.

26 List do Efezjan, 5, 23, Biblia Tysiąclecia.

27 Z jidysz: gburowata, zgorzkniała osoba.

28 Właściwie David Richard Berkowitz, seryjny morderca pochodzenia żydowskiego, znany między innymi pod pseudonimem Syn Sama.

29 Richard Loeb i Nathan Leopold, zamożni studenci University of Chicago, którzy w 1924 roku porwali i zamordowali 14-letniego Bobby'ego Franksa. Kierowała nimi chęć popełnienia przestępstwa doskonałego.

30 Drugi album amerykańskiego zespołu rockowego Jefferson Airplane, wydany w 1967 roku. Jeden z utworów na płycie nosi tytuł *Somebody to love*.

ROZDZIAŁ 10

Ale zaraz, czy przypadkiem nie czujecie się zdezorientowani całym tym zalewem informacji z naszej strony? Czy na tym etapie opowieści nie przydałaby wam się oś czasu? Myślimy, że owszem. A więc proszę, oto oś czasu specjalnie dla was:

			Lady: rozwód Vee: rak (1) Mama: rzeka Hudson		Chock full o'Nuts		Vee: rak (2)	
1972	1973	1974	1975	1976	1977	1978	1979	1980
Lady wychodzi za Joego		Vee wychodzi za Eddiego		Lady: stryczek		Lady: żyletka		Lady: valium i wódka

Tylko nas nie krytykujcie. Nie nazywajcie naszego życia melodramatem. Nie przywołujcie terminu „opera mydlana”. Nie mówcie nam, że trudno uwierzyć, aby tyle nieszczęść mogło spaść na jedną rodzinę w tak krótkim czasie. Być może. Ale spadły. Przymknijcie się. I nie opowiadajcie nam teraz o własnych cierpieniach i tragediach. Nie mówicie: „Och, wiem dokładnie, jak się czujecie, bo ja...”. Zasadniczo nie lubimy rywalizacji, ale jeśli chodzi o ten okres w naszym życiu, to wiemy, że bijemy was na głowę.

Ale... czy na pewno? Czyż nie jest prawdą, że na tym padole łez zawsze znajdzie się ktoś, kto przebije twoją tragedię? Ostatecznie ten świat nie jest niczym więcej jak tylko kiermaszem cierpienia, a każdy z nas ma zawsze dość siły, aby znieść cudze nieszczęście. A takie hiobowe targi odbywają się wszędzie. Nigdy nie wiesz, kiedy się na któryś natkniesz. Możesz być tylko pewien, że nie będziesz musiał czekać za długo. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 1979 roku, kiedy nagie drzewa rosnące wzdłuż bardziej reprezentacyjnych ulic Manhattanu zostały udekorowane migoczącymi białymi żaróweczkami – nadal panował kryzys energetyczny, ale jak długo ludzie mogli znosić brak światła i radości? – Vee, która wciąż przechodziła chemioterapię, zagadnęła pielęgniarkę onkologiczną, która ją podłączała: „A więc co słyhać?”. A pielęgniarka, starsza kobieta z pomarszczonymi policzkami i zapadniętymi oczami, ubrana w fartuch w ptaszki Tweety przyznała, że nie za dobrze, że dwa tygodnie temu musiała umieścić ojca w domu opieki ze względu na postępującą demencję, a następnego dnia jej siostra, załamana jego pogarszającym się stanem, i, cóż, nadużywająca też leków na receptę, odebrała sobie życie, a dzień później mąż jej siostry, z którym tamta pozostawała w separacji, ale został wezwany, by zidentyfikować jej ciało, bo siostra nie zaktualizowała danych kontaktowych, kiedy małżeństwo się rozpadło, wydał zgodę na przekazanie jej organów, czego jej siostra zdecydowanie by sobie nie życzyła, jako że była katoliczką i potrzebowała wszystkich części ciała w niebie, nie żeby teraz tam trafiła, nie po samobójstwie, ale ten prawie były mąż powiedział: „Och, tak, pewnie, nie krępujcie się, nie ma sprawy”, więc zabierają jej siostrze nie tylko oczy i wątrobę, i nerki, i serce, i wszystko inne, ale również jej skórę, **jej skórę**, która, tak, oczywiście, jest organem, ale kto bierze pod uwagę skórę, kiedy myśli o dawstwie organów, a poza tym ona nie chciałaby, żeby zabierali jej cokolwiek, a już tym bardziej skórę. Dopiero wtedy, po tym wszystkim, dostarczyli to, co zostało z jej siostry, do domu pogrzebowego. Dopiero wtedy pielęgniarka została poinformowana, że jej siostra zmarła, a przedsiębiorca

pogrzebowy zwierzył się jej, że nigdy w życiu nie widział takiej jatki. Właśnie tego słowa użył. Jatka. A trzeba zauważyć, że przedsiębiorca pogrzebowy z Nowego Jorku widział już wszystko, od ofiar bestialskich morderstw do ludzi rozjechanych przez pociągi metra.

– Więc jak źle musiało to wyglądać, skoro nawet przedsiębiorca pogrzebowy, który widział już wszystko, powiedział, że nigdy nie widział czegoś takiego? – Pielęgniarka zamilkła, żeby się pozbierać. – To wszystko chyba jeszcze do mnie nie dotarło – powiedziała po chwili. – Ale wiesz co? Przynajmniej wciąż mam moich siostrzeńców i siostrzenice. I moich przyjaciół. Dzięki Bogu za przyjaciół.

Opowiadając o tym wszystkim, pielęgniarka wbiła igłę w żyłę na grzbiecie lewej dłoni Vee, delikatnie, perfekcyjnie, tak że Vee nie poczuła nawet ukłucia, przykryła ją wacikiem i przylepiła plastrem, aby trzymała się na miejscu. Upewniła się, że wiśniowoczerwony płyn sączy się w ciało pacjentki. Vee miała tam spędzić wiele godzin. Była długodystansowcem.

– Ale ja tu gładzę o sobie – zawołała pielęgniarka – podczas gdy ty walczysz o życie. – Poklepała Vee po ramieniu. – Kiedy widzę dzielnych pacjentów takich jak ty, łatwiej sobie radzę z własnymi kłopotami.

– Jezu, Jan... – westchnęła Vee. Nie dodała: „Czy to naprawdę historia twojego życia, czy fabuła telenoweli?”. Nie powiedziała: „Trudno uwierzyć, że to wszystko przydarzyło ci się zaledwie dwa tygodnie temu”. Nie powiedziała: „Jedno samobójstwo? Tylko jedno marne samobójstwo?”. Nie powiedziała: „Hej, myślisz, że ty masz kłopoty? Pamiętasz tę masakrę w Chock full o’Nuts dwa lata temu?”. Nie licytowała się: „Sprawdzam twoją jatkę i podbijam moją rzeźnię”. Zamiast tego powiedziała: – Nie jestem dzielna. Co takiego robię, co by świadczyło o mojej odwadze? Po prostu będę tu leżeć przez kilka godzin i oglądać telewizję. Nie muszę nawet kiwnąć palcem.

– Daj spokój, jesteś chora jak pies – powiedziała Jan wielkodusznie. – I znosisz wszystkie te mdłości i wymioty.

– To prawda – zgodziła się Vee. – Mimo wszystko po prostu sobie leżę. Zbieram cięgi, ale mimo wszyst--ko po prostu sobie leżę do góry dupą.

– Widzisz? – powiedziała Jan. – Jesteś dzielna właśnie w tym momencie.

Podczas gdy tak się spierały, Alphonse i Gaston³¹ zmiennych kolei losu i nawałnicy gówna, Vee miała przed oczami przyklejony do ściany plakat przedstawiający skalę bólu. „Określ poziom odczuwanego bólu w skali od jednego do dziesięciu”, brzmiała instrukcja. Zastanawiała się, czy istnieją takie skale w odniesieniu do bólu emocjonalnego. W skali od jednego do dziesięciu – jeden to życie słodkie jak miska czereśni, a dziesięć to przeżycia Jan w tym tygodniu – gdzie umieścisz siebie? Nawet teraz Vee nie daje sobie dziesiątki. Może osiem. Nie twierdzi, że nie przeżywała ciężkich dni z powodu dezercji ojca i pierwszej rundy

raka, i samobójstwa matki, i morderstwa męża, i próby samobójczej siostry, i nawrotu raka, i drugiej i trzeciej próby samobójczej siostry, i śmierci ukochanego biednej najmłodszej siostry na AIDS, do czego doszło na początku lat osiemdziesiątych, kiedy właśnie myślałyśmy, że trochę się uspokoiło.

A więc w porządku, mówi Vee. A więc cierpiała. Ale czy cierpiała bardziej niż Jan? Albo bardziej niż Joshua Gottlieb, który ostatecznie stracił pracę i ubezpieczenie zdrowotne i nie miał innego wyjścia, jak tylko wprowadzić się z powrotem do domu rodziców w Winnetka, gdzie jego matka opiekowała się nim, ale jego ojciec nie pozwalał mu odbierać telefonów od zrozpaczonych nowojorskich przyjaciół? Ceną, jaką musiał zapłacić za możliwość leżenia w swoim dziecięcym łóżku, za pozostawanie pod opieką rodziny, za luksus całodobowych pielęgniarek i wszystko, co najlepsze, było przyznanie się, że wcale nie był gejem, że nigdy nie był gejem, że tylko tak mówił i prowadził takie życie, i zaraził się tą plugawą chorobą wyłącznie dlatego, że chciał wkurzyć rodziców. Nastoletni bunt wyrwany spod kontroli. Napisałybyśmy więcej o Joshui w epoce epidemii, ale Delph nam zabroniła. Wciąż nie potrafi tego znieść. Być może zatem na swój sposób nawet Delph wycierpiała więcej niż Vee. Bo przynajmniej miłość Vee była odwzajemniona.

Właściwie Vee powie wam, że nawet Nim Chimpsky wycierpiał więcej niż ona. To niewiniątko przekazywane od matki do matki. Ten wrażliwiec wychowywany przy rodzinach z dziećmi, obdarowywany czułością, uwagą i rozmowami, znający takie słowa, jak „zabawa” i „łaskotki”, i „przytulanie”. Nagle zostało mu odebrane wszystko, co znał, i został przekazany na farmę naczelnych w Oklahomie. Finansowanie badań lingwistycznych nie zostało przedłużone. Jego opiekunowie chcieli zająć się własnym życiem. Jak krzyczał, jak czepiał się kurczowo ostatniej ze swoich opiekunek tamtego dnia. Musiała odrywać go od siebie palec po palcu. Opuściła Oklahomę jak najszybciej, żeby nie musiała patrzeć, jak zamykają go w klatce.

Vee przynajmniej miała siostry, które nigdy jej nie opuszczają. Przynajmniej sama mogła podejmować decyzje. Przynajmniej wiedziała – przynajmniej wiemy, jak otworzyć zamknięte drzwi.

31 Przesadnie uprzejmi wobec siebie bohaterowie amerykańskiego komiksu.

Część II

Zgromadzenie

ROZDZIAŁ 11

W lipcu rozbił się samolot Johna F. Kennedy'ego, a my odbyliśmy naszą tradycyjną dyskusję. Vee uparcie twierdziła, że katastrofa nie była rezultatem żadnej klątwy ani nie miała żadnego znaczenia, dodała. Jedyna lekcja, jaką należało wyciągnąć z tego wydarzenia, była taka, że niedoświadczeni piloci nie powinni latać nocą nad wodą. Tymczasem Delph argumentowała, że to nieszczęście było sposobem wszechświata na umocnienie naszej decyzji, aby kopnąć w kalendarz. Jeśli nie zrobimy tego same, mówili nam bogowie, oni to zrobią. Odetchną potężnie i rozpetają burzę, która dosłownie wpedzi nas do grobu.

– Serio? – zapytała Vee. – Naprawdę myślisz, że Bóg zabił Johna-Johna, żeby wysłać nam wiadomość? Gdzie się podziały te czasy, kiedy po prostu wypisywał przepowiednie na ścianach pałaców?

– Chcesz zapowiedzi nieszczęścia na piśmie? – Delph wskazała na swoją łydkę. – Oto masz zapowiedź.

Czasami mówiła o swoim tatuażu, jakby pewnego dnia pojawił się na jej nodze w tajemniczy sposób, bez jej inicjatywy, jakby nie poszła i nie poprosiła o niego, i nie zapłaciła za niego czekiem. Vee wytknęła jej to. Powiedziała, że zachowuje się niedorzecznie, odrobinę narcystycznie. Ale kilka dni po tym, jak straż przybrzeżna wyłowiła rozbity kadłub samolotu z pięknymi ciałami wciąż przypiętymi do foteli, to właśnie Vee zaczęła czytać Junga. Wałęsała się po bibliotece, wyjaśniła, szukając czegoś do czytania w ciągu tych ostatnich sześciu miesięcy, kiedy na jednym z wózków ze zwrotami zauważyła opasłą księgę. Sygnatura na grzbiecie była bardziej dostrzegalna niż tytuł wypisany czarną czcionką na czarnym tle, ale i tak sięgnęła po tomiszcze i otworzyła je na pierwszej stronie. Dopiero wtedy zobaczyła, że nosi tytuł *Synchroniczność*.

Czy był to pozbawiony znaczenia zbieg okoliczności, że trafiła na książkę na temat znaczących zbiegów okoliczności? Początkowo myślała, że tak, ale później, w połowie tomu, doszła do wniosku, że może jednak nie. Zaczęła edukować Lady i Delph. Teoria synchroniczności Junga, pouczała je, nie opiera się na kapryśkach wścibskich bogów ani efektywności klątw obejmujących całe pokolenia. Jung był człowiekiem nauki i żywił przekonanie, że nauka w końcu objaśni przyczyny istnienia koincydencji. Na razie mogły być one nieznanne, ale to nie oznaczało, że zbiegi okoliczności są zjawiskami nadnaturalnymi. To nie oznaczało, że musimy myśleć jak ludzie prymitywni, wymyślać bogów i klątwy.

– Spotykał się z Einsteinem i rozmawiali o tym – powiedziała Vee – i ani się obejrzelśmy, a Einstein wymyślił teorię względności, a Jung nieświadomość zbiorową.

– I żadnej z tych rzeczy nikt nie rozumie – wtrąciła Lady. – Prawdopodobnie nawet sami twórcy.

Wyobraziłyśmy sobie tych dwóch mężczyzn w kawiarni, pochylających się ku sobie, dyskutujących gorączkowo z okruszkami ciasta na wąsach, udających, że pojmują to, co mówi ten drugi.

– Jung miał pewną pacjentkę – opowiadała Vee. – Śniło jej się, że ktoś podarował jej broszkę w kształcie skarabeusza. Podczas gdy ona opowiada Jungowi ten sen, on słyszy, jak coś stuka w szybę tuż za nim. Odwraca się i widzi dużego owada przyciąganego przez światło i próbującego dostać się do pomieszczenia. Jung otwiera więc okno i robak wlatuje do środka, a on chwyta go w dłoń i okazuje się, że to cholerny skarabeusz! Skarabeusz! Gatunek, który nawet nie żyje w Europie!

Pociła się odrobinę. To był gorący lipcowy dzień, ale była też wzburzona. Poza tym menopauza. Otarła czoło dłonią.

– Jung twierdzi, że te dwie rzeczy, ten sen i pojawienie się owada, były połączone przez znaczenie. Nie przez przyczynę i skutek, ale przez znaczenie. Mówi, że to inny rodzaj czasu. – Bacznie popatrzyła na Lady i Delph. – Czy myliłam się we wszystkim? – zapytała.

– Na to wygląda – powiedziała Delph, ale Lady zaprotestowała:

– Och, a któż to wie? On myśli, że opowieść pacjentki o skarabeuszach i jednocześnie pojawienie się nienatywnego chrząszcza to tak zwariowany zbieg okoliczności, że musi mieć znaczenie. Ale może pacjentka śniła o tej broszy, bo zobaczyła nienatywnego chrząszcza w swojej wannie dzień wcześniej. Może tamtego roku w Europie Zachodniej akurat panoszyła się plaga nienatywnych chrząszczy. Więc on rozgłasza wszem wobec, że nie było żadnego zauważalnego związku przyczynowo-skutkowego między snem a chrząszczem za oknem, ale mogłoby się okazać, że istniał poważny związek przyczynowo-skutkowy między skarabeuszem w wannie a snem.

– Tak – powiedziała Delph. – Albo Vee myliła się przez wszystkie te lata, a ja miałam rację. Brzytwa Ock-hama: najprostsza odpowiedź zawsze jest właściwą odpowiedzią. *Ergo*, zbiegi okoliczności mają znaczenie. Nie mam nic więcej do dodania.

– Podejrzewam, że każdy człowiek rozważający własną śmierć przynajmniej raz przeżywa moment zwątpienia, kiedy zastanawia się nad tym, czy nie mylił się odnośnie wszystkiego – powiedziała Lady.

– Czas akauzalny – podjęła Vee. – Tak on i Einstein to nazwali. Czas połączony przez znaczenie, a nie przez pojęcia przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, których my tak kurczowo się trzymamy.

Popatrzyłyśmy na siebie bezradnie. Dotarłyśmy do granic naszej możliwości pojmowania.

– Fascynowała go również księga *I Ching* – dodała Vee.

Wszystkie westchnęłyśmy nostalgicznie. Niedługo potem Vee – tak, Vee! – poszła i kazała sobie wytatuować małego irysa na kostce.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to boli jak diabli? – zapytała Delph, kiedy wróciła do domu.

Ale zrobiła sobie coś więcej niż tylko ten mały rysunek. Tatuażystka, do której się udała, młoda kobieta w białej letniej sukience i z gołymi stopami, z paznokciami u stóp pomalowanymi na czarno i ramionami pokrytymi motywem lasu deszczowego – czerwona bugenwilla, ciemnozielone źdźbła trawy i oczy dzikich kotów – od razu polubiła Vee.

– Podoba mi się, jak nosisz swoje włosy – powiedziała.

– Raczej jak ich nie noszę – sprostowała Vee.

– To bardzo odważna stylizacja. Bardzo mocna.

– To chemioterapia – wyjaśniła Vee.

– Mam pewien pomysł – oznajmiła kobieta.

Nie składała jej wyrazów współczucia. Dla niej to była po prostu okazja do zabawy z modą. Vee musiała przyznać, że była bardzo atrakcyjna. Miała gęste, kręcone, puszyste włosy podobne do włosów Delph, chociaż odgarnięte z twarzy, czarniejsze i bardziej lśniące dzięki kosmetykom do stylizacji. Nosiła kółko w brwi i sztyft z dużym diamentem w nozdrzu.

– Żadnego piercingu – zastrzegła Vee.

– Żadnego więcej bólu – przytaknęła kobieta. – Tylko proszek i pędzel.

Nałożyła hennę na puste płótno, jakim była łysina Vee. Błyszczące brązowe diamenty pokrywały teraz skórę jej głowy od ciemienia aż po czoło, uszy i kark.

– Oświecenie – powiedziała nam Vee.

Takie było znaczenie tego wzoru. Tatuażystka miała jeszcze inne, ładniejsze, takie, które przynosiły zdrowie, i takie, które gwarantowały długie życie, ale Vee powiedziała, że woli coś, na co wciąż jeszcze ma szansę.

– Wygląda dobrze – pochwaliła Lady.

Vee uniosła dłoń, żeby przesunąć nią po skórze głowy, ale się powstrzymała. Wciąż bała się jej dotknąć, bała się, że rozmaże hennę albo się poplamie. Ale była zadowolona.

– Powinnaś była to zrobić piętnaście lat temu – powiedziała.

Lady się zaśmiała.

– I właśnie zaczęłaś mieć przebłyski oświecenia.

Kolejną mało doniosłą, ale nietypową rzeczą, jaką zrobiliśmy tego lata, było opuszczenie domu w sobotę – pod koniec sierpnia – żeby pobyć na świeżym powietrzu. Nie kochamy natury, nie cieszymy się jakoś szczególnie doświadczeniem jej bez cholernie dobrego powodu. Ale to był ładny dzień, a my pomyślałyśmy, że spróbujemy tylko w ramach eksperymentu zachować się

normalnie. Wiedziałyśmy, na czym polega całe to „spędzanie soboty w parku”: wkładało się butelkę wina i kilka czerwonych plastikowych kubeczków do torby na ramię, a potem, razem z pozostałymi mieszkańcami Upper West Side, którzy nie wyjechali z miasta nad ocean ani w góry, jechało się metrem do Zabar’s i siłą wpychało się do środka, a dziesięć minut później siłą przepychało na zewnątrz ze zdobycznym bochenkiem francuskiego chleba, kilkoma trójkątnymi kawałkami sera i wczesnym wydaniem „Timesa”, żeby móc rozwiązać niedzielną krzyżówkę i, jeśli to był właściwy tydzień, akrostych.

Poradziłyśmy sobie z tym wszystkim wspaniale, fachowo. Poszłyśmy przez park do Zabar’s, a potem wróciłyśmy przez park w nasze rejony. Znalazłyśmy odosobnioną ławkę i jadłyśmy, i piłyśmy, i karmiłyśmy wiewiórki. Słyszałyśmy mecze tenisa rozgrywane kilka przecznic dalej. Tenis nas nie interesował, ale lubiłyśmy przypominający bicie serca dźwięk wolejów, miarowe trach, trach.

Słuchając tak i jedząc, i upijając się, przyglądałyśmy się hebanowym arteriom i okrągłym plastrom na korze drzewa, i ciemnopomarańczowym miseczkom żołądź. Badałyśmy trawę, ostre źdźbła, zielone z jasnobrażowymi koniuszkami jak źle ufarbowane włosy. Prowadziłyśmy konwersację jak za czasów college’u. Temat: Czy postrzeganie natury jako pięknej jest wyuczonym konstruktem, czy też drzewa, kwiaty i trawa są ze swej istoty najpiękniejszymi twórcami nie tylko na Ziemi, ale i w całym wszechświecie? To jest, czy jeśli Marsjanin wylądowałby swoim statkiem kosmicznym w parku Riverside, byłby porażony niemal do łez widokiem kory i trawy, i szewronów gęsi opuszczających miasto, a nawet widokiem gołębi o piórach połyskujących tym samym srebrnym fioletem co tęcze w kałużach, Czy może popłakałby się, bo to, co my uważamy za piękne, dla niego jest ohydne, szczególnie w porównaniu z surowym czerwonym żwirem na Marsie. Rozmawiałyśmy również o mniej ulotnych kwestiach. Jak potoczą się sprawy w Kosowie i Timorze Wschodnim? Kto zostanie następnym prezydentem? Co zrobią z Columbine³²? Nigdy się nie dowiemy.

– Mam tylko nadzieję, że zanim odejdziemy, ujawnią tożsamość Głębokiego Gardła³³ – powiedziała Delph. – Umieram z ciekawości od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego.

A co z zagładą całego rodzaju ludzkiego? Nad tym również się zastanawiałyśmy, podczas gdy gąsienice barwy limonki kurczyły się i rozciągały, pokonując swoje trasy. Jaką metodę wykorzysta rodzaj ludzki, aby obrócić się w perzynę? Bo że to robi, i to wkrótce, wydawało się nieuniknione. Ale jak? Trujący gaz w metrze jak w Tokio? Saletrol w rękach wściekłych, obłąkanych lub wstrętnych jak w Oklahoma City³⁴? Czy może życie na Ziemi dobiegnie kresu w rezultacie już zauważalnej katastrofy ekologicznej?

To imponujące – nie sądzicie? – że nasz kontrowersyjny przodek maczał palce w... a właściwie wyznaczył kierunek rozwoju każdego z tych potencjalnych

środków anihilacji. Nawet nawóz azotowy, kiedyś uważany za zbawienie ludzkości, okazał się niezwykle groźny jako główna przyczyna zanieczyszczenia powietrza, zanieczyszczenia wody, zakwaszenia gleby, stref martwych wód, kwaśnych deszczy, dziur w warstwie ozonowej, smogu i przyspieszonego globalnego ocieplenia. W publikacjach zawsze dodawano „między innymi”, jakby ta lista i tak nie była już wystarczająco straszna.

Było późne popołudnie. Spakowałyśmy nasze rzeczy. Delph cicho śpiewała w drodze do domu. Zaczęła śpiewać częściej, również w obecności Lady i Vee. Najbardziej lubiła *Waltzing Matilda*. To nie przypadek, że piosenka traktowała o facecie, który się zabija.

– On jest złodziejem owiec, który właśnie ma zostać przyskrzyniony przez gliniarzy – zauważyła Vee po tym, jak Delph przerobiła wszystkie trzy zwrotki, śpiewając o starorzeczach, torbach na jedzenie i niestrzyżonych baranach. – To nie do końca nasza sytuacja.

– Wszyscy mamy swoje powody – odrzekła Delph.

Czasami Lady i Vee śpiewały razem z nią. Wszystkie lubiłyśmy ten motyw. Był dla nas melodią przewodnią.

Dzień spędzony na pikniku okazał się uroczy, ale już go nie powtórzyłyśmy. Naszym celem było wycofanie się ze świata, a nie uczestnictwo w nim. Jeden piknik nie sprawił, że zmieniliśmy zdanie na jakikolwiek temat.

Poza tym było to zwyczajne lato. Ostatecznie żadna z nas nie rzuciła pracy, chociaż Vee zaczęła opuszczać dni tu i tam. Żadna z nas nie sypiała też do południa, w każdym razie nie regularnie. Nie pojechałyśmy też na prawdziwą plażę. Ani razu. Jak się okazało, póki nasze ciała fizycznie stąpały po tej ziemi, nie miałyśmy ochoty przekonywać się, jak wyglądają w kostiumach kąpielowych. Wybrałyśmy się za to na wystawę Francisca Bacona w MoMA, ale pożałowałyśmy i wyszłyśmy w połowie. „Zawsze go myślę z Samem Francisem” – przyznała Lady ze skruchą, kiedy już wyswobodziłyśmy się ze strumienia ludzi snujących się po salach w słuchawkach. Po tym doświadczeniu żadna inna wystawa nas nie zachęcała.

Próbowałyśmy czytać powieści. Kupiłyśmy taką jedną w twardej oprawie, o kobiecie, która zostaje ugryziona przez wściekłego nietoperza, ale nas nie wciągnęła. Byłyśmy zbyt rozkojarzone, żeby zagubić się w słowach. Próbowałyśmy oglądać filmy, ale miałyśmy ten sam problem. Nie mogłyśmy się skupić na fabule. Widziałyśmy tylko aktorów, ich twarze w zbliżeniach, skazy, blizny, to, jak bardzo się zestarzelili od poprzedniego filmu, w którym grali.

Ponieważ tak niewiele rzeczy nas zajmowało, nabrałyśmy nawyku mycia się i przebierania w bieliznę nocną natychmiast po kolacji. Nic eleganckiego, po prostu

przyduże koszulki, spodnie od dresu i puszyste skarpety. Postanowiłyśmy, że w tych strojach umrzemy.

Gdy tylko przebrałyśmy się do spania, oto, gdzie się udawałyśmy: na materac Vee, wciąż leżący na podłodze. Jeśli akurat nie byłyśmy w pracy, to spędzałyśmy czas praktycznie przykute do łóżka jak inwalidki. Siedziałyśmy pod kocami, w rzędzie i zawsze w tej samej kolejności: Lady najbliżej wschodniej ściany, Delph pośrodku, Vee od zachodu, przy białych plastikowych żaluzjach zamkniętych na oknie nad naszymi głowami. Tam dogadzałyśmy sobie drinkami i konwersacją. Tam pisałyśmy naszą historię. Tam skończyłyśmy pisać naszą historię. Wydrukowałyśmy ją i spięłyśmy dużym czarnym plastikowym klipssem do papieru. Położyłyśmy ją na kredensie babki Karin.

Czasami spędzałyśmy na tym materacu całe weekendy. Byłyśmy szczęśliwe w naszym małym królestwie metr dziewięćdziesiąt na dwa metry. Czasami Delph zahaczała swoje stopy o lewą stopę Lady i prawą stopę Vee. Chciała, żebyśmy tak odeszły, połączone, żebyśmy wszystkie wylądowały w tym samym miejscu.

– Jak te obejmujące się szkielety, które czasami znajduje się w starożytnych grobach – powiedziała.

Dopiero w połowie sierpnia Vee zaczęła narzekać na ból pleców. Całe to leżenie w łóżku stało się dla niej fizycznie nieprzyjemne. Dokuczały jej skurcze mięśni tak nagłe i silne, że odbierało jej dech.

– Postawa – skomentowała Lady.

Kupiłyśmy trzy klinowe poduszki i próbowałyśmy siedzieć bardziej wyprostowane, ale to nie pomogło Vee.

– Musisz robić brzuszki – uznała Delph. – Masz osłabiony gorset mięśniowy.

Vee się zaśmiała.

– Unikałam ćwiczeń przez całe życie. Nie zacznę teraz.

– Tak naprawdę to potrzebujesz nowego materaca – powiedziała Lady. – Czegosi twardego. I może jednego z tych kontynentalnych łóżek dla kapitalistycznych świń.

Vee odrzuciła również i tę sugestię. To byłoby szaleństwo, powiedziała, wydać tyle pieniędzy na nowe łóżko, którego będzie używała jedynie przez kilka miesięcy.

– Tak, to ma sens – skwitowała Lady zgryźliwie. – Lepiej przeżyć ostatnie miesiące w niewygodzie, niż umrzeć z kilkoma stówkami dolarów mniej w banku. Twój nieistniejący spadkobierca ci podziękują.

Nie było jednak sensu przy tym obstawać. Vee nie chciała pozbyć się materaca, na którym kiedyś sypiała z Eddiem. Zamiast tego, kiedy wierciła się i narzekała, Lady kazała jej się przewracać na brzuch i masowała jej plecy, nigdy do końca nie znajdując źródła bólu, nigdy nie będąc w stanie rozluźnić napiętych

mięśni, ale masując i tak i przerywając dopiero wtedy, kiedy palce jej sztywniały, a nadgarstki bolały albo kiedy Vee mówiła: „Okej, to już przestało być przyjemne, a zaczęło być irytujące”. Ból w końcu ustępował sam, ale zawsze powracał, zawsze odrobinę silniejszy. Pewnego wieczoru w drodze z kuchni do pokoju Vee, z kieliszkami wina w dłoniach, zrobiła gwałtowny wdech i zadrżała tak dramatycznie, że jabol chlusnęła na dywan.

– Chodź! – zawołała Lady. – Połóżmy cię do łóżka. Pomasuję ci plecy.

Delph już miała zażartować, że Vee dosłownie nie powinna brać kieliszka do ręki, kiedy to do niej dotarło. Z większym współczuciem, niż to zabrzmiało, powiedziała:

– Och, na litość boską. Jakie my jesteśmy głupie! To nie mięśnie cię bolą. To twoje kości. To rozprzestrzeniło się na twoje kości.

– Och – zrozumiała Vee. – Oczywiście.

Zaczęłyśmy się śmiać. Przez cały ten czas udawało nam się wiedzieć, ale nie wiedzieć, rozumieć, ale nie rozumieć. Przez cały ten czas, kiedy skrupulatnie przygotowywałyśmy się na koniec – sprawdzałyśmy, czy mamy wystarczająco dużo tabletek, czytałyśmy na temat najlepszych płynów, w jakich należy je rozpuścić (sok owocowy tak, koktajle mleczne nie), co wieczór pisałyśmy o życiu naszym i naszych przodków, udoskonalałyśmy i/lub porzucałyśmy nasze rozmaite filozofie, praktykowałyśmy medytację (leżałyśmy płasko na plecach na materacu, więc naturalnie nazywałyśmy to leżytacją, chociaż czasami musiałyśmy być szczerze i przyznawałyśmy, że to po prostu drzemka) i niemal codziennie potwierdzałyśmy nasz pakt – przez cały ten czas chowałyśmy głowę w piasek. Nie byłyśmy w stanie dostrzec oczywistości.

Mniejsza o przeciwstawne kciuki. Mniejsza o świadomość własnej śmiertelności. To ta rozmyślna amnezja tak naprawdę odróżnia człowieka od zwierzęcia. Ale nasza amnezja już ustąpiła. Nie mogłyśmy wyrzucić z pamięci tego, czego właśnie się dowiedziałyśmy. Ból Vee na to nie pozwoli. Teraz zauważałyśmy to, na co wcześniej przymykałyśmy oko: utratę wagi, żółknącą skórę... Czasami Vee dostawała gorączki. Czasami miewała halucynacje – nawiedzała ją upiorna zjawa naszej matki. Czasami rzucała się na łóżku. „Leżę na szkielecie Eddiego” – szeptała. Jego kości ją uwierały. Co to oznaczało? Pytała szeptem, żeby nie wiadomo kto jej nie usłyszał. Mimo tego wszystkiego – pomimo postępującej choroby Vee i naszej niezachwianej decyzji, żeby zrobić to, co zamierzałyśmy zrobić, pomimo zrzeczenia się resztek nadziei, których bezwiednie kurczowo się czepiałyśmy, pomimo tego, że rozumiałyśmy, iż przechylamy się w kierunku końca naszej egzystencji, przynajmniej na pokładzie tego ziemskiego samolotu – nigdy nie byłyśmy przygnębione. Nie siedziałyśmy i nie użalałyśmy się nad sobą. Napisałyśmy o przeszłości, żyłyśmy w teraźniejszości, czegoś takiego jak przyszłość nie było. Stawiałyśmy ostrożnie kroczonek za kroczonekiem. Mijał dzień za

dniem. Wszystko było dobrze.

A wtedy wszystko się zmieniło.

32 Masakra w Columbine High School – masowe zabójstwo dokonane 20 kwietnia 1999 r. przez Erica Harrisa i Dylana Klebolda, dwóch nastoletnich uczniów tego liceum. Z broni palnej zamordowali 12 rówieśników i jednego nauczyciela, raniąc przy tym 24 inne osoby; popełnili samobójstwo, zanim do budynku wkroczyła policja.

33 Ang. *Deep Throat* – pseudonim Marka Felta będącego informatorem Boba Woodwarda i Carla Bernsteina, którzy opisali aferę Watergate, doprowadzając do dymisji prezydenta Richarda Nixona. Dopiero 31 maja 2005 r. Mark Felt na łamach gazety „Vanity Fair” ujawnił, że to on był źródłem informacji o aferze Watergate.

34 Zamach terrorystyczny 19 kwietnia 1995 r. w Oklahoma City przed budynkiem federalnym im. Alfreda P. Murraha. Esksplozja ciężarówki wypełnionej materiałem wybuchowym spowodowała zawalenie się znacznej części siedmiopiętrowego budynku i uszkodzenie 324 innych budynków w promieniu sześciu ulic od epicentrum; zginęło 168 osób, a ponad 680 zostało rannych.

ROZDZIAŁ 12

W połowie września, dwa tygodnie po tym, jak Vee w końcu zadzwoniła i zrezygnowała z pracy, nadszedł huragan Floyd. To był dzień powszedni, czwartek, kiedy zaczęło padać i wiać. Wszyscy po-kończyli wcześniej. Szefowa Lady zamknęła księgarnię, Delph została odesłana do domu z kartoteki w piwnicy, chociaż tam było prawdopodobnie bezpieczniej niż w naszym mieszkaniu. We trzy usiadłyśmy w ciemnym salonie. Byłyśmy zbyt zmęczone, by cokolwiek robić. To z winy pogody, jednocześnie groźnej i męczącej. W końcu Vee wstała z fotela i położyła się na podłodze.

– Chcesz się położyć do łóżka? – zapytała Lady.

Vee nie odpowiedziała.

– Przykryć cię kocem? Chcesz poduszkę pod głowę?

Vee wciąż milczała. Coś uderzyło o szybę. Podskoczyłyśmy ze strachu. To był tylko deszcz, ale bębnił tak mocno, jakby wszystkie krople sprzymierzyły się i rzuciły na nasze okna.

– A co, gdybyśmy to zrobiły dziś wieczorem? – wyszeptała Vee.

Spodziewalibyście się, że to wywoła dyskusję. Ale my milczałyśmy. Po jakimś czasie Lady zapytała:

– Naprawdę jesteś aż tak chora?

A Vee powiedziała, że nie, nie jest, ale właśnie o to chodzi. Nie chciała czekać, aż naprawdę będzie tak chora. Nie podobała jej się myśl o chorowaniu bardziej, niż chorowała teraz.

Nic nie robiłyśmy, nic nie mówiłyśmy. Nawet nie piłyśmy. Po prostu gapiliśmy się na co popadnie – sufit, ścianę, ulicę poniżej, gdzie parasolka wywinięta na drugą stronę skakała po chodniku jak czarny kwiat ze srebrną łodygą.

– Decyzja należy do ciebie – powiedziała w końcu Lady. – Zawsze należała do ciebie.

Vee dalej szeptała:

– Nie chcę umierać i nie chcę żyć. Chcę się po prostu wydostać z tego ciała.

Trudno ją było dosłyszeć przy całym tym zgiełku za oknami.

– Dlaczego szepczesz, skarbie? – zapytała Lady również szeptem.

– Może potraktujemy to etapami – Delph także szeptała. – Może sprawdzimy, na czym stoimy, dziś wieczorem.

Tak właśnie zrobiłyśmy. Podczas gdy Vee leżała na dywanie w salonie, Lady i Delph zmusiły się do działania. Zdjęły starą pościel z łóżka w pokoju zmarłych i umierających i zasłały je świeżą zmianą. Wierzymy w tradycję. Jeśli Vee nie zmieni zdania, właśnie do tego pokoju przyjdziemy się położyć.

Przygotowałyśmy to, co – jak rozumiałyśmy – mogło się okazać naszym ostatnim posiłkiem, choć niekoniecznie: makaron z serem z pudełka. W domu nie było wiele więcej do jedzenia, ale wynikało to częściowo z tego, że makaron z serem był jedyną rzeczą, którą Vee teraz jadła. Smak sproszkowanego sera był tak mocny, że przewycięzał metaliczny posmak wiecznie i z niewiadomych przyczyn pokrywający jej język. Ale nie mogła zjeść go za dużo. Żołądek bolał ją nawet po najmniejszych posiłkach i wszystko, nawet lody, zdawało się wywoływać u niej zgagę. Często mawiała, że to były takie dolegliwości, które ludzie nieumierający zauważali, ale się im nie poddawali. Wyobrażała sobie rzeczników z reklam Pepto-Bismolu, aspiryny Bayera i tabletek na ból pleców Doan otaczających ją, wciskających jej swoje towary, zapewniających, że nie doświadcza niczego, czego odrobina leków bez recepty nie mogłaby uśmierzyć. Myślała, że kiedy przyjdzie ten ból, to będzie ból specjalny, którego nie da się nazwać ani opisać, elegancki ból znany tylko umierającym. Spodziewała się dreszczy agonii, które będą przychodzić i odchodzić jak lodowate fale w zimie. Zamiast tego miała zgagę. Miała skurcze. Miała biegunkę. Bolały ją plecy.

Picie również przysparzało jej bólu. Czuła zygzaki błyskawic przeszywające jej brzuch i, co dziwne, pięść wciśniętą między łopatki. Zrezygnowała z wina i alkoholi wysokoprocentowych, ale piła baileysa, kremowego i kalorycznego, uznając, że obie te rzeczy będą dla niej dobre.

Podczas gdy Vee jadła swoją maleńką porcję makaronu z serem, Lady i Delph podzieliły resztę między siebie i pożarły ją – biała mąka i sproszkowane substancje chemiczne – nie zostawiły ani jednego pomarańczowego kolanka. Wykończyły też dwie butelki wina. Nie było rozmowy. Vee wcześniej wstała od stołu i udała się do swojego pokoju. Deszcz był teraz głośny jak artyleria. Lady i Delph pozmywały naczynia i schowały je, czego normalnie by nie zrobiły.

W pokoju Vee, podczas gdy siostra leżała na plecach, Lady i Delph klęczały na materacu, twarzami do okna, z nagimi, pokrytymi odciskami stopami po obu stronach jej głowy. Bez słowa obserwowały burzę. Chłoneły widok zmaconej rzeki Hudson, grzywy fal i pryskającą pianę. Gapiły się na obłężony park. Starsze drzewa kołysały się z wiatrem, wprawne i pewne siebie jak ludzie codziennie dojeżdżający do pracy metrem. To te młode smukłe drzewka płaszczyły się i traciły członki. To one były narażone na niebezpieczeństwo, ich systemy korzeniowe nie wniknęły jeszcze wystarczająco głęboko, a ich pnie nie były przyzwyczajone do wichury.

– Gdybyśmy napisały powieść i omawiano by ją na uniwersytecie – powiedziała Delph z przedramionami opartymi na parapecie, z policzkiem złożonym na przedramionach – studenci cytowałiby tę scenę w eseju: „Symbolika natury w dziele sióstr Alter”. – Wymyśliła zdanie otwierające rozprawę: – „W pracy tej zamierzam dowieść, że młode drzewa smagane wiatrem huraganu

Floyd reprezentują główne postacie tej opowieści, kobiety zbyt niedojrzałe, żeby mogły wytrzymać spadające na nie podmuchy życia”.

– To huragan – odezwała się Vee. Wciąż szeptała. Było ciemno, ale zarzuciła przedramię na oczy, jakby razilo ją światło lampy na suficie. – Drzewa padają – powiedziała. – To znaczy tylko tyle, że tropikalny cyklon natrafił na pas wysokiego ciśnienia w epoce geologicznej, w której temperatury oceanu są wyjątkowo podwyższone.

Delph spojrzała na Lady. Uśmiechnęły się do siebie. Prognoza pogody przekazana schrypniętym rzeczowym szeptem – to było tak osobliwe i zabawne. Nikt im nigdy nie powiedział, że dekompensacja może być zabawna.

– Oczywiście, jak o tym pomyśleć, to przyczyną podwyższenia temperatury w oceanach jesteśmy my – wyszeptała Lady. – Doszło do tego przez naszą rodzinę.

– Przez niego – uściśliła Delph. Szept sprawił, że słowo „niego” zabrzmiało jak westchnienie.

– Mimo wszystko – ciągnęła Lady – to dziwne, prawda? Te drzewa mogą nie mieć żadnego znaczenia dla nas, ale nasza rodzina ma znaczenie dla nich.

– Czas akauzalny – podsumowała Delph. – Wersja arborealna. – Nadal dyskutowałybyśmy szeptem o temperaturach oceanu, symbolizmie i oznakach globalnego ocieplenia, ale nagle ktoś zaczął szarpać za klamkę drzwi wejściowych do naszego mieszkania, wprawiając je w drżenie.

Zamilkłyśmy natychmiast. Ucieszyłyśmy się, że rozmawiałyśmy szeptem. Dzięki temu łatwiej było udawać, że nikogo nie ma w domu. Lady i Delph podniosły się z trudem, wyszły do przedpokoju i dotarły aż do holu. Musiały wyglądać przezabawnie, na paluszkach tuż obok siebie, jakby wykonywały pantomimę, ale one nie uważały całej tej sytuacji za śmieszną. Tylko Vee, wciąż leżąca w łóżku, dostrzegła jej komizm. To doprawdy w naszym stylu: zginać z rąk włamywacza zaledwie kilka godzin przed pieczołowicie zaplanowanymi samobójstwami.

Lady i Delph zatrzymały się metr od drzwi i obserwowały mosiężną gałkę, która przekręcała się w lewo, potem w prawo, potem znowu w lewo, znowu w prawo coraz szybciej i gniewniej.

– Powinnyśmy podsunąć jakiś ciężki mebel pod drzwi, a potem zadzwonić na policję – wyszeptała Delph. Wreszcie *bona fide* powód do szepciania.

Ale Lady zebrała się na odwagę i zawołała:

– Kto tam?

Nie było odpowiedzi, tylko dalsze szarpanie drzwi, obracanie gałki. Z nadzieją popatrzyły na solidną kolekcję łańcuchów i pomocniczych zamków po naszej stronie ościeżnicy, ale wszystkie były pootwierane. Jak sępniki

różowogłowe, te stworzenia o bladych pyskach, wielkich dziobach i przymrużonych oczach, które komunikują się głównie przez syczenie, Lady i Delph znowu zaczęły szeptać, wydając sobie nawzajem rozkazy. „Powinnaś spojrzeć przez wizjer”. „Powinnaś pójść po nóż do krojenia mięsa”. „Powinnaś zadzwonić pod numer alarmowy”. Ale ani drgnęły.

Początkowo ich bierność została nagrodzona. Szarpanie za klamkę gwałtownie ustało i zapadła długo wyczekiwana, choć niepokojąca cisza. Wszystkie nasłuchiwałyśmy uważnie, Lady i Delph w holu, Vee w swoim łóżku, wszystkie miałyśmy nadzieję, że dotrze do nas dźwięk oddalających się w pośpiechu kroków, dzwonek wzywanej windy, odgłosy ucieczki. Nic z tych rzeczy. Zamiast tego usłyszałyśmy charakterystyczny dźwięk klucza wkładanego do zamka. Zapadki trafiły na odpowiednie miejsca. Delph zrobiła krok do tyłu, a Lady stojąca bezpośrednio za nią objęła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie.

Drzwi otworzyły się i do holu wkroczyła staruszka. Miała na sobie niebieski winylowy płaszcz przeciwdeszczowy i czerwone trampki, teraz zabarwione na kasztanowo od chodzenia po kałużach. W dłoni ścisnęła plastikową torbę na zakupy w szkocką kratę. Nie miała kaptura przeciwdeszczowego ani parasolki, a jej włosy, szpakowate i przycięte na boba, były szorstką płataniną krótkich sprężystych loczków. Przemokła tak bardzo, jakby właśnie wyszła spod prysznica albo została wyciągnięta z rzeki. Oczy miała małe i czarne, nos równie haczykowaty jak nasze, ale nawet większy, ogromny, stanowiący niezbitą dowód na smutną prawdę, że chrzęstne elementy ciała rosną przez całe nasze życie, a nawet jeszcze przez jakiś czas po śmierci.

Lady i Delph wiedziały, że staruszka miała teraz nos większy niż w młodości czy nawet pod koniec życia, bo doskonale wiedziały, kim ona jest. Rozpoznały ją natychmiast.

Nie da się opisać, co poczuły w tamtym momencie. One, które nigdy nie płakały, zapłakały. One, które nigdy nie chichotały, zachichotały. Były szalenie szczęśliwe, były po prostu szalone.

To Delph odważyła się powiedzieć to na głos, jednocześnie z zażenowaniem, respektem i strachem. Ścisnęło ją w gardle, ale zdołała wydusić:

– Mamusia?

Cóż, oczywiście to było absurdalne. Jedną rzeczą jest wierzyć w to, co nieznanne i niewidzialne, przeprowadzać debaty w akademiku czy zmagać się z teoriami fizyki kwantowej, Boga, synchroniczności i nihilizmu... Jedną rzeczą jest postanowić, że wierzy się w podróże w czasie albo w anioły stróżę, albo klątwy, albo w nic. Ale wierzyć nawet przez moment, że twoja zmarła matka właśnie przekroczyła twój próg, sprawdzisz najpierw prognozę pogody

i włożywszy płaszcz przeciwdeszczowy, jak również zabrawszy małą wypakowaną torbę i klucze do starego mieszkania – cóż, spójrzmy prawdzie w oczy, to zupełnie inna rzecz. To nie jest ani wiara, ani nauka, to po prostu psychoza.

Lady i Delph wzięły się w garść, zanim jeszcze obeschły im łzy, a emocje opadły. Ale skoro to nie była nasza matka, to kto to był? Bo wciąż nie ulegało wątpliwości, że ta kobieta w naszym holu mogłaby być jednojajową siostrą bliźniaczką naszej matki. Ewidentnie była z nami spokrewniona. Kuzynka, podejrzewały Lady i Delph. Potomkini jakiegoś Altera, która zdołała uciec z obozu śmierci i pięćdziesiąt pięć lat później przyjechała do Nowego Jorku, żeby nas odnaleźć. Tak sobie pomyślały, ale była to kolejna absurdalna teoria. Absurdalna, bo jak turystka pozyskałaby klucze do naszego mieszkania? Co więcej, ta kobieta nie ucieszyła się na ich widok. Właściwie to zdawała się w ogóle nie zauważać Lady i Delph. Ani najwyraźniej nie była w stanie ich usłyszeć. Sprawiała wrażenie, jakby zamieszkiwała inny wymiar niż one. Kiedy zadały podstawowe pytania – „Przepraszamy, ale kim pani jest?”, „Przepraszamy, ale skąd pani przybyła?”, „Przepraszamy, ale o co, do cholery, tutaj chodzi?” – staruszka w ogóle nie zareagowała. Proponowanie jej ręczników było jak rozmawianie ze ścianą. Staruszka, której deszcz skapywał z czubka nosa, zawiesiła mokrą torbę na słupku krzesła w holu. Spojrzała na lewo: kącik jadalny i kuchnia. Spojrzała na prawo: salon. Jej twarz zajaśniała radością. Zostawiając na podłodze mokre odciski trampek, z chlupotem minęła Lady i Delph i podreptała chwiejnie bezpośrednio do pokoju Vee. Otworzyła drzwi na oścież. Lady i Delph słyszały, jak Vee szeptem zadaje pytania, bez wątpienia bardzo podobne do tych, które i one zadawały. „Kim jesteś?” „Czego chcesz?”

Kobieta nie była w stanie zarejestrować obecności Lady ani Delph, ale najwyraźniej zobaczyła Vee. Wyraz jej twarzy zmienił się całkowicie. Światło w oczach zgasło i ustąpiło miejsca strachowi. Odsunęła się od wejścia, wpadając na ścianę za sobą. Rozejrzała się nagle zdezorientowana. Jej zmieszanie zamieniło się we wzburzenie. Szamotała się jak ptak uwięziony w szybie wentylacyjnym, machała dłońmi niczym dziecko szykujące się do napadu złości. Teraz to ona zaczęła wzywać matkę. Jej głos brzmiał niepokojąco jak głos dziecka, sepleniący i przesłodzony.

– Mama! – zawołała jak stara lalka Chatty Cathy, którą nasza matka kiedyś przyniosła nam z Wool-worths. Gdy pociągnęło się za sznurek na jej karku, mówiła, ale mechanicznie jak robot, a nie jak żywa osoba.

Nie miałyśmy bladego pojęcia, jak jej pomóc. Lady próbowała ją pocieszać, ale nieznajoma jej nie słyszała. Vee wyłoniła się ze swojej sypialni i zrobiła kilka kroków w jej kierunku, ale krzyki kobiety wzmagaly się, dopóki się nie wycofała. Delph spuściła głowę, pozwoliła, żeby włosy opadły jej do przodu, trzymała się na uboczu. „Anioł śmierci”, myślała sobie. Diabeł miał moc, by przybrać przyjemną –

jeśli nie do końca przyjemną, to przynajmniej znajomą – formę.

Trwało to jeszcze przez jakiś czas: my trzy skonfundowane, a staruszka skonsternowana i przywołująca matkę. Ale kiedy jej matka nie przysłała i kobieta zdała sobie sprawę z tego, że jest sama, zrobiła to, co na jej miejscu zrobiłaby każda mała dziewczynka przemoczona do suchej nitki, przestraszona i zagubiona: osunęła się po ścianie na podłogę w korytarzu, przyciągnęła kolana do klatki piersiowej, przycisnęła do nich czoło i zaszlochała.

Delph pierwsza zdała sobie sprawę, kim tak naprawdę jest ta staruszka.

– Violet? – zapytała i – jakby zdjęto z niej jakiś zły czar – kobieta nagle nas usłyszała i podniosła wzrok, żeby przekonać się, kto wymówił jej imię.

Nasze mieszkanie objęte jest czynszem kontrolowanym. Nie regulowanym. Kontrolowanym. Kontrolę czynszów wprowadzono po drugiej wojnie światowej i już dawno temu zniesiono, ale dopóki lokal będzie zajmował chociaż jeden członek naszej rodziny w linii prostej, dopóty mieszkanie wciąż będzie nią objęte. To dobra rzecz, powód do zazdrości, kocyk bezpieczeństwa. Czasami jednak staje się to uciążliwe, szczególnie gdy wpadasz na właściciela budynku, który nie jest zadowolony z twojej przedłużającej się egzystencji. Wówczas sytuacja zaczyna przypominać fabułę brytyjskiej powieści z osiemnastego wieku, w której brat dziedziczy cały rodzinny majątek, ale pozwala niezamężnej siostrze zamieszkiwać jedną z chałup na terenie posiadłości, dopóki ta wreszcie nie zachowa się jak należy i nie umrze.

To właśnie kontrolowany czynsz umożliwił naszej matce pozostanie w tym mieszkaniu po śmierci rodziców. Miała wtedy szesnaście lat. Jako dzieci nigdy nie potrafiliśmy sobie tego wyobrazić. Jak to możliwe, że nikt nie uznał za niedopuszczalne, by dziewczyna w tym wieku mieszkała sama? Jak to możliwe, że nikt nie zainterweniował?

– A kto się tam mną przejmował? – mawiała nasza matka. – Rose zabiła się sześć miesięcy później, taka była pomocna. A Violet... Cóż, Violet zawsze dbała o Violet.

Ale co z nauczycielami? – pytałyśmy. Co z właścicielem budynku? Co z Arthurem Kramem, który mieszkał (i wciąż mieszka) po drugiej stronie korytarza?

– Młodzi ludzie szybko wtedy dorastali – mówiła. – To były inne czasy.

To były inne czasy. I jak dyskutować z czymś takim? Ale w jaki sposób inne? – bez końca zadawałyśmy pytania. Jak się utrzymywała? Czy miała jakąś sumkę odłożoną na czarną godzinę? Wpływy z polisy ubezpieczeniowej? Ukryty zapas gotówki pod materacem? Czy pracowała dorywczo po szkole? Czy kradła po sklepach? A co z samym mieszkaniem? Czy utrzymywała je w czystości, czy jako nastolatka pozwoliła, aby naczynia gromadziły się w zlewie, a kłęby kurzu błąkały na wolności? Czy zapraszała przyjaciółki na nienadzorowane pidżamowe przyjęcia,

czy słuchały płyt całymi nocami, paliły papierosy i wymiotowały po tanim winie, aż matki koleżanek zabroniły im się z nią spotykać? A jeśli tak, to czy właśnie wtedy zaczęła pić? A może zaczęła zapraszać do domu chłopców zamiast dziewczęta? Czy jednak preferowała dojrzałych mężczyzn, żołnierzy niedawno przybyłych z Europy, stanowiących dla niej namiastkę ojca, co było ewidentne dla wszystkich poza nią? I czy płakała przed snem po tym, jak ci żołnierze wracali do domów, niektórzy być może do swoich żon? I czy to wtedy poznała naszego ojca, czy on był jednym z tych znacznie starszych mężczyzn? Czy może nic z tego się nie wydarzyło? Czy to były jej szczęśliwe lata, może nawet najszczęśliwsze? Żadnych szalonych rodziców, żadnych egoistycznych siostr, żadnego beznadziejnego męża, żadnych niezdolnych córek. Tylko dziewczyna bawiąca się w dom, strojąca się przed lustrami w zapomniane ubrania starszych siostr, tańcząca Suzie-Q w korytarzu w ogrodniczkach i skarpetkach, codziennie przesiadująca do późna w noc, opuszczająca zajęcia w szkole, kiedy tylko miała na to ochotę, i nie jedząca niczego innego poza ciastem i ciasteczkami, i paląca swoje lucky strike, i pijąca swoje Cuba Libre?

Nigdy nam tego nie powiedziała, a my już nigdy się tego nie dowiemy. Matka, którą znałyśmy, była ponura, melancholijna, niemal zawsze pod wpływem jakichś tabletek i bez wątplenia umysłowo chora, chociaż nigdy nie szukała pomocy lekarskiej, więc nie zostało to oficjalnie potwierdzone, nigdy nie nazwano tego, co jej dolegało. Jedno musimy jej jednak przyznać: w ogóle nie wydawała się przytłoczona historią tego mieszkania. Kiedy ona i nasz ojciec się pobrali, beztrudnie zamieszkali w głównej sypialni, spali w łóżku, w którym zmarła jej matka, i tuż obok okna, z którego wyskoczył jej ojciec. Może nie mogła sobie pozwolić na przesady czy sentymenty, biorąc pod uwagę powojenny deficyt mieszkaniowy, a może tak to się właśnie robiło w tych „innych czasach”, gdy częściej niż teraz ludzie umierali w domu. Albo, co bardziej prawdopodobne, oboje wiedzieli, że nie znajdą takiej okazji nigdzie indziej w mieście. Czynsz kontrolowany.

Wiele z naszych ówczesnych pytań dotyczyło siostry, o której rzadko wspominała. Nie Rose, którą znaleźli leżącą twarzą do ziemi w męskiej toalecie w parku Waszyngtona w Chicago z głową między dwoma urywałami zadławionymi tabletkami odświeżającymi. Ale tej drugiej, Violet. Gdzie była Violet podczas tego wszystkiego?

– Już wam mówiłam – tłumaczyła matka. – W college’u. W Chicago.

– A co z wakacjami? Dlaczego nie odwiedzała cię wtedy?

– Miała chłopaka. Bardzo bogatego chłopaka. Wolała zostawać z nim.

– Dlaczego ty nie przeprowadziłaś się do Chicago?

– Bo mieszkałam tutaj. Bo nie byłyśmy trojaczkami syjamskimi jak wy.

Znałyśmy jeszcze tylko kilka faktów na temat Violet: stopień naukowy

z chemii, bezdzietne małżeństwo z niejakim Jackiem Smoke'em, śmierć przez pokrowiec z pralni. Ile z nich w rzeczywistości było kłams-twami? Bo ten ostatni – samobójstwo przez uduszenie – ewidentnie okazał się bzdurą, jako że Violet właśnie siedziała na naszej podłodze, żywa, siedemdziesięcioletnia, jeśli dobrze policzyliśmy, ale najwyraźniej sześć- czy siedmioletnia we własnym umyśle. Violet Smoke w przedpokoju, wzywająca mamę i wyplakująca sobie oczy.

Skąd Delph wiedziała, że ta kobieta to Violet? „Dymki z myślami” – wyjaśniła, ale w rzeczywistości nie mówiła prawdy. Wywnioskowała to po sposobie, w jaki Violet zareagowała na pokój Vee, który kiedyś był jej pokojem i który najwyraźniej wciąż uważała za swój. Zamiast zobaczyć swojską, dodającą otuchy przestrzeń, jakiej się spodziewała, przeżyła szok i przerażenie na widok pomieszczenia opróżnionego z jej rzeczy, opróżnionego z jakichkolwiek mebli poza wielkim, wygniecionym materacem na podłodze, na którym siedziała wymizerowana, pożółkła, łysa kobieta, która przypominała jej ją samą z młodości.

Zrobiło nam się przykro z tego powodu. Gdybyśmy wiedziały, że przyjdzie, przynajmniej wygładziłybyśmy koce, pozbierały kieliszki i brudne T-shirty. Na szczęście przestała płakać. Zaczęła nas dostrzegać. Otarła policzki grzbietami żyłastych dłoni i popatrzyła na Vee. Wyobraziłyśmy sobie trybiki obracające się w jej głowie, widziałyśmy, jak próbuje to wszystko pojąć, wymyślić, co zrobić, co powiedzieć. Ostatecznie zdecydowała się na:

– Chcę moją kąpiel.

Zdjęła trampki i skarpetki. Z trudem podniosła się z ziemi, ignorując pomocne ramię Lady. Zrzuciła płaszcz przeciwdeszczowy i podomkę, zdjęła staromodny stanik i majtki. Ciskała każdą część garderoby na podłogę, a potem naga pomaszerowała do łazienki. Słyszałyśmy, jak krany nad wanną jęczą przy otwieraniu. Słyszałyśmy szum płynącej wody. Violet zostawiła drzwi otwarte, a my po wymianie spojrzeń wyrażających mieszaninę paniki i rezygnacji podążyłyśmy za nią. Jeśli nasze kontakty z nagimi ludźmi generalnie były mocno ograniczone, to jeszcze nigdy nie zetknęłyśmy się z nagimi starymi ludźmi, chyba że liczyć podstarzałe penisy, którymi wymachiwano w naszym kierunku na stacjach metra i w salach kinowych. W każdym razie żadna z nas nigdy wcześniej nie widziała całkowicie nagiej starej osoby i chociaż zawsze deklarowałyśmy, że staruszki takie jak, och, powiedzmy Louise Nevelson czy Katharine Hepburn są równie piękne jak pierwsza lepsza młoda gwiazdka, teraz, gdy znalazłyśmy się w dobrze oświetlonej obecności autentycznej starszej kobiety, zdałyśmy sobie sprawę, że gadałyśmy bzdury. Staruszka przed nami, ze zmarszczkami i brązowymi plamami, i sterczącymi owłosionymi pieprzykami, z brodawkami i przydatkami, i oponkami, i skurczonymi obwisłymi piersiami, i równie obwisłym brzuchem, i żyłakami,

i zgrubiałymi paznokciami koloru chipsów kukurydzianych... Nie dało się zaprzeczyć, że to nie było piękne. To było upośledzenie wieku starczego. To był rozkład. Ten obraz nosił tytuł *Anioł Śmierci przed kąpielą*.

Widziałyśmy zdjęcia znacznie młodszej Violet – Violet w liceum, Violet w dzień ślubu z Jackiem Smoke'em (nasza matka w tle, ciężarna i nadąsana) – i chociaż podobnie jak reszty z nas nie można jej było nazwać ładną, emanowała energią, którą potrafiłyśmy wyczuć nawet na czarno-białych odbitkach. Z powściągliwym i krzywym, sardonicznym i przemądrzałym uśmiechem spoglądała prosto w obiektyw aparatu. Niemal na każdym zdjęciu sprawiała wrażenie, jakby była wkurzona na fotografa i wcale jej nie obchodziło, czy on o tym wie. Zawsze odczytywałyśmy ten wyraz twarzy jako przejaw egoizmu i podłości, o których mówiła nasza matka. Teraz podejrzewałyśmy, że Violet po prostu była młoda i ją nosiło. Pozowanie do zdjęć kolidowało z jej naturą.

Teraz usiadła na klapie sedesu bezpośrednio pod portretem Ottona von Bismarcka.

– Siostró – zwróciła się do Delph. – Niech siostra sprawdzi dla mnie wodę.

Delph znalazła się na granicy hysterii. Nie licząc dawnych dni w klubach i na dyskotekach, to był pierwszy raz w jej życiu, kiedy została wyróżniona, wybrana do zrobienia czegokolwiek pomimo obecności innych. Spojrzała na Lady w sposób, w jaki ktoś mógłby popatrzeć na ratownika. Ale Lady tylko pokiwała głową, więc Delph westchnęła i uklękła przy wannie, zanurzyła dłoń w wodzie, pomanipulowała przy kurkach i dokonała koniecznych poprawek, na którym to etapie, jakby myląc Delph z podnóżkiem, Violet położyła mokrą rękę na jej plecach i weszła do środka. Jedna noga w wodzie, potem chwila balansowania, gwarantującego nam widok jej skąpego białego owłosienia łonowego, jej pokrytych krostkami warg sromowych, potem druga noga w wodzie. Usiadła powoli, testując temperaturę pośladkami. Westchnęła bez przyjemności i zanurzyła się głębiej, zamknęła oczy i czekała. Cóż innego mogła zrobić Delph, jak tylko namydlić myjkę i zabrać się do szorowania?

Po kąpeli Violet owinięta w ręcznik znowu usiadła na klapie sedesu, a Delph rozczesała jej mokre włosy grzebieniem.

– To przyjemne – powiedziała starszka, czując ząbki drapiące skórę jej głowy.

Była to pierwsza normalna rzecz, jaką od niej usłyszałyśmy. Wciąż nie wiedziała, kim jesteśmy. Dalej nazywała Delph siostrą i w ogóle nie zwracała uwagi na Lady czy Vee. Przedstawiłyśmy się jej i wytłumaczyłyśmy kilka razy, ale nie zareagowała. Zaproponowałyśmy więc coś do jedzenia i do picia, ale nie odpowiedziała. Poprosiła tylko Delph o ciepłe mleko. Jeszcze nigdy nie słyszałyśmy – czy to osobiście, czy w anegdotach – aby jakikolwiek inny Alter poprosił o ten napój. Delph jednak podgrzała mleko i przyniosła pełny kubek

z powrotem do łazienki. Tymczasem Lady i Vee pomogły Violet ubrać się w bładoniebieski welurowy dres, który Vee nabyła wieki temu, oraz w parę grubych szenilowych, intensywnie zielonych skarpet, których zakupu żadna z nas nie pamiętała, chociaż jedna z nas najwyraźniej musiała go dokonać. Czując się coraz swobodniej w swojej roli, Delph pomogła Violet z powrotem zająć miejsce na szczycie toalety i nadzorowała, jak kobieta sączy swoje mleko. Bismarck, lśniący i posepny, wlepił wzrok w ścianę naprzeciwko, jakby chciał uniknąć patrzenia na którąkolwiek z nas. Potem Delph zabrała Violet do pokoju naszej matki – czy raczej do pokoju matki Violet, bo staruszka znowu stała się małą dziewczynką.

– Ktoś zabrał moje łóżko – poinformowała Delph ze smutkiem i była to prawda. Ktoś to zrobił, ćwierć wieku wcześniej.

Obawiamy się, że to wszystko może brzmieć dla was słodko i ckliwie. Nic bardziej mylnego. To było upokarzające i obsceniczne. Szczególnie Delph była roztrzęsiona. Porzuciła podejrzenia, że Violet jest aniołem śmierci, diabłem w podomce, ale czuła, iż nie jest zwykłą osobą z krwi i kości. Jak katastrofa samolotu Kennedy’ego, jak drzewa smagane wiatrem w parku samo istnienie Violet wydawało się najeżone znaczeniami. Delph usiadła na skraju łóżka naszej matki – naszej matki i naszej babki – obserwując, jak Violet pije swoją drugą szklankę gorącego mleka, i próbowała wydusić z niej wiadomość, z którą nasza ciotka najwyraźniej musiała zostać do nas wysłana. „Czas akauzalny”, pomyślała Delph. Wydarzenia połączone nie przez ciąg upływających godzin, lecz przez znaczenie. Bogowie pokierowali dłonią Vee, aby w bibliotece sięgnęła po książkę na ten temat. Teraz zarzucali nas ilustracjami tego zjawiska. Logiczna konkluzja była taka, że mamy pojąć to znaczenie. Najpierw burza. Potem wizyta ducha. Dramat i zamęt. Nasze plany zostały pokrzyżowane. Ktoś, coś chciało skomplikować naszą drogę.

Oczywiście Delph była dodatkowo zaniepokojona o samą Violet. Dotarło do niej, że regres do gaworzenia i zdumienia światem był sposobem natury na ochronę starszych, na wywołanie wobec nich sympatii u młodszych, którzy inaczej czuliby odrazę w obliczu widocznie gnijącego ciała. Stara, naga osoba – odwracamy się. Bezradne dziecko – otwieramy ramiona. Szorujemy je do czysta. Kładziemy do łóżka i przykrywamy kołdrą. Zamykamy okno. Dosłownie, wcisnęliśmy zasuwkę okna, z którego skoczył Richard Alter, tak mocno w otwór, że trzeba będzie cęgów, aby z powrotem ją otworzyć.

Violet oddała Delph swój pusty kubek. Zamknęła oczy.

– Słodkich snów – powiedziała Delph i wyszła na paluszkach zalana czułością, jakiej dorośli rzadko doświadczają w stosunku do innych dorosłych.

Kiedy Delph w świeżym suchym T-shircie dołączyła do Lady i Vee, wciąż wilgotnych i wyciągniętych na materacu, jęknęła dramatycznie, aby podsumować wieczór, i oznajmiła, że jest w nastroju na koniak. „Dobry koniak”, zaznaczyła i Lady, a nawet Vee przyszło do głowy, że też są w takim nastroju. Ale żadna z nich się nie ruszyła.

– Nie wstawajcie – rzuciła Delph kąśliwie. – Proszę, pozwólcie, że was obsłużę. Pozwólcie, że obsłużę wszystkich.

Lady i Vee posłuchały. Pozwoliły jej na to. Delph nieczęsto rezygnowała z postawy nieśmiałego, przerażonego niemowlęcia potrzebującego rozpieszczenia. Jeśli rzeczywiście była gotowa nalać im koniaku, Lady i Vee nie zamierzały jej powstrzymać.

Ale właściwie to go nie nalała. Wróciła z całą butelką w jednej dłoni i trzema połączanymi kieliszkami do koniaku z zestawu, który Karin przywiozła z Berlina, w drugiej. Przez ramię miała również przewieszoną plastikową torbę Violet.

– Skomponowałam strofę – powiedziała i nie przeprasząc Clementa Clarke’a Moore’a, zarecytowała:

*...i ja w swej pidżamce i Vee w swojej hennie
już mamy wydać ostatnie tchnienie
kiedy bez renów nagle przybywa
cioteczka Violet nieco zbyt żywa³⁵*

Nie był to bohaterski kuplet, ale Lady i Vee i tak go kupiły. Głupawe rymy bawiły naszą rodzinę morderców i samobójców od pierwszego do czwartego pokolenia, a tego wieczoru byliśmy szczególnie wdzięczne za to, że i naszą uwagę można było tak łatwo odwrócić. Zdałyśmy sobie sprawę, że jesteśmy wdzięczne za wiele rzeczy. Byłyśmy wdzięczne za koniak, który nalewała Delph. Byłyśmy wdzięczne za dudniący deszcz, który również nas rozpraszał i był na swój sposób kojący, szczególnie w porównaniu z emocjonalną burzą, jaka właśnie zapadła w sen. Byłyśmy wdzięczne za to, że Violet spała.

Wypiłyśmy koniak nieco za szybko. Nieważne. Było go więcej. Byłyśmy wdzięczne również za to. Nawet Vee, pomimo pieczenia. Delph, dumając nad swoim wierszem, powiedziała:

– Czy ktokolwiek jest rzeczywiście tak całkowicie martwy, jak myślimy? Może istnieją różne stopnie śmierci?

– Nie – wyszeptała Vee. – Jest śmierć i nieśmierć, to wszystko.

Delph zmarszczyła brwi.

– Naprawdę uważasz, że fakt, iż Violet pojawiła się akurat w momencie,

kiedy szykowałyśmy się do odwalenia kity, nie ma żadnego znaczenia? Nie sądzisz, że jej obecność ma nam coś powiedzieć?

– Może miała nam przypomnieć, że nie ma niczego lepszego jak porządne wymoczenie się w wannie z gorącą wodą – powiedziała Vee. – To rzeczywiście mogłoby być jedyne prawdziwe życiowe przesłanie. Nic więcej, ale i nic mniej.

– Co się stało z twoim jungowskim nawróceniem? – zapytała Delph.

– Nie czuję się dzisiaj młodo – westchnęła Vee.

– Mówię serio – upierała się Delph.

– Ja też – zapewniła ją Vee.

– Pomyślmy o tym racjonalnie – zaproponowała Lady. – Mamy starszą panią cierpiącą na demencję, która czasami cofa się do okresu dzieciństwa. Przychodzi huragan. Kobieta jest przestraszona, więc dochodzi do wniosku, że musi wrócić do domu, do swojej matki. Nie ma w tym niczego niezwykłego.

– To prawda – potwierdziła Vee. – Nazywają to włóceniem się. Widywałam to czasami u starszych klientów kancelarii. Właśnie tak zachowują się ludzie cierpiący na demencję.

– Przepraszam – zaprotestowała Delph. – Ja uważam to za wyjątkowo niezwykle. Nie uwierzę, że to nie ma znaczenia.

– To ma znaczenie – powiedziała Vee. – To oznacza, że mama skłamała nam na temat śmierci ciotki Violet.

– To oznacza – zauważyła Lady, wysypując zawartość torby Violet na materac – że Delph będzie musiała skorygować swoją piękną tabelkę.

Zawartość rzeczony plastikowej torby: jedna sztuka staroświeckich bawełnianych majtasów, jedna para znoszonych skarpet, jedno opakowanie ultracienkich wkładek higienicznych dla kobiet nietrzymających moczu marki Poise, jedna wysłużona szczoteczka do zębów, jedna tubka na wpół zużytej pasty Colgate przeciw kamieniowi nazębnemu, liczne fiołki z lekarstwami oraz jedna podomka w czerwoną kratę, która mogłaby posłużyć za obrus w taniej trattorii. Poza tym jedno rozpadające się wydanie *Doliny lalek* w miękkiej różowej oprawie koloru Pepto-Bismolu i zatknięta w ową książkę wymięta fotografia w funkcji zakładki, przedstawiająca ciotkę Violet około czterdziestki, w koralowej sukni i skrzęcej się tiarze osadzonej na czarnych, wysoko upiętych włosach. U jej boku stoi niski, krzepki mężczyzna w smokingu, który, jak założyłyśmy, musiał być Jackiem Smoke'em. Naszą ciotkę i wuja otaczają bliźniaczki: nastolatki, nie-atrakcyjne, z czarnymi kręconymi włosami i nieprawidłową postawą, w identycznych różowych sukienkach. Cała czwórka stoi nad jednym posepnym chłopcem, sam nos i brwi, który poza smokingiem i koralową muszką ma na sobie talit i aksamitną jarmułkę. Przekazywałyśmy sobie to zdjęcie jak grupka

dorastających chłopców oglądających swoją pierwszą rozkładówkę, tyle że zamiast z podziwem szeptać: „Cycki!”, szeptałyśmy: „Kuzynostwo!”.

Ostatnim przedmiotem w torbie był materiałowy piórnik w kształcie banana. Kiedy się go otwierało, wyglądał jak obierany. Wewnątrz znajdowało się kilka pensów, kilka tabletek Tums na zgagę luzem oraz wizytówka Domu Seniora i Zakładu Opieki Długoterminowej imienia Walta Whitmana w Huntington na Long Island. Na odwrocie wizytówki ktoś napisał drukowanymi literami: „Violet: Helene W. ma twoje bilety za Penzance. Jesteś jej winna 9,99 dolara”.

Od dawna wiedziałyśmy o istnieniu centrum handlowego im. Walta Whitmana w Huntington na Long Island, jednego z pierwszych zadaszonych tego typu obiektów w Ameryce, ale to było dla nas zaskoczenie, że zniedołężniali konsumenci z Long Island ostatecznie przenosili się do domu opieki pod patronatem tego samego poety. W pierwszym odruchu chcieliśmy zażartować – „Opiewam zniedołężnienie ciała”³⁶ – ale naszym drugim i nieprzemijalnym wrażeniem było uczucie wdzięczności dla tego, kto nadał ową nazwę takiemu miejscu. Walt Whitman sam był pielęgniarzem podczas wojny secesyjnej, wiedziałyśmy o tym i raczej nam się to podobało. Byłyśmy całkiem pewne, że wolimy, aby jego nazwisko było wiązane z domem spokojnej starości niż z centrum handlowym, szczególnie takim zadaszonym.

Wyobraziłyśmy sobie Dom Seniora i Zakład Opieki Długoterminowej imienia Walta Whitmana jako nowoczesną placówkę, ale, o dziwo, wypełnioną personelem z czasów wojny secesyjnej, nie tylko mężczyzn takich jak Whitman, ale również kobiet takich jak my same, noszących białe fartuchy na długich brązowych sukniach, z włosami z przedziałką pośrodku za-czesanymi do tyłu. Wyobraziłyśmy sobie te pielęgniarki – wyobraziłyśmy sobie siebie – przechodzące od łóżka do łóżka, zatrzymujące się na chwilę obok każdego, recytujące słowa poety:

Starość – spokojna, tralala

*Starość – płynąca swobodnie w słodkiej bliskości śmierci i wyzwolenia*³⁷

Było nam trochę wstyd, że nie pamiętamy wszystkich słów. Przez całe lato rozumiałyśmy, jaki spokój może poprzedzić śmierć, jeśli tylko mu się na to pozwoli. Przez całe lato kontemplowałyśmy wyzwolenie w postaci słodkiej bliskości śmierci. Ale wiek starczy? To pojęcie było nam obce. Nigdy się nie zestarzejemy, a teraz, po spędzeniu jednego wieczoru z Violet, dodałyśmy uniknięcie starości do kolumny rzeczy, za które jesteśmy wdzięczne. Bo cóż takiego w starości Violet było godne pozazdroszczenia? Dlaczego miałybyśmy

dążyć do osiągnięcia tego etapu w życiu, dlaczego miałybyśmy pragnąć znaleźć się w jej obwisłej ziemskiej powłoce?

Jednocześnie, jeśli dręczyło nas poczucie winy z powodu decyzji o samobójstwie, mogło ono wynikać z tego, że żałowałyśmy, iż nie udało nam się osiągnąć swoistej życiowej mądrości, zrodzonej z pewnego rodzaju doświadczeń. Nasze przewrażliwienie przy kąpaniu Violet, nasza płochliwość, kiedy musiałyśmy sobie poradzić z jej obecnością w naszych progach, nasza płochliwość w jakiegokolwiek kryzysowej sytuacji, nasza skłonność do unikania poważnych rozmów i zbywania ich żartami... Niechęć do zestarzenia się była w porządku, uznaliśmy. Podjęcie kroków, dzięki którym zapewnimy sobie wolność od starości, również było okej. Ale jednocześnie uniknęłyśmy dorobienia. Przeszłyśmy przez życie jak wieczne dzieci, chowając się po kątach, nigdy nie wiedząc, co powiedzieć, nigdy nie wiedząc, co zrobić. Jeśli nasz plan, by umrzeć, był problematyczny, to dlatego że eliminował możliwość, iż kiedykolwiek staniemy się poważnymi, kompetentnymi kobietami.

Było nam przykro z tego powodu. Żałowałyśmy, że byłyśmy tak samolubne, z klapkami na oczach. Żałowałyśmy, że nigdy nie zrobiłyśmy niczego użytecznego czy bezinteresownego. Wstydziliśmy się, że rozsmieszył nas głupiutki rym Delph. Przeklinałyśmy czas, który spędziłyśmy na byciu nieśmiały, strachliwym domatorkami. Żałowałyśmy każdej minuty spędzonej przed telewizorem. Smuciło nas, że bardziej nie ryzykowałyśmy, że nie znalazłyśmy sposobu na to, aby głębiej kochać. Przyznawałyśmy przed sobą, że naszym największym grzechem mogła się okazać nieumiejętność zakochania się ponownie po utraceniu naszych pierwszych miłości niezależnie od tego, czy te pierwsze miłości były warte zaangażowania, czy też były nieopierzonymi dentystami albo hałaśliwymi kurierami rowerowymi, którzy i tak nigdy nie byli nami zainteresowani w romantyczny sposób.

Ponownie napełniłyśmy nasze kieliszki. Żałowałyśmy, że to robimy, żałowałyśmy wypitych łyków. Tylu rzeczy trzeba było żałować. Właściwie to do głowy przychodziła nam tylko jedna rzecz, której nie żałowałyśmy: że było już cholernie za późno, abyśmy zmieniły się w jakikolwiek znaczący sposób. „Dzięki Bogu za to!” – zawołałyśmy. Dzięki Bogu za to, że nigdy nie będziemy musiały się zmienić! Dzięki Bogu, że nie zostało nam czasu, aby stać się lepszymi ludźmi, aby dorosnąć. Prawda jest taka, że jesteśmy nieśmiałe. Prawda jest taka, że przynajmniej od dwóch dekad czujemy się naprawdę swobodnie tylko w tym mieszkaniu z sobą nawzajem. Prawda jest taka, że żyjemy na niskim krańcu spektrum introwersji. Nie jesteśmy towarzyskie.

– Wiecie, kto był towarzyski? – zapytała Lady. – Lenz Alter. Uwielbiał przyjęcia, uwielbiał być w centrum uwagi, uwielbiał występować przed innymi. Miał mnóstwo przyjaciół i całe zastępy kochanek. Był tak towarzyski, że nie potrafił znieść sposobu, w jaki byli zabijani żołnierze, indywidualnie, kula po kuli.

Musiał uczynić umiowanie za ojczyznę sportem grupowym.

Poza tym człowiek może się zakochać tylko w osobie, w której się zakocha. Zgodziłyśmy się, że nasze pragnienie, aby być lepszymi ludźmi, przegrywało tylko z naszym życzeniem, by nie musieć się zmieniać.

– Nie cierpię tych doznań po koniaku – pożaliła się Vee. – Tylko ćmienienie w głowie i rzewność. A gdzie śpiewy? Gdzie żarty? – Przemawiała jednak pełnym głosem i jeszcze nie zaczęła narzekać na ból wbijający się pięścią w jej kręgosłup.

Włożyłyśmy dobytek Violet z powrotem do jej torby, wszystko poza wizytówką.

– Ktoś powinien zadzwonić do domu opieki – powiedziała Lady.

– Ja to zrobię – mruknęła Delph.

Nienawidziła telefonów niemal tak bardzo jak Lady, ale zmuszenie Vee, żeby wstała i chwiejnym krokiem udała się do kącika jadalnego, byłoby zbyt okrutne, Delph poszła więc sama. Kiedy skończyła wybierać numer, rozległy się piski i trzaski tak okropne i głośne, że nawet Lady i Vee słyszały je z sypialni. Okazało się, że huragan objął również Long Island. Linie telefoniczne były pozrywane. Jeśli ktokolwiek w domu opieki Whitmana martwił się o Violet, będzie musiał pomartwić się do następnego dnia.

Jeśli o nas chodzi, to z powodu pogody, niespodziewanego gościa, gorącej kąpieli przez pełnomocnika i koniaku, jak również z powodu przyływu nienawiści do samych siebie oraz faktu, że jedna z nas była wyniszczona rakiem, a pozostałe dwie rozpaczały z jej powodu, wszystkie poczułyśmy się wykończone. W drodze powrotnej do pokoju Vee Delph miała jeszcze tyle przytomności umysłu, żeby zgarnąć nasz gigantyczny list samobójczy z kredensu i ukryć go w szufladzie, ale kiedy dotarła do łóżka, a Lady zasugerowała kilka minut medytacji, pokręciła głową. Była zbyt zmęczona, żeby robić cokolwiek innego, niż tylko wczłogać się na górę materaca, wślizgnąć między siostry i zasnąć.

Wszystkie spałyśmy twardo i bez snów. Kiedy otworzyłyśmy oczy następnego ranka, huragan Floyd przesunął się już nad ocean, nasz budynek był skąpany w nadnaturalnie jaskrawej mgle, a nasza ciotka przyniosła nam kawę do łóżka.

Niepokój w porze zmierzchu³⁸ – to była kolejna przypadłość Violet, którą Vee rozpoznawała dzięki pracy ze starszymi klientami. Słońce zaczyna zachodzić, światło się zmienia, cienie rosną, a bezbronnemu klientowi odbija. Potem słońce wstaje, a pozory zdrowia psychicznego powracają.

– Demencja – powiedziała Vee – ale na część etatu.

Kiedy przyniosła nam kawę, nasza ciotka po raz pierwszy się przedstawiła:

– Nazywam się Violet Smoke – wyrecytowała. – Dziś mamy piątek, 17

września 1999 roku. Prezydentem jest William Jefferson Clinton.

Okazało się, że taką właśnie informację była zobowiązana podawać opiekunom każdego ranka, aby udowodnić, że odzyskała kontakt z rzeczywistością. Teraz rozejrzała się, wzruszyła jednym ramieniem – to było bardzo żydowskie, bardziej lekceważące, bardziej zrezygnowane, niż gdyby wzruszyła oboma.

– Nie jestem pewna, czy rzeczywiście jestem tam, gdzie myślę, że jestem, czy też mam dzisiaj halucynacje – poinformowała nas nonszalancko, jakby była gotowa zaakceptować każdą odpowiedź, jaką usłyszycie, ale widziałyśmy, że udaje.

Jej napięta twarz zdradzała niepokój. Musiałyśmy ją uspokoić. Była od nas zależna, od trzech być może iluzorycznych kobiet leżących pod kocami na materacu, na podłodze jej starej sypialni.

– Nie masz halucynacji – powiedziała Lady. – Dotarłaś tutaj wczoraj wieczorem, w samym środku huraganu. Weszłaś do mieszkania, używając swojego klucza. Jak to możliwe, że wciąż go masz po tylu latach?

– Wykapałam cię – dodała Delph.

– Weszłam do środka, używając własnego klucza? – zadumała się Violet. – Chyba mam szczęście, że mnie nie zastrzeliliście.

– Wiesz, kim jesteśmy? – zapytała Lady.

– Dziewczynkami Dahlie? – wymówiła to imię z niemiecka. Jej niemiecki akcent był słaby, ale wciąż silniejszy niż naszej matki. – Prawda? Kimże innym mogłybyście być?

Pomogłyśmy jej ustalić, która z nas jest która. Znała nasze imiona i przyzwiska. Oparła się o framugę drzwi z ramionami założonymi na piersi i zwracała się do nas po kolei jak nauczycielka pierwszego dnia zajęć poznająca swoich podopiecznych.

– Pamiętasz mnie? – zapytała Lady. – Byłaś taka malutka, kiedy widziałam cię po raz ostatni. Razem z rodzicami przyjechałaś do nas z wizytą. Po raz pierwszy po latach. I co się wydarzyło? Niemal utonęłaś w basenie. Pamiętasz to? Twoja matka sprzeczała się z twoim ojcem, tak dla odmiany, i spuściła cię z oczu. Kto robi takie rzeczy? Uczące się chodzić dziecko wałęsa się w pobliżu basenu, a matka odwraca wzrok? Ani się obejrzeliśmy, a ty wmaszerowałaś prosto do zbiornika i zniknęłaś pod wodą. Widzieliśmy tylko twoje włosy unoszące się na powierzchni. Twój ojciec wskoczył do środka i cię wyciągnął. Ona po prostu tam stała i patrzyła.

– Nic z tego nie pamiętam – zdziwiła się Lady.

– Prawdopodobnie pamiętasz – powiedziała Vee. – To wspomnienie tkwi w jakimś odległym zakamarku twojego umysłu. Możliwe, że wpłynęło na całe twoje życie. To pewnie wszystko wyjaśnia.

Violet zwróciła się do Vee:

– Ty – zaczęła. – Ty z malunkiem na głowie. Nie wyglądasz dobrze, wcale a wcale. – A kiedy Vee nie zaprzeczyła, kiedy Vee przedstawiła Violet skróconą wersję sagi o raku, kończąc magicznym słowem „nieoperacyjny”, słowem, które sprawiało, że większość ludzi mamrotała coś, a potem szybko się ulatniała, okazało się, że Violet ma mnóstwo do powiedzenia w tej sprawie.

– Wiedziałam! – zawołała. – Po pierwsze, brak włosów. Po drugie, widziałam już wcześniej taki wygląd. Można to rozpoznać po kościach policzkowych, po tym, jak skóra napina się i zwisa jednocześnie. Ile masz lat? Czterdzieści kilka, nie? Cóż, to po prostu do dupy. Naprawdę do dupy. Ale wiesz co? Dałam sobie spokój z frazesami. Po jakimś czasie zaczynasz brzmieć jak głupiec z tymi swoimi „Och, wyliżesz się z tego” i „Ach, przeżyjesz nas wszystkich”. Niby komu to przyniesie ulgę? Nikomu. Ani osobie, która to mówi, ani osobie, która tego słucha. Jesteś chora, ale nie jesteś idiotką, mam rację? Wiesz, co teraz mówię, kiedy widzę takie kości policzkowe? Mówię, że mam nadzieję, że poczujesz się lepiej, a jeśli nie, to że umrzesz w spokoju. – Skończyła z Vee. – A ty? – powiedziała. – Wciąż nazywają cię Delph? Nigdy nie lubiłam tego imienia. Bez obrazy, ale co to w ogóle za imię? To była pomyłka, wiesz. Powiedziałam do twojego ojca: „Dajesz swemu dziecku na imię Błąd, napraw to”.

– To imię zniszczyło mi życie – przyznała Delph.

– W porządku, ale przecież to tylko imię – upomniała ją Violet. – Robisz z igły widły. Wstań, ubierz się jak człowiek i chodź na śniadanie. To dotyczy was wszystkich. Tak, nawet ciebie, z tymi kośćmi policzkowymi. Chociaż o tej porze bardziej na miejscu byłby brunch. Która teraz jest... Jedenasta. Zrobię jajka. Kawa wam smakuje? Nie macie ekspresu Mister Coffee. Z niego jest najlepsza. Założyłam, że pijecie z mlekiem i cukrem. Trzymacie wszystko w tych samych miejscach co moja matka. Otwieram szafkę, a tam stoi kawa, dokładnie tam, gdzie ona ją zostawiła. Mam tylko nadzieję, że to nie opakowanie z tamtych czasów. Ha! Chociaż... nie. To jedna z tych nowych marek, z Fatty Star-buckles³⁹. Nie róbcie takich zmartwionych min. Żartuję. Wiem, jak brzmi nazwa tej sieci. Chodźcie na śniadanie. Będziecie mogły mi wyjaśnić, dlaczego wydajecie na nią tyle pieniędzy, skoro taką samą kawę możecie dostać w A&P. Oraz dlaczego wszystkie sypiacie w jednym łóżku.

– Czasami jesteśmy po prostu zbyt leniwe, żeby się przenieść – wyjaśniła Delph.

– Leniwe? Lenistwo jest nie do przyjęcia w moim świecie.

– Cóż, witaj w naszym świecie – mruknęła pod nosem Vee.

Violet położyła dłoń na biodrze i popatrzyła prosto na Vee. Uśmiechała się krzywo, powściągliwie. Została jej mniej niż godzina przytomności umysłu na ten dzień, ale jeszcze o tym nie wiedziałyśmy.

– Zajrzałam do pozostałych pokojów – powiedziała. – Ten w głębi, w nim

spała Rosie. Ten pośrodku należał do waszej matki. Rozejrzałam się. Nie martwcie się, nie grzebałam wam po szufladach. Nie interesują mnie wasze majtki. Ale połowę mebli rozpoznałam. Mebli moich rodziców. Jakimś cudem Dahlie zdołała zatrzymać je wszystkie. A wiecie, czego nie rozpoznałam? Wiecie, czego tutaj nie było, kiedy tu mieszkałam? Tej tabelki na drzwiach w pokoju Dahlie.

– O, Boże! – zawołała Lady. – Gdybyśmy wiedziały, że przyjdiesz, zdjętybyśmy ją.

– Zasadniczo wszystko się zgadza – przyznała Violet niechętnie. – I z przykrością odkryłam, co tam jest napisane na temat waszej matki. Swoją drogą to dopiero sposób, żeby dowiedzieć się o czymś takim. Przydałoby mi się trochę tego, co tam trzymacie w tych kieliszkach porozstawianych po całym mieszkaniu. Nie żebym piła. Tylko dlatego jeszcze trzymam się na nogach, dzięki abstynencji. Ale... czy już wam mówiłam, że skończyłam z frazesami? Kiedy okazuje się, że ktoś jest martwy, wiecie, co teraz mówię? Mówię: „Niech spoczywa w pokoju” i tyle. Co innego mogę zrobić? Rwać włosy z głowy?

Zdała sobie sprawę z tego, co właśnie powiedziała, i zerknęła na Vee, na udekorowane płótno skóry na jej głowie. Wzruszyła jednym ramieniem.

– Ale ja? Ja w tej tabelce? Pogłoska o mojej śmierci była mocno przesadzona – znowu obdarzyła nas tym zadowolonym z siebie uśmiechem. – Mark Twain tak powiedział – wyjaśniła – a może to był Will Rogers. Kto potrafi rozróżnić tych dwóch? Mam już wystarczająco dużo na głowie. Myślicie, że wy macie problemy? Poczekajcie, aż porozmawiamy. Zobaczymy, kto ma problemy.

Opuściła pokój.

– Jezu – jęknęła Vee. Nie była głodna. Nie czuła się dobrze. Ale przynajmniej nie szeptała. – Ja nigdzie nie idę – oznajmiła.

Ale Lady i Delph usłuchały grzecznie. Włożyły czyste ubrania i zaniósły swoje kawy do kącika jadalnego. Wyglądało na to, że Violet była na nogach od wielu godzin. Stół został uprzątnięty, a wszystkie papiery, periodyki i rachunki leżały na stosach na komodzie. Gdyby Lady i Delph i tak już nie były na skraju samobójstwa, to byłby wystarczający powód, aby odebrać sobie życie. Były przekonane, że teraz już nigdy niczego nie znajdą.

– Siadajcie – nakazała im Violet.

Lady i Delph usiadły i dalej piły swoją kawę. Violet kręciła się po kuchni, a niebieskawa obwisła skóra jej ramion majtała się, podczas gdy rozbełtywała jajka. Lady i Delph nie miały nic przeciwko temu – to znaczy przeciwko jej gotowaniu dla nich. Violet była stara i to one powinny jej usługiwać, a nie odwrotnie, ale każdy by zauważył, że gotowanie sprawiało jej przyjemność. Violet usiadła na krześle, na którym zawsze siadywała nasza matka. Sama nic sobie nie nałożyła.

– Już jadłam – wyjaśniła.

Od czasu do czasu wstawiała i wybierała jakiś numer. Piski i trzaski wypełniały pomieszczenie. Violet wzdychała i odkładała słuchawkę.

– To Floyd – wyjaśniła Lady.

Spojrzała przez hol za okna w salonie. Mgła była niemal oślepiająco jasna i cienka jak rzadki sos. To była zła konsystencja. Ale Violet nie była zainteresowana Floydem.

– A więc – zaczęła – powiedzcie mi, jak udało wam się odzyskać mieszkanie po tym, jak z niego zrezygnowałyście.

– Co masz na myśli? – zapytała Delph. – Zawsze tu mieszkaliśmy.

– Poza mną – uściśliła Lady. – Przez kilka lat byłam mężatką.

– Vee też była zamężna – uzupełniła Delph. – Ale generalnie mieszkaliśmy tutaj całe nasze życie. – Uśmiechnęła się, jakby to był powód do przechwałek. – Ja ani razu nie spałam gdzie indziej.

Violet twardo spojrzała na Delph. Nic nie powiedziała. Nachmurzyła się. Potem najwyraźniej podjęła decyzję i zapytała:

– Ale co z tymi wszystkimi latami, kiedy mieszkaliście w Niemczech? Gdzie, swoją drogą, myślałam, że wciąż jesteście.

– W Niemczech? – Lady i Delph zapytały unisono.

A zatem to była pierwsza historia, jaką opowiedziała nam Violet: kiedy Lady miała siedem lat, Vee cztery, a Delph uczyła się raczkować, Violet odebrała telefon od Dahlie, która oświadczyła, że wraca do Niemiec i zabiera nas z sobą. Nie chciała zdradzić, dokąd dokładnie się udaje. Nie podała adresu. Powiedziała tylko, że nie życzy sobie, aby Violet próbowała jej szukać. Nie chciała mieć z nią żadnego kontaktu. Och, i Natan zaginął. „Ale o tym pewnie wiesz wszystko” – rzuciła Dahlie złośliwie.

– Wasza matka – wyjaśniła Violet – uważała, że Natan i ja mamy romans. Ale nigdy nie potrafiła mi wyjaśnić, dlaczego miałabym się zaangażować w związek ze starszym mężczyzną handlującym guzikami, skoro miałam Jacka Smoke’a. – Violet uśmiechnęła się z wyższością, siostra, której trafił się lepszy mężczyzna. – Uznałam więc, że to koniec – powiedziała. – Że wszystkie przepadłyście. Że mieszkanie przypadło. Zadzwoiłam nawet pod stary numer, tylko żeby sprawdzić, ale telefon został odłączony. Więc zajęłam się własnym życiem. I tak nigdy nie byliśmy blisko, zawsze się kłóciłyśmy. Pokłóciłyśmy się strasznie po moim ślubie, tuż przed przyjęciem weselnym. Ona była w zaawansowanej ciąży z tą tutaj – wskazała na Lady – ale uważała, że i tak powinna być moją starościna. Powiedziałam, że po pierwsze, nigdy za sobą nie przepadałyśmy. A po drugie, czy może sobie wyobrazić te zdjęcia? Ona z takim brzuchem? Ale nic jej to nie obchodziło. Wszystko zawsze musiało się kręcić wokół niej, nawet mój ślub. Potem, po dwóch latach milczenia próbowałyśmy się pogodzić, ale właśnie wtedy Lady prawie utonęła i tamtego dnia też się strasznie

pokłóciłyśmy. Twierdziła, że jakimś cudem to była wina basenu, a nie jej. Wszystko sprowadzało się do tego, że miałam pieniądze, a jej się to nie podobało. Była bardzo powierzchowną osobą.

– Nie była, naprawdę – wzięła ją w obronę Lady. – Po prostu było jej bardzo ciężko. Zobaczyła ciało swojego ojca po tym, jak...

– ...skoczył – dokończyła za nią Violet. – Możesz to powiedzieć. Poza tym on był również moim ojcem, jeśli się nie mylę. Wiem, co zrobił. Wiem, co oni wszyscy zrobili. Wiem to nawet bez tabelki.

– Żyła przed wynalezieniem leku dla ludzi z jej problemami.

– A mają już lek, który powstrzymuje przed kłamaniami? Powiedziała wam, że nie żyję. Nie było wystarczająco wiele tragedii w rodzinie? Musiała mnie udusić? Co za siostra wyobraża sobie coś takiego, a już tym bardziej mówi o tym na głos i to własnym dzieciom? A mnie powiedziała, że was zabiera. Myślicie, że nie chciałabym znać moich siostrzenic?

Aby dać nam do zrozumienia, że nie oczekuje odpowiedzi, że nie chce słyszeć więcej wymówek ani usprawiedliwień, wstała i znowu wybrała numer. Piski i trzaski. Rozłączyła się, usiadła, spojrzała na nas wilkiem.

– Linie telefoniczne do domu opieki są pozrywane – wyjaśniła Delph, która z trudem znosiła zdrową psychicznie wersję Violet.

– Nie dzwonię do domu opieki – burknęła Violet. – Co by mi z tego przyszło? Dzwonię do mojego syna. Ktoś musi po mnie przyjechać, chyba że chcecie, abym została tutaj na wieki. – Spojrzała prosto na Delph. – A nie chcecie tego, prawda?

Usłyszałyśmy w jej głosie gorycz, sarkazm, ale również cień nadziei, że może się myli, że może nie pragniemy niczego bardziej, jak tylko zabrać ją do siebie, przygarnąć jak biednego kota przybłądę, zatrzymać ją i dbać o nią, i pozwolić jej, aby ona troszczyła się o nas.

Dziwaczna mgła zdążyła się już unieść i świat znowu wyglądał znajomo, choć posępnie. Lady i Delph opowiedziały Violet wszystko, co musiała wiedzieć o naszej trójce: stan cywilny, daty diagnozowania raka, wykonywane zawody. Przemilczały nasze wstępne plany na poprzedni wieczór i kilka innych rzeczy. Zrelacjonowanie historii naszego życia z pominięciem stryczków, żyletek, tabletek i masakr nie trwało długo. Ale te historie uderzyły ją swoją przeciętnością.

– Cóż, z pewnością jesteście Alterównami – powiedziała, kiedy skończyły. Założyła nogę na nogę, wyciągnęła rękę i przywłaszczyła sobie filiżankę Delph z na wpół wypitą, zupełnie zimną kawą. – To bardzo pechowa rodzina. Zawsze taka była. Chociaż jeśli chcecie znać prawdę, do niedawna mnie samej powodziło się całkiem nieźle, odpukać. Jestem wyjątkiem, który potwierdza regułę. Miałam idealne małżeństwo. Same rozrywki i zabawa, nie żartuję, aż do poranka, kiedy Jack zmarł. A jak odszedł? We śnie. Miał śmierć jak bułkę z masłem, szczęśliwy

sukinkot. Umarł za młodo, ale i tak dobrze dla niego. Jeśli możesz mieć lekką śmierć, bierzesz ją, kiedy przychodzi. Za to mi było ciężko. Nie żebym narzekała. Byłoby lepiej, gdybym to ja odeszła pierwsza, ale – szczerze mówiąc – nie byłam na to gotowa. Byłam całkowicie zdrowa. Tymczasem on już zaczął miewać bóle w klatce piersiowej i okresowe zawroty głowy, i zacinął się. Wiecie, co mówię? Mówię: „Niech spoczywa w pokoju, mój drogi Jack”, a potem żyję dalej. Mam chłopaka w Whitman, wiecie.

Jej dzieciaki, powiedziała, są idealne. Studia na uniwersytetach Ivy League, prestiżowe studia doktoranckie. Bliźniaczki, obie zamężne, mają dzieci i jednocześnie prowadzą biznesy, Sharon w San Francisco, Margo w Londynie. Wszyscy – córki, zięciowie, wnuki – idealnie szczęśliwi i szczęśliwie idealni. Jej najmłodszy, jej synek, jej Danny – jest artystą, bardzo utalentowanym muzykiem. Po śmierci Jacka wprowadził się z powrotem do domu na Long Island, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Taki oddany. Są jak przyjaciele. Jak najlepsi przyjaciele. I jest taki zręczny, kiedy coś się psuje w domu z instalacją wodno-kanalizacyjną czy tego typu rzeczami... A kiedy podupadła na zdrowiu, dzień i noc zbierał informacje i nie spoczął, dopóki nie znalazł dla niej idealnego domu opieki, który, o dziwo, znajdował się w tym samym miasteczku, w którym mieszkali.

– Więc teraz on mieszka w rodzinnym domu sam – wyjaśniła – ale tak blisko mnie. Sprawy nie mogłyby się lepiej ułożyć. Ja odwiedzam jego, on przychodzi do mnie, jeśli nie jest w trasie koncertowej. Poza tym odwiedza mnie tak często, że muszę mu mówić: „Danny, wyjdź gdzieś, zabaw się”. To niespotykane, żeby chłopak był tak oddany matce.

– Musi się teraz zamartwiać na śmierć – zauważyła Lady.

Violet wzruszyła ramionami.

– Pewnie myśli, że jestem cała i zdrowa i gram sobie w karty ze staruszkami w świetlicy. Pewnie wie, że linie są pozrywane, i domyśla się, że zadzwonię, jak tylko będę mogła. – Spojrzała na zegar. Sprawiała wrażenie pogodnej i rozsądnej. – Czas na lunch – oznajmiła.

– Dopiero co skończyliśmy śniadanie – zdziwiła się Lady.

– Jest południe – poinformowała nas. – Tam, skąd pochodzę, to jest pora lunchu. Zrobię nam sałatkę z tuńczykiem.

– Nie mamy żadnego tuńczyka – oświadczyła Lady.

Violet się uśmiechnęła. Coś się w niej zmieniło. Nagle stała się bardziej beztraska, jak młodsza kobieta robiąca coś dla zabawy, przeżywająca przygodę.

– Popatrzcie – powiedziała, wskazując na zegar. – Jest już po dwunastej. Pora na lunch. Myślę, że zrobię nam pyszną sałatkę z tuńczykiem.

– Dopiero co jadłyśmy – powtórzyła Lady.

Violet wstała i poszła do kuchni. Zaczęła otwierać szafki. Z dezaprobatą

zmarszczyła brwi. Otworzyła kolejną. Wyjęła wszystkie puszki, które w niej były, mające dziesięciolecia puszki z fasolą pinto, potrawką z kukurydzy i fasoli, sosem żurawinowym, puszki jedzenia, którego nie lubiliśmy, ale z jakiegoś powodu je kupiliśmy. Popatrzyła na puszkę w swojej dłoni. Fasolka szparagowa marki S&W tak stara, że firma już nie istniała. Znowu zmarszczyła brwi. Westchnęła. Uśmiechnęła się szeroko.

– Musicie umierać z głodu – powiedziała. Odstawiła puszkę. – Zjemy – postanowiła – a potem będziecie mogli mi wszystko o sobie opowiedzieć.

Po lunchu Delph wybrała numer Danny’ego Smoke’a i po raz pierwszy udało się jej uzyskać połączenie. Wbrew optymistycznym przewidywaniom Violet Danny wariował z niepokoju i Delph musiała się bardzo postarać, żeby w ogóle dojść do słowa i zacząć odpowiadać na jego liczne pytania, żeby wyjaśnić, gdzie jest Violet oraz kim jesteście my.

Wczoraj, mówił Danny, zadzwonił do domu opieki, żeby się dowiedzieć, jakie środki ostrożności zostały przedsięwzięte w obliczu zbliżającego się huraganu. „Kontrolujemy sytuację” – poinformowała go osoba, która odebrała telefon. Rezydenci domu opieki zostali zabrani do pobliskiego hotelu. Łóżka porozstawiano w sali balowej. Mieli jedzenie, koce i agregat prądotwórczy. „Gry, książki, wszystko, czego mogliby sobie zażyczyć – powiedział głos. – To będzie jak piżamowe przyjęcie”. Danny zastanawiał się, czy nie zaproponować, że zajrzy do Whitmana. Zastanawiał się, czy nie pojechać po Violet i nie zabrać jej z sobą do domu. Nawet wspominał o tym rozmówcy. „Może powinienem do was wpaść...” – zaczął, ale osoba po drugiej stronie linii wyczuła jego wątpliwości i uspokoiła go: „Wie pan, że pobyty w domu zaburzają równowagę pana matki”.

Teraz, rozmawiając z Delph, westchnął.

– To był mój błąd – powiedział. – Powinienem był tam pojechać, zabrać ją i przywieźć do domu.

Mimo wszystko, przyznał, nie podejrzewał niczego, dopóki dyrektorka domu opieki nie zadzwoniła do niego dziś popołudniu. „Mam dla pana niepokojące wieści – oznajmiła. – Proszę więc, aby wysłuchał mnie pan jak najspokojniej”.

– Jak najspokojniej – powtórzył Danny do Delph. – Potrafisz w to uwierzyć?

W którymś momencie w czwartek, mniej więcej godzinę po tym, jak wszyscy rezydenci zostali rozlokowani w hotelu, ktoś stwierdził, że od jakiegoś czasu nie widział Violet Smoke. Być może dyrektorka uważała, że Danny będzie potrafił zachować spokój na wieść o czymś takim, bo oni sami go zachowali. „Czy ktokolwiek widział Violet Smoke?!” – zawołali. Nikt jej nie widział, ale wciąż się nie martwili. Wiedzieli, że dotarła do hotelu razem ze wszystkimi. Jak daleko mogła zawędrować? Huragan im sprzyjał, zapewniali siebie nawzajem. Nikt nie

opuściłby bezpiecznego hotelu w taką pogodę. Nawet gdyby próbowała, wiatr wepchnąłby ją z powrotem do środka, gdyby tylko otworzyła drzwi.

Oczywiście rozglądali się za nią. Ale każdy pracownik ma tylko dwoje oczu, a te oczy musiały być skupione na dużej grupie staruszków w ogromnym obcym pomieszczeniu z drżącymi żyrandolami i jaskrawym dywanem, który dezorientował wszystkich. Zredukowany do minimum personel musiał organizować leki, znajdować zajęcia dla wszystkich, a jednocześnie cały czas krzyczeć: „Nie patrzcie na dywan! Nie patrzcie na dywan!”. Danny musiał zrozumieć, że nie można było zająć się absolutnie wszystkim. Ale próbowali. Zrobili, co w ich mocy. Od czasu do czasu ktoś wołał: „Czy Violet Smoke się odnalazła?!”, a ponieważ odpowiedź wciąż brzmiała „nie”, wyznaczili dwóch pracowników, aby jej poszukali. „Tak naprawdę nie mogliśmy sobie pozwolić na to, by poświęcić chociaż jednego, nie mówiąc już o dwóch członkach personelu – tłumaczyła dyrektorka. – Mieliśmy pod opieką również innych rezydentów poza pana matką. Mimo wszystko to zrobiliśmy”.

Danny prychnął z oburzeniem, streszczając Delph tę historię. Jego głos podnosił się o kolejne oktawy.

– Powiedziałem jej: „Niech będzie pani taka dobra i przełoży omawianie ze mną swojej linii obrony na czas, kiedy pozwę wasze tyłki, a teraz niech pani po prostu przejdzie do konkretów!”.

A konkrety brzmiały następująco: oddelegowani pielęgniarze razem z personelem hotelowym obeszliz zaledwie trzypiętrowy budynek, pukając do drzwi każdego pokoju, sprawdzili kuchnię i kryty basen, zajrzeli nawet do ogromnych przemysłowych lodówek. I wtedy zaczęli przypuszczać, że może jednak opuściła hotel. Ale jeśli to zrobiła, cóż oni mogli począć? Tam szalał huragan. Hotel miał agregat prądotwórczy, ale reszta Melville była ciemna jak las o północy. Telefony nie działały, a to oznaczało, że nie mogli zadzwonić na policję czy do pobliskich szpitali. „I nie mogliśmy tak po prostu przejechać się po okolicy – usprawiedliwiała się dyrektorka. – Po pierwsze, nie mieliśmy żadnego pojazdu. Autokar, który wynajęliśmy, żeby zawiózł nas do hotelu, dawno już odjechał. A po drugie, nawet gdybyśmy mieli samochód, co mielibyśmy zrobić? Jeździć po ulicach na chybił trafił, wykrzykując jej imię? Ale nawet gdybyśmy tak zrobili, ona nie byłaby w stanie nas usłyszeć przez ten deszcz i wiatr”.

– Więc to była dla mnie prawdziwa pociecha – powiedział Danny.

Tego ranka kierowca hotelowego vana, nastolatek, który siedział w lobby, czytając *Starego człowieka i morze*, podczas gdy wiatr uderzał w szyby atrium nad jego głową, zauważył zamieszanie. „Hej! – zawołał. – Ta pani, której szukacie? Nie myślicie, że to ta, którą zawiózłem wczoraj na stację kolejową, prawda?”. Danny zadzwonił pod numer Long Island Railroad.

– Nie wiem, co myślałem, że mi powiedzą – zwierzył się Delph. – „Och, tak,

proszę pana. Teraz, jak pan pyta, to przypominam sobie, że rzeczywiście mieliśmy niepoczytalną staruszkę w pociągu do Nowego Jorku o czwartej trzydzieści pięć”.

– Zauważyliśmy, że ma lepsze i gorsze momenty – przyznała Delph.

– Taaa – potwierdził Danny. – I to z naciskiem na gorsze.

Chciał przyjechać do miasta, powiedział. Chciał zabrać Violet do domu. Nie miałby też nic przeciwko zobaczeniu naszego legendarnego mieszkania.

– Nigdy nie byłem pewien, co wkurzyło moją mamę bardziej – powiedział. – Myśl, że twoja matka przeprowadziła się z powrotem do Niemiec i generalnie kazała jej się odpieprzyć, czy też koszmarny fakt utraty rodzinnego mieszkania z kontrolowanym czynszem.

Chciałby też poznać nas, dodał. Legendarne kuzynki. A szczególnie Delph.

– Z powodu naszej krótkiej wspólnej historii – powiedział.

– Jakiej wspólnej historii? – zdziwiła się Delph.

– Co? – zapytał zaskoczony. – Nie... po prostu chodziło mi o to, że oboje jesteśmy najmłodszy. – Problem polegał na tym, że chociaż chciał wsiąść do samochodu natychmiast, nie mógł. Nie dzisiaj. Może nawet nie do poniedziałku. U stóp jego podjazdu leżało powalone drzewo – wprawdzie nie sekwoja, ale cholera, z tego, co widział, coś zbliżonych rozmiarów. A na ulicy leżało jeszcze z pół tuzina innych drzew.

– Jutro wieczorem mam występ w Hicksville – powiedział nie bez dumy. – Nie wiem, jak tam dotrę, nie mówiąc już o dojeździe do miasta.

– Znajdziemy sposób, żeby przywieźć matkę do ciebie – usłyszała Delph swoje słowa.

To by było na tyle, jeśli chodzi o nasze plany na ten weekend. To by było na tyle, jeśli chodzi o dosłowny *Sturm*, po którym miał nastąpić nasz kolektywny *Drang*. Będziemy musiały pożyczyć przynajmniej do jutra.

Odkładając słuchawkę, Delph pomyślała również o słowach „występ w Hicksville”. Była całkiem pewna, że nigdy w życiu nie słyszała niczego równie żenującego, a była kobietą, która wiedziała wiele o żenadzie.

Nawet Vee się zgodziła: wstrzymamy się z naszymi weekendowymi planami, dopóki Violet nie wróci na Long Island.

– Zatem nie dziś wieczorem i prawdopodobnie nie jutro – powiedziała. Usiadła na łóżku, podciągnęła koc pod brodę. Wyglądała jak stara fotografia, z twarzą zabarwioną na żółto, mlecznobiałymi spierzchniętymi wargami, oczami tak podkrążonymi, że wydawały się umazane sadzą. – Ale w niedzielę. Będziemy celować w niedzielę.

A kiedy Delph zapytała:

– Czy przypadkiem któraś z was nie uważa, że powinniśmy wrócić do

oryginalnego planu? Do sylwestra?

Vee popatrzyła na nią smutnym wzrokiem i powiedziała:

– Delph, nie sądzę, żebym mogła czekać tak długo.

– W porządku – wycofała się Delph. – Oczywiście.

– Delph, wiesz, że w każdej chwili możesz zrezygnować... – zaczęła Lady, ale Delph uciszyła ją gestem.

– Chodzi po prostu o to – wyjaśniła – że zastanawiam się, czy teraz, kiedy Violet nas zna, przypadkiem by się nie zdenerwowała, gdybyśmy... kiedy my...

Vee ze śmiechu dosłownie stoczyła się z łóżka na wąski klin podłogi między materacem a ścianą.

– Violet – powiedziała – może się denerwować rankami, ale do popołudnia zapomni nasze imiona i będzie grać w karty, i oglądać telewizję, i nakazywać przypadkowo napotkanym obcym, aby ją wykąпали.

– Czekaj! – zawołała Lady. – Dokąd ty się wybierasz?

– Na Long Island – oświadczyła Vee, mimo że jednocześnie masowała sobie bolące plecy.

– Zwariowałaś? Zostajesz tutaj. Nigdzie nie jedziesz.

– Czuję się dobrze – zaprotestowała Vee. – Violet ma przy sobie percocet. Wezmę kilka tabletek. Nie zostanę tutaj sama.

– W takim razie ja zostanę z tobą – zdecydowała Lady.

– Ha! – prychnęła Vee. – I niby Delph załatwi wszystko sama?

I tak pojechaliśmy wszystkie razem, całe nasze żeńskie zgromadzenie, triumwirat, drużyna. Chciałyśmy się jak najszybciej pozbyć Violet. Nie chodziło tylko o to, że w jej towarzystwie czułyśmy się zażenowane i zaczynałyśmy kwestionować nasz sposób życia: nasze beznadziejne nawyki żywieniowe, nasze wstydliwie wysokie spożycie alkoholu, nasze upodobanie do zasypiania w jednym łóżku, nasze nieuchronnie zbliżające się samobójstwa, których nie można było przeprowadzić w obecności gościa zajmującego pokój zmarłych i umierających. Chodziło też o ten niepokój o zmierzchu. Nie potrafiłyśmy sobie z tym poradzić. Demencja Violet powróciła tuż po tym, jak podniosła się mgła, a szarozielone niebo zrobiło się tylko odrobinę bardziej szare niż zielone. Nawet kiedy Delph rozmawiała z Dannym, Violet bez przerwy perorowała w tle. „Rozłącz się! Rozłącz się! – krzyczała. – Nie wiesz, kto to jest?! Zdradzasz naszą lokalizację”.

– Ach – westchnął Danny ze znużeniem. – Słyszę moją mamę. Znam tę śpiewkę. „Nadciągają brunatne koszule, nadciągają brunatne koszule”.

– To takie smutne – zauważyła Delph. – Musiała mieć siedem czy osiem lat, kiedy opuszczali Berlin. Nic dziwnego, że został jej psychiczny uraz. Jak można by zapomnieć o takim strachu?

– Tak – powiedział Danny. – To wszystko jest bardzo smutne. Przynajmniej przez pierwsze dwa miesiące. Potem, kiedy słyszysz to samo noc w noc i nic, co

robisz czy mówisz, nie pomaga, to wtedy, owszem, wciąż jest to smutne, ale jednocześnie masz ochotę wyskoczyć przez okno.

– Jak dziadek – podsumowała Delph.

– Co masz na myśli? – zapytał Danny. – Co skakanie z okna ma wspólnego z... nazywasz go dziadkiem? To znaczy, jeszcze nie było nas na świecie, kiedy on żył. Odszedł tak młodo. Tak czy inaczej, to miłe, że nazywasz go w ten sposób.

Przez chwilę Delph zastanawiała się, czy to wszystko było kłamstwem. Wszystko, co nasza matka kiedykolwiek nam opowiedziała, wszystkie smutne historie, wszystko, co wciąż nas prześladowało – same kłamstwa i jeszcze więcej kłamstw. „To byłaby ironia losu”, pomyślała. Całe życie sądzisz, że jesteś przeklęty, a potem okazuje się, że wszystko opierało się na genach i grzechach jakiejś innej rodziny. Ale wiedziała, że tak nie jest. Violet zobaczyła tabelkę i jedyną śmiercią, którą zakwestionowała, była jej własna. Poza tym na półkach stały biografie potwierdzające większość opowieści naszej matki. I nie tylko biografie. Posiadałyśmy również niektóre materiały źródłowe: listy Iris do Lehrera – te, które pisała do niego, zanim umarł – dzienniki Karin, artykuły z gazet i nekrologi.

– Sama nie wiem, dlaczego właśnie nazwałam go dziadkiem – wyznała Delph Danny’emu. – Nigdy wcześniej tak o nim nie powiedziałam.

Następnego dnia wczesnym rankiem, w ciepłą słoneczną sobotę – niebo miało taki sam odcień delikatnego błękitu jak dres, do którego włożenia zmusiłyśmy Violet poprzedniego wieczoru (teraz była ubrana w swoją podomkę w czerwoną kratę) – wsiadłyśmy do pociągu, żeby zwrócić ciotkę naszemu kuzynowi.

– Delph – rozporządziła Lady. – Ty usiądź z Vee, a ja usiądę z Violet. Ale ciotka zaprotestowała:

– Chcę, żeby ta siedziała ze mną – powiedziała.

„Tą” była Delph i nie miały jak jej uratować. Delph usiadła więc razem z Violet, podczas gdy Lady i Vee ruszyły przejściem w poszukiwaniu najbliższych wolnych miejsc. Delph patrzyła, jak odchodzą, jakby porwane bezduszną falą. Nie była do końca gotowa się z nimi rozstać, ale była wdzięczna, że nie musi podtrzymywać Vee. To znaczy fizycznie podtrzymywać. Był balsamiczny wrześnieowy poranek, ale Vee opierająca się ciężko o Lady miała na sobie wełniany zimowy płaszcz i turban z chusty w barwach klejnotów, którą złożyła i owinęła wokół głowy jak origami.

– Żeby było mi cieplej – wyjaśniła.

– I z próżności – wyszeptwała Lady do Delph. – Jesteśmy o krok od opuszczenia tego padołu, a ją wciąż obchodzi, co pomyśli o niej *le cousin*.

– Och, daj spokój – powiedziała Delph. – Nie wiesz na pewno, że to dlatego ją założyła. – Chociaż prawda była taka, że Delph też się postarała. Odrobina tuszu do rzęs, odrobina różu...

Zgodnie z rozkładem jazdy kolei podróż ze stacji Penn do stacji Pine Lawn miała potrwać sześćdziesiąt sześć minut. Gdybyśmy się nad tym zastanowiły, zdałybyśmy sobie sprawę, że przez pierwsze pięć z tych minut pociąg będzie się telepał przez tunel pod East River. Ale nawet gdybyśmy pomyślały o tunelu, nigdy byśmy nie zgadły, że światła w wagonie zamigoczą, a potem zgasną na całe pięć minut i pasażerowie pogrążą się w takich ciemnościach, że nie będą w stanie dojrzeć własnych dłoni. Violet miała jasny umysł – wyczuwałyśmy już jej rytmy i celowo wybrałyśmy wczesną godzinę wyjazdu. Ale gdy złapała Delph za ramię i wyszeptła: „Tyle ciemności nie wpływa na mnie dobrze” – w jej bezcielesnym głosie zabrzmiała trwoga.

– Pójdę po Lady – zaproponowała Delph, ale Violet jej nie puściła.

– Moja pielęgniarko! – zawołała. Możliwe, że nawiązywała do kąpieli z poprzedniego wieczoru. Możliwe też, że nadała Delph takie przezwisko. Ale możliwe, że już zaczęła odczuwać niepokój zmierzchu. – Nie zostawiaj mnie, moja pielęgniarko.

Delph przez całe życie wpadała w zakłopotanie, gdy tylko była zmuszona do odbycia z kimś dłuższej rozmowy. Przystawała wtedy rozpoznawać tembr swojego głosu. Teraz też doszła do wniosku, że to nie jest jej głos, głos, którym zazwyczaj mówi, a z pewnością nie głos, którym śpiewa. Jest to zdławiony głos, a ona wyobraża sobie, jak jej struny wykrecąją się i płaczą, niezdolne do wibrowania w należyty sposób. Zawsze gdy zaczyna mówić w ten sposób, rumieni się, a potem milknie. Tamtego ranka nie mogła jednak zamilknąć, wcieliła się więc w Lady.

– Okej, zamknij oczy – powiedziała. – Skup się na swoim oddechu. – To były słowa, które Lady intonowała, kiedy przeprowadzałyśmy naszą leżytację. Delph знаła ten scenariusz na pamięć. – Poczuj swój oddech i podążaj za nim, ale nie myśl o nim – poinstruowała Violet napiętym głosem.

Kiedy tak powtarzała instrukcję, naśladowując łagodny ton Lady, czuła się, szczerze mówiąc, jak idiotka. Była pewna, że nieznajomi siedzący naprzeciwko niej i za nią słuchali i przewracali oczami. Ściszyła głos. Zastanawiała się, czy Violet w ogóle słyszy, co do niej mówi, ten apel, by robiła to, co i tak już robiła: wydychała, wdychała, znowu wydychała. Oddech Violet był głośny i przesadzony. Nabierała powietrza i wydychała je nie jak osoba medytująca, lecz jak pacjent osłuchiwany przez lekarza. Ale gdy pociąg wyjechał na światło przemysłowego Queens i Delph powiedziała Violet, żeby otworzyła oczy powoli, kiedy będzie gotowa, Violet była gotowa natychmiast. Zamrugła i rozejrzała się po wagonie,

jakby znalazła się w nowym dziwnym świecie. Delph nie potrafiła stwierdzić, czy nabijała się z całego tego doświadczenia, czy nic ją to nie obeszło, czy może osiągnęła nirwanę. Violet za to uśmiechnęła się do niej znacząco.

– Poczuj oddech, ale nie myśl o oddechu? – powtórzyła. – To ma dla ciebie sens?

Wydawała się jednak spokojna. Wydawała się ocalona.

– Ale pomogło, nie? – powiedziała Delph.

– W porządku, moja pielęgniaro, pomogło. – Violet nie zamierzała okazywać więcej wdzięczności. – Mogłabyś mi wyświadczyć przysługę? – zapytała zamiast tego. – Czy mogłabyś, proszę, zabrać te włosy z twarzy? Bóg dał ci dwoje uszu nie bez powodu. Zatknij za nie te włosy.

– Mówisz jak moja matka – mruknęła Delph, chociaż nasza matka nigdy nie przybrała tak szorstkiego tonu.

Ciotka Violet zachichotała.

– Boże broń – powiedziała.

A potem zrobiła coś, czego nikt wcześniej nie zrobił ani Delph, ani Lady, ani nawet Vee, jeśli chodzi o ścisłość. Wyciągnęła dłoń, uszczypnęła Delph w policzek i potarmosiła.

Nigdy wcześniej nie byliśmy na Long Island. W pociągu Delph zachowywała się jak turystka zafascynowana wszystkim, co widzi. Patrzyła na fabryki chuchające czarnym dymem, jakby biskup właśnie przegrał wybór na papieża, patrzyła na ogromne billboardy przedstawiające potężniejszych niż w rzeczywistości mężczyzn, nie mających na sobie niczego poza kolorowymi slipami i czapkami gazeciarzy, patrzyła na cmentarz Cavalry, gdzie większość pomników była zrobiona z czarnego i szarego granitu z tego samego powodu, dla którego ludzie czasami noszą czarne lub szare ubrania: aby ukryć brud. Ponieważ czuła się skrępowana i onieśmielona obecnością Violet, ponieważ sztuka konwersacji nie była jej mocną stroną i ponieważ chciała porozmawiać o kłątwie – umierała z ciekawości, żeby usłyszeć poglądy ciotki na ten temat – Delph wspomniała o Lenzu Alterze:

– A więc – zaczęła nonszalancko – wiedziałas, że proces manny jest odpowiedzialny za całe to zanieczyszczenie środowiska?

Nie do końca udało jej się osiągnąć zamierzony efekt. Chciała sprowokować dyskusję, zachęcić Violet, aby opowiedziała jej trochę rodzinnych historii, ale zamiast tego Violet się obraziła.

– Nie całe zanieczyszczenie – pociągnęła nosem. – Tylko jego część.

Delph pokiwała głową, wycofując się.

– To prawda – powiedziała, chociaż wcale nie była tego taka pewna.

– Mój dziadek był wielkim człowiekiem – oznajmiła Violet. – Ludzi należy sądzić według czasów, w których żyli, a nie przez pryzmat terażniejszości, której nigdy nie mieli szansy zobaczyć. W czasach, w których żył, problemem była śmierć głodowa. Nie zanieczyszczenie.

„Pewnie – pomyślała Delph. – Nie mieli zanieczyszczenia, bo on go jeszcze nie spowodował”. Ale nic nie powiedziała, tylko przez następną minutę czy dwie poddawała samą siebie miażdżącej krytyce. Po co w ogóle otwierała buzię? Dlaczego próbowała wciągnąć ją do rozmowy? Była w tym taka kiepska... Lady nie popełniłaby tego błędu. Lady zdałaby sobie sprawę, że Violet знаła Lenza Altera nie z rodzinnych opowieści czy książek, ale z chwil zabawy u jego stóp i siedzenia mu na kolanach, i nazywania go tak, jak tam niemieckie dzieci żydowskiego pochodzenia nazywały swoich dziadków. Nie *zejde*. Nasza matka dała nam jasno do zrozumienia, że jej rodzina nie bawiła się w jidysz. Może jak Shirley Temple w *Heidi* Violet nazywała Lenza Dziadkiem.

To Violet postanowiła ocalić konwersację, pokierować ją na mniej osobiste tory:

– Czy wiedziałaś, że to największy cmentarz w kraju? – zapytała. – Tyle mil pożywki dla roślin.

– Może powinnaś znowu zamknąć oczy, dopóki go nie minimy – zaproponowała Delph. Próbowała być troskliwa, opiekuńcza. Próbowała zachowywać się jak pielęgniarka.

Violet zbyła jej starania machnięciem ręki.

– Nie radzę sobie za dobrze z ciemnością, to prawda, ale śmierć mi nie przeszkadza. To zbliżanie się do niej stanowi problem. Wierz mi, wiem coś o tym. Dorastałam w rodzinie pełnej ludzi zajętych umieraniem. Tak właśnie przeżywali swoje życia. „Czy powinnam umrzeć dzisiaj? Nie? Okej, to może jutro?”. Przez całe moje życie próbowałam uciec przed tym szaleństwem. I uciekłam. Udało mi się. I jaka spotkała mnie nagroda? Starzeję się. Umysł mnie zawodzi. A kiedyś byłam taka bystra, miałam tęgą głowę, każdy ci to powie. Nie żeby został ktoś, kogo mogłabyś zapytać. Na dodatek wcisnęli mnie do magazynu pełnego ludzi zajętych umieraniem – przewróciła oczami, skrzywiła się. – Życie – prychnęła.

Delph kontynuowała ostrożnie, ale kontynuowała:

– Myślałam, że mówiłaś, że to najlepszy dom opieki w okolicy.

– Jasne, a rozpadająca się chałupa jest najlepszym domem na polu namiotowym. – Skończyła mówić o sobie. – Opowiedz mi o Vee – poprosiła nagle matczynym tonem. – Czy naprawdę nic nie mogą dla niej zrobić?

Delph odwróciła głowę, wyjrzała przez okno na tysiące usmolonych nagrobków.

– Ona tak twierdzi.

– Ale konsultowałyście się z innymi lekarzami?

– Ona nie chciała.

– A kogo obchodzi, czego ona nie chce? Nie pozwala się osobie w depresji podejmować takich decyzji.

– Ona nie ma depresji – to była linia partyjna, której się trzymałyśmy. Przyznaj się do depresji, a twoja filozofia zamieni się w patologię. – I nigdy nie zaciągnęłybyśmy jej do innego lekarza wbrew jej woli. Nie chciałybyśmy jej robić fałszywych nadziei. To by za bardzo przypominało szafowanie frazesami, nie sądzisz?

Violet tak nie uważała.

– Macie najlepszy w kraju szpital dla chorych na raka w mieście, w którym mieszkacie, i nie poszłyście tam nawet raz?

– Jeśli chodzi o Vee – powiedziała Delph – Sloan Kettering⁴⁰ jest po prostu kolejnym namiotem na polu.

Kiedy znowu wyjrzała przez okno, cmentarza już nie było. Zastąpiły go szeregi rodzinnych sklepików, potem domy segmentowe, każdy z małym trawnikiem zastawionym ozdobami ogrodowymi: Matka Boska przypominająca Błękitną Wróżkę z Disnejowskiej wersji *Pinokia*, krasnale, duże niebieskie kule na cokołach. W okolicach stacji Forest Hills, gdzie domy były odrobinę większe, wiele w stylu Tudorów, Violet powiedziała:

– Ja też niedługo umrę. Mam słabe serce i tracę zainteresowanie całym tym rwetesem. To jest pocałunek śmierci: brak zainteresowania.

Delph nie mogła nie sięgnąć po frazes:

– Och, daj spokój – zaprotestowała. – A co z twoim chłopakiem w domu opieki?

– Och, z nim – powiedziała Violet. I bez zmiany wyrazu twarzy czy modulacji głosu, chociaż nagle spuściła wzrok na palce, które splatały się to w jeden wzór, to w inny, kontynuowała: – No więc chcę, żebyś poznała prawdę, zanim umrę. Myślę, że to dlatego uznałam za konieczne, żeby do was przyjechać. Nie sądzę, że to była tylko wina mojego... – zacisnęła dłoń w pięść i stuknęła się w głowę – ...myślę, że musiałam mieć powód.

Delph pokiwała głową. Powód. Nachyliła się, żeby go usłyszeć. To nie była strasznie długa historia. Violet skończyła ją akurat, gdy pociąg dotarł do stacji Floral Park. Nie zaczynała się od słów „pewnego razu”, ale równie dobrze mogłaby. Zaczęła się od słów: „Pewnego wspaniałego wiosennego dnia”. A zatem pewnego wspaniałego wiosennego dnia, jakieś czterdzieści dwa lata temu, ciotka Violet odebrała telefon od naszego ojca. Powiedziała, że nie było w tym nic niezwykłego. Chociaż nasza matka i Violet nie rozmawiały od lat, nasz ojciec dzwonił od czasu do czasu, by dać jej znać, co słyhać u nas, dziewczynek, i pożyczyć trochę pieniędzy. Violet i Jack Smoke mieli zasadę: jeśli pieniądze miały być dla nas, dawali mu je, jeśli miały być dla naszej matki, odmawiali.

„Chociaż jej stan wpływał na nasz”, Delph jest zbyt tchórzliwa, żeby to powiedzieć. Tego jednak dnia nasz ojciec nie dzwonił w sprawie pożyczki. Zamiast tego powiedział, smutniejszym tonem niż większość ludzi, kiedy wypowiada tę frazę:

– To dziewczynka.

– Kolejna dziewczynka – zauważyła Violet. – A jak się z tym czuje moja siostra?

– Dobrze. Obie są zdrowe. Dziesięć paluszków u rąk, dziesięć u nóg.

– To dobrze, że dobrze, ale nie o to pytałam. Chciałabym wiedzieć na przykład, czy jest szczęśliwa.

– Przecież rozmawiamy o Dahlie – powiedział nasz ojciec.

Upłynęła chwila ciszy, zanim Violet podjęła rozmowę:

– Czy nadała jej już imię?

Upłynęła chwila ciszy, zanim wyznał:

– Delphine.

Kazała mu to przeliterować.

– Co to ma być? – zapytała. – Czy to z francuska? Nie znam ani jednej osoby na świecie o takim imieniu.

– Twierdzi, że to kolejny kwiat. Myślę, że ma na myśli *Delphinium*. Poprawiłbym ją, ale... *Delphinium Frankl*? Chyba nie oddałbym nikomu przysługi.

– Delphine Frankl też nie brzmi bajecznie.

Nasz ojciec nie odpowiedział.

– Nat?! – zawołała Violet. – Jesteś tam?!

– Posłuchaj – powiedział. – Chcę przyjechać i porozmawiać z tobą.

– Serio? Jest gotowa złożyć wizytę personie non grata?

– Ja sam. Żartujesz? Zakazała mi do ciebie dzwonić. Powiedziała: „A na wypadek, gdybyś myślał o zadzwonieniu do mojej siostry, wyświadczyć mi przysługę i nie rób tego”.

– W porządku – powiedziała Violet. – Przyjedź sam. I przywieź mi zdjęcie tego dziecka.

Nasz ojciec udał się do Violet pociągiem tej samej linii, z której my teraz korzystaliśmy. Siedział twarzą w stronę Manhattanu; mógł widzieć tylko to, co zostawia za sobą, a nie cel, do którego zmierza. Zrobiło mu się od tego niedobrze. To była pierwsza rzecz, którą oznajmił Violet, kiedy wsiadł do jej kombi:

– Jechałem tyłem do kierunku jazdy przez całą drogę. Czuję, że zaraz zwymiotuję.

– Ciebie też miło widzieć – skwitowała.

To był dzień powszedni. Sharon i Margo były w szkole. Danny, lat cztery, był w trakcie drzemki. Jack Smoke był w pracy. Nowojorska filia jego domu maklerskiego znajdowała się w dzielnicy finansowej, niedaleko kancelarii Vee, jak

się okazało. Z tego, co wiemy, wynika, że mogli latami jadać w tej samej lunchowni, ramię w ramię, ze wzrokiem skierowanym prosto przed siebie. Z tego, co wiemy, wynika, że po zakończeniu pracy mogli wsiadać do tego samego wagonu metra. Może po tym, jak Jack Smoke wysiadał przy Trzydziestej Czwartej Ulicy, Vee rzucała się na zwolnione przez niego miejsce, wyczuwając nieprzyjemny ślad ciepła pozostawiony przez obcego. Gdyby wiedziała, kim naprawdę był, wszystko wyglądałoby inaczej. Lunche byłyby wesołe, ciepło siedzenia – bliskie. Właściwie to zaczniemy od tego, że gdyby znali się nawzajem, on nie pozwoliłby jej stać. Od razu oddałby jej miejsce. Ostatecznie była jego malutką siostrzenicą.

Natan Frankl i Violet Smoke usiedli na winylowych fotelach ogrodowych nad basenem za domem Smoke'ów. Pili mrożoną herbatę ze spoconych szklanek do koktajlu.

– Mrożoną herbatę – powtórzyła Violet. – W moim domu nigdy nie było ani kropli alkoholu. Nawet wina do gotowania.

– Wiem, że Richard i Karin...

– ...chlali. Byli pijakami. Możesz to powiedzieć. Dlaczego wy, dziewczynki zwyczajnie nie mówicie prosto z mostu tego, co macie do powiedzenia? Pili i kłócili się. A kiedy to ich zmęczyło, najpierw się kłócili, a potem pili. Kłócili się o pieniądze, kłócili się o jego marną pracę, kłócili się o jego rodzinę, o to, że gdyby mój ojciec miał jakikolwiek dar przewidywania, wsypałby swemu ojcu truciznę do sznapsa. O to ostatnie kłócili się już pod koniec, kiedy dowiedzieli się o gazie. O cyklonie. Widzisz? Ja nie boję się mówić na głos tego, co myślę. Moja matka zadzwoniła do mnie do college'u, żeby się upewnić, że dotarły do mnie najnowsze wieści. Najpierw zadzwoniła do Rosie, a potem do mnie. Zapytałam ją: „Co to ma wspólnego z tatą albo z tobą, albo z kimkolwiek z nas?”. Ale moja matka, która – jak sama twierdziła – nigdy się nie myliła, powiedziała: „Gdyby użyto cyklonu do leczenia raka, wierz mi, Alterowie przypisałiby sobie zasługi”.

Violet przerwała opowieść, aby zastanowić się nad tym przez chwilę. Po tylu latach wciąż próbowała sformułować ciętą ripostę. Kiedy jej się to nie udało, kontynuowała:

– Poza tym rzucała w niego różnymi rzeczami. Głównie zastawą stołową, jak w filmach. Chociaż nigdy dobrą porcelaną z Niemiec. Ale różnica była taka – w jej głosie słychać było dumę – że nigdy nie rzucała w nas, w córki.

– Nasza matka też nigdy nie rzucała rzeczami w córki – zauważyła Delph.

– No pewnie – skwitowała Violet. – Żeby to robić, musiałyby na was popatrzeć. Błagam... Nie myśl, że nie wiem, co się tam u was działo.

– Nic się nie działo – powiedziała Delph.

Natan Frankl sącył swoją mrożoną herbatę nad basenem. Powierzchnia wody była zaśmiecona różowymi pasmami – gnijącymi włóknami kwiatów mimozy – oraz na wpół nadmuchanymi tratwami i kołami z głowami śmiejących się żółwi. Nasz ojciec zażartował jak zwykle:

– A więc jak się mają sprawy w palarni?

Delph natychmiast zauważyła podwójne znaczenie: *Smoke house* – ale nie pomyślała o papierosach, tylko o ludziach, o nagich ciałach czekających w kolejce do małego surowego budynku – jak to możliwe, że nie uginały się pod nimi nogi? – które wkrótce miały wdychać gaz, będący pochodną wynalazku naszego pradziadka, a później spłonąć. Ale Violet najwyraźniej nigdy nie miała takich skojarzeń.

– Wszystko w porządku – powiedziała Natanowi. – Wspaniale. Idealnie jak zawsze. A jak się mają sprawy w wariatkowie?

Skrzywił się.

– Ona ma rację, kiedy mówi, że nie potrafi sobie poradzić z nimi trzema – wyłowił z kieszeni papierosa i zapalił. – Nie potrafi sobie poradzić nawet z jedną. Przysięgam, że Vee jest przekonana, że to Lady jest jej matką. Tylko Lady może ją karmić, tylko Lady może ją ubierać. Vee zanosí się płaczem, kiedy Lady musi wyjść do szkoły. A ze mnie też żadna pomoc, przyznaję to. Nie wiem, co, do diabła, z nimi robić. Byliśmy w zoo w Central Parku sam nie wiem ile razy. Już nie mogę patrzeć na te cholerne małpy. I jestem całkiem pewien, że one nie mogą znieść patrzenia na mnie. Odwracają się plecami, kiedy tylko się pojawiają. Mają tam też takiego niedźwiedzia polarnego. Jego klatka jest za mała. Jego sadzawka jest brudna. Ludzie wrzucają papierosy do wody. Biedak po prostu stoi tam, kiwając głową w przód i w tył, w przód i w tył. Doprowadzili go do szaleństwa. To porusza we mnie czułą strunę. Sprawia, że myślę o wojnie, o nas wszystkich uwięzionych za drutem kolczastym. Boję się, że któregoś dnia pójdę tam i zdemoluję kraty.

– Akurat tym bym się nie przejmowała. Żaden z ciebie Herkules.

– Myślałem, że może jeśli tym razem urodzi się chłopak, będę mógł coś z nim robić. Ale nawet gdyby to był chłopak... to znaczy... popatrz na mnie. Jestem za stary. Jestem za... – szukał słowa najpierw po angielsku, potem po francusku, potem po niemiecku; nic mu nie przyszło do głowy. – Mam nerwicę frontową – powiedział w końcu, używając starego słowa z czasów Wielkiej Wojny, ale nie to miał na myśli. W tamtych czasach nie istniało jeszcze słowo, którego szukał. Dopiero niedawno wymyślono określenia „ludobójstwo”, „zaburzenie stresowe pourazowe”.

Wyciągnął portfel i wyjął z niego zdjęcie. Violet się zaśmiała. Nigdy nie widziała tyłu włosów u niemowlaka.

– Błagałem ją, żeby się tego pozbyła – przyznał Natan i w pierwszej chwili

Violet pomyślała, że mówił o włosach. – Ale ona nie chciała tego zrobić i oto przyszło na świat.

To wtedy złożył jej propozycję.

– Cóż – powiedziała Violet po dłuższej chwili. – Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Dahlie oddała coś, co należy do niej, nawet jeśli tego nie chciała. A już szczególnie mnie.

– Gdyby udało nam się wymyślić, jak to rozegrać, może moglibyśmy ją przekonać, że to uczyni ciebie nieszcześliwą.

– Próbowaleś ją już wysondować? W takich sytuacjach im szybciej, tym lepiej. Mam przyjaciółkę, która adoptowała. Nie pozwolili biologicznej matce potrzymać dziecka nawet raz. Zabrali je natychmiast i tyle. Lepiej dla wszystkich.

– Najpierw chciałem wy badać ciebie. Jeślibyś się nie zgodziła, nic więcej bym nie zrobił. Nie oddałbym tego komuś obcemu.

– Nie „tego” – poprawiła go Violet. – Jej.

– Zatrzymalibyśmy to, gdybyś się nie zgodziła. Chciałem sprawdzić, co powiesz. To znaczy, co ty i Jack powiecie. Musiałabyś zapytać Jacka.

– Cóż, oczywiście. To poważna sprawa. Wychowywanie trójki jest już wystarczająco kosztowne.

– Właśnie dlatego jeszcze nic jej nie powiedziałem. Macie wiele do omówienia. To znaczy ty i Jack.

– Więc ona niczego nie podejrzewa?

– Powiedziałem jej tylko prawdę. To samo, co po urodzeniu poprzednich dwóch. Lekcja z obozu. Powtarzam to też Lady i Vee. Kiedy śpią. „Nigdy nie kochaj nikogo za bardzo, bo nie wiesz, kiedy ci go odbiorą”. Szepczę im to do ucha. Szepczę każdej nocy.

– Nie trzeba było siedzieć w obozie, żeby nauczyć się tej lekcji – zauważyła Violet. – Moja matka, mój ojciec, Rosie – odeszli jedno po drugim. Bum, bum, bum.

– To prawda. Chociaż twój ojciec... zrobił to z powodu tego, czego dowiedział się o obozach, nie? Z powodu gazu. I możliwe, że Rosie też dlatego to zrobiła. Wracamy więc do punktu wyjścia: wszystko sprowadza się do Hitlera.

– Bum, bum, bum – powtórzyła Violet. – Mówisz więc sobie: „To by było tyle. Skończyłam z tym. Już nigdy nikogo do siebie nie dopuszczę”. Ale potem pojawia się Jack. Potem pojawiają się dziewczynki. Kiedy po raz pierwszy je trzymałam, w tej pierwszej sekundzie, zrozumiałam, że nic nie wiem. Mur, którym otoczyłam swoje serce, runął na zawsze. Bum.

– W takim razie Dahlie jest bardziej roztropna od ciebie. Nic nie zburzy jej muru. Kiedy poradziłem jej, żeby nie kochała dziecka za bardzo, powiedziała mi, że jest jeszcze zdecydowanie za wcześnie na to, aby mogła je pokochać. „Nie kocha się ich od samego początku – powiedziała. – Na to potrzeba czasu. Kilku

lat”.

– Cóż, to cała moja siostra. Ze mną było inaczej, mówię ci. Poczułam to w pierwszej sekundzie, gdy tylko znalazły się w moich ramionach. Rozerwałabym Jackowi gardło zębami, gdyby próbował mi którąś odebrać. Gdyby tylko to zasugerował. Ale Dahlie, owszem. Rozumiem, że może minąć kilka lat, zanim pokocha własne dziecko. Jeśli w ogóle.

„Jeśli w ogóle”, pomyślała Delph. Podobnie jak „ale wtedy” oraz „a wtedy” był to zwrot, który mógłby się spodobać Vee.

– To wtedy wpadłem na ten pomysł – wyjaśnił Natan. – Kiedy powiedziała, że nie kocha się ich na początku. Powiedziałem sobie: „Natan, masz szansę. To byłoby lep-sze dla dziecka. To byłoby lepsze dla Dahlie. To byłoby lepsze dla pozostałych dwóch”. I bądźmy szczerzy, to prawdopodobnie byłoby lepsze również dla mnie. I kto wie? Mogłaby nas zaskoczyć. Może by jej ulżyło.

– Może. Z nią nigdy nic nie wiadomo.

– Oczywiście tobie nie byłoby lekko. Danny ma dopiero ile? Cztery lata?

– To byłby ciężar. Ale nie to mnie martwi.

Violet dokończyła swoją herbatę. Myślała o tym, że chciałaby już wstać i zebrać śmieci z powierzchni basenu. Potem weszłaby do środka, sprzątnęła kuchnię. Czuła potrzebę zaprowadzenia w domu porządku, wysprzątania niektórych szaf, odłożenia porzucanych zabawek na właściwe półki. Kolejne małe dziecko, a Danny jeszcze nie chodzi do szkoły. Gdyby dom nie był od początku utrzymywany w czystości, nie miałyby żadnych szans.

– Będę musiała porozmawiać o tym z Jackiem – powiedziała. – I z dziewczynkami. Margo musiałaby się przenieść do pokoju Sharon. Nie jestem pewna, jak by się z tym czuły. Chociaż obie uwielbiają dzieci. A tylko spójrz na to. – Pokazała mu fotografię Delph, jakby to ona ją zrobiła, jakby on nigdy wcześniej jej nie widział. – Czyż nie wygląda jak laleczka? Poza tym – dodała – jest jedno ale. Moglibyśmy to zrobić tylko pod warunkiem, że żadne z was – ani ty, ani Dahlie, ani dziewczynki – żadne z was nie będzie jej widywać. Przynajmniej nie przez pierwszych kilka lat. Nie, dopóki nie pozwolę. Ona musi wiedzieć, kto jest jej rodziną. Musi znać swoją matkę.

Pociąg z gwizdem minął stację Hollis. Na peronie stały głównie nastolatki w kusych koszulkach z błyszczącymi kolczykami w pępkach i włosami wyprostowanymi i gładko zaczesanymi do tyłu w końskie ogony. Miały w uszach kółka wielkie jak talerzyki deserowe. Nawet nie spojrzały na mijający je pociąg. Po jego szybkości potrafiły ocenić, że się dla nich nie zatrzyma. Tylko wychudzony chłopak w różowym garniturze z kory i wielkiej fioletowej muszce obserwował pędzące wagony. Jego włosy, utlenione na biało i ogolone po bokach, sterczały, gęste i kręcone, na czubku głowy. Sprawiał wrażenie młodego i Delph zastanawiała się, czy sam dopracował swój wygląd ze śmiałą idiosynkratyczną troską, czy był to

przejaw ekstrawagancji, talent homoseksualisty, a może maczała w tym palce jego matka. Niezależnie jednak od pochodzenia garnituru chłopak najwyraźniej czuł się swobodnie w swojej skórze. Uśmiechał się promiennie do podróżnych, zdawał się uśmiechać do Delph. Pomachał. Potem pociąg przemknął obok niego i chłopak zniknął. Czy może to Delph była tą, która zniknęła?

Odwróciła się z powrotem do Violet.

– Zakładam, że moja matka się nie zgodziła. Chciała mnie zatrzymać.

– Zgodziła się. Była wściekła, wpadła w histerię i paranoję, oskarżając twojego ojca o każde przestępstwo pod słońcem, ale się zgodziła. Dopiero potem, po siedmiu miesiącach, dopiero wtedy powiedziała „nie”. Twój ojciec dzwoni. Ona chce cię z powrotem. Natychmiast. Histeryzuje. Mówi, że zadzwoni na policję. Jack i ja też im groziliśmy, wierz mi. Mówiliśmy o pójściu do sądu. Rozmawialiśmy nawet o tym, żeby wyprowadzić się w środku nocy, spakować wszystkich i zacząć od nowa gdzie indziej. Ale to nie było praktyczne rozwiązanie. Jack miał pracę w Nowym Jorku. I co moglibyśmy legalnie zrobić? Mieliśmy umowę, ale nie na papierze. Powinniśmy to udokumentować, ale powiedzieliśmy sobie: „Kto zmusza siostrę do podpisywania papierów?”. To wydawało nam się okrutne. Jak posypywanie solą rany. Tymczasem okazało się, że to był nasz wielki błąd.

Delph wyobraziła sobie, jak matka przychodzi po nią, a Violet mówi „nie”. Violet mówi: „Nie możesz jej dostać. Zostanie z nami”. Delph nigdy wcześniej nie rozważała przypowieści o królu Salomonie z punktu widzenia dziecka – dziecka już wyrosniętego, z fantomowym bólem w miejscu, gdzie miecz miał przeciąć je na pół.

– Czy to wtedy nasz ojciec ją zostawił? – zapytała.

– Najpierw przyjechał i zabrał cię do domu. Następną wiadomość dostałam od twojej matki. Nate zniknął, a ona jedzie do Niemiec. Co się z nim stało? Kto wie? Nie był szczęśliwym człowiekiem, to na pewno. Wiem tylko, że po tym, jak odszedł, już nigdy się z nikim nie skontaktował. Ja na pewno nie miałam od niego żadnych wieści. Przepadł jak kamień w wodę. Ale fakt, że twoja matka wybrała rzekę? Kiedy zobaczyłam to w tej waszej zwariowanej tabelce, od razu pomyślałam, że nie dziwiłoby mnie ani trochę, gdyby poszła tam szukać jego... jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

– Jak kamień w wodę – wymamrotała Delph. – To by mu się spodobało.

Violet wyglądała na zdezorientowaną. Nie złapała żartu, więc po prostu ciągnęła:

– Wszystkie moje dzieci cię pamiętają. Mówią o tobie czasami. Nawet Danny pamięta. Lubił trzymać cię na rękach. Byłaś takim małym tłuscioszkiem. To ładne u niemowląt. Malutki tobołeczek. Ciężko to przeżył, kiedy cię zabrali. Płakał: „Moje dziecko, moje dziecko”. Właśnie zaczęłaś rączkować.

Tego było za wiele. Delph musiała zejść z tematu płacznego czterolatka tęskniącego za włochatym tłuscioszkiem.

– Powiedziałaś, że zmieniałabyś mi imię – przypomniała. – Zrobiłaś to?

Violet uśmiechnęła się szeroko i ciepło, jak kobieta, która gwałtownie zakochała się w dziecku od pierwszej sekundy, gdy tylko wzięła je w ramiona.

– Oczywiście – powiedziała. – Jak tylko przyjechałaś. Nazwaliś cię Julie. Nie po kimś wyjątkowym. To było po prostu imię, które lubiłam.

– Julie Smoke – wymówiła Delph i pomyślała: Julie, Dahlie – nie brzmią tak samo, ale wyglądają podobnie.

Opowieść dobiegła końca. Pociąg zatrzymał się na stacji Floral Park i czekał krótką chwilę. Ludzie wysiedli. Ludzie wsiedli. Są takie momenty, wierzy Delph, kiedy bogowie boją się do tego stopnia, że nie zrozumiesz, o co im chodzi, że rezygnują z subtelności. Po prostu rzucają ci znaczeniem prosto w twarz. A zatem: Żegnaj, stacjo Floral Park. Żegnaj wszystko, co kwiatowe w świecie flory. Delph była w drodze do brata Julie Smoke i do domu Julie Smoke, i do basenu Julie Smoke. Wbudowanego, zapewniła ją Violet. Cudownego. Był ciepły dzień, niemal dwadzieścia cztery stopnie, i Violet powiedziała, że ma kostiumy kąpielowe, które kiedyś należały do jej córek. Każdy z nich będzie doskonale pasował na Delph. Ale przy dwudziestu czterech stopniach we wrześniu wcale nie jest tak ciepło jak przy dwudziestu czterech stopniach w lipcu, więc gdy Violet i Danny rozmawiali w domu, my tylko podwinęłyśmy nogawki dżinsów i usiadłyśmy na skraju basenu, pozwalając, aby woda z pluskiem omywała nasze łydki. Delph zatknęła włosy za uszy, odchyliła głowę, pozwalając słońcu wyrządzać swoje szkody. Nigdy nie przestawało jej zdumiewać, jak to możliwe, że wszystko, co jest dla człowieka złe, wydaje się tak cholernie przyjemne. I *vice versa*. (Ćwiczenia. Warzywa). Zupełnie jakby życie nieustannie udzielało ostrzeżenia: „Nie ufaj niczemu, a już szczególnie sobie”.

– To jest życie – westchnęła Lady.

Vee położyła jej głowę na ramieniu. Wełniany płaszcz miała narzucony na plecy. Turban zsunął się do tyłu. W jaskrawym świetle Lady i Delph zobaczyły, jak wymizerowana i wyniszczona stała się jej twarz. We wnętrzu naszego mieszkania nie było tego widać tak bardzo.

– To jest czyjeś życie – powiedziała Vee.

Danny Smoke, ten niezdarly chłopak z bar micwy, wyrósł na przystojnego mężczyznę. Alterowie zawsze lepiej się prezentowali w wersjach męskich niż damskich, a Danny prezentował się szczególnie dobrze. Wyregulował brwi. Jego włosy były kruczoczarne: albo jeszcze nie zaczął siwieć, albo uciekał się do farbowania. Miał oczy Emanuelów – bladobłękitne, kontrastujące z całą tą

ciemnością. A jego nos wyglądał, jakby wiele razy był złamany. Widniało na nim wgłębienie i lekkie skrzywienie w prawo. Trzeba go było chłonać fragmentami. To było łatwiejsze, mniej przytłaczające. Nos mniej atakował patrzącego. Danny był również ładnie ubrany, nie to co my, każda w dzinsach i podkoszulku. Miał na sobie niebieską koszulkę polo wetkniętą w szorty khaki z paskiem, które, jak nam powiedział, kiedy odbierał nas ze stacji, kupił w dziale chłopięcym. Rzeczywiście był niski. Bardzo niski. Wyższy niż my, owszem, ale ta poprzeczka nie wisiała zbyt wysoko. Na stacji przywitał nas ciepłymi uściskami i autoironicznym, ewidentnie wyćwiczonym żartem:

– Danny Smoke do usług. Chyba że potrzebujecie czegoś z górnej półki. Wtedy będziecie zdane same na siebie.

– Jak prapradziadek wujeczny Rudi – powiedziała Delph.

– Kto? – zapytał Danny.

– Ze strony Lenza. Był karłem.

– Hej ho – zaśmiał się Danny z przymusem.

– Danny’ego trudno uznać za karła – mruknęła Violet. Siedziała na miejscu pasażera obok niego i opuściła osłonę przed słońcem, ale wzdrygnęła się na widok swojej twarzy w lusterku i z powrotem ją podniosła.

– To prawda – powiedział Danny. – Wierzę, że technicznie rzecz biorąc, w moim przypadku bardziej odpowiedni będzie termin „konus”. – Nikt nic nie powiedział, więc dodał: – Metr sześćdziesiąt cztery. I pół. Wyższy niż James Madison, niższy niż Tom Cruise.

– Przystojniejszy od obu – podsumowała Violet.

– Cóż – włączyła się Vee. – Skoro już odpowiadamy na pytania, których nikt z grzeczności nie zadaje, to moja odpowiedź brzmi: „Po chemioterapii nigdy nie odrosły”. – Poklepała turban.

Zobaczyłyśmy wzrok Danny’ego we wstecznym lusterku.

– O rany – powiedział. – Przykro mi to słyszeć. Sądziłem, że po prostu masz wyrafinowany gust. Myślałem, że stylizujesz się na taki wygląd. Dobrze się czujesz?

– Teraz już tak – odrzekła Vee szybko i stanowczo.

Nawet Violet nic nie powiedziała.

– Uff – odetchnął Danny z ulgą.

Jechaliśmy w pełnym poczucia winy milczeniu. Później Lady powiedziała, że toyota Danny’ego przypominała karawan. Nie z wyglądu czy z koloru, ale przez to, że przewoził cztery ciała, które równie dobrze mogły być zwłokami... które będą zwłokami już niedługo. „Panowała jakaś grobowa atmosfera” – dodała Lady, a Vee stwierdziła: „No było trochę sztywno”, ale żadna z nas się nie zaśmiała. Już nie miałyśmy do tego serca.

Trudno było nie myśleć o pogrzebach. Nie tylko dlatego że Vee była taka

chora, a Violet tak słabowita. Droga do domu Smoke'ów prowadziła bulwarem cmentarzy: Long Island National Cemetery, Beth Moses Cemetery, Pinelawn Memorial Cemetery, New Montfiore Cemetery, Saint Charles, Wellwood. Jeden za drugim. Delph i Vee wymieniły spojrzenia. Czy to zbieg okoliczności, że podróżowałyśmy taką trasą, czy może subtelna aluzja od bogów? Powinnyśmy zaznaczyć, że w przeciwieństwie do Cavalry to były podmiejskie cmentarze, gdzie chowano klasę średnią. Wszystkie były bardziej zielone, lepiej zadbane, mniej zatłoczone niż nekropolia w Queens. Tutaj pomniki zazwyczaj stawiano z białego marmuru. Promieniowały pięknem.

– Kiedy byłem w liceum – powiedział Danny, zwalnając, jakbyśmy mijali popularną atrakcję turystyczną – spędzaliśmy tutaj czas. Piliśmy piwo, jaraliśmy trawę albo, wiecie, robiliśmy różne rzeczy. Nie uważaliśmy, że to oznaka braku szacunku. Byliśmy przekonani, że martwi ludzie cieszą się, że banda dzieciaków robi za ich grobami to, co zwykle porabiają dzieciaki w tym wieku. Mieliśmy taką teorię, że oni z pewnością są zdania, iż należy kuć żelazo póki gorące. – Zwolnił jeszcze bardziej. – Wiecie, jak nazywa się grupa duchów spędzających czas w jednej paczce?

Myślałyśmy, że zamierza zażartować.

– Nie, jak? – zapytałyśmy.

Ale on chciał tylko przekazać ciekawą informację.

– Zgromadzenie duchów – powiedział. – Jak „miot szczeniactków” albo „stado bawołów”, lub „klucz gęsi”.

– Ludzkie mrowie – dorzuciła Vee.

Zatrzymał samochód przy cmentarzu żydowskim. Można to było poznać po gwiazdach Dawida na ślimacznicy żelaznych wrót. Chciał wysiąść z samochodu, pokazać nam grób swojego ojca, ale grube łańcuchy i zamki pilnowały, żeby nikt nie sprofanował szabatu, odwiedzając zmarłych krewnych.

– Cóż, grób mojego taty jest tam, z boku – objaśnił, wskazując w tamtym kierunku.

Odwróciłyśmy się, żeby spojrzeć, jakbyśmy się spodziewały, że zobaczymy machającą nam postać.

– My nie mamy pojęcia, gdzie jest pochowany nasz tata – podkreśliła Vee – ani jak umarł, ani gdzie był przez większą część naszego dzieciństwa.

– Boże! – zawołał Danny pogodnie. Zjechał z pobocza i ruszył w dalszą drogę do domu. – Widzę, że lubisz rywalizację, Vee. Rozłożyłaś mnie na łopatki.

Spodziewałyśmy się rezydencji, ale dom Smoke'ów był zaledwie dwupoziomowym budynkiem na działce o powierzchni ćwierć akra. Violet natychmiast udała się na górę, ciężko opierając się o poręcz.

– Chcę zrzucić z siebie tę szmatę – powiedziała o swojej podomce.

Danny znowu wcielił się w rolę przewodnika, tym razem po domu. W rogu salonu – meble z ciemnozieloną welwetową tapicerką, ściany pokryte ciemnozieloną tapetą w wypukłe wzory – stał dęba porcelanowy kucyk naturalnych rozmiarów, lśniący biały, przeszyty mosiężną rurą, która sięgała od ziemi do sufitu, a na gzymsie kominka dostrzegłyśmy co najmniej z tuzin porcelanowych pasterek, niektóre z białymi porcelanowymi owieczkami przy porcelanowych niebieskich lub różowych sukniach. Biały porcelanowy jelonek rozmiarów jelonka spał pod szklanym stolikiem kawowym.

Kiedyś, w trakcie przygotowań do bolesnego zabiegu, który miał określić dokładną lokalizację drugiej konstelacji jej guzów, personel szpitala odurzył Vee i nałożył jej na uszy słuchawki. Obiecali kojącą muzykę, ale traciła i odzyskiwała przytomność do dźwięków piosenek miłosnych z filmów animowanych Disneya. Nie była temu całkowicie przeciwna. Wznowienie *Królowny Śnieżki* było pierwszym filmem, jaki widziała w życiu, i zachowała słabość do utworu *Someday My Prince Will Come*. Ale wróciła do domu, żartując, że doznała objawienia. Była przekonana, że właśnie tak wygląda niebo, do którego wszyscy najwyraźniej chcą się dostać: jest antyseptyczne, pełne przesadnie troskliwych ludzi i wszystkim do uszu puszcza się muzykę Disneya. „Na to właśnie wszyscy liczą – przekonywała. – To jest wyobrażenie ludzi na temat raju”. Teraz, w salonie ciotki Violet Vee dodała nowy element do tej koncepcji. Niebiosa miałyby podobny wystrój: wszędzie welwet i bibeloty, lśniący białe stwory i skromne dziewice w pastelowych szatach, a wszystko to bez zdolności poruszania się, funkcji życiowych czy gałek ocznych, ale za to ładne, ładne i słodkie. I wszyscy byliby zachwyceni całą tą słodyczą i tym pięknem. Wszyscy by się cieszyli poza Vee.

Tymczasem Lady najbardziej zafascynowała galeria rodzinnych portretów wiszących na ścianie wzdłuż schodów prowadzących na piętro. Pośród masy oprawionych w ramki zdjęć rozmaitych rozmiarów, zawieszonych bez żadnego zauważalnego porządku, królowały trzy wyjątkowo duże olejne obrazy, przedstawiające po jednym z dzieci Smoke’ów. Portrety były utrzymane w stylu Vermeera, twarze dzieci rozpromienione światłem, tła ciemne i nastrojowe. Nikt z wielopokoleniowego rodu nie został włączony do tej galerii, a już z pewnością nikt ze starego europejskiego rodu. Była tu tylko ta rodzina, zwykła rodzina Smoke’ów, czczona i upamiętniana, jakby byli następcami tronu królewskiego, jakby ich oblicza musiały zostać zachowane dla przyszłych pokoleń, a być może i dla biografów.

Tak więc podczas gdy Vee z rezerwą rozmyślała o niebie, Lady analizowała domowe zacisze. Tak się to robiło w normalnych rodzinach... – zdała sobie sprawę. Jej również nie podobały się porcelanowe zwierzęta, ale uderzył ją fakt, że były stosunkowo nowe. Ciotka Violet udała się do jakiegoś sklepu i nabyła tego

kucyka, tego jelonka. Były kiczowate, lecz w jakiś sposób przemówiły do Violet, wzruszyły ją. Nie było tu żadnych antyków, ciemnych i ciężkich, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Nie było starych krzesel i kredensów, spoglądających groźnie jak uchodźcy. Żadnych duchów z końca dziewiętnastego wieku na ścianach, przypominających ci codziennie o tym, kim byli i co zrobili, a co za tym idzie: kim ty jesteś. Ani pruskiego kanclerza w łazience. W łazience wisiały pastelowe obrazki przedstawiające siusiających cherubinków, każdy w złoczonej ramce. Żadnych widocznych na co dzień śladów przeszłości, od której nie można było uciec. Lady zrozumiała, że tutaj wręcz można było uciec. Uciekało się. Nie było się córką samobójców. Było się pasterką, było się owieczką, było się Kopciuszkiem w ładnych pantofelkach, które pasowały idealnie.

Pociąg, który odczuwała do tego domu, przerażał ją. Przepęlniła ją tęsknota, której nie potrafiła nazwać ani znieść. Gorące łzy zapiekły ją od powiekami.

– Cóż – powiedziała, kiedy oprowadzanie dobiegło końca – chyba powinniśmy się zbierać. Możemy wziąć taksówkę na stację. Wiemy, że musisz przedyskutować z matką wiele spraw. Nie chcemy przeszkadzać.

Danny obdarzył ją spojrzeniem mówiącym: „Nie wygłupiaj się”.

– Napijcie się czegoś – nakazał im, wskazując w kierunku kuchni. – Częstujcie się, czym chcecie. Za chwilę zejść.

Poszedł na górę do Violet, my zajrzałyśmy do lodówki. Nie byłyśmy zadowolone, ale wiedziałyśmy, że nie mamy innego wyboru, jak tylko zostać. Nie mogłybyśmy czuć się bardziej uwięzione, gdybyśmy znalazły się w naszych trumnach – które, jak na ironię, a może co zabawne, miały być pierwotnym celem naszej weekendowej podróży. Ale kiedy otworzyłyśmy lodówkę, spodziewając się dzbanków z mrożoną herbatą i lemoniadą oraz galonów mleka, znalazłyśmy tylko piwo, kilka na wpół wypitych butelek białego wina oraz słoiczków z na wpół zjedzoną salsą; w środku każdego melanz pomidorów, papryki i pleśni. Innymi słowy, lodówka całkiem jak nasza – nie pod względem natury zawartości (my nie pijemy piwa, nie kupujemy salsy), lecz etosu, kultury, stylu życia – sprawiła, że poczułyśmy się jak w domu do tego stopnia, iż Lady, pełna nadziei i ośmielona, otworzyła mały zamrażalnik i pomiędzy pokrytymi kryształkami lodu kartonowymi opakowaniami sorbetów oraz stosami mrożonych dań marki Hungry Man znalazła oszronioną butelkę pomarańczowej wódki. Nalała jej na parę palców do plastikowych kubeczków do kawy – nie mogła znaleźć żadnych kieliszków – i dopełniła wygazowanym tonikiem: jeden kubek dla niej, jeden dla Delph, która musiała najpierw trochę upić, żeby przetransportować go nad basen bez rozlewania, i jeden dla Vee. Vee, z bólem stłumionym przez percocet, znowu była w stanie pić.

Basen i drinki – to było najbliższe wakacjom na Hawajach spośród tego, czego kiedykolwiek doświadczyłyśmy. Vee piła szybkimi łyżkami, z determinacją

i zaangażowaniem, krzywiąc się przy tym, ale wszystkie wstawiłyśmy się w niemal rekordowym czasie. Czy to wstyd przyznać, że czułyśmy się szczęśliwe, tam, na tym podwórku na przedmieściach? Wszystko było nijakie, ale łatwe. Popołudnie zaczęło przypominać pożegnalne przyjęcie, którego się nie spodziewałyśmy. Dzieliłyśmy się żartami i obserwacjami z podróży pociągiem i samochodem oraz wrażeniami z oprowadzania. Nadrabiałyśmy zaległości.

– Lady – powiedziała Delph. – Mam do ciebie pytanie. Czy była jakaś siedmiomiesięczna przerwa między moim urodzeniem a moim pojawieniem się w domu, o której zapomniałaś mi wspomnieć?

Lady zmarszczyła brew i zaczęła grzebać w pamięci, jakby to było bagno pełne starych opon, zagubionych butów i porzuconej broni.

– Tak wiele wspomnień z mojego dzieciństwa jest pograżonych w cieniu – westchnęła w końcu.

– Zawsze mówisz, że tata odszedł, gdy byłam w powijkach – drażyła Delph.

– To mama tak mówiła. A co? Czy Violet wie coś, czego ja nie wiem? Urodziłaś się za słaba, żeby móc przebywać w domu przez kilka pierwszych miesięcy?

– Oto idzie Danny – wtrąciła Vee.

– Opowiem ci później – ucięła Delph.

Danny przyniósł z sobą elektroniczną nianię, torebkę chipsów i piwo. Rzucił urządzenie na trawę i dołączył do nas na skraju basenu. Otworzył piwo, a potem czipsy, obie rzeczy zębami. Uśmiechnął się, wiedząc, że my wiemy, że się przed nami popisuje. Puścił czipsy w obiegi.

– Powinnyście to widzieć wczoraj – powiedział. – Drzewa na drodze. Wszędzie. Ale teraz wszystko wygląda, jakby Floyda nigdy nie było.

Poinformował nas, że Violet śpi. Właściwie to powiedział: „W końcu się położyła”, tak jak moglibyście powiedzieć o marudnym dziecku albo, w innych okolicznościach, o starym psie.

– Mówi, że chce wrócić do domu opieki. Poprosiłem, żeby najpierw się przespała. Stąd ta niania – westchnął. – Co chwila traci kontakt z rzeczywistością.

Spróbowałyśmy streścić mu historie naszego życia, co – ponieważ tak jak podczas rozmowy z Violet ominęłyśmy większość smutnych wydarzeń – znowu nie zajęło dużo czasu. Następnie pomogłyśmy mu uzupełnić luki w jego wiedzy na temat własnej rodziny. Szczególnie Delph była zadowolona, że czuje się przy nim tak swobodnie. Należał do tego samego grona mężczyzn co jej stary nauczyciel, jej stary terapeuta, jej noszący kowbojskie buty szef, jej Joshua. Zresztą mieszanina wódki krążącej w jej krwiobiegu i ciepłej chlorowanej wody lizającej jej łydki też nie zaszkodziła. Było coś tak przyjemnego, myślała, w powolnym unoszeniu zanurzonych stóp, aż przebijają się przez niebieską powierzchnię, i ponownym ich zanurzaniu... Wszyscy to robiliśmy, rozmawiając, włącznie z Dannym. Utopić

palce. Ocalić palce. Utopić palce. Ocalić palce.

– To niewiarygodne – powiedział Danny o naszych rodzinnych historiach. – Mama utrzymuje, że nasz dziadek zginął potrącony przez samochód.

– Może tak było – zadumała się Lady. – Wylądował na ulicy. Jakiś samochód mógł akurat przejeżdżać. Kto wie? A co z Rose? Wiesz, co się z nią stało? Albo z naszą matką?

– Wiem, że wasza matka przeprowadziła się do Niemiec, kiedy byliście małe. A kim jest Rose?

Zaśmiałyśmy się.

– Mamy dla ciebie tabelkę – powiedziałyśmy.

Ale po tym, jak skończyłyśmy naszą opowieść, a on skończył mówić „o rany” i wyrażać swoje współczucie, i zrzedzić odrobinę, bo był gotów się założyć, że jego siostry wiedziały o wszystkim i czasami doprowadzało go to do szału, że jego rodzina wciąż traktowała go jak dziecko, które trzeba hołubić i chronić przed złymi czy nawet interesującymi wieściami – po tym wszystkim powiedział: „Szkoda, że Lenz Alter nie wymyślił prozacu zamiast gazu bojowego. To prawdopodobnie ocaliłoby ich wszystkich” – redukując moralny dramat naszej rodziny i jej skompromitowanych członków do chemicznego zaburzenia równowagi, któremu łatwo byłoby zaradzić (i kto wie, prawdopodobnie miał rację), i nie miał już za wiele do dodania na ten temat.

– Jesteście głodne? – zapytał. – Zostaniecie na obiad, prawda?

Podczas obiadu – pizzy zamówionej przez telefon – przekonał nas, żebyśmy przenocowały. Włożymy stare koszule nocne Sharon i Margo, rano skorzystamy z ich starej bielizny, skarpetek i czego tam będziemy potrzebować. Musimy się zgodzić, powiedział Danny. Za kilka godzin miał ten występ w Hicksville. Nie wiedział, co zrobi, jeśli nie zostaniemy z Violet.

Tamtego dnia niejednokrotnie skarżyłyśmy się sobie szeptem, żartobliwie, że pozostanie w mieście i przygotowywanie się do popełnienia samobójstwa byłoby lepszą rozrywką niż spędzanie czasu z Violet. „Chcę jechać do domu natychmiast”, powtarzała w kółko. Powtarzała to również teraz, podczas gdy jej pizza stygła, a stopiony ser twardniał. „Chcę jechać do domu”. Żadne z nas – nawet Violet – nie potrafiło stwierdzić, który dom miała na myśli. Danny próbował ją wpakować do samochodu i zawieźć do domu opieki. Nie chciała. Danny próbował zadzwonić do domu opieki, żeby zgłosić, że Violet spędzi tutaj noc. Ona zaczęła wołać: „Nie! Nie! Nie chcę zostać tutaj! Chcę jechać do domu”.

– Masz na myśli nasz dom? – zapytała Lady, ale Violet uderzyła pięścią w stół.

– Po prostu zabierzcie mnie do domu – zażądała, wyrzucając z siebie każde słowo.

Po jakimś czasie trzeba było podjąć decyzję za nią.

– W porządku – zgodziła się Lady. – Zostaniemy z nią dziś wieczorem.

I Danny podbiegł do niej, żeby ją uściskać.

Była dziewiętnasta, kiedy zaczął ładować wzmacniacze do zardzewiałego volkswagena busa, którym jeździł na koncerty. Vee już zasnęła w starym łóżku Margo, w starej koszuli nocnej Margo.

– Nie przypuszczam, żeby któraś z was miała ochotę pojechać i mnie posłuchać – rzucił Danny.

– Owszem – powiedziała Lady. – Delph ma ochotę.

– Wcale nie! – zaprotestowała Delph.

– Zabierz ją z sobą – poradziła Lady. – Wbrew powszechnie panującej opinii Delph jest fatalną pielęgniarką.

W Hicksville Danny Smoke śpiewał na zgrubsza ociosanej platformie, która miała uchodzić za scenę, a jego występ był frenetyczną trzygodzinną wiązką folkowych piosenek i złotych przebojów, których nie łączyło nic poza melancholią, jaką wzbudzały. Siedząc na wysokim stołku i nachylając się do mikrofonu na wysięgniku, Danny grał i śpiewał bez przerwy, podczas gdy pot ściekał mu po twarzy, a widownia w średnim wieku – mężczyźni z piwnymi brzuchami i przywidłe kobiety w strojach rodem z filmu *Poślubiona maffii* – tańczyła i śpiewała razem z nim. Lokal nazywał się Freddie's. Była to spelunka, która twierdziła, że jest pubem. Długie drewniane stoły i niewygodne ławy, czerwone i zielone świąteczne lampki z zeszej zimy upięte wzdłuż ścian, zakurzone plastikowe rośliny zwisające z obniżonego sufitu. Delph schowała się w kącie baru, bezpośrednio pod jedną z takich roślin. Była jedyną osobą w całym lokalu, która nie tańczyła, jedyną klientką, która nie żłopała taniego piwa z butelki.

Była też całkiem pewna, że jest jedyną osobą wsłuchującą się w teksty piosenek Danny'ego. Danny śpiewał o złamanym sercu, śpiewał o rzece Missisipi, śpiewał o uchylaniu się przed wymiarem sprawiedliwości. Ale niezależnie od tego, o czym opowiadał, każdy utwór wykonywał w identycznym wesołym rytmie. Tancerze wirowali i krzyczeli razem z nim, radośnie porykując. Znali wszystkie teksty, ale wyglądało na to, że nie mają pojęcia, co one oznaczają. Danny zaśpiewał popowy przebój *YMCA*, a oni traktowali tekst dosłownie, zupełnie nie zdając sobie sprawy z seksualnego podtekstu piosenki, która stała się dosłownie utworem o znalezieniu pokoju w siedzibie organizacji.

Tancerze w średnim wieku wyrzucali ramiona w górę, zamieniając swoje ciała w kręcące biodrami litery Y, tak samo jak być może robili to trzydzieści lat temu w odnowionych piwnicach rodziców, kiedy ten utwór zadebiutował. Albo jak robili to na dyskotekach. Chociaż – Delph jest tego pewna – nie w takich dyskotekach, w jakich ona i jej przyjaciele tańczyli do tej piosenki, również

wyrzucając ramiona w powietrze.

W tamtych klubach, w nowojorskich gejowskich barach z lat siedemdziesiątych, też panowały euforia i energia, ale teraz, patrząc wstecz, z bardziej klarownej perspektywy wiedziała, wszyscy wiedzieli, że tylko krok dzielił tę euforię od rozpacz i katastrofy. Wyjdź z klubu, pożegnaj się, oddal się od kolejki – bo nawet o trzeciej nad ranem była długa kolejka – a tuż za rogiem grozi ci niebezpieczeństwo. Nawet jej, chociaż nie do tego stopnia. Ze spuszczoną głową zmierzała w kierunku ulicy, na której mogła złapać taksówkę, obawiając się ulicznych bandytów i gwałcicieli. Nigdy jednak nie groziło jej, że wpadnie na kogoś znajomego. I tak, oczywiście, bała się epidemii. Przebiegała wzrokiem, a kiedy na to pozwalał również palcami po ciele Joshui, szukając ran, dotykając ich, pragnąc, żeby z jej opuszek zaczęła emanować jakaś magia, która by je zmasała, wyleczyła go. Ale jej strach był niczym w porównaniu ze strachem Joshui. Delph wiedziała, że zaraza nie będzie przyczyną jej śmierci.

Teraz we Freddie's dociera do niej, że jej błagania Joshui, żeby z nią został, żeby przespał się z nią chociaż raz, mogły być jej pierwszą próbą samobójczą. Jeśli Joshua miał umrzeć, ona umrze razem z nim. Przyczyna śmierci: miłość. Umrze od tego, od czego on umierał. Będzie jak Romeo wypijający duszkiem truciznę. Oczywiście Joshua nie patrzył na to w taki sposób. Nie chciał się z nią przespać, kiedy był zdrowy, z pewnością więc nie miał zamiaru tego robić chory. Ale teraz Delph niemal rozumie, dlaczego wolał spędzić ostatnie miesiące życia ze swoimi tępymi, bigoteryjnymi, zimnymi rodzicami niż z nią i jej łzami, i jej miauczeniem, i błaganiami, i bluszczowatością. Lodowata atmosfera panująca w jego rodzinnym domu na Środkowym Zachodzie musiała mu się wydawać odświeżająca.

Tutaj, we Freddie's, nikt nie jest w niebezpieczeństwie. To są biali przedstawiciele klasy średniej z podmiejskich dzielnic. Może im zagrażać choroba serca, może im zagrażać cukrzyca lub niezbadane życie⁴¹. Ale AIDS? Nie, nie AIDS. Zrujnowanie sobie życia tylko dlatego, że ktoś cię zobaczy w takim klubie? Zniszczenie sobie życia przez pieprzenie się z kimś, kogo kochasz albo lubisz, albo kogo po prostu masz ochotę przelecieć? Śmierć przez rżnięcie? O nie, nic z tych rzeczy nie dotyczy tego tłumu.

Danny wykonał ostatnią piosenkę wieczoru – *Good-night, Irene*, jak można się było spodziewać – i lepcy od potu tancerze splekli się ramionami. Trzymali się blisko i kiwali, wykrzykując refren, jakby to była ich pieśń bojowa z college'u, a nie lament w stylu bluesowym. Więksi mężczyźni i najbardziej pijane kobiety kołysali się tak agresywnie, że rząd śpiewających niemal runął na ziemię jak kostki domina. A potem było po wszystkim. Danny wstał, uklonił się, trzymając wysoko gitarę. Tłum wiwatował, jakby doświadczył występu Caruso, Pavarottiego albo ponownie zjednoczonych The Beatles razem z Johnem.

Delph zamówiła świeżego drinka, podczas gdy ludzie wytaczali się przez

drzwi. Pary – a były tam prawie same pary – pojedą teraz do domu, do własnych piętrowych domów, do śpiących dzieci, drzemiących opiekunek. Będą prowadzić po pijaku w przekonaniu, że nic złego nie przydarzy się żadnemu z nich, jeszcze nie przez wiele, wiele lat i, jak podejrzewała Delph, w większości przypadków okaże się, że mieli rację.

– Ta ostatnia piosenka, którą wykonałeś... – zwróciła się Delph do Danny'ego, kiedy dołączył do niej przy barze.

– *Goodnight, Irene* – zaśpiewał tytuł.

– Czy myślisz, że oni rozumieją, o czym ona jest? – zapytała.

– Jest o utraconej miłości – powiedział Danny.

– Jest o hazardziście, który chce się zabić. Ostatnia piosenka wieczoru traktuje o rozpacz i samobójstwie.

– Taaa, ale nikogo to nie obchodzi – wtrącił facet za barem. To był Freddie, właściciel. Przyniósł trzy kieliszki do shotów i butelkę Jacka Daniel'sa. – Żadne z nich nie ma ochoty się zabić.

Freddie był starszy od Danny'ego i Delph; może po pięćdziesiątce, może po sześćdziesiątce. Włosy miał siwe i rozczochrane, sterczące, jakby właśnie przeczesał je palcami. W słabym barowym świetle jego twarz była skąpana w cieniach, kości policzkowe wydatne, szczeka agresywna i z dołeczkiem. Kiedyś, może trzydzieści lat temu, musiał być przystojny. Nalał każdemu z nich po kolejce.

– Moja kuzynka Delph – przedstawił ją Danny. – Z miasta.

– Kuzynka? Szkoda. Myślałem, że może w końcu pozbierałeś się po tej, jak jej tam...

– Pozbierałem się po tej jak jej tam. Ale jak miałbym poznać kogoś nowego, skoro spędzam wszystkie weekendy w tej dziurze? Muszę się przeprowadzić do Nowego Jorku. Przyzwoici single nie mieszkają na Island.

– Dzięki.

– Ty jesteś rozwiedziony. Masz dzieci. Jesteś *alte cocker*. To zupełnie co innego. – Danny klepnął dłońmi w blat. – Idę się przebrać i załadować vana.

Delph zakładała, że Freddie sobie pójdzie, żeby pomyć jakieś szklanki czy pozbierać przemoczone rachunki porzucone na ladzie. Ale on został z nią.

– Myślę sobie, że w Nowym Jorku jest równie samotnie jak wszędzie – powiedział. – Mam rację?

Pokiwała głową.

– Do licha – kontynuował. – Wszyscy jesteśmy zgubieni niezależnie od tego, jakie piosenki śpiewamy.

Najwyraźniej oczekiwał, że coś na to odpowie.

– To przygnębiające – wyznała.

– Alkohol jest depresantem – poinformował ją Freddie. – Moja firma oferuje ludziom pogrążonym w depresji coś, co gwarantuje, że wpadną w jeszcze głębszą

depresję. – Sięgnął pod bar i podał jej wizytówkę. Po jednej stronie nazwa lokalu – jego imię – i numer telefonu, po drugiej – numer infolinii dla samobójców.

– Wow – zdziwiła się Delph.

Odwrócił wizytówkę z powrotem na stronę zawierającą jego numer.

– Zadzwoń do mnie następnym razem, jak będziesz w okolicy – powiedział.

– Jutro wracam do miasta.

– W takim razie zachowaj ją do następnej okazji.

Kiedy wyjęła portfel, żeby zapłacić za swoje drinki, obruszył się:

– Kiedy jesteś u mnie, ja się o ciebie troszczę.

Na moment zapomniała, kim jest, zapomniała, że nie będzie następnego razu. Włożyła wizytówkę do kieszeni spodni i powiedziała:

– Cóż, w takim razie chyba wypiję jeszcze jednego na drogę.

Była druga w nocy, kiedy Danny i Delph wsiedli do vana. Delph widziała nawierzchnię drogi przez dziury w podwoziu przy jej stopach. Danny starał się jechać powoli, aby zrównoważyć to, jaki był pijany.

– Pijesz jak Alter – skomentowała Delph.

– Macie jakąś obsesję na punkcie tych Alterów – stwierdził Danny. – Myślę, że mam więcej DNA Smoke'ów. Uważam, że piję jak Smoke.

– To dziwne nazwisko, Smoke.

– To przekrecona na Ellis Island⁴² wersja niemieckiego nazwiska Schmuck, czyli palant. Nie ściemnam. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Tylko o tym pomyśl. Tak niewiele brakowało, żebyś została adoptowana przez bandę Palantów.

– Niech Bóg błogosławi biurokratów z Ellis Island – zaśmiała się.

Jechali Old Country Road, główną czteropasmówką. Salony samochodowe i burgerownie, stacja benzynowa na każdym rogu i Parkway Diner rodem ze starej piosenki Billy'ego Joela. Old Country Road. Podejrzewała, że kiedyś była to jednopasmowa bita droga porośnięta kępami krnąbrnej trawy. Długo zanim Billy Joel zaczął śpiewać o Long Island, ojciec Walta Whitmana musiał jeździć tędy furmanką załadowaną surowym drewnem.

– Czy Freddie zaprosił cię na randkę? – zapytał Danny.

– Owszem, tak myślę. A co? Podrywa każdą ko-bietę?

– Właśnie nie. Musisz być w jego typie.

– Biedny Freddie – powiedziała. – Ja jako jego typ.

– Przestań wymuszać komplementy – zganił ją Danny.

– Co masz na myśli?

– Och, daj spokój. Mężczyźni muszą cię podrywać na okrągło.

Kusiło ją, żeby opuścić osłonę przeciwsłoneczną i przejrzeć się w lusterku. Czowała się przy Danny'emu całkowicie swobodnie, przy Freddie'iem niemal całkiem

swobodnie. Dlaczego? Czy Julie Smoke była bardziej towarzyska niż Delph Alter? Czy Julie Smoke była ładniejsza? Może Sharon i Margo przekazały Julie jakieś porady dotyczące urody, o których Lady i Vee nigdy nie wspomniały Delph? Postanowiła zmienić temat:

– Czy przechodziłeś piekło w szkole? – zapytała.

„Konus o nazwisku Schmuck – pomyślała. – Jezu”.

Zaśmiał się.

– Nie. A ty?

– Oczywiście. Byłam bardzo dziwnym dzieckiem. Byłam wycofana i przypominałam gnoma.

– Ja nie byłem. Należałem do najmniejszych, owszem, ale byłem normalnym dzieciakiem. Zawsze miałem paczkę znajomych, zawsze miałem dziewczynę, zawsze miałem muzykę.

Robił i naprawiał instrumenty strunowe. Warsztat prowadził w swojej piwnicy. To była jego prawdziwa praca, ta, z której się utrzymywał. Nie żeby zbijał na tym majątek, ale po kolacji, zanim ruszyli z Delph do pubu, pokazał jej mandolinę, nad którą pracował. „Mandoliny i ukulele – powiedział. – To one teraz najlepiej się sprzedają. Starzy bogaci faceci lubią je z jakiegoś powodu”. Teraz zaś powiedział:

– Dla mnie cała sztuka zawsze polegała na tym, by nie pozwolić światu dyktować mi, kim jestem. To tak rozkręciłem swój biznes. Świat chciał, żebym kupił gitarę dla niskiego faceta. To oznaczało gitarę dziecięcą. A ja pomyślałem: „Pieprzyć to”. Chciałem mieć prawdziwą gitarę. Chciałem stuprocentową gitarę, a nie trzy czwarte. Więc mój tata kazał zrobić taką na zamówienie. Spędzałem czas z koleśkiem, któremu to zlecił. Później po prostu wciąż tam przesiadywałem. To on nauczył mnie fachu. Wciąż mam tamtą gitarę. Pokażę ci ją, jak wrócimy do domu. Wciąż na niej gram od czasu do czasu. Ma wysokie progi, aby skompensować zredukowaną długość gamy, i wąski gryf, żebym mógł sięgać kciukiem strun, ale nie za ciężki, bo koleś powiedział: „Czasami będziesz chciał nią trochę porzucić, a lepiej, żebyś nie gubił połamanych stroików po całej scenie”. – Zaśmiał się. – Miałem wtedy piętnaście lat. Wyższy już nie urosłem. Czy też miałem już zostać taki niski. Ale wyczesana gitara dodaje dobrych dziesięć centymetrów dzieciakowi w liceum.

Nie wiedziała, co powiedzieć na te wszystkie stroiki i skrzynie na efekty gitarowe. Była całkiem pewna, że gdyby to ona przeszła się korytarzami liceum z gitarą, wyczesaną czy jakąkolwiek inną, ktoś by ją jej zabrał i rozwalił o ścianę.

– To musiało być kosztowne – zauważyła. – Gitara na zamówienie...

– Tata dobrze sobie radził. Był facetem z Wall Street. Ale dobrym facetem z Wall Street. Żałuję, że go nie poznałaś.

„Tamten człowiek brał mnie na ręce, kiedy płakałam”, pomyślała. Próbowwała

sobie wyobrazić siebie rozmiarów ukulele, mandoliny, kołysaną w ramionach krzepkiego Jacka Smoke'a.

Właśnie opuścili Hicksville, poinformował ich znak drogowy. „Hicks' Ville”, pomyślała. Jakby chcieli zaznaczyć, że w granicach tego miasteczka nie spotkasz ani jednej wyrafinowanej osoby⁴³. Wciąż jechali Old Country Road, ale przez miasteczko o nazwie Plainview. Plain View⁴⁴, jak „nie ma tu na co patrzeć”.

Ona, która prawie nigdy nie rozstawała się z drinkiem, ale zawsze była najwyżej umiarkowanie wstawiona, teraz czuła się pijana. Tych kilka ostatnich shotów Jacka Daniel'sa przeważyło szalę. „A co jeśli...” – pomyślała, ale potem nie mogła sobie przypomnieć, o czym chciała pomyśleć. Ta fraza po prostu odtwarzała się w kółko w jej głowie. Co jeśli, co jeśli, co jeśli...

Dotarli do Huntington, byli już prawie w domu. Opuścili Old Country Road i jechali inną, wąską i naprawdę starą wiejską drogą. Domy wyglądały tu jak gospodarstwa farmerów z dziewiętnastego wieku. Drzewa miały grube pnie i rosły blisko siebie.

– Ładny księżyc – zauważył Danny i rzeczywiście taki był.

Wisiał nisko, zamglony, jakby ktoś sięgnął i roztarł go opuszką kciuka, tak jak matka mogłaby zetrzeć ślad szminki z policzka swojego dziecka.

– Jedziemy prosto do domu?

– Nie musimy. Moglibyśmy coś zrobić. Jeśli chcesz znać prawdę, nigdy nie wracam do domu od razu po koncercie.

– To zrobmy to, co robisz zazwyczaj.

Ciemna wiejska droga kończyła się przy Walt Whitman Road, sześciopasmowej autostradzie stanowej, która była jednym wielkim pasażem handlowym pod gołym niebem.

– Aż chce się od tego płakać, co nie? – powiedziała Delph.

Ale Danny skręcił ostro w prawo tuż przed zjazdem na autostradę i w zamian wjechał na Old Walt Whitman Road. Ta droga była znacznie lepsza. Wyglądała tak, jak by się chciało, żeby wyglądała droga nazwana od nazwiska poety. Zaparkowali przy walącym się budynku. Farba obłaziła, dach w pobliżu rozpadającego się komina był zarwany, a poręcze przy ganku przegniłe na wskroś.

– A skoro mowa o płaczu... – rzucił Danny z werwą. – Oto miejsce urodzenia starego Walta. – Nachylił się, otworzył schowek i wyciągnął srebrną piersiówkę. – Uwielbiam ciszę po całym tym hałasie we Freddie's – dodał.

Delph nie miała pojęcia, jak mógł to nazywać ciszą. Dla niej panował tu harmider: wrzeszczące sowy, odgłosy przypominające krzyk dziecka, które – jak przysięgał Danny – wydawał lis, ciężarówki z naczepami pędem mijające pasaże handlowe i całonocne jadłodajnie zaledwie ulicę dalej. Mimo wszystko pokiwała głową. Czemu miałyby się nie zgadzać? Równie zgodnie przyjęła od niego piersiówkę. Więcej burbona. Danny odchylił oparcie fotela maksymalnie do tyłu,

a ona zrobiła to samo.

– I gwiazdy... – ciągnął. – Uwielbiam gwiazdy.

Delph spojrzała przez przednią szybę. Brudny welon przykrywający nocne niebo nad miastem nie docierał do tej części świata. Odszukała Wielki Wóz. To była jedyna konstelacja, jaką potrafiła zidentyfikować w każdych warunkach, ale tutaj nie mogłaby jej przegapić.

– W mieście nie ma żadnych gwiazd – powiedziała.

– Pewnie są.

– Nie – zaprzeczyła. – Odeszły. Uciekły.

– Widzisz ten wielki krzew przed domem? – zapytał Danny. – Ten bez? Wiesz, kto go przycinał w tym roku? I w minionych latach?

– Duch Whitmana?

– Tylko jeśli jestem jego inkarnacją. Przyjeżdżam tu każdej jesieni o trzeciej nad ranem z nożycami. Jak można tego nie robić? Wiem, że wszyscy mają w dupie to miejsce, ale nie rozumiem, jak można pozwolić, żeby pieprzony bez przy drzwiach Walta Whitmana poszedł w cholerę.

– „Na dziedzińcu...” – zarecytowała, aby dać mu do zrozumienia, że zna ten wiersz, że zrozumiała aluzję⁴⁵. – Czytasz dużo poezji? – zapytała.

– W ogóle jej nie czytam. Kto czytuje poezję? Chociaż czasami piszę wiersze. Chodzi po prostu o to, że Walt jest lokalnym bohaterem. Whitman i ten koleś, który grał Karate Kida. To by było na tyle, jeśli chodzi o galerię sław Huntington.

– Jesteś jeszcze ty. Śpiewak barowy i wytwórca mandolin.

– Taaa – powiedział. – Kiedyś pisywałem własne piosenki. Miałem zespół. Nagraliśmy kilka kawałków, trochę jeździliśmy w trasę. Teraz jeżdżę od spelunki do spelunki i śpiewam gównu w stylu YMCA. Mówię sobie, że są gorsze sposoby na spędzenie życia niż robienie gitar za dnia i granie muzyki wieczorem. Mówię sobie, że wszystko, co prowadzi do częstszego brzdąkania i śpiewania, i tańczenia na tym przeklętym świecie, nie może być takie złe. A potem zastanawiam się, czy wykonywanie YMCA z taką częstotliwością nie przyczynia się do rozwoju jakiejś złośliwej formy zanieczyszczenia powietrza.

– YMCA to wspaiała piosenka – zaprotestowała Delph. – Wpada w ucho. Trudno to uznać za zbrodnię przeciw ludzkości.

Nie mogła się powstrzymać. Musiała zaśpiewać kilka linijek. To była jedna z tych piosenek. I może chciała się troszeczkę popisać, tak jak on z piwem i kapslem.

– Hej! – zawołał. – Ty umiesz śpiewać.

– Może gdybym wciąż była Julie Smoke, występowałibyśmy razem jako rodzeństwo.

– Może by tak było – przytaknął. – No, dalej. Zaśpiewaj coś.

Zawahała się. Ale dlaczego? Zdała sobie sprawę, że waha się tylko po to, żeby wyjść na nieśmiałą i skromną. Tak naprawdę miała ochotę sprawić mu przyjemność. Może nawet mu zaimponować. Zaczęła śpiewać *Matildę*. Kiedy skończyła, uściskał ją. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek głowy.

– To oficjalnie wchodzi do programu – oznajmił, kiedy ją puścił.

Zamilkli.

– Jakie jest twoje podejście do wiary? – zapytała po chwili.

– Hola! – zawołał.

– Nie, serio. Wierzysz w to? Wierzysz w Boga? Czy kiedy dzieją się dziwne rzeczy, po prostu uważasz je za szczęśliwy traf?

Miał uśmiezek swojej matki. Nawet w przybliżeniu nie był tak bardzo Smoke'em, jak mu się wydawało.

– Jestem po prostu ciekaw – powiedział – jak doszliśmy od *Waltzing Matilda* do pytania, czy wierzę w Boga.

– Nasza trójka, moje siostry i ja, po prostu żyliśmy sobie po swojemu – zaczęła wyjaśniać Delph. – Miałyśmy pewne plany, no nie? Pewien plan działania ustalony ze szczegółami. I właśnie kiedy miałyśmy go wprowadzić w życie, pojawiła się twoja matka. W samym środku huraganu. I ja zaczęłam mieć wątpliwości co do tego planu.

– Co to za plan?

– Żaden. Przeprowadzka. Myślimy o tym, żeby się przeprowadzić.

– Dokąd?

– Nie wiem. Gdzieś indziej. To skomplikowane. Nieważne. Chodzi o to, że snułyśmy te plany i zanim udało nam się je zrealizować, twoja matka stanęła w naszym przedpokoju, zmuszając nas – cóż, w każdym razie zmuszając mnie – do przemyślenia wszystkiego na nowo.

– To nie mógł być bardzo wiążący plan, skoro wystarczyło tylko tyle, żebyś zmieniła zdanie.

– Chodzi o to, że wyglądało to na coś założonego z góry, to, w jaki sposób się pojawiła. Bardziej niż założonego. To było jak nieodwołalnie zdeterminowane, tak myślę. Przypadkowe, ale poza przypadkiem. Jak ręka Boga przy pracy, jeśli wierzysz w Boga.

– Jeśli wierzysz, że Bóg ma ręce.

– Mówię poważnie. Czy myślisz, że to był czysty zbieg okoliczności? Czy myślisz, że Bóg czy bogowie, czy jak tam chcesz to nazwać, manipulowali wydarzeniami, posłali twoją matkę do nas, dopilnowali, żebyśmy się dowiedziały, że mamy tutaj rodzinę, zanim się spakujemy i odejdziemy?

Zaśmiał się.

– Wyobrażam sobie Boga próbującego przekonać moją matkę, żeby zrobiła coś, na co nie ma ochoty. Założę się, że to nie skończyłoby się dobrze dla Boga. –

Wziął łyk z piersiówki. Spoważniał. – Nie wiem – przyznał. – Czy to ważne, dlaczego to się wydarzyło?

– „Dlaczego” zawsze ma znaczenie – powiedziała. – Popatrz na mnie. Całe życie wierzyłam, że nad naszą rodziną ciąży klątwa. Wszystkie te straszne losy, wszystkie te samobójstwa... Teraz dowiadujemy się, że Violet uciekła przed klątwą. I ty uciekłeś. I twoje siostry uciekły. Co to oznacza?

– Wierzyłaś, że rodzina jest przeklęta? Naprawdę w to wierzyłaś?

– Ludzie uważają, że wiara w klątwy jest absurdałna, a potem ci mówią, że wierzą w karmę. Albo w Boga. Albo w anioły.

– Cóż, ja nie wierzę w Boga ani w anioły.

– Ale w karmę?

– Cóż, karma jest prawdziwa.

Roześmiała się.

– Popatrz na to – powiedziała.

Nie było łatwo pokazać mu tatuaż. Podwinęła nogawkę dżinsów, wykręciła nogę, żeby mógł spojrzeć na jej łydkę w smudze księżycowego światła. Nie był w stanie odczytać słów. Musiała mu pomóc.

– To z Biblii – wyjaśniła.

– No dobra – powiedział on. – Tyle że te słowa znaczą tylko tyle, żebyś spróbował nie być kompletnym dupkiem, bo inaczej kilka następnych pokoleń w twojej rodzinie będzie umierać ze wstydu za każdym razem, gdy padnie twoje imię. To nie oznacza, że te pokolenia zostaną dosłownie ukarane.

– Taaa – skwitowała. – Powiedz to Johnowi-Johnowi Kennedy’emu.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem – przyznał. – Nie jestem pewien, czy rozumiem, do czego zmierzasz od dobrych pięciu minut.

Ona też nie była pewna, co chce powiedzieć. To ich łączyło. Ale wiedziała, o czym myślała. A myślała o życiu i fakt, że myślała o życiu, zdumiał ją w sposób, w jaki myślenie o umieraniu nigdy tego nie zrobiło. Zupełnie jakby przywiązanie do życia przez cały ten czas czaiło się pod gotowością do umierania jak nieprzepuszczalny metal pod tanią pozłotką.

– Hej! – zakrzyknął Danny. – Zróbmy coś, zamiast tak tylko siedzieć i gadać. Wejdźmy do środka.

– Chcesz się włamać?

– Chciałaś wiedzieć, co robię po koncertach. Właśnie to. Włamuję się do domu, w którym urodził się Walt Whitman, i śpiewam serenady jego duchowi.

– No i proszę – powiedziała. – Wiedziałam, że duch się pojawi.

Wziął gitarę i koc z tyłu vana. Użył krawędzi karty kredytowej, żeby otworzyć drzwi. „Rodzina Smoke’ów – pomyślała Delph. – Tak dobrzy we wchodzeniu do domów, które nie należą do nich”. Zaprowadził ją do pokoju, w którym narodził się poeta. Usiedli na kocu, co w żaden sposób nie ochroniło ich

przed twardymi, szerokimi, nierównymi listwami sosnowej podłogi. Ściany były wypaczone, wmieszane w tynk końskie włosie spleśniałe. Stroił gitarę z nisko pochyloną głową.

– Skąd wiesz, że to w tym pokoju się urodził? – zapytała.

– Wszyscy to wiedzą.

Zaczął grać. Patrzyła, jak struny wibrują, zauważyła iluzję optyczną, która kazała jej wierzyć, że strun jest znacznie więcej niż sześć. Zaśpiewał wers z *Goodnight, Irene*, tym razem z większym uczuciem, z większym bólem. Zmienił też imię dziewczyny w piosence na *Good-night, Delphine*.

– Myślisz o mnie jako o Delphine? – zapytała.

– Wcześniej tak nie myślałem – przyznał – ale teraz owszem. Umarła Julie, niech żyje Delphine.

To ją zasmuciło, śmierć biednej Julie. Nie chciała pozwolić jej odejść.

– Jak wyglądałoby teraz moje życie, gdybym nigdy nie przestała być Julie Smoke? – zastanowiła się.

– Sama powiedziałaś, że występowałibyśmy wspólnie. Więc chyba byłabyś ze mną na scenie dziś wieczorem.

Znowu trącał struny gitary, ale po raz pierwszy nie rozpoznała melodii. To musiała być jedna z jego własnych kompozycji. A może improwizował. „Słodkie – pomyślała – ale niewarte zapamiętania”. Ale później pamiętała, jeśli nie melodię, to refren:

*Jej mąż na morzu spotkał śmierć,
jej syn na wojnie zginął,
jej ogień dawno temu zgasł,
dziś dawne dni wspomina,
i kielich bierze w drżącą dłoń,
nim wyda ostatnie tchnienie,
i pije za niebiańską śmierć
i duchów zgromadzenie.*

Kiedy skończył, zatrzymał wibrowanie strun wewnętrzną stroną dłoni, odłożył gitarę i podjął temat:

– Potem posiedzielibyśmy przez chwilę przy barze razem z Freddie – powiedział. – Tak jak to zrobiliśmy. Potem zatrzymalibyśmy się tutaj, żeby odreagować przy odrobinie natury i odrobinie alkoholu. Tak jak zrobiliśmy. Potem ja bym powiedział: „Hej, włammy się do środka”. Tak jak zrobiliśmy. Więc chyba gdybyś żyła tym innym życiem, siedziałabyś teraz dokładnie tutaj, gdzie siedzisz.

– Obie drogi doprowadziłyby do tego samego miejsca w tym samym czasie?
– Zbiegają się w tym właśnie momencie – potwierdził. Zamilkł na chwilę: było to bardzo teatralne, bardzo efektowne. – A teraz – powiedział – w tej chwili znowu się rozchodzą.

Przysunął się bliżej. Robił tę filmową sztuczkę, kiedy twarz zbliża się ku drugiej twarzy, potem oddala, potem znowu zbliża, zadając w ten sposób pytanie i jednocześnie czyniąc deklarację, ale każde zbliżenie było mniej pytające niż poprzednie i teraz dwie twarze przechylały się w tę, to w tamtą stronę, dopóki nosy się w końcu nie zderzyły. Zderzenie się nosów: pierwsze zetknięcie, tak głupie i niezdarne.

Wszystko, co wiedziała o seksie, pochodziło z filmów, do tego z grzecznych filmów, w których całowanie prowadziło do seksu pod prześcieradłami i wyciemnienia obrazu aż do rana.

– Boże – szepnął, próbując ułożyć ich w pozycji, w której łokcie i kolana nie musiałyby uderzać o twardą podłogę. – Kiedy ostatnio robiłaś to w jakimś innym miejscu niż łóżko?

– Nigdy wcześniej tego nie robiłam... – dramatycznie zawiesiła głos, znacznie mniej efektownie niż on.

Przeszywał ją ból wynikający nie tylko z pragnienia, lecz także z ucisku desek przez koc. Dominującą emocją, jaką odczuwała, było zażenowanie. Chciała wyznać: „Nigdy wcześniej tego nie robiłam, a zatem będę niedoskonała, będę niewprawa, będę okrutnie kiepska”. Chciała poprosić o drugą szansę, jeszcze zanim pierwsza została podjęta. Chciała zapytać, czy wierzył w drugie szansy – czy, dosłownie, wierzył, że było coś takiego jak druga szansa, że istnieją chwile, gdy ludzie mogą zacząć wszystko od początku, z innymi rodzicami, innym dzieciństwem, innym losem. „Czy to w ogóle jest możliwe?” – chciała go zapytać. I chciała go przeprosić: „Przebacz mi, Danny, bo nigdy nie zgrzeszyłam. Ani nie goliłam nóg ostatnimi czasy”. A przede wszystkim chciała go zapytać o jego motywacje, o to, co sprawiło, że uznał, iż ze wszystkich ludzi chce to zrobić właśnie z nią, przy czym jedyna akceptowalna odpowiedź na to pytanie brzmiała: „Bo jestem schlany i ty jesteś schlana, i ja jestem tutaj, i ty jesteś tutaj”. Ostatecznie był to jedyny powód, dla którego ona nie mówiła „nie”. Nie protestowała również dlatego, że na tym etapie życia – ile go jej jeszcze zostało? dzień? może dwa? – nie widziała powodu, dla którego miałyby tego nie zrobić. Miała jednak wystarczająco dużo zdrowego rozsądku i przeczytała wystarczająco dużo kolumn z poradami dla usychających z miłości – lubiła myśleć o sobie w ten sposób, jako o usychającej z miłości – aby wiedzieć, że nie pyta się faceta, dlaczego właściwie próbuje cię rozebrać. Nie była to również dobra pora, aby zwrócić jego uwagę na fakt, że jesteście kuzynami pierwszego stopnia, a kiedyś, przelotnie, byliście nawet więcej niż kuzynami, chociaż nie oficjalnie, nie na

papierze. Wszystko, co można było zrobić w chwili takiej jak ta, to postarać się, żeby przerwa, którą się uczyniło po wypowiedzianych właśnie słowach, była krótka. Wszystko, co można było zrobić, to dokończyć zdanie:

– Ja nigdy wcześniej tego nie robiłam... na tak twardej podłodze.

Już po wszystkim, kiedy wstała, żeby się ubrać, odczuwała smutek. Była również lepka, obolała i wilgotna. Naciągnęła dżinsy. Sperma dalej z niej wyciekała. Irytowało ją, że nikt nigdy, wspominając miłe chwile, nie powiedział o tym nieprzyjemnym sączeniu, i uderzyła ją hipokryzja tego wszystkiego: geje mieli mnóstwo zażaleń, jeśli chodzi o części ciała nienadające się do przyjmowania innych części ciała, ale niby pod jakim względem kobiece ciało było zaprojektowane lepiej? Okazało się, że niedoskonałe naczynie, którym było ciało Delph, zawiera drugie, nawet bardziej niedoskonałe naczynie.

Danny też się ubrał. Położył się z powrotem na kocu z dłońmi za głową.

– Chodź tutaj – powiedział, a ona położyła się, używając jednego z jego zgiętych ramion jako poduszki.

Ogrzewała sobie nos, wtykając go w jego pachę. Leżeli w tej pozycji bez słowa. Czasami myślała, że śpi. Nabrała jednak pewności, że nie, dopiero gdy przerwał milczenie.

– Jerry Lee Lewis – rzucił.

Od razu wiedziała, o co mu chodzi.

– Albert Einstein też – powiedziała. – Chociaż myślę, że Elsa mogła być jego kuzynką drugiego stopnia, nie pierwszego. No i oczywiście nasi prapradziadkowie.

– Nasi prapradziadkowie byli kuzynami?! – zawołał najpierw przerażony, potem zmieszany, aż w końcu rozbawiony. – O rany – stwierdził. – Więc chyba skłonności do kazirodztwa odziedziczyliśmy w genach.

Na zewnątrz niebo musowało szarością jak ekran telewizora w latach pięćdziesiątych, kiedy stacje kończyły nadawanie.

– Kim jest ta jak jej tam? – zapytała.

– Ta jak jej tam? Ona jest nikim. Albo tą jedyną. Albo tą, która mi się wymknęła. Naprawdę, już mi przeszło. Ty musisz mieć cały szereg takich niktosiów, których porzuciłaś.

– Mam – zgodziła się. – Długi szereg niktosiów.

– Oboje nie mamy szczęścia w miłości – westchnął Danny.

– Nie wiem, czy wierzę w miłość – przyznała.

– Wierzysz w klątwy, ale nie w miłość?

Tak było, ale nie chciała tego powiedzieć na głos. Chciała, żeby darzył ją sympatią jeszcze przynajmniej przez chwilę. Leżeli w ciszy, dopóki nie dotarł do nich klakson ciężarówki, jakby kierowca chciał zamanifestować swoją dominację nad sowami i lisami, i nad nimi dwojgiem, jakby chciał zademonstrować właściwy porządek rzeczy w tym świecie.

– Myślę, że chcę ci coś powiedzieć – odezwała się Delph.

– Strzelaj – zachęcił ją, a ona opowiedziała mu o poziomym świetle. To w nim lubiła: próbował zrozumieć.

– Jak wątek w przeciwieństwie do osnowy? – za-pytał.

Rozważyła to, przypominając sobie plastikowe krosno, które miałyśmy jako dzieci, tkane łapki kuchenne, które robiłyśmy dla naszej matki. Co się stało z tymi łapkami? Kiedy nasza matka je wyrzuciła?

– Może. Ale bardziej jak puste przestrzenie między włóknami osnowy, te, przez które przechodzi wątek. A kiedy te puste przestrzenie się otwierają, z trudem mogę się powstrzymać, żeby przez nie nie przejść.

– Ale powstrzymałaś się. Prawda? Jesteś tutaj.

Teraz przyszła pora na ostateczne wyznanie, ale wyznanie całej prawdy niosło z sobą możliwość ratunku albo interwencji, albo przynajmniej telefonu na infolinię dla samobójców. Miała nawet numer na wizytówce w kieszeni.

– Tak – powiedziała. – Jestem tutaj. – Próbowała nadać głosowi chłodne brzmienie, jakby interesowało ją to wyłącznie w teorii. – Ale ten impuls powraca w każdym pokoleniu. Nazywali to politycznym sprzeciwem albo wstydem, albo samotnością. I to była dla nich prawda, i być może to sprawiło, że światło wydawało im się jeszcze jaśniejsze. Ale ja widzę tylko tę zmianę światła. Jest tylko ten jeden moment każdego dnia, kiedy dostaję zaproszenie, żeby odejść, i chcę odejść, i zmuszam się do pozostania. – Słyszała, jak jej głos drży. „To by było tyle, jeśli chodzi o chłodne teoretyzowanie”, pomyślała.

– Widzisz to światło w tej chwili? – zapytał.

– W tej chwili? Nie. Nie potrafię sobie wyobrazić, żebym kiedykolwiek miała je zobaczyć, kiedy jestem z tobą.

Nie chciała, żeby to zabrzmiało tak romantycznie. Po prostu chodziło jej o to, że kiedy pojawiał się światło, zazwyczaj była sama. Ale jemu najwyraźniej to pochlebiło i wzruszyło go, i sprawiło mu przyjemność. Przytulił ją teraz mocno. To sprawiło, że chciała z nim spać, po prostu usnąć. O ile wciąż nie rozumiała przyjemności płynącej z fizycznej kopulacji, o tyle pojmowała przyjemność, jaką daje spanie u boku ciepłego męskiego ciała. Eddie. Joshua.

On ziewnął. Zastanawiał się, która jest godzina. Wstał, podał jej dłoń, podciągnął ją do pionu. Razem złożyli koc. On wziął swoją gitarę.

– Masz ciekawe tematy na pogaduszki do poduszki – zauważył, gdy opuszczali dom.

Zaśmiała się i trzepnęła go w ramię.

– Następnym razem przynieś mi prawdziwą poduszkę, to pójdzie mi lepiej.

Czuła, jak sperma dalej cieknie po wnętrzu jej uda. Jak szybko ludzkie płyny ustrojowe, gdy już zostaną wydalone, stają się zimne.

– Zresztą i kto to mówi? To ty poruszyłeś temat kazirodztwa. To dopiero

roznieca płomień.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Czy to jest właśnie nasza pierwsza kłótnia? – zapytał, przytulając ją mocno, wytrącając ją z równowagi. – Zrywamy z sobą? – Żartował. Droczył się z nią.

Zrzuciła winę za łzy pod powiekami na późną godzinę i burbona, i ryczące ciężarówki.

Następnego ranka Violet tkwiła na siedzeniu pasażera toyoty Danny’ego oklapła jak worek z praniem, podczas gdy on podwoził nas na stację Pine Lawn. Pożegnaliśmy się uściskami i ucałowaniem.

– Będę w kontakcie – obiecał i odszedł, żeby odwiedzić Violet do najlepszej chałupy na polu namiotowym.

Machałyśmy, dopóki samochód nie zniknął nam z oczu. Tylko my stałyśmy na peronie. Mała poczekalnia była zamknięta na kłódkę jak cmentarz dzień wcześniej. Było nieco chłodniej niż wczoraj. Vee, zbyt zmęczona, żeby stać, usiadła na zimnym betonie, opierając się o drewniany słupek. Drżała. Lady i Delph stanęły nad nią, rozmawiając.

– Nie chciałabym być na miejscu Violet – powiedziała Lady. – Żadnego prawdziwego domu na świecie.

– Gdybyśmy przeprowadziły się tutaj, mogłaby zostać w swoim prawdziwym domu – zauważyła Delph. – Mogłybyśmy się wymieniać przy opiece nad nią.

– Nie – protest Vee dotarł do nich z okolic ich kostek.

– Vee ma rację – poparła ją Lady. – Nawet nie znamy tych ludzi. Zasadniczo są nam zupełnie obcy. I szczerze, Delph, gdybym musiała zarwać jeszcze jedną noc przez Violet, przysięgam, to by mnie zabiło.

– Śmierć przez ciotkę Violet – skwitowała Delph.

Kiedy przyjechał pociąg, Vee podniosła się z trudem, wykorzystując Lady jako podpórkę. Wsiadłyśmy przez tylne drzwi ostatniego wagonu i zajęłyśmy pierwsze wolne miejsca, jakie znalazłyśmy, ławkę, która mogła pomieścić nas trzy. Naprzeciwko była druga ławka. Wystarczająco dużo miejsca, żebyśmy mogły oprzeć o nią stopy. Albo żeby Vee mogła się na niej położyć, co po chwili uczyniła, nawet jeszcze zanim pociąg ruszył.

Z nowego punktu obserwacyjnego Vee zobaczyła oprawiony w metalową ramkę plakat wiszący na ścianie nad Lady i Delph. Plakat – czarne litery na białym tle – głosił:

*Bacz, że dzień każdy może ostatni ci świeci:
niespodzianie przychylna zawita godzina*⁴⁶.
Horacy

Wskazała na napis, a Lady i Delph obróciły się, żeby go przeczytać. Nie mogliśmy się powstrzymać: rozgorzała znajoma debata. Czy był to zaledwie zbieg okoliczności, że usadowiliśmy się pod wiadomością sławiącą radość z przeżycia jeszcze jednego dnia, czy też bogowie skierowali nas na te miejsca z rozmysłem? Czy jakiś rozmiłowany w poezji członek zespołu marketingowego Long Island Railroad powiesił tutaj ten znak, czy to Bóg chciał nam zasugerować, że powinniśmy ponownie przemyśleć nasze plany?

– Chciałabym, żeby ci twoi niedorzeczni bogowie wreszcie się zdecydowali – powiedziała Lady do Delph, a Vee jęknęła.

– Już podjęliśmy decyzję – przypomniała nam. – Czy możemy, proszę, przestać pytać wszechświat o opinię co pięć minut?

W nocy miała problemy ze snem. Zasnęła wcześniej tylko po to, aby obudzić się w środku nocy w obcym domu, ciemnym i cichym. Nie rozpoznawała żadnych cieni. Po jakimś czasie sobie przypomniała: opuściliśmy mieszkanie, nocowałyśmy u Violet. Rankiem wydawało się, że to właściwa decyzja. Ale teraz wyglądało na to, że Vee została sama.

Wstała i chwiejnym krokiem ruszyła przez korytarz, szukając łazienki. Ukłękła przed ubikacją i zwymiotowała. Usiadła na toalecie i pochorowała się jeszcze bardziej. Wszystko, co zjadła przez cały dzień. To było tak rozpaczliwie upokarzające przebywać w domu kogoś innego, kiedy ciało nagle postanawia zachowywać się w najbardziej odrażający sposób. Chciało się jej płakać. Skryła twarz w dłoniach. Kiedy poczuła się pusta – ledwie mogła teraz znieść przebywanie w małym pomieszczeniu – umyła się, otworzyła apteczkę i napiła się pepto bismolu prosto z butelki. Przeczytała etykiety na wszystkich lekach na receptę. Najwyraźniej wszystkie należały do Violet i wszystkie wydawały się dość stare. Jedna fiolka, z pomarszczoną i wyblakłą nalepką, zawierała diazepam. Wysypała cztery tabletki na dłoń i połknęła je, popijając haustem pepto bismolu.

Tabletki zrobiły to, co miały – otumanily ją na resztę nocy – ale nie nazwałaby tego snem. Był to raczej senny paraliż. A teraz wciąż nie mogła dojść do siebie. Wierciła się na wąskiej ławie, skulona w pozycji płodowej.

– Nie mogę tego znieść – poskarżyła się. – Oczy mi się kleją, ale zasnąć też nie potrafię. To koszmar.

– Zamień się miejscami z Delph – zaproponowała Lady. – Możesz położyć głowę na moich kolanach.

Ale nie, Vee nie mogła znieść dotyku drugiej osoby ani nie chciała nikogo

dotykać. Wcisnęła twarz w tapicerkę pokrywającą ławkę i próbowała udawać, że już jest martwa, a co za tym idzie: nic nie czuje.

Pociąg jechał powolutku. Pozwoliłyśmy sobie na milczenie. Garstka pasażerów siedzących plecami do nas też milczała. Vee uniosła głowę. Wyglądała na zdezorientowaną, w kąciku jej ust widniał ślad śliny.

– Spałaś? – zapytała Lady.

– Nie sędzę – pokręciła głową.

Znowu się położyła, a Lady i Delph widziały, że leki jeszcze nie przestały działać, że pograżyła się w głębokim, nawet jeśli nienaturalnym śnie, z otwartymi ustami i wargami wilgotnymi od śliny.

– Kiedy byłaś mała – zwróciła się Lady do Delph, jakby były w połowie rozmowy – upierałaś się, żeby robić wszystko to, co my. Ja mówiłam: „Ale, Delph, przecież ty nie znosisz horrorów”, a ty mimo wszystko marudziłaś dalej, dopóki mama nie powiedziała: „Po prostu weźcie ją z sobą”.

Delph wiedziała, o którym filmie mówi Lady. Pamiętała, jak siedziała między starszymi siostrami w ciemnej sali kinowej, patrząc, jak bohater odkrywa, że jego ukochana panna młoda jest wampirzycą, obserwując, jak ją morduje, aby ocalić siebie. Tygodniami leżała później przerażona po nocach w łóżku. Ludzie mogli udawać, że są kimś innym niż w rzeczywistości, mogli być kimś innym, niż nam się wydawało. Siostra mogła być potworem. Matka mogła chcieć cię zabić.

– Chodzi mi o to – ciągnęła Lady – że już nie jesteś dzieckiem. Nie musisz robić wszystkiego, co my.

– Nie twierdę, że nie masz racji – powiedziała Delph. – Ale ja nie robię niczego tylko dlatego, że wy to robicie. Robię to, co ja chcę.

– Śpiewaliście, kiedy wróciliście w nocy. Ty i Danny...

To była prawda.

– Ćwiczyliśmy śpiewanie na głosy.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że miło spędziłaś wczoraj czas...

– Nie wiem – powiedziała automatycznie.

Ale wiedziała. Nie, nie spędziła czasu miło. Nie tak by to określiła. Ten czas wprawił ją w konsternację. Był skomplikowany. I bardzo możliwe, że nielegalny, w zależności od obowiązujących w stanie Nowy Jork regulacji dotyczących stosunków seksualnych pomiędzy kuzynami w pierwszej linii.

– No dobra – zebrała się w sobie. – Jest taka sprawa. Cóż, właściwie to są dwie takie sprawy. Sprawa numer jeden: okazuje się, że ciotka Violet wychowywała mnie przez kilka pierwszych miesięcy mojego życia.

Oczy Lady rozszerzyły się, a potem gwałtownie zwężyły.

– W każdym razie tak powiedziała Violet. I Danny też to pamięta, więc zakładam, że to prawda. Mama i nasz tak zwany ojciec mnie oddali. Potem mama

doszła do wniosku, że chce mnie z powrotem. Najwyraźniej Danny przeżył to jak utratę szczeniaczka.

– Zatkano mnie – przyznała Lady.

– Sprawa numer dwa – kontynuowała Delph. – Zeszłej nocy... czy raczej dziś wczesnym rankiem... Danny i ja zjedliśmy zupę.

– Okej. No i co?

– Nie, nie. Nie zupę. **Zupę.**

Ta sama reakcja, tylko w odwrotnej kolejności: najpierw zdezorientowane zmrużenie oczu, potem wybałuszenie ich, gdy zrozumiała.

– Żałuję, że nie zostawiłam sobie określenia „zatkano mnie” na tę okazję – przyznała.

– Oboje byliśmy mocno pijani. To nie było spektakularne. Przynajmniej nie dla mnie. Chociaż z powodu wieku moje oczekiwania mogą być tak nierealne, że nic ich nie spełni. Ale myślę, że dla osoby takiej jak ja jedynym powodem, dla którego je się zupę, jest możliwość zjedzenia kanapki z grillowanym serem na drugie danie. Wiesz, przytulanie i rozmawianie.

– Nie ma nic złego w grillowanym serze – zapewniła ją Lady. Wyciągnęła dłoń i odgarnęła Delph włosy z oczu. – Delph – powiedziała. – To jest ekscytujące. Zobacz, co się dzieje, gdy tylko wyjdiesz z domu i zrobisz coś sama, bez nas.

– Tak. Uprawiam seks z własnym bratem – zamilkła. – Chociaż barman też mnie podrywał.

– Serio? Wow. Życie zaczyna się po czterdziestce.

– Nie w naszej rodzinie. A przynajmniej nigdy wcześniej tak nie było.

– Delph – powiedziała Lady. – Posłuchaj mnie. Zawsze myślałaś, że to była wina rodzinnej klątwy, że wszyscy odbierali sobie życie. Ale teraz dowiedziałyśmy się, że tylko dwoje przedstawicieli trzeciego pokolenia się zabiło. Dlaczego to nie miałyby zadziałać również w odniesieniu do naszego pokolenia? Nie musimy wszystkie się poddawać.

Vee uniosła głowę.

– Violet nie jest żywa – wymamrotała. – Chciałabym, żebyście przestały mówić o niej tak, jakby była. Mam nekrolog w pudełku po butach. – Opadła z powrotem na ławę i zanurzyła się w swoim nienaturalnym śnie.

Ale był to kruchy sen. Pękał i rozbijał się w drobny mak przy najlżejszych zakłóceniach.

– Och, Boże – wyszeptała Delph. – Myślisz, że to rzuciło się jej na mózg?

Lecz Vee poderwała się, powiedziała:

– Och, jesteśmy w pociągu, w porządku – i powróciła do swoich chemicznych snów.

– Wszystkim odbiło – uznała Delph – poza tobą i mną, ale nie jestem taka pewna co do ciebie.

Lady zignorowała żart.

– Jeśli mamy na nowo przemyśleć pakt – wyszeptała – musimy to zrobić szybko.

– Oto, co sobie myślę – zaczęła Delph również szeptem. – Myślę, że możesz mieć rację, naprawdę. Myślę, że to możliwe, że klątwa nie mnie sobie upatrzyła. Gdy teraz spoglądam wstecz, widzę, że przez cały ten czas próbowała dorwać Vee. Ona miała takie pechowe życie, prawda? Ale chyba po prostu nie potrafiłam znieść myśli o tym, że ja wyjdę z tego bez szwanku, podczas gdy ona przyjmie na siebie cały ciężar grzechów pierwszego pokolenia.

Dała się ponieść emocjom, zaczęła mówić pełnym głosem. Ludzie odwracali głowy, żeby na nią zerknąć. Ponownie zniżyła głos do szeptu:

– Uważam, że jeśli ty i ja postanowimy tego nie robić, powinniśmy spróbować jej też to wyperswadować.

Lady chciała coś powiedzieć, ale Delph uciszyła ją ruchem dłoni.

– Wiem. Wiem, że nie możemy uratować jej życia. Rozumiem to. Ale ona nie musi umierać tylko dlatego, że odczuwa dyskomfort. Mogłaby pożyć jeszcze trochę. Mamy różne opcje. Jest Sloan Kettering, są eksperymentalne badania. A jeśli to nie zadziała, jest opieka paliatywna. Wprawdzie odrzuciła paliatywną chemioterapię i hospicjum, ale wtedy nie miała jeszcze objawów. To było co innego. Ale teraz, kiedy cierpi, może zmieniła zdanie. Może ma nadzieję i modli się, żebyśmy ją namówiły do tego.

– Delph – przerwała jej w końcu Lady. – Vee nie zmieni zdania. I ja też go nie zmienię. Nie to miałam na myśli, kiedy powiedziałam, że powinniśmy przemyśleć pakt. Miałam na myśli ciebie. To ty chcesz, żeby cię przekonać, abys tego nie robiła.

Delph poczuła się oszukana i schwytana w pułapkę. Próbowała zaprzeczyć. Lady ścisnęła ją za ramię. Ten gest zdradzał zaniepokojenie, ale też, pomyślała Delph, odrobinę gniewu.

– Tak – powtórzyła Lady. – Myślę, że tego chcesz. Widzę to w twoich oczach.

– Nigdy nie wierzyłam, by można było zobaczyć w oczach drugiej osoby coś więcej poza własnym odbiciem.

– A co, jeśli Eddie wciąż ma dwadzieścia sześć lat? – wymamrotała Vee. – To mnie martwi najbardziej.

– Posłuchaj – syknęła Lady. – Ta sytuacja nie wymaga więcej myślenia. Po prostu musimy działać. Wsiadasz na następnej stacji, kupujesz bilet w jedną stronę z powrotem do Pine Lawn... Kiedy tam dotrzesz, dzwonisz do Danny'ego i mówisz mu, żeby po ciebie przyjechał. Jedziesz z nim do domu i więcej nie oglądasz się za siebie.

– Ale wy dwie...

– Po kilku dniach będziesz tak wykończona opieką nad Violet i wszystkimi tymi zupami, które będziesz jadła, że nie będziesz miała siły o nas myśleć.

– Nigdy nie mogłabym przestać o was myśleć.

– Ale byś przestała. Żyłabyś dalej.

– Nie mogłabym żyć z czymś takim.

– Mogłabyś. Myślę, że wiesz, że mogłabyś.

– Nawet gdybym mogła, to jak bym się utrzymywała?

Lady się zaśmiała.

– To jest pytanie, które zadałby tylko ktoś, kto nie jest gotowy na śmierć. Nie wiem, Delph. Pracowałabyś z Dannym, nauczyłabyś się malować mandoliny i ukulele... I wciąż miałabyś dwie siostry. Gawędziłabyś przez telefon z Sharon i Margo.

– Wiesz, co wydaje mi się zabawne? – powiedziała Delph. – Ciotka Violet była taka zdeterminowana, żeby nie nadawać córkom imion od nazw kwiatów, a potem nazwała pierwszą Sharon. Jak róża Szaronu. A imię Margo bardzo przypomina nagietek⁴⁷.

– Pomyśl nad tym – podchwyciła Lady. – Może nie jest za późno, żebyś miała dziecko.

– Dziecko? Chcesz, żebym ja z moimi podstarzałymi jajeczkami i kuzynem w pierwszej linii miała dziecko?

– To zrób je sobie z barmanem. Albo idź do banku spermy. Zaadoptuj. Porwij. Po prostu przestań dzielić włos na czworo. Wiesz, o co mi chodzi.

Delph ominęła ją wzrokiem i wyrzała przez okno po drugiej stronie wagonu. Dotarły już do Queens. Stały na stacji Floral Park.

– Delph – ponagliła ją Lady. – Idź. Wsiądź z pociągu.

Ale Delph nie wysiada na Floral Park. Ani na następnej stacji, ani na następnej, chociaż czuje, jak Lady spina się i liczy na to za każdym razem, gdy pociąg się zatrzymuje. Znowu omija siostrę wzrokiem, znowu wygląda przez okno po drugiej stronie wagonu: stare samochody, mężczyzna w trenczu i fedorze, ubrania wiszące na sznurze ukośnie rozciągniętym nad uliczką od jednego okna do drugiego. To przywodzi jej na myśl zdjęcia z przełomu wieków. Mogłaby udawać, że pociąg właśnie przeskoczył w czasie w przeszłość, gdyby w wagonie nie otaczało jej tyle džinsu i jaskrawych kolorowych dołów od bikini.

– Cmentarz – mówi Vee, jakby grały w „widzę moim okiem szpiega coś na literkę C – Cavalry”.

– Powiedziałaś mu o poziomym świetle – oznajmia Delph. – Nie wiedział,

o czym mówię. To znaczy rozumiał to, tak sędzę, ale nie w taki sposób, w jaki my to rozumiemy.

– Szczęściarz.

– Po prostu słuchał. Był pełen współczucia i daleki od oceniania.

– To dobrze.

– Czy aby na pewno? Czy jeśli ktoś, na kim ci zależy, mówi ci, że nieustannie myśli o tym, żeby z sobą skończyć, to nie powinienes raczej być całkowicie wyzbyty współczucia i bardzo krytyczny?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta Lady. – Chcesz, abym przestała ci współczuć? Chcesz, żebym wyrzuciła cię z pociągu na następnej stacji? Chcesz, żebym powiedziała: „O, nie, nic z tego, tym razem nie idziesz do kina ze mną i z Vee”?

Vee przekręca się na bok, unosi się. Jej twarz jest żółta. Żelazne bramy i czarne groby zniknęły. Zostałyśmy wessane w tunel pod East River.

– Ta wyprawa była strasznym błędem – mówi – ale teraz jest już za późno, żeby wysiąść z pociągu.

Oczywiście Vee ma rację. Następną stacją to nasza stacja.

Vee ma rację: jest już za późno, ten etap podróży dobiegł końca. Ale jednocześnie Vee się myli. Bo zawsze jest więcej czasu. Czyż nie to właśnie próbował przekazać nam Einstein? Trzeba po prostu pogodzić się z tym, że nie można wiecznie przeć do przodu. Trzeba zaakceptować fakt, że człowiek nie zawsze dotrze tam, dokąd sądził, że zmierza.

Wysiadamy na stacji Penn, wspinamy się ciemnymi, pokrytymi sadzą schodami do budynku dworca. Lady bierze Vee za ramię.

– Pojedźmy do domu taksówką – mówi. – Będzie ci łatwiej.

– Nie – Vee zaciska zęby. – Metrem będzie szybciej. Zróbmy to szybciej.

– Albo – ciągnie Lady – mogłybyśmy pójść na ostry dyżur i poprosić o jakieś prawdziwe leki przeciwbólne dla ciebie.

– Dom – ucina Vee. – Teraz. Proszę.

Lady i Delph patrzą sobie w oczy, ale tylko przelotnie. Lady skręca, prowadzi Vee w kierunku wejścia na peron metra. Nie ogląda się za siebie. Ten jeden raz to Delph jest bardziej sentymentalna. Patrzy, jak Lady i Vee odchodzą w pośpiechu, mijając mur, gdzie kiedyś stał rząd automatów telefonicznych i budka, w której sprzedawano gigantyczne lizaki z twarzami zrobionymi z landrynek, znikają za rogiem. W punkcie informacji turystycznej Delph pyta o następny pociąg do Pine Lawn.

– Wszystko w porządku? – niepokoje się kobieta za szybą.

– Tak – zapewnia Delph. Jest świadoma tego, że łyzy sływają po jej

policzkach takim ciurkiem, że nawet mruganie nie pomaga. Nawet ocieranie ich dłońmi jest bezużyteczne. Śmieje się. – Cóż, nie – mówi. – Najwyraźniej nie. – Oczywiście jest zażenowana. – Przepraszam – mówi. – Moja siostra dziś zmarła. – Przytrzymuje się małej krawędzi przy okienku, opuszcza głowę.

Dłoń kobiety zdaje się unosić kierowana własną wolą. Dociska się do jej gardła.

– Mój Boże! – woła kobieta. – Tak mi przykro! – Patrzy ponad głową Delph na zniecierpliwionych podróżnych stojących w kolejce za nią. – Niech pani sobie tutaj stoi tak długo, jak będzie pani potrzebowała – mówi głośno. – Nikt nie będzie pani popędzał.

Kobieta jest w średnim wieku. Jest piękna. Widać, że dba o wygląd. Jej włosy zostały wyprostowane jakąś nowoczesną techniką, brwi ma wyregulowane w idealne łuki. Pochodzi z Bliskiego Wschodu. Jest w Ameryce. Delph czuje ukłucie zazdrości, pragnienie, aby być kimś innym.

– Pine Lawn – powtarza kobieta, a potem mówi: – Pani siostra musi nad panią czuwać, moja droga. Ostatni pociąg do Pine Lawn właśnie przyjechał. – Wręcza jej plik chusteczek razem z rozkładem jazdy, na którym zanotowała numer toru. – Proszę się pospieszyć i zająć sobie miejsce przodem do kierunku jazdy.

35 Parafraza fragmentu utworu C. C. Moore'a *Noc wigilijna*.

36 Aluzja do wiersza Whitmana *Opiewam elektryczność ciała*.

37 Fragment wiersza Walta Whitmana *Pieśni ze szlaku*, zamieszczonego w: *Wiersze i poematy 256*, wybrał i przełożył Andrzej Szuba, wyd. Miniatura, Kraków 2002, s. 208.

38 Z ang. *sundowning*.

39 Żartobliwe połączenie nazwy popularnej w Stanach Zjednoczonych sieci kawiarni z nazwiskiem amerykańskiego aktora komediowego z okresu kina niemego Roscoe Conklinga Arbuckle'a, znanego jako Fatty Arbuckle.

40 Memorial Sloan Kettering Cancer Center – znana prywatna placówka zajmująca się leczeniem chorych na raka oraz badaniami nowotworów.

41 Aluzja do słów Sokratesa: „Niezbadane życie nie jest warte przeżycia”.

42 Wyspa, na której w latach 1892–1924 działało główne centrum imigracyjne w Stanach Zjednoczonych.

43 Z ang. *hick* to „kmiot”, „prostak”.

44 Dosł. zwyczajny, prosty widok.

45 Chodzi o wiersz Walta Whitmana *Kiedy bzy ostatnie kwitły na dziedzińcu*, dz. cyt., s. 307.

46 Horacy, *List 4*, w: *Listów księga pierwsza, Dzieła wszystkie*, tłum. Andrzej Lam, Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR oraz Akademia Humanistyczna im. A Gieysztor, Pułtusk-Warszawa 2010, s. 201.

47 Z ang. *marigold*.

ROZDZIAŁ 13

Jak trzy siostry piszą jeden list pożegnalny? Poprzez sublimację ego poszczególnych jednostek na potrzeby grupy. Poprzez zakazanie arii i postawienie wymogu, aby cała opera została wykonana przez chór. Poprzez chodzenie równym krokiem, poddanie się reżimowi jak w wojsku. Poprzez wyłączanie świateł punktowych, nawet jeśli to oznacza siedzenie po ciemku.

Kiedy tak robią, kiedy te trzy kobiety spędzają wiele miesięcy na opisywaniu siebie jako jedności, szybko się do tego przyzwyczajają. Jeśli stosuje się zaimbek osobowy „my” wystarczająco długo, powrót do „ja” staje się problematyczny. Używanie formy „ja” brzmi i wydaje się dziwne, wyalienowane i alienujące, jak egoizm wyrwany spod kontroli, jak zdrada. Jak to się mówi, w zespole nie ma „ja”.

Ale prawda jest taka, że powinnam była stosować „ja” już od jakiegoś czasu. My – my trzy razem – spisałyśmy historie naszego życia i życia naszych przodków z naciskiem na Lenza i Iris Alter, ale tylko ja pisałam o tym lecie. Tylko ja pisałam o huraganowym weekendzie, w który Violet Smoke przywiało do naszego życia. Tylko ja – Delph, Julie, kimkolwiek jestem – pisałam dzisiaj. Powinnam być z wami bardziej szczerą w tej kwestii. W każdym razie wyznaję to teraz: jestem sama.

Po tym, jak kupiłam bilet na Long Island, pospieszyłam na peron ze szczerym zamiarem, aby wsiąść do pociągu i wrócić do domu Smoke’ów. Ale gdy zbliżałam się do otwartego wejścia, kątem oka dostrzegłam schody prowadzące na perony metra i zdałam sobie sprawę z obecności poziomego światła. Śaczyło się do pozbawionej okien przestrzeni z niewiadomego źródła. Możliwe, że było bardziej wyraźne niż zazwyczaj. Nie tak ostre jak blask świetlówek, nie tak promieniejące jak blask słońca. Nie emitowało ciepła. Miało kolor spodniej strony ostatniej kłębiastej chmury na niebie tuż przed początkiem burzy i po raz pierwszy znajdowało się bezpośrednio przede mną, wystarczająco blisko, żebym mogła w nie wkroczyć, co też uczyniłam. Poczułam, jakbym znalazła się we mgle, jaką widziałyśmy z okna naszego mieszkania po huraganie. Stałam tam, spowita jej welonem. Uniosłam dłoń. Też była srebrna.

Potem zrobiłam krok do tyłu. Odwróciłam się plecami do światła i obrałam nowy kierunek. Wyrzuciłam chusteczki i rozkład jazdy, które wciąż ścisiskałam w dłoni, do pierwszego kosza na śmieci, jak znalazłam. Kiedy mijałam punkt informacji, pochylałam głowę, żeby piękna kobieta nie zauważyła mnie i nie zawołała: „Idzie pani w złą stronę!”. Weszłam na górę, do poczekalni kolei pasażerskiej Amtrak, znacznie nowszej, znacznie ładniejszej. Były tutaj okna, i to ogromne, a przez nie, pod tym osobliwym kątem, poziome srebrne światło śaczyło

się do hali. Usiadłam niedaleko na wypolerowanej drewnianej ławce i patrzyłam, jak inni ludzie przechodzą przez nie. Miałam im to za złe. Swobodę, z jaką to robili.

Rozważyłam to, co czekało na mnie na Long Island: gotowa rodzina, w której każdy odgrywa liczne role: brat kuzyn kochanek, ciotka matka teściowa – i zrozumiałam, że nie chcę tego. Jeśli chodzi o to, co czekało na mnie w mieszkaniu: tego też nie chciałam. Dotarło do mnie, że jestem bezdomna.

Po jakimś czasie potrzeby ciała zwyciężyły: byłam głodna, oczy szczypały mnie z braku snu. Opuściłam stację Penn, ruszyłam w stronę centrum. W ciepłą niedzielę ta część Nowego Jorku sprawia wrażenie ziemi niczyjej. Nie było to Chelsea, nie było to Gramercy, nie do końca było to Murray Hill. Po prostu kraniec Herald Square z pozamykanymi sklepami i firmami. Jedynymi ludźmi, których widziałam, były sylwetki w mijających mnie taksówkach. Zatrzymałam się w sklepiku na rogu, kupiłam kanapkę i butelkę wina. A ponieważ nabrałam nawyku pisania, kupiłam też gruby zeszyt i długopis Bica.

Znalazłam hotel. Nie całkiem podły, ale ponury i tani pod każdym względem poza stawką za noc. Cena jednak mnie nie obchodziła. Wręczyłam w recepcji swoją kartę kredytową i na moją prośbę dali mi najlepszy pokój z ogromnym łóżkiem i małym aneksem kuchennym wzdłuż jednej ściany. Umyłam twarz w niewielkiej łazience mydłem w płynie z dozownika na ścianie. Starłam się nie przeglądać się w lustrze. Usiadłam na łóżku i zjadłam kanapkę, używając jednego z szorstkich białych ręczników do rąk jako serwetki. Wina nalałam do plastikowego kubeczka z łazienki. „Oto, jak będę od teraz żyć – pomyślałam – sama w pojedynczym pokoju, tylko sporadycznie zwracając uwagę na swój dobrostan”. Położyłam się i usnęłam w ubraniach. Kiedy się obudziłam, leżałam ukośnie na materacu. Czerwony blask zegarka na stoliku nocnym poinformował mnie, że jest ósma wieczorem. Dopiero ósma. Uniosłam słuchawkę telefonu. Odłożyłam słuchawkę telefonu. Zaczęłam pisać: „W lipcu rozbił się samolot Johna F. Kennedy’ego, a my odbyliśmy naszą tradycyjną dyskusję”. My. Tak napisałam.

Pisałam przez całą noc. Nie włączyłam telewizora, nie otworzyłam okna. Dokończyłam wino. Znowu byłam głodna. Chciałabym napić się więcej. Myślałam o zejściu do sklepiku spożywczego, ale zamiast tego pisałam dalej.

Doba hotelowa kończyła się o jedenastej i o tej godzinie opuściłam hotel równie wyczerpana jak w chwili, kiedy do niego dotarłam. Lało jak z cebra; nie widziałam żadnego światła, nie emanowało nawet z kryształków kalcytu, które zazwyczaj skrzą się w miejskich płytach chodnikowych. Ale nawet bez światła wiedziałam, że podjęłam decyzję. Znowu zmieniłam zdanie. Nie mogłam żyć w taki sposób. Pojechałam metrem do domu.

Gdy tylko otworzyłam drzwi wejściowe, już wiedziałam, że moich sióstr tam nie ma. Zamknęłam drzwi, przekręciłam zamki, nałożyłam łańcuch i zatrzymałam

się, nasłuchując, ale nie dotarły do mnie żadne ludzkie dźwięki. Nawet kiedy znalazłam Lady i Vee, nie w łóżku tej ostatniej, lecz w łóżku naszej matki, nie potrafiłam się pozbyć tego początkowego wrażenia. Moich sióstr tu nie było.

Wyjęłam długi list pożegnalny, który napisałyśmy razem, z szuflady, gdzie schowałam go, kiedy pojawiła się Violet. Dodałam strony nagryzmołone przeze mnie w hotelu. Wkrótce dodam jeszcze tych kilka ostatnich, które piszę teraz, a potem zepnę wszystko razem czarnym plastikowym klipsem do papieru, włożę do koperty FedExu, zakleję ją i zaadresuję do Danny'ego Smoke'a. Zejdę na parter i oprę kopertę o drzwi dozorczy. „Proszę wysłać jak najszybciej”, napiszę na żółtej samoprzylepnej karteczce. A wtedy wrócę na górę. Zrobię sobie drinka.

A wtedy... a wtedy... a wtedy

Część III

Ostatnie słowa

GRUDZIEŃ 2010

Jak trzy siostry piszą jeden list pożegnalny, który ma być również swego rodzaju memuarem? Ze świadomością, że ktoś inny dopisze zakończenie. Że ktoś inny będzie miał ostatnie słowo. Tym kimś okazałem się ja, Dan Smoke.

We wtorek, 21 września 1999 roku, po tym jak Lady Alter nie pojawiła się w pracy czwarty dzień z rzędu, właścicielka księgarni, w której Lady była zatrudniona, zrobiła coś, czego nigdy wcześniej nie robiła: zatrzymała się przy budynku przy Riverside Drive i nacisnęła dzwonek. Kiedy nikt nie odpowiedział, zadzwoniła do dozorca. Użył swojego klucza uniwersalnego, żeby wejść do mieszkania. Znalazł siostry w dawnym łóżku ich matki. Lady i Vee trzymały się za ręce. Delph leżała w nogach, trzymając się lewej kostki Lady i prawej kostki Vee. Dozorca wpadł w histerię. To właścicielka księgarni wetknęła kabel telefonu do gniazdka i zadzwoniła na policję. Policja przyjechała i zadzwoniła do mojego przyjaciela Freddiego; jego domowy numer figurował na wizytówce, którą znaleźli w kieszeni Delph. Freddie zadzwonił do mnie. Przesyłka FedExu, zawierająca tomiszczce, które Delph i jej siostry nazwały pożegnalnym listem samobójczym, dotarła do mnie jakąś godzinę później. Czytałem całą noc. Następnego dnia, zataczając pełny krąg, zadzwoniłem do właścicielki księgarni, aby zapytać, kto powinien zostać powiadomiony, kogo powinienem zaprosić na uroczystość żałobną, którą postanowiłem zorganizować. Nie wiem dlaczego. Po prostu czułem, że powinna się odbyć.

Muszę przyznać, że lektura listu wprowadziła mnie w zakłopotanie. Niektóre jego fragmenty pozwoliły mi uzupełnić liczne luki w historii mojej rodziny, niektóre mnie rozśmieszyły, ale całość zasmuciła. Tak naprawdę znałem moje kuzynki tylko przez kilka godzin, lecz miałem wrażenie, jakbym pod pewnymi względami znał je lepiej niż one same siebie. Wcale nie były nieatrakcyjne. Nie sprawiały też wrażenia niezdarnych czy niezdolnych do podtrzymywania konwersacji. Tak naprawdę były zachwycające, nawet Vee, która, teraz zdaję sobie z tego sprawę, w ogóle nie powinna opuszczać łóżka w tamten weekend. I naprawdę podobały mi się włosy Delph.

Oczywiście czytanie o własnej osobie było żenujące, a przedstawiona przez Delph wersja naszych wspólnie spędzonych chwil mnie przygnębiła. Tak jak nie powiedziała mi, że jest dziewczicą, nie napisała również całej prawdy o tamtej nocy na swoich (niewiarygodnie trudnych do odczytania) ostatnich stronach. Oto, co pominęła: zanim odwiozłem je na pociąg tamtego niedzielnego poranka, wziąłem Delph na bok. Powiedziałem jej, że żałuję, że uległem impulsowi poprzedniej nocy. Byłem zamroczony alkoholem; moja matka miała rację: żadne z nas nie powinno

pić i ostatnimi czasy staram się zachowywać trzeźwość, a przynajmniej większą trzeźwość, chociaż to już zupełnie inna bajka. W każdym razie powiedziałem Delph, że minioną noc, nasza wspólna noc, była błędem.

– Kocham cię – przyznałem i to była prawda. Pokochałem ją natychmiast, jak mogłoby się pokochać nową siostrę cioteczną. To twoja krew. Jest częścią ciebie. Rozpoznajesz ją. – Ale nie sądzę, żebym mógł cię kochać w ten sposób.

– Och, dzięki Bogu! – zawołała ona całkiem przekonywająco. – Czuję dokładnie to samo.

Musiała wiedzieć, że nie byłbym zachwycony, gdyby wróciła do mnie bumerangiem tego samego dnia, w którym wyjechała. Mimo wszystko możecie sobie wyobrazić, jak się teraz czuję. Gdybym tylko trzymał głowę na kłódce... Bo z pewnością wolałbym, żeby wróciła do mnie pociągiem niż w ten sposób, w jaki ostatecznie to zrobiła.

– Mogę je do pana wysłać – zaproponował facet z domu pogrzebowego odnośnie do tego, co nazywał skremowanymi szczątkami moich kuzynek, ale powiedziałem mu, że przyjadę do miasta i sam odbiorę te trzy pudełka.

Kiedy przybyłem, paczka nie była jeszcze gotowa. Musiałem czekać na korytarzu, przy wózku kawowym z urną i dużym brązowym słoikiem – przysięgam na Boga – śmietanki do kawy marki Cremora. Muszę przyznać, że zacząłem się zastanawiać, czy to skłonne do żartów duchy moich kuzynek umieściły tam ten słoik. Kremacja – Cremora. Szturchnięcie widmowego łokcia pod żebro. Ostatnia gra słów na drogę.

Teraz prochy są już wymieszane w jednej urnie stojącej nad kominkiem w moim salonie. Przez jakiś czas urna dzieliła przestrzeń z porcelanowymi pasterkami, ale kiedy moja matka zmarła niedługo po przełomie wieków – spokojnie, we śnie, jedyna Alterówna z jej pokolenia i dwóch poprzednich, której udało się osiągnąć to, co nazywała śmiercią jak bułka z masłem, jedyna Alterówna z tych pokoleń, która mogła zostać pochowana na cmentarzu (obok mojego ojca i pustego miejsca, gdzie pewnego dnia spoczną ja) – owinąłem dziewicę, ich owieczki i delikatne pasterskie kije, wsadziłem je do pudełka i wysłałem do Margo, która żywi do nich słabość, jakiej ja nie podzielam wcale. Więc teraz stoi tam tylko urna. Każdego popołudnia zachodzące słońce wpada przez panoramiczne okno i oświetla ją punktowo.

Zaplanowałem uroczystość żałobną na weekend kilka tygodni po ich śmierci. Odbyła się w salce przylegającej do lobby budynku przy Riverside Drive. Kazały wam wierzyć, że nie mają żadnych przyjaciół, tymczasem frekwencja okazała się dość wysoka. Poznałem sąsiadów, którzy darzyli je sympatią, a nawet jednego, który pamiętał Dahlie. Poznałem dozorcę, który nie mógł przestać płakać.

– Znałem je od urodzenia – powiedział, huśtając w ramionach wymagininowane niemowlę. – Były dla mnie jak córki.

Poznałem dwóch mężczyzn, z którymi Lady spotykała się w różnych okresach swojego życia, długo po romansie z dentystą. Ci mężczyźni byli podobni do siebie, nieco wychudli i bladzi, obaj łysiejący i nijacy. Każdy z nich mówił, że liczył na poważny związek z Lady, ale każdy został odrzucony. Teraz spotkali się po raz pierwszy i zgodzili się, że mimo upływu lat wciąż czują się zranieni. Dla każdego z nich Lady była i zawsze będzie tą jedyną, którą utracili.

– Powiedziała, że nie ma między nami chemii – poskarżył się jeden z nich.

Drugi pokiwał głową.

– Brak chemii – powtórzył. – Dokładnie. To była jej śpiewka.

Poznałem koterię praktykantek adwokackich, czterech kobiet w średnim wieku, które uważały Vee za integralną część swojej paczki.

– Wychodziłyśmy razem cały czas – deklarowała jedna. – Cóż, no może nie cały czas. Wszystkie mamy dzieci, jest ciężko. Ale czasami wychodziłyśmy. Umawiałyśmy się na brunchy – mało jajek, dużo Krwawych Mary. Chodziłyśmy na odczyty i do galerii, rozmawiałyśmy o trzech m: mężczyznach, makijażu i menstruacji.

– Tak naprawdę wcale o tym nie rozmawiałyśmy – wtrąciła inna. – To żart.

– Przestała nosić apaszkę. Myślałyśmy, że to dobry znak. To wydawało się takie zdrowe, wiesz? To zdawało się świadczyć o jej sile. Nie miałyśmy pojęcia, że to oznacza koniec. A potem zadzwoniła i zrezygnowała tak po prostu. Nigdy więcej nie przyszła do pracy, nawet żeby zabrać swoje rzeczy z boksu.

– Dzwoniłyśmy i dzwoniłyśmy. Nikt nie odbierał. Myślałyśmy, że się wyprowadziła.

– Na wszelki wypadek codziennie czytałyśmy nekrologi.

Jedliśmy tłuste croissanty i popijaliśmy coraz bardziej letnią kawą. Szef Delph, bez kowbojskiego kapelusza, odważnie epatując resztkami włosów zaczesanymi na łysinę, poprosił o ciszę. Oświadczył, że chce wygłosić mowę pogrzebową. Wstał i długo rozwodził się na temat Delph, co zirytowało praktykantki, które żądały takiego samego czasu antenowego dla swojej przyjaciółki. Kiedy skończył, obstały go i zaczęły mu opowiadać wszystkie swoje historie dotyczące Vee. Tymczasem dwaj mężczyźni, których serca złamała Lady, zaprzyjaźniali się, gawędząc o sporcie. Zadzwoniłem do onkologa Vee, aby dać mu znać, co się stało, i on też wpadł na chwilę. Był wściekły.

– Nawet nie pozwoliła, abyśmy spróbowali jej pomóc – żalił się.

Kiedy zapytałem, czy można było coś zrobić, żeby ją ocalić, powiedział:

– Już się tego nie dowiemy, prawda? Zawsze są jakieś eksperymentalne terapie. Nie dała nam szansy na wypróbowanie żadnej z nich – trząśł się ze złości. Okruszki z croissantu, którym wymachiwał, spadały na podłogę. – Miałbym ochotę

ją udusić – grzmiał. – Naprawdę chętnie bym ją udusił.

Później, kiedy sprzątałem, zbierając papierowe talerzyki i kubeczki do torby na śmieci, pojawiła się doktorantka z Columbii, która zobaczyła ogłoszenie w „Timesie”. Zapytała, czy siostry posiadały jakiegokolwiek źródłowe materiały na temat życia Iris Emanuel Alter.

– To byłby taki ważny przełom, gdybym mogła zobaczyć list pożegnalny Iris – powiedziała.

– Nikt z rodziny nie zostawił nigdy listu pożegnalnego – poinformowałem ją.

Wiedziałem o tym z lektury opasłego listu pożegnalnego moich kuzynek, ale nie zamierzałem wspominać o tym badaczce. Gdybym miał zdradzić komukolwiek jego istnienie, żartowałem sobie czasami, byłiby to ludzie ze *Światowej księgi rekordów Guinnessa*.

Wiedziałem, że Lady miała kiedyś testament, ale nie było po nim ani śladu, więc ten fakt też przemilczałem i oficjalnie siostry zmarły, nie pozostawiając ostatniej woli.

– Niech pan to sobie wyobrazi! – oburzały się praktykantki, a szef Delph, który teraz wiedział już wszystko na temat Vee, odparł sentencjonalnie:

– Szewc bez butów chodzi.

Sąd wyznaczył mnie do rozporządzenia ich majątkami, które okazały się większe, niż można byłoby przypuszczać. Chociaż pieniądze z grupowych polis ubezpieczeniowych przepadły, siostry zdołały zgromadzić sporo oszczędności, były też fundusze z ich planów emerytalnych. Zapłaciłem ostatnie rachunki, pokryłem koszty kremacji i po urzędowym zatwierdzeniu rozdysponowałem ich połączonymi środkami wedle uznania, w sposób, jaki sądziłem, że by je zadowolili: siedemdziesiąt pięć procent podzielone pomiędzy kilka międzynarodowych organizacji charytatywnych działających na rzecz zaprzestania wojny chemicznej i dwadzieścia pięć procent dla Centrum Małp Człekokształtnych. Oto co zachowałem dla siebie: pudełka spod łóżka w pokoju zmarłych i umierających. Pudełko po butach było wypełnione przez Vee wycinkami z gazet na temat autentycznych zbiegów okoliczności, w które trudno byłoby uwierzyć, gdyby nie fakt, że pochodziły z „New York Timesa”. Zatrzymałem też śrubokręt krzyżakowy z niebieskim gumowym uchwytem i portret Ottona von Bismarcka, który dałem do wyceny, ale nie był wiele wart. Powiesiłem go w mojej łazience. Wydawało mi się, że tak należy zrobić.

Chociaż zmarły bez testamentów, Lady, Vee i Delph pozostawiły mi coś w spadku: odziedziczyłem ich obsesję na punkcie Lenza i Iris Alter. Dopóki nie spotkałem moich kuzynek, nigdy nie słyszałem o nich ani od mojej matki, ani od siostr, ani nawet na zajęciach z chemii w dziesiątej klasie. Ale po uroczystości

żałobnej zacząłem pytać o moich pradziadków. Kiedy matka była przytomna, odpowiadała na niektóre moje pytania. Mówiła o swoich dziadkach na poły z dumą, na poły ze wstydem, emocjami, wydawałoby się, całkowicie przeciwstawnymi, a co za tym idzie: dezorientującymi dla słuchacza – to jest, dla mnie – ale to właśnie one pomogły mi wiele zrozumieć. Przypominało to smakowanie egzotycznej kuchni, gdzie słodycz i gorycz współistnieją w każdym kęsie. Miało to sens na swój skomplikowany sposób.

Badaczka z Columbii dzwoniła do mnie jeszcze kilkakrotnie. W poniedziałki, kiedy przyjeżdżałem do miasta, żeby opróżnić mieszkanie albo załatwiać sprawy związane z majątkiem moich kuzynek, zaczęła mi towarzyszyć. Siadywała po turecku na podłodze, podczas gdy ja pakowałem ich rzeczy, umawiałem odbiór tych przeznaczonych na cele charytatywne, wysyłałem antyki do moich sióstr, a resztę przekazywałem kierowcy zdezelowanej furgonetki z wymalowanym napisem „The Junk Punk”. Jedyne meble, który zatrzymałem, chociaż tylko na jakiś czas, było łóżko z pokoju zmarłych i umierających. Badaczka lubiła uprawiać w nim seks. Czasami, już po wszystkim, wzdychała z zadowoleniem i mówiła: „Czy możesz uwierzyć, że leżymy w tym samym łóżku, w którym sypiał kiedyś Richard?”. Wyglądało na to, że dla tej kobiety moi przodkowie byli celebrytami. Używała ich imion, jakby byli Oprah czy Beyoncé. Zastanawiałem się, czy w trakcie seksu fantazjowała, że jestem Richardem. Nie, to nieprawda, nie zastanawiałem się nad tym. Zakładałem, że to robi; byłem pewien, że to robi. Zastanawiałem się raczej, co powiedziałby na to Richard: atrakcyjna i bystra młoda kobieta odczuwająca seksualny głód na myśl o tym, że jego atomy kiedyś skakały po tym pokoju. W końcu jednak pozbyłem się łóżka. Oddałem klucze i przestałem się widywać z badaczką. Nie wiem, kto ostatecznie zajął to mieszkanie. Bez wątplenia bardzo zamożna rodzina. Kto inny mógłby sobie pozwolić na takie lokum przy rynkowym czynszu? Albo, kto wie, może zostało wykupione na własność albo przejęte przez spółdzielnię. Nie mam pojęcia, jak to działa. Wiem tylko, że kimkolwiek są nowi mieszkańcy, muszą być odporni na przesady. Czasami zabawiam się myślą o ogłoszeniu, jakie mógłby zamieścić właściciel budynku: „Przedwojenne, widok na rzekę, 7 pokoiów, 6 śmierci”.

W 2000 roku coraz częściej słyszałem o Lenzu Alterze; być może dlatego że byłem wyczulony na jakiekolwiek wzmianki na jego temat. Artykuły pojawiały się zarówno w periodykach akademickich, jak i popularnych magazynach. W 2001 roku jedna z biografii stojących niegdyś na półce u moich kuzynek, *Lenz Alter: Deutsch, Jude, Hielige, Sünder*, została zaktualizowana, przetłumaczona i opublikowana przez amerykańskiego wydawcę pod tytułem *Lenz Alter: Niemiec, Żyd, święty, grzesznik*. Pięć lat później ukazała się nowa biografia pióra amerykańskiego dziennikarza, która zawierała znacznie więcej informacji o prywatnym życiu Lenza. Poruszała również kwestię związku między jego

odkryciami a zmianami klimatycznymi. Ujmijmy to tak: prawdopodobnie proces marny będzie odpowiedzialny za więcej śmierci niż chlor czy cyklon. Możliwe, że właśnie to wykończy nas wszystkich.

Również w 2005 roku został wznowiony cienki tomik wspomnień Grete Rosenthal *Mein Leben mit Lenz Alter*, chociaż nie w tłumaczeniu. Po tym, jak odkryłem, ile za przekład biorą profesjonalni tłumacze, spędziłem wiele tygodni na wklepywaniu akapitów do BabelFish, aż w końcu uzyskałem okaleczoną wersję rozdziału na temat Iris. Delikatnie mówiąc, jeśli chcecie wierzyć Grete, Iris była wredną suką, Lenz – wrzeszczącym szaleńcem, Richard – nieznośnym bachorem, a Grete – wykorzystywaną męczennicą, nie wspominając już o tym, że rzadką pięknoscą, której niewiele brakowało do zrobienia kariery w Hollywood.

Był jeszcze film dokumentalny na PBS. Była nawet off-broadwayowska sztuka o przyjaźni Lenza z Einsteinem. W „Timesie” napisali, że przypomina film *Dziwna para*, tyle że bez żartów, więc nie zawracałem sobie głowy wyjazdem do miasta, żeby ją obejrzeć. Ale chociaż przegapiłem sztukę, przeczytałem wszystkie biografie, obejrzałem film dokumentalny, przekopałem się przez pudła z pokoju zmarłych i umierających. Zacząłem też buszować po sieci. Na początku 2000 roku wciąż pytałem o Lenza wyszukiwarkę Ask Jeeves, ale później wystartował Google, a potem pojawiła się funkcja Google Alerts i szybko zacząłem dostawać wszelkiego rodzaju informacje na temat Alterów. Lenz pojawił się w Wikipedii w 2003 roku, Iris w 2005. Długi, pieczołowicie wsparty badaniami artykuł na temat morderstwa Rudiego Altera wyskoczył w 2007. Natrafiłem też na broszurkę turystyczną z miasta, gdzie zginął Rudi, zachęcającą do odwiedzenia pomnika ku jego czci. Było tam zdjęcie owego pomnika – „*unser*” napisane z błędem jako „*unserer*” – a pod nim podpis mówiący: „Wiele zakochanych par przychodzi tutaj, aby urządzić sobie piknik i nacieszyć wzrok pięknem kwiatów wiśni”. Poza tym w chwili, gdy to piszę, wyświetla się 10 800 000 wyników dla hasła „ofiary masakry Chock full o’Nuts”, chociaż znacznie mniej, gdybyście chcieli dowiedzieć się czegokolwiek o ich małżonkach.

Z innych spraw: dom, w którym urodził się Walt Whitman, pięknie odrestaurowano w 2000 roku. Ktoś inny przycina teraz krzew bzu. Tożsamość Głębokiego Gardła ujawniono w 2005 roku. Okazało się, że był to jakiś koleś, o którym nikt nigdy nawet nie słyszał, i wszyscy poczuli się tym bardzo rozczarowani. Poza tym w 2005 roku zadebiutowało *Miami Ink*, reality show na temat tatuażystów i ich klientów. Dziś trudno sobie przypomnieć czasy, w których dyskretny mały cytat otaczający czyjaś łydkę był uznawany za szokujący. Sam mam kilka tatuaży, włącznie z irysem, jak Vee, chociaż mój jest większy i bardziej śmiały. Pnie się po całym moim prawym ramieniu.

W ubiegłym miesiącu zrobiłem sobie wakacje i pojechałem do Chicago. Wczesny listopad to nie najlepsza pora na odwiedzenie słynącego z chłódów miasta, ale niedawno poczyniłem pewne odkrycie, które zmusiło mnie do natychmiastowego wyjazdu.

Latami regularnie, lecz na próżno szukałem informacji na temat Rose. Nagle w październiku zaliczyłem kilka trafień. Ktoś załadował do sieci archiwa dawno już nieistniejącego „Chicago Daily Tribune” i na ekranie zobaczyłem ten oto nagłówek: „Studentka popełnia samobójstwo w męskiej toalecie: dziewczyna była wnuczką wynalazcy trucizny z obozów śmierci”. To wtedy stwierdziłem, że moje kuzynki były w błędzie, kiedy napisały, że żaden z samobójców w rodzinie nie zostawił po sobie listu pożegnalnego. Rose zostawiła. Zacytowana w artykule wiadomość była szczerą i wystarczająco zwięzłą, żeby zmieścić się na okolicznościowej kartce firmy Hallmark. Brzmiała ona: „Nie chcesz mnie, a wszyscy inni też mają mnie gdzieś. Lepiej umrzeć, niż żyć bez miłości”. Wysłała ją do swojego profesora chemii. Nazwisko profesora również zostało wymienione w artykule. Było tak niedorzeczne, że pomyślałem, że to musi być pseudonim albo jakiś niesmaczny żart. Ale nawet jeśli to było jego prawdziwe nazwisko, pomyślałem, facet musi już nie żyć. Poszukałem go mimo wszystko i oto był, ciągle na liście honorowych członków kadry na Uniwersytecie Chicagowskim: profesor Abbott P. Costello. Napisałem do niego na adres uczelni, a on zgodził się ze mną zobaczyć, ale zasugerował, żebym się pospieszył. Nie był młodym człowiekiem.

Chicago zlitowało się nade mną: było słonecznie, a temperatura oscylowała w okolicach trzynastu stopni, kiedy podstarzały profesor i ja spotkaliśmy się w uniwersyteckiej księgarni. Przekroczył dziewięćdziesiątkę, ale wmaszerował do środka o własnych siłach, przygarbiony, mimo to wciąż wypinający kościstą pierś. Gdyby papuga i stary żylasty kogut postanowili spłodzić potomstwo, ich pociechy nosiłyby się tak samo jak on. Miał twarz koloru paskudnego oparzenia słonecznego. Żyły na jego szyi wystawały, skóra pokryta była wypryskami i dziobami. Jediną prawdziwie mięsistą częścią jego twarzy były płatki uszu. Mimo jednak upokarzających śladów działania czasu nie tylko łatwo można było stwierdzić, jak bardzo przystojny był kiedyś, ale też uznać, że pozostał przystojny nawet teraz. Miał z sobą bukiet przywiedłych żółtych róż, które – byłem tego pewien – pochodziły z supermarketu. Podał mi wolną dłoń.

– Abbott Costello? – zapytałem.

Nie kwestionowałem jego nazwiska. Upewniałem się tylko, czy to właściwa osoba. On jednak założył, że miałem na myśli to pierwsze.

– Nadano mi imię w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku – wyjaśnił. – Moi rodzice nie mieli pojęcia, w co mnie pakują.

– Gdyby mógł pan sobie policzyć pięć centów za każdym razem, gdy musiał

pan to powiedzieć, prawda? – rzuciłem.

– Gdybym mógł sobie policzyć pięć centów za każdym razem, kiedy ktoś powiedział: „Gdyby mógł pan sobie policzyć pięć centów za każdym razem, gdy musiał pan to powiedzieć”... – zripostował.

Mówił z lekko brytyjskim akcentem, do którego, jak wiedziałem, nie miał prawa, chociaż od razu poinformował mnie również, że wywodzi się od irlandzkich, a nie włoskich Costello. Poprosił, żebym mówił mu Ab. Powiedziałem, że będę, ale okazało się, że nie potrafiłem. W ogóle unikałem zwracania się do niego po imieniu. Powiedział mi, że pamięta nie tylko Rose, lecz także moją matkę. Rose, wspominał, była bardzo nerwowa i płochliwa. Ale nie Violet.

– Pana matka nie była tak bystra jak Rose – przyznał. – Nie była tak wrażliwa. Potrafiła spać na zajęciach z szeroko otwartymi oczami. To mi zapadło w pamięć. Raz zapytałem ją, jak to możliwe, by wnuczka Lorenza Ottona Altera – nie mówiąc już o tym, że siostra Rose Alter – była tak kiepska z chemii. Zaśmiała się. Nic jej to nie obchodziło. Była jedną z tych dziewcząt, które zajmowały cenne miejsce w klasie, aby zdobyć przed nazwiskiem tytuł „pani”.

Gdyby nie był taki stary, możliwe, że rąbnąłbym go w nos. Na czubku miał fioletową kropkę, prawdopodobnie zrakowacenie, w którą mógłbym celować. Najwyraźniej zdał sobie sprawę z mojego wzburzenia.

– Ale jestem pewien, że była doskonałą matką – podsunął.

– Cóż, nie nazwała mnie Abbott Costello – odgryzłem się. – To trzeba jej zapisać na plus.

Opuściliśmy księgarnię. Po lewej, drugiej stronie ulicy, znajdował się kampus, po prawej – park Waszyngtona. Było teraz ponad piętnaście stopni, dziwaczna pogoda, która przerażała, jeśli wierzyło się w słowa klimatologów, ale rozkoszna, jeśli się nie wierzyło. Rozpiąłem kurtkę. Minęła nas grupka studentów w szortach i japonkach, brodzących przez zeschnięte liście koloru gruszek odmiany Bera Boska. Liście włożyły im między palce u nóg i wślizgiwały się pod podeszwy stóp przy każdym kroku.

– To był stary budynek wydziału chemii – wskazał profesor Costello. – A tam, po drugiej stronie parku, kiedyś mieszkałem. Wychodziłem z wydziału i przecinałem park wieczorami. W tamtych czasach było bezpieczniej, chociaż to już zaczynało się zmieniać.

Weszliśmy do parku, obierając pierwszą ścieżkę, na jaką natrafiliśmy. Wyobrażałem sobie coś rozległego, jak Central Park albo Prospect Park, miejsca, w których ludzie mogli się chować albo gubić, przestrzeń o powierzchni tysiąca akrów wypełnioną zagajnikami, stawami i łódkami w kształcie łabędzi. Ten park był wystarczająco mały, a drzewa rosły na tyle rzadko, że z miejsca, w którym stałem, mogłem spojrzeć na przestrzeń w każdą stronę. Na północy znajdowało się muzeum, na południu – koszmarna betonowa rzeźba i fontanna. Ale głównie były

tu trawniki i ścieżki. Nie widziałem żadnych ludzi. Szliśmy przed siebie. Na rozwidleniu ścieżki profesor wskazał na mały domek stojący kilka metrów dalej. Ruszyliśmy w jego kierunku i przekonałem się, że to nie jest domek, lecz publiczna toaleta. Przez klamki zarówno do kobiecej, jak i męskiej części budynku przewleczono łańcuchy i kłódki. I tak szarpnąłem za klamkę do męskiej ubikacji. Oczywiście drzwi się nie otworzyły. Byłem zawiedziony i rozeźlony. Pokonałem taki kawał drogi i nie mogłem wejść do środka. Chciałem zobaczyć dokładnie to miejsce, w którym leżała Rose. Byłem jak wszystkie te doktorantki, włącznie z tą, z którą sypiałem. Chciałem stanąć dokładnie tam, gdzie stała Rose. Dokładnie tam, gdzie upadła. „Dlaczego to musiała być męska toaleta?!” – wykrzyknęła moja matka, kiedy w końcu nakłoniłem ją do rozmowy na temat Rose. To ją wezwano, by zidentyfikowała ciało. Po tylu latach pogodziła się w końcu z ponurym widokiem zwłok swojej siostry – „Skóra wyraźnie różowa – wspominała – rana kłuta na ramieniu otoczona jaskrawofioletową krwią” – ale wciąż ubolewała z powodu tego, co uważała za perwersyjny dobór miejsca śmierci. „Gdyby to się stało w damskiej toalecie, nikt by nawet nie pisnął” – lamentowała.

Profesor Costello również wciąż się nad tym zastanawiał.

– Nie mam pojęcia, jak to się stało, że znalazła się w męskiej części – powiedział. Kiedy jednak tam się stało, to wydawało się takie oczywiste. Chciałbym móc powiedzieć o tym mojej matce. Chciałbym móc powiedzieć o tym Delph. Zamiast tego powiedziałem staruszkowi u mego boku. On, obiekt młodzieńczej namiętności Rose, mieszkał dokładnie po drugiej stronie parku. Kiedy opuszczał swój gabinet w budynku wydziału chemii pod koniec dnia i ruszał do domu, wybierał ścieżkę, którą my właśnie szliśmy. Gdyby musiał skorzystać z toalety po drodze, skręciłby do tej, tak jak my to zrobiliśmy. Przyszedłby tutaj, znalazł ją, uratował. Nie zamierzała umierać. Liczyła na słaby pęcherz Abbotta Costello. Byłem tego pewien. Chciała, żeby ją odnalazł, żeby ją powstrzymał, zanim wbije sobie igłę w żyłę. Wyobrażała sobie, jak ją obejmuje i szłocha z ulgą, zdając sobie sprawę, jaki był głupi, zdając sobie sprawę, że jego rozum odmawiał przyjęcia do wiadomości tego, co jego serce wiedziało od dawna, i że przez to niemal utracił kobietę, którą – co pojmował teraz całym swoim jestestwem – kochał, którą zamierzał poślubić.

A co, gdyby dotarł do toalety za późno? Albo gdyby odlał się jeszcze w budynku chemii i nie musiał korzystać z ubikacji w parku? „Lepiej umrzeć, niż żyć bez miłości”, napisała Rose. Ale to był jej plan B. Plan A, byłem o tym przekonany, zakładał, że zostanie ocalona.

– Rodzina zawsze spekulowała, że to miało związek z jej poczuciem winy odnośnie do zaangażowania Lenza Altera w opracowanie gazu, który został wykorzystany w obozach koncentracyjnych – powiedziałem. – Ale teraz zaczynam w to wątpić.

– Nigdy nie słyszałem od niej ani słowa o gazie – zapewnił Costello. – Sam nawet nie wiedziałem, że nad tym pracował, dopóki nie pojawiły się artykuły na ten temat. Zresztą to byłby absurd. Dlaczego miałyby mieć wyrzuty sumienia z powodu pracy Altera? Była szkolona na naukowca. Naukowcy mają obowiązek wykonywać swoją pracę jak najlepiej, podążać za swoimi odkryciami. My to rozumiemy. Ona to rozumiała. Dopiero kiedy politycy sięgają po odkrycia naukowców, dochodzi do zbrodni.

– Tak sędzę – zgodziłem się.

– Nie – powiedział profesor Costello, wzdychając ciężko. – Ma pan rację. Zrobiła to z mojego powodu. Zawsze to wiedziałem. Nigdy nie dostrzegałem związku z męską toaletą, ale był przecież ten list pożegnalny. No i, czego nie powiedziałem gazetom, przyszła do mojego mieszkania dzień wcześniej, rzucając się na mnie, płacząc, upokarzając siebie. I zawstydzając mnie.

– Co ona w panu widziała? – chciałem, żeby to zabrzmiało bezczelnie i obraźliwie, chociaż złagodziłem zniewagę, dodając: – Najwyraźniej jej pan nie lubił. Nie był pan nawet dla niej uprzejmy. Właśnie straciła oboje rodziców, a pan nawet nie był dla niej miły.

Spojrzał na mnie spođe łba, mrużąc powieki.

– Byłem absolutnie uprzejmy – powiedział. – Zawsze okazywałem jej wyłącznie życzliwość. Właśnie to doprowadziło mnie do zguby. Moja dobroć pogorszyła sytuację. W końcu musiałem zapomnieć o uprzejmości i zachować się stanowczo. Nie można pozwolić, żeby dzwoniły do twoich drzwi w środku nocy. Tego typu sytuacje często się zdarzają, studentki zadurzone w swoich profesorach, i muszę powiedzieć, że sam doświadczyłem tego aż za wiele razy. Dopiero co ukończyłem Harvard. Byłem przystojnym młodym mężczyzną. Już byłem uważany za wielkiego naukowca. Musiałem się nauczyć, jak trzymać je na dystans. Ale Rose Alter... Jej nie dało się niczego wyperswadować. Miała obsesję. Była niezrównoważona. Ostatecznie żadna z innych kobiet, które się we mnie zakochały, nie odebrała sobie życia. – Przyszła mu do głowy pewna myśl i rozpozgodził się. – To zupełnie jakby winić pana pradziadka o to, co się wydarzyło w obozach. On po prostu wykonywał swoją pracę: syntetyzował azot. Ja po prostu wykonywałem swoją pracę: uczyłem chemii. To, co robili inni ludzie... to nie miało nic wspólnego z nami.

Pomyślałem o Delph, o jej śmierci. Wyobraziłem sobie, jak w przyszłości mówię jakiemuś wścibskiemu rozmówcy: „To nie miało nic wspólnego ze mną”. Pomyślałem: „Lepiej umrzeć, niż żyć bez miłości”.

Costello podał mi różę.

– Z kucaniem nie mam problemów – wyjaśnił, śmiejąc się smutno – ale wstanie z powrotem jest niemal niemożliwe.

Przyklęknałem i położyłem bukiet przed zamkniętymi na kłódkę drzwiami.

Kucając, wyrecytowałem błogosławieństwo, o którym nie myślałem od czasów nauki hebrajskiego w szkole, kiedy to przygotowywałem się do bar micwy, jedyne obrzędu, przez jaki muszą przejść żydowscy chłopcy nawet ze świeckich domów. To było błogosławieństwo, które wypowiada się w chwili, kiedy człowiek dowiaduje się o czyjeś śmierci, co znaczy, że recytowałem je prawie sześćdziesiąt pięć lat za późno. „A co mi tam”, pomyślałem i wyrecytowałem je i tak. W tłumaczeniu hebrajskie słowa brzmią: „Błogosławiony jest Bóg, Potęga Wszechświata, Prawdziwy Sędzia”, a sama modlitwa znaczy po prostu tyle: To jest to. Tak to działa. Żyjemy, umieramy i miejmy nadzieję, że ty, Boże, wiesz dlaczego, bo dla nas to za cholere nie ma sensu.

– Spoczywaj w pokoju, Rose Alter – powiedział Abbott Costello.

Odprowadziłem go do garażu, gdzie zaparkował swój samochód. Zaproponował, żebyśmy wypili wspólnie kawę. Zrozumiałem, że to jest cena, jaką muszę zapłacić za robienie interesów z samotnym starym człowiekiem. Zrozumiałem, że tak to działa. Zająłem miejsce pasażera. Pojechał do Starbucks, przestrzegając groteskowego ograniczenia prędkości do mniej więcej ośmiu kilometrów na godzinę. W kawiarni zamówił herbatę i ciasteczko. Usiedliśmy przy oknie, spojrzeliśmy na parking komisju z używanymi samochodami, a on zapytał, czy słyszałem wieści na temat indygo. Myślałem, że się przesłyszałem, ale nie. Najwyraźniej Rose opowiedziała mu trochę rodzinnych historii i wiedział, że jej pradziadek – a mój prapradziadek – opanował do perfekcji wytwarzanie tej barwy w swojej fabryce.

– Kiedy tylko słyszę wzmiankę o tym konkretnym kolorze – zwierzył mi się profesor – przyłapuję się na tym, że myślę o Rose.

Potem powiedział mi, że naukowcy zgodnie doszli do wniosku, iż Newton się mylił. Indygo nie jest i nigdy nie było odrębnym kolorem. Nigdy nie powinno zostać uznane za element spektrum. Już do niego nie należy.

Wracając do hotelu taksówką, kipiałem ze złości na myśl o usunięciu indygo ze spektrum. Komu, do cholery, przeszkadzało to siódme pasmo? I co niby oni próbowali nam powiedzieć, ci samozwańczy arbitrzy załamane i odbitego światła? Że wszyscy mamy halucynacje, kiedy tylko słońce świeci przez kryształowy żyrandol, a my widzimy siedem kolorów w tęczy na ścianie?

Moja reakcja rozbawiła mnie, ale to nie zgasiło mojego gniewu. Byłem naprawdę wkurwiony. Indygo zostało wyrzucone z tęczy! Indygo zniknęło jak Ormianin, Chilijczyk, Żyd! Od kiedy Roy G. Biv48 bawi się w politykę? Ile czasu upłynie, zanim Żółty powie: „Kiedy przyszli po indygo, nie protestowałem”49?

W pokoju hotelowym uległem szkockiej z minibarku. Powiedziałem sobie, że muszę przestać zachowywać się tak absurdalnie, tak emocjonalnie. Nakazałem sobie bycie Smoke'em, nie Alterem. Upomniałem się, że nawet nie znałem tych ludzi, tych Alterów, przez większość swojego życia. Ale wciąż odbierałem

wymazanie indygo jako osobistą stratę. Czułem, jakby ukradziono mi coś, co należało do mnie, podczas gdy spałem. To było jak wydziedziczenie, sprofanowanie ran, metaforyczne odtworzenie ćwiartowania mojego prapradziadka wujecznego Rudiego. Kazało mi myśleć o tym, co musiał czuć mój prapradziadek Heinrich Alter, kiedy w końcu uległ temu, co nieuniknione, i pozwolił, by chemikalia zastąpiły liście *ai* i sake w jego fabryce, a – założę się – ani jeden jego klient nie zauważył różnicy. To zabawne, stwierdziłem, co wywołuje u człowieka żal, a co nie. Zastanawiałem się, czy gdyby Lenz Alter żył dzisiaj, odczułby tę stratę równie dotkliwie jak ja. Czy może nic by go to nie obeszło? Kto wie? Może to on był tym nadgorliwym naukowcem; może to duch Lenza Altera wrócił na ziemię w postaci współczesnego malkontenta jedynie w tym celu, aby zaaranżować zamach stanu i wydaląc indygo z bractwa kolorów. Ostatecznie Lenz Alter wyrósł na chemika. Być może to wyjaśnia wszystko. Duch Lenza Altera powrócił, aby usunąć rywala, z którym od zawsze walczył o uwagę ojca. Zemsta chemika i syna.

Reszta prawdy dotarła do mnie dopiero w samolocie. Opierałem głowę o okno, raz po raz zapadając w drzemkę. Moje sny wypełniały obrazy z Auschwitz i Trebłinki, te zdjęcia nagich kobiet i dzieci stojących w kolejce, czekających na prysznic. Sny dla początkujących, tak je nazywam. Nie trzeba Freuda, żeby zrozumieć, co oznaczają. Ale uderzyło mnie to, kiedy byłem już przytomny i siedziałem wyprostowany w fotelu przygotowanym do lądowania. Prysznic w obozach śmierci. Kobiety idące gęsiego do tych z pozoru niewinnych budynków, rzekomo służących oczyszczeniu, ablucji. Ich strach, kiedy wchodziły do środka świadome już, co je czeka. Ich śmierć, szybka, ale nie dość szybka, od cyklonu, tej trucizny na bazie cyjanku.

Samolot obniżył lot, wylądował i wszyscy wokół mnie wyciągnęli swoje telefony, by zadzwonić do ukochanych lub przyjaciół, którzy mieli ich odebrać. „Właśnie wylądowaliśmy”. „Spotkajmy się przy punkcie odbioru bagażu”. „Kocham cię”. Pozostałem na swoim miejscu. Wyobraziłem sobie Rose wchodzącą do męskiej toalety w parku. Nie widziałem kabin i urynałów, nie od razu. Raczej same zlewy. Oczyszczenie. Ablucja. Wyobraziłem sobie jej strach, świadomość tego, co ją czeka. Wyobraziłem sobie zastrzyk, cyjanek. Potem pozwoliłem sobie zobaczyć również kabiny i urynały. Upokorzenie towarzyszące umieraniu pośród smrodu innych. To też odtworzyła. I zobaczyłem lustro, wszędzie wokół niej powierzchnie odbijające światło. Wyobraziłem sobie jej ostateczną konfrontację z własnym odbiciem, z własnym ja.

Wciąż wierzę, że czekała na profesora Costello w nadziei na ocalenie i miłość. Ale rozumiałem teraz, że rodzina też miała rację. Być może nawet Rose nie zdawała sobie z tego sprawy, lecz to wydaje się niezaprzeczalne: jednocześnie próbowała odkupić grzechy Lenza, umierając w ten sam sposób, co jego ostatnie ofiary. Patrząc na siebie, widziała echo twarzy odpowiedzialnej za ten gaz.

Wiedziała, że jest przeklęta. Wierzyła, że klątwa była uzasadniona.

A może próbowała zmienić kierunek tej klątwy. Może miała nadzieję, że jeśli umrze w ten sposób, zadowolą ją i klątwa nie postawi sobie za cel Violet i Dahlie, i siostrzeńców, i siostrzenic, których Rose miała nigdy nie poznać. Może uczyniła z siebie baranka ofiarnego. (I, Jezu, Boże, dopiero teraz, gdy to piszę, widzę te śnieżnobiałe pastreczki w rzędzie na kominku. „Niepoważne hobby”, myślałam o tych przesłodzonych figurkach. „Żeby było ładnie” – mówiła o nich matka. Ale gdy teraz myślę o tym kominku i widzę go na nowo, ten mimowolny ołtarz mojej matki, jej podświadome sanktuarium poświęcone siostrze, która zginęła za nasze grzechy. Jezu, Boże – cofam to; Freud miałby używanie z moją rodziną).

To była niezła próba ze strony Rose, tak myślę. Bohaterski wysiłek. Ale kary za niegodziwość ojców są zsyłane na potomstwo do trzeciego i czwartego pokolenia, a ona nie mogła powstrzymać klątwy przed zapukaniem do drzwi wszystkich po kolei. Chociaż... nie do moich drzwi. Nie do drzwi mojej matki, nie do drzwi moich sióstr. Nie znaczy to, że nigdy nie zazналиśmy bólu czy cierpienia. Ale doświadczyliśmy ich znacznie mniej niż większość ludzi. Dlaczego zostaliśmy oszczędzeni? Kto wie?

Ja wiem tylko tyle: życie nie wydaje mi się już imperatywem. Podejmuję wybór, przeżywając każdy kolejny dzień. Otaczają nas ludzie, którzy widzą poziome światło i zapraszające krosno. Czasami my jesteśmy nimi. Kiedy wydaje mi się, że widzę to światło, albo kiedy myślę o swoich kuzynkach, próbuję zmusić się do tego, aby rozejrzeć się wokół, aby zaczerpnąć siły i przyjemności z tego, co akurat widzę: z hebanowych arterii i okrągłych plastrów na korze drzewa, z ciemnopomarańczowych miseczek żołądździ i źdźbeł trawy. Albo, jeśli jestem w speluncie w Hicksville czy w Plainview, biorę się w garść, śpiewając jedną lub dwie z moich własnych piosenek. Słodkich, ale niewartych zapamiętania, jak napisała Delph o mojej muzyce. Pewnie takie są, lecz można usłyszeć gorszą recenzję swoich dzieł. Można być znacznie gorszym człowiekiem. Błogosławiona jest Potęga Wszechświata. Co oznacza: No, dalej, śpiewaj te swoje niewarte zapamiętania piosenki. Moja mała grupka fanów, tych podstarzałych, roztańczonych mieszkańców przedmieść, najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu. Właściwie to z czasem nauczyli się na pamięć wszystkich słów.

48 Akronim stworzony od pierwszych liter nazw barw składających się na tęczę: Red, Orange, Yellow, Green, Blue, Indigo, Violet.

49 Nawiązanie do wiersza Martina Niemöllera, niemieckiego pastora luterańskiego, teologa i działacza antynazistowskiego.

Nota autorki

Postaci opisane w *Subtelny urok samobójstwa* są fikcyjne i nie mają przypominać prawdziwych osób. Z pewnością trzy główne bohaterki: Lady, Vee i Delph, oraz wszyscy ludzie, których spotkały na swej drodze, są wytworem mojej wyobraźni. Wszelkie podobieństwo pomiędzy tymi postaciami a prawdziwymi osobami jest przypadkowe i niezamierzone. Niektóre z postaci oraz wydarzeń opisanych w historycznych partiach książki zostały zainspirowane prawdziwymi ludźmi i wydarzeniami. Postaci Lenza, Iris, Richarda i Rose Alterów odwołują się do, odpowiednio, niemiecko-żydowskiego naukowca Fritza Habera, jego pierwszej żony Clary Immerwahr Haber, ich syna Hermanna oraz najstarszej córki Hermanna, Claire. Opisana w książce rodzina Einsteinów nawiązuje do... rodziny Einsteinów. John Updike powiedział kiedyś, że nic w fikcji nie wydaje się tak prawdziwe jak sama prawda, tylko nieco przearanżowana. Prawda (do takiego stopnia, w jakim kiedykolwiek możemy poznać prawdę o ludziach, którzy żyli dawno temu) dotycząca moich postaci historycznych została czasami przearanżowana nieco, jak zalecał Updike, ale najczęściej znacząco. Ostatecznie jest to literatura i opowiada o wyimaginowanej rodzinie. Tak, przeprowadziłam dużo badań, aby lepiej zrozumieć moje postaci i ustalić realistyczną strukturę chronologiczną wydarzeń, ale kiedy usiadłam do pisania, myślałam o Alterach, nie o Haberach.

Dam wam tylko jeden przykład: podczas gdy wyżej wspomniana Claire Haber rzeczywiście popełniła samobójstwo, jej dwie siostry tego nie uczyniły. Historie życia Dahlie i Violet Alter pod żadnym względem nie przypominają losów pozostałych wnuczek Fritza Habera. Celowo nie zbierałam materiałów na ich temat, aby opisywane przeze mnie bohaterki pochodziły wyłącznie z mojej wyobraźni.

Nie można zaprzeczyć, że w powieści od czasu do czasu pojawiają się cytaty lub parafrazy materiałów historycznych. Wyjątki z eseju *Słowo o naszych Żydach* Heinricha von Treitschkego oraz z broszurki *Drugie słowo o naszych Żydach* autorstwa Theodora Mommsena skróciłam i przeredagowałam, aby lepiej dopasowały się do mojej opowieści, ale większość słów należy do autorów, nie zmieniałam też oryginalnych sentymentów czy argumentów. Opis stosownej sukni do tańczenia walca zaczerpnęłam z artykułu mistrza tańca z przełomu XIX i XX wieku Alana Dods-wortha, który został zacytowany na stronie Sonny Watson's Streetswing.com, <http://www.street-swing.com/histmain/z3knick.htm>. (Przyznaję, że spróbowałam dodać nieco humoru oryginalnej prozie pana Dodswortha).

Warunki przedstawione Milevie przez Einsteina można przeczytać w całości

w biografii pióra Waltera Isaacsona wymienionej w bibliografii poniżej. Wyjątek z rezygnacji Lenza Altera ze stanowiska zaczerpnęłam słowo w słowo z listu, który napisał Fritz Haber, kiedy postanowił opuścić Instytut Cesarza Wilhelma, zamiast zwolnić swoich żydowskich podwładnych i kolegów, jak nakazywało nowe prawo. Wyjątek z eseju Maxa Plancka *Moja audyencja u Adolfa Hitlera* przytoczyłam z opuszczeniami, ale poza tym nie różni się od oryginału. Testamentowe zastrzeżenia dotyczące pochówku Lenza Altera i relokacji prochów Iris z Niemiec do bardziej przyjaznego miejsca pochodzą z ostatniej woli Fritza Habera, podobnie jak zasugerowane przez niego epitafium: „Służył swojej ojczyźnie w wojnie i w pokoju dopóty, dopóki było mu to dane”. Hermann Haber spełnił życzenie ojca i obecnie Fritz oraz Clara Haber spoczywają obok siebie na cmentarzu Hörnli w Bazylei.

Niektóre (choć z pewnością nie wszystkie) listy Iris Alter cytują lub parafrazują odczucia, jakie Clara Haber wyrażała w korespondencji z jej promotorem pracy doktorskiej i powiernikiem, chemikiem Richardem Abeggem. Osoba Abegga została tu w dużym stopniu zbeletryzowana pod postacią Richarda Lehrera.

W powieści nawiązuję również do bardzo prawdziwego listu Clary Haber, który wysłała do Sztabu Generalnego Sił Obronnych krótko przed popełnieniem samobójstwa. Opisała w nim dzieło swojego męża jako wypaczenie ideałów nauki oraz oznakę barbarzyństwa „powodującego rozkład tej właśnie dyscypliny, która powinna przynosić głębokie zrozumienie życia”.

Przemowa, którą cesarz Wilhelm II Hohenzollern wygłasza na ceremonii inauguracyjnej fikcyjnego Instytutu Chemii Fizycznej w Dahlem, jest parafrazą informacji widniejącej na stronie internetowej Instytutu Fritza Habera (dawniej Instytutu Cesarza Wilhelma) pod adresem <https://www.fhi-berlin.mpg.de/history/h1.epl>. Natomiast recenzja autorstwa Andrei Stevens opublikowana w gazecie „New York Times” 8 października 2005 roku rzeczywiście porównywała (choć nie w pozytywny sposób) związek między Fritzem Haberm a Albertem Einsteinem, sportretowany w sztuce Verna Thiessena *Einstein's Gifts*, do relacji łączących Felixa i Oscara z filmu *Dziwna para*.

Treść listu pożegnalnego Rose Alter i okoliczności, w jakich zginęła, są identyczne jak w przypadku Claire Haber.

W książce znalazły się też zamierzone (i bez wątplenia również niezamierzone) odstępstwa od faktów. Czy Fritz Haber naprawdę był pierwszą osobą, która zsyntetyzowała ecstasy? Niektórzy biografowie twierdzą, że tak, inni, że nie. Nie wiem zatem, czy Haber miał cokolwiek wspólnego z ecstasy. Wiem tylko, że w moim fikcyjnym wszechświecie Lenz Alter miał.

Kolejnym zamierzonym odstępstwem od faktów jest umieszczenie na stole w kąciku jadalnym sióstr Alter w 1976 roku egzemplarzy czasopisma „Mamm: The

Magazine for Breast Cancer Patients and Survivors”, które w rzeczywistości zaczęło być wydawane dopiero w 1997 roku. Kiedy jednak natknęłam się na ten magazyn w gabinecie mojego lekarza, wiedziałam, że muszę go dodać do sterty śmieci na tym stole, pal licho anachronizm. To znaczy – czasopismo na temat raka z grą słów w tytule? To dopiero zuchwałość! To dopiero hucpa! To dopiero przykład pięknego ludzkiego instynktu, aby żartować w obliczu tego, co bolesne i przerażające! Cóż mogę powiedzieć? Slam, bam, dziękuję, Mamm50.

50 Autorce prawdopodobnie chodzi tutaj o podobieństwo między słowem Mamm (skrót od *mammography*) a *Ma'am* (pani), które z kolei kojarzy jej się ze slangowym zwrotem *slam bam thank you ma'am*, oznaczającym szybki numer.

Bibliografia

Czytelników zainteresowanych życiem Fritza i Clary Haberów zachęcam do sięgnięcia po wybrane materiały źródłowe, które uznałam za najbardziej pomocne i fascynujące podczas pracy nad tą książką:

Daniel Charles, *Master-Mind: The Rise and Fall of Fritz Haber, the Nobel Laureate Who Launched the Age of Chemical Warfare*, CCC Press, New York 2005.

Jutta Dick, *Clara Immerwahr. Jewish Women: A Comprehensive Historical Encyclopedia*, 1 marca 2009, <http://jwa.org/encyclopedia/article/immerwahr-clara>.

Magda Dunikowska i Ludwik Turko, *Fritz Haber: The Damned Scientist*, <http://arxiv.org/ftp/arxiv/papers/1112/1112.0949.pdf>.

Peter Fraenkel, *Ludwig Haber – The Counsel and the Samurai: The Murder of Ludwig Haber in Hakodate, 1874*, www.ludwighaber.blogspot.com.

Morris Goran, *The Story of Fritz Haber*, University of Oklahoma Press, Norman 1967.

Charlotte Haber, *Mein Leben Mit Fritz Haber*, Spiegelungen der Vergangenheit, Düsseldorf 1970.

Walter Isaacson, *Einstein. Jego życie, jego wszechświat*, tłum. J. Skowroński, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2010.

Patricia M. Mazón, *Gender and the Modern Research University: The Admission of Women to German Higher Education, 1865–1914*, Stanford University Press, Stanford 2003.

John Morreall, *Humor in the Holocaust: Its Critical, Cohesive, and Coping Functions*, w: *Hearing the Voices: Teaching the Holocaust to Future Generations; Proceedings of the 27th Annual Scholars' Conference on the Holocaust and the Churches, March 2–4, 1997, Tampa, Florida*, Merion Westfield, New York 1999. Dostępne również na stronie Holocaust Teacher Research Center, 22 listopada 2001, <http://www.holocaust-trc.org/humor-in-the-holocaust>.

Fritz Stern, *Fritz Haber: Flawed Greatness of Person and Country*, „Angewante Chemie International Edition” 51, nr 1 (2012), s. 50–56.

Dietrich Stolzenberg, *Fritz Haber: Chemist, Nobel Laureate, German, Jew*, Chemical Heritage Foundation, Philadelphia 2004.

Podziękowania

Chciałabym podziękować za stypendia, nagrody i granty, jakie otrzymałam w ramach wsparcia podczas pracy nad tą książką: stypendium Uniwersytetu Wisconsin–Madison, College of Letters & Science’s John Jartz Faculty Fellowship, Vilas Associates Award, Art Institute’s Creative Arts Award, kilka grantów badawczych dla doktorantów oraz Artist Fellowship Grant od Wisconsin Arts Board. Jestem wdzięczna Johnowi Jartzowi, Karen Reno i Lynne McCreight za ich ogromne wsparcie; Susannie Daniel, Melissie Falcon Fields, Jesse Lee Kercheval, Ronowi Kuka, Jean Reynolds Page i Michelle Wildgen za ich przyjaźń i uwagi; Anji Wanner za pomoc z językiem niemieckim (ewentualne błędy pozostałe w tekście to wyłącznie moja wina); Sethowi Abramsonowi za pomoc w badaniach źródłowych (w kwestii ewentualnych błędów obowiązuje ta sama zasada, co w nawiasie powyżej) oraz Henry’emu Clarkowi, Elizabeth Hilts i Ericowi Millerowi za śmietankę Cremora, światło i gitarę Danny’ego.

Na koniec i zawsze dziękuję Donowi Friedlichowi za jego miłość, poczucie humoru i niezwykłą cierpliwość.

Nazwiska osób wzmiankowanych w książce

Nazwiska postaci historycznych oraz osób publicznych wyróżniono **pogrubioną czcionką.**

Alter, Delphine, Delph
Alter, Eddie Glod
Alter, Heinrich Lorenz
Alter, Iris Emanuel
Alter, Karin Gläser
Alter, Lily Frankl Hopper, Lady
Alter, Line Alter
Alter, Lorenz Otto, Lenz
Alter, Richard
Alter, Rose
Alter, Rudi
Alter, Veronica Frankl Glod, Vee

Barry, uczestnik orgii
Beame, Abe
Beef, pies dentysty
Bismarck, Otto von
Boggs, Bill
Boleyn, Anna
Brownmiller, Susan
Bunsen, Robert

Carson, Johnny
Costello, Abbott P.
Curie, Pierre i Maria

Dodsworth, Alan
Douglas, Mike

Einstein, Albert
Einstein, Eduard
Einstein, Elsa
Einstein, Hans
Einstein, Mileva
Emanuel, Anna
Emanuel, Zindel

Frankl, Dahlie
Frankl, Natan
Fillmore, Millard
Franciszek Ferdynand Habsburg, arcyksiążę
Freddie, właściciel baru

Geist, Frau
Ginsberg, Allen
Gottlieb, Joshua
Gurley, tatuażysta

Hahn, Otto
Hari, Mata
Hepburn, Katharine
Hitler, Adolf
Hogan, Hulk
Hollander, Xaviera, Wesola Dziwka
Howdy Doody, lalka brzuchomówcy

Jan, pielęgniarka onkologiczna
Jones, John Paul
Joplin, Janis

Kazootie, Rooty
Kennedy, Robert Francis, Bobby
Kennedy, John Fitzgerald

Kennedy, John Fitzgerald Jr, John-John

Kennedy, Joseph Patrick Sr, Joe

Kirk, Grayson

Kram, Arthur

Lehrer, Richard

Lehrer, Marthe

Little, Rich

Matthau, Walter

Meitner, Lise

Meyer, Theo

Millet, Kate

Mommsen, Theodor

Moritz, Emil

Nevelson, Louise

Nim Chimpsky

Norman, uczestnik orgii

Niewymienione z nazwiska praktykantki adwokackie zaprzyjaźnione z Vee

Niewymienieni z nazwiska szefowie Delph i Lily

Niewymienieni z nazwiska dwaj tatuażysty

Niewymieniona z nazwiska gospodyni, druga żona Heinricha

Niewymieniona z nazwiska higienistka stomatologiczna

Niewymieniona z nazwiska pracownica punktu informacji na Penn Station

Niewymieniona z nazwiska uczestniczka orgii

Niewymienione z nazwiska duchy przy łożu śmierci Karin

Niewymieniony z nazwiska dentysta

Niewymieniony z nazwiska dozorca budynku przy Riverside Drive

Niewymieniona z nazwiska dyrektorka domu spokojnej starości

Niewymieniony z nazwiska onkolog

Niewymieniony z nazwiska pasażer autobusu

Niewymieniony z nazwiska radiolog

Niewymieniony z nazwiska terapeuta Delph

Niewymieniona z nazwiska urzędniczka w ratuszu

Niewymieniony z nazwiska wdowiec

O'Keeffe, Georgia
Oyl, Olive

Patty, żona dentysty
Planck, Max
Popeye
Prinz, pies Lenza i Iris

Rosenthal, Grete, kochanka Lenza
Ruffin, Jimmy

Sainte-Marie, Buffy
Shine, bracia, właściciele sklepu żelaznego
Shore, Dinah
Smoke, Danny
Smoke, Jack
Smoke, Margo
Smoke, Sharon
Smoke, Violet Alter
Syn Sama
Snyder, Tom

Taylor, Opie
Thiessen, Vern
Treitschke, Heinrich von

Wayne, John
Weizmann, Chaim
Whitman, Walt
Wilhelm I Hohenzollern, cesarz
Wilhelm II Hohenzollern, cesarz
Williams, Tennessee

Younger, Cole

Zappa, Frank

Ziegler, Rose Emanuel

Spis treści

Część I. Duchy ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5 ROZDZIAŁ 6 ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8 ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10 Część II. Zgromadzenie ROZDZIAŁ 11 ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13 Część III. Ostatnie słowa GRUDZIEŃ 2010 Nota autorki
Bibliografia Podziękowania Nazwiska osób wzmiankowanych w książce